

JEFFERY  
DEEVER

TER CRIME SCENE-DO NOT ENTER  
TER CRIME SCENE-DO NOT ENTER  
TER CRIME SCENE-DO NOT ENTER

HAK

Prószyński i S-ka

## SZEŚĆ POWODÓW DLA KTÓRYCH WARTO CZYTAĆ JEFFERY'EGO DEAVERA

To najbardziej twórczy, wprawny i intrygujący autor thrillerów na świecie.  
„Daily Telegraph”

Jest niekwestionowanym mistrzem suspense.  
„People”

Tworzy najlepsze fabularne układanki.  
„Booklist”

Intelektualna gra, zabawa w kotka i myszkę to charakterystyczne elementy  
jego powieści.  
„The New York Times Book Review”

Nie spuszcza z tonu, potrafi trzymać w napięciu, mylić tropy,  
do końca zwodzić czytelnika co do tożsamości zbrodniarza.  
„Przekrój”

Gwarantuje odpowiednią dawkę adrenaliny od pierwszej do ostatniej strony.  
„Cleveland Plain Dealer”

Cena 39 zł (ok. 100 zł w USA)

ISBN 978-83-7648-680-2



9 788376 486802

[www.wydawnictwo.pl](http://www.wydawnictwo.pl)

Patronat medialny

ANTYRADIO

Zbiórka  
w Bibliotece

 JEFFERYDEAVER.PL

JEFFERY  
DEAVER  
HAK

Przełożył  
Łukasz Praski

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału EDGE

Copyright © 2010 by Jeffery Deaver

All rights reserved

Projekt okładki

Ewa Wójcik

Ilustracja na okładce

© Dave Wall/Arcangel Images

Redaktor prowadzący

Katarzyna Rudzka

Redakcja

Rafał Szambelan

Korekta

Barbara Pięłowska-Stawowa

Łamanie

Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-680-2

Warszawa 2011

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-651 Warszawa,

ul. Garażowa 7

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa

Drukarnia Skleniarz

ul. Lea 118,

31-033 Kraków

**Dla Shea, Sabriny i Brynn**

CZERWIEC 2004

Zasady gry

Człowiek, który chciał zabić siedzącą obok mnie młodą kobietę, jechał kilometr za nami przez sielski krajobraz pól bawełny i tytoniu, okrytych wilgocią czerwcowego poranka.

W lusterku wstecznym mignął fragmencik samochodu, poruszającego się w spokojnym tempie w szeregu aut i prowadzonego przez mężczyznę, który na pozór niczym się nie wyróżniał spośród setki kierowców na autostradzie, gdzie niedawno wymieniono nawierzchnię.

- Panie Fallow? - zaczęła Alissa, po czym, tak jak nakłaniałem ją przez ostatni tydzień, poprawiła: - Abe?

- Słucham.

- Jest tam jeszcze? - Zauważyła, jak zerkałem w lusterko.

- Tak. Nasz ogon też - dodałem, żeby ją uspokoić. Za mordercą, trzy samochody dalej, podążał mój protegowany. Nie był jedyną osobą z naszej organizacji biorącą udział w akcji.

- W porządku - szepnęła Alissa. Trzydziestokilkuletnia kobieta ujawniła ciemne sprawy pewnego kontrahenta rządowego, który współpracował z wojskiem. Przedstawiciele firmy stanowczo twierdzili, że nie doszło do żadnych nadużyć i że nie mają nic przeciwko śledztwu, mimo to przed tygodniem dokonano zamachu na życie Alissy, a ponieważ byłem właśnie w Forcie Bragg z jednym z dowódców, Departament Obrony wezwał mnie, żebym ją chronił. Jako szef organizacji rzadko pracuję w terenie, ale prawdę mówiąc, chętnie wyrwałem się poza mury. Zwykle spędzałem co dzień dziesięć godzin za biurkiem w naszym biurze w Alexandrii. W zeszłym miesiącu częściej zostawałem tam na dwanaście i czternaście godzin, bo koordynowaliśmy ochronę pięciu informatorów z przestępczości zorganizowanej, aby później przekazać ich programowi ochrony świadków, w którego ramach mieli się poddać operacjom plastycznym.

Dobrze było znowu znaleźć się w siodle, choćby tylko na tydzień.

Wcisnąłem przycisk szybkiego wybierania, dzwoniąc do swojego protegowanego.

- Tu Abe - powiedziałem do zestawu słuchawkowego. - Gdzie on jest?

- Jakieś osiemset metrów za wami. Porusza się dość wolno.

Cyngiel, którego tożsamości nie znaliśmy, siedział za kierownicą nijakiego, szarego hyundaia sedana.

Jechałem za pięciopółmetrową ciężarówką z wymalowanym na boku napisem „PRZEDSIĘBIORSTWO PRZETWÓRSTWA DROBOWEGO CAROLINA”. Wóz był pusty i prowadził go jeden z naszych transportowców. Przed ciężarówką jechał taki sam samochód jak ten, który prowadziłem.

- Trzy kilometry do wymiany - powiedziałem.

Odbiór wiadomości potwierdziły cztery głosy przez cztery bardzo zaszyfrowane urządzenia komunikacyjne. Rozłączyłem się. Nie patrząc na Alisę, powiedziałem:

- Będzie dobrze.

- No... - szepnęła. - Sama nie wiem. - Zamilkła i utkwiała wzrok w bocznym lusterku, jak gdyby człowiek, który chciał ją zabić, był tuż za nami.

- Wszystko idzie zgodnie z planem.

Kiedy niewinni ludzie znajdują się w sytuacji wymagającej obecności i ochrony kogoś takiego jak ja, najczęściej reagują zdumieniem i strachem. Trudno jest uświadomić sobie nagle własną śmiertelność.

Ale zapewnianie zagrożonym ludziom bezpieczeństwa to praca jak każda inna.

Często mówiłem o tym swojemu protegowanemu i innym w biurze, prawdopodobnie grając im na nerwach powtarzaniem drętym tonem w kółko tego samego. Mówiłem o tym jednak dlatego, że nigdy nie wolno zapominać. To normalna robota ze swoimi sztywnymi procedurami, których uczymy się tak samo jak chirurdzy opanowujący zasady precyzyjnego krojenia ciała albo piloci opanowujący sztukę utrzymywania w powietrzu ton metalu. Uczymy się technik, które doskonalono przez całe lata i które działały.

Robota...



Oczywiście nie miałem też żadnych wątpliwości, że cyngiel, który właśnie jechał za nami z zamiarem zamordowania siedzącej obok mnie kobiety, również traktuje swoje zadanie jak zwykłą pracę. Był równie poważny jak ja, uczył się procedur tak samo pilnie jak ja, miał wysokie IQ i wysoki poziom praktycznego sprytu, miał także nade mną przewagę: jego działań nie krępowały takie ograniczenia jak mnie - wynikające z konstytucji i praw zgodne z nią stanowionych.

Mimo to wierzę, że walka po słusznej stronie ma swoje zalety. W ciągu lat pracy nigdy nie straciłem żadnego obiektu. I nie zamierzałem stracić Alissy.

To zwykła robota, dlatego trzeba zachować spokój chirurga, spokój pilota.

Alissa oczywiście nie była spokojna. Oddychała ciężko, skubiąc mankiet bluzki i patrząc na rozłożystą magnolię, którą właśnie mijaliśmy. Drzewo wysforowało się z lasu hikor czy kasztanowców na skraju dużego pola bawełny falującego białym puchem. Niespokojnie okręcała na przegubie bransoletkę z brylantami, którą podarowała sobie na ostatnie urodziny. Zerknęła na ozdobę, a potem na dłoń, wilgotne od potu, po czym położyła je na granatowej spódnicy. Pod moją opieką Alissa nosiła wyłącznie ciemne rzeczy, ale ten kamuflaż nie wynikał z tego, że była celem zawodowego mordercy, lecz z powodu nadwagi, z którą borykała się od wieku dojrzewania. Wiedziałem o tym, bo razem jadaliśmy posiłki i miałem okazję widzieć tę walkę z bliska. Sporo mówiła o swoich zmaganiach z jedzeniem. Niektórzy podopieczni nie potrzebują lub nie chcą kumplostwa. Inni, jak na przykład Alissa, chcą w nas widzieć przyjaciół. Nie bardzo nadają się do takiej roli - znów z powodu swojej sztywności - ale staram się w nią wejść i na ogół mi się udaje.

Minęliśmy tablicę. Zjazd był za dwa kilometry.

Praca wymaga prostego i sprytnego planu. W tej branży nie wolno być reaktywnym i choć nie cierpię słowa „proaktywność” (jako przeciwieństwo czego, „antyaktywności”?), dobrze oddaje kluczową cechę naszej roboty. W tym wypadku, aby dostarczyć Alissę całą i zdrową do prokuratora, przed którym miała złożyć zeznanie, musiałem wciągnąć do gry cyngla. Ponieważ mój protegowany śledził go od wielu godzin, wiedzieliśmy, gdzie jest i moglibyśmy go zdjąć w każdej chwili. Gdybyśmy to jednak zrobili, jego zleceniodawca wynająłby po prostu kogoś innego, żeby dokończył zadanie. Chciałem zatrzymać

go na drodze przez większą część dnia - na tak długo, żeby Alissa zdążyła dotrzeć przed oblicze prokuratora federalnego i przekazać mu dostatecznie dużo informacji, a tym samym zażegnać grożące jej niebezpieczeństwo. Po spisaniu zeznania cyngiel nie będzie już miał powodu jej eliminować.

Zgodnie z planem, jaki opracowałem razem ze swoim protegowanym, miałem wyprzedzić ciężarówkę z przedsiębiorstwa drobiowego. Cyngiel doda gazu, żeby nie stracić nas z oczu, ale zanim się zbliży, ciężarówka i ja równocześnie zjedziemy z autostrady. Z powodu łuku drogi i zjazdu, który specjalnie wybrałem, cyngiel nie będzie mógł zobaczyć mojego samochodu, ale zauważy wóz pozorantów. Potem Alissa i ja okrężną trasą pojedziemy do hotelu w Raleigh, gdzie czeka prokurator, a samochód pozorantów dotrze do gmachu sądu w Charlotte, trzy godziny drogi stąd. Zanim napastnik się zorientuje, że jechał za fałszywym celem, będzie za późno. Zadzwoń do dyspozytora - swojego zleceniodawcy - i najprawdopodobniej zamach zostanie odwołany. Wtedy wkroczymy, aresztujemy cyngla i spróbujemy wytropić dyspozytora.

Do zjazdu miałem mniej więcej półtora kilometra. Od ciężarówki z kurczakami dzieliło mnie około dziesięciu metrów.

Spojrzałem na Alisnę, która bawiła się teraz złotym naszyjnikiem z ametystami, który dostała od matki na siedemnaste urodziny. Cena prezentu przekraczała możliwości finansowe rodziny, ale naszyjnik miał być nagrodą pocieszenia za brak zaproszenia na bal z okazji zakończenia roku szkolnego. Ludzie zwykle sporo zdradzają osobom, które ratują im życie.

Zabrzącał mój telefon.

- Tak? - powiedziałem do swojego protegowanego.

- Obiekt przesunął się do przodu, jakieś dwieście metrów za ciężarówką.

- Jesteśmy prawie na miejscu - odrzekłem. - Do roboty.

Szybko wyprzedziłem ciężarówkę przedsiębiorstwa drobiowego i wcisnąłem się w lukę między nią a wozem pozorantów. Za kierownicą siedział człowiek z naszej organizacji; fotel pasażera zajmowała agentka FBI przypominająca Alisnę. W biurze mieliśmy trochę zabawy podczas wybierania kogoś, kto by zagrał mnie. Mam okrągłą głowę, uszy odstające o parę milimetrów bardziej, niżbym sobie życzył, i sztywne rude włosy. Jestem niewysoki. Dlatego trzeba było poświęcić

godzinę czy dwie na przeprowadzenie szybkiego konkursu na najbardziej elfowatego pracownika, który miał się wcielić we mnie.

- Podaj status - powiedziałem do telefonu.

- Zmienił pas i trochę przyspieszył.

Woli nie tracić mnie z oczu, pomyślałem.

- Chwileczkę... chwileczkę - usłyszałem.

Musiałem przypomnieć swojemu wychowankowi, żeby uważał na niepotrzebne wtręty; treść rozmowy telefonicznej była szyfrowana, ale można było wykryć sam fakt nawiązania łączności. Zapamięta tę lekcję.

- Zbliżam się do zjazdu... Uwaga, skręcamy.

Wciąż jadąc z prędkością ponad dziewięćdziesięciu na godzinę, zjechałem na prawy pas i pokonałem łuk osłonięty gęstymi drzewami. Ciężarówka siedziała mi na zderzaku.

- W porządku, obiekt nawet nie popatrzył w twoją stronę - zameldował mój protegowany. - Namierzył pozorantów i zaraz zwolnił do przepisowej prędkości.

Na skrzyżowaniu z drogą numer 18 zatrzymałem się na czerwonym świetle, a potem skręciłem w prawo. Ciężarówka skręciła w lewo.

- Obiekt dalej trzyma się trasy - ciągnął mój protegowany. - Chyba wszystko idzie zgodnie z planem. - Miał opanowany głos.

Zwykle nie angażuję się emocjonalnie w pracę, ale jest w tym lepszy ode mnie. Rzadko się uśmiecha, nigdy nie żartuje i prawdę mówiąc, niewiele o nim wiem, choć współpracujemy, często bardzo blisko, już od kilku lat. Chciałbym to zmienić - pozbawić go tego ponuractwa - nie ze względu na pracę, bo naprawdę jest bardzo dobry, ale po prostu wolałbym, żeby czerpał więcej przyjemności z tego, co robimy. Dbanie o bezpieczeństwo innych może dawać satysfakcję, a nawet radość. Zwłaszcza gdy chronimy rodziny, co zdarza się całkiem często.

Poleciałem mu, żeby informował mnie na bieżąco, i zakończyłem połączenie.

- Czyli jesteśmy bezpieczni? - spytała Alissa.

- Jesteśmy bezpieczni - odparłem, przyspieszając do osiemdziesiątki przy ograniczeniu do siedemdziesięciu na godzinę. Piętnaście minut później kluczaliśmy drogą, która miała nas doprowadzić na obrzeża Raleigh, gdzie na zeznanie Alissy czekał prokurator.

Niebo przykrywały chmury, a krajobraz nie zmieniał się tu pewnie od kilkudziesięciu lat: parterowe domy, szopy, przyczepy i samochody w stanie terminalnym, które dzięki odrobinie szczęścia i troskliwej opiece wciąż funkcjonowały. Na stacji benzynowej sprzedawano gatunek paliwa, o którym nigdy nie słyszałem. Psy leniwie kłapały zębami, goniąc pchły. Kobiety w postrzępionych dżinsach pilnowały gromadki potomstwa. Mężczyźni o twarzach naznaczonych zamiłowaniem do piwa i o wystających brzuchach siedzieli na werandach, nie czekając na nic. Najprawdopodobniej dziwili się na widok naszego samochodu - w którym siedzieli ludzie z gatunku rzadko widywanych w tej okolicy: mężczyzna w białej koszuli i ciemnym garniturze oraz kobieta z elegancką blond fryzurą.

Zostawiając za sobą dzielnicę domów, wjechaliśmy na drogę przecinającą pola. Ujrzałem krzewy bawełny zrzucające włókna jak popcorn i pomyślałem, że sto pięćdziesiąt lat temu tę ziemię pokrywał taki sam biały kobierzec; kiedy człowiek był na Południu, często przypominał sobie wojnę secesyjną i ludzi, w których imieniu ją toczono.

Zadzwoił telefon, który zaraz odebrałem.

W głosie mojego protegowanego wyraźnie brzmiał niepokój.

- Abe.

Zesztywniały mi ramiona.

- Skreślił z autostrady? - Tym się nie martwiłem; zjechaliśmy ponad pół godziny temu. Cyngiel musiał być już co najmniej sześćdziesiąt kilometrów od nas.

- Nie, ciągle jedzie za pozorantami. Ale coś się stało. Rozmawiał przez komórkę. Kiedy się rozłączył, dziwnie się zachowywał. Ocierał twarz. Podjechałem bliżej, na dwie długości samochodu. Wyglądał, jakby płakał.

Zacząłem szybciej oddychać, zastanawiając się nad możliwymi przyczynami. Spośród różnych scenariuszy na plan pierwszy wybijał się najbardziej wiarygodny i niepokojący: a jeśli cyngiel podejrzewał, że użyjemy podstępu i postanowił zrobić to samo? Zmusił kogoś, kto go przypominał - jak elfowaty człowiek w naszym wozie - żeby za nami jechał. Rozmowa telefoniczna, której świadkiem był mój protegowany, mogła się odbyć między kierowcą a prawdziwym sprawcą, który wziął jego żonę albo dziecko jako zakładnika.

To z kolei oznaczało, że prawdziwy cyngiel był gdzie indziej i...

W naszą stronę śmignęła jakaś biała plama. Z podjazdu pustej, zrujnowanej stacji benzynowej po lewej na drogę wypadł ford pikap. Osłoniętą rurami maską uderzył w nasz wóz od strony pasażera i zepchnął nas przez kępę wysokiego zielska wprost do płytkiego jaru. Alissa wrzasnęła, a ja jęknąłem z bólu. Usłyszałem jeszcze głos swojego wychowanka, który wołał mnie po imieniu, a potem wystrzeliła poduszka powietrzna, posyłając telefon i zestaw głośnomówiący w głąb samochodu.

Stoczyliśmy się z półtorametrowego zbocza i mało efektownie zatrzymaliśmy się na mulistym dnie płytkiej rzeczki.

Och, zaplanował atak doskonale i zanim zdążyłem odpiąć klamrę pasa bezpieczeństwa, żeby się dostać do broni, wałnął w okno z mojej strony młotkiem do poło, roztrzaskując szybę i ogłuszając mnie. Wyszarpnął mi glocka i schował do kieszeni. Zwichnięte ramię, pomyślałem, mało krwi. Wypłułem odłamek szkła i spojrzałem na Alisę. Też była oszołomiona, ale chyba nie odniosła poważniejszych obrażeń. Cyngiel nie miał w ręku pistoletu tylko młotek, więc przemknęło mi przez myśl, że miałyby szansę przedrzeć się przez zarośla i uciec. Niewielką szansę, ale zawsze. Musiałyby jednak ruszać natychmiast.

- Alissa, biegnij w lewo! Uda ci się! Biegnij!

Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i wypadła z samochodu.

Spojrzałem na drogę. Zobaczyłem tylko białego forda zaparkowanego na poboczu, tak jak kilkanaście innych pikapów, które widziałem po drodze - w pobliżu rzeczki, gdzie można było na przykład złapać parę żab na przynętę. Samochód doskonale zasłaniał widok od strony drogi. Tak samo postawiłbym pikapa, żeby osłonić własną ucieczkę, pomyślałem ponuro.

Cyngiel sięgał przez okno, żeby otworzyć moje drzwi. Z bólu zmrugałem oczy, ciesząc się w duchu, że zwleka. Alissa mogła zyskać na czasie i pokonać większą odległość. Znając dokładnie nasze położenie dzięki GPS-owi, moi ludzie zawiadomią policję, która zjawi się tu za piętnaście czy dwadzieścia minut. Alissie mogło się udać. Błagam, pomyślałem, odwracając się w stronę płytkiego koryta rzeczki, którym powinna uciec.

Alissa nie zamierzała jednak nigdzie biec.

Stała obok samochodu ze spuszczoną głową i rękami założonymi

na obfitym biuście, z twarzą zalaną łzami. Czyżby odniosła większe obrażenia, niż przypuszczałem?

Otworzyły się drzwi po mojej stronie i cyngiel wywłókł mnie na ziemię, gdzie wprawnym ruchem założył mi na ręce nylonowe opaski. Potem mnie puścił i padłem w błoto o zgniłym zapachu, obok cykających świerszczy.

Opaski?, zdziwiłem się. Znow popatrzyłem na Alisę, która opierała się o samochód, nie mogąc spojrzeć w moją stronę.

- Proszę mi powiedzieć. - Zwracała się do napastnika. - Co z moją matką?

Nie, nie była oszołomiona i nie odniosła poważnych obrażeń. Zorientowałem się, że nie ucieka, bo nie ma powodu.

Nie była celem ataku.

Celem byłem ja.

Cała straszna prawda stała się jasna. Stojący nade mną mężczyzna znalazł jakiś sposób, żeby przed kilkoma tygodniami dotrzeć do Alissy i zagrozić jej, że skrzywdzi jej matkę - po to, by zmusić Alisę do zmyślenia historyjki o korupcji w przedsiębiorstwie świadczącym usługi rządowi. Ponieważ sprawa dotyczyła bazy wojskowej, której komendanta znałem, sprawca zakładał, że to ja zostanę owczarkiem wyznaczonym do jej ochrony. W ciągu minionego tygodnia Alissa przekazywała mi szczegóły na temat naszych procedur bezpieczeństwa. Nie był cynglem; był zbieraczem, którego wynajęto do wydobycia ze mnie informacji. Oczywiście - chodziło o sprawę przestępczości zorganizowanej, nad którą niedawno pracowałem. Znałem nową tożsamość pięciu świadków zeznających przed sądem. Wiedziałem, gdzie umieścili ich ludzie z programu ochrony świadków.

Urywany od szlochów głosem, Alissa wykrztusiła:

- Przecież mówił pan...

Ale zbieracz nie zwracał na nią uwagi. Patrząc na zegarek, dzwonił do kogoś; doszedłem do wniosku, że do podstawionego mężczyzny osiemdziesiąt kilometrów stąd, za którym jechał autostradą mój protegowany. Nie dodzwonił się. Pozorant został zapewne zatrzymany, gdy tylko przez komórkę usłyszano odgłosy naszego wypadku. Oznaczało to, że zbieracz nie ma tyle czasu, ile by sobie życzył. Ciekawe, jak długo wytrzymam tortury.

- Błagam - szepnęła znowu Alissa. - Moja matka... mówił pan, że jeżeli zrobię, czego pan chce... Proszę powiedzieć, nic się jej nie stało?

Zbieracz zerknął na nią i jak gdyby po namyśle wyciągnął zza pasa pistolet i dwa razy strzelił jej w głowę.

Skrzywiłem się w rozpacz.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął wymiętą szarą korpertę, otworzył ją, po czym przykłęknął obok mnie i wytrząsnął jej zawartość na ziemię. Nie widziałem, co to jest. Zdjął mi buty i skarpetki.

- Masz informacje, których potrzebuję? - spytał cichym głosem.

Przytaknąłem skinieniem głowy.

- Powiesz mi?

Gdybym wytrzymał piętnaście minut, miejscowa policja zdążyłaby tu dotrzeć, kiedy jeszcze będę żył. Przecząco pokręciłem głową.

Obojętnie, jak gdyby moja reakcja nie była ani dobra, ani zła, zabrał się do pracy.

Wytrzymaj piętnaście minut, powiedziałem sobie.

Pierwszy krzyk wydarł się z mojego gardła trzydzieści sekund później. Następny krótko potem, a później z każdym wydechem wydawałem przeraźliwy wrzask. Z oczu płynęły mi łzy, a całym ciałem wstrząsały fale przeszywającego bólu.

Trzydzieści minut, przemknęło mi przez głowę. Jeszcze dwanaście...

Nie byłem pewien, ale minęło chyba nie więcej niż sześć czy siedem, kiedy wykrztusiłem:

- Przestań, przestań!

Posłuchał. I powiedziałem mu dokładnie to, co chciał wiedzieć.

Zanotował informacje i wstał. W jego lewej dłoni kołysały się kluczyki do pikapa. W prawej trzymał pistolet. Wycelował lufę automatu w środek mojego czoła i w tym momencie poczułem przede wszystkim ulgę, ogromną ulgę na myśl, że przynajmniej skończy się ból.

Mężczyzna odsunął się o krok i przymrużył oczy w oczekiwaniu na huk wystrzału, a ja zdałem sobie sprawę, że...

WRZESIEŃ 2010

## SOBOTA

*Celem gry jest inwazja i zdobycie Zamku przeciwnika  
albo zabicie jego rodziny królewskiej.*

Z instrukcji gry planszowej „Feudal”



## Rozdział 1

Mamy paskudną sprawę, Corte.

- Słucham - powiedziałem do zestawu słuchawkowego. Siedząc przy swoim biurku, odłożyłem starą, napisaną ręcznie notatkę, którą właśnie czytałem.

- Obiekt i jego rodzina są w Fairfaksie. Zbieracz dostał zielone światło i wygląda na to, że jest pod presją czasu.

- Ile ma?

- Dwa dni.

- Wiesz, kto go wynajął?

- Nie, synu.

Był sobotni rano. W tej branży pracujemy o różnych godzinach i nasz tydzień pracy nie ma regularnej długości. Mój zaczął się parę dni temu, a wczoraj po południu skończyłem pewne małe zadanie. Resztę dnia miałem spędzić na porządkowaniu papierów, co dość lubię, ale w mojej organizacji musimy być stale w pogotowiu.

- Mów dalej, Freddy. - W jego głosie brzmiał zagadkowy ton.

Dziesięć lat współpracy w naszym fachu, nawet sporadycznej, pozwala odczytać sporo wskazówek.

Agent FBI, znany z tego, że nigdy się nie wahał, tym razem to zrobił. Wreszcie rzekł:

- No więc, Corte, chodzi o to, że...

- Co?

- Ten zbieracz to Henry Loving... Wiem, wiem. Ale to potwierdzone.

Po chwili, w której słyszałem tylko bicie własnego serca i szum krwi w uszach, odpowiedziałem odruchowo, choć niepotrzebnie:

- Loving nie żyje. Umarł w Rhode Island.

- Rzekomo umarł.

Zerknąłem na drzewa za oknem kołyszące się na lekkim wrześnieowym wietrze, po czym spojrzałem na biurko. Panował na nim wzorowy porządek, ale było małe i tandetnie wykonane. Na blacie leżało kilka kartek, z których każda wymagała mniej lub więcej mojej uwagi, oraz niewielki karton, dostarczony przez FedEx dziś rano do mojego domu, raptem kilka skrzyżowań od biura. Był to mój zakup na eBayu, na który niecierpliwie czekałem. Zamierzałem obejrzeć zawartość pudełka w porze lunchu. Odsunąłem je na bok.

- Mów.

- W budynku w Providence był ktoś inny. - Freddy dodał brakujący element układanki, choć prawie natychmiast wydedukowałem, co się musiało stać, a słowa agenta tylko potwierdziły, że się nie mylę. Dwa lata temu magazyn, w którym ukrywał się Henry Loving, kiedy umknął przed zastawioną przeze mnie pułapką, doszczętnie spłonął. Ekipa kryminalistyczna znalazła w środku DNA pochodzące z ciała. Mimo rozległych poparzeń, z każdych zwłok zostaje około dziesięciu milionów próbek krnąbrnego kwasu dezoksyrybonukleinowego. Nie można ich ukryć ani zniszczyć, nie ma więc sensu nawet próbować.

Można jednak później dotrzeć do techników laboratoryjnych przeprowadzających testy DNA i zmusić ich do kłamstwa - by poświadczyli, że to było twoje ciało.

Mogłem się spodziewać, że ktoś taki jak Loving przewidzi pułpkę, jaką przygotowałem. Zanim ruszył w pościg za obiektami, zapewne opracował plan B: porwał jakiegoś bezdomnego albo uciekiniera z domu i ukrył go w magazynie, na wypadek gdyby musiał się ewakuować. Posunięcie z technikiem w laboratorium było sprytne i wcale nie tak trudne do wyobrażenia, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Henry Loving miał niezwykły talent do manipulowania ludźmi, aby robili rzeczy, których nie chcieli robić.

I nagle okazuje się, że człowiek, na którego śmierć w ogniu wiele osób zareagowałoby z zadowoleniem, nie waham się nawet użyć wyrażenia „z radością”, żyje i ma się doskonale.

W drzwiach ukazał się jakiś cień. To był Aaron Ellis, szef naszej organizacji i mój bezpośredni przełożony. Jasnowłosy i niebywale barczysty. Rozchylił wąskie usta. Nie wiedział, że rozmawiam przez telefon.

- Słyszałeś? W Rhode Island - to jednak nie był Loving.  
- Właśnie rozmawiam z Freddym. - Wskazałem na zestaw słuchawkowy.

- U mnie o dziesiątej?

- Dobra.

Zniknął, oddalając się bezszelestnie w brązowych mokasynach z frędzlami, które zupełnie nie pasowały do jasnoniebieskich spodni.

- To był Aaron - powiedziałem do agenta FBI, który siedział w swoim biurze oddalonym od mojego o jakieś piętnaście kilometrów.

- Wiem - odparł Freddy. - Mój szef poinformował twojego. A ja informuję ciebie. Będziemy pracować nad tym razem, synu. Zadzwoń, jak będziesz mógł.

- Zaraz - powstrzymałem go. - A obiekty w Fairfaksie? Wysłałeś agentów do opieki?

- Jeszcze nie. To rzecz sprzed chwili.

- Musisz tam zaraz kogoś posłać.

- Zdaje się, że Loving jest jeszcze bardzo daleko.

- Mimo wszystko zrób to.

- Twoje życzenie i tak dalej, i tak dalej.

Freddy rozłączył się, zanim zdążyłem coś jeszcze powiedzieć.

*Henry Loving...*

Przez chwilę siedziałem, spoglądając przez okno nieoznakowanej siedziby mojej organizacji, agresywnie brzydkiego brzydota lat siedemdziesiątych budynku w Old Town w Alexandrii. Patrzyłem na trójkąt trawnika, sklep z antykami, Starbucksa i parę krzaków na pasie zieleni. Nierówny szereg krzewów prowadził do budynku łoży wolnomularskiej, jak gdyby zasadził je bohater książki Dana Browna, który zamiast e-mailem chciał przekazać wiadomość za pomocą architektury krajobrazu.

Mój wzrok wrócił do pudełka z FedExu i dokumentów na biurku.

Plik spiętych zszywką kartek był umową o najem schronu, czyli bezpiecznego domu w pobliżu Silver Spring w Marylandzie. Miałem wynegocjować obniżkę czynszu, przyjmując do tego celu fałszywą tożsamość.

Kolejnym dokumentem był nakaz zwolnienia człowieka, którego wczoraj szczęśliwie przekazałem dwóm poważnym mężczyznom w równie poważnych garniturach, urzędującym w biurach w Langley w

Wirginii. Podpisałem nakaz i odłożyłem do skrzynki papierów do wysłania.

Ostatniej kartki, którą czytałem, gdy zadzwonił Freddy, w ogóle nie zamierzałem przynosić do biura. Poprzedniego wieczoru odszukałem w domu grę planszową, której instrukcję chciałem przeczytać jeszcze raz, a gdy otworzyłem pudełko, znalazłem tę notatkę - starą listę rzeczy do zrobienia przed świątecznym przyjęciem, z nazwiskami gości, do których trzeba było zadzwonić, oraz spisem zakupów spożywczych i dekoracji do kupienia. Bezwiednie wsunąłem poźólką kartkę do kieszeni i odkryłem dziś rano. Przyjęcie odbyło się wiele lat temu. Było ostatnią rzeczą, o jakiej chciałem w tym momencie pamiętać.

Spojrzałem na odręczne wyblakłe pismo i wrzuciłem papier do niszczarki, która zmieniła go w konfetti.

Paczkę z FedExu umieściłem w sejfie za biurkiem - zupełnie zwykłym, bez skanerów oka, wyposażonym tylko w zamek szyfrowy. Wstałem i na białą koszulę narzuciłem marynarkę, którą zwykle noszę w biurze, nawet gdy pracuję w weekendy. Wyszedłem, skręciłem w lewo, gdzie znajdował się gabinet szefa, i ruszyłem w głąb długiego korytarza, wyłożonego szarą wykładziną, na którą padały prążki bladego światła słonecznego, sączącego się przez lustrzane kuloodporne okna. Nie myślałem już o cenach nieruchomości w Marylandzie ani paczkach z firmy kurierskiej, ani niepotrzebnych dowodach swojej przeszłości. Całą moją uwagę pochłaniał powrót Henry'ego Lovinga - człowieka, który przed sześcioma laty w parowie na skraju pola bawełny w Karolinie Północnej torturował i zamordował mojego mentora i bliskiego przyjaciela, Abe'a Fallowa. Przez włączony telefon słuchałem krzyków ofiary, a po siedmiu minutach padł zbawienny strzał, nie oddany wcale z litości, ale z konieczności profesjonalnego zakończenia zadania.

## Rozdział 2

Siedziałem na jednym z wytartych krzeseł w gabinecie naszego dyrektora, obok człowieka, który najwyraźniej mnie znał, bo kiedy wszedłem, z pewną poufalością skinął mi głową. Nie mogłem sobie jednak przypomnieć jego nazwiska, wiedziałem tylko, że jest prokuratorem federalnym. Niski mężczyzna, mniej więcej w moim wieku - czterdziestka - miał ziemistą cerę, obwisłe policzki i włosy, które wymagały przystrzyżenia. Oraz lisie oczy. Aaron Ellis dostrzegł moje spojrzenie.

- Pamiętasz Jasona Westerfielda. Z prokuratury federalnej.

Nie próbując udawać, że pamiętam, podałem mu rękę.

- Freddy streścił mi sprawę.

- Agent Fredericks? - spytał Westerfield.

- Zgadza się. Powiedział, że mamy obiekt w Fairfaksie i zbieracza, który musi zdobyć informacje w ciągu kilku najbliższych dni.

Westerfield mówił wysokim i irytująco żartobliwym głosem.

- Właśnie. Podobno. Na razie niewiele wiemy poza tym, że zbieracz dostał zielone światło. Ktoś potrzebuje informacji do poniedziałku wieczorem, bo inaczej rozpęta się piekło. Za cholerę nie wiadomo jednak, co to za pieprzone piekło. *Pardonnez-moi.*

Byłem ubrany jak prokurator gotowy do wejścia na salę rozpraw, natomiast Westerfield miał na sobie strój weekendowy. Nie na weekend w biurze, ale na kempingu: bawełniane spodnie, kraciatą koszulę i wiatrówkę. Niezwykły ubiór jak na Waszyngton, gdzie praca w soboty i niedziele nie należała do rzadkości. Wywnioskowałem, że może być kowbojem. Zauważyłem też, że siedzi wyprostowany na brzeżku krzesła i ściska akta grubymi, krótkimi palcami. Nie nerwowo - nie wyglądał na nerwowego faceta - ale z wyraźnym podnieceniem. W środku buzował metabolizm.

Za naszymi plecami odezwał się inny, kobiecy głos:

- Przepraszam za spóźnienie.

W gabinecie pojawiła się trzydziestoparoletnia kobieta. Szczególne skinienie głową powiedziało mi, że to asystentka Westerfielda. Jasne włosy do ramion, gładko uczesane. Nowe albo wyczyszczone chemicznie džinsy, biały sweter i beżowa sportowa kurtka oraz imponujący naszyjnik z kremowych pereł. Perłom w kolczykach towarzyszyły brylanty, które robiły równie duże wrażenie. Miała okulary w ciemnych oprawkach. Mimo młodego wieku nosiła trójogniskowe szkła, co poznałem po sposobie, w jaki powoli przechyliła głowę, rozglądając się po gabinecie i patrząc na mnie. Owczarek musi znać preferencje zakupowe obiektów - to bardzo pomaga je rozumieć - więc odruchowo zwróciłem uwagę na marki Chanel, Coach i Cartier. Bogata dziewczyna, zapewne należąca do najlepszych studentek prawa na Yale czy Princeton.

- To zastępca prokuratora federalnego Chris Teasley - przedstawił ją Westerfield.

Uścisnęła mi dłoń i przywitała Ellisa.

- Właśnie przedstawiam im sprawę Kesslerów. - Zwracając się do nas, Westerfield wyjaśnił: - Chris będzie nad nią pracować razem z nami.

- Poznajmy szczegóły - powiedziałem, zauważając, że Teasley roztacza wokół siebie dyskretną kwiatową woń. Otworzyła aktówkę z suchym trzaskiem zamków i podała szefowi teczkę. Kiedy przeglądał jej zawartość, spostrzegłem jakiś szkic na ścianie. Narożny gabinet Ellisa nie był duży, ale zdobiło go mnóstwo dzieł sztuki kupionych na ulicy, zdjęć rodzinnych i obrazków autorstwa jego dzieci. Zatrzymałem wzrok na całkiem niezłej akwareli przedstawiającej budynek na zboczu wzgórza.

Na ścianach mojego biura wisiały tylko spisy telefonów.

- Rzecz wygląda tak. - Westerfield odwrócił się do Ellisa i mnie. - Rano dostałem wiadomość z biura regionalnego FBI w Charlestonie w Wirginii Zachodniej. Krótko mówiąc, policja stanowa urządziła na tym zadupiu zasadzkę na handlarzy amfy i natknęła się na jakieś odciski palców na automacie telefonicznym. Okazało się, że to odciski Henry'ego Lovinga. Z nieznanego powodu nie anulowano nakazów obserwacji po jego śmierci. Właściwie rzekomej śmierci, jak wszystko na to wskazuje.

Zawiadomili naszych ludzi, zaczęli to drążyć i ustalili, że Loving tydzień temu przyleciał do Charlestonu pod jakimś fałszywym nazwiskiem. Nikt nie wie skąd. W końcu dzisiaj rano namierzili go w motelu w Winfield. Ale już się ulotnił - dwie godziny temu, około wpół do dziewiątej. Recepcjonista nie wie, dokąd wyjechał.

Na znak szefa Teasley podjęła wątek.

- Formalnie rzecz biorąc, nie cofnięto jeszcze nakazów inwigilacji, więc agenci sprawdzili e-maile w hotelu. Jeden odebrany i jeden wysłany: polecenie rozpoczęcia zadania i potwierdzenie odbioru wiadomości przez Lovinga.

- Co mógł robić w Wirginii Zachodniej? - zapytał Ellis.

Znałem Lovinga lepiej niż każda z osób w gabinecie. Powiedziałem:

- Zwykle pracuje ze współnikiem; być może miał kogoś odebrać. Albo broń. Nie mógł z nią lecieć. W każdym razie na pewno chciał ominąć lotniska w okolicy Waszyngtonu. Sporo ludzi stąd ciągle pamięta, jak on wygląda po... po tym, co się stało parę lat temu. Ustalono adres internetowy nadawcy? - spytałem.

- Wiadomość przesłano przez serwisy proxy. Nie do wykrycia.

- Dzwonił do kogoś z pokoju w motelu albo ktoś do niego?

- *Mais non.*

Francuskie wtrącenia były irytujące. Westerfield wrócił z wczasów czy wkuwał słówka przed sprawą, w której miał oskarżać algierskiego terrorystę?

- Jason, jak dokładnie brzmiało polecenie wysłane do Lovinga? - spytałem cierpliwie.

Skinął głową Chris Teasley, która wyręczyła go w odpowiedzi.

- Tak jak mówiłeś, to było po prostu zielone światło do rozpoczęcia zadania. Szczegóły musiały paść we wcześniejszych rozmowach.

- Proszę, mów dalej - zachęciłem ją.

Kobieta przeczytała:

- „Loving, ws. Kessler. Można zaczynać. Muszę znać szczegóły, zgodnie z naszymi ustaleniami, do północy w poniedziałek, w przeciwnym razie trzeba się liczyć z przykrymi konsekwencjami. Po uzyskaniu informacji źródło należy zlikwidować”. Koniec cytatu. Podał mu jeszcze adres w Fairfaksie.

Przykre konsekwencje... rozpęta się piekło.

- Nie ma audio?
- Nie.

Poczułem się zawiedziony. Analiza głosu może przynieść sporo szczegółów na temat rozmówcy: na ogół ujawnia jego płeć, narodowość i pochodzenie, choroby, można nawet dojść do pewnych wniosków morfologicznych związanych z kształtem ust i gardła. Niewątpliwym plusem był jednak fakt, że mieliśmy zapisane nazwisko obiektu.

- Kessler jest policjantem w Waszyngtonie. Detektyw Ryan Kessler - rzekł Westerfield.

- Co odpowiedział Loving?

- „Przyjąłem”. To wszystko.

- Dyspozytor chce znać „szegóły”... - Westerfield pokazał palcami cudzysłów - ...do północy w poniedziałek. Szegóły...

Poprosiłem o pokazanie wydruku. Na twarzy Teasley dostrzegłem wahanie, ale gdy Westerfield nie zareagował, podała mi kartkę. Przeczytałem krótki tekst.

- Gramatycznie, ortograficznie i interpunkcyjnie bez zarzutu. Skrót wyrażenia przyimkowego „w sprawie” poprawny. To rzadkość.

- Teasley zmarszczyła brwi. Nie tłumaczyłem, że powszechnie pisze się go w formie „w/s”. - Poprawne oddzielenie wtrącenia dwoma przecinkami, po słowie „szegóły” - dodałem.

Dawno temu uczyłem się językoznawstwa. Liznałem też trochę filologii.

Ellis rozluźnił szyję, przechylając głowę na boki. W college'u był zapaśnikiem, ale nie słyszałem, żeby teraz uprawiał jakiś sport. Mimo to budową ciała przypominał żelazny trójkąt.

- Wyjechał dziś o wpół do dziewiątej rano - powiedział. - Prawdopodobnie ma przy sobie broń, więc nie będzie leciał samolotem... i tak jak mówiłeś, Corte, nie chce ryzykować, że ktoś mógłby go tu zobaczyć na lotnisku. Nie może być dalej niż cztery godziny drogi stamtąd.

- Czym jeździ? - spytałem.

- Jeszcze nie wiadomo. FBI wysłało zespół, który ma znaleźć świadków w motelu i restauracjach w mieście.

- Ten Kessler... - odezwał się Ellis. - Co takiego wie, jakie informacje dyspozytor chce od niego wyciągnąć?

- Nie mamy pojęcia - odparł Westerfield.



- Kim on właściwie jest? - spytałem.
- Mam parę informacji - powiedziała Teasley.

Gdy młoda prawniczka szperała w teczce z dokumentami, zastanawiałem się, dlaczego Westerfield do nas przyszedł. Nazywa się nas ostatnią deską ratunku wśród ochroniarzy (tak w każdym razie mówi o nas Aaron Ellis na posiedzeniach budżetowych, co dla mnie brzmi nieco krępująco, ale chyba jest dobrze odbierane na Kapitolu). Wysokich urzędników krajowych i zagraniczne głowy państw chronią Biuro Bezpieczeństwa Dyplomatycznego w Departamencie Stanu i Secret Service. Program ochrony świadków daje nową tożsamość ludziom, którzy dokonali szlachetnych albo niechlubnych czynów, a potem wypuszcza ich w świat, natomiast my wkraczamy do akcji wtedy, gdy istnieje bezpośrednie i realne zagrożenie dla znanego obiektu. Określa się nas też oddziałem szybkiego reagowania ochronny osobistej.

Nie ma jednoznacznego kryterium, ale ze względu na ograniczone środki zwykle podejmujemy się zadania, gdy obiekt ma związek na przykład z bezpieczeństwem narodowym - jak szpieg, którego wczoraj przekazałem panom z CIA - albo zdrowiem publicznym, tak jak w wypadku sprawy sądowej w zeszłym roku, gdy ochranialiśmy człowieka, który ujawnił skażenie leków sprzedawanych bez recepty.

Ale odpowiedź stała się jasna, gdy Teasley podała nam życiorys policjanta.

- Detektyw Ryan Kessler, czterdzieści dwa lata. Żonaty, jedno dziecko. Pracuje w wydziale przestępstw finansowych, piętnaście lat służby, odznaczony... Mogliście o nim słyszeć.

Zerknąłem na szefa, który w imieniu nas obu przecząco pokręcił głową.

- To bohater. Kilka lat temu było o nim głośno w mediach. Pracował jako tajniak i przypadkiem stał się świadkiem napadu na bar w północno-zachodnim Waszyngtonie. Uratował klientów, ale dostał kulę. Mówiono o tym w wiadomościach, a jeden z programów o policji na Discovery Channel poświęcił mu odcinek.

Rzadko oglądam telewizję, ale rozumiałem już sytuację. Policjanta bohatera wziął na cel sam Henry Loving... Westerfield dostrzegł szansę, by samemu zostać bohaterem - kierując sprawą przeciwko dyspozytorowi, prawdopodobnie z powodu jakiegoś kantu, którym zajmował się Kessler. Nawet gdyby chodziło o nieistotną sprawę -

choć mogła być i gruba - wystarczyło, że ofiarą mógł być bohaterski funkcjonariusz stołecznej policji, by Westerfield się tym zainteresował. Nie miałem mu tego za złe; w Waszyngtonie liczy się nie tylko polityka publiczna, ale i osobista. Nie obchodziło mnie, czy sprawa posłuży jego karierze. Ważne było tylko to, by rodzina Kesslerów przeżyła.

Ważne też, że chodziło właśnie o tego zbieracza.

- *Alors* - powiedział Westerfield. - Wszystko jasne. Kessler wściął *nez* w cudze sprawy. Trzeba się dowiedzieć czyje, gdzie, kiedy i dlaczego.

- No więc najpierw szybko wsadźmy Kesslerów do pudła.

- Do pudła? - spytałem.

- Owszem - przytaknęła Teasley. - Myśleliśmy o zakładzie karnym Hansena w Waszyngtonie. Zrobiłam rozeznanie i dowiedziałam się, że Hansen właśnie skończył remont systemów alarmowych, przejrzałam też akta osobowe wszystkich strażników z otwartego skrzydła. To dobry wybór.

- *C'est vrai*.

- Zamykanie nie byłoby wskazane - powiedziałem.

- Tak? - zdziwił się Westerfield.

Wyjaśniłem, że choć areszt ochronny w odosobnionej części więzienia sprawdza się w niektórych sprawach, w tej akurat nie.

- Hm - odezwał się prokurator. - Myśleliśmy, że moglibyście umieścić razem z nimi swojego człowieka, *non*? To skuteczna metoda. Agent Fredericks i pan możecie go przesłuchać. Zdobędziecie cenne informacje, gwarantuję. W pudle świadkowie często przypominają sobie rzeczy, o których nie pamiętaliby w innej sytuacji. Są przeszcześliwi.

- Mam inne doświadczenia z podobnych okoliczności.

- Inne?

- Kiedy zapakujemy kogoś do aresztu, owszem, zbieracz z zewnątrz zwykle nie może się tam dostać. Jestem pewien... - skinałem głową Teasley, doceniając pilność, z jaką odrobiła zadanie - ...że personel został dokładnie prześwietlony. Nie miałbym nic przeciwko temu w wypadku każdego innego zbieracza. Ale mamy do czynienia z Henrym Lovingiem. Wiem, jak pracuje. Gdybyśmy zamknęli Kesslerów, znalazłby haka na któregoś ze strażników. Większość z nich to młodzi mężczyźni. Na miejscu Lovinga wybrałbym takiego, który ma

zonę w ciąży - najlepiej z pierwszym dzieckiem – i złożyłbym jej wizytę. - Teasley zdumiała się, słysząc mój rzeczowy ton. - Strażnik byłby gotów zrobić wszystko, czego Loving zażąda. A jeżeli rodzina zostanie zamknięta, nie będzie miała możliwości ucieczki. Kesslerowie wpadliby w pułapkę.

- Jak *petits lapins* - rzekł Westerfield, choć nie tak sarkastycznie, jak się spodziewałem. Zamyślił się nad moimi argumentami.

- Poza tym Kessler jest policjantem. Trudno byłoby go przekonać do tego rozwiązania. Może tam siedzieć kilka osób, które sam przytknął.

- No więc gdzie by ich pan umieścił? - spytał Westerfield.

- Jeszcze nie wiem - odparłem. - Trzeba się będzie zastanowić.

Westerfield też wpatrywał się w ścianę, lecz nie byłem pewien, na który obraz czy dyplom patrzy. Wreszcie zwrócił się do Teasley:

- Daj mu adres Kesslera.

Młoda kobieta zanotowała go znacznie czytelniejszym pismem niż szef. Kiedy podała mi kartkę, znów owionął mnie zapach perfum.

Wziąłem adres, dziękując im obojgu. Lubię rywalizację - w każdym sporcie - i nauczyłem się wygrywać z pokorą i wielkodusznością, przeszczepiając tę teorię do życia zawodowego. Oczywiście była to kwestia uprzejmości, ale odkryłem też, że jeśli umiesz zwyciężać, zyskujesz nieznaczną przewagę psychologiczną, gdy w przyszłości przyjdzie ci grać z tym samym przeciwnikiem.

Wstali.

- No dobrze - powiedział prokurator. - Zróbcie wszystko, żeby się dowiedzieć, kto wynajął Lovinga i dlaczego.

- To nasze priorytetowe zadanie - zapewniłem go, mimo że było inaczej.

- *Au revoir...* - Westerfield i Teasley ruszyli do drzwi. Po drodze Prokurator półgłosem przekazywał instrukcje swojej zastępczyni.

Też się podniosłem. Musiałem jeszcze wstąpić do domu i przed rozpoczęciem zadania wziąć parę rzeczy.

- Zgłoszę się, gdy będę na miejscu - powiedziałem do Ellisa.

- Corte?

Przystanąłem u drzwi i się odwróciłem.

- Tak będzie lepiej, prawda? Lepiej nie wysyłać Kesslerów do pułki. Wolalbyś ich zamknąć w schronie i tam działać? - Aaron Ellis mnie poparł - zawsze stał murem za swoją drużyną - i w tej sprawie

polegał na mojej wiedzy. Nie chodziło mu jednak o zapewnienia, że korzystniej pod względem taktycznym będzie nie stosować aresztu ochronnego.

W rzeczywistości pytanie postawione przez niego brzmiało inaczej: czy podjął właściwą decyzję, powierzając właśnie mnie zadanie ochrony obiektów przed Henrym Lovingiem? Krótko mówiąc, czy będę potrafił zachować obiektywizm wobec faktu, że sprawcą jest człowiek, który zamordował mojego mentora i najwyraźniej umknął przed pułapką, jaką kilka lat temu na niego zastawiłem?

- Schron będzie najskuteczniejszy - oznajmiłem Ellisowi i wyruszyłem z powrotem do biura, szukając w kieszeni klucza do szuflady biurka, gdzie trzymałem broń.

## Rozdział 3

**W**iele agencji rządowych, nazywając swoje wydziały i pracowników, posługuje się skrótami, natomiast w naszej, z niewiadomego powodu, na porządku dziennym są przydomki w rodzaju „cyngla” i „zbieracza”.

Funkcjonariuszy podstawowej ochrony nazywamy w organizacji „cieniami”, bo mają podążać krok w krok za swoimi obiektami. Personel wydziału wsparcia technicznego i łączności to „czarodzieje”. Mamy jeszcze „zamiataczy” - z sekcji taktyki i analiz obrony - którzy z odległości kilometra potrafią dostrzec snajpera i wykryć bombę ukrytą w telefonie komórkowym obiektu. Ludzi prowadzących obserwację nazywamy, co zrozumiale, „szpiegami”.

Moja komórka to wydział strategii ochrony, w którym jestem najwyższy rangą spośród ośmiu funkcjonariuszy wydziału. To my opracowujemy i realizujemy plan ochrony obiektów strzeżonych przez naszą organizację i ze względu na charakter zadań określa się nas mianem „owczarków”.

Jedyną jednostką, której pracownicy nie mają żadnego przydomku, jest wydział wsparcia informacyjnego, w mojej ocenie najważniejszy ze wszystkich. Owczarek nie może opracować planu ochrony osobistej bez dobrych informacji. Często uczę młodych funkcjonariuszy, że jeśli na początku porządnie przyłożą się do zebrania danych, potem być może będą rzadziej potrzebowali pomocy jednostek taktycznych.

Szczęśliwie moją protegowaną była osoba, którą uważałem za najlepszą w tym wydziale.

Zadzwoiłem do niej.

Po jednym dzwonku usłyszałem w słuchawce:

- DuBois.

Zadzwoiłem pod zastrzeżony numer jej komórki, więc przedstawiła się służbowo. Choć francuskie pochodzenie jej nazwiska sugerowałoby wymowę „di-bła”, jej rodzina zawsze przedstawiała się jako „du-bois”.

- Claire, jest coś nowego.
- Tak? - spytała z entuzjazmem.
- Loving żyje.

Przez chwilę oswajała się z tą wiadomością.

- Żyje? ... Nie wiem, jak to się mogło stać.
- Ale się stało.

- Zastanawiam się - powiedziała bardziej do siebie niż do mnie. - Samochód spłonął... Zidentyfikowano DNA. Pamiętam raport. Były w nim literówki, nie? - Choć Claire duBois mówiła głosem nastolatki, była starsza, lecz niewiele więcej. Krótkie ciemne włosy, nieco trójkątna twarz o delikatnej urodzie, figura prawdopodobnie bardzo ładna - byłem jej ciekaw jak każdy mężczyzna na moim miejscu - ale zwykle ukryta pod praktycznymi kostiumami ze spodniami, które wolałem od spódnic i sukienek. Oczywiście jeśli chodziło o względy praktyczne.

- Nieważne. Jesteś w mieście? Będziesz mi potrzebna.

- To znaczy, czy wyjechałam na weekend? Nie. Plany się zmieniły. Mam przyjechać do biura? - spytała swoim energicznym, monotonnym głosem. Wyobraziłem ją sobie przy śniadaniu w świetle wrześniowego poranka, padającym skośnie przez okno jej domu w Arlington w stanie Wirginia. Może miała na sobie dres, może seksowny szlafrok, ale ani jednego, ani drugiego nie potrafiłem sobie wyobrazić. Być może naprzeciw niej siedział młody mężczyzna z kilkudniowym zarostem, spoglądając na nią z zaciekawieniem znad płachty „Washington Post”. To też do mnie nie przemawiało.

- Wziął na cel człowieka z Fairfaksu. Szczegółów nie znam. Jest mało czasu.

- W porządku, tylko zorganizuję parę rzeczy. - Usłyszałem stukot klawiatury - potrafiła pisać z prędkością nieosiągalną dla żadnego innego człowieka na ziemi. Mówiła na wpuł do siebie: - Pani Glotsky obok... potem woda... Dobra, będę za dwadzieścia minut.

Podejrzałem, że duBois cierpi na lekkie zaburzenia uwagi, co zwykle obracało się jednak na moją korzyść.

- Będę w drodze z obiektami, ale zadzwonię i przekażę ci instrukcje.

Rozłączyliśmy się. Złożyłem zamówienie w wydziale transportu na nissana armadę i odebrałem wóz na parkingu podziemnym pod budynkiem. Wyjechałem na King Street, a potem skręciłem w sieć urokliwych wąskich uliczek w Old Town nad Potomakiem, po stronie Wirginii, niedaleko Waszyngtonu.

Samochód nie był ostentacyjnie czarny, ale jasnoszary, zakurzony i odrapany. Pojazdy odgrywają ważną rolę w ochronie osobistej, a nissan, tak jak cała nasza flota, został wyposażony w kuloodporne szyby, opancerzone drzwi, opony odporne na przebicie i bak izolowany pianką. Billy, nasz mechanik, obniżył środek ciężkości wozu, żeby łatwiej było skręcać, i założył na kratę chłodnicy coś, co nazwał „ochraniaczem na jaja”, by osłaniało silnik.

Zaparkowałem na drugiego i wbiegłem do czerwono-brązowego domu, wciąż czując zapach kawy, którą zaledwie przed godziną zaparzyłem w ekspresie na kapsułki. Pospiesznie spakowałem dużą torbę sportową. Tu, inaczej niż w biurze, na ścianach miałem mnóstwo pamiątek z przeszłości: dyplomów, świadectw ukończenia specjalistycznych kursów, referencji od byłych pracodawców i zadowolonych klientów, wśród których byli Departament Stanu, CIA, FBI i ATF, a także brytyjski MI5. Było tu również kilka zdjęć z dawnych lat, zrobionych w Wirginii, Ohio i Teksasie.

Nie wiedziałem, dlaczego właściwie wywiesiłem na ścianach te wszystkie ornamenty. Rzadko na nie patrzę i nie przyjmuję tu gości. Pamiętam tylko, jak kilka lat temu pomyślałem, że należałoby zrobić coś takiego, kiedy człowiek wprowadza się sam do dużego domu.

Przebrałem się w dżinsy, granatową kurtkę i czarne polo. Potem pozamykałem dom, włączyłem obydwie alarmy i wróciłem do samochodu. Pomknąłem w kierunku autostrady, wstukując numer do telefonu i wsuwając do ucha słuchawkę.

Pół godziny później byłem w domu obiektów.

Fairfax w Wirginii jest ładnym przedmieściem, gdzie można znaleźć bardzo różne domy, od trzypokojowych bungalów i segmentów po okazałe rezydencje na czterohektarowych posiadłościach, otoczone zdemilitaryzowaną strefą drzew, która oddziela posesje od sąsiadów. Dom Kesslerów, nienależący do żadnej z tych skrajnych kategorii, stał na półhektarowej działce, w połowie łysej, w połowie porośniętej drzewami, których liście traciły żywe barwy lata, nieuchronnie żółknąc - drzewami, które moim zdaniem mogłyby stanowić doskonałą

osłonę dla snajpera ubezpieczającego Henry'ego Lovinga.

Zawróciłem, zaparkowałem nissana na podjeździe i wysiadłem. Nie znałem osobiście agentów FBI po drugiej stronie ulicy, ale widziałem ich na zdjęciach przesłanych mi przez asystentkę Freddy'ego. Zbliżyłem się do ich samochodu. Też zapewne znali mój rysopis, ale nie unosiłem rąk, dopóki nie zobaczyli, kim jestem. Mignęliśmy sobie legitymacjami.

- Odkąd tu stoimy, nikt nie zatrzymywał się przed domem.

Wsunąłem portfel do kieszeni.

- Jakież tablice rejestracyjne spoza stanu?

- Nie widzieliśmy żadnych.

Odpowiedź nie oznaczała tego samego co „nie”. Jeden z agentów wskazał na przebiegającą niedaleko szeroką czteropasmową drogę.

- Zauważyliśmy tam parę dużych samochodów terenowych. Kierowcy zwolnili, popatrzyli w naszą stronę i pojechali dalej.

- Na północ? - spytałem.

- Tak.

- Kawalek dalej jest szkoła. Dzisiaj jest turniej piłki nożnej. To dopiero początek sezonu, więc to pewnie rodzice, którzy jeszcze nie byli na boisku i zastanawiali się, gdzie skręcić.

Obaj wydawali się zaskoczeni faktem, że o tym wiem. Dostałem tę informację w drodze od Claire duBois. Spytałem ją o imprezy organizowane w okolicy.

- Ale natychmiast dajcie mi znać, gdybyście ich znowu zobaczyli.

W głębi ulicy ujrzałem właścicieli domów koszących ostatnią trawę albo grabiących pierwsze opadłe liście. Mimo ciepłego dnia powietrze było rześkie. Dwa razy zlustrowałem teren. Niektórzy uważają, że mam paranoję. I pewnie mam. Ale moim przeciwnikiem był Henry Loving, mistrz niewidzialności... oczywiście do ostatniej chwili, w której stawał się aż znanym. Znowu pomyślałem o Rhode Island, gdzie przed dwoma laty zmaterializował się nagle, wyłaniając się uzbrojony z samochodu, w którym po prostu nie miał prawa być.

Tyle że był.

Zarzucając sobie wyżej torbę na ramię, wróciłem do nissana i spostrzegłem swoje odbicie w szybie. Uznałem, że skoro Ryan Kessler jest detektywem policji, aby zdobyć jego zaufanie, powinienem



wyglądać bardziej jak glina tajniak niż ponury agent federalny, którym w zasadzie jestem. Weekendowy strój, starannie przystrzyżone, przeredzone ciemne włosy i niezbyt mocno zarysowany podbródek nadawały mi wygląd jednego z kilkudziesięciu ojców-biznesmenów po czterdziestce, z zapalem dopingujących synów czy córki na meczu piłki nożnej, który właśnie rozgrywano na tej samej ulicy.

Zadzwoiłem ze swojej „zimnej” komórki.

- To ty? - spytał Freddy.

- Jestem na miejscu, przed domem Kesslera.

- Widziałeś moich ludzi?

- Tak. Są niezli i widoczni jak na dłoni.

- A co mają robić, chować się za krasnalami na trawniku? Synu, to przedmieścia.

- To nie jest krytyka. Jeżeli Loving ma na miejscu swoją wtyczkę, chcę, żeby wiedział, że już dostaliśmy cynk o nim.

- Myślisz, że ktoś już tam jest?

- Niewykluczone. Ale nikt nie wykona żadnego ruchu, dopóki nie zjawi się Loving. Wiadomo coś więcej o tym, gdzie jest albo kiedy przyjedzie?

- Nic.

Gdzie teraz jest, zastanawiałem się, wyobrażając sobie autostradę z Wirginii Zachodniej. W Luray mieliśmy swój schron, bardzo dobry. Ciekawe, czy właśnie przejeżdża obok niego.

- Zaczekaj chwilę, właśnie coś dostałem... - powiedział Freddy. - Zabawne, że o to pytasz, Corte. Mam parę szczegółów od zespołu z motelu. No więc jeździ jasnym sedanem. Nikt nie pamięta marki, modelu ani rocznika.

Henry Loving umie pobudzać gen amnezji. Ale trzeba też przyznać, że większość ludzi jest po prostu wyjątkowo mało spostrzegawcza.

- Dojedzie na miejsce za co najmniej trzy godziny - ciągnął Freddy. - Będzie też musiał poświęcić trochę czasu na zorganizowanie akcji, zanim dotrze do domu Kesslerów.

- Może ktoś z policji stanowej ma wobec ciebie dług wdzięczności? - zapytałem.

- Nie, ale jestem takim uroczym facetem, że zrobią, o co tylko poproszę.

Nonszalanca Freddy'ego trochę mi działała na nerwy, lecz jeśli dzięki temu łatwiej mu przeżyć dzień w tej trudnej robocie...

- Możesz przesłać jego zdjęcie do stanowej? Niech je rozesłają z pomarańczowym kodem do wszystkich radiowozów stąd aż do Wirginii Zachodniej. - Funkcjonariusze patroli dostaliby komunikat do swoich komputerów, by wypatrywali jasnego samochodu z kierowcą odpowiadającym rysopisem Lovingowi.

Kod pomarańczowy oznaczał, że jest niebezpieczny.

- Zrobię to, ale wiem, że jesteś geniuszem matematycznym, Corte.

- Co z tego?

- Podziel milion samochodów przez czterdziestu policjantów. Ile ci wyjdzie?

- Dzięki, Freddy.

Rozłączyliśmy się, a potem zadzwoniłem do Ryana Kesslera.

- Halo?

Przedstawiłem się i poinformowałem go o swoim przyjeździe. Zapowiedziałem, że za chwilę zapukam do jego drzwi. Chciałem, żeby zadzwonił do Freddy'ego i sprawdził, czy rysopis się zgadza. Chodziło mi nie tylko o względy bezpieczeństwa, ale także o to, by wywołać w nim paranoję. Wiedziałem, że Kessler jako gliniarz - i to odznaczony gliniarz - będzie opornym obiektem, więc chciałem mu uprzytomnić realność zagrożenia.

Cisza.

- Jest pan tam, detektywie Kessler?

- Wie pan... mówiłem agentowi Fredericksowi i tym ludziom przed domem... Widzę też pana, agencie Corte. Mówiłem im, że to niepotrzebne.

- Mimo wszystko chciałbym z panem porozmawiać. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.

Nawet nie próbował ukrywać irytacji.

- To naprawdę strata czasu.

- Byłbym bardzo wdzięczny - dodałem uprzejmie. Zwykle bywam uprzedzająco grzeczny - sztywny, jak twierdzą niektórzy. Ale spokój i rzeczowość skuteczniej skłaniają ludzi do współpracy niż wrzaski, które zresztą nie wychodzą mi najlepiej.

- No dobrze, zgoda. Zadzwonię do agenta Fredericksa.

Zapytałem go jeszcze, czy jest uzbrojony.

- Tak. To jakiś problem? - Zgryźliwy ton.

- Nie - odparłem. - Żaden.

Wolałbym, żeby nie był, ale jako funkcjonariusz policji miał prawo, a próby przekonania gliniarza, by oddał broń, z reguły nie miały sensu.

Dając mu czas na telefon do Freddy'ego, obejrzałem dom.

Prawie wszystkie domy jednorodzinne są nie do obrony.

Widoczność, nieszczelna, nieodporna na ogień konstrukcja. Są bezradne wobec czujników termicznych i mają niewiele wyjść ewakuacyjnych. O osłonie taktycznej lepiej nie mówić. Prąd może odciąć jeden pocisk. Reklamowany z dumą pięciominutowy czas reakcji centrum monitoringu na sygnał alarmu dla zbieracza oznacza po prostu tyle, że ma odpowiednio długą chwilę, by spokojnie kogoś porwać. Nie mówiąc już o tym, że trop w dokumentach własności domu, ewidencji rejestracyjnej samochodów i papierach finansowych błyskawicznie zaprowadzi sprawcę do drzwi nawet największego samotnika.

Oczywiście obiekty zawsze wolą zostać w domowych pieleszach, ale jak najszybciej zabieram je z przytulnego gniazodka.

Widząc dom Ryana Kesslera, postanowiłem natychmiast wyciągnąć go wraz z rodziną z tego piętrowego budynku w stylu kolonialnym.

Podszedłem do drzwi wejściowych, zaglądając w okna. Otworzył mi Kessler: wiedziałem, jak wygląda, z akt personalnych i materiałów zdobytych na własną rękę. Zerknąłem ponad jego ramieniem na pusty parter i wyciągnąłem dłoń zza pleców.

Detektyw oderwał dłoń od kabury na biodrze.

Przedstawiłem się. Podałem mu rękę. Pokazałem legitymację ze zdjęciem, nazwiskiem i godłem federalnym - orłem jak na emblematie Departamentu Sprawiedliwości, ale innego rodzaju. Nie ma żadnych konkretnych danych o naszej organizacji. W legitymacji figuruję jedynie jako „Funkcjonariusz służb Stanów Zjednoczonych”.

Rzucił na nią okiem, nie zadając pytań, które ja bym na pewno zadał.

- Dzwonił pan do agenta Fredericksa, żeby mnie sprawdzić?

- Nie. - Może sądził, że intuicja gliny pomoże mu zweryfikować moją wiarygodność. Może takie posunięcie nie pasowało do stylu macho.

Ryan Kessler był mocno zbudowanym, barczystym mężczyzną o ciemnych włosach, wyglądającym na więcej lat, niż miał. Kiedy pochylił głowę - musiał, ponieważ byłem niższy i stałem schodek niżej - zobaczyłem podwójny podbródek. Nad szerokimi udami i biodrami rysował się okrągły brzuch. Kessler miał smoliste, skupione oczy. Trudno było sobie wyobrazić uśmiech na jego twarzy, tak samo jak na mojej. Przypuszczałem, że świetnie prowadzi przesłuchania.

- Agencie Corte...
- Wystarczy tylko Corte.
- Samo nazwisko? Jak gwiazda rocka.

Na mojej legitymacji figurują dwa inicjały, ale nigdy ich nie używam, poprzestając na samym „Corte”. Kessler, jak wiele osób, uznał to zapewne za pretensjonalne. Nie tłumaczyłem mu, że wynika to po prostu z przemyślanej strategii; w moim fachu panuje zasada, by ujawniać ludziom - dobrym, złym czy neutralnym - jak najmniej informacji o sobie. Im więcej osób coś o tobie wie, tym większe grozi ci niebezpieczeństwo i tym mniej skutecznie możesz chronić obiekty.

- Agent Fredericks już tu jedzie - powiedziałem mu.

Westchnienie.

- To jakieś wielkie nieporozumienie. Wzięliście mnie za kogoś innego. Nie znam nikogo, kto chciałby mi grozić. Nie depczę po piętach J-Eights.

Najgroźniejszemu latynoskiemu gangowi w Fairfaksie.

- Mimo to chciałbym wejść, jeżeli wolno.
- Czyli co, pan jest z ochrony?
- Tak jest.

Obrzucił mnie taksującym spojrzeniem. Mam niecałe metr osiemdziesiąt wzrostu i wagę około siedemdziesięciu pięciu kilo, plus minus dwa, w zależności od charakteru zadania i rodzaju kanapek miesiąca, jakie wybieram w barze. Nigdy nie byłem w wojsku; nie uczestniczyłem w kursach FBI w Quantico. Znam podstawy samoobrony, ale nie mam pojęcia o wyrafinowanych sztukach walki. Nie mam tatuaży. Dość dużo czasu spędzam na powietrzu, biegając i wędrując, ale maraton i kulturystyka nie są dla mnie. Zdarza się, że robię pompki i brzuszki pod wpływem zapewne błędnej zasady, że ćwiczenia fizyczne poprawiają krążenie i pozwalają mi bez wyrzutów sumienia zamawiać kanapki z serem. Tak się składa, że całkiem nieźle strzelam i miałem przy sobie glocka 23 - czterdziestkę - w noszonej

w spodniach wewnętrznej kaburze Galco Royal Guard, oraz teleskopową pałkę Monadnock. Ryan Kessler jednak o tym nie wiedział, zresztą uznałby pewnie taki ekwipunek za nieco skromny.

- Nawet oni. - Skierował wzrok w stronę samochodu FBI po drugiej stronie ulicy. - Denerwują tylko moją żonę i córkę. Poza tym nie sądzi pan, że są trochę za bardzo widoczni?

Zabawne, że zauważyliśmy to samo.

- Są. Ale mają przede wszystkim działać odstrasżająco.

- Naprawdę mi przykro, że niepotrzebnie tracicie czas. Omówiłem już to ze swoim szefem.

- Z komendantem Lewisem. Też z nim rozmawiałem w drodze do pana.

Ronald Lewis służył w departamencie policji stołecznej w Waszyngtonie. Przysadzisty, o szerokiej twarzy i ciemnobrązowej skórze. Lubiał nazywać rzeczy po imieniu. Nie znałem go osobiście, ale słyszałem, że udało mu się przywrócić spokój w niebezpiecznych dzielnicach miasta, które należało do najniebezpieczniejszych w kraju. Wysoko awansował w departamencie policji, zaczynając od służby patrolowej na Południowym Wschodzie i podobnie jak Ryan Kessler, w pewnym sensie uchodził za bohatera.

Ryan zawahał się, zdając sobie sprawę, że dobrze się przygotowałem.

- Wobec tego powiedział panu, że nie zna żadnego powodu, dla którego miałbym być celem. Muszę teraz pana pożegnać. Przykro mi, że stracił pan z mego powodu czas.

- Panie Kessler, czy zechce pan coś dla mnie zrobić? - spytałem. - Proszę pozwolić mi wejść i wyjaśnić kilka rzeczy. Dziesięć minut. - Byłem uprzejmy, nie zdradzając żadnego rozdrażnienia. Nie powiedziałem nic więcej, nie przedstawiłem powodów - trudno wygrać spór, jeśli toczy się go w otwartych drzwiach, które przeciwnik w każdej chwili może ci zamknąć przed nosem. Spoglądałem na niego wyczekująco, cały czas patrząc mu prosto w oczy.

Znów westchnął. Przeciągle.

- No dobrze. Niech pan wejdzie. Pięć minut. - Odwrócił się i lekko utykając, poprowadził mnie w głąb porządnego podmiejskiego domu, pachnącego kawą i cytrynowym środkiem do nablyszczania mebli. Ze swoich obserwacji nie potrafiłem wyciągnąć zbyt wielu wniosków na

temat gospodarza i jego rodziny, ale najbardziej rzucała się w oczy wisząca w pokoju oprawiona w ramki poźółłka pierwsza strona „Washington Post” z tytułem „Bohaterski policjant ratuje dwie osoby podczas napadu”.

Artykułowi towarzyszyła fotografia młodszego Ryana Kesslera.

Gdy jechałem do niego, Claire duBois, niezawodna jak szwajcarski zegarek, wypełniając swoje pierwsze zadanie, nakreśliła mi sylwetkę Ryana. Przekazała mi także szczegóły dotyczące akcji ratunkowej policjanta. Jakiś gówniarz napadł na bar w Waszyngtonie, wpadł w panikę i zaczął strzelać. Ryan był w drodze na spotkanie z informatorem i przypadkowo znalazł się w alejce za budynkiem. Usłyszał strzały, wyciągnął broń i wpadł tylnymi drzwiami do lokalu. Nie zdążył ocalić małżeństwa - właściciele baru - ale uratował klientów. Zanim sprawca uciekł, postrzelił go w nogę.

Historia miała zaskakujący ciąg dalszy. Uratowana przez niego klientka pozostała z nim w kontakcie. Zaczęli ze sobą chodzić, a dziś ta kobieta, Joanne, była jego żoną. Kessler miał córkę z pierwszego małżeństwa - jej matka zmarła na raka jajnika, gdy dziewczynka miała sześć lat.

Opowiedziawszy mi jego biografię, duBois zauważyła:

- Bardzo romantyczna historia. Ocalił jej życie jak rycerz w lśniącej zbroi.

Rzadko czytam beletrystykę, ale lubię historię, w tym średniowiecze. Mógłbym ją zapewnić, że rycerska zbroja była najgorszym systemem obronnym, jaki kiedykolwiek powstał: elegancko wyglądała, lecz żołnierz był w niej znacznie bardziej bezbronny, niż gdyby miał kolczugę, hełm i zwykłą tarczę albo w ogóle nic.

Pomyślałem też sobie, że postrzał w nogę to raczej mało romantyczny sposób na znalezienie małżonki.

Kiedy szliśmy przez zagracony pokój dzienny, Ryan powiedział:

- Jest taka ładna sobota. Nie wolałby pan iść gdzieś z żoną i dziećmi?

- Prawdę mówiąc, jestem sam. I nie mam dzieci.

Ryan przez chwilę milczał. Dobrze znałem tę reakcję. Spotykam ją u mieszkańców przedmieść w pewnym wieku, kiedy się dowiadują, że rozmawiają z bezdzietnym, czterdziestoletnim kawalerem.

- Wejdzmy tu. - Znaleźliśmy się w kuchni i do poprzednich woni

dołączyły nowe: zapachy sutego weekendowego śniadania, posiłku, który niezbyt lubię. Pomieszczenie było zagracone, w zlewie piętrzył się stos równo ustawionych talerzy. Na oparciach białych krzesel kolonialnych stojących wokół jasnego stołu wisiały kurtki i bluzy dresowe. Pod ścianą leżały torby, cztery razy więcej z Safewaya niż z Whole Foods. Poza tym podręczniki szkolne, buty do biegania, pudełka z płytami CD i DVD. Przesyłki reklamowe i czasopisma.

- Kawy? - zapytał Ryan, bo sam miał ochotę się napić. Nie chciał wyjść na gbura, tylko mnie zniechęcić.

- Nie, dziękuję.

Nalał sobie, a ja podszedłem do okna i spojrzałem na ogród za domem, który nie różnił się od dziesiątka tysięcy ogrodów w okolicy. Przyjrzałem się oknom i drzwiom.

Widząc moje badawcze spojrzenie, Ryan z lubością pociągnął łyk kawy.

- Naprawdę, agencie Corte, nikt nie musi mnie pilnować.

- Prawdę mówiąc, chcę zabrać pana i pańską rodzinę do bezpiecznego domu, dopóki nie znajdziemy ludzi, którzy za tym stoją.

- Mamy się wyprowadzić? - prychnął kpiąco.

- To kwestia najwyżej kilku dni.

Usłyszałem jakieś odgłosy dobiegające z góry, ale na dole nie widziałem nikogo więcej. Claire duBois przekazała mi też informacje o rodzinie Ryana. Trzydziestodziewięcioletnia Joanne Kessler przez osiem czy dziewięć lat pracowała jako statystyk, a potem, kiedy poznała owdowiałego Ryana i wyszła za niego, zrezygnowała z pracy, by stać się pełnoetatową matką dla dziesięcioletniej wówczas pasierbicy.

Córka Kesslera, Amanda, chodziła do trzeciej klasy szkoły średniej.

- Ma dobre stopnie i chodzi na kursy na poziomie college'u z trzech przedmiotów - powiedziała duBois. - Historii, angielskiego i francuskiego. Redaguje szkolny rocznik. Często pracuje jako wolontariuszka.

Ciekawe, czy z powodu śmierci matki wybierała szpitale i organizacje działające na rzecz ochrony zdrowia.

- I gra w koszykówkę - ciągnęła duBois. - Tak jak ja. Pewnie trudno sobie to wyobrazić. Ale wcale nie trzeba być dryblasem. Naprawdę. Chodzi o to, żeby chcieć skakać. Jak najwyżej.

- Niech pan posłucha - odezwał się Ryan. - Jestem tylko gliną pracującym nad rutynowymi sprawami. Nie zajmuję się zabójstwami, nie ścigam terrorystów, mafii, żadnych konspiratorów. - Pociągnął kolejny łyk kawy, ukradkiem zerknął na drzwi, dorzucił jeszcze dwie kostki cukru i szybko zamieszał. - Agent Fredericks mówił, że ten człowiek potrzebuje jakichś informacji do północy w poniedziałek, zgadza się? Nie pracuję nad żadną sprawą, w której wchodziłby w grę taki termin. Właściwie mam teraz zastój. Przez ostatni tydzień prawie cały czas odwalalem papierkową robotę. Budżet. To wszystko. Gdybym sądził, że coś się za tym kryje, dałbym wam znać. Ale nic takiego nie ma. To zwykła pomyłka - powtórzył.

- W zeszłym roku kogoś chronilem. - Nie poprosił mnie, żebym usiadł, ale i tak przycupnałem na obrotowym taborecie. Ryan stał. - Przez pięć dni bawiłem się w kotka i myszkę z cynglem - zawodowym zabójcą - który dostał na niego zlecenie. To była fatalna pomyłka. Cyngiel dostał niewłaściwe nazwisko. Ale i tak zabiłby mój obiekt. W pana wypadku nie chodzi o cyngla tylko o zbieracza. Słyszał pan kiedyś to określenie?

- Chyba tak. To specjalista od przesłuchań, tak? Profesjonalista. Mniej więcej. Skinałem głową.

- Z cynglem jest inna sprawa. Wszystko jedno, czy to pomyłka czy nie, niebezpieczeństwo grozi tylko panu. Ale zbieracz... może zaatakować każdego członka rodziny, zrobi wszystko, żeby mieć na pana haka i wymusić od pana to, czego chce. Zanim się zorientuje, że to pomyłka, kogoś z pana bliskich może spotkać krzywda. Albo coś gorszego.

Zastanowił się nad moimi słowami.

- Kto to jest?

- Nazywa się Henry Loving.

- Były żołnierz? Z jednostki specjalnej?

- Nie, cywil.

- Gangster? Przystępczość zorganizowana?

- O niczym takim nie wiemy.

Właściwie niewiele wiedzieliśmy o Henrym Lovingu poza tym, że urodził się w północnej Wirginii, opuścił dom przed dwudziestym rokiem życia i prawie nie utrzymywał kontaktów z większością członków swojej rodziny. W szkołach zaginęły jego arkusze ocen. Kiedy ostatni raz został aresztowany, skazano go na poprawczak.



Tydzień po jego zwolnieniu sędzia, który wydał wyrok w sprawie, z nieznanych przyczyn opuścił urząd i wyjechał z miasta. Być może to był zbieg okoliczności. Ja w każdym razie sądziłem, że nie. W tym samym czasie zniknęły akta Lovinga z sądu i policji. Włożył wiele wysiłku w to, by ukryć swoje korzenie i chronić anonimowość.

Znów wyjrzałem przez okno. Po krótkiej, konspiracyjnej chwili milczenia, zerkając w stronę nadal pustego korytarza, dodałem jeszcze ciszej :

- Muszę jednak powiedzieć panu coś jeszcze. Czy to może zostać między nami?

Zacisnął palce na kubku kawy, która chyba przestała mu już smakować.

- Henry'emu Lovingowi udało się porwać co najmniej kilkanaście osób, żeby je przesłuchać - ciągnąłem. - W każdym razie o tyłu wiemy. Jest też odpowiedzialny za śmierć kilku przypadkowych świadków. Zabił albo ciężko zranił agentów federalnych i policjantów.

Ryan lekko się skrzywił.

- Próbowałem... nasza organizacja i FBI od kilku lat próbują go zatrzymać. No więc tak, przyznaję, jesteśmy tu po to, żeby chronić pana i pańską rodzinę. Ale pan spadł nam z nieba, detektywie. Jest pan odznaczonym policjantem, zna się pan na akcjach taktycznych, umie się pan posługiwać bronią.

- No, kilka lat minęło.

- Tych umiejętności nie zapomina się tak łatwo. Nie sądzi pan? To tak jak z jazdą na rowerze.

Skromnie spuścił wzrok.

- Rzeczywiście, co tydzień jestem na strzelnicy.

- Sam pan widzi. - Dostrzegłem coś nowego w jego ciemnych oczach. Jakiś błysk. - Proszę pana o pomoc w ujęciu tego człowieka. Ale nie możemy tego zrobić tutaj. Nie w tym domu. To zbyt niebezpieczne dla pana i pańskiej rodziny, zbyt niebezpieczne dla sąsiadów.

Klepnął dłonią w rewolwer.

- Naładowany glaserami.

Bezpiecznymi pociskami, które potrafią zabić, ale nie przebiją płyty kartonowo-gipsowej ani nie zranią przypadkowych osób. Tak zwana amunicja podmiejska.

- Ale Loving będzie miał inne. Zjawi się tu z bronią załadowaną M4 albo MP-5. Dojdzie do masakry. Zginą niewinni ludzie.

Myślał o wszystkim, co powiedziałem. Jego wzrok spoczął na brudnych naczyniach, jak gdyby Ryan zobaczył je po raz pierwszy.

- Co pan proponuje?

- Pan, jakiś drugi funkcjonariusz i ja będziemy zespołem ochrony. Zabierzemy pana i pańską rodzinę do bezpiecznego domu, który da nam przewagę nad Lovingiem. Moi ludzie i FBI spróbują go zdjąć na ulicy albo w jego kryjówce, jeżeli zdołają go znaleźć. Ale jeżeli się wymknie, a to niewykлучzone, będzie mi pan potrzebny. Mam na myśli bezpieczny dom, który świetnie się nada do tego celu. - Mówiłem bardzo cicho, dając mu do zrozumienia, że moja prośba ma nieoficjalny charakter.

- Wydaje się, jakby już miał pan do czynienia z tym człowiekiem. Zawahałem się.

- Owszem, miałem.

Gdy rozważał moją propozycję, z korytarza dobiegł kobiecy głos:

- Ry, ci faceci ciągle tam są. Mam już tego...

Zjawiała się w drzwiach i stanęła jak wryta. Spojrzała na mnie, przymrużywszy brązowe oczy. Natychmiast poznałem twarz ze zdjęć, które przesłała mi duBois. Joanne Kessler w butach do biegania, dżinsach i ciemnym swetrze zapinanym na suwak, pozaciągany tu i ówdzie. Miała regularną, choć niezbyt urodziwą czy egzotyczną twarz. Zmarszczki od słońca i opalenizna powiedziały mi, że dużo czasu spędza na powietrzu, zapewne uprawiając ogród, o czym świadczyły krótkie paznokcie, w tym dwa złamane. Nie wyglądała na wysportowaną, mimo że w przeciwieństwie do męża była szczupłą. Kręcone, długie ciemnoblonde włosy miała związane w koński ogon. Nosila okulary w eleganckich oprawkach, ale z grubymi szklami, przypominającymi o jej dawnym zawodzie. Jeżeli ktoś wyglądał na statystyka z Departamentu Transportu, to na pewno Joanne Kessler.

Na mój widok na jej twarzy odmalowało się chwilowe zaskoczenie - najprawdopodobniej nie słyszała, jak wszedłem - lecz zaraz zupełnie zobojętniała. Nie skamieniała ze złości czy oburzenia. Pewnie była mołem książkowym, sparaliżowanym przez nieoczekiwane zdarzenia.

- To jest agent Corte. Pracuje w Departamencie Sprawiedliwości. Jest ochroniarzem.

Nie chciałem poprawiać Ryana, podając nazwę swojego stanowiska i pracodawcy. Ucisnąłem wiotką dłoń Joanne i uśmiechnąłem się

zdawkowo. Jej oczy wciąż były pozbawione wyrazu.

- Pani Kessler...

- Joanne.

- Zna pani sytuację?

- Ry mówił mi, że zaszło jakieś nieporozumienie. Ktoś sądzi, że coś mu grozi.

Zerknąłem na Ryana, który w odpowiedzi lekko przechylił głowę. Z niezmałym spokojem wyjaśniłem jej:

- Owszem, być może to nieporozumienie, ale nie ma wątpliwości, że wynajęto pewnego człowieka, żeby wyciągnął z pani męża jakieś informacje.

Struchlała i szepnęła:

- Myśli pan, że naprawdę możemy być w niebezpieczeństwie?

- Tak. - Opowiedziałem o zbieraczach i Henrym Lovingu. - Na własny rachunek prowadzi przesłuchania - podsumowałem.

- Ale nie chce pan chyba powiedzieć, że torturuje ludzi czy coś w tym rodzaju, prawda? - spytała cicho Joanne, spoglądając na męża dziwnie pustym wzrokiem.

- Właśnie to chcę powiedzieć - odrzekłem.

## Rozdział 4

Niektórzy zbieracze dają łapówki, inni grożą, jeszcze inni szantażują ujawnieniem kompromitujących faktów - tłumaczyłem. - Ale człowiek, który chce przesłuchać Ryana, rzeczywiście specjalizuje się w wydobywaniu informacji metodą fizyczną.

- „Metodą fizyczną” - mruknęła Joanne. - „Specjalizuje się”. Mówi pan o nim jak o prawniku czy lekarzu.

Milczałem. W mojej branży trzeba chwycić się wszystkiego, co może pomóc w wykonaniu zadania. To mi przypomina moje ulubione gry - wyłącznie gry planszowe. Lubię widzieć przeciwnika. Dużo się dowiaduję, zwracając uwagę na mowę ciała, sposób mówienia, kontakt wzrokowy, strój. Nawet na tempo oddechu. Musiałem przekonać Kesslerów, że naprawdę mnie potrzebują. Podjąłem decyzję na podstawie tego, co właśnie zauważyłem. Mówiłem do obojga, ale zwracałem się przede wszystkim do żony, rozwijając to, o czym przedtem wspomniałem Ryanowi.

- Loving stosuje tradycyjne techniki - powiedziałem spokojnie. - Zwykle traktuje wrażliwe części ciała papierem ściernym i alkoholem. Brzmi to może niezbyt groźnie, ale naprawdę skutecznie działa.

Starałem się nie myśleć o zdjęciach zwłok mojego mentora, Abe'a Fallowa. Nie bardzo mi się udało.

- O, Boże - szepnęła Joanne, unosząc dłoń do wąskich ust.

- Podstawową taktyką zbieracza jest zdobycie haka, czyli przewagi nad ofiarą. Kiedy raz chroniłem przed nim kogoś, Loving zamierzał włamać się do domu i torturować dziecko na oczach ojca, z którego chciał wyciągnąć informacje.

- Nie - wykrztusiła Joanne. - Przecież... Amanda. Mamy córkę. To - Jej wzrok błędził po różnych częściach kuchni, by zatrzymać się na

zlewie pełnym brudnych naczyń. Niemal podbiegła do niego, chwyciła żółte rękawice kuchenne, nałożyła je i mocno odkręciła ciepłą wodę. Często widziałem, jak obiekt skupiał się - czasem obsesyjnie - na drobiazgach. Na rzeczach, nad którymi mógł mieć kontrolę.

- Powinniśmy zrobić to, co radzi agent Corte - odezwał się Ryan. - Na jakiś czas opuścić dom.

- Mamy wyjechać?

- Zgadza się - przytaknąłem. - Na wszelki wypadek.

- Teraz?

- Tak. Jak najszybciej.

- Ale dokąd? Do hotelu? Do kogoś ze znajomych... Przecież nie jesteśmy spakowani. Mamy zaraz jechać?

- Będą państwo potrzebowali tylko paru rzeczy. Pojadą państwo do jednego z naszych bezpiecznych domów. To niedaleko. Bardzo ładne miejsce. - Nie podałem żadnych szczegółów lokalizacji. Nigdy nie podaję. Nie zawiązuję ludziom oczu, zawożąc ich do schronów i zapewne potrafiliby się domyślić, gdzie mniej więcej się znajdują, ale nigdy nikomu nie podaję adresu. - Gdyby więc mogli państwo spakować...

- Amanda - przerwała mi Joanne i być może zapominając, że już o tym mówiła, powiedziała: - Mamy córkę. Szesnastoletnią. Ry! Gdzie ona jest? Wróciła już ze szkoły?

U wielu obiektów obserwowałem objawy nadpobudliwości, jak gdyby ludzie zaczęli nagle cierpieć na ADHD, i nie potrafili skupić rozbieganych myśli. Z początku przypuszczałem, iż Joanne zapomniała, że jest sobotnie przedpołudnie, ale okazało się, że dziewczyna chodzi na kurs komputerowy w pobliskim college'u, żeby zdobyć dodatkowe punkty w szkole.

- Pół godziny temu słyszałem, jak wróciła - powiedział Ryan.

Joanne wpatrywała się w jasnożółte rękawice. Zdarła je z rąk i zakręciła kran. - Wydaje mi się...

- Tak? - podchwyciłem.

- Nie chcę, żeby tam jechała... mówię o Amandzie. Nie chcę, żeby była z nami w tym bezpiecznym domu.

- Ależ grozi jej takie samo niebezpieczeństwo jak Ryanowi. Pani też... mówiłem o tym, że Loving zawsze chce znaleźć haka.

- Proszę, nie - powiedziała.

Wydawało się, że Joanne zależy, by rozstali się z dziewczyną.

Przypomniałem sobie, że Amanda jest jedynym dzieckiem Ryana, zastanawiając się, dlaczego Kesslerowie nie mają więcej dzieci. Może w czasie pierwszego małżeństwa poddał się wazektomii, a może Joanne nie mogła zająć w ciążę albo po prostu postanowili nie tworzyć rodziny. Chcąc wiedzieć o obiektach wszystko, co się da, brałem pod uwagę takie informacje. Mogą mieć duże znaczenie. Joanne popatrzyła na naczynia i odłożyła rękawiczki.

Ryan też się nad tym zastanawiał.

- Zgadzam się. Zabierzmy ją gdzieś, gdzie będzie bezpieczna. - Uświadomiłem sobie, że zapewne myśli o wspomnianej przeze mnie możliwości wymiany ognia z Lovingiem.

- My dwoje pojedziemy do bezpiecznego domu - oznajmiła Joanne. - Ale Amanda nie. Zgodzę się tylko pod takim warunkiem.

- Jedź razem z Amandą - powiedział nagle Ryan.

- Nie - ucięła stanowczo. - Zostaję z tobą.

- Ale...

- Zostaję. - Wzięła go za rękę.

Jeszcze raz podszedłem do okna i wyjrzałem. Joanne zauważyła to tak jak przedtem jej mąż i zaniepokoiło ją moje zatroskanie. Odwróciłem się.

- Teoretycznie nie miałbym nic przeciwko temu, ale nie dysponuję tyloma ludźmi, żeby umieścić państwa córkę w osobnym domu. Nie możecie jej państwo gdzieś wysłać? Pod warunkiem, że będzie to miejsce, z którym państwo ani państwa rodzina nie macie żadnych związków, a w dokumentach podróży i zakupów na kartę kredytową nie będzie figurowało jej nazwisko.

Loving i inni doświadczeni zbieracze mają szeroki dostęp do informacji uzyskanych dzięki eksploracji danych.

- Bill - powiedziała nagle Joanne.

- Kto?

- William Carter - wyjaśnił Ryan. - Przyjaciel rodziny. Służył razem ze mną w policji. Dziesięć lat temu przeszedł na emeryturę. Amanda mogłaby pomieszkać u niego.

Ciekawe, czy Loving mógłby wytropić Cartera na podstawie jego dawnych związków z Ryanem.

- Był pana partnerem, pracowaliście razem nad jakąś sprawą? Może jest ojcem chrzestnym Amandy?

- Nie, po prostu przyjacielem. Nigdy nie byliśmy w jednym zespole.

Ma dom nad jeziorem w okręgu Loudoun, niedaleko promu White'a. Tam może pojechać. Amanda go lubi. Traktuje go jak wujka. To były policjant - powtórzył z naciskiem.

- Jest pan absolutnie pewien, że nikt nie skojarzy was ze sobą? Nie macie niczego do spółki, łodzi rybackiej, samochodu, nie pożyczaliście sobie pieniędzy, co zostało oficjalnie odnotowane, nie kupowaliście od siebie nieruchomości?

- Nie, nic takiego.

- Czy pan Carter mógłby tu przyjechać w ciągu dziesięciu minut?

- Pięciu. Mieszka w sąsiedniej dzielnicy. Dzisiaj po południu wybiera się na mecz, ale zaraz zmieni plany, kiedy się dowie.

Otworzyłem torbę i wyciągnąłem laptop. Włączyłem go i zacząłem wstukiwać polecenia w nowym oknie. Przyjrzałem się wyświetlonym na ekranie informacjom z wewnętrznej bazy danych naszej organizacji. Nic na temat pracy i życia Williama Cartera nie budziło moich obaw. Następnie sprawdziłem dziewczynę. Amanda Kessler była typową nastolatką, udzielającą się na Facebooku, MySpace i blogach, ale na szczęście ujawniała tylko śladowe informacje osobiste. Internetowe serwisy społecznościowe, których użytkownicy lekkomyślnie wrzucają do cyberprzestrzeni wszystkie szczegóły swojego prywatnego życia, zmieniają pracę owczarków w koszmar. Zauważyłem też, że Amanda nigdzie nie napisała nic o Williamie Carterze i jego domu letniskowym w okręgu Loudoun.

Z zadowoleniem stwierdziłem, że Loving w zasadzie nie ma żadnego sposobu, by odkryć ich powiązania.

- Proszę do niego zadzwonić. - Podałem Ryanowi czarny telefon z klapką, trochę większy od typowej nokii czy samsunga.

- Co to jest?

- Zimny telefon. Połączenie jest szyfrowane i przekazywane przez serwisy proxy. Od tej chwili, dopóki państwu nie powiem, proszę korzystać tylko z tego telefonu.

Ryan obejrzał aparat - Joanne patrzyła na telefon jak na jadowitego węża - po czym zadzwonił do Cartera.

Rozłączył się po krótkiej rozmowie.

- Już jedzie.

Detektyw umilkł na moment, zastanawiając się, co powiedzieć, a potem odwrócił się w stronę drzwi i zawołał:

- Amanda? Zejdź tu, kochanie. Chcemy z tobą porozmawiać.

Po chwili w drzwiach pojawił się cień i do kuchni weszła ich córka. Dziewczyna nosiła okulary w czerwonych oprawkach i miała gęstą czuprynę ciemnych, długich włosów. Po ojcu odziedziczyła budowę ciała: wąskie usta i szerokie ramiona. Wyglądała jak koszykarka.

Miała bystre oczy i choć przypuszczalnie słyszała, co robią agenci przed domem, nie wyglądała na przestraszoną. Przyjrzała mi się z uwagą.

- Amanda, to jest agent Corte - przedstawiła mnie jej macocha. - Pracuje w agencji rządowej, podobnej do FBI.

- Cześć, Amando - powiedziałem swobodnym tonem.

- Dzień dobry. - Wyglądała na bardziej zaintrygowaną moim imponującym laptopem niż mną.

Informowanie dzieci o tym, że grozi im niebezpieczeństwo, jest sztuką (przekonałem się, że dziewczynki lepiej radzą sobie ze złymi wiadomościami niż chłopcy). Mam wprawę w prowadzeniu takich rozmów, mimo to na ogół wolę, żeby najpierw mówili z nimi rodzice. Pałeczkę przejął Ryan.

- Mandy, mamy mały problem.

Dziewczyna skinęła głową, spoglądając na niego jeszcze bystrzej.

- Zdaje się, że ktoś nie jest za bardzo zadowolony z powodu jakiejś sprawy, którą prowadziłem z chłopakami, i FBI chce go aresztować. Ale wcześniej na jakiś czas wyjedziemy z domu.

- Ktoś, kogo przymknąłeś? - spytała rzeczowo dziewczyna.

- Nie jesteśmy pewni.

- Mówiłeś, że ostatnio nie pracowałeś nad żadnymi sprawami.

Po krótkim namyśle Ryan odparł:

- Może chodzić o coś dawniejszego. Jeszcze nie wiemy.

- Nie jesteśmy pewni, jakie ma plany - powiedziałem do niej - ale wiemy, że jest groźny.

- Twoja mama i ja jedziemy z agentem Corte porozmawiać o tej sprawie. Spróbujemy się dowiedzieć, kto to jest.

- Przymusowa izolacja?

Ryan się uśmiechnął. Ciekawe, w jakim serialu dziewczyna usłyszała to określenie.

- Niezupełnie, ale będzie lepiej, jeżeli wyjedziemy z domu. Kiedy będziemy pomagać federalnym, spędzisz kilka dni u wujka Billa.

- Tato, no co ty - jęknęła. Jej ładna, okrągła twarz, lekko naznaczona trądzikiem, skrzywiła się z rozczarowaniem, które wydało mi się



przesadne. - Przecież nie mogę nie chodzić do szkoły. - Wyrecytowała długą listę powodów: pierwszy sprawdzian z biologii w semestrze, trening koszykówki, dyżur przy uczniowskim telefonie samopomocy, komitet organizacyjny parady absolwentów. Rzucała je jeden po drugim w nadziei, że któraś z przyczyn trafi rodzicom do przekonania. - Naprawdę nie mogę.

Dzieci... odporne na wszystko, nieśmiertelne. I przeświadczone, że są centrum wszechświata.

- Wrócisz do szkoły najdalej za parę dni. Zrobisz sobie małe wakacje.

- Wakacje? Jo, daj spokój.

- Idź zaraz spakować rzeczy.

- Zaraz?!

Dałem jej zimny telefon, a jej komórkę schowałem w ekranowanej torbie. Niechętnie się z nią roztawała.

- Niestety - oznajmiłem dziewczynie - nie będziesz mogła korzystać z Internetu, dopóki nie powiem, że można.

- Co?! - Dla nastolatki nie ma gorszego szlabanu.

- To nie potrwa długo. Ten człowiek prawdopodobnie wie, jak namierzyć twój komputer.

- Kurczę, to do dupy.

- Amanda - upomniął ją surowo ojciec.

- Przepraszam. Ale muszę wejść do netu. Przynajmniej na Facebook i Twittera. Poza tym codziennie piszę bloga. Jeszcze ani razu nie opuściłam...

- Nie, jeżeli agent Corte nie powie, że możesz - powiedziała Joanne.

- Jakoś wytrzymasz u wujka Billa. Obejrysz telewizję, poczytasz, Pograsz w coś. Pójdiesz na ryby. Przecież lubisz łowić ryby.

- Och, z nudów będzie można... - Twarz nastolatki wykrzywiła się w dobrze wyćwiczonym grymasie złości.

- Zobaczysz, będzie fajnie. No, idź się spakować. Bill przyjedzie lada chwila.

- Fajnie - mruknęła szyderczo. Gdy dziewczyna wyszła, spytałem Kesslerów:

- Nie mają państwo w okolicy żadnych innych bliskich krewnych? W oczach Joanne odmalowało się zaskoczenie.

- O, Boże. Moja siostra. Zapomniałam o Maree. - Dziwne imię. „Marr-ee”. - Mieszka u nas od miesiąca. Będzie musiała jechać z nami.

- Nie ma jej? - zapytałem. Nie zauważyłem w domu żadnych innych znaków życia.

- Jest, ale śpi.

- Moja szwagierka jest nocnym markiem - wyjaśnił Ryan.

- Proszę ją obudzić - powiedziałem. - Musimy jechać... Aha, niech nie korzysta ze swojej komórki.

Joanne spojrzała na mnie, zdumiona tak stanowczym poleceniem. Ruchem głowy wskazała tacę na blacie kuchennym.

- Tam leży jej komórka.

Wyłączyłem aparat i wsunąłem do zabezpieczonej torby. Joanne wyszła na korytarz i po chwili usłyszałem jej kroki na schodach.

Ryan poszedł do pokoju i zaczął pakować papiery do dużej aktówki i torby na ramię. Na wielu dokumentach widniało logo stołecznej policji. Ruszyłem za nim, dalej wypytyując o krewnych, których Loving mógłby wykorzystać do szantażowania mojego obiektu. Rodzice Ryana nie żyli. Jego brat mieszkał w stanie Waszyngton. Ojciec Joanne i jego druga żona - był wdowcem - mieszkali niedaleko, ale wyjechali na wakacje do Europy. Poza Maree Joanne nie miała innego rodzeństwa. I wcześniej nie była zamężna.

- Czy Joanne ma dzieci? - spytałem.

Zawahał się przez długą sekundę.

- Nie.

Kesslerowie na pewno mieli przyjaciół, ale zbieraczom zwykle nie udawało się wykorzystywać ludzi, którzy nie byli spokrewnieni z obiektem.

Jeszcze raz wyjrzałem przez okno z tyłu. Dwa domy dalej jakiś mężczyzna zwił wąż ogrodowy, powoli okręcając go między łokciem a kciukiem i palcem wskazującym. Inny sąsiad zdejmował siatki z drzwi. W jednym z pobliskich domów panowała cisza, choć roleta w oknie lekko się poruszała.

- A tamten dom po przekątnej z lewej? Wiadomo, czy właściciele są dzisiaj u siebie?

Ryan spojrzał we wskazanym przeze mnie kierunku.

- Tak, widziałem rano Teddy'ego, jak szedł do Starbucksa. - Nagle Ryan zerknął na drzwi, sprawdzając, czy żona go nie słyszy. - Widzi pan, Corte, ten świat... mówię o tym, co robimy pan i ja. Joanne nie za dobrze sobie z tym radzi. Boi się rzeczy, na które my w ogóle nie

zwracamy uwagi. Czasem nawet wychodzi z pokoju, kiedy w telewizji lecą wiadomości. Gdyby mógł pan o tym pamiętać, byłbym wdzięczny.

- Przepraszam. Postaram się.

- Dzięki. - Ryan uśmiechnął się i ruszył na górę spakować swoje rzeczy.

Prawdę mówiąc, byłem bardziej brutalnie szczery wobec wrażliwej Joanne, niż musiałem - właśnie dlatego, żeby Ryan poprosił mnie o tę uprzejmość, którą zgodziłem się wyświadczyć. Tylko i wyłącznie po to, by bardziej przeciągnąć go na swoją stronę.

Zadzwoił mój telefon, a głosowy identyfikator połączeń poinformował mnie przez słuchawkę:

- Fredericks.

Wcisnąłem ODBIERZ.

- Freddy?

- Wjeżdżam na podjazd, Corte. Nie strzelaj.

## Rozdział 5

Nigdy nie rozumiałem nieprzepartej skłonności agenta FBI do dowcipkowania. Być może chciał się w ten sposób chronić, tak jak dla mnie rodzajem tarczy jest brak skłonności do żartów. Irytowała mnie ta maniera, ale ponieważ nie musiałem z nim mieszkać tak jak jego żona i dzieci, starałem się tym nie przejmować.

- Wejdz od frontu - powiedziałem i się rozłączyłem.

Przywitałem w drzwiach wysokiego, siwowłosego agenta. Clare duBois, której osobliwy umysł często rodzi dziwne, choć trafne spostrzeżenia, powiedziała kiedyś o Freddym:

- Czy to nie jest tak, że najlepsi agenci FBI wyglądają jak mafiosi z telewizji, a najlepsi mafiosi wyglądają jak telewizyjni agenci?

Nie wiedziałem, czy tak rzeczywiście jest, ale miała rację. Mocno zbudowany, posągowy i zawsze flegmatyczny Paul Anthony Xavier Fredericks był weteranem Biura. Miał pięćdziesiąt pięć lat i od ukończenia college'u pracował w FBI. Wkroczył do domu w towarzystwie młodszego agenta. Obaj poszli za mną do kuchni.

Agent specjalny Rudy Garcia był pod trzydziestkę. Pełen rezerwy mężczyzna o nieskazitelnym wyglądzie, przed wstąpieniem do FBI musiał służyć w wojsku. Miał bystre spojrzenie, nie uśmiechał się i jak zauważyłem, był żonaty - nie uważano go więc chyba za dobrego kompana do pogawędek przy piwie. Ale to samo słyszałem o sobie.

- Kesslerowie się pakują. Macie coś z Wirginii Zachodniej?

Odpowiedziało mi wymowne wzruszenie ramion. Nie oczekiwałem zbyt wiele. Niezidentyfikowany pojazd, nieznana trasa. Loving był niewidzialny.

- Freddy, kiedy twoim zdaniem możemy się go spodziewać?

- Najwcześniej za jakieś dwie godziny plus dojazd do Fairfaksu -

odparł agent, czytając oprawiony w ramki artykuł o bohaterskim czynie Ryana. - Jasne, pamiętam to.

Garcia spacerował po parterze, wyglądając przez okna. Uważał, by nie pokazywać się nikomu na zewnątrz.

I nie stać się łatwym celem.

Joanne i Ryan zeszedli na dół. Policjant trzymał w potężnych dłoniach dwie walizki, które postawił, gdy zatrzymali się w korytarzu. Weszli do nas do kuchni i przedstawiłem im agentów.

- Psujemy wam weekend - powiedział Freddy. - Przykro mi.

- Maree wstała? - spytałem. - Musimy jechać.

- Za chwilę zejdzie.

- Może Amanda poczuje się różnie, jeżeli pojedzie do waszego przyjaciela w Loudoun z ciotką - zasugerowałem.

Z niewiadomego powodu Ryan po krótkim wahaniu odparł:

- Chyba jednak nie.

Joanne przytaknęła.

Zatrzeszczało radio Freddy'ego.

- Nadjeżdża samochód terenowy. Zarejestrowany na Williama Cartera.

- To ich przyjaciel - wyjaśniłem. - Córka Kesslerów zatrzyma się u niego.

Po chwili w drzwiach stanął Bill Carter. Wszedł bez pukania i skierował się do kuchni. Mocno przytulił do siebie Joanne, a potem serdecznie uściskał rękę Ryanowi. Siwowłosa mężczyzna, który miał niewiele ponad sześćdziesiąt lat i około metra osiemdziesięciu wzrostu, był opalony i wysportowany. Z poważną miną podał mi rękę, przyglądając mi się uważnie bystrymi szarymi oczami zza szkieł dużych okularów. Przywitał się też z Freddyem i Garcia, badawczo oglądając ich legitymacje. Dostrzegłem wystające spod marynarki zapięcie kabury i lśniącą rękojeść pistoletu.

- A więc to prawda - mruknął.

- To straszne, Bill - powiedziała Joanne. - Jednego dnia wszystko jest świetnie, a nagle ... coś takiego.

Podąłem Carterowi jeszcze jeden zimny telefon i wytłumaczyłem, dlaczego to robię.

- Kto chce cię porwać? - zapytał Ryana.

- Diabeł wcielony - padła ironiczna replika.

Odpowiedziałem na pytanie Cartera, bynajmniej nie retoryczne - były policjant chciał znać szczegóły.

- Nazywa się Henry Loving. Biały, czterdzieści kilka lat, waży około dziewięćdziesięciu kilogramów, ma ciemne włosy. Miał bliznę na skroni. Prawdopodobnie już nie ma po niej śladu. - Zacząłem stukać w klawiaturę laptopa. - Mam tu starą fotografię. Świetnie potrafi zmieniać wygląd, ale zdjęcie powinno dać jakieś ogólne pojęcie.

Moje obiekty i Carter zamilkli, patrząc w dobroduszną twarz Henry'ego Lovinga. Gdyby mu nałożyć koloratkę, mógłby być pastorem. W granatowym garniturze mógł uchodzić za księgowego albo sprzedawcę w Macy's. Miał równie łagodną twarz jak ja, tylko nieco pełniejszą. W ogóle nie wyglądał na mordercę, oprawcę i porywacza. Co działało na jego korzyść.

- Myślę, że mamy sytuację pod kontrolą - powiedziałem do Cartera - i Loving nic o panu nie wie. Proszę jednak uważać. Ma pan bezprzewodowy Internet u siebie w Loudoun?

- Owszem.

- Może go pan odłączyć?

- Oczywiście.

- I proszę dopilnować, żeby Amanda nie skonfigurowała panu komputera do połączenia modemowego - dodałem.

- Umiałyby to zrobić?

- To nastolatka - odparłem. - Potrafiłaby zbudować komputer z urządzeń kuchennych.

- Pewnie ma pan rację. - Spojrzał na Kesslerów. - Ile jej powiedzieliście?

- Prawie wszystko - odrzekł Ryan. - Ale nie przesadzałem ze szczegółami.

- Twoja córka to twarda sztuka. Trudno ją wytrącić z równowagi. Ale próbuję ją jakoś zająć.

- Dzięki, Bill.

- Kiedy pan będzie odjeżdżał - powiedziałem do niego - niech się nie pokazuje. Może ją pan poprosić, żeby poszukała czegoś pod siedzeniem. Przynajmniej do pierwszego skrzyżowania za domem.

Carter mógł uznać, że to nadmierna przezorność, mimo to się zgodził.

Amanda zbiegła po schodach, ściskając w ramionach poduszkę w poszewce w czerwono-białą kratę. Odnosiłem wrażenie, że nastolatki,

przynajmniej dziewczyny, nie potrafią nigdzie wyjechać bez poduszki. Może to rodzaj przytulanki.

- Cześć, wujku Bill! - Uścisnęła go, po czym zmierzyła wzrokiem nowo przybyłych Freddy'ego i Garcję.

- Niesamowita przygoda, co, kochanie? - rzekł Carter.

- No.

- Lepiej już jedźmy - zaproponował były policjant.

Rozbawił mnie widok mocno zbudowanej nastoletniej sportsmenki z zarzuconą na ramię torebką w kształcie pluszowego misia, który uśmiechał się głupkowato i miał na grzbiecie zamek błyskawiczny.

Joanne chwyciła dziewczynę w objęcia i mocno przytuliła, ku wyraźnemu zakłopotaniu pasierbicy.

Jej ojciec zrobił to samo. I także dostał w zamian niezręczny, sztywny uścisk.

- No, bądź miła dla swojego staruszka - powiedział z czułością Ryan.

- Tato... daj spokój. - Odsunęła się, a ojciec mimo to wciąż trzymał ręce na jej ramionach.

- Dzwoni o każdej porze. W każdej sprawie.

- Dobra.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie. - Wreszcie zwalisty detektyw puścił córkę, jak gdyby w obawie, że jego przesadna tkliwość może wzbudzić w dziewczynie niepokój. Uśmiechnął się.

- No to narazicho. - Dźwigając plecak, poduszkę i torebkę z misia, Amanda pobiegła do samochodu Cartera.

Były policjant jeszcze raz objął Joanne i obiema rękami chwycił dłoń Ryana.

- Naprawdę dobrze się nią zaopiekuję. Nie martwcie się. Niech was Bóg strzeże.

I wyszedł.

Ryan wrócił do pokoju na parterze i po chwili wyłonił się stamtąd z aktówką i jeszcze jednym plecakiem. Ciężkim, w którym pewnie miał amunicję i zapasową broń.

Freddy połączył się przez radio ze swoimi ludźmi na zewnątrz. Usłyszeliśmy odpowiedź jednego z nich.

- Carter odjechał. Nie miał żadnego ogona. Dziewczyny nie było widać.

Potem usłyszałem kroki na schodach i w drzwiach kuchni pojawiła

się całkiem atrakcyjna kobieta. Mrugała oczami, jakby przed chwilą się obudziła, choć była ubrana, dość ładnie, i umalowana. Można było dostrzec pewne podobieństwo do Joanne, od której była młodszą o sześć czy osiem lat. Także wyższa i smuklejsza.

- To jest Maree - przedstawiła ją Joanne.

- Patrzcie państwo - powiedziała. Chyba nie bardzo wierzyła w to, co mówiła jej siostra. Faktycznie. - Myślałam, że żartujesz, Jo. - Spojrzała na Freddy'ego i Garcję. - Zaraz, czy ja panów nie widziałam w „Rodzinie Soprano”? - Nalała sobie sok pomarańczowy, dodając do niego jakiś ziołowy proszek. Wypiła tę miksturę i zrobiła dziwną minę.

Agenci przyglądali się jej obojętnym wzrokiem.

Maree miała dłuższe i bardziej proste włosy niż siostra, prawie blond, choć ich kolor nie był do końca naturalny. Była ubrana w marszczoną zamszową spódnicę i cienutką bluzkę w żółte i zielone kwiaty. Nosila srebrną biżuterię. Nie miała obrączki. Zawsze zwracam na to uwagę, oczywiście nie dlatego, żebym szukał odpowiedniej kandydatki, ale stan cywilny daje mi informacje o możliwościach znalezienia przez zbieracza haka na obiekt.

Na ramieniu miała zawieszony skomplikowany aparat fotograficzny, a w korytarzu zobaczyłem jej bagaż. Była to duża walizka na kółkach, ciężki plecak i torba z laptopem, jak gdyby Maree wyjeżdżała na dwa tygodnie. Wzięła pocztę leżącą na stoliku przy drzwiach kuchennych. Dwie przesyłki były do niej, ale wydrukowany adres w północno-zachodnim Waszyngtonie - został przekreślony, a obok wpisano ręcznie adres Kesslerów. Może straciła pracę i musiała się wprowadzić do siostry i szwagra.

Kiedy przeglądała listy, zauważyłem, że lekko się krzywi; poruszała lewą ręką ostrożniej niż prawą. Wydawało mi się, że pod cienką tkaniną widzę bandaż w okolicy łokcia. Wzięła żakiet z wieszaka, narzuciła go i odwróciła się do siostry.

- Zapowiada się fantastyczna impreza, ale spadam stąd. Jadę przenocować w stolicy.

- Co? - zdumiała się Joanne. - Nie, jedziesz z nami.

- Ta opcja wydaje mi się nudziarska. Wybieram bramkę numer trzy.

- Mar, proszę... Musisz z nami pojechać. Gdzie chcesz nocować?

- Zadzwoiłam do Andrew. Zatrzymam się u niego.



- Zadzwoń pani? - Zaniepokoiłem się, że ma drugą komórkę. - Z domowego telefonu?

- Tak.

Tym się nie przejmowałem; podczas gdy monitorowanie i namierzanie komórek było dziecinnie proste, bardzo trudno było podsłuchiwać telefon stacjonarny, a nawet gdyby współnikowi Lovinga udało się to zrobić, Maree nie mogła zdradzić niczego istotnego dla sprawy.

Rozglądała się po kuchni.

- Nie mogłam znaleźć komórki. Wiecie, gdzie jest?

- U mnie. - Wyjaśniłem, na czym polega niebezpieczeństwo.

- Telefon jest mi potrzebny.

Nie była zadowolona, gdy ją poinformowałem, że jest odcięta od łączności telefonicznej. Rozdałem już wszystkie zimne telefony, jakie miałem do dyspozycji.

- W każdym razie... i tak jadę do miasta.

- Nie, lepiej tego nie rób - poradziła Joanne.

- Ale...

- Niestety będzie pani musiała zostać z siostrą i szwagrem - powiedziałem. - Chcę, żebyśmy ruszali natychmiast. I tak już zwlekamy za długo. Naprawdę nie mamy czasu.

Maree machnęła dłonią o paznokciach zakończonych błyszczącymi, białymi półksiężycami - zdaje się, że to się nazywa tipsy french, choć mogłem się mylić. Wskazując głową siostrę, powiedziała do mnie:

- Nie chcę z nią zostawać. Boże, jest taką nudziarą... - Po chwili parsknęła śmiechem. - Żartuję. Ale serio, nic mi się nie stanie.

- Nie - uciałem stanowczo. - Jedzie pani z nami i...

- Jedźcie sami. Byłoby miło, gdybyście mi pożyczyli hondę. - spojrzała na mnie. - Mój wóz stoi w warsztacie. Wie pan, ile chcą za nową pompę paliwa? ... Hej, co pan wyrabia?

Garcia wynosił bagaże do mojego nissana. Gdy wrócił do kuchni, skinął mi głową na znak, że podwórko jest czyste.

- Niech pani słucha Corte'ego - zwrócił się do Maree Freddy. - Musi pani jechać. Teraz zaraz.

Maree szeroko otworzyła oczy.

- Chwileczkę... przecież ja pana znam. - Przyjrzała mi się spod zmarszczonych brwi.

Zrobiłem chyba zdumioną minę. Czyżbyśmy się już gdzieś spotkali?

- Występuje pan w reality show „Piekielne wakacje”. Jest pan przewodnikiem.

- Błagam cię, Mar - jęknęła Joanne.

Jej siostra się naburmuszyła.

- Jest niedobry. Ukradł mi telefon.

Właśnie znów patrzyłem przez kuchenne okno na ogród z tyłu, zastanawiając się, co się zmieniło od chwili, gdy zajrzałem tam ostatni raz. Ze względu na zmianę położenia słońca widać było coś, czego jeszcze pół godziny temu nie można było zauważyć. Zawołałem Ryana i wskazałem za okno.

- Czy to jest ścieżka?

Między domem Kesslerów a domem, który wspomniałem wcześniej, po przekątnej z lewej strony, biegła linia wydeptanej trawy. Przypomniałem sobie, że sąsiad, który wyszedł na kawę, ma na imię Teddy.

- Tak, do Knoksów. Są chyba naszymi najlepszymi przyjaciółmi w dzielnicy. Spędzamy z nimi mnóstwo czasu.

Ścieżka powstała w ciągu lata, wskutek licznych wędrówek tam i z powrotem na wspólne grille, przyjęcia urodzinowe, by pożyczyć jakiś brakujący składnik przygotowywanych dań.

- O co chodzi? - spytała Joanne. - Zaczynam się niepokoić.

- No, teraz to naprawdę poważnie wygląda - zauważyła Maree.

- Corte? - usłyszałem głos Freddy'ego.

Skrzywiłem się i skinąłem głową.

- Niech to szlag - mruknął agent. Westchnął i rozpiął marynarkę.  
- Garcia!

- Zaciemnienie - powiedziałem.

Freddy i Garcia spuścili rolety i zaciągnęli zasłony w pokoiku na parterze, salonie i kuchni.

Ryan zeszywniał, a Joanne, otwierając szeroko oczy, krzyknęła:

- Co się dzieje? Mówcie.

Widziałem, jak dłoń Freddy'ego lekko poklepuje rękojeść glocka. W ten sposób dostrajamy mięśnie i nerwy, żeby dokładnie znać położenie broni. Ja też poczułem wyraźnie nacisk glocka 23, który nosiłem z tyłu. Na razie zostawiłem pistolet w kaburze.

Ryan zrobił krok w kierunku okna.

- Nie - powstrzymałem go stanowczo. - Proszę wrócić. Loving tu jest. - Zgromadziłem wszystkich w pozbawionym okien korytarzu między kuchnią a przedpokojem.

- Jak by to zrobił? - spytał Freddy. - Powinien być w połowie drogi z Wirginii Zachodniej.

Nie odpowiedziałem. Było kilka możliwych wyjaśnień, lecz żadne nie miało znaczenia dla naszego bezpośredniego zadania: ocalić życie obiektów i niezwłocznie zabrać ich z zagrożonego terenu.

- Co jest? - zapytał mnie Garcia.

- Widzicie dom, do którego prowadzi ścieżka? Okna najbliżej nas? Dziesięć minut temu rolety były spuszczone. Teraz są podniesione na jakieś piętnaście centymetrów. To nie ma sensu, chyba że ktoś obserwuje dom.

- Szpieg?

- Nie - odparłem. - Szpieg wybrałby dom z najlepszym widokiem, czyli ten bezpośrednio za nami albo ten po prawej. Loving jest w domu po lewej, bo zauważył ścieżkę i domyślił się, że jego właściciele przyjaźnią się z Kesslerami. Czyli mają o was najlepsze informacje i mogą wiedzieć, co robi mój wóz na waszym podjeździe i sedan zaparkowany przed domem.

- Teddy i Kath! - krzyknęła Joanne. - To znaczy, że oni są tam z nim?

- Jesteś pewien, Corte? - zapytał Freddy. Oznaczało to, że jeśli puścimy maszynę w ruch, skutki będą kosztowne i prawdopodobnie nieprzyjemne.

- Prawie... Potrzebuję ludzi. Z Fairfaksu i waszych, każdego, kto jest w pobliżu.

- Zamelduj - rozkazał Freddy Garcii, który wyciągnął komórkę i wcisnął przycisk szybkiego wybierania numeru.

- Przepraszam, nie piszę się na te dziwactwa - powiedziała Maree z nerwowym śmiechem. - Przewodnik chce nam napędzić stracha, bo ktoś otworzył okno? Powodzenia. - Wzięła kluczyki do samochodu z tacy stojącej na stoliku. - Jadę do miasta. - Ruszyła do drzwi.

- Nie - powiedziałem ostro. - I niech wszyscy... - Resztę polecenia zagłuszył potężny trzask na ulicy.

Joanne wrzasnęła, Maree stłumiła krzyk, stając jak wryta przed drzwiami.

Skoczyłem naprzód, chwyciłem młodą kobietę za kołnierz żakietu i szarpnąłem ją do tyłu. Upadliśmy razem na wyłożoną płytkami podłogę i w tym momencie panoramiczne okno w salonie zaczął siec grad pocisków.

## Rozdział 6

Joanne, z której twarzy zniknął już wyraz apatii, podczołgała się na kolanach do siostry i pociągnęła ją dalej w głąb przedpokoju, jeszcze dalej od okien.

Młodsza kobieta rozsypała na podłodze swoje listy. Aparat fotograficzny spadł jej z ramienia, a Maree krzyknęła, rozpaczliwie wyciągając po niego rękę.

- Zostaw - mruknęła Joanne, powstrzymując ją.

Ryan z wyciągniętą bronią stał na ugiętych nogach, gotów do strzału.

Nie sięgnąłem po pistolet, ponieważ nie widziałem jeszcze celu i pospiesznie pakowałem laptop do torby. Poza tym jako owczarek zwykle pozostawiałem prowadzenie wymiany ognia ludziom z większym doświadczeniem taktycznym.

Padły kolejne trzy strzały. Pociski trafiły w lampę, ramę obrazu i ścianę w salonie. Prawie nie słyszeliśmy wystrzałów tylko głośny trzask tłuczonego szkła.

Freddy trzymał w ręku telefon, dzwoniąc do swoich agentów przed domem, ale nikt nie odbierał.

Nie żyli?

- Garcia! - krzyknąłem. Młody agent instynktownie przypadł do bocznych okien wychodzących na drzewa, by osłaniać nas z boku. - Co widzisz?

- Czysto - odkrzyknął. - Ogień idzie tylko od frontu.

Dałem wszystkim znak, żeby cofnęli się dalej w głąb ciemnego korytarza, po czym wśliznąłem się do niewielkiej łazienki dla gości i wyjrzałem przez okno. Zobaczyłem srebrnego forda, który wbił się w tył samochodu agentów, przesuwając go o jakieś trzy metry. Uderzenie szarpnęło do tyłu i do przodu siedzących w nim mężczyzn, którzy

nie mieli zapiętych pasów. Widziałem ich nieruchome sylwetki na przednich siedzeniach, ale nie potrafiłem powiedzieć, czy żyją, czy nie.

Ford był unieruchomiony, lecz jego kierowca, przypięty pasami i chroniony przez poduszkę powietrzną, strzelał do nas z pistoletu przez otwarte okno. Nie widziałem jego twarzy zbyt wyraźnie. Kulił się nad kierownicą, dokładnie celując. Wyszedłem z łazienki i ujrzałem Ryana Kesslera, który głęboko nabrał powietrza, po czym rzucił się naprzód i lufą rewolweru zbił szybę w oknie przy drzwiach wejściowych jak Clint Eastwood w spaghetti westernie.

- Nie! - krzyknąłem, łapiąc go i odciągając od okna.

- Co robisz? - zawołał policjant. - Przecież widzę cel!

- Zaczekaj - odrzekłem, starając się zachować spokój. - Garcia, pilnuj nas z boku. Zostań tam.

- Dobra.

- Freddy, co z tyłu? - zawołałem do starszego agenta, który był w kuchni.

- Na razie czysto.

W salon trafiły następne dwie kule. Maree znów wrzasnęła.

- Wyjdźmy przez kuchnię! - usłyszałem głos Ryana. - Możemy go zająć z boku. Corte, dlaczego nie pozwoliłeś mi strzelać?

Maree ze szlochem zaczęła pełznąć w stronę kuchennych drzwi. Z nonszalanckiej dziewczyny zmieniła się w rozdygotane stworzenie sparaliżowane zwierzęcym strachem.

- Boję się, Jezu, boję się.

- Wracaj - rozkazałem, łapiąc ją za ramię, by jeszcze raz ją zatrzymać.

Joanne znów popadła w katatonię. W milczeniu wpatrywała się szklanym wzrokiem w odłamki szkła. Zastanawiałem się, czy będziemy ją musieli wynosić, jak to się czasami zdarza.

- Nikt nigdzie nie idzie - powiedziałem spokojnie.

Freddy odebrał telefon.

- Corte! Pięć minut temu ktoś zgłosił, że na Uniwersytet George'a Masona wdarło się dwóch uzbrojonych ludzi. Jest dziesięciu poszkodowanych studentów. Jedzie tam cała brygada specjalna z Fairfaksu. Próbuje ściągnąć do nas jakiś zespół, ale nie mają nikogo wolnego.

- Strzelanina w szkole? Nie, to fałszywy alarm. Dzwonił Loving... Garcia?

- Z boku ciągle czysto.  
- W porządku, wychodzimy. Od frontu.  
- Przecież on tam jest! - krzyknął Ryan.  
- Nie, nie ma go - odparłem. - Wasi sąsiedzi z tyłu, Knokswie -  
czym jeżdżą?

- Lexusem i fordem. - Zerknął szybko przez okno i zaraz się cofnął. - To ich wóz! Zabił ich! Niech to szlag.

- Boże, nie... nie - szepnęła Joanne, kurczowo ściskając siostrę, która trzymała w ramionach swój odzyskany aparat, tuląc go jak dziecko.

- W samochodzie jest Teddy Knox, nie Loving - powiedziałem.

- Jak to? - zdumiał się Ryan. - Jest zakładnikiem?

- Nie, to on strzela.

- Teddy nie zrobiłby czegoś takiego. Nawet gdyby Loving go zmusił.

- Loving go właśnie zmusza. Grozi jego żonie, która jest w domu. Ale Teddy nie ma nikogo trafić. Strzela na oślep, żeby wywabić nas przez tylne wyjście. A tam czeka na nas Loving. W ich domu albo w krzakach. Pewnie ma współnika. Nie próbowałby atakować w pojedynkę. Wyjdziemy od frontu. Freddy, zostaniecie tu z Garcia i będziecie ubezpieczać podwórko z tyłu i z boku, to zadrzewione. Ryan, kiedy wyjdziemy, osłaniasz teren po drugiej stronie. Nie strzelaj, dopóki nie zobaczysz kogoś z bronią, kto zamierza nas zaatakować. Za chwilę sąsiedzi wyjdą na ulicę. Nie chcę żadnych dodatkowych strat.

Ryan wahał się, spoglądając w stronę frontu domu. Zastanawiał się: słuchać moich rozkazów czy nie?

- Rób, co mówi, Ry - odezwała się Joanne. - Proszę cię, róbmy, co mówię.

- Idźcie szybko do mojego samochodu, ale uważajcie, żeby nie upaść i nie zrobić sobie żadnej krzywdy, dobrze?

- Żeby nie upaść i nie zrobić sobie krzywdy? - krzyknął Ryan, dziwiąc się moim dziwnym obawom.

Chwila zwłoki spowodowana skręconą kostką mogła nas wszystkich kosztować życie.

- A jeżeli Loving jest w samochodzie na tylnym siedzeniu? - zawołał Freddy.

- To byłoby nielogiczne - odpowiedziałem i zwróciłem się do Ryana. - Loving może się czołgać na bocznym podwórku. Widziałeś jego zdjęcie. Jeżeli go poznasz, spróbuj strzelić, tak żeby go tylko zranić. Musimy wiedzieć, kto go wynajął.

- Dostanie w ramię albo kostkę - rzekł Ryan.

- Dobrze. Lepiej celuj niżej. Uważaj na tętnice udowe. Chcę go zatrzymać, ale nie żeby się wykrwawił.

- Jasne.

Wcisnąłem przycisk na pilocie, którym otwierało się i uruchamiało nissana, potem uchyliłem drzwi domu na kilka centymetrów i wziąłem na cel kierowcę srebrnego forda, stojącego jedną połową na pasie zieleni, a drugą na jezdni. Mężczyzna miał czapkę bejsbolową i ciemne okulary, ale odniosłem wrażenie, że po jego policzkach płyną łzy. Wydawało mi się też, jak gdyby mówił bezgłośnie: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”. Pistolet został przyklejony do jego ręki taśmą izolacyjną. Zamek był odciągnięty; skończyła mu się amunicja.

- Teddy? - zawołała Joanne.

Nieszczęsny sąsiad pokręcił głową. Myślał o swojej żonie w domu, której Loving przystawiał broń do głowy - tak w każdym razie sądził. Najprawdopodobniej Loving zabił ją w chwili, gdy jej mąż ruszył z podjazdu. Zbieracz miał dobry plan. Na miejscu Lovinga zrobiłbym to samo, mając do dyspozycji garstkę ludzi i próbując porwać obiekt, którym był uzbrojony policjant przebywający w towarzystwie kilku innych przedstawicieli organów ścigania, w dodatku w biały dzień.

Rozejrzałem się i wyprowadziłem Ryana, Joanne i Maree. Pewnym krokiem ruszyliśmy do nissana armady zaparkowanego około ośmiu metrów od domu.

Choć byłem przekonany, że Loving i przypuszczalnie jego wspólnicy czekają za domem, najpierw sprawdziłem garaż. Czysty. Poszliśmy dalej.

Ryan jak wygłodniały wilk wpatrywał się w teren przy przeciwległej bocznej ścianie domu, trzymając broń w górze i palec tuż przy spuście rewolweru.

Kiedy dotarliśmy do samochodu, ulokowałem wszystkich w środku, po czym dokładnie pozamykałem drzwi.

Maree wciąż dygotała od płaczu. Joanne patrzyła przed siebie zdumionym wzrokiem, a Ryan wypatrywał żołnierzy czołgających się na brzuchu i szykujących się do ataku na flankę.



- Zapnijcie pasy! - zawołałem. - Przez parę minut będzie trochę rzucało.

Szerokim łukiem przeciąłem podwórko, którego pilnował Ryan, potem przejechałem trawnik sąsiada i wypadłem na ulicę. Zobaczyłem, jak wskazówka obrotomierza sięga czerwonej części skali. Siedziałem wyprostowany nad kierownicą i uważałem na pieszych, rowerzystów i cofające samochody.

Nie byłem zdziwiony, nie słysząc strzałów ani przeciwnika, ani Freddy'ego i Garcii. Zbieracz i jego wspólnicy musieli się zorientować, że plan nie wypalił i postanowili się jak najszybciej wycofać. Gdyby Loving nie zgłosił fikcyjnej strzelaniny na uniwersytecie, mielibyśmy w okolicy wystarczającą liczbę funkcjonariuszy policji okręgu Fairfax, by zablokować drogi i ich zatrzymać, ale w tej sytuacji to nie było możliwe.

Zwolniłem, by nie zwracać na nas niczyjej uwagi; nie chciałem, żeby Loving zaczął krążyć w tej okolicy, pokazywać ludziom fałszywą odznakę i wypytywać, czy nie widzieli szarego terenowego nissana.

Ryan usiadł wygodnie i schował broń do kabury.

- Jesteś pewien, że to był Loving?

- Tak. Dokładnie takiej strategii można się po nim spodziewać. Nie ma wątpliwości, że to on.

Wiedziałem, jaki wniosek wynikał z tego faktu: ze strategii ucieczki Loving też się domyślił, że przeciwnikiem, z którym miał się teraz zmierzyć, jestem ja.

## Rozdział 7

**T**rzydzieści minut później - czyli około wpół do pierwszej - przyglądałem się beżowemu samochodowi, który jechał w pewnej odległości za nami, z prędkością zbliżoną do naszej, gdy krążyliśmy po drogach okręgu Prince William, miejsca o wielu obliczach. Tutejsza populacja składała się z farmerów, zadowolonych z siebie wieśniaków, zaharowanej siły roboczej i mnóstwa nowych imigrantów.

W Prince William powstawała lwia część metamfetaminy produkowanej w północnej Wirginii.

Nie poznałem marki ani modelu samochodu, ale byłem prawie pewien, że parę kilometrów wcześniej skręcił w tym samym kierunku co my, wjeżdżając za nami w szarą robotniczą ulicę, która donikąd nie prowadziła. Albo się na niej mieszkało, albo zbaczało tu z trasy, by sprawdzić, czy nikt cię nie śledzi.

Ktokolwiek siedział za kierownicą beżowego samochodu, na pewno tu nie mieszkał; wciąż za nami jechał.

*Jasny sedan. Nieznana marka, model i rocznik...*

Loving prawdopodobnie zmienił pojazd. Niewykluczone jednak, że zostawił poprzedni samochód... bo tego się nie spodziewaliśmy. Wahalem się przez chwilę, ale mimo wszystko postanowiłem jeszcze nie wzywać pomocy. Nie chciałem zwracać na nas uwagi.

Miałem jednak na oku beżowy samochód.

Kesslerowie zachowywali się już trochę spokojniej. Ryan siedział z przodu na czatach, a nastrój Maree znów uległ diametralnej zmianie: z histeryczki przeobraziła się w słodką spryciarę. Cały czas nazywała mnie „panem przewodnikiem”, co drażniło mnie bardziej niż jej paniczne wrzaski sprzed pół godziny. Joanne znów zamknęła się w sobie, spoglądając obojętnie przez boczne okno. Ciekawe, czy zawsze

była taka wycofana, czy tak wstrząsnęło nią zdarzenie sprzed sześciu lat - gdy o włos uniknęła śmierci i widziała, jak strzelano do właścicieli baru i do Ryana. Nastrój Joanne nie wskazywał jednak na tak skrajny stan emocjonalny. Każdy obiekt, którego ściga cyngiel lub zbieracz, przeżywa typowe fazy reakcji stresowej: zaprzeczenie, złość, targowanie się, depresję i akceptację. Bierność Joanne była formą zaprzeczenia.

Kiedy okrężną drogą wyjechaliśmy z dzielnicy Kesslerów, Joanne odezwała się tylko dwa razy. Raz podzieliła się z nami trafnym spostrzeżeniem, że przynajmniej jej pasierbica i Bill Carter są bezpieczni, skoro było jasne, gdzie krył się Loving ze współnikami. Potem wyraziła niepozbawione podstaw przypuszczenie, że żonie Teddy'ego Knoksa też nic się nie stało. Gdyby Loving ją zabił, nie miałby już haka - straciłby możliwość wywierania presji na Teddy'ego, żeby go zniechęcić do zeznawania przeciwko sobie. Owszem, istniało takie prawdopodobieństwo. Ale równie prawdopodobny był fakt, że Lovinga nic nie obchodziło, ile Teddy wie i ile może zeznać, więc zabił jego żonę, bo tak po prostu było mu wygodniej. Tak uważałam, ale nie powiedziałam nic.

Ryan poprosił mnie, żebym zadzwonił do Freddy'ego i dowiedział się, czy żonie Teddy'ego nic się nie stało, ale niewykluczone, że razem z Garcia i pozostałymi agentami - jeśli żyli i byli sprawni - zaatakowali Lovinga albo ruszyli za nim w pościg, więc nie chciałem im przeszkadzać. Zresztą Freddy na pewno sam by się odezwał, gdyby miał nam coś do przekazania. Powiedziałem to Ryanowi, który skinął głową, lecz wydawał się rozdrażniony, że nie chciałem zadzwonić. Wrócił do zaimprovizowanej obserwacji.

Skręciłem raptownie na parking przed Burger Kingiem i zatrzymałem nissana.

Wzdrygnąłem się na dźwięk głosu Maree, która spytała szybko:

- Mogę wyskoczyć na chwilę? Tam jest automat telefoniczny.
- Nie. Zostań w samochodzie.
- Proszę... - Mówiła tonem nastolatki, błagającej o pozwolenie wyjścia do galerii handlowej.
- Nie - powtórzyłem.
- Przecież nikt mnie nie namierzy. Naprawdę znam się na tym.
- Na czym? - spytała jej siostra.
- Na inwigilacji. Widziałam taki odcinek „Agentów NCIS”.

Szpiedzy dla bezpieczeństwa korzystali z automatów telefonicznych. Żeby nie wpaść w sieć. Tak mówili.

- Przykro mi, nie będzie żadnych telefonów - powiedziałem.

- Och, co za nudziarz. Żądam adwokata! - Nadała się dziecinnie. To rozdrażniło mnie jeszcze bardziej. Nie odpowiedziałem.

Czekałem, aż minie nas beżowy samochód. Ale się nie pojawiał, więc po dziesięciu minutach wróciłem na drogę i dodałem gazu, żeby zdążyć na zielone światło. Ktoś na mnie zatrąbił. Ktoś pokazał mi środkowy palec. Nie dostrzegłem jednak żadnych beżowych samochodów.

Głosowy identyfikator połączeń w słuchawce poinformował mnie, że dzwoni Freddy.

Nareszcie...

- Wszystko w porządku z twoimi ludźmi w wozie przed domem? - zapytałem.

- Aha. Trochę poobijani. Powinni mieć zapięte pasy. Mają nauzkę.

- Co ze strzelaniną na uniwersytecie? - Przypuszczałem, że to zmyślona historyjka, ale nie byłem pewien. Oczywiście zmartwiłaby mnie wiadomość o ofiarach; bardziej jednak ciekawiło mnie, czy Henry Loving dołączył do swojego repertuaru fałszywe zgłoszenia na policję. Mógłbym poznać jeszcze jedną technikę.

- Miałeś rację, synu. Bujda na resorach. Nic się nie stało. Ale sześćdziesięciu gliniarzy i agentów miało robotę na blisko godzinę.

- Dobra. Co z Lovingiem?

- Ulotnił się jak kamfora. Nie zostawił żadnych śladów. Żadnego samochodu.

- Ktoś może widział beżowego sedana, który stał w okolicy i nagle zniknął?

- Beżowego? Nie, pytaliśmy też świadków. Ale jeden z moich ludzi po drugiej stronie ulicy widział jego współnika. Na podwórku z boku domu, tym zadrzewionym, które zabezpieczał Garcia. Wysoki, szczupły, rudoblond, w ciemnozielonej wiatrówce albo kurtce wojskowej.

- Miał broń?

- Czarny automat. Nie wiadomo, jakiej marki. Po waszym wyjeździe wybiegł z drzew.

Minęliśmy już gęsto zaludnione okolice i otaczały nas pola. domy i jakieś obiekty przemysłowe, należące do dogorywających albo oddanych

bankom firm. Spokojnie zmniejszyłem prędkość dużego nissana.

- Teddy Knox zidentyfikował Lovinga?

- Aha.

Abe Fallow unikał prawienia banałów o tym, że przyjmując pochopne założenia, można wyjść na durnia, ale wbijał nam do głowy tę właśnie zasadę. Jeśli nawet w Wirginii Zachodniej zidentyfikowano człowieka wynajętego do porwania Kesslera jako Lovinga, nie mieliśmy żadnego obiektywnego dowodu na to, że to naprawdę on był napastnikiem. Aż do tej chwili.

- Zdjęliśmy też parę odcisków z taśmy, której użył do skrępowania Knoksa i jego żony - dodał Freddy. - Tylko częściowe, ale to on.

Widziałem i wyczuwałem, że moi podopieczni wpatrują się we mnie, czekając na informacje.

- A Knoksowie? - Bardzo nie chciałem przekazywać im wiadomości o śmierci kobiety.

- Oboje są cali i zdrowi, jeżeli o to pytasz.

- O to.

Przekazałem wiadomość Kesslerom.

- Och - odetchnęła Joanne i opuściła głowę. - Dziękuję - szepnęła. Ich dom nie sprawiał wrażenia religijnego, lecz Joanne chyba była i właśnie zaczęła odmawiać modlitwę.

- No i? - zapytałem Freddy'ego, co oznaczało: czy któreś z nich powiedziało coś jeszcze?

- Nic poza identyfikacją. Nie powiedzieliby nic, nawet gdybyśmy ich zamknęli i cały dzień puszczały przez głośniki wszystkie hity Captain and Tennille.

- Jakie wrażenie? - zapytałem, ignorując niepotrzebny żarcik.

- Naprawdę guzik wiedzą. Może udałoby się wyciągnąć z nich, jak był ubrany, ale do czego to nam potrzebne? Moim zdaniem do niczego.

Zapytałem go jeszcze, czy broń, którą Knox miał w ręku, może nas gdzieś doprowadzić.

Zaśmiał się gorzko.

- Ukradzona parę lat temu. Chłopcy z kryminalistyki obejrzeni samochód z góry, z dołu i w środku, przeczesał podwórko, kompost i pojemniki na śmieci w całej dzielnicy. I jeszcze kępę drzew, gdzie widziano jego współnika. Brak tropów. Nic, zero. Nie wiedzą nawet,

gdzie Loving i jego kumpel zaparkowali. Nie ma ani jednego śladu opon, nawet najdrobniejszego cholernego włókna. Mógłbym przysiąc, że przyjedzie tu dopiero za dwie godziny. Pomyliłem się czy co?

Przypuszczałem, że znam odpowiedź na pytanie, jakim cudem Loving zjawił się w Fairfaksie wcześniej.

- Pewnie zdobył haka na recepcjonistę w motelu w Wirginii Zachodniej i kazał mu powiedzieć, że Loving wymeldował się o ósmej, a naprawdę wyjechał o czwartej czy piątej rano.

- Masz u mnie cygaro, Corte. Wystarczyło, że podał facetowi imię jego córki i powiedział, do jakiej szkoły chodzi.

Loving przygotowywał się równie sumiennie jak Claire duBois.

I tak jak ja przed laty. Jego metodyczność i skrupulatność budziły we mnie perwersyjny podziw.

- Ale jasny sedan naprawdę należał do niego, bo widzieli go wcześniej inni świadkowie w motelu.

- Aha, jasne. - Dodał, że biuro terenowe w Charlestonie dokładnie sprawdziło jego pokój. - I nic.

Obejrzałem się, po czym wykonałem kolejną serię skrętów.

Ani śladu beżowego sedana. Nie działa się nic nadzwyczajnego. Miejscowi robili to co w każdą sobotę. Jechali do sklepów, do fast foodów, żeby sprawić sobie przyjemność po trudach zakupów, do kina, na mecz piłki nożnej swoich dzieci, na trening taekwondo.

- Jak sądzisz, Freddy? Prawdziwa akcja czy lipna? - Nie potrafiłem rozstrzygnąć, czego Loving próbował dokonać w domu Kesslerów. Naprawdę chciał nas zabić i uprowadzić Ryana razem z rodziną? A może to był sprytny manewr i zamierzał zrobić coś innego, czego nie umiałem się domyślić?

- Prawdziwa? - powtórzył z namysłem Freddy. - Chyba tak. Pewnie chciał szybko wejść, capnąć Ryana i dać nogę. I mogło mu się udać. Gdybyśmy wyszli z tyłu, jak chciał, byłoby po wszystkim. Już by nam pisali mowy pogrzebowe, a Kessler miałby drzazgi bambusa za paznokciami. A raczej jego żona... Aha, powiem ci jeszcze, synu, co myślę o siostrze. Psuje reputację blondynkom.

- Co teraz?

- Trzeba znaleźć dyspozytora. - Mówiłem Ryanowi, że prawdopodobnie stał się ofiarą przez pomyłkę, ale w to nie wierzyłem. Henry Loving nie popełniłby takiego błędu. Chciałem się dowiedzieć, kto

go wynajął i jakie Ryan miał informacje, które były tak cenne dla niego... albo dla nich.

Powiedziałem Freddy'emu, że zajmę się tym, kiedy dojedziemy na miejsce, i się rozłączyłem.

W tej samej chwili mój telefon znów zabrzęczał. Wysłuchałem numeru, który podał głos identyfikatora. Dzwonił prokurator federalny, Jason Westerfield. Pewnie dotarła do niego wiadomość - że jego policjant-bohater, główny świadek w sprawie, której jeszcze nie było, o mały włos nie został porwany w wyniku strzelaniny w okręgu Fairfax. Westerfield był ostatnią osobą na świecie, z którą miałem teraz ochotę rozmawiać. Nie odebrałem.

Zauważyłem, że Ryan patrzy w boczne lustro.

- Detektywie Kessler?

- Mów mi Ryan.

- Zgoda, Ryan. Dzięki, że osłaniałeś nas z boku. Byłeś kiedyś w brygadzie antyterrorystycznej?

- Nigdy. Pracowałem na ulicy. Można się niejednego nauczyć. - Był wyraźnie przegazony - omal nie zastrzelił sąsiada. Wciąż patrzył do tyłu. Ścisnął rękę rewolweru równie mocno jak ja kierownicę.

W samochodzie panowała posępna cisza. Byłem spokojniejszy, rozmyślając o operacji i próbując wejść w skórę Henry'ego Lovinga, by odgadnąć jego następny krok. Zwróciłem uwagę, że w dość krótkim czasie potajemnie przyjechał z innego stanu, znalazł zaufanego współnika, przedostał się do punktu docelowego, przeprowadził dokładne rozpoznanie okolicy, w której mieszkała ofiara, znalazł i wykorzystał najlepiej poinformowanych sąsiadów i zaryzykował atak w biały dzień, zgłaszając wcześniej fikcyjną strzelaninę na uczelni, żeby uniemożliwić wezwanie posiłków. Wykonał manewr mylący z użyciem sojusznika - polegający na wykorzystaniu jego pomyłki albo zmuszeniu go do ataku, podczas gdy prawdziwy przeciwnik uderzał z innej strony. Nie bał się oddać broni człowiekowi, który potencjalnie mu zagrażał - Teddy'emu Knoksowi.

Była to przydatna analiza, ale podobnie jak rzut oka na szachownicę w początkowej fazie partii, dawała jedynie zarys jego planu gry; miał do wyboru ogromną liczbę strategii.

Joanne kręciła głową, przyciskając do siebie torebkę, co zaobserwowałem u wielu obiektów. Znajome przedmioty dodają otuchy. Powiedziała do mnie cicho:

- Gdyby tam pana nie było...

Przypuszczałem, że ma na myśli los rodziny, lecz w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że uwaga jest także krytyką postawy męża, który z początku nie chciał przyjąć naszej pomocy. Przemilczała jednak ten temat. Jeśli nawet Ryan zwrócił na to uwagę, nie zareagował.

Po chwili spojrział na mnie.

- Chcę zadzwonić do Amandy.

- Nie ma sprawy. Tylko nie mów, gdzie jesteśmy.

Wyciągnął zimny telefon. Wy tłumaczyłem mu, jak obsługuje się aparat. Dodzwonił się od razu i zupełnie spokojnym głosem spytał ją, jak minęła podróż. Wreszcie poinformował ją, że mieli mały problem w domu. Cokolwiek usłyszała w wiadomościach, wszyscy są cali i zdrowi.

- Mały problem - powtórzyła Maree i zaśmiała się drwiąco. - To samo mówił kapitan Titanica. - Młoda kobieta otworzyła swoją dużą torbę, wyciągnęła plik czarno-białych fotografii i zaczęła je porządkować. To dobrze, pomyślałem. Niech się czymś zajmą. Niech liczą krowy za oknem. Niech szukają tablic rejestracyjnych spoza stanu.

Ryan przekazał telefon żonie. Joanne w rozmowie z pasierbicą także bagatelizowała zdarzenie, choć chyba trudniej jej było robić dobrą minę do złej gry. Słuchała przez chwilę.

- Nie wiem dlaczego, kochanie. Dowiemy się. Pan Corte... agent Corte na pewno się dowie... - Znów słuchała, a potem zaczęły rozmawiać o szkole, o jakichś koleżankach, o planowanym na Boże Narodzenie wyjeździe na narty.

Wykonałem ostry skręt. Znów rzut oka w lusterko; nikt za nami nie jechał. Zobaczyłem też grymas bólu na twarzy Maree i przez chwilę pomyślałem, że zrobiła sobie krzywdę podczas ucieczki. Zaraz sobie jednak przypomniałem, że widziałem na jej ramieniu bandaż elastyczny. Teraz go obejrzała, podwinąwszy rękaw.

- Maree, nic ci nie jest? - spytałem.

- Nic, tylko w zeszłym tygodniu uderzyłam się w rękę.

- Coś poważnego? - W moim głosie brzmiała nuta współczucia, ale pytałem o to, bo musiałem wiedzieć, czy jej uraz będzie miał wpływ na moje zadanie. Zbieracze jak dzikie zwierzęta od razu rzucali się na rannych. Leczenie złamania trwało co najmniej sześć tygodni.



- Nie. Ortopeda mówi, że to tylko brzydki krwiak. Fajne słowo. Brzmi bardziej seksownie niż „siniec”.

- Bardzo boli?

- Trochę. Nie jest tak źle. Ale wyciskam z tego, ile się da. - Zasmiała się, po czym wyjaśniła: - Robiłam zdjęcia w centrum Waszyngtonu i wpadł na mnie jakiś dupek z komórką przy uchu. Spadłam z paru schodków. Nawet mnie nie przeprosił. Zachowywał się, jakby mi chciał powiedzieć, fotki sobie pani pstryka, a ludzie próbują się dostać do prawdziwej pracy.

Nie interesował mnie powód urazu tylko stan jej zdrowia, mimo to Maree ciągnęła, głośno dając wyraz oburzeniu:

- Potem przez kilka dni tak mi się kręciło w głowie, że nie mogłam robić zdjęć. Powinnam zapisać sobie jego nazwisko i pozwać go. - Urwała. Po chwili spojrzała na mnie. - Panie przewodniku, mogę zadzwonić do znajomego? Proszę. Ślicznie proszę. - Znów szczebiotała.

- Do kogo?

- Tego faceta, u którego chciałam pomieszkać. Zanim Terminator pokrzyżował mi plany. Umówiłam się z nim na szóstą. Jak się nie zjawię, będzie się niepokoił.

- Mar, nie sądzisz, że lepiej nie dzwonić? - odezwała się Joanne. - Andrew sam się domyśli. Przecież agent Corte nie chciał, żebyś dzwoniła z automatu.

- Nie - odparłem. - Nie chciałem tylko, żebyśmy się tam dłużej zatrzymywali. Ale jeżeli chcesz zadzwonić, proszę bardzo. To nawet dobra myśl. Lepiej żeby nie jechał do waszego domu, skoro Loving już wie, gdzie jest.

Podaliśmy jej swój zimny telefon.

- Tylko proszę krótko. Nie mów nic, gdzie jesteśmy ani co się stało, jasne?

- No pewnie.

W tym momencie Maree przestała grać lekkomyślną panienkę i z ociąganiem wzięła telefon - chyba się zorientowała, że wszyscy będziemy słyszeć rozmowę. A może po prostu rzeczywiście nie chciała zmieniać planów. Wreszcie zadzwoniła. Zerkając w lusterko, zauważyłem, że jej ramiona zeszytywniały w napięciu. Po chwili jednak dostrzegłem zmianę w mowie jej ciała - rozluźniła się - i doszedłem do

wniosku, że połączyła się z pocztą głosową Andrew. Znów miała głos nastolatki.

- Cześć, to ja... hm, słuchaj, naprawdę mi przykro. Bardzo chcę się z tobą zobaczyć, ale okazuje się, że nie mogę przyjechać... Coś mi wypadło. Raczej coś poważnego. W rodzinie. To strasznie ważne, więc dzisiaj nie dam rady. Zadzwoń, jak tylko będę mogła. Na razie. Miłego dnia. I przepraszam.

Rozłączyła się i oddała mi telefon. Zdawało mi się, że drży jej ręka. Ni stąd, ni zowąd spytała siostrę o jej plany na Święto Dziękczynienia i zaczęły rozmowę, której wkrótce przestałem słuchać.

Ruch na drodze się zmniejszył i przyspieszyłem - ale ponieważ nikt nas nie gonił, pilnowałem, żeby wskazówka szybkościomierza nie przekraczała dozwolonej prędkości o więcej niż dziesięć kilometrów na godzinę. Moja organizacja nie używa rządowych tablic rejestracyjnych - wszystkie nasze samochody są zarejestrowane na kilkanaście firm i instytucji non profit - gdyby więc jakiś policjant namierzył nas radarem, kazałby się nam zatrzymać, narażając nas na kłopoty i niebezpieczeństwo.

Dobiegł mnie szept Ryana:

- Mogę o coś zapytać?

- Jasne.

- Tam pod domem było ich dwóch? Loving i jego wspólnik?

- Prawdopodobnie. Mogło być nawet trzech albo więcej, ale z profilu Lovinga wynika, że na ogół pracuje z jednym wspólnikiem.

- Chodzi mi o to... było pięciu agentów i ja. Mogliśmy go zdjąć.

Miał na myśli plan złapania Lovinga, jaki przedstawiłem mu przedtem.

Popatrzyłem na niego znacząco, po czym wróciłem spojrzeniem na drogę.

- Agenci w samochodzie nie byli zdolni do działania.

- Rzeczywiście, ale...

- Rozwazałem taką możliwość - ciągnąłem - ale byliśmy w niekorzystnej sytuacji. Bałem się, że weźmie jako zakładnika pana Knoksa albo innych sąsiadów. Stale włącza do gry niewinne osoby. To jego znak rozpoznawczy.

- Zdaje się - powiedział wolno. - Nie pomyślałem o tym.

Ryan wrócił do obserwowania drogi. Zerknąłem na niego ukradkiem i doszedłem do wniosku, iż nie ma pojęcia, że padł ofiarą podstępu.

Zgodnie z tym, czego uczył mnie mój mentor, a ja uczę Claire du Bois, trzeba sobie zadać pytanie: jaki jest mój cel i jakim najskuteczniejszym sposobem mogę go osiągnąć? Nic innego się nie liczy. Taka sama zasada panuje w świecie biznesu, medycyny, nauki, edukacji. A także w ochronie, która nie różni się od innych branż, jak powtarzał Abe. Frustracje, zranione uczucia, mściwość, szczęście, duma... wszystko to jest nieistotne.

*Znikasz. Nie masz uczuć, nie masz pragnień, nie czujesz uraz. Jesteś niczym. Wyparowujesz.*

Jednym z elementów skutecznego działania jest spokojny wybór strategii, dzięki której obiekty zrobią to, czego od nich oczekujesz. Niektórymi trzeba dyrygować; lepiej się wtedy czują. Innych trzeba przekonywać.

A innych po prostu oszukiwać.

Historyjka o tym, jakoby Ryan Kessler miał mi pomóc w ujęciu Henry'ego Lovinga, była wierutną bzdurą. Choć opierała się na prawdzie - oczywiście chciałem złapać Lovinga - była wyłącznie strategią, której użyłem, żeby zjednać sobie poparcie Ryana. Wybrałem tę metodę, kiedy go poznałem, a duBois przekazała mi szczegóły zdarzenia w barze, po którym stał się bohaterem. Fakt ocalenia klientów i późniejszy wątek miłosny same w sobie mnie nie interesowały; istotny był wpływ, jaki to zdarzenie miało na Ryana. Wcześniej aktywny, a dziś, z powodu urazu nogi zdjęty ze służby na ulicy, którą uwielbiał, został przeniesiony za biurko, gdzie zajmował się przestępstwami finansowymi i ślęczał nad bilansami. Musiałem uderzyć w jego czułą strunę: dotrzeć do jego duszy kowboja, duszy macho. Wyzaczyłem mu więc rolę partnera. Skoro zamierzałem się postarać, by nigdy nie musiał jej odegrać, można by sądzić, że traktuję go protekcyjnie, a nawet złośliwie. W pewnym sensie rzeczywiście tak było.

Ale znów pytanie: jaki jest cel i jakim najskuteczniejszym sposobem można go osiągnąć?

Musiałem go przekonać, że nie potrafię złapać Lovinga sam. Wydawało mi się, że trochę przesadziłem, ale najwyraźniej kupił tę bajeczkę. Technikę wykorzystania pragnień i słabości obiektów do narzucenia im swojej woli nazywaliśmy „odwróceniem na przynętę”. Nauczył mnie jej Abe Fallow. Oczywiście możliwość zwerbowania obiektu do pomocy w walce z nieprzyjacielem była nie do pomyślenia,

lecz różnica między detektywem Ryanem Kesslerem, którego ujrzałem w drzwiach półtorej godziny temu, a człowiekiem siedzącym obok mnie mówiła sama za siebie.

W tym momencie wyczułem u niego napięcie. Spojrzałem w lusterko wsteczne. Za nami znów pojawił się jakiś albo właśnie ten beżowy samochód. Jechał z taką prędkością jak my, czyli około pięciu kilometrów na godzinę więcej od dozwolonej.

Maree zauważyła, że obaj patrzymy to na drogę, to do tyłu.

- Co? - spytała, prostując się i patrząc na nas swoim poprzednim nieprzytomnym wzrokiem.

- Wcześniej widziałem samochód, który być może za nami jechał. Na jakiś czas zniknął, ale znowu jest.

Ryan spoglądał na mnie zniecierpliwiony.

Przyszła pora decyzji.

I podjąłem ją. Zdejmując nogę z gazu, zwolniłem, żeby beżowy samochód podjechał bliżej. Potem, oglądając się za siebie, rozkazałem stanowczo:

- Szybko, celuj w niego!

## Rozdział 8

Ryan Kessler osłupiał.

- W kierowcę? W samochód? Może w koła?

- Nie, nie - zaprzeczyłem pospiesznie. Nie mówiłem do niego, ale do kobiety, która patrzyła mi w oczy w lusterku wstecznym. - Maree, wyceluj w niego aparat i zrób zdjęcie tablicy rejestracyjnej.

Jej canon był wyposażony w imponujący teleobiektyw. Chciałem znać numery wozu, ale był za daleko, by je odczytać gołym okiem.

- Aha. - Ryan opadł na siedzenie, wyraźnie zawiedziony.

Maree ustawiła aparat, odwróciła się do tyłu i pstryknęła zdjęcie.

Usłyszałem trzask migawki jednoobiektywowej lustrzanki, zastanawiając się, czy to po prostu efekt dźwiękowy jednego z wszechobecnych dzisiaj cyfrowych modeli.

Po chwili patrzyła w ekran wyświetlacza.

- Da się odczytać numer.

- Dobra robota. Zaczekaj. - Zadzwoiłem do Freddy'ego i poinformowałem go, że musi mi natychmiast sprawdzić jedną rejestrację.

Maree podała mi litery i cyfry, które powtórzyłem do telefonu. Ryan patrzył do tyłu, znów ściskając rękojeść broni. Niecałe sześćdziesiąt sekund później Freddy odezwał się ponownie. Śmiał się.

- Wóz zarejestrowany na niejakiego Jimmy'ego Chunga. Właściciela restauracji w Prince William. Jego syn rozwozi ulotki reklamowe lokalu. Znalazłem telefon chłopaka i zadzwoniłem. Mówi, że jedzie za szarym wozem terenowym - który notabene warto byłoby umyć - i zdawało mu się, że ktoś właśnie zrobił mu zdjęcie, co nie bardzo mu się podoba. Mają niezłe menu, Corte. Ich specjalność to kurczak generała Tso. Naprawdę był jakiś generał Tso?

- Dzięki, Freddy.

Rozłączyłem się i zobaczyłem, że patrzą na mnie wszyscy pasażerowie.

- Nie ma zagrożenia. To dostawca chińskiego jedzenia.
- Może coś zamówimy? - zaproponowała po chwili Maree.

Jej siostra parsknęła krótkim śmiechem. Ryan zachowywał się, jakby nie usłyszał.

Ponieważ beżowy samochód okazał się niegroźny, nieco się odprężyłem i poddałem rytmowi drogi. Lubię prowadzić. Jako nastolatek nie miałem własnego samochodu, ale mój ojciec, prawnik w firmie ubezpieczeniowej, zresztą bardzo dobry, zadbał o to, żebym się nauczył dobrze i bezpiecznie jeździć. Kiedy człowiek przekonał się, że większość ludzi na drodze to idioci - a ojciec wiedział o tym z pierwszej ręki - i zastosował odpowiednie środki ostrożności, mógł czerpać z jazdy naprawdę dużo przyjemności.

Ojciec miał volvo i twierdził, że to najbezpieczniejszy pojazd na autostradzie.

W każdym razie lubiłem siedzieć za kierownicą. Właściwie nie wiedziałem dlaczego. Na pewno nie chodziło o prędkość. Byłem dość rozważnym kierowcą. Może raczej o to, że kiedy prowadziłem samochód jako owczarek, wioząc swoje obiekty, stanowiliśmy ruchomy cel, w związku z czym byliśmy - przynajmniej odrobinę - bardziej bezpieczni. Choć oczywiście nie zawsze. Henry Loving złapał i zabił Abe'a Fallowa podczas konwojowania obiektu. Podczas incydentu z ciężarówką firmy drobiowej w Karolinie Północnej.

Odsunąłem od siebie to wspomnienie.

W tym momencie jechaliśmy na zachód, co rusz przecinając granicę okręgów Fairfax i Prince William. Mijaliśmy centra handlowe zwieńczone wieżami w stylu Tudorów, w których królowały sklepy wielkich hipersieci i restauracje fast food z nastoletnią obsługą, odliczającą godziny do zamknięcia lokalu; komisje z rzędami lśniących garbów samochodów, których zalety zachwalano z wykrzyknikami; gabinety lekarskie i agencje ubezpieczeniowe, czasem jakiś antykwariat w pięćdziesięcioletnim parterowym budynku, sklepy z bronią, z alkoholem. Gdzieś jakąś chylącą się stodołę. Jakiś wyższy budynek w kompleksie biurowców pretendujący do miana wieżowca.

Północna Wirginia nigdy nie potrafiła zdecydować, czy jest przedmieściem Nowego Jorku, czy członkiem Konfederacji Południa.

Sprawdziłem czas. Parę minut po wpół do drugiej. Byliśmy w drodze

niecałe dwie godziny. Postanowiłem nie jechać bezpośrednio do schronu, ale zrobić postój w pobliskim motelu, by zmylić trop i zmienić samochód. Często transportuję obiekty w dwóch etapach. Zatrzymujemy się na trzy czy cztery godziny, a potem ruszamy w dalszą drogę. Moja organizacja ma listę kilkunastu bezpiecznych i położonych z dala od drogi hoteli i moteli w okolicy; ten, który miałem na myśli, był chyba najlepszy.

Rozglądając się na drodze, wcisnąłem przycisk szybkiego wybierania w telefonie.

- DuBois.

- Kim jesteśmy w Hillside? - zapytałem ją.

Mamy różne przykrywki w każdym z naszych zajazdów. Nawet kiedy na pewno wiem, zawsze pytam.

Usłyszałem stukot klawiatury, pobrząk wisiorów na bransoletce. Po chwili Claire powiedziała:

- Jesteś Frank Roberts, dyrektor sprzedaży w Artesian Computer Design. Osiem miesięcy temu spędziłeś tam dwa dni z Pietrem Smolitzem i jego przyjaciółką. - Ostatnie słowo wymówiła lodowatym tonem; duBois zdążyła sobie wyrobić własne zdanie na temat wyniosłej kochanki informatora, która mu towarzyszyła. - Roberts, to znaczy ty, spotykałeś się z potencjalnymi klientami w Tysons Corner i Reston razem ze swoim kolegą z Moskwy. Dziura w ścianie po kuli została załatana, zanim ją zauważyli.

- To pamiętam. - Nie zostaliśmy zaatakowani. Zwariowany Rosjanin miał ukrytą broń, którą wyciągnął po spożyciu znacznej ilości wódki, którą też przemycił. Pistolet z tłumikiem wystrzelił przypadkowo, ale mój paralizator, którego elektrody trafiły go w plecy, już nie.

- Jadę tam - powiedziałem do duBois. - Zadzwoń za dwadzieścia minut.

- Za dwadzieścia. W porządku.

Po paru minutach zwolniłem, włączyłem kierunkowskaz i skręciłem w długi podjazd Hillside Inn. Białe budynki w stylu kolonialnym z dwuspadowymi dachami, zdobione sztukaterią, stały pośrodku dwóch hektarów starannie zaprojektowanego terenu, w otoczeniu geometrycznych trawników, przyszczyżonych drzew, angielskich ogrodów i wciąż kwitnących róż. Wątpiłem, czy Joanne jest w odpowiednim nastroju, aby podziwiać ten widok, ale zważywszy na jej zainteresowanie

ogrodnictwem, miałem nadzieję, że go doceni. Mimo sarkastycznych uwag Maree mam w sobie coś z przewodnika, jeśli tylko odnoszę z tego korzyść i mogę jakoś zająć uwagę obiektów.

Motel Hillside, czyli „zбочe”, rzeczywiście stał na stoku wzniesienia, choć bardziej u jego stóp, a z tyłu miał szczerę pole. Po prawej rozciągał się anemiczny lasek, ale każdy cyngiel albo zbieracz musiałby się nieźle natrudzić, by zbliżyć się tu z pewnej odległości i nie zostać zauważonym.

Z podjazdu skręciłem w prawo i przeciąłem parking, zmierzając na tyły motelu i omijając duże okna holu. Zaparkowałem, polecając wszystkim, aby zostali w samochodzie. Skierowałem się do zwieńczonego łukiem tylnego wejścia między dwoma skrzydłami pokoiów i ruszyłem do recepcji. Na parkingu stały dwadzieścia dwa samochody. Mam skaner z bezpośrednim połączeniem z bazą danych wydziału komunikacji, ale sprawdzenie tyłu aut wymagało czasu i mogłoby wzbudzić podejrzenia. Poza tym w swojej karierze nigdy nie spotkałem zbieracza ani cyngla, który przed zajazdem czy schronem zaparkowałby wóz na tablicach, które mogłyby go zdradzić.

Przejrzałem dziesięć kart kredytowych w portfelu, wystawionych na różne firmy i osoby, i znalazłem Artesian MasterCard Franka Roberta. Artesian to prawdziwa firma - w każdym razie zarejestrowana - i ma imponującą witrynę internetową. Gdybyśmy naprawdę chcieli wejść na rynek oprogramowania komputerowego, mielibyśmy już długą listę potencjalnych klientów, którzy pisali do nas e-maile. Moja organizacja dysponuje paroma podobnymi firmami krzakami, a specjaliści tacy jak duBois nieźle się bawią, pisząc materiały informacyjne na temat każdej z nich, włącznie z biogramami prezesów, informacjami o konferencjach dotyczących sprzedaży organizowanych w egzotycznych miejscach, a nawet o kampaniach reklamowych. Owczarki poświęcają wiele godzin na zapamiętanie tych wszystkich danych, aby móc w wiarygodny sposób przeprowadzić choćby krótką rozmowę o projektowaniu komputerowym, hydraulice lotniczej, delikatesowych mięsach i serach oraz mnóstwie innych produktów i usług - podobno recytowałem te wyuczone teksty niezbyt kusząco, a nawet nudno, zniechęcając rozmówców do dalszych dociekań. I oczywiście o to chodziło.

Meldując się, nie zauważyłem niczego niecodziennego w zachowaniu recepcjonisty i boya, po czym wróciłem do nissana. Na parkingu nic



nie budziło moich podejrzeń.

Otworzyłem drzwi od strony kierowcy i poleciłem pasażerom:

- Weźcie rzeczy.

- Myślałam, że się tu nie zatrzymujemy - powiedziała Maree.

- Zostaniemy na chwilę. Zmieniamy samochód.

- Uważasz, że to konieczne? - spytał Ryan.

- Na wszelki wypadek. - Jeżeli ochrona osobista ma swoją mantrę, to na pewno taką.

- Weźmiemy gorącą kąpiel? - zapytała Maree. - Najlepiej z przyzwoitym masażystą imieniem Raoul?

- Niestety, będziecie musieli zostać w środku - powtórzyłem.

Mina Maree była niema wersją wcześniejszych uwag na temat mojego zachowania jako przewodnika.

Szybko zaprowadziłem ich do apartamentu z dwiema sypialniami, najlepszego w Hillside Inn z punktu widzenia taktyki obrony, ponieważ za oknami nie było żadnego miejsca na gniazdo snajpera. Joanne obojętnie rozejrzała się po pokojach. Jej siostra wyglądała na autentycznie rozczarowaną widokiem małych, skąpo umeblowanych pokojków. Może sądziła, że rząd federalny powinien przeznaczyć więcej środków na jej zakwaterowanie. Ryan jak funkcjonariusz brygady antyterrorystycznej otworzył drzwi do łazienek i szafek, potem podszedł do okna i ostrożnie je odsłonił, by wyrzeć na zewnątrz. Zobaczył goły mur - boczną ścianę sali bankietowej. W jego ruchu było coś buńczucznego, jak gdyby po drugiej stronie szyby spodziewał się ujrzeć Lovinga.

Widok muru z szarych pustaków zamiast złoczyńcy, którego mógłby zastrzelić, wyraźnie go rozczarował. Mimo wszystko orzekł:

- Niezłe miejsce. Można się bronić.

Przytaknąłem.

- O, mogę wziąć ten pokój? - spytała Maree, wskazując na większą sypialnię. Wzruszyłem ramionami. Mieli tu tylko wziąć prysznic i zdrzemnąć się, gdyby chcieli odpocząć. Sam nie zamierzałem korzystać z pokoju. Kesslerowie zgodzili się i młoda kobieta ruszyła do sypialni.

Telefony nie działają - powiedziałem. Zwolniła kroku. Miałem wrażenie, że chciała przeprowadzić dłuższą i bardziej prywatną rozmowę ze swoim przyjacielem Andrew. Nadaśała się jednak teatralnie, mówiąc:

- W takim razie sam będzie mi pan musiał umówić masażystę, panie przewodniku. - Puściła oko i zniknęła za drzwiami.

Spoglądając ze zniecierpliwieniem za szwagierką, Ryan uniósł swój zimny telefon.

- Mogę zadzwonić do szefa?

- Oczywiście. Tylko nie wspominaj o naszej lokalizacji.

Skinął głową. Wziął plecak i wstukując numer do telefonu, wszedł do drugiej sypialni, zamykając za sobą drzwi nogą.

Zostałem w salonie sam z posępną Joanne, która włączyła telewizor i zaczęła przerzucać kanały. Nie podawano żadnych informacji o napadzie na jej dom, był tylko krótki materiał o fałszywym alarmie i rzekomej strzelaninie na Uniwersytecie George'a Masona.

- Jakim cudem to nie przeciekło do dziennikarzy? - zdziwiła się.

- Nie wiem - odparłem.

Ale wiedziałem: to zasługa Aarona Ellisa, mojego szefa. Nigdy nie był owczarkiem jak ja. Zajmował się administracją w federalnych agencjach bezpieczeństwa i miał rozeznanie w stosunkach panujących w Kongresie, doświadczenie w utarczkach budżetowych... oraz kontaktach z mediami. Kiedy sześć lat temu zginął Abe Fallow, mówiło się, że to ja mam przejąć kierownictwo organizacji; byłem protegowanym Abe'a. Ale dla mnie oznaczałoby to mniej pracy w terenie, a tego nie chciałem. Tak więc decydenci rozejrzeli się i znaleźli Ellisa, który nieźle sobie radził w Langley.

Nie do końca pojmował subtelności pracy owczarków, ale jeżeli chodziło o cenzurowanie wiadomości, które mogłyby nas stawiać w niekorzystnym świetle, był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Mimo że nie potrafił wyciąć wszystkich relacji o napadzie w spokojnej przedmiejskiej dzielnicy, mógł trochę przetrzymać informację o zdarzeniu i przedstawić ją jako na przykład nieudane włamanie.

Oczywiście umiejętności Ellisa stanowiły dla mnie zagadkę, tak jak moje dla niego, i nigdy nie zrozumiałem, na czym polega jego magiczny dar. Przypuszczałem, że jedną z tajemnic było wynajdywanie haków, czyli używanie tej samej broni co Henry Loving. Ja też czasem z niej korzystałem.

Podobnie zresztą jak prawie każdy z nas.

Joanne siedziała zgarbiona, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ekran. Nie miała makijażu. Nosiła tylko zegarek, obrączkę i

pierścionek zaręczynowy, natomiast Maree, jak zauważyłem, chodziła przystrojona mnóstwem krzykliwej biżuterii. Joanne obejrzała złamany paznokciec. Wszystkie były krótkie, a na ręce miała liczne zadrapania. Zapewne praca w ogrodzie stała się pasją jej życia. Przypuszczałem, że stworzyła coś ładnego, ale nie oceniałem ogrodu pod względem estetycznym, tylko patrzyłem na niego wyłącznie w kategoriach możliwości obronnych i stanowisk ogniowych. Nie rozumiem i nie umiem docenić roślinności.

Podszedłem do okna, zerknąłem przez zasłonę na mur z pustaków i zadzwoniłem do Aarona Ellisa. Przekazałem mu najnowsze wiadomości z drogi, nie zdradzając jednak, gdzie jesteśmy i do którego z kilkudziesięciu schronów w rejonie jedziemy. Obowiązywała tu zasada, zgodnie z którą przekazujemy sobie tylko informacje niezbędne do działania. Gdyby miał nam pomóc inny owczarek lub któryś z agentów Freddy'ego albo - jak właśnie miało się zdarzyć - nasz transportowiec miał dostarczyć nowy wóz, ujawniłbym miejsce. Zawsze jednak staram się ograniczać do minimum liczbę osób, które wiedzą, gdzie się znajdują obiekty.

Nie chodzi o to, że nie ufam współpracownikom, ale nie mam cienia wątpliwości, że gdyby Henry Loving znalazł drogę do mojego szefa, zrobiliby wszystko, żeby ustalić miejsce pobytu obiektów. Ellis miał uroczą żonę Julię i troje dzieci, między którymi była różnica dokładnie czternastu miesięcy, a najstarsze miało osiem lat. Loving potrafiłby skłonić Ellisa do ujawnienia miejsca pobytu obiektów w ciągu dziesięciu minut.

Absolutnie nie miałem mu tego za złe. W podobnych okolicznościach też bym ich wydał. Gdy wstępowałem do organizacji, sam Abe Fallow powiedział mi:

- Posłuchaj, Corte. Zasada numer jeden, o której nie mówimy nikomu innemu, brzmi: twoje obiekty w gruncie rzeczy przypominają przesyłki. Są jak tuzin jaj, jak kryształowe wazy albo żarówki. To towar. Ryzykujesz życie, żeby byli bezpieczni. Ale nie poświęcasz dla nich swojego życia. Pamiętaj o tym.

Ellis zadał mi parę pytań, ale wyczułem, że chodzi mu po głowie co innego, więc go uprzedziłem.

- Dzwonił Westerfield.
- Wiem. Powiedział, że nie odebrałeś... Może nie zdążyłeś?
- Nie, nie chciałem odebrać. Uznałem, że na razie nie mogę go do

tego mieszać, Aaron. Mógłbyś go trzymać z daleka ode mnie?

- Tak. - Było to jednak bardzo odporne „tak”. - Po prostu od czasu do czasu daj mu znać, co się dzieje - dodał.

- A nie mogę dać znać tobie, a ty mu powtórzysz?

- Wystarczy mu krótki telefon. Korona ci z głowy nie spadnie - upomniał mnie tonem starszego brata, który radzi młodszemu zadzwonić do mamy z życzeniami urodzinowymi.

Dałem za wygraną i się zgodziłem.

- Wiadomo już, gdzie może być Loving? - spytał Ellis.

- Nie.

- Co ze współnikami?

- Potwierdziliśmy, że ma jednego. Jest ogólny rysopis. - Opisałem wysokiego, rudawego blondyna, którego widziano pod domem Kesslerów. - Nie wiemy o nim nic więcej. Słuchaj, Aaron, powinienem kończyć. Chcę pogadać z Ryanem o jego sprawach. Zbieracz zniknął nam z oczu, więc naprawdę muszę spróbować znaleźć dyspozytora.

Kiedy się rozłączyliśmy, Ryan spytał, czy może zadzwonić do córki. Pozwoliłem. Zaczął mówić wyraźnie ożywionym tonem, jaki ludzie przybierają, rozmawiając z własnym dzieckiem. Zerknąłem na jego twarz i zobaczyłem wzrok pełen troski i czułości. Odwróciłem się. Z jednostronnej rozmowy wywnioskowałem, że u nich wszystko w porządku i oswiają się z domem na wsi jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na północny zachód od nas. Po południu wybierali się na ryby.

Joanne wzięła słuchawkę i dalej udawała wesołość przed Amandą. Obiecała jej zadzwonić w poniedziałek do szkoły i usprawiedliwić jej nieobecność. Wyglądało na to, że dziewczyna naprawdę martwi się, że nie będzie mogła pójść do szkoły i uczestniczyć w przeróżnych zajęciach pozalekcyjnych.

Amanda przypominała mi mnie samego, gdy byłem w jej wieku. Naprawdę lubiłem chodzić na lekcje. Podobała mi się precyzja i ścisłość nauki i egzaminów. Szybko się nudziłem - zresztą nadal tak jest - a szkoła początkowo była dla mnie uciążliwym obowiązkiem. Ale gdy zacząłem traktować przedmioty jak serię coraz bardziej skomplikowanych gier, intensywnie poświęciłem się nauce. Kiedyś mój ojciec chciał, żebym przyszedł z nim do biura na jakąś świąteczną imprezę. Cieszyłem się, że mnie zaprosił, ale powiedziałem mu, że jestem chory. Po jego wyjściu, gdy matka jeszcze spała, odrzuciłem pościel -

byłem kompletnie ubrany - i poszedłem do szkoły. To jedyny znany mi wypadek, że uczeń udawał chorobę, żeby iść na lekcje.

Mało brakowało, żebym został pracownikiem naukowym. Do pracy w ochronie trafiłem tylko przez splot okoliczności.

- Proszę mi dać Billa - szepnąłem do Joanne.

Skinęła głową i kończąc rozmowę z pasierbicą, poprosiła go do telefonu. Następnie podała mi komórkę.

- Tu Corte.

- Witam. Rozmawiałem ze znajomym z centrum - powiedział Carter. Domyśliłem się, że ktoś z policji stołecznej poinformował go, co się stało pod domem Kesslerów. - Niech się pan nie obawia, dzwoniłem ze swojego niezwykle nowego telefonu. Zdaje się, że ominęła nas ciekawa impreza. - Mówił eufemizmami, ponieważ zapewne słuchała go dziewczyna.

- Podszedł dość blisko. Nikt nie ucierpiał.

- Tak słyszałem - odparł Carter. - Nikt nie wie, gdzie jest nasz znajomy.

- Istotnie.

Zaśmiał się. Czasem upominano mnie, że używam sztywnego albo staroświeckiego języka. Staram się po prostu wyrażać się precyzyjnie. Poza tym kiedy człowiek ma dwadzieścia parę lat - kończąc college - mówi już tak, jak się nauczył. Nie warto próbować tego zmieniać. To się nie udaje. Zresztą po co?

- Mamy informacje, że nic o panu nie wie - dodałem.

- To akurat dobrze.

- Jak minęła droga? - zapytałem.

- Bez przygód. Zgubiłem się. Trzy albo cztery razy widzieliśmy te same miejsca.

W ten sposób mówił mi, że kluczył.

- Dobrze. Proszę cały czas zajmować czymś Amandę i nie pozwalać jej zbliżyć się do telefonu stacjonarnego.

- Aha. Właśnie sobie przypomniałem, że linia jest uszkodzona. Stary detektyw zaczynał mi się podobać.

- Dzięki.

- Niech pan ich dobrze pilnuje, Corte.

- Pilnuję.

Usłyszałem zagadkowy chichot.

- Nie wziąłbym pańskiej roboty za żadne pieniądze.

## Rozdział 9

Ryan wyszedł z sypialni, niosąc przybory do golenia, umyty i przebrany w czystą koszulę.

I po drinku. Przypuszczałem, że to był burbon. Spora ilość.

Od czasu do czasu lubię się napić wina albo piwa, muszę jednak przyznać, że alkohol dekoncentruje i ogłupia człowieka. Mogę to udowodnić. Kiedy gram w grę planszową, która nie polega na wypadku, ale wymaga umiejętności - jak szachy, arimaa czy wei-chi - i nieszczęśliwie zależy mi na rywalizacji, mogę sobie pozwolić na kieliszek wina. Liczba sukcesów, jakie zawdzięczałem odważnej i nieprzewidzianej strategii zainspirowanej wykwintnym cabernetem, jest znacznie niższa od błędów popełnionych przez odrobinę alkoholu.

Picie Ryana było kolejnym elementem, który musiałem uwzględnić w planie ochrony, obok skłonności do chwytania za broń i przyjętej przez niego roli obrońcy rodziny. Ocenilem sytuację: miałem uzbrojonego, pijącego gliniarza z kompleksem bohatera, kobietę w szoku - którego jeszcze sobie nie uświadamiała - i wściekłą na męża za to, że sprowadził na rodzinę nieszczęście (o tym też nie wiedziała) oraz rozszczebiotaną, nieodpowiedzialną siostrę bez poczucia własnej wartości, która przeskakiwała z paniki w irytującą paplaninę i odwrotnie.

Oczywiście każdy z chronionych przeze mnie obiektów miał swoje wady czy słabostki - ja też je mam - i jeśli ich dziwactwa rzutują na moją pracę, staram się je równoważyć; jeżeli nie, przestaję o nich myśleć i skupiam się na pracy. Jesteśmy przecież owczarkami, nie rodzicami.

Joanne także zauważyła prawdziwy cel wyjścia męża do sypialni, ale nie skomentowała tego ani słowem, a tym bardziej nie wymieniła ze mną spojrzenia.

Zaparzyłem kawę i naląłem sporą porcję do styropianowego kubka. Zaproponowałem Ryanowi, żebyśmy pogadali jak glina z gliną, i usiedliśmy razem w rogu salonu. Zanim zdążyłem się odezwać, Ryan wyznał:

- Słuchaj, Corte, myliłem się. Mówię o tym, co powiedziała Jo. Gdyby cię tam nie było, mogłoby... nawet nie chcę o tym myśleć, co by się stało.

A więc jednak usłyszał żonę.

Skwitowałem podziękowania skinieniem głowy, zauważając, że po whiskey nie zrobił się agresywny, lecz sympatyczny i sentymentalny. Gdyby nie rewolwer w kaburze na biodrze, mógłbym go nawet namówić na drugą kolejkę.

Mówił na tyle głośno, żeby słyszała go Joanne, więc uznałem, że równocześnie chce ją przeprosić, choć nie wprost.

- Wiem, że twoim zdaniem to pomyłka - powiedziałem - ale gdyby się miało okazać, że nie, chcę się dowiedzieć, kto wynajął Lovinga.

- Znaleźć dyspozytora - odrzekł. - Słyszałem fragment twojej rozmowy. Tak ich nazywacie?

- Owszem.

- Z początku myślałem, że to kompletna bzdura, ale po tym, co się stało w domu... no bo po co ktoś miałby sobie zadawać tyle trudu, gdyby nie był przekonany, że coś wiem.

- Nie, nie Henry Loving. - Wyjaśniłem, że zawsze staramy się dotrzeć do dyspozytora. - Kiedy trafia do aresztu, zwykle uzyskujemy informacje, które doprowadzają nas do zbieracza. Albo zbieracz znika, bo zależy mu wyłącznie na zapłacie. Skoro dyspozytor jest za kratkami, zbieracz nie dostanie reszty honorarium. Wtedy po prostu zwiewa.

- W tym momencie mam tylko dwie poważne sprawy.

To wszystko?, zdziwiłem się. Policjant w jego wieku, z takim doświadczeniem, w mieście takim jak Waszyngton w zwykłych okolicznościach byłby zawałony mnóstwem otwartych spraw.

- Podaj mi szczegóły - poprosiłem. - Każę je komuś sprawdzić. Ostrożnie, żeby nie przeszkadza ci w śledztwie.

- Ale w całej karierze musiałem przymknąć setkę sprawców. Nie, chyba więcej. To może być zemsta.

Przecząco pokręciłem głową.

- Nie sędzę.



- Dlaczego?  
- Po pierwsze, Loving nie chce cię zlikwidować. Chce informacji. Poza tym pracowałeś na ulicy, zgadza się?

- Tak.

- Jak często motywem była zemsta? I kto był przestępcą?

Ryan zastanowił się przez chwilę.

- Chyba tylko kilkanaście razy. To byli zwykle zazdrośni kochankowie albo jeden członek gangu ulicznego chciał się porachować z drugim, który go sypanął. Masz rację, Corte, to chyba nic z tych rzeczy.

- Powiedz mi coś o tych sprawach.

Pierwsza dotyczyła sfałszowanego czeku wystawionego do rachunku człowieka pracującego w Pentagonie.

- Ofiara nazywa się Eric Graham. To cywilny analityk. - Ryan wyjaśnił, że mężczyźnie skradziono książeczkę czekową z samochodu w centrum stolicy. Sprawca był sprytny. Zwrócił uwagę na saldo Grahama i wypisał czek na prawie całą kwotę, po czym przesłał go na anonimowy rachunek płatniczy w Internecie. Kiedy czek został rozliczony, fałszerz kupił u dilerów złote monety, które zostały przesłane do skrytki pocztowej. Potem je odebrał i najprawdopodobniej sprzedał za gotówkę. To był zręczny plan wyprania pieniędzy. Sprawca nigdzie nie musiał osobiście pokazywać czeku, tylko odebrać monety w prywatnej firmie wynajmującej skrytki.

- Biedaczysko - powiedział Ryan. - Wiesz, ile miał na koncie? Właśnie wpłacił czterdzieści tysięcy.

Joanne siedziała niedaleko nas, patrząc w ekran przyciszonego telewizora, ale najwyraźniej słuchała naszej rozmowy.

- Tyle pieniędzy na bieżącym rachunku? To trochę podejrzane, nie sądzisz?

Przypomniałem sobie, że pracowała jako statystyk, więc zapewne świetnie radziła sobie z liczbami, co sugerowało, że prawdopodobnie zajmowała się domowym budżetem. Z jej słów wynikało też, że dotąd nie słyszała o tej sprawie. Dziwne, bo z doświadczenia wiedziałem, że mężowie i żony często rozmawiają o pracy. Zaraz jednak przypomniałem sobie o jej wrażliwości na ciemną stronę życia; może w łóżku niechętnie poruszała nawet temat przestępstw finansowych.

Ale jej mąż odparł, że wyjaśnił tę kwestię.

- Właśnie sprzedał jakieś akcje i przelał pieniądze na konto, żeby

zapłacić chesne syna na uczelni z Ligi Bluszczowej. Termin płatności wypadał tydzień po fałszerstwie.

- Były jakieś tropy? - spytałem.

- Sprawa trafiła do mnie dziesięć dni temu. Niewiele na razie ustaliłem. Skrytka, do której przesłano monety, była w New Jersey. Odebrał je dwudziestoparoletni Azjata. Poszedłem tym tropem z policją Newarku, ale... sam rozumiesz. Mają na głowie znacznie ważniejsze rzeczy, żeby przejmować się lewym czekiem. - W Newarku pieńły się gangi i działał jeden z największych rynków narkotykowych na całym Wschodnim Wybrzeżu.

- Sprawdzałeś, nad czym pracował? - spytałem.

- Kto?

- Ofiara, ten człowiek, któremu skradziono książeczkę czekową.

Ryan utkwiał wzrok we włochatym dywanie.

- W Pentagonie?

- Tak.

- Właściwie nie. Dlaczego pytasz?

W jego głosie znów zabrzmiał obronny ton.

- Zastanawiam się, czy przypadkowo został ofiarą, czy go namierzono.

- No, wyglądało na to, że przypadkowo. Stłukli szybę i ukradli torbę sportową. Jakieś ciuchy, nic ściśle tajnego.

Zapytałem go o szczegóły, nazwiska, numery telefonów, adresy. Otworzył swoją pękatą aktówkę, wypełnioną setkami papierów, i znalazł szarą kopertę. Podał mi informacje, o które pytałem. Znów go zapewniłem, że nie będziemy utrudniać mu śledztwa.

- Dzięki.

- A twoja druga duża sprawa?

- Piramida finansowa - odrzekł.

- W stylu Madoffa.

- Na znacznie mniejszą skalę. Ale koncepcja jest taka sama. Mógłby wyrządzić chyba tyle samo szkód, oczywiście w innych proporcjach. Madoff zrujnował życie wielu bogatym ludziom. Mój podejrzany mógł zrujnować życie wielu biedakom. Moim zdaniem to jeszcze gorsze. Nie mają nic w zapasie.

Wyjaśnił, że doradca inwestycyjny, którego dotyczyło śledztwo, został oskarżony o żerowanie na osobach o niskich dochodach, głównie w części stolicy zamieszkaney przez mniejszości.

- Jak się nazywa podejrzany?
- Clarence Brown. Jest pastorem.

Uniosłem brew.

- Wiem. Być może naprawdę, ale to też dobra przykrywka do przyciągnięcia inwestorów, zwłaszcza w tej części miasta. Dyplom z teologii dostał pocztą. - Ryan dodał, że był zaskoczony odkryciem, że podejrzany ma niemal tysiąc klientów, więc choć każdy z nich wnosił niewielką kwotę, powstała z nich dość znaczna suma.

W ciągu ubiegłego miesiąca kilku klientów usiłowało wycofać swój wkład, ale Brown grał na czas, przedstawiając im kolejne wymówki - klasyczny symptom piramidy finansowej. Klienci złożyli skargę na policję i sprawa wyładowała na biurku Ryana. Na podstawie zeznań kilkunastu ofiar zaczął rekonstruować zasady działania przedsięwzięcia Browna. Opóźnienia w odzyskaniu pieniędzy, jak tłumaczył Brown Kesslerowi, to tylko problem techniczny związany z charakterem wybranych przez niego inwestycji. Doradca nie miał życia usłanego różami. Skromne biuro znajdowało się w klitce przy ulicy na południowym wschodzie Waszyngtonu. Brown mieszkał w kamienicy czynszowej na tej samej ulicy.

- Ciekawe - powiedziałem. - Jeżeli w grę wchodzi naruszenie przepisów o obrotach papierami wartościowymi, dlaczego zajmuje się tym policja stołeczna.

Ryan uśmiechnął się kwaśno.

- Bo to drobnica - przestępstwo i ofiary. Dlatego sprawę dostaje glina od drobnicy.

Zapadło niezręczne milczenie.

Jeszcze raz pogrzebał w przepastnej aktówce. Wydobył dokumenty i zanotowałem najważniejsze informacje na temat śledztwa.

- Nie masz żadnych innych spraw, których to może dotyczyć?

Znów wzruszył ramionami.

- Mówiłem już, ostatnio mam zastój. Reszta to małe sprawy. Oszustwa z użyciem kart kredytowych, kradzież tożsamości. Wszystko o niewielkie pieniądze. Prawie same wykroczenia. - Wyciągnął notes i zapisał szczegóły. - Gry o małą stawkę. - Wzruszył ramionami. - I tyle.

Podziękowałem mu skinieniem głowy.

- Na pewno skorzystamy z tych informacji. Zaraz każę się tym komuś zająć.

Zabrałem swoje notatki do stolika w rogu, włączyłem lampę - przy opuszczonych roletach i zaciągniętych zasłonach w pokoju panował półmrok - i zadzwoniłem.

- DuBois.

- Claire, mam coś o sprawach prowadzonych przez Kesslera. Chcę ustalić, czy ktoś związany z nimi - podejrzany, świadek, ofiara, ktokolwiek - może być dyspozytorem Lovinga. Zacznij zbierać informacje o wszystkich.

- W porządku, jestem gotowa.

DuBois jest dwanaście lat młodsza ode mnie - za mało, żeby mi mówić per pan, a za dużo, żeby mi mówić „Corte”. Najczęściej wybiera pierwszą formę albo zwraca się do mnie bezosobowo.

Przekazałem jej szczegóły śledztw, które prowadził Ryan Kessler.

- W tej sprawie sfalszowanego czeku facet pracuje w Departamencie Obrony - powiedziała. - To może być trudne. Czasami ma się do czynienia z wojskowym, czasami z cywilnym urzędnikiem, czasem z prywatnym zleceniobiorcą. Na pewno jednak nie lubią rozmawiać z obcymi. Nawet z obcymi z wewnątrz jak my. Mamy tam jakieś kontakty?

- Nie - odparłem.

Przez chwilę milczała. Miała zwyczaj zakładać za uszy kosmyki ciemnych włosów. Domyślałem się, że właśnie to robi. Włosy wiecz nie wymykały się z powrotem, jak gdyby nie potrafiły usiedzieć na miejscu, zupełnie jak ona.

- Znam faceta, który chodził z moją przyjaciółką. Był trochę stuknięty. Ciągle grał. Ale nie w gry planszowe. Ani w zręcznościowe czy strzelanki. Odgrywał scenariusze dla Pentagonu i CIA. Na przykład scenariusze trzeciej wojny światowej. I czwartej wojny światowej. Naprawdę jest coś takiego. Dość straszne, nie? Zawsze się zastanawiałam, czy jest jeszcze piąta. W każdym razie spróbuję do niego zadzwonić. I wezmę się też do tej piramidy finansowej. Sama nie inwestuję. Wolę program składania pod materacem.

Kiedy się rozłączaliśmy, usłyszałem brzęk, który na pewno wydała jej bransoletka.

Wiedziałem, że jeśli istnieje jakikolwiek, nawet bardzo luźny związek między sprawami Ryana a dyspozytorem Henry'ego Lovinga, duBois go odnajdzie. Mimo młodego wieku lepiej ode mnie sprawdzała się w śledczej stronie naszej pracy, czyli w badaniu

tropów. Nie miała umysłu gracza, z którym ja się urodziłem, więc mordercza partia szachów między mną a zbieraczami i cynglami nie była jej żywiołem. Była jednak wytrwała jak pies gończy, a gdy sytuacja tego wymagała, sprytna i oszczędna w słowach. Dzięki niespokojnej naturze i żywemu umysłowi potrafiła zagadać przesłuchiwane osoby, wprawiając je w stan osłupienia lub budząc w nich strach. Albo zachwył. Pewien facet, którego chroniliśmy w zeszłym roku, oświadczył się jej po kilku godzinach, jakie poświęciła na jego przesłuchanie. Ponieważ obiekt był wcześniej egzekutorem gangu, duBois nazwała go „materiałem na chłopaka drugiej kategorii”.

Jakiś rok temu Barbara, sekretarka w biurze pracująca ze mną i innym owczarkiem, przyłapała mnie, jak przyglądałam się duBois z czymś w rodzaju uśmiechu, który rzadko się pojawia na mojej twarzy. Było to tylko spojrzenie pełne podziwu, ponieważ Claire zasypała mnie cennymi szczegółami na temat potencjalnego dyspozytora, jakie udało się jej odnaleźć. Uśmiech wystarczył jednak Barbarze, samotnej pięćdziesięcioletniej matce, która regularnie odwiedzała internetowe serwisy randkowe. W moim spojrzeniu dostrzegła skrywane uczucie i później spytała, dlaczego nigdy nie umawiam się z duBois. (Wspomniała o romantycznym związku „wiosny z jesienią”, co wydało mi się nieco surową oceną, zważywszy na dzielącą nas różnicę zaledwie dwunastu lat).

W każdym razie nie skorzystałam oczywiście z jej rady. Co nie znaczy, że moja protegowana nie budziła we mnie zawodowego entuzjazmu, którego nie wahałam się wyrazić, choć oczywiście w typowy dla siebie powściągliwy sposób.

Wstukałam notatki do laptopa, zaszyfrowałam plik i zapisałam.

Dołączyła do nas Maree; też się przebrała i odświeżyła makijaż, tańczyła ją kwiatowa woń perfum. Wyglądała jeszcze atrakcyjniej niż przedtem. Co ciekawe, mimo że pod wieloma względami były do siebie z siostrą podobne, tylko Maree mógłbym nazwać seksowną kobietą. Podeszła do ekspresu i naląła sobie kawy. Po chwili odstawiła kubek i przechyliwszy głowę, przyjrzała się kompozycji z kwiatów na komodzie. Uniosła aparat i zrobiła kilkanaście szybkich zdjęć. Odnotowałam w pamięci, że trzeba będzie przejrzeć wszystkie fotografie zrobione przez nią od chwili, gdy zaopiekowałam się rodziną. Dopilnuję, żeby usunęła wszystkie, na których jestem ja lub ktoś inny z zespołu. Wzięła kubek, zerknęła na mnie i dołąła mi kawy.

- Dzięki.
- Cukier, mleko?
- Nie, wolę czarną.

Spojrzała na mnie, jak gdyby chciała coś dodać, ale w końcu się nie odezwała.

Dostałem SMS-a, przeczytałem go i napisałem odpowiedź. Popatrzyłem na swoich podopiecznych.

- Jest nowy wóz. Niedługo wyjeżdżamy.

- Zaraz biorę rugera i dołączam do drużyny A - zażartował Ryan. Miał zupełnie inne nastawienie niż przy naszym pierwszym spotkaniu. Pewnie pomogły w tym wyznaczona mu przeze mnie misja i alkohol.

Wstałem.

- Zostańcie tu. - Spojrzałem na Ryana. - Nie otwieraj nikomu poza mną.

Skinął głową, poprawiając kaburę.

Wyszedłem z budynku, okrążyłem nasze skrzydło i dotarłem na parking za motelem. Wjechał tam ciemnozielony GMC yukon, a za nim ford taurus. Pomachałem do nich i obydwie samochody zatrzymały się niedaleko. Z auta terenowego wysiadło dwóch mężczyzn.

Młody członek mojej organizacji, Lyle Ahmad, był mocno zbudowanym byłym żołnierzem piechoty morskiej i miał oliwkową cerę i krótko ostrzyżone włosy. Był cieniem, czyli funkcjonariuszem podstawowej ochrony. Poznałem Ahmada, gdy jeszcze jako marine był strażnikiem amerykańskiej ambasady w Warszawie, a ja agentem jednostki dochodzeniowej i ochrony Departamentu Stanu, czyli Biura Bezpieczeństwa Dyplomatycznego, w którym pracowałem przed wstąpieniem do organizacji.

Milczący i bystry chłopak cieszył się opinią niezwykle utalentowanego poligloty. Był wschodzącą gwiazdą naszej organizacji.

Za kierownicą yukona siedział nasz transportowiec, Billy. Tykowały mężczyzna, którego wieku nie próbowałem się nawet domyślać, miał wiecznie zmierzwione włosy i krzywy siekacz, na który trudno było nie patrzeć. Uwielbiał samochody, ciężarówki, motocykle, wszystko, co poruszało się dzięki „martwym dinozaurom”, jak nazywał benzynę i olej napędowy. Nie tylko dbał o nasz park samochodowy, ale układał kostkę Rubika z czterdziestu kilku pojazdów, z których korzysta nasza

organizacja - wymieniając je i przewożąc personel i obiekty. Mamy całkiem niezłą kolekcję aut - po pensjach i schronach transport stanowił trzecią pod względem wielkości pozycję w naszym budżecie. Pojazdy przypominają odciski palców. Obok telefonów komórkowych i kart kredytowych to chyba najlepszy sposób, by kogoś namierzyć. Dlatego staramy się często wymieniać samochody.

Billy ruchem głowy wskazał nissana.

- Można go już zabrać?

- Tak. - Wymieniliśmy się kluczami i Billy odjechał.

Z taurusa wysiadł Rudy Garcia, młody agent FBI, którego Freddy przywiózł do domu Kesslerów.

Podąłem mu rękę, przedstawiłem Ahmada i razem ruszyliśmy do pokoju motelowego.

Przedstawiłem nowo przybyłego Kesslerom i Maree, która szepnęła do siostry:

- Przystojniak.

Jej uwaga nie wywołała u Ahmada - kawalera - żadnej reakcji poza rumieńcem. Ryan skinął głową, ale wyczułem jego konsternację jak gdyby obecność innych strażników miała go pozbawić roli mego przybocznego i okazji do uczestniczenia w akcji zatrzymania Lovinga.

W tym momencie zadzwoniła moja komórka. Numer wskazywał na kogoś z mojej organizacji, ale nie spodziewałem się telefonu akurat od tej osoby.

- Hermes? - powiedziałem. To było prawdziwe nazwisko naszego dyrektora technicznego, odpowiadającego za urządzenia podsłuchowe, komputery i systemy łączności.

- Corte - powiedział przejęty. W jego głosie dawał się słyszeć niemal niezauważalny obcy akcent. - Nie uwierzysz, ale mieliśmy sygnał ze szczekaczki, tej zainstalowanej w armadzie. A piętnaście minut temu ktoś zadzwonił do pułapki w północno-wschodnim Waszyngtonie.

Serce zabiło mi mocniej.

- Dobra, dzięki, Hermes.

Rozłączyłem się i zastanowiłem. Tak czy nie? Następnie poinformowałem obiekty, Garcię i Ahmada, że nastąpiła mała zmiana planów.

- Zostaniecie tu jeszcze kilka godzin. Gdybyście zgłodnieli, Lyle albo Rudy zamówią wam coś do pokoju. Nikomu nie wolno stąd wyjść. Niedługo wrócę.

- O co chodzi, Corte? - zdziwił się Ryan.

Wzruszyłem ramionami, starając się, by ten gest wyglądał lekceważąco.

- Mam z kimś spotkanie w związku ze sprawą.

Szybko skierowałem się do drzwi, nie dodając, że tym kimś jest Henry Loving we własnej osobie.



## Rozdział 10

**W**ciąż toczy się dyskusja, na czym dokładnie powinna polegać rola owczarka w ochronie osobistej. Wiele mówi sama nazwa tej funkcji. „Owczarek” zwykle kojarzy się z dużym i silnym psem.

Nie interesuję się kynologią, ale wiem, że niektóre psy pasterskie pędzą owce po pastwisku, a inne strzegą stada i atakują zagrażające mu drapieżniki, bez względu na ich wielkość i liczebność. Którą z tych dwu ról powinni odgrywać funkcjonariusze ochrony? Abe Fallow mówił nam: „Zadaniem owczarka jest ochrona obiektów. Koniec i kropka. Złapanie zbieracza, cyngla i ich dyspozytorów należy do kogo innego”.

Była to jednak jedna z niewielu kwestii, w których nie zgadzałem się ze swoim mentorem. Wydaje mi się, że powinniśmy doprowadzić stado do bezpiecznego miejsca, ale także rzucić się do gardła każdemu wilkowi, który nas zaatakuje. Ochrona obiektu i neutralizacja zbieracza albo cyngla i osoby, która go wynajęła, są dla mnie nierozdzielnie ze sobą związane.

Jadąc szybko taurusem Garcii w kierunku Waszyngtonu, rozmawiałem z Freddyem, który miał stanąć na czele grupy pościgowej. Jedyнным wydziałem, którego brakuje w mojej organizacji, jest jednostka taktyczna. Zawsze chciałem ją mieć (przygotowałem sobie nawet nazwę jej członków: „rewolwerowcy”), ale Ellis został, że tak powiem, zestrzelony na komisji budżetowej; wydziały taktyczne są zaskakująco kosztowne. Tak więc musimy liczyć na pomoc FBI i brygady antyterrorystyczne miejscowej policji.

Kiedy przedstawiłem mu plan zastawienia pułapki na Henry'ego Lovinga, Freddy rzekł:

- Myślisz, że to się uda, Corte? To jakby Święty Mikołaj przyszedł razem z Gwiazdką.

- Jesteś już na miejscu? - Z biura przy Dziewiątej w Waszyngtonie miał bliżej niż ja.

- Za jakieś dwadzieścia minut.

- Pospiesz się. Ilu masz?

- Całą rzeszę, synu. Niesiemy pokój dzięki przeważającej sile ognia - powiedział. To był chyba jakiś cytat.

Rozłączyliśmy się. Pędziłem dalej w kierunku stolicy.

Telefon Hermesa dotyczył muchołapki - sztuczki, którą regularnie wykorzystujemy w celu zwabienia przestępcy do miejsca, gdzie chcemy go zdjąć. Udaje się to raz na dwadzieścia, trzydzieści razy, ale nie ma powodu, żeby nie próbować. Wszystkie nasze samochody i komórki większości owczarków mają zamontowane elektroniczne urządzenia, nazywane przez nas szczekaczkami, które okresowo transmitują fałszywą rozmowę telefoniczną, zaszyfowaną, ale cyn-giel lub zbieracz wyposażeni w odpowiedni sprzęt mogą namierzyć numer stacjonarny, pod który dzwonią telefony, a na tej podstawie ustalić adres.

Według słów Hermesa, Loving odebrał jedno z takich automatycznych połączeń z nissana armady, kiedy wóz stał pod domem Kesslerów. Zadzwoił pod odczytany numer telefonu w magazynie w północno-wschodnim Waszyngtonie. Z wiadomości na sekretarce Loving mógł się dowiedzieć, że obiekt został wyłączony z użytku. Szkopuł w tym, że sam nagrałem tę wiadomość, więc każdy, kto dysponował próbką mojego głosu, czyli zapewne i Loving, pomyślałby, że rzeczywiście w tym miejscu ukrywamy Kesslerów.

Wiedząc, że Loving działa pod presją czasu - musiał wyciągnąć informacje od Ryana przed północą w poniedziałek, żeby uniknąć „przykrych konsekwencji” wspomnianych w e-mailu odebranych w Wirginii Zachodniej - i znając jego zacięty upór, by doprowadzić do końca każde zlecenie, uznałem, że prawdopodobnie on i jego wspólnik zdecydują się przynajmniej na obserwację magazynu.

Walka między Lovingiem a mną niebawem miała się rozpocząć na dobre.

Często patrzę na swoją pracę przez pryzmat dziedziny, którą darzę prawdziwą namiętnością (choć podobno jestem beznamiętną osobą), czyli gier planszowych. Jestem nie tylko graczem, ale także kolekcjonerem. Wybrałem dom szeregowy w Old Town w Alexandrii między innymi dlatego, że dwa skrzyżowania dalej, zaraz przy Prince Street,

jest mój ulubiony klub gier. Mają rozsądną składkę członkowską i zawsze można tam znaleźć partnera do szachów, brydża, go, wei-chi, czy kilkunastu innych gier. Członkowie stanowią wielki konglomerat: spotykam osoby przeróżnych narodowości, w różnym wieku i o różnym wykształceniu, choć przeważają wśród nich mężczyźni. Różnią się strojem, dochodami i poglądami politycznymi, ale te są zupełnie nieistotne.

W domu w Alexandrii mam siedemdziesiąt siedem gier (a w domu na wybrzeżu w Marylandzie jeszcze więcej - sto dwadzieścia jeden) i wszystkie są uporządkowane alfabetycznie.

Oczywiście wolę ambitniejsze gry. W tej chwili moim faworytem jest arimaa, wymyślona niedawno i przypominająca szachy, ale tak ambitna i zgrabna, że ogłoszona przez jej autora nagroda dla twórcy programu komputerowego, który potrafiłby w nią grać, wciąż czeka na swojego zdobywcę. Szachy są naturalnie doskonałą grą i bardzo je lubię. Została jednak tak dokładnie opisana, rozebrana na czynniki pierwsze i przeanalizowana, że gdy siadam naprzeciw doświadczonemu graczowi, czasem mam wrażenie, że nie gram z człowiekiem, ale z tłumem nudnych, ekscentrycznych duchów.

Co takiego urzeka mnie w grach planszowych w przeciwieństwie do na przykład komputerowych, które przecież także wymagają wysiłku umysłowego?

Po pierwsze podobają mi się ich walory artystyczne. Kompozycja planszy, pionki, karty, kostka, bączki oraz wszystkie akcesoria z drewna, plastiku czy kości słoniowej, takie jak patyczki i zatyczki. Estetyka wykonania cieszy oko i podoba mi się, że służy praktycznemu celowi, jeśli grę można uznać za coś funkcjonalnego.

Podoba mi się trwałość i namacalność gry planszowej, która nie znika, gdy pstryknie się wyłącznikiem czy wyciągnie wtyczkę z gniazdka.

Najbardziej podoba mi się jednak to, że siedzę naprzeciwko żywego przeciwnika. Przez większą część życia toczę śmiertelną grę z niewidzialnymi ludźmi takimi jak Henry Loving i mogę sobie tylko wyobrazić wyraz ich twarzy, kiedy wybierają strategię prowadzącą do schwytania lub zamordowania chronionych przez mnie obiektów, krając w wei-chi, go czy Eufrat i Tygrys - nawiasem mówiąc świetną grę - obserwuję ludzi w chwili wyboru strategii i widzę ich reakcje na swoje ruchy.

Podobno nawet najwyższy szaman techniki Bill Gates jest zapalonym brydżystą.

W każdym razie gry planszowe wyćwiczyły mi umysł i pomagają w pracy owczarka.

Podobnie jak teoria gier, którą dla zabawy zainteresowałem się pod koniec studiów matematycznych, gdy objąłem się na uczelni, odwołując moment wyjścia do prawdziwego świata.

O teorii gier zaczęto debatować w latach czterdziestych ubiegłego wieku, mimo że jej koncepcje istniały już wiele lat wcześniej. Twórcy tej teorii początkowo analizowali takie gry jak brydż, poker, a nawet proste formy rywalizacji jak „papier, kamień, nożyce” albo rzut monetą. Nie zamierzali nikomu pomagać wygrywać gier towarzyskich, chcieli zbadać proces podejmowania decyzji.

Najprościej mówiąc, teoria gier zajmuje się analizą prób dokonania najlepszego wyboru w wypadku konfliktu interesów między uczestnikami gry - przeciwnikami lub partnerami - w sytuacji, gdy żaden z nich nie wie, jak postąpi drugi.

Klasycznym przykładem jest dylemat więźnia, kiedy dwaj przestępcy zostają zatrzymani i umieszczeni w oddzielnych celach. Policja daje każdemu z nich wybór: przyznać się albo nie. Choć żaden z nich nie wie, co wybierze drugi, wiedzą jednak - z informacji przekazanych im przez policję - że przyznanie się do winy wyjdzie im obu na dobre: nie wyjdą na wolność, ale dostaną stosunkowo łagodny wyrok.

Istnieje też prawdopodobieństwo, że nie przyznając się do winy, dostaną jeszcze łagodniejszy wyrok lub żadnego, choć to bardziej ryzykowne... bo mogą zostać skazani na znacznie dłuższą odsiadkę.

Przyznanie się do winy to wybór „racjonalny”.

Nieprzyznanie się jest natomiast zachowaniem nacechowanym „racjonalną irracjonalnością”.

W rzeczywistym świecie teoria gier znajduje zastosowanie w wielu sytuacjach: w ekonomii, polityce, psychologii i planowaniu wojskowym. Na przykład klienci mogą sobie zdawać sprawę, że lepiej nie podejmować wszystkich oszczędności z banku przeżywającego kłopoty, bo jeśli to zrobią, przyczynią się do wybuchu paniki, bank upadnie i wszyscy na tym stracą. Z drugiej strony, jeżeli pierwsi zabrają swoje pieniądze, nic nie stracą; do diabła z dobrem wspólnym. Kiedy szybko wypłacą wszystkie środki, racjonalna irracjonalność może ich ocalić,

mimo że ich zachowanie rozpocznie szturm klientów na bank i przyspieszy jego ruinę.

Jak to się ma do mojej pracy owczarka?

Przeciwnicy tacy jak Henry Loving i ja uczestniczymy w grze o sumie zerowej, czyli grze, w której zysk jednego gracza jest równy stracie drugiego (w naszym wypadku chodzi o życie obiektu). Ponieważ żaden z nas nie wie, jaki ruch wykona przeciwnik, bez przerwy stosuję teorię gier, próbując dokonać wyboru najlepszej strategii, która da mi wygraną - strategia nie dotyczy planu rozegrania całej walki, ale konkretnego ruchu takiego jak „pion na a 7” albo pokazanie pięści w grze „papier, kamień, nożyce”.

W tym momencie postanowiłem zagrać muchołapką, wierząc, że Henry Loving raczej dokona racjonalnego wyboru i połknie przynętę.

Ale teoria gier istnieje dzięki elementowi niepewności - na planach i w rzeczywistym świecie. Może Loving wyczuje, że to pułapka i wiedząc, że skupiam na niej całą uwagę, spróbuje wykorzystać okazję i znaleźć prawdziwy schron, w którym są Kesslerowie.

A może wybierze zupełnie inną strategię, której się nie potrafię domyślić, i już udało mu się wyprowadzić mnie w pole?

Zbliżałem się do stolicy. Jeszcze raz zadzwoniłem do Claire duBois.

- Potrzebuję tłumy w Waszyngtonie. Jakiejś parady, uroczystości. Nie sądzę, żebym miał ogon, ale chcę się upewnić. Znajdziesz mi coś?

- Tłum. W porządku. Duży? Na stadionie jest mecz - przykro mówić, ale tak grają w tym sezonie, że chyba nie przyciągną tłumów. Jest jeszcze spotkanie autorki romansów z czytelnikami. Razem z dziewczyną z okładek będą podpisywać książki w Safewayu na północnym zachodzie.

Skąd o tym wiedziała, nigdzie wcześniej nie sprawdzając?

- Ile osób przychodzi na spotkania z autorkami romansów w supermarketach?

- Można się zdziwić.

To prawda.

- Chodzi mi o coś większego. W centrum. Tysiąc osób z kawałkiem.

- Szkoda, że to nie wiosna. Nie chodzę oglądać kwitnących wiśni - powiedziała. - Gdyby coś jeszcze robiły, kiedy się przychodzi, może byłby w tym jakiś sens. Ale nie rozumiem, po co iść i gapić się na

drzewa. Zobaczmy, co tam jeszcze... - Usłyszałem stukot klawiatury. I brzęk wisiorów na bransoletce.

- Niewiele - poinformowała mnie duBois. Marsz w obronie praw gejów na Connecticut Avenue w DuPont Circle. Wyważanie otwartych drzwi. Ze czterysta osób, nie więcej... Meksykańska parada na południowym-wschodzie, ale właśnie się kończy. O, chyba coś mam. Największa rzecz to manifestacja przed Kongresem. Ze dwa tysiące demonstrantów.

- Brzmi niezłe.

Dodała, że ludzie zbierają się tam, żeby zaprotestować przeciwko - albo wyrazić poparcie - sędziemu nominowanemu do Sądu Najwyższego. Chyba coś o nim słyszałem - kandydat, którego Senat miał zatwierdzić większością jednego czy dwóch głosów - był konserwatywą, więc lewica zaczęła zwozić pod Kongres swoich ludzi, żeby protestowali, a republikanie skrzyknęli swoich, żeby zademonstrowali poparcie.

- Gdzie dokładnie?

Powiedziała, że niedaleko gmachu Senatu. Rozłączyłem się i ruszyłem w tym kierunku. Pięć minut później, dzięki swojej federalnej legitymacji, przeciskałem się samochodem przez ciżbę demonstrantów i mijałem blokady, które zatrzymałyby każdego, kto mógłby mnie śledzić. Zwolennicy kandydata na sędziego zgromadzili się po jednej stronie liny, przeciwnicy po drugiej. Obrzucali się wyjątkowo nienawistnymi obelgami i wyzwiskami, a nawet grozili sobie nawzajem.

Pilnowały ich liczne siły policji. Przypomniałem sobie, że niedawno w „Washington Post” czytałem cykl artykułów o rosnącej agresji i coraz ostrzejszej polaryzacji w polityce amerykańskiej.

Zadzwoił mój telefon.

- Freddy?

- Gdzie jesteś?

- Staram się nie rozjechać przeciwników kandydata na sędziego Sądu Najwyższego.

- Potrąć paru ode mnie.

- Jesteś na miejscu?

- Tak, w punkcie zgrupowania.

- Coś się dzieje?

- Na razie nic.

- Niedługo będę. - Wyjechałem z tłumu demonstrantów po drugiej stronie, pewien już, że nie mam ogona, i pomknąłem do niewielkiego garażu, z którego czasem korzystamy, obok Union Station. W ciągu pięciu minut wymienilem służbowego taurusa Garcii na inny fałszywy wóz i opuściłem garaż inną bramą, niż do niego wjechałem.

Dziesięć minut później byłem pod muchołapką.

Wkrótce miała się rozpocząć nowa runda gry o sumie zerowej z Henrym Lovingiem.

## Rozdział 11

Wybraliśmy to miejsce w zapuszczonej części północno-wschodniego Waszyngtonu, bo było doskonałe do przeprowadzenia zatrzymania.

Niektóre dzielnice przemysłowe Waszyngtonu takie jak ta są tak przygniatąco smętne jak najpaskudniejsze zakątki Detroit czy South Side w Chicago. Magazyn, który wynajęliśmy za psie pieniądze, stał na podmokłym, zarośniętym chwastami śmietniku, poprzecinanym siecią zardzewiałych torów kolejowych (nigdy nie widziałem tu żadnego pociągu), niszczących dróg dojazdowych i dwoma cuchnącymi kanałami. Nasza nieruchomość składała się z hektara zarośniętej ziemi, na której walały się śmieci, z rzadka rosły anemiczne drzewka i stały kałuże wody w obrzydliwym kolorze skóry tropikalnej jaszczurki. Pośrodku stał wiekowy magazyn, i było w nim dość śladów ludzkiej obecności, by mógł uchodzić za wiarygodny schron. Obok znajdowały się dwa rozsypujące się małe budynki gospodarcze, gdzie oddziały taktyczne czekały na przestępców; umożliwiały prowadzenie krzyżowego ognia. Sam magazyn miał kuloodporne ceglane ściany i niewiele okien. Korzystaliśmy z niego kilka razy, choć tylko dwie operacje zakończyły się sukcesem. Ostatnia w styczniu zeszłego roku, kiedy przez cztery godziny siedziałem w śnieżycy, popijając coraz zimniejszą kawę ze sflaczałego kubka, który ścisnąłem w czerwonych od mrozu dłoniach, dopóki cyngiel nie wykonał odważnego i jak się okazało, niefortunnego dla siebie ruchu.

Jechałem bocznymi drózkami i polami, prawie niewidoczny dla obserwatorów z granicy naszej posesji. Zaparkowałem w pewnej odległości od magazynu, obok innych wozów federalnych, w miejscu ukrytym przed oczami każdego, kto znalazłby się na pobliskich drogach czy podjazdach. Potem, dźwigając na ramieniu torbę,



przeszedłem przez kępę krzewów i pod rdzewiejącym mostem kolejowym, pozbawionym graffiti; nawet uliczne gangi nie interesowały się tym klasycznym przykładem upadku miasta. Jeszcze raz przyjrzałem się okolicy, nie dostrzegając nic, co mogłoby świadczyć, że nieprzyjaciel nas obserwuje, po czym prześliznąłem się przez wybujałe chwasty do miejsca zgrupowania. Zerknąłem na ziemię - widok połamanych gałązek, roztraconych liści i kamieni powiedział mi, że Freddy przeprowadził co najmniej sześciu agentów (zupełnie się nie przejmowali, że zostawili tak wyraźny dowód swojej obecności; poświęciłem trochę czasu na zatarcie najbardziej widocznych śladów).

Otaczał mnie świat rupieci, porzuconych pojazdów, porzewiałych maszyn i stert zwyczajnych śmieci. Po prawej widziałem skrawek wąskiego kanału, którym płynęła zgniłozielona woda. Na jej powierzchni unosiły się odpadki i parę zdechłych wiewiórek, które przypuszczalnie uśmiercił jeden łyk tej cieczy. Nie wierzyłem własnym oczom, ale z prądem w stronę Potomaku płynęła mała rekreacyjna motorówka. Po chwili pasek śmierzdzącej wody zniknął mi z pola widzenia; dotarłem do stanowiska dowodzenia i przywitałem się z Freddyem i jego ludźmi, sześcioma roslymi agentami w wieku trzydziestu paru lat, o kamiennych obliczach, oraz jedną równie poważną agentką. Grupa stanowiła mieszanekę ras, odzwierciedlającą strukturę miasta: czarni, Latynosi, dwoje przedstawicieli białej mniejszości - kobieta i starszy, ogorzały agent. Ludzie sądzą, że agenci FBI występują tylko w ciemnych garniturach i białych koszulach albo w budzącym grozę rynsztunku bojowym, w którym wyglądają jak żołnierze z filmów science fiction. W rzeczywistości agenci ubierają się swobodnie, w wiatrówki, czapki bejsbolowe i dżinsy. W wypadku agentki były to markowe dżinsy i nie mogłem nie zauważyć, że są bardzo obcisłe. Wszyscy mieli na sobie kamizelki kuloodporne.

Też taką nałożyłem.

U wszystkich wyczuwało się napięcie, chociaż widziałem w ich oczach, że niecierpliwie czekają na walkę.

Gdy zakładałem słuchawkę z mikrofonem, Freddy podał mi ich nazwiska, które starałem się zapamiętać, wiedząc, że być może będą ich musiał od siebie odróżnić, gdyby się zrobiło gorąco. Skinąłem każdemu z nich. Zapytałem, czy był już jakiś kontakt. Agentka odrzekła:

- Droga od zachodu pięć minut temu przejechał jasny sedan, szary

albo jasnobrązowy. Nie zatrzymywał się, ale jechał wolno, chyba piętnaście na godzinę.

Szary albo jasnobrązowy mógł być beżowy. Samochód Lovinga z Wirginii Zachodniej? Odnotowali moją sugestię.

Wolny przejazd nie musiał być wcale podejrzany. W Waszyngtonie było wiele wyboistych dróg pokrytych zniszczonym asfaltem, często brakowało znaków drogowych. Dzieciaki kradły je na pamiątkę. To mogło tłumaczyć niewielką prędkość samochodu. Zły stan nawierzchni mógł też być dobrą wymówką dla Lovinga, by jechać wolno i wzbudzać mniej podejrzeń.

- Macie snajpera? - spytałem Freddy'ego.

Parsknął śmiechem.

- Snajpera? Oglądasz za dużo filmów, Corte. Nasza najlepsza broń to bushmastery.

- Nie chodzi o rozmiar, Freddy. Najważniejsze, żeby była celna.

- To żart, Corte? Przecież nigdy nie żartujesz.

- Mapa? - spytałem.

- Proszę. - Agentka rozłożyła przede mną mapę.

Przyjrzałem się jej dokładnie, choć świetnie zdawałem sobie sprawę, że mamy mało czasu. Jeśli Loving chciał spróbować ataku, będzie działał szybko. Przedstawiłem agentom swój plan akcji, wskazując na mapie najlepsze punkty rozmieszczenia ludzi i sprzętu. Freddy dorzucił kilka sugestii, które uznałem za słuszne.

Spojrzałem na budynek, nasz rzekomy schron. W środku paliło się kilka świateł. I pracowała maszyna skonstruowana przez Hermesa, niewielka zabawka, przypominająca obracający się wolno wentylator, którego skrzydła rzucały przypadkowe cienie na rolety i zasłony, dając wrażenie, jak gdyby ktoś wewnątrz przechodził z jednego pomieszczenia do drugiego. Aparat emitował też światło naśladujące blask ekranu telewizora. Można było zaprogramować głosy, aby brzmiały jak rozmowa. Wybór trybu umożliwiał nawet ustawienia takie jak kłótnia, ton żartobliwy, ton konspiracyjny - żeby przekonać podsłuchujących cyngli albo zbieraczy, że w magazynie nie ma pracowników tylko obiekty pod strażą.

- Jak się czują Kesslerowie? - zapytał Freddy.

- Rzadko mam tak spokojne obiekty. - Dodałem jednak, że Joanne to zombi i czeka ją co najmniej rok terapii, jej mąż pije i ma ochotę strzelać do wszystkiego, co się rusza, a Maree - kiedy akurat nie ma

ataku hysterii bardziej przejmuję się swoim chłopakiem niż zawodowymi mordercami.

- Ostrzegalem cię przed tą siostrą, Corte. Wiesz, jakby zmęczyła cię ta robota, powinienes pomyśleć o poprowadzeniu talk show, coś w stylu doktora Phila.

- Idę zająć pozycję - powiedziałem.

Posłał mi jedno ze swoich wymownych spojrzeń, wyrażające kilkanaście znaczeń, które potrafiłem odczytać instynktownie. Freddy, poznany przeze mnie wiele lat temu w bardzo niezwykłych okolicznościach, był jedyną osobą na świecie, która mogłaby zostać moim partnerem w takich operacjach jak ta. Z nas dwóch to ja jestem strategiem - decyduję, jaki ruch powinniśmy wykonać - a Freddy taktikiem, szukającym sposobów realizacji moich pomysłów.

Używając terminologii gier, ja wybieram kamień... a Freddy pokazuje pięść.

Wszedłem do długiego, zarośniętego rowu, mając po prawej gęstą kępę drzew, dalej cuchnący kanał, a po lewej sterty zepsutych maszyn. Na końcu, pod osłoną smętnych liści, stało Wielkie Ucho - trzydziestocentymetrowy, paraboliczny talerz, który był ultraczułym mikrofonem. Wsunąłem słuchawkę i skierowałem urządzenie w stronę magazynu, celując nim pod okno, które specjalnie pozostawiono otwarte.

Skupiłem wzrok na terenie za magazynem, gdzie dostrzegłem dwa cywilne samochody stojące na ceglach pośrodku naszej posesji. Chevrolet sedan i dodge furgonetka, zardzewiała i pokryta graffiti, które sam kilka lat temu pomagałem malować.

Stojąc samotnie, czując się bardzo samotnie, jeszcze raz się rozejrzałem, a po krzyżu przebiegały mi dreszcze zniecierpliwienia i podniecenia.

Oraz oczywiście strachu.

Jak powtarzał mi Abe, a ja powtarzam swoim protegowanym, w tej branży trzeba się bać. Jeżeli nie umiesz się przestraszyć, nie będziesz skuteczny.

Minęło dziesięć minut, bardzo długich dziesięć minut.

- Jedyńka do dowodzenia - zatrzeszczał głos w moich słuchawkach. - Widzę jakiś ruch na północy.

- Dowództwo do Jedyńki. Mów.

- Melduję, niezidentyfikowana osoba, poruszająca się wolno,

ciemne ubranie, prawdopodobnie mężczyzna. Właśnie zniknął z pola widzenia. Jest w kwadracie osiemnastym.

- Broń?

- Niewidoczna.

Wychyliłem się, żeby spojrzeć w stronę punktu, gdzie widziano intruza - po przeciwnej stronie od miejsca, w którym stałem. Po chwili wpatrywania się w żółte i zielone chwasty też dostrzegłem jakiś ruch. Człowiek przemykał ukradkiem od ślepej drogi w kierunku magazynu.

- Widzę go - usłyszałem głos agentki. - Nie ma broni. Nie wygląda jak Loving.

- Pewnie współnik - nadałem przez radio. - Ale nie jest sam. Loving też tu musi być. - Ciarki przebiegły mi po plecach, od szyi po kość ogonową.

Zaczęli zgłaszać się pozostali, meldując, co widzieli - a raczej czego nie widzieli - ze swoich stanowisk. Postać ostrożnie zbliżająca się do magazynu przystanęła.

- Tu Dwójka - odezwał się czyjś szept. - Zauważył dodge'a, wóz go zaciekawil.

Milczałem. Wiedziałem, że poznam szczegóły, kiedy zostaną potwierdzone. Nie ma sensu marnować czasu, prosząc zawodowców o więcej informacji. To jak gdyby powtarzać „ostrożnie, ostrożnie”, kiedy ruszasz zatrzymać przestępcę. Otarłem dłonie o spodnie.

- Tu Jedyńka. Ruszył dalej. Powoli.

- Dwójka, potwierdzamy. Dodge naprawdę go interesuje. - Jeden z agentów zapytał: - Jest tam jakiś sprzęt?

- Nie - odezwał się Freddy. - Wóz jest czysty. Niech sobie pogrzebie... Czwórka, widzicie coś więcej? Trafiliście na ślad Lovinga?

- Nie.

- Trójka?

- Nic.

Po chwili:

- Tu Dwójka. Wspólnik jest coraz bliżej... z ręką w kieszeni... ogląda się za siebie... ma coś w ręce. Komórkę.

Wyciągnąłem lornetkę Alpen Long Eye 10 x 32 i zlustrowałem teren, ale nigdzie go nie widziałem.

Starałem się uspokoić oddech - był płytki i szybki. W myślach zacząłem powtarzać jedną ze swoich mantr. Papier, kamień, nożyce.

Papier, kamień, nożyce.

W tym momencie usłyszałem: *trach*.

Tuż za plecami.

Znieruchomiałem i powoli odwróciłem głowę.

Trzymając wycelowany we mnie pistolet z tłumikiem, Henry Loving zerknął na ziemię i skrzywił usta, zły na siebie, że nie zauważył suchej gałęzi, która właśnie trzasnęła mu pod stopą.

## Rozdział 12

Loving zauważył fragment kamizelki kuloodpornej wystający spod mojej kurtki. Uniósł broń i wycelował w moją odkrytą szyję.

Nagle jego biała lewa ręka drgnęła, przekazując mi instrukcje.

Wstałem. Miałem wyciągnąć z obu uszu słuchawki, tę z mikrofonem podłączoną do radia i tę podłączoną do Wielkiego Ucha. A potem wyjąć dwoma palcami broń z kabury.

Spełniłem polecenia, spokojnie taksując go wzrokiem.

Przebieg gry o sumie zerowej wydawał się już jasny. Loving domyślił się, że to zasadzka, więc postanowił mnie zaatakować. To była racjonalna decyzja. Wyjaśniło się, dlaczego nakazał współpracownikowi trzymać się z tyłu, niedaleko dodge'a, i nie podchodzić do magazynu, co na pewno by zrobił, gdyby Loving dał się nabrać.

Wiedział, że to pułapka, ale zaryzykował. Oczywiście nie po to, żeby dopaść Ryana Kesslera, ale żeby porwać mnie. A potem zmusić do wyjawienia mu, gdzie dokładnie są Kesslerowie. Nagle sam stałem się obiektem.

Loving rozejrzał się szybko, obracając we wszystkie strony swoją nalaną, nijaką twarz biznesmena w średnim wieku, i zorientował się, że tu, w pewnej odległości od stanowiska dowodzenia i magazynu, nie ma bezpośredniego zagrożenia.

Zdałem sobie sprawę, że nigdy dotąd nie znalazłem się tak blisko człowieka, który torturował i zamordował mojego mentora. W Rhode Island podczas spartaczonych akcji zatrzymania Loving ani razu nie był bliżej mnie niż dwadzieścia pięć metrów. Na tyle blisko, abym zobaczył, jak mruży oczy, naciskając spust - a ułamek sekundy później zorientował się, że wpadł w pułapkę i obiekt w rzeczywistości jest agentem za niewidzialnym, kuloodpornym ekranem.

Żaden z nas się nie odezwał. Loving na pewno zamierzał ze mną porozmawiać, ale później, z tyłu swojego samochodu albo w innym opuszczonym magazynie gdzieś daleko stąd. Zastanawiał się pewnie, jak długo wytrzymam, zanim mu powiem, gdzie jest Ryan Kessler.

Bo Henry Loving nie miał wątpliwości, że powiem. Każdy prędzej czy później mówi.

Moja broń, radio i komórka leżały na ziemi. Wiedząc, że ma niewiele czasu, Loving dał mi znak, żebym podszedł.

Ruszając naprzód, uniosłem rękę na wysokość ramion, chcąc mu pokazać, że nie stanowią zagrożenia. Nie potrafiłem oderwać wzroku od jego oczu. Nie dlatego, że były przenikliwe i skupione, choć rzeczywiście były, ale dlatego, że ostatnią rzeczą, jaką Abe Fallow widział przed śmiercią, były właśnie te oczy. Wiedziałem o tym, ponieważ pocisk został wystrzelony z bliska i trafił Abe'a w środek czoła. Mężczyźni musieli na siebie patrzeć. Często rozmyślałem, czasem wiele godzin przed zaśnięciem, o ostatnich chwilach Abe'a. Wyjawiał Lovingowi miejsce pobytu pięciu chronionych przez siebie obiektów, Loving przekazał wiadomość swojemu dyspozytorowi, którego cyngiel zdołał zabić trzy z tych osób. Ale słyszałem wszystko przez niewyłączoną komórkę. Między chwilą, gdy Abe szeptem podał mu adresy świadków, a śmiertelnym strzałem upłynęło około trzydziestu sekund. Co się wtedy działo? Co wyrażały ich twarze?

To chyba był najważniejszy powód, dla którego obsesyjnie pragnąłem złapać Henry'ego Lovinga: nie tylko dlatego, że zabił Abe'a Fallowa, ale dlatego, że skazał go na męki i rozpacz w ostatnich chwilach życia.

Posłusznie trzymając wzdłuż boków uniesione ręce, zacząłem sobie zadawać pytanie, jakie zawsze zadają sobie owczarki w takich okolicznościach: jak długo wytrzymam tortury?

*Loving stosuje tradycyjne techniki. Zwykle traktuje wrażliwe części ciała papierem ściernym i alkoholem. Brzmi to może niezbyt groźnie, ale naprawdę skutecznie działa.*

Pytanie było jednak czysto teoretyczne i przemknęło mi przez myśl, gdy do niego podchodziłem.

Bo wbrew pozorom w tym momencie nie stałem na przegranej pozycji.

Przegrywał Henry Loving.

Prawdziwą przynętą nie był magazyn, w którym rzekomo przebywał Ryan Kessler.

Prawdziwą przynętą byłem ja.

Pułapka polegała na czymś zupełnie innym, niż się wydawało.

Nadszedł czas zwolnić zatrask.

Mrużąc oczy, uniosłem ręce nad głowę. To był znak dla dwóch zespołów FBI zajmujących pozycje w pobliżu.

Rzucając się na ziemię, zdążyłem ujrzeć szok na twarzy Lovinga, gdy dokładnie w tym momencie rozległy się eksplozje. Były ogłuszające. Poczułem falę uderzeniową i gorąco oblało mi twarz. Przetoczyłem się po ziemi, żeby odzyskać broń, radio i telefon. Potężne zdalnie detonowane granaty błyskowe wybuchały jeden po drugim wzdłuż linii, na której piętnaście minut wcześniej kazałem je rozmieścić ubezpieczającym mnie zespołom agentów, Trójce i Czwórce. Mieli je zdetonować, gdy uniosę ręce ponad głowę.

Albo gdy Loving mnie zastrzeli.

- Szybciej, szybciej! - krzyknąłem z ziemi, wsuwając słuchawki i chwytając broń. - Ucieka w stronę kanału.

- Dwójka, zdejmujcie współnika! - usłyszałem głos Freddy'ego.

Agenci z Trójki i Czwórki - którzy cały czas byli przy mnie, ukryci w odległości zaledwie dziesięciu metrów - ruszyli za Lovingiem. Dołączyłem do nich. Biegliśmy sprintem przez krzewy i chwasty, omijając opony, porzucone pralki i lodówki. Zbieracz nie zwracał na nas uwagi, koncentrując się na szybkości.

Uznałem, że Loving prawdopodobnie domyśli się, że to pułapka, liczyłem jednak na to, że przewidując moją obecność, zaryzykuje i spróbuje mnie porwać, a potem wydobyć ze mnie informacje o miejscu pobytu Ryana Kesslera.

Żeby w końcu mnie zabić.

Zgodnie z moją strategią, agenci zajęli stanowiska wokół mnie i zainstalowali ładunki wybuchowe, a tymczasem ja ustawiłem mikrofon i odwróciłem się plecami w stronę, z której, jak sądziłem, nadejdzie Loving. Stałem się najłatwiejszym celem pod słońcem. Dokonałem ryzykownego wyboru, jak jeden z podejrzanych w dylemacie więźnia. Racjonalnie irracjonalnego. Byłem pewien, że Loving nie zabije mnie na miejscu, ale spróbuje wyciągnąć ze mnie informacje o miejscu pobytu Kesslerów. Przypuszczałem, że przypłynął tu łodzią, kanałem, lecz teraz uciekał w przeciwną stronę - w kierunku



szczerego pola. Nie miał tam prawie żadnej osłony, więc decyzja wydawała się dziwna. Po chwili jednak w odległości stu metrów dostrzegłem nasyp, na którego szczycie biegła droga. Czekał tam na niego samochód.

Mogliśmy go jednak bez trudu dopaść w połowie drogi. Czterech agenci, którzy mnie strzegli, już go doganiali - ja też się nie poddawałem. Połączyłem się z Freddyem i powiedziałem mu, że Loving ucieka w stronę drogi i żeby przysłał samochód, by go zatrzymać.

Komunikaty radiowe śmigały jak odłamki pocisków, nasze głosy nakładały się na siebie.

Ciężko dysząc, gnałem za naszą zdobyczą.

Dostaliśmy dobrą wiadomość.

- Dwójka. Zgarnęliśmy jednego. Wspólnika Lovinga.

To już coś, pomyślałem. Mogliśmy dostać od niego cenne informacje, jego telefon, próbki do analizy. Może nawet sam się przyzna. Dylemat więźnia... Nagle jednak agent z Dwójki powiedział:

- Sprawdziliśmy go. Nie ma broni.

Nieuzbrojony?, zdumiałem się.

Och, nie...

Zatrzymałem się jak wryty, uświadamiając sobie z przerażającą jasnością, co się stało. Ledwie panując nad głosem, by brzmiał wyraźnie, nadałem przez radio komunikat do agentów biegnących przede mną:

- Trójka i Czwórka, na ziemię! Kryć się! Zatrzymany człowiek nie jest jego współnikiem. To pułapka!

Runąłem na ziemię jak szmaciana lalka.

I to prawdopodobnie ocaliło mi życie.

Opadając na kępę krzewów, usłyszałem nad głową trzask i zobaczyłem, jak niedaleko mnie tryskają w górę grudki ziemi i kamienie. Chwilę później nad polem przetoczył się huk wystrzału z odległego karabinu.

- Ogień snajperski! - krzyknąłem.

- Co? - zawołał ktoś przez radio.

Agenci przede mną tak jak ja rzucili się na ziemię, w którą tuż obok nich momentalnie zaryły pociski.

Wspólnik Lovinga był utalentowanym strzelcem, ale agenci zdołali się ukryć. Nic nie osłoniłoby ich przed bezpośrednim strzałem, lecz chwasty były na tyle wysokie, że skutecznie ich ukryły.

Lovingowi pozostało około dziesięciu metrów do nasypu i stojącego

tam samochodu. Agenci próbowali oddać kilka strzałów, ale ilekroć się podnosili, współnik posyłał w ich stronę serię - miał automat - więc znów musieli się przykleić do ziemi.

Szukałem celu, ale nic nie widziałem.

Po nasypie mknął wóz wysłany przez Freddy'ego; miał dotrzeć do czekającego samochodu równocześnie z Lovingiem.

Z westchnieniem wcisnąłem przycisk nadawania.

- Freddy, wycofaj ten wóz, natychmiast.
- Corte, to nasza jedyna szansa.
- Nie, nie, wycofaj. Przecież są widoczni jak na patelni.
- Cholera jasna... no, dobra. Zdąży?

Po chwili zobaczyłem, jak nasz samochód gwałtownie skręca, a obok niego z nawierzchni strzelają w górę kawałki asfaltu i odłamki kamieni. Wspólnik skierował na niego lufę długiej broni. Wóz błyskawicznie zjechał z drogi, znikając po drugiej stronie nasypu. Usłyszałem huk.

Loving pojawił się ponownie i wskoczył do samochodu, który natychmiast odjechał.

Jasny sedan.

*Jasnobrązowy albo szary...*

Usłyszałem, jak Freddy zgłasza przez radio FBI i stołecznej policji komunikat o poszukiwaniu pojazdu.

Snajper przerwał ogień.

Znaliśmy jednak zasady i poczołgaliśmy się w kierunku punktu zgrupowania, żeby nie stać się celem, ponieważ zakładaliśmy, że współnik wciąż czeka na nas z bronią w ręku.

Nie padł już jednak ani jeden strzał i wreszcie dotarliśmy do stanowiska dowodzenia. Przyjrzałem się człowiekowi schwytanemu przez Dwójkę. Nie miałem wielkich nadziei, że przerażony chłopak w czymkolwiek nam pomoże, mimo to trzeba było przejść przez stosowną procedurę. Pozorant był młodym ćpunem. Wyjaśnił, że ktoś - z jego opisu wynikało, że chodzi o Lovinga - zabrał go spod klubu w południowo--wschodnim Waszyngtonie i poprosił o pomoc w nabyciu prochów przed naszym magazynem. Loving powiedział mu, że chce heroinę, ale boi się sam ją kupować. Diler miał czekać we wraku dodge'a. Loving dał mu do ręki pieniądze i polecił kupić hery za czterysta dolarów dla niego, a za sto dla siebie. Nakazał mu ostrożność - „podchodź powoli” - bo czasem do wozu zagładają gliny.

- Pójdę siedzieć, nie?

W płaczącym pytaniu chłopaka i jego przestraszonych oczach było coś niemal zabawnego. Nie miałem jednak pewności, czy rzeczywiście popełnił jakieś wykroczenie.

Zadałem mu kilka pytań, ale Loving wiedział, że chłopak zostanie złapany; nie powiedział mu nic, co mogłoby nam pomóc. Freddy zdjął z niego mikroślady, ale choć rozumiem znaczenie technik kryminalistycznych, w tych okolicznościach chłopaka i Lovinga łączył ze sobą tylko plik studolarowych banknotów. Jeśli nawet doszło do przeniesienia dowodów fizycznych między nimi, gdy podali sobie ręce i przekazali pieniądze, żaden ślad nie doprowadziłby nas do kryjówki Lovinga.

Próbowaliśmy zlokalizować stanowisko strzeleckie jego prawdziwego współnika. W okolicy były dziesiątki wysoko położonych punktów, które doskonale się do tego nadawały. Nikt nie widział błysku lufy ani poruszenia liści spowodowanego przez podmuch wystrzałów. Agentom, którzy rozbili się samochodem, nic się nie stało. Zameldowali przez radio, że szukają świadków wśród robotników po drugiej stronie nasypu, którzy słyszeli strzały. Jeden z nich powiedział, że widział jakiegoś człowieka biegnącego w stronę niebieskiego czterodrzwiowego sedana.

- Podobno to był buick.

Wcisnąłem przycisk nadawania.

- Tu Corte. Zapytajcie go, jak wyglądał.

Po chwili usłyszałem odpowiedź.

- Wysoki, szczupły blondyn. W zielonej kurtce.

- Tak, to jego współnik.

- Nikt nie pamięta numerów wozu. Ani niczego konkretnego.

- Dzięki - powiedziałem.

Zaczęły nadchodzić meldunki z przebiegu poszukiwań, do których włączył się śmigłowiec policji stołecznej. Loving niepostrzeżenie opuścił najbliższą okolicę.

- Próbowaliśmy - rzekł Freddy.

Rzeczywiście próbowaliśmy. Ale Loving mnie przechytrzył i zneutralizował moją strategię. Owszem, toczyliśmy grę o sumie zerowej, co jednak nie oznaczało, że nie mogła zakończyć się remisem.

Kamień - kamień. Papier - papier...

Dla mnie remis równał się przegranej.

Podszedłem do samochodu, którym przyjechałem do magazynu, i wyciągnąłem z torby ręczny detektor.

- Myślisz, że wspólnik dotarł do naszego punktu zbiórki? - spytał Freddy.

Nie odpowiedziałem - nie ma sensu zgadywać - ale najwyraźniej dotarł. W ciągu piętnastu sekund znalazłem pierwszy lokalizator ukryty w błotniku, a drugi w odległości piętnastu centymetrów od pierwszego - wspólnik miał pewnie nadzieję, że po znalezieniu pierwszego przestanie szukać. Sprawdziłem dalej, ale nie znalazłem trzeciego, w każdym razie jeżeli nawet był, to jeszcze się nie włączył.

Przeszukałem wóz wykrywaczem materiałów wybuchowych, ale nie było żadnej bomby. Nie spodziewałem się zresztą, że istnieje taka możliwość. Loving chciał, żebym zaprowadził go do obiektu. Nie chciał mnie zabić.

Zostawił to sobie na później.

## Rozdział 13

Zamieniłem wypożyczony samochód na taurusa Garcii, pojechałem do Old Town w Alexandrii i zaparkowałem w naszym garażu obok biura.

Waszyngton jest usiany podobnymi punktami należącymi do różnych agencji rządowych. Czasem to kwestia przestrzeni; Langley na przykład jest bardzo zatłoczone. Zdarza się, że jadąc na spotkanie w CIA, muszę parkować co najmniej sto metrów od wejścia. Czasami chodzi o względy bezpieczeństwa. Wszyscy, od dziennikarzy pisujących w serwisie Slate po Mossad i Al-Kaidę, wiedzą, gdzie znajdują się siedziby CIA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i Narodowego Biura Rozpoznania; inne instytucje, takie jak nasza, wolą trzymać się w cieniu.

W garażu przywitałem się z Billym i poprosiłem go, żeby dokładnie sprawdził samochód Garcii. Przez kilka godzin stał niepilnowany przez nikogo w garażu przy Union Station, gdy pojechałem na akcję pod magazynem.

- Zatrzymałem się po drodze i z grubsza go przeszukałem. Nie ma żadnego sygnału, ale będziesz musiał przeczesać cały wóz.

Wiele lokalizatorów ma włącznik czasowy, który uaktywnia je po kilku godzinach lub nawet tygodniach. Aby wykryć nie sygnały radiowe, ale małe źródła prądu elektrycznego, potrzeba niezwykle skomplikowanego sprzętu.

- Jasne, Corte - odparł tykawaty mechanik. - Sprowadzę zamiatacza.

Swoją drogą Billy doskonale pasowałby do szoferki peterbilta. Zboczyłem z trasy, żeby na zewnątrz kupić kanapkę z wołowiną na pełnoziarnistym chlebie, z dodatkową porcją musztardy i dwoma

korniszonami, oraz czarną kawę. Wróciłem do biura. W nieciekawym holu stało anemiczne drzewko, wisiał plakat przedstawiający dwoje uśmiechniętych ludzi, którym najwyraźniej właśnie przyznano pożyczkę, i czarna tablica z białymi, samoprzylepnymi literami, którymi wypisano nazwy kilku fikcyjnych firm. Skinąłem głową dwóm strażnikom, uzbrojonym po zęby, choć w sposób nierzucający się w oczy, a potem przy ściennym panelu dałem sobie sprawdzić oko i palec. Otworzyłem drzwi i wszedłem po schodach na pierwsze piętro.

Moja asystentka Barbara uniosła głowę i podała mi plik karteczek z wiadomościami. Szczupła kobieta w średnim wieku z rozmysłem nie patrzyła na trzymany przeze mnie kubek i już wiedziałem, że zastanawia się, dlaczego nie lubię jej kawy, którą codziennie parzy dla całego piętra? Nie lubiłem, bo była niezmiennie kiepska.

Miała ciemne włosy z nitkami siwizny, utrwalone na sztywno. Czasem odnosiłem wrażenie, że umieszcza fryzurę w odpowiednim punkcie i przytwierdza lakierem.

Ponieważ nasza organizacja nigdy nie kończy pracy, personel techniczny jest na stanowiskach cały czas, ale od żadnej asystentki nie wymagamy, żeby pracowała dłużej niż czterdzieści godzin tygodniowo. Nie liczyłem dokładnie, ale wydawało mi się, że Barbara zaczęła już drugą czterdziestkę.

- Lubię weekendy - mawiała. - Jest spokojniej.

Prócz tego, że leżąc w cuchnącym błocie, można zarobić kulkę od utalentowanego snajpera.

Usiadłem przy swoim biurku i zjadłem ogórka oraz wielki kęs kanapki, którym łatwo mógłbym się udławić. Pociągnąłem łyk gorącej, mocnej, wyśmienitej kawy.

Zadzwoiłem do Lyle'a Ahmada w Hillside Inn.

- Jak sytuacja?

- Spokój. Garcia i ja robimy obchód co dwadzieścia minut.

- Ktoś dzwonił? Odzywali się z recepcji? Coś się działo?

- Nie - padła lakoniczna odpowiedź. Ahmad pochodził z Bliskiego Wschodu i niewykluczone, że był muzułmaninem. W przeciwieństwie do niektórych wyznawców tej wiary w Ameryce nie wydawał się ani trochę zażenowany z tego powodu. Zresztą nie powinien. Ogromna większość ludzi, którzy próbowali mnie zabić, miała poglądy bliższe chrześcijaństwu, judaizmowi i agnostycyzmowi.

- A obiekty?

- W porządku - zapewnił mnie, ale ton jego głosu zdradzał, że moi podopieczni są prawdopodobnie zniecierpliwieni, znudzeni i niespokojni, ale nie chciał o tym mówić, stojąc tuż obok. W tle słyszałem odgłosy meczu bejsbolowego w telewizji i Joanne mówiącą do siostry:

- No pewnie. Tylko się zastanawiam... ale jeżeli myślisz, że tak będzie najlepiej, to jasne.

Moja matka często mówiła coś podobnego.

- Za jakieś czterdzieści pięć minut przyjadę i zabiorę ich do schronu.

- Tak jest.

Kiedy się rozłączyliśmy, zjadłem jeszcze dwa wielkie kęsy kanapki, rozmyślając o przesyłce z FedExu, o starej grze, którą chciałem obejrzeć w porze lunchu. Ciekawe, czy była w dobrym stanie i czy pionki i karty są w komplecie, jak zaręczał sprzedawca. Zerknąłem na sejf za biurkiem, ale zostawiłem paczkę w spokoju.

Nie zamknąłem jej w obawie, że ktoś mógłby ją ukraść. Po prostu nie dzieliłem się z nikim stąd, nawet z najbliższymi współpracownikami, swoim życiem osobistym. Owszem, chodziło także o względy bezpieczeństwa; w istocie jednak wolałem zachować pewne rzeczy w sekrecie. Właściwie nie wiedziałem dlaczego.

Sięgnąłem po telefon, żeby zadzwonić do duBois i posłuchać, czego się dowiedziała o sprawie Ryana, ale nie zdążyłem, bo telefon zabrzączał pierwszy. Wyświetlił się numer wewnętrzny mojego szefa.

- Corte.

- Tu Aaron. Możesz wpaść na chwilę?

Ton głosu mówi więcej niż treść. W niewinnej na pozór prośbie Ellisa wyczułem pewien niepokój. Wchodząc do jego gabinetu, spodziewałem się ujrzeć Westerfielda, ale był tam ktoś zupełnie inny. Szczupły, łysiejący mężczyzna w garniturze i bladoniebieskiej koszuli bez krawata. Spojrzał na mnie niewidzącym wzrokiem, jak gdyby dostrzegał tylko to, co reprezentuję, a nie tego, kim jestem.

Podaliśmy sobie ręce. Przedstawił się jako Sandy Alberts.

Ellis poznał go chyba wcześniej, ale przecież mój szef znał prawie wszystkich w Waszyngtonie.

- Sandy jest szefem doradców senatora Lionela Stevensona - wyjaśnił.

To był umiarkowany republikanin z Ohio. Zdaje się, że niedawno

pojawił się na okładce „Newsweeka” czy innego czasopisma.

- Tak naprawdę wcale mnie tu nie ma - oświadczył żartobliwie Alberts, robiąc aluzję do tajnego charakteru naszej instytucji. Często to słyszeliśmy. - Powiem panu, o co chodzi.

- Corte.

- Dobrze, panie Corte. Senator jest członkiem komisji do spraw wywiadu.

No tak, stąd ma zezwolenie na wstęp do naszego budynku. Już wszystko jasne.

- W przyszłym miesiącu komisja będzie prowadziła przesłuchania na temat inwigilacji wewnętrznej, ustawy antyterrorystycznej, nakazów wystawionych na mocy ustawy o inwigilacji zagranicznych wywiadów. Chodzi o zbadanie przypadków domniemanego naruszenia ochrony prywatności, a ja w imieniu senatora zbieram informacje. - Dobrodusznym gestem uniósł ręce. - Nie sugerujemy, że u was dzieje się coś złego. Po prostu rozmawiamy z ludźmi w federalnych organach ścigania. Gromadzimy dane. Jest pan starszym funkcjonariuszem ochrony, więc chcielibyśmy z panem porozmawiać i przekonać się, czy coś panu wiadomo o działaniach, w których doszło do, powiedzmy, zaniedbań w przygotowaniu wniosków o wydanie nakazów założenia podsłuchu na linie telefoniczne i korespondencję elektroniczną w agencjach, z którymi pan współpracuje. W FBI, CIA, DEA, NSA, NRO czy lokalnych organach ścigania.

- Chętnie pomogę, ale... muszę się teraz zająć pilnym zadaniem.

Alberts kiwał głową.

- Wiemy, co pan tu robi. Senator jest dobrym znajomym Aarona. - Zerknął w stronę swojego szefa. - Nie chcemy przeszkadzać panu w wykonywaniu obowiązków, z których świetnie się pan wywiązuje. Chodzi jedynie o to, że musimy działać pod presją czasu.

- Dlaczego? - spytał Ellis.

- Ilekroć komisja zaczyna badać jakąś sprawę, prasa zawsze się zorientuje, a jeżeli nas uprzedzi, wszyscy na tym stracą.

Nie mogłem się z tym nie zgodzić.

- Może pan się zwrócić do wielu innych naszych ludzi - zaproponowałem.

- Och, zależy nam na gwiazdzie - odparł Alberts.

- Niestety, moim zdaniem to będzie musiało poczekać, aż zakończymy bieżącą sprawę - wsparł mnie szef.



Alberts nie był zadowolony, lecz przyjął to spokojnie.

- Mówimy o trzech, czterech dniach?

- Prawdopodobnie - przytaknąłem. - Nie mogę jednak obiecać. To krytyczny moment dla rodziny, która jest pod moją opieką. Kiedy tylko będę wolny, dam panu znać.

- Oczywiście. Rozumiem - rzekł Alberts. Znów spojrzął przez mnie jak przez szybę, uśmiechając się bez cienia uśmiechu. - Będę wdzięczny. - Wstał i biorąc teczkę, skinął głową Ellisowi. - Mówiłem serio - robicie tu kawał dobrej roboty.

Po jego wyjściu spytałem Ellisa:

- Ten senator to naprawdę twój znajomy?

Ellis prychnął drwiąco, wruszając szerokimi ramionami.

- Jeżeli można tak nazwać faceta, do którego chodzisz po prośbie, to tak. Stevenson zwykle, akceptuje większość moich wniosków budżetowych. Jest z prawicy, ale myślącej prawicy. Inteligentny, umie słuchać drugiej strony. Potrzebujemy więcej polityków takich jak on. W Kongresie jest za dużo wrzasku. Zresztą wszędzie jest za dużo wrzasku.

Przypomniałem sobie burzliwą demonstrację, przez którą przejeżdżałem pod Senatem. Każda ze stron naprawdę sprawiała wrażenie, jakby chciała zabić drugą. Chyba właśnie o to przede wszystkim chodziło w artykule z „Newsweeka”. Pisano o wysiłkach senatora Stevensona na rzecz ponadpartyjnego porozumienia w Waszyngtonie.

Powodzenia, pomyślałem.

Oglądałem obrazki autorstwa dzieci mojego szefa. Patrzyłem na ogromną rybę zajmującą całą rzekę. Na fioletowy samolot. Króliki.

- A Alberts?

- Spotkałem go najwyżej dwa razy. Typowy zawodowiec ze stolicy: komitety wyborców, zbieranie funduszy, doradca senatorów w komisji finansów, w komisji sił zbrojnych, a teraz u Stevensona w komisji wywiadu. - Ellis kręcił się na krześle. - Pójdiesz na to?

- Pytasz o Alberta? Chyba tak.

- Musisz, Corte. Trzeba dbać, żeby trzymający kasę byli zadowoleni... chociaż ty nie wyglądasz na zadowolonego z tej propozycji.

- Nie mogę zeznawać przed komisją. Jestem dobry tylko dlatego, że nie istnieję.

- Alberts zdaje sobie z tego sprawę. Potrzebuje tropów, nic więcej.
- Wiesz, jak się w branży tłumaczy „trop”, prawda, Aaron?
- Wtyczka - odparł mój szef.

Właśnie to słowo miałem na myśli.

## Rozdział 14

**W**róciłem do swojego biura.

- Kawa ci wystygła - poinformowała mnie Barbara. - Tu masz gorącą. Właśnie zaparzyłam.

Och. Podziękowałem i spróbowałem. Jeszcze gorsza, niż zapamiętałem.

Wcisnąłem przycisk szybkiego wybierania.

- DuBois - zaćwierkał jej głos. - Jest pan w budynku.

- Jeszcze przez dziesięć minut. Możesz tu wpaść?

Kiedy po chwili się zjawiła, zastanawiałem się, jak bardzo nasza sprawa zepsuła jej plany na weekend.

Miała dwa koty i chłopaka, który był chyba kimś na stałe, jak wynioskowałem ze strzępków rozmowy, ale z nim nie mieszkała. Nie znałem go. Nie spotykam się na stopie towarzyskiej z kolegami z pracy. Jej chłopak najwyraźniej był zawsze gotów karmić zwierzaki i wymieniać im żwirek. Czasami mu współczuję. Z drugiej strony ciekawe, czy nie jest mu lepiej w takim układzie z Claire duBois, niż gdyby miał z nią mieszkać, co mogłoby się okazać zbyt męczące.

Usiadła naprzeciwko mnie.

- Komórki obiektów. - Podałem jej ekranowaną torbę, w której przyniosłem należące do Kesslerów telefony Nokia, Samsung i BlackBerry oraz wyciągnięte z nich baterie. DuBois miała je umieścić w izolowanym pomieszczeniu w głębi korytarza, w pobliżu biura Hermesa. Gdyby Ryan lub Joanne w wypadku nadzwyczajnej sytuacji koniecznie potrzebowali jakiegoś numeru zapisanego w swoich komórkach i nie mieliby innego sposobu, aby go zdobyć, Hermes albo ktoś inny z wydziału technicznego wszedłby do pomieszczenia, włączył telefony i uzyskał stosowne informacje, bez ryzyka, że sygnał zdradzi ich lokalizację.

- Co z Lovingiem? - spytała duBois.  
- Jego współnik tam był, ale nie ma żadnego rysopisu ani szczegółu poza tym, że wsiadł do czterodrzwiowego niebieskiego auta, prawdopodobnie buicka. Nic więcej.

Pytające spojrzenie.

- Jasny czy ciemny? Pytam o kolor buicka. Przypadkowo wiem, że nowe samochody osobowe występują w dwudziestu siedmiu odcieniach zieleni. I osiemnastu rodzajach czerwieni. Niebieskiego niestety nie sprawdzałam, ale pewnie jest tak samo. Aha, zwykle co pół roku obniżają o jeden stopień nasycenie barw. Różnie.

- Ciemniejszy.

Zapisała w notesie, który wszędzie jej towarzyszył.

- Teraz to. - Podałam jej plastikową torebkę z lokalizatorami.

DuBois uniosła gęstą, ciemną brew.

- Dwa. W porządku. Słyszałam, że czasem coś takiego robią. Zdjęte z pana samochodu przy pułapce?

Skinąłem głową.

- Robotą współnika Lovinga. Muszę mieć odciski palców. I znać źródło pochodzenia.

- Namierzę - powiedziała bez cienia ironii w głosie.

- Powiedz, co ze sprawami Ryana? - zapytałem.

DuBois nie musiała zaglądać do notatek.

- Najpierw fałszerstwo. Eric Graham, czterdzieści dziewięć lat. Cywilny pracownik Departamentu Obrony. Miejsce, w którym pracuje, nazywają „Ścisłym gronem”. Chyba w kręgu E czy jakoś tak. W środku Pentagonu. Nie potrafiłam ustalić, czym się właściwie zajmuje, nawet ze swoją legitymacją i wpływami, ale możemy uznać, że to tajne i wiąże się z konstruowaniem broni.

- Jak się tego dowiedziałaś? - Konstruktorzy broni bardzo uważają, by nigdy nikomu nie mówić, że konstruują broń.

- Sprawdziłam jego życiorys, jego certyfikaty dostępu do informacji niejawnych, powiązałam parę terminów i miejsc spotkań z kontrahentami departamentu. Czasem można się o kimś więcej dowiedzieć na podstawie tego, czego nie mówi niż tego, co mówi. Skojarzyłam ze sobą kilka rzeczy.

DuBois była prawdziwym skarbem.

Odgarnęła kosmyk włosów, podzwaniając wisiorcami na bransoletce. Zobaczyłem srebrnego pieska, pancernika, bagietkę i maleńką

figurkę świętego Wacława, którą kupiła w Pradze, gdzie pojechaliśmy z zadaniem.

- Graham nie był zamieszany w żaden incydent naruszenia przepisów bezpieczeństwa - ciągnęła. - Ale doszło do czegoś dziwnego. Nie wiem, co o tym myśleć. - Patrzyła na moją kanapkę. - To kolacja?

Spojrzałem na zegarek. Niedawno minęła czwarta.

- Raczej lunch - odparłem. - Mów dalej. Czego takiego się dowiedziałas?

- Chciałam dowiedzieć się więcej i zasięgnęłam języka w wydziale detektywów policji stołecznej. Wygląda na to, że Graham postanowił wnioskować o umorzenie sprawy.

- Wycofać?

- W piątek zadzwonił do komendanta Lewisa i powiedział, że nie chce ścigać sprawcy. Chce umorzenia sprawy.

- Podał jakąś przyczynę?

- Mówi, że z powodów zawodowych. Względy bezpieczeństwa. Nie chce występować publicznie z imienia i nazwiska.

- Rzeczywiście dziwne. Co kradzież może mieć wspólnego z bezpieczeństwem narodowym? Ryan mówił mi, że sprawca nie zabrał żadnych poufnych materiałów, żadnych dokumentów czy komputerów z pracy.

- Zgadza się - przytaknęła duBois.

- No i dlaczego dopiero teraz? - ciągnąłem. - Gdyby się od początku tym nie przejmował, przecież w ogóle by tego nie zgłosił.

- Pewnie nie. Jeszcze jedno. Sprawdziłam, co mówi prawo. To była wina Grahama. Jeżeli ktoś nie pilnuje książeczki czekowej czy udostępnia innym swój podpis, jeżeli lekceważy wymogi bezpieczeństwa, to bank nie musi pokrywać straty spowodowanej sfałszowaniem czeku. Płaci firma ubezpieczeniowa. Ale nie zapłaci, jeżeli policja nie sporządziła protokołu.

Starałem się to zrozumieć.

- Czyli krótko mówiąc, ma czterdzieści tysięcy dolarów w plecacyku i przyjmuje to bez mrugnięcia okiem.

- Rząd mu zrefunduje? Chyba mało prawdopodobne. Próbowalam z nim porozmawiać. A to niełatwe, naprawdę. Śmiało. Proszę jeść. Widziałam, jak patrzy pan na tę kanapkę. Zauważył pan, że jeżeli ludzie są w restauracji z kimś, to częściej patrzą na jedzenie niż na swoje towarzystwo? A jak ktoś przychodzi sam, częściej patrzy na ludzi

niż najedzenie.

- Ale Ryan nic nie wspominał o umorzeniu sprawy - powiedziałem. - Właśnie rozmawiałem z nim o tym w Hillside.

- Pewnie nic nie wie. Jego asystentka mówiła mi, że cały czwartek i piątek spędził poza biurem, pracując nad jakimiś papierami administracyjnymi. W przyszłym tygodniu jest ważne zebranie w związku z reorganizacją procedur rachunkowych w wydziale.

Przypomniałem sobie, że Ryan wspomniał o jakimś wewnętrznym zadaniu.

- Czyli wykreślamy sprawę Grahama z naszej krótkiej listy? - spytała.

- Nie. Wręcz przeciwnie. Nikt nie zlekceważy czterdziestu tysięcy dolarów, chyba że zostanie do tego zmuszony. - Zjadłem jeszcze kawałek kanapki. - Jakie wrażenie na tobie sprawił? Pytam o Grahama.

DuBois zastanowiła się przez chwilę.

- Był zdenerwowany. Odpowiadał wymijająco.

- Ktoś go naciska, żeby nie składał skargi?

- Możliwe. Rodzina Grahamów nie zarabia dużo. Bez tych czterdziestu tysięcy jego syn nie wróci na Princeton. Na miejscu poszkodowanego zrobiłabym wszystko, żeby złapali sprawcę.

W głowie zaczęły mi się rysować różne scenariusze.

- Powiedzmy, że dyspozytor fałszuje czek i podejmuje pieniądze. Przeznacza je na jakiś kompromitujący cel - przekazuje w darowiźnie radykalnemu meczetowi, kupuje dużą ilość kokainy, wydaje na prostytutki, kto wie, co jeszcze. Może występuje jako Graham. Źródło pochodzenia pieniędzy da się zidentyfikować. Dyspozytor mówi do Grahama: „Daj mi dostęp do poufnych dokumentów albo zorganizuj sabotaż systemu, w którym pracujesz, bo inaczej zrujnuję ci życie na zawsze i pójdiesz siedzieć”. Graham się zgadza. Tyle że Ryan dalej prowadzi sprawę. Dyspozytor wynajmuje Lovinga, żeby sprawdził, ile wie Kessler.

- Brzmi prawdopodobnie - uznała duBois.

- Teraz druga sprawa. Piramida.

Lazurowe oczy obramowane lśniąco, ciemnymi włosami skierowały się na notatki.

- Sprawdziłam piramidy finansowe w Google'u.

Oczywiście wiedziałem co nieco o takich przekrętach z afery Madoffa, nawet z wiadomości można się czegoś nauczyć. Teoretycznie

wygląda to tak, że oszust, podając się za doradcę inwestycyjnego, bierze od ludzi pieniądze i zobowiązuje się je zainwestować. Zatrzymuje pieniądze, ale wysyła klientom wyciągi, z których wynika, że wartość jednostek funduszu wzrosła. Kiedy pierwsi inwestorzy chcą wycofać środki, złodziej wypłaca je z pieniędzy późniejszych ofiar. System sprawdza się, dopóki wszyscy inwestorzy równocześnie nie zechcą wycofać swoich udziałów. Przekręt odkrywano zwykle wówczas, gdy klienci tracili nerwy i zaczynał się run na fundusz. W kategoriach dylematu więźnia deponenci zachowywali się z racjonalną irracjonalnością.

- Podejrzany, Clarence Brown... - zaczęła duBois.

- Pastor z dyplomem zamówionym pocztą.

- Niezupelnie. Sprawdziłam jego internetowy kościół i...

- Internetowy? - To było coś nowego.

- Aha. Poczta nie ma z tym nic wspólnego. Dyplom z teologii można sobie ściągnąć i wydrukować. Ze strony Nowy Kościół Syjonu kropka com. Każdy mógłby to zrobić. Pan i ja. Chciałam sprawdzić, czy to rzeczywiście taka lipa, na jaką wygląda, i prawie zostałam kapłanem. A raczej kapłanką. Chcieli ode mnie sporych pieniędzy, więc się wylogowałam. - Na bransoletce miała wisiorki z krzyżem, gwiazdą Dawida i islamskim półksiężycem. A także kota z wygiętym grzbietem i kapelusz czarownicy. Niełatwo było scharakteryzować duBois.

- Mów dalej, Claire.

- Jest fałszywym pastorem, ale to wcale nie jest najciekawsze. Dowiedziałam się, że „Clarence Brown” to pseudonim. Naprawdę nazywa się Ali Pamuk.

- Notowany?

- Nie sądzę. W każdym razie nie ma go w standardowych bazach danych. Ale poprosiłam paru znajomych, żeby trochę dokładniej zbadali jego przeszłość. Szczególnie interesują mnie wszystkie ewidencje „prowadzących działalność pod nazwą”. Muszę skorelować numer ubezpieczenia, adres, rejestr rozmów telefonicznych, rozliczenia miesięczne, raporty dla komisji papierów wartościowych i giełd.

Zwróciłem uwagę na wzmiankę o „znajomych”. Funkcjonariusze rządu federalnego niezwykle rzadko używali tego określenia, mówiąc o detektywach. Bez względu na to, w jaki sposób duBois zamierzała zabrać się do rzeczy, wszystko odbywało się zgodnie z zasadami.

Chroniąc obiekty, można było złamać wszystkie przepisy, jakie się chciało. Odnalezienie dyspozytora wymagało od nas jednak wykonywania typowo policyjnych zadań - musieliśmy zebrać dowody, nie pozostawiając obronie podejrzanego żadnej luki, przez którą ptaszek mógłby wyfrunąć.

- Jeszcze jakieś szczegóły?

- Ojciec Turek, matka Nigeryjka. Oboje naturalizowani. Zdaje się, że kilka lat temu przeszedł na chrześcijaństwo, a potem został duchownym. Ale w zeszłym roku i rok wcześniej przekazał duże sumy na rzecz meczetu w Wirginii, którego nie ma na żadnej liście podejrzanych ośrodków. To typ gracza - dodała duBois. - Ma mieszkancko w kamienicy na południowym wschodzie, ale mieszka też w Watergate. O tym raczej nie wspomina. Z Departamentu Stanu wiem, że w ciągu ostatnich dwóch lat jeździł do Dubaju, Dżuddy i Jordanii.

Portret znacznie się różnił od tego, który odmalował Ryan Kessler.

- Tak, to się przyda. - W moich ustach był to największy komplement. - Co z tymi drobniejszymi sprawami Ryana? - Policjant je bagatelizował, ale poprosiłem duBois, żeby mimo wszystko wypytała o nie komendanta Lewisa.

- Chodzi panu o kradzieże kart kredytowych? - spytała duBois. - Naprawdę drobiazgi. Większość zakończyła się ugodą. Kradzież tożsamości to poważniejsze przestępstwo. Też prawie same ugody. Większa sprawa dotyczyła paru chłopaków, którzy kupowali przez Internet sprzęt elektroniczny. Źle trafili z ofiarą - wybrali specjalistę od zabezpieczeń komputerowych z Advanced Circuit Design. - Był to jeden z większych konkurentów Intela.

- Facet namierzył sprawców i wydał policji. Wywinęli się jednak grzywną i nadzorem sądowym. Świetne rozwiązanie. Ofiara hakerów w zemście hakuje hakerów. Surowa kara.

Dokończyłem kanapkę, myśląc: w porządku, jest parę tropów, ale właściwie żadnego konkretnego. Byłem rozczarowany. -Kop dalej.

- Już łapię łopatę.

- W obu sprawach.

- Będę żonglować łopatami.

Uśmiechnąłem się do niej. Miałem nadzieję, że chłopak od kotów dobrze ją traktuje.

Przeglądając wiadomości zapisane w telefonie, zanotowałem parę informacji.



- Jeszcze kilka rzeczy do sprawdzenia. - Wręczyłem jej kartkę, dodając parę instrukcji. - Priorytet - dodałem.

- Jasne.

- Muszę odwieźć Kesslerów do schronu.

Wstała. Zawahała się przez chwilę.

Spojrzałem na nią pytająco.

- Słyszałam, że w pułapce... Loving podszedł bardzo blisko.

Zamilkła, co nie zdarzało się jej często.

Ale nie było sensu rozmawiać o chwili, gdy otarłem się o śmierć. Należała do przeszłości i nie zginął ani Loving, ani ja. Nie płynęła z tego żadna nauka, nie miałem czego odnotować z myślą o przyszłych strategiach, nie miałem jej nic do przekazania.

Spekulacje na temat przeszłości są nieskuteczne. I w związku z tym nie mają wpływu na osiągnięcie celu.

Tak więc po prostu patrzyłem na nią bez wyrazu.

- Zaraz się do tego zabieram, Corte - powiedziała, zwracając się do mnie po nazwisku chyba po raz pierwszy, odkąd zaczęliśmy razem pracować.

## Rozdział 15

Odebrałem samochód Garcii, wolny od pluskiew - Billy wystawił mu świadectwo zdrowia, i wyprowadziłem z powrotem na autostradę. Zrobiłem kilka dziwnych, lecz zgodnych z przepisami objazdów i kiedy byłem przekonany, że nikt mnie nie śledzi, wróciłem na autostradę i pojechałem do Hillside Inn.

Krótko po szóstej po południu dotarłem do motelu i znów zaparkowałem samochód z tyłu, mniej więcej w tym samym miejscu, w którym stał wcześniej, niedaleko yukona.

Spojrzałem na północ i dostrzegłem rysujące się we mgle dalekie osiedle mieszkaniowe. Pewnie patrzyłem na dwa czy trzy tysiące ludzi... niewielki odprysk populacji okręgu i jeszcze mniejsza część mieszkańców regionu. Pomyślałem, że zbieracz gdzieś tam jest, co często zdarzało mi się w pracy. Ale gdzie?

Jak blisko?

W odległości pięćdziesięciu kilometrów ode mnie, gubiąc się w przypuszczeniach, gdzie są moi podopieczni i ja?

A może bardzo blisko, kilometr czy mniej, znając już miejsce naszego pobytu i mając przygotowaną strategię, jak zabić ochronę i porwać Ryana Kesslera?

Ruszyłem do pokoju, dzwoniąc po drodze do Ahmada, żeby go zawiadomić o swoim przyjeździe. Nie pukamy do drzwi w żaden tajny, umówiony sposób, chociaż to może nie byłby wcale taki zły pomysł. Wpuścił mnie i poczęstował kubkiem kawy z kuchenki. Powietrze przesyciły zapachy jedzenia podanego do pokoju - z przeważającą wonią cebuli i czosnku. Na tacy obok zlewu stały dwa talerze, jeden pusty, a drugi z częściowo zjedzonym daniem.

- Niedługo wyjeżdżamy do bezpiecznego domu.

Wszyscy patrzyli na mnie wyczekująco. Zdałem sobie sprawę, że wyjechałem w dość tajemniczych okolicznościach. Ale trzymając się zasad poufności, nic wyjaśniłem dokąd, więc poleciłem tylko, żeby spakowali wszystko, co zdążyli już rozpakować po przyjeździe do motelu.

Gdy Maree i Joanne poszły się tym zająć, odciągnąłem na bok Ryana. Wyczułem, że znów uraczył się trunkiem, ale nie wydawał się mniej trzeźwy niż wcześniej.

- Dowiedzieliśmy się czegoś nowego o sprawie Grahama. Wycofał zarzuty.

- Co? - zdumiał się policjant. - Przecież to by było bez sensu. Na pewno?

Przytaknąłem.

- Kiedy pierwszy raz przesłuchiwałem Grahama, był wściekły... A barankiem nie jest, możesz mi wierzyć. Jak miał zapłacić chesne dzieciaka? Chłopak musiałby rzucić studia. To by był koniec jego marzeń o przyszłości syna. Prawie mi groził, żebym przymknął drania. A teraz coś takiego?

- Kiedy rozmawiałeś z nim ostatni raz?

- Chyba we wtorek.

- Czyli między wtorkiem a wczoraj zdarzyło się coś ważnego.

- Wczoraj wycofał zarzuty?

- Zgadza się.

- Cały dzień byłem na spotkaniach - powiedział Ryan. - Cholerna rachunkowość. - Zastanowił się przez chwilę. - Czyli wygląda na to, że może chodzić o tę sprawę.

- Też mi się tak wydaje. Coś, co ustaliłeś podczas śledztwa, może być kluczowe dla kogoś, kto go wziął na cel.

Westchnął i odparł obronnym tonem:

- Ciężko jest zdobyć informacje o takich ludziach, to znaczy o pracownikach Departamentu Obrony. Nie rozmawiają z takimi szaraczkami jak my.

Przyszło mi na myśl, że nie spodoba mu się to, co właśnie chciałem mu powiedzieć - o związanym z drugim śledztwem fakcie, którego nie udało mu się odkryć.

- A jeżeli chodzi o piramidę finansową...

- Tak?

- Clarence Brown to fałszywe nazwisko. Naprawdę nazywa się Ali

Pamuk. - Przekazałem mu wyniki poszukiwań duBois, dodając, że Claire kontynuuje badanie przeszłości podejrzanego. Jeśli nawet Ryan zdenerwował się na wiadomość, że siły federalne ujawniły więcej informacji, niż sam zdołał znaleźć, nie dał tego po sobie poznać. Był przede wszystkim zaskoczony takim obrotem sprawy.

- Legalna zmiana nazwiska?

- Jeszcze nie wiemy. Powiedz mi, czy coś wskazuje na to, że ustaliłeś w śledztwie jakieś fakty, o których ktoś chciałby wiedzieć?

Opuścił głowę i spojrzał ponad moim ramieniem. Zastanawiałem się, na co patrzy. Na żonę, szwagierkę, uzbrojonych strażników? Na ukrytą butelkę Wild Turkey czy Maker's Mark?

- Przykro mi, Corte. Nic takiego nie przychodzi mi do głowy. Będę szukać dalej. Będę szukać.

Zerknąłem na zegarek. Chciałem już odwieźć wszystkich do schronu.

Wyszedłem z pokoju i skierowałem się do recepcji, przypominając sobie, kim jestem.

Nazywam się Frank Roberts. Jestem z firmy Artesian. Robimy obłądnie dobre oprogramowanie.

Uśmiechnąłem się do mężczyzny za ladą i powiedziałem:

- Będziemy się już zbierać. Chciałbym uregulować.

- Oczywiście, panie Roberts - odrzekł, biorąc ode mnie kartę magnetyczną. Zachowywał się trochę nerwowo, jak często zdarza się recepcjonistom, kiedy coś dzieje się inaczej niż zwykle. - Wszystko w porządku?

Pytał, dlaczego wyjeżdżamy po raptem trzech czy czterech godzinach.

- Och, jak zawsze w najlepszym. Pokoje były nam potrzebne do narady w sprawie sprzedaży. Skończyliśmy wcześniej i zabieram towarzystwo do miasta.

- Oczywiście, oczywiście. Szkoda, że musi pan pracować w sobotę.

- Ale firma stawia nam wieczór, więc sam pan rozumie.

Z rachunku wynikało, że ktoś zamówił sobie do posiłku butelkę wina. Na pewno Kessler; nie wydawało mi się, żeby ktoś jeszcze pił. Trochę mnie to zirytowało. Zawsze ciężko było zatwierdzić wydatki na alkohol. Zresztą czy nie miał kompletnie wyposażonego barku w plecaku?

Podziękowałem recepcjoniście i wróciłem do pokoju.

Gdy Rudy Garcia otworzył drzwi, zobaczyłem Maree, która ze śmiechem mówiła coś do siostry. Przyglądałem się im spod zmarszczonych brwi. Kobiety nie siedziały w salonie; były w bocznej sypialni i obserwowałem je w lustrze.

- Zaprowadziłeś Kesslerów i Maree do sypialni, kiedy przyszła obsługa z jedzeniem? - spytałem go.

- No pewnie.

- Drzwi były otwarte? Do sypialni?

Obejrzał się przez ramię.

- Nie wiem. Dopilnowałem, żeby nie było ich widać.

Skrzywiłem się.

- W odbiciu też nie? Agent przyjrzał się lustru.

- Chyba... o, cholera.

- Boy nie zachowywał się dziwnie?

- Faktycznie, dość nerwowo.

Zamknąłem za sobą drzwi. Wskazałem Ahmadowi okna z tyłu, a Garcii od frontu. Bez słowa wyciągnęli broń i szybko zajęli stanowiska. Powyłączałem lampy w pokoju.

- Zgasić światła w sypialni - zawołałem do Joanne i Maree. - Natychmiast.

Nastąpiła chwila ciszy i pokój też pogrążył się w ciemnościach.

- Co się dzieje? - zapytała z niepokojem Joanne, stając w drzwiach.

- Chyba Loving nas znalazł i jest w drodze.

Najprawdopodobniej jednak jest już tutaj, pomyślałem.

## Rozdział 16

**M**ój umysł dokonał czegoś, co zdarza mi się od czasu do czasu, gdy uczestniczę w grach pewnego rodzaju i mam zręcznego przeciwnika.

Instynktownie przenikam jego strategię. Zwykle dotyczy to gier z informacją doskonałą, takich jak szachy czy kółko i krzyżyk. Informacja doskonała oznacza, że wszystkie poprzednie ruchy gracza - jego strategię - są znane przeciwnikowi. Obaj obserwują każdy ruch wykonany od początku gry. (W przeciwieństwie do dylematu więźnia, gry, powiedzmy, o niedoskonałej informacji, ponieważ pierwszy więzień nie wie, jak się zachowa drugi).

Z niewiadomego powodu zdarza mi się, że wszystkie dotychczasowe ruchy przeciwnika łączą się w logiczną, spójną całość - widzę ją niemal jak obraz czy fotografię - i już wiem, jaka będzie jego następna strategia.

W tym momencie kawałkami układanki, które utworzyły obraz, były widok moich obiektów odbitych w lustrze, niepokój recepcjonisty w holu kilka minut wcześniej, nerwowość boya.

Szczegółów wprawdzie nie znałem, ale miałem przeczucie graniczące z pewnością, że Loving, udając funkcjonariusza organów ścigania, wysyłał faksy albo e-maile do kilkudziesięciu hoteli i moteli w okolicy - może do tych, które uważał za dobre schrony. Dołączył zdjęcie Ryana Kesslera, twierdząc, że to uciekinier. Loving podał numer telefonu, pod który należało zadzwonić, lecz równocześnie ostrzegł szefów hoteli, aby nie podejmowali samodzielnie żadnych działań, gdyby zobaczyli podejrzanego. Recepcjonista prawdopodobnie pokazał zdjęcie personelowi obsługi pokoi. Kiedy do naszego pokoju przyniesiono jedzenie, jeden z pracowników dostrzegł w lustrze Ryana i zapewne zauważył też tego przekłętego colta na jego biodrze.

Recepcjonista był niespokojny nie dlatego, że nie podobała mi się obsługa i wymeldowałem się wcześniej; pomyślał, że dwie kobiety i ja jesteśmy zakładnikami Ryana Kesslera i towarzyszących mu mężczyzn - ponurych twardzieli o groźnym wyglądzie.

Dla mnie najważniejsze pytanie brzmiało: kiedy dokładnie recepcjonista zadzwonił do Lovinga? Gdyby to się stało przed dziesięcioma minutami, prawdopodobnie nic nam nie groziło. Jeżeli przed godziną, Loving był już w pobliżu.

- Czysto - zameldowali moi dwaj partnerzy, każdy ze swoim akcentem.

Zadzwoniłem do Freddy'ego. Odebrał natychmiast.

- Corte?

- Mamy kłopot.

- Przed chwilą już miałeś, w muchołapce.

- Loving do nas jedzie. Do Hillside Inn. - Wyrecytowałem adres.

- Dobra, zaczekaj. Zawiadomię naszych ludzi - i ludzi z Prince William.

- Spróbuj, ale załóżę się, że będą mieli fałszywe zgłoszenie tak jak w Fairfaksie.

- No tak. Jasne.

- Najpierw wyślij do nas swoich ludzi. Szybko.

Zignorowałem przestraszone spojrzenia, jakie posyłał mi moi podopieczni, pakując w pośpiechu rzeczy osobiste. Dałem jednak znak Ryanowi Kesslerowi, żeby odłożył broń. Z taką ilością alkoholu w organizmie mógłby strzelić do swojej żony, do mnie albo do siebie. Dzięki Bogu miał rewolwer, którego spust wymagał większej siły. Zauważyłem, jak spogląda na mnie, wzruszając ramionami. Domyśliłem się znaczenia tego gestu: przecież właśnie o to chodzi, żeby zwać tu Lovinga, a potem go zgarnąć, tak jak mówiłem mu przedtem.

Odwrócenie na przynętę...

Niechętnie wsunął broń z powrotem do kabury.

W słuchawce ponownie odezwał się Freddy.

- Kawaleria w drodze. Będą za dwadzieścia, trzydzieści minut. Przechodźcie do obrony czy przyskacie?

- Jeszcze nie wiem. Połącz mnie swoją oficjalną linią z tutejszą recepcją. I nie ukrywaj numeru. Niech zobaczą, że dzwoni do nich Departament Sprawiedliwości albo FBI.

- Jasne, zaczekaj. Gdybym cię rozłączył, zadzwonił jeszcze raz. Nie

znam się na tej cholernej technice.

Kiedy ludzie w pokoju zbierali kurtki i walizki, a moi partnerzy sprawnie przemieszczali się od okna do okna, a od okien do drzwi, dając nam znak, że nie widzą żadnego zagrożenia, czekałem w napięciu, słuchając trzasków na linii.

Wreszcie sygnał.

- Hillside Inn, czym mogę służyć? - To był człowiek, z którym rozmawiałem w recepcji. Musiałem mieć nadzieję, że nie rozpozna mojego głosu.

- Mówi agent specjalny Hugh Johnston - oznajmiłem z werwą. - Dzwonię w sprawie przyjętego zgłoszenia o podejrzanym w motelu.

- Właśnie miałem dzwonić. Zaraz wyjeżdżają!

Czyli miałem rację.

- Był u mnie zakładnik - pan Roberts - ciągnął recepcjonista. — W kiepskim stanie. Był już kiedyś u nas, pracuje w firmie, która czasem korzysta z naszych usług. Zapłacił. Starał się zachowywać jak gdyby nigdy nic, ale to dziwne, że wyjeżdżają już po czterech czy pięciu godzinach.

- Koordynuję akcję ratunkową - powiedziałem. - Z którym agentem rozmawiał pan wcześniej?

- Przedstawił się jako agent specjalny Jonathan Corte, przez „e”.

Poczułem lekki skurcz w żołądku, słysząc przykład perwersyjnego poczucia humoru Lovinga, jeśli to miał być żart. Miał na drugie imię Jonathan.

- Kiedy dokładnie pan dzwonił? - spytałem.

- Chyba czterdzieści pięć minut temu, kiedy tylko Benny zaniósł im jedzenie i zobaczył porywacza. Jest uzbrojony, ale pewnie to już wiecie. Musicie działać szybko, lada chwila wyjadą.

- Dobrze, proszę posłuchać - odrzekłem poważnym tonem. - *Modus operandi* tego człowieka... wie pan, co to jest?

- Sposób działania. Oglądamy z żoną „Zabójcze umysły”.

- No więc jego *modus operandi* polega na tym, że czasem zostawia kogoś, żeby powstrzymał pościg. Rozumie pan? Proszę dopilnować, żeby wszyscy goście zostali w swoich pokojach przez godzinę po ich odjeździe. Nie chcę, żeby niewinni ludzie dostali się w krzyżowy ogień.

- Boże... oczywiście. Zrobię, co się da. Boże.

Rozłączyłem się i potarłem czoło, zastanawiając się, ile mamy



czasu. Loving dowiedział się, że tu jesteśmy, czterdzieści pięć minut temu. Będzie się musiał spotkać ze współnikiem, pozbyć się samochodu, do którego wsiadł na nasypie niedaleko pułapki. Zmienia wóz, co trochę potrwa.

Ale niezbyt długo.

*Kamień, papier, nożyce...*

Bronić się czy pryskać?

Myślałem przez chwilę.

- Dobra, wychodzimy. Szybko.

- Ciągle czysto - powiedział Garcia, wyglądając przez szparę okna. To samo zameldował Ahmad.

Nagle Ryan podszedł do mnie, utykając i mrużąc przymglone alkoholem oczy.

- Daj spokój, Corte, możemy go zdjąć. Damy radę. Jest nas czterech. Jezus, uciekamy przed jednym człowiekiem.

- Dwoma - poprawiła Joanne. - Ma współnika. A może mieć więcej.

Nie zwracając na nią uwagi, Ryan powiedział do mnie: - Właśnie wezwałeś pomoc. Słuchaj, jest świetna sytuacja. Nie wie, że o nim wiemy. Wdepnie prosto w pułapkę. Weźmiemy go w krzyżowy ogień!

- Nie - odparłem. - Moje zadanie to wasza ochrona.

- Mam dość uciekania. Mam dość tych bzdur. Pieprzyć to, Corte. Zabierz stąd Joanne i Maree. Odwieź je do bezpiecznego domu. Ja zostanę. On też. - Spojrzał na Ahmada, który nosił dwa pistolety.

- Nie możemy tu toczyć bitwy, Ryan. Za dużo niewinnych ludzi.

- Zawsze obok są niewinni ludzie, Corte. Zawsze znajdują się wymówki, żeby nie zrobić tego, co powinienes.

- Ryan - wtrąciła ostro Joanne. - Proszę! Boję się.

- To nie czas ani miejsce na strzelaninę - powiedziałem spokojnie.

- Walka nie jest racjonalnym ruchem. - Dawałem mu do zrozumienia: schron, do którego jedziemy, będzie się lepiej nadawał.

- Kochanie - ciągnęła błagalnym tonem. - Proszę cię.

Zerkając na nią z irytacją graniczącą z niesmakiem, Ryan chwycił swoje rzeczy.

- Kurwa.

Ponad ramieniem Ahmada spojrzałem na dziedziniec motelu. Zaniepokoił mnie widok kilkunastu ciemnych okien po drugiej stronie parkingu i ogrodu. Po wyjściu z pokoju trzeba było skręcić w lewo,

ale zanim dotrzemy do alejki prowadzącej na tył budynku, gdzie stał zaparkowany yukon, będziemy musieli pokonać około piętnastu metrów na otwartej przestrzeni.

Okien, z których będziemy widoczni, nie można było otworzyć, ale każdy cyngiel czy zbieracz zna technikę dwóch strzałów przez okno - pierwszy pocisk, mierzony daleko od celu, w niebo albo ziemię, ma strzaskać szybę, aby ofiara nie zorientowała się, że została zaatakowana, a chwilę potem pada właściwy, zakontraktowany strzał.

Mimo to musieliśmy zaryzykować. Wiedziałem, że yukon jest bezpieczny; był wyposażony w system alarmowy, który wysłałby sygnał do pilota w mojej kieszeni, gdyby czyjś oddech musnął jego zderzak. Postanowiłem rozdzielić nas na grupy. W ten sposób Loving lub jego wspólnik - jak się przekonałem, wyborowy strzelec - nie mógłby trafić wszystkich ochroniarzy za jednym razem.

- Idziemy do wozu terenowego za budynkiem w trzech grupach. Garcia, jesteś z Maree. Ahmad z Joanne. Ryan idzie ze mną. - Zakreśliłem w powietrzu leżącą literę U. - Garcia, ty pierwszy. Od drzwi chodnikiem w lewo. Zostajesz w alejce prowadzącej na parking i osłaniasz nas. Ahmad, następny. Idziesz do samego parkingu i tam czekasz. Osłaniasz tyły.

- Jasne.

- My idziemy na końcu i osłaniamy wasze przejście na parking - zwróciłem się do Garcii.

Ładne usta Maree drżały. Była bliska płaczu, a jej nonszalancka poza zniknęła bez śladu. Przypominała dziecko w ciele kobiety.

- Odpalę wóz pilotem. Wskakujcie i zapnijcie pasy. Dobra. Już.

Garcia i Maree wolno ruszyli chodnikiem, a ja przyczałem się w drzwiach, wypatrując zagrożenia. Nie zauważyłem niczego podejrzanego.

Zabrzączał mój telefon.

- Freddy?

- Miałeś rację, próbował tego samego fałszywych alarmów. Policja w Prince William odebrała dziesięć zgłoszeń o napadach. Tak jak przypuszczałeś.

To nie były przypuszczenia. Uczyłem się strategii Lovinga.

- Ale nasi chłopcy są w drodze. Będą na miejscu za kwadrans.

- Wyjeżdżamy. Dowiedział się o nas czterdzieści pięć minut temu. Na pewno jest niedaleko. Nie mogę rozmawiać. - Rozłączyłem się.

Garcia i Maree znaleźli się za filarem. Agent przyglądał się czujnie złowrogim, ciemnym oknom i dachom.

Po chwili wyszedł Ahmad z Joanne, która z ponurą miną przyciskała do piersi torebkę, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Szybkim krokiem minęli Garcie i skręcili w lewo w alejkę prowadzącą na parking.

Garcia dał mi znak.

- Chodźmy - szepnąłem do Ryana.

Wyruszyłem w jeden z najdłuższych marszów w swoim życiu.

Trzymałem się blisko Ryana, wiedząc, że Loving nie zaryzykuje strzału do mnie, obawiając się, że mogłoby trafić w niego, mimo snajperskich zdolności jego współnika, ale niewykluczone, że strzelaliby w nogi, rzucając na ziemię Garcie i Ahmada, a potem odciągnęliby Ryana.

Dołączyliśmy jednak do Garcii bez żadnych przygód. Ubezpieczałem okna, a agent i Maree skierowali się na parking za budynkiem. Kiedy dotarli na miejsce, ruszyliśmy za nimi z Ryanem. Trzymając pistolet w jednej dłoni, a w drugiej pilota, wcisnąłem przycisk uruchamiający silnik yukona. Nie spodziewałem się wybuchu, lecz poczułem ulgę, nie słysząc żadnego huku. Ostatni odcinek pokonał bieżym, wsiedliśmy do samochodu, zapięliśmy pasy i zamknęliśmy drzwi.

Nie padły strzały, nie doszło do żadnej kolizji, nie usłyszeliśmy krzyku - nic, co mogłoby odwrócić naszą uwagę.

W ciągu dziesięciu sekund pośpiesznie wyprowadziłem wóz z parkingu i okrążyłem z tyłu prawe skrzydło motelu drogą, którą przed chwilą przyszliśmy. Potem wtopiłem się w ruch na głównym podejździe prowadzącym do autostrady - stumetrowym odcinku krętej asfaltowej drogi. Licząc minuty, starałem się ocenić stopień prawdopodobieństwa naszego spotkania z Lovingiem.

Byłem zły na siebie. Większość owczarków, wioząc obiekty do schronu, odbywa podróż dwuetapowo. To logiczne - żeby zorganizować ucieczkę, upewnić się, że nikt nas nie śledzi, zmienić środek transportu. Pomyślałem, że moja strategia stała się obosieczną bronią: Loving wpadł na nasz trop, ponieważ zatrzymaliśmy się w publicznym miejscu. Gdybym pojechał prosto do celu, byłibyśmy już bezpieczni.

Często wczuвам się w psychikę zbieracza, by przewidzieć jego ruchy, zastanawiałem się więc, czy Loving też wszedł w moją skórę, spisując nazwy hoteli, które mogłyby spełnić funkcję zajazdu. Może miał tę samą listę co my.

Na razie jednak wszystko szło dobrze. Siedzieliśmy w opancerzonym samochodzie, moim obiektom włos z głowy nie spadł. Nie było śladu Lovinga. Najprawdopodobniej potrzebował więcej czasu, niż sądziłem.

Dalej jechałem podjazdem.

Widziałem autostradę osiemdziesiąt metrów przed sobą, potem sześćdziesiąt, pięćdziesiąt.

Bardzo chciałem się znaleźć na tej drodze. Hillside Inn był doskonałą kryjówką, a nasz apartament świetnie nadawał się do obrony. Ale tu, przed budynkiem, ciągnęły się żywopłoty i rosły drzewa, za którymi można się było ukryć, stawy utrudniały ucieczkę, a na serpentynie podjazdu - może i malowniczej - bez włączonych świateł o zmierzchu trudno było cokolwiek zobaczyć.

Krótko mówiąc, było to wymarzone miejsce na zasadzkę.

Czterdzieści metrów do autostrady.

Przejechałem szybko próg zwalniający.

Trzydzieści metrów.

Podjazd przed nami przecinał gęsty żywopłot, wysokości dwóch i pół metra, który oddzielał autostradę od terenu motelu. Patrząc przed siebie, zauważyłem nissana vana szykującego się do skrętu w lewo z przeciwległego pasa. Za kierownicą siedziała kobieta, a obok niej dziecko w foteliku. Nie stanowiła zagrożenia.

Ale po chwili wcisnąłem hamulec.

- Co jest? - spytał Ryan.

- Dlaczego ona nie skręca? - Pytanie nie było adresowane do nikogo.

Kobieta za długo czekała, aż przejadą samochody z przeciwka, by skrócić do motelu. W przedniej szybie nissana dostrzegłem odbłysek kierunkowskazu nadjeżdżającego pojazdu. Kierowca chciał skrócić w prawo na podjazd i miał pierwszeństwo.

Ale nie skręcał.

Po chwili zobaczyłem zarys sylwetki mężczyzny, który zanurzył się w gęsty bukszpan. Coś błysnęło w jego dłoni. To dlatego Loving zatrzymał się na drodze - w jakiś sposób odkrył, że wyjechaliśmy z

motelu i kazał współnikowi zaskoczyć nas z boku.

Miałem czas uciec, zanim otworzy do nas ogień?

Wcisnąłem gaz do deski. Ale w momencie, gdy ruszyliśmy z kopyta, czarny dodge avenger Henry'ego Lovinga skoczył naprzód i zahamował, blokując podjazd.

Upłynęła nieskończenie długa chwila ciszy w samochodzie i ciszy na zewnątrz. Nagle ukryty w krzakach współnik zaczął strzelać, a wóz Lovinga z przeraźliwym piskiem opon pomknął prosto na nas.

## Rozdział 17

**W**rzuciłem wsteczny; zawracanie na trzy trwało za długo. Wdusiłem pedał do oporu.

Usłyszałem zgrzytliwy trzask z boku. Wspólnik wciąż do nas strzelał, ale w chwili, gdy nacisnął spust, zdążyłem ruszyć i pocisk zamiast w koła trafił w karoserię. I dobrze: opony odporne na przebicie robią wrażenie, ale nie są niezniszczalne.

Znow uderzenie kuli w stalową blachę. Odgłos był bardzo głośny. W przeciwieństwie do tego, co pokazują w filmach, nigdy nie słycać gwizdu rykoszetów ani nie widać iskier. Pocisk to kawałek ołowiu poruszający się z prędkością dziewięćset metrów na sekundę. Przy trafieniu w samochód słycać naprawdę potężny huk, a kula zwykle zostaje w tym samym miejscu i nie obija się po okolicy.

- Ogień osłonowy - rozkazałem. - Przytrzymać wspólnika. Ale tylko widoczny przeciwnik albo neutralny cel. Nie strzelać na oślep. Reszta, nie podnosić się.

Ryan siedział z tyłu - w samochodzie były trzy rzędy siedzeń - a Garcia i kobiety za mną.

- Garcia, błysk lufy z lewej!

- Mam. - Otworzył okno na parę centymetrów i zaczął rozważnie strzelać. Przepisy zabraniają nam użycia broni, jeśli nie mamy widocznego celu, a w pobliżu mogą się znajdować przypadkowe osoby. Garcia strzelał w stronę kępy gęstych krzewów, gdzie ulokował się wspólnik, ale celował tylko w drzewa albo ziemię, aby nie zagrozić nikomu niewinnemu i zatrzymać wspólnika na miejscu.

Samochód Lovinga nas gonił, a ja, wciąż jadąc na wstecznym, zawołałem do siedzącego obok mnie Ahmada, żeby wziął go na cel. Było to jednak wyjątkowo trudne z powodu licznych zakrętów na wysadzanych drzewami podjeździe. Co chwilę musiałem ostro

skręcać, uniemożliwiając partnerowi oddanie strzału.

Następny pocisk utkwił w boku yukona. Maree z przerażeniem w oczach wydała z siebie krótki wrzask, przysłaniając dłonią usta. Ryan próbował otworzyć okno z tyłu - zamknięte na głucho. Miał w ręku rewolwer, ale na szczęście trzymał palec na kabłąku spustowym.

Przy włączonym napędzie na cztery koła yukon pędził tyłem, wzbijając tuman kurzu.

Na moment obróciłem głowę, spoglądając przez przednią szybę. Samochód Lovinga gnał za nami, robiąc gwałtowne zwroty, by uniknąć kul Ahmada. Znów odwróciłem się do tyłu, twarzą w kierunku jazdy.

- Loving zwalnia - poinformował mnie spokojnym głosem Ahmad.

- Garcia, strzelaj.

Agent FBI przechylił się nad Joanne, która siedziała sparaliżowana ze strachu, przyciskając do piersi torebkę. Wysunął się przez okno.

- Drzewa - zawołał. - Nie ma szans na czysty strzał.

- Ja to zrobię - mruknął Ryan. - Rozwalę skurwysyna.

Jego słowa wskrzęsiły Joanne.

- Nie, kochanie, błagam! Piłeś.

- Cholera, po pijanemu lepiej strzelam niż oni razem wzięci.

Wyciągnął się do przodu, ale udało się uniknąć konfrontacji, bo podskoczyliśmy na progu zwalniającym i Ryan opadł na bok. Dzięki Bogu jego broń nie wypaliła.

Garcia wychylił się do przodu i strzelił seriami trzech strzałów.

Nie wiedziałem, czy w cokolwiek trafił. Nie mogłem sobie teraz zaprzętać tym głowy; na wstecznym rozpedziłem yukona do sześćdziesiątki. Skrzynia biegów rzęziła, wpadaliśmy z impetem na progi zwalniające i rujnowaliśmy zarośla.

Kula trafiła w tył yukona, w błotnik albo zderzak. Następna odbita się od przedniej szyby, która nie pękła; była wytrzymała, choć nie kuloodporna, w zależności od rodzaju płaszcza pocisku, dlatego cieszyłem się, że nie zostaliśmy trafieni prosto w okna. Ale to było zrozumiałe: Loving nie chciał ryzykować śmierci Ryana.

Około dziesięciu metrów od motelu pojawił się prosty odcinek.

- Uwaga, obaj - zawołałem do Garcii i Ahmada. - Za pięć sekund będziecie mieli czysty cel. Celujcie w osłonę chłodnicy dodge'a. W silnik.

- Nie, w przednią szybę! - krzyknął Ryan.

Milczałem, nie tłumacząc mu, że racjonalnym ruchem w takiej sytuacji jest strzał w najważniejszą strefę samochodu; trzeba mieć dużo szczęścia, żeby trafić kierowcę.

Ale gdy znaleźliśmy się na prostej, Loving wyłączył światła i zjechał na prawo. Dodge zahamował za krzakiem przy zakręcie podjazdu i zniknął po drugiej stronie trawnika.

- Nie ma celu - oznajmił spokojnie Ahmad.

Mimo to nie zwalniałem. Pędziłem do tyłu, ściskając w spoconych dłoniach kierownicę tak mocno, że czułem skurcze mięśni w nadgarstkach.

- Garcia, dzwoni do Fredericka. Daj mu znać.

- Tak jest.

Zawiadomił Freddy'ego o naszej sytuacji, po czym rozłączył się, znów zajmując stanowisko, niemal rozplaszczony na Joanne. Maree kuliła się w kącie, szlochając.

- Trzymajcie się, uważajcie na broń. - Pokonałem następny próg z prędkością bliską osiemdziesięciu na godzinę, wciąż jadąc na wstecznym. Wpadliśmy na dziedziniec motelu i nie zatrzymując się, pędziłem dalej w kierunku tyłów budynku, zaglądając przelotnie do holu, gdzie przerażony recepcjonista rozmawiał przez telefon.

- Gdzie on jest? - krzyknąłem. - Gdzie Loving?

- Nie widać! - zawołał Ahmad.

Przekładnia wyła, podłoga wydawała się gorąca. Wsteczny bieg nie został pomyślany do prędkości tego rzędu.

- Zaraz koniec jazdy - zawołałem. - Uwaga, będzie mocny wstrząs. Palce ze spustów i trzymać się.

Nie zwalniając, podskoczyliśmy na krawężniku i wjechaliśmy w wąski przesmyk, którym przed dziesięcioma minutami szliśmy w trzech grupach na parking za motelem. Zniszczyłem rząd niskich krzewów, a potem wpadłem na betonowe patio wcinające się w parking. Kolorowe meble ogrodowe poprzewracały się na asfalt, szklane blaty stolików rozbiły się z hukiem. Skrzyłem w lewo i zahamowałem, z trudem łapiąc oddech. Bolały mnie ramiona.

Po drugiej stronie parkingu równoległe do motelu biegła palisada wysokości prawie dwóch metrów. Po lewej mieliśmy ceglany mur wysoki na ponad metr. Z prawej podjazd, z którego właśnie wyjechaliśmy, a za nim niewielki zagajnik.



- Nie, nie, nie - załkała Maree. - Jesteśmy w pułapce. Co teraz zrobimy? Jezu drogi.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała do siostry Joanne.

- Tak cholernie się boję.

- Pilnuj alejki, podjazdu i drzew - poleciłem Ahmadowi, wskazując drogę, którą właśnie pokonaliśmy tyłem, i rosnące za nią drzewa.

- Garcia, mur.

- Tak jest!

- Ciebie w alejce - zameldował Ahmad. - Zdaje się, że nadjeżdża samochód.

- Teraz! - krzyknął Ryan. - Wal w niego! Za moment się pokaże. Myśli, że ciągle jedziemy. Gaz do dechy!

Nie zwracałem na niego uwagi.

Ahmad otworzył okno szerzej i celował w alejkę.

- Co chcecie zrobić? - Gorączkowe pytanie nie padło z ust Ryana, jak mógłbym przypuszczać, ale jego żony.

Jej też nie odpowiedziałem.

- Ciebie się zbliża - powiedział Ahmad.

Spojrzałem w tę stronę. Drogą, którą przed chwilą tu dotarliśmy, sunął ostrożnie jakiś samochód.

- To on - powiedział Ryan. - Jedzie bez świateł. Wal w niego! Wal!

- Garcia, pilnuj muru.

- Tak jest.

- Daj spokój z tym pieprzonym murem. Jedzie między budynkami! - wrzeszczał Ryan. - Przecież widzisz!

- Nie, nie jedzie - odparłem. - Loving zmusił kogoś, żeby podjechał tu samochodem. Tak jak w Fairfaksie. Rozdzielili się ze współnikiem, żeby zaatakować nas od strony drzew i muru. Ahmad, strzel w oponę wozu, który wyjedzie z alejki, i zatrzymaj go u wylotu. Obserwuj podjazd i drzewa. Garcia, mur.

Obaj potwierdzili przyjęcie rozkazów.

Z alejki wolno wysunęła się maska samochodu pozoranta.

Ahmad strzelił w oponę i natychmiast uniósł lufę broni, patrząc za samochód.

- Nie widać wyraźnie, ale chyba ktoś jest między drzewami. Sam.

- Za murem - zawołał Garcia. - Wóz Lovinga. Oskrzydlają nas.

- Ogień osłonowy! - krzyknąłem. - W obie strony. Uwaga na przypadkowe osoby.

Obaj zaczęli strzelać, odpierając Lovinga. Wspólnik też się wycofał, szukając osłony wśród drzew.

- Za chwilę nowu spróbują - wykrztusiła przez łyzy Maree. - Jesteśmy w pułapce!

Wiedzieli już, że jesteśmy przygotowani. Wrzuciłem jedynekę przy włączonym nadal napędzie na cztery koła i skręciłem prosto na drewniane ogrodzenie.

- Co ty robisz? - wykrztusiła Maree. - Nie! Utkniemy na amen!

Dotknąłem drewna maską yukona i lekko pchnąłem. Płat ogrodzenia wyłamał się i runął na ziemię. Przejechałem po nim na pole po drugiej stronie.

- Uwaga na dziurę w ogrodzeniu - powiedziałem. - Mało prawdopodobne, ale mogą próbować strzału z daleka. Nie strzelać, jeżeli nie będziecie pewni, że to oni. Zaraz będziemy mieli gapiów. - Wolno zjeżdżałem ze wzniesienia w kierunku drzew.

Niespodziewanie pierwsza domyśliła się Joanne Kessler.

- Zaplanowałaś wcześniej tę drogę ucieczki. Poprzecinałaś słupki ogrodzenia, żeby je staranować w razie potrzeby. Kiedy?

- Parę lat temu.

Wybieram wszystkie zajazdy pod względem możliwości obrony i ucieczki, a nocami ciężko pracuję na ich terenie. Ludzie z Hillside Inn nigdy się nie dowiedzieli, że zdewastowałem im ogrodzenie.

- Nic nie widzę - rzekł Ryan. - Przynajmniej na razie.

Wolno wtaczaliśmy się na wzniesienie śliskie od rosy, potem przejechaliśmy przez skiby miękkiej ziemi po niedawno zebranej kukurydzy. Naszą drogę można było zmierzyć w metrach, mimo to w równym tempie posuwaliśmy się do przodu.

- Ciągle nikogo - zameldował Ahmad.

Rozkazałem im nadal trzymać na muszce dziurę w ogrodzeniu, przez którą właśnie wyjechaliśmy, choć wiedziałem, że Lovingowi wystarczył rzut oka na pole, by stwierdzić, że w żaden sposób nie dogoni nas swoim sedanem.

Podjął jedyną racjonalną decyzję, jaką mógł: jak najszybciej się wycofać.

## Rozdział 18

Pół godziny później znów byliśmy na autostradzie, zmierzając w stronę schronu.

Niedawno minęła siódma. Jechałem szybko skomplikowaną, nieprzewidywalną dla nikogo trasą na północ od Loudoun i Fairfaksu.

Ryan Kessler siedział z tyłu pogrążony w myślach, szperając w swojej płócienniej torbie. Szukał amunicji? Alkoholu? Joanne milczała, patrząc przez okno. Maree, nareszcie wyciszona, bawiła się swoim uspokajaczem - komputerem. Wychodziła z ataku hysterii, choć nie zaczęła mnie jeszcze lekceważąco nazywać panem przewodnikiem.

Oczywiście często się zdarza, że obiekt się boi. Jest zdezorientowany, czasem nawet bliski obłądu. Z ludźmi w organizacji muszę mieć stuprocentowe porozumienie. A z obiektami? Jestem zadowolony, jeśli porozumienie osiąga poziom siedemdziesięciu pięciu do osiemdziesięciu procent, jeżeli spełniają moje prośby bez większego ociągania i w miarę inteligentnie. Moje zadanie w dużym stopniu polega na naprawie nieuniknionych błędów i minimalizowaniu skutków niebezpiecznych zwyczajów i dziwactw moich obiektów.

Uznałem kiedyś, że to całkiem niezła filozofia życiowa.

Właściwie miałem typową próbkę zachowania obiektów. Z doświadczenia wiedziałem, że obojętność Joanne jest bardziej niepokojąca niż fanfaronada jej męża czy szczeniackie wygłupy i historie siostry. Obiekty takie jak ona potrafią się rozkleić nieoczekiwanie i gwałtownie, zwykle w najmniej odpowiednim momencie.

Zerknąłem w lusterko i napotkałem jej oczy, puste i bez wyrazu. Jednocześnie odwróciliśmy wzrok.

Upewniwszy się, że nie mamy ogona - Loving mógłby nas znaleźć tylko dzięki zbiegowi okoliczności - postanowiłem zadzwonić.

- Halo? - odezwał się głęboki głos.

- Aaron?

- Corte - odparł mój szef. - Słyszałem od Fredericksa o Hillside Inn. Mówił, że z wami wszystko w porządku. Przypuszczałem, że jesteście w odwrocie, więc nie chciałem dzwonić.

- Dzięki. - To była jedna z jego najlepszych cech jako głównodowodzącego organizacji. Być może nie miał predyspozycji do zajmowania się bezpośrednią ochroną, ale wiedział, jak działamy i dostosowywał swoją pracę do naszej. - Nie rozmawiałem jeszcze z Fredym - powiedziałem. - Są jakieś ofiary?

- Nie, ale zrobił się niezły pasztet - odparł. - Zebrali mnóstwo łusek, musiało paść ze czterdzieści czy pięćdziesiąt strzałów. Dwie kule trafiły w pokoje, w których byli goście. Nie dam rady utrzymać tego w tajemnicy.

- I co będzie?

- Nie uwierzysz, ale to Loving załatwił nam zainteresowanie prasy. Wykorzystamy to, co napisał w faksie - że doszło do porwania, w które byli zamieszani jacyś gangsterzy. Wyciągnę z lamusa Złego Hectora. Nie mam innego wyjścia.

Hector Carranzo był Kolumbijczykiem, drobnym handlarzem narkotyków, pojawiającym się w licznych nakazach aresztowania w Stanach i różnych krajach Ameryki Łacińskiej. Podawano różne rysopisy i różne biografie, lecz w każdym komunikacie ostrzegano, że jest wyjątkowo niebezpieczny i trzeba na niego uważać w każdym zakątku kraju. Znany był z tego, że pojawiał się niespodziewanie.

Poza tym był postacią fikcyjną. Ilekroć dochodziło do strzelaniny takiej jak ta w Hillside Inn, w okolicznościach, które woleliśmy zataić, obwinialiśmy o incydent Señora Hectora i „prawdopodobny związek z handlem narkotykami lub inną nielegalną działalnością, której charakter należy szczegółowo ustalić”. Po ujęciu dyspozytora w sprawie Ryana Kesslera Ellis być może za parę dni wyjdzie do dziennikarzy i oświadczy: oj, chyba się pomyliliśmy, bo prawdziwym sprawcą był taki a taki. Ale dziennikarzy zajmie na pewien czas Zły Hector.

- Jedziemy już do schronu.

- To dobrze. Zostańcie tam. - Umilkł. Wiedziałem, co zaraz powie. Trudno, niech mówi. - Wszyscy chcemy go dorwać, Corte, ale masz spokojnie siedzieć w schronie. Nie podejmuj żadnych nowych prób zaczepiania Lovinga.

Pewnie myślał o Rhode Island.

- Atak był w muchołapce. W Hillside musieliśmy się tylko bronić. Próbowaliśmy uciec.

- Rozumiem... ale może się pojawić pytanie, dlaczego w takiej sytuacji zatrzymałeś się w zajeździe. Dlaczego nie pojechałeś od razu do schronu.

Czyli czy podświadomie - a raczej bardzo świadomie - próbowałem zwabić Lovinga. Ellis chciał znać powód. Ale chociaż był moim szefem, nie zamierzałem odpowiadać.

Domyślił się i dodał:

- To była twoja decyzja i nie zamierzam jej kwestionować. Po prostu uprzedzam, że trzeba się liczyć z takimi pytaniami.

- Jeżeli cokolwiek zrobię - odrzekłem - to najwyżej pomogę Claire namierzyć dyspozytora.

- Świetnie - mruknął. Ellis miał ciężką sobotę, więc przestał obchodzić się ze mną jak z jajkiem. - Nie zadzwoniłeś do Westerfielda. Mówiłeś, że zadzwonisz.

- Zadzwonię. Dużo się działo.

Argument zabrzmiał kiepsko, mimo że był prawdziwy.

Kiedy się rozłączyliśmy, zacząłem szukać w spisie telefonów numeru Westerfielda, ale nagle mój głosowy identyfikator wyrecytował nazwisko Freddy'ego.

Wcisnąłem ODBIERZ i zapytałem:

- Znaleźliście cokolwiek w Hillside?

- Ani śladu - powiedział Freddy. - Ulotnił się - błyskawicznie. Jak Houdini. Albo jak kieszonkowe, które dają dzieciakom. Kamień w wodę.

- Aaron mówił, że nikt nie ucierpiał.

- Zgadza się. Ludzie są wstrząśnięci. Ale co z tego? Życie jest wstrząsające. Nic się nie stanie, jeżeli raz na jakiś czas coś kimś wstrząśnie. Aaron bierze na siebie prasę? Jest tylu reporterów, że nie da się ich rozgonić.

- Zrobi, co się da.

Freddy dodał, że zakładniczka, której mężowi Loving kazał jechać za nami swoim samochodem, jest cała i zdrowa.

- To i tak nie ma znaczenia, ale kobieta twierdzi, że nie potrafiła by rozpoznać porywaczy. Jej mąż też ma amnezję.

- Wiadomo, w którą stronę pojechał Loving?

- Nie.

- Trafiliśmy w ich dodge'a?

- Aha. W wentylator i oponę. Zostawili go pięćdziesiąt metrów na zachód, gdzie ukryli drugi wóz. Ten porzucony był czysty. A nowy? Nasi ludzie nie znaleźli ani śladu opony. Znasz ich... znajdują nawet włos łonowy.

- I co, przyszedł faks ze zdjęciem Ryana, tak?

- Aha.

- Kto go niby miał wysłać? Wy?

- Federalny Departament Kontroli Skarbowej.

Omam się nie uśmiechnąłem. Szyld równie autentyczny co Artesian Computer Design. Trzeba przyznać Lovingowi, że też potrafi.

- Z typową formułką? - ciągnąłem. - Nie próbować zatrzymywać na własną rękę, tylko zadzwonić? Pod bezpłatny numer?

- Numer telefonu na kartę.

- Już nieaktywnego - dodałem.

Freddy nie musiał nawet tego potwierdzać.

- Jaki był numer, z którego wysłano faks?

- Wysłany z komputera przez szwedzki serwis proxy.

Oczywiście.

- Jak na to wpadł, że chodzi akurat o Hillside i wysłał tam faks? - spytał Freddy.

- Wydaje mi się, że zarzucił przynętę. Wysłał fakсы do kilkunastu miejsc, które mogły być naszym zajazdem. Pewnie leżą w recepcjach wszystkich moteli w okolicy.

- *Jesus* - westchnął, wymawiając imię po hiszpańsku. Może nie chciał się dopuścić bluźnierstwa. Wiedziałem, że chodzi do kościoła co najmniej raz w tygodniu. - Facet naprawdę uczciwie zarabia swoje pieniądze. Co Kessler wie, że to tak cholernie ważne?

Miałem nadzieję, że w ciągu najbliższych godzin odkryjemy to razem z Claire duBois.

Nagle nastawiłem uszu, bo Freddy zapytał:

- Znasz kogoś takiego jak Sandy Alberts?

- Dzwonił do ciebie?

- Przyszedł do biura. Pracuje dla jakiegoś senatora z Indiany czy Ohio, Stevensona.

- Wiem, kto to jest. Z Ohio. Czego chciał Alberts?

- Pytał o to i owo. O podsłuchy, o przepisy Patriot Act i tak dalej, i tak dalej. Muszę ci powiedzieć, Corte, że padło twoje nazwisko. Cały w skowronkach, same dobre rzeczy. Ale, jak mówię, padło twoje nazwisko. Uznałem, że to ciekawe.

Ciekawe, pomyślałem ponuro.

- I co?

- I nic. Powiedziałem mu, że jestem zajęty. Że nie mogę rozmawiać.

- Dzięki - mruknąłem.

- Za co?

- Właściwie nie wiem.

Skończyliśmy rozmowę i zacząłem się zastanawiać nad wizytą Alberta u Freddy'ego. Zadzwoiłem do Claire duBois. Nie odebrała - prawdopodobnie rozmawiała przez kilka telefonów równocześnie. Zostawiłem jej na poczcie głosowej instrukcje dotyczącego jeszcze jednego zadania.

Potem uznałem, że nie mogę odkładać w nieskończoność tego, co nieuniknione. Odnalazłem numer Westerfielda. Wcisnąłem WYBIERZ.

Odezwał się po drugim dzwonku. Zmroziło mnie. Miałem nadzieję usłyszeć pocztę głosową.

- Corte - powiedział, nie udając już francuskiego akcentu. - Musimy pogadać. Ale właśnie jestem u prokuratora generalnego.

Siedział w gabinecie szefa Departamentu Sprawiedliwości w sobotę wieczorem... i odebrał mój telefon? - Odezwę się do ciebie, kiedy skończymy. Pod ten numer?

- Tak.

- Masz drugi?

- Nie.

*Klik.*

Skreśliłem w boczną drogę i się zatrzymałem. Maree wstrzymała oddech i z niepokojem uniosła wzrok. Jej wahadło psychiczne wciąż było po nastoletnio-histerycznej stronie. Joanne otrząsnęła się z leżących, by powiedzieć do siostry:

- Wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze.

- Dlaczego stajemy? - spytała rozedrganym głosem młodsza z kobiet.

- Chcę tylko sprawdzić samochód - wyjaśniłem. - Dostaliśmy parę kul.

Ryan zaczął lustrować drogę jak wypatrujący ofiary snajper.

Z tyłu wysiadł Ahmad i razem ze mną zaczął dokładnie badać yukona. Nie bardzo ucierpiał w wyniku strzelaniny i gwałtownej ucieczki. Wóz był w lepszym stanie niż moje plecy.

Kiedy sprawdzaliśmy koła, uniosłem głowę i zobaczyłem, jak Joanne na tylnym siedzeniu spogląda na zegarek, po czym bierze telefon i dzwoni. Do Amandy. Z rozmowy, którą słyszałem przez otwarte drzwi, wynikało, że wszystko jest w porządku. Znów na moment pochwyciła mój wzrok i pochyliła się, kontynuując rozmowę. Starła się sprawiać wrażenie ożywionej, gdy jej pasierbica zdawała jej wyczerpującą relację z dnia na wsi.

Rodzicie i dzieci.

Na chwilę odżyły wspomnienia, które nawiedzały mnie wcześniej. Były wśród nich dziecięce twarze, których nie chciałem oglądać. Otrząsnąłem się ze wspomnień. Czasami lepiej mi się udawało. Dziś znikają wolniej niż zwykle.

Wsiadłem do samochodu, a gdy drzwi się zatrzasnęły, Ryan odwrócił się zaskoczony, łapiąc za broń. Zesztywniałem na moment, ale zaraz się zreflektowałem i uspokoiłem.

Boże, naprawdę chciał strzelać do każdego?

Ruszając, usłyszałem dzwonek telefonu, a identyfikator podał numer, w którym rozpoznałem Departament Sprawiedliwości. Mój palec zawisł nad przyciskiem ODBIERZ.

Nie wcisnąłem go. Włączyła się poczta głosowa, a ja skierowałem yukona z powrotem na główną drogę.



## Rozdział 19

Znów kręte, ciemne drogi. Nikt nas nie śledził, chyba że jechał bez świateł, co dzięki nowym systemom noktowizyjnym wcale nie było wykluczone. Ale jadąc szybko i wolno na przemian, od czasu do czasu ostro hamując i skręcając w drogi, które dobrze znałem, lecz Loving raczej nie, upewniłem się, że nie ciągniemy za sobą żadnego ogona.

Po czterdziestu minutach znaleźliśmy się na drodze numer 7, potem Georgetown Pike dotarliśmy do River Bend Road i omijając centrum Great Falls, wjechaliśmy w gęstą sieć dróg i ulic, na których pomocny okazał się GPS, choć i on nie dawał rozstrzygających odpowiedzi.

Wreszcie, za gęstwiną lasów, wśród których minęliśmy nie więcej niż trzy domy - bardzo duże - dojechaliśmy do kompleksu naszego schronu, oddzielonego od drogi ponad dwumetrową palisadą, a nieco dalej ogrodzeniem z siatki wysokości metra osiemdziesięciu.

W skład kompleksu wchodziły: siedmiopokojowy dom, dwa mniejsze budynki - w tym azyl dla obiektów - oraz dwa duże garaże, a także stodoła ze strychem na siano. Posesja zajmowała prawie cztery hektary pofałdowanej ziemi przy brzegu Potomaku, w miejscu zwężenia koryta rzeki, rzeczywiście z kilkoma wodospadami i bystrzami, choć nazwa „Great Falls” - Wielkie Wodospady - była na wyrost. Miejscowość powinna się raczej nazywać „Skromne, ale Malownicze Szumy”.

Nieruchomość kupiliśmy okazjnie. Dziś nie można pracować w żadnej instytucji federalnej, nie mając głowy do interesów. W latach dziewięćdziesiątych kompleks był rezydencją chińskich dyplomatów, zacisznym gniazdkiem, położonym daleko od ambasady w centrum.

FBI ustaliło, że było to również miejsce spotkań tajnej policji Republiki Ludowej z agentami i tajnymi współpracownikami, którzy zbierali informacje od przedsiębiorców i pracowników rządowych niższego szczebla oraz fotografowali siedziby NSA, CIA i inne niewymieniane z nazwy obiekty w Langley, Tysons i Centreville. Okazało się, że sprawa dotyczyła raczej kradzieży tajemnic handlowych niż szczegółów polityki obronnej, mimo że było to działanie politycznie dwuznaczne, nie mówiąc o tym, że nielegalne.

Gdy zatrzymano Chińczyków, rozpoczęły się delikatne negocjacje zakończone porozumieniem, zgodnie z którym dyplomaci i fałszywi biznesmeni mieli opuścić kraj bez postawienia zarzutów, a w zamian rząd miał otrzymać ich dom... oraz rekompensatę w innej nieujawnionej formie. Kompleks wykorzystywało jako kryjówkę kilka agencji federalnych, dopóki osiem lat temu nie przejął jej dla nas Abe.

Sam wielki, pomalowany na brązowo dziewiętnastowieczny dom został wyposażony we wszystkie nowoczesne instalacje i urządzenia zabezpieczające, na jakie było nas stać. Wcale nie tak zaawansowane technicznie i wymyślne, jak można by się spodziewać. Mielśmy czujniki na ogrodzeniach, które powstrzymywały tylko osoby nieznające się na czujnikach na ogrodzeniach. Nie monitorowaliśmy całego terenu, choć w głównych dojeżdżaniach do domu (niekoniecznie tych najbardziej oczywistych) były zakopane czujniki ciężaru. Rzecz jasna cały kompleks naszpikowano kamerami, widocznymi i niewidzialnymi. Dziś rano uruchomiłem jednego z naszych telewidzów, jak ich nazywamy, by zaczął monitorować schron. Nasi siedzą w Wirginii Zachodniej, w ciemnym pokoju i cały dzień wpatrują się w ekrany telewizyjne, a choć się do tego nie przyznają, słuchają głośnej muzyki, zwykle metalowej. Mogą, bo nasze kamery nie są wyposażone w mikrofony. Potrzebowalibyśmy szerszego pasma. Pewnego dnia będzie nas stać na jedno i drugie, a telewidzowie pożegnają się ze swoją ulubioną ścieżką dźwiękową. Na razie jednak oglądają nieme filmy przy akompaniamencie Def Leppard.

Zadzwoiłem do przydzielonego nam telewidza. Odebrał natychmiast.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziałem, chociaż dobrze wiedział, ponieważ oglądał nas od pięciu minut.

Zameldował, że wokół domu panuje spokój. Nie zauważył niczego podejrzanego.

- Gdzie jelenie?
- Tam, gdzie powinny być.

Ze względu na pracę i niektóre inne aspekty swojego życia poznałem sporo faktów na temat fauny - na przykład czego i dlaczego boją się jelenie i inne zwierzęta. Powtarzam swoim telewidzom - i protegowanym - żeby zawsze obserwowali zachowanie zwierząt, bo może zdradzać obecność intruza. Mam nawet referaty na ten temat na branżowych konferencjach. Rok temu uciekający borsuk ocalił życie mojego obiektu, ostrzegając nas przed cynglem.

- Na okolicznych drogach też nic podejrzanego się nie dzieje - dodał nosowym głosem telewidz. Nie znałem go osobiście, ale miałem o nim pewne wyobrażenie, skoro mieszkał w górach Wirginii Zachodniej, mówił z takim akcentem i gustował w heavy metalu.

Podziękowałem mu i wstukałem kod bramy wjazdowej, która się otworzyła, a w ziemi schowała się prawie niewidzialna, lecz imponująca kolczatka. Wjechaliśmy za palisadę i ruszyliśmy krętym podjazdem długości około trzydziestu metrów. Garcia i Ahmad rozglądali się uważnie, podobnie jak Maree i wciąż czujny Ryan Kessler, który, jak podejrzewałem, znów ukradkiem pociągnął sobie łyk z ukrytej butelki. Joanne patrzyła przez okno, jak gdyby przeglądała stary numer czasopisma w poczekalni u lekarza.

Zaparkowałem i wysiedliśmy. Otworzyłem panel obok drzwi wejściowych - wyglądały na drewniane, ale były ze wzmocnionej stali - i wcisnąłem parę przycisków na klawiaturze pod małym ciekłokrystalicznym ekranem. Program dzięki czujnikom ruchu, dźwięku i temperatury potwierdził, że dom jest zupełnie pusty (mógł rozpoznać bicie ludzkiego serca, ale nie zwracał mi głowy chrobotem szczura znad rzeki szukającego pożywienia czy odgłosem włączającego się podgrzewacza wody). Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka, a potem chwilowo wyłączyłem alarm; miał się uaktywnić, gdy wszyscy znajdą się wewnątrz. Drzwi też zamykały się automatycznie, choć mieliśmy do dyspozycji specjalny przycisk awaryjny, który umożliwiał otwarcie ich od wewnątrz w wypadku pożaru czy wtargnięcia intruza. To samo dotyczyło okien, które w normalnych okolicznościach można było uchylić na nie więcej niż piętnaście centymetrów.

Zapaliłem światła i uruchomiłem ogrzewanie - było zimno - a potem włączyłem monitory ukazujące obraz z kamer w kompleksie, bliźniaczo podobne do ekranów w Wirginii Zachodniej. Następnie

odpaliłem bezpieczny serwer. Sprawdziłem, czy działają ekranowane linie telefoniczne. Na koniec upewniłem się, czy generatory są w trybie gotowości; gdyby intruz odciął linię zasilania, miały się włączyć automatycznie.

Szybko oprowadziłem swoich podopiecznych po parterze.

- Och, świetnie! - powiedziała Maree, podchodząc do wiszących na ścianie kilku sepiowych fotografii, nie zwracając najmniejszej uwagi na regały z książkami, czasopismami i - tak jest - grammi planszowymi, które nie pochodziły jednak ode mnie. Patrząc na rozanieloną minę młodszej z sióstr, próbowałem sobie przypomnieć, kiedy miałem pod opieką obiekt, który tak szybko potrafił wymazać z pamięci strzelaninę, w której brał udział godzinę wcześniej. Chyba nigdy.

Pokazałem im, gdzie znajdują jedzenie i napoje, gdzie stoi telewizor. Jak boy hotelowy. Zaprowadziłem Kesslerów do ich pokoju na parterze, w głębi domu. Maree dostała sypialnię obok nich. Młoda kobieta była wyraźnie pod wrażeniem.

- Zrehabilitowałeś się, panie przewodniku - powiedziała, wręczając mi dolara napiwku. Pewnie miał to być żart. Nie wiedziałem, jak zareagować, więc zignorowałem ten dziwny gest.

Ahmad, Garcia i ja zamierzaliśmy spać na zmianę, aby zawsze na warcie stało dwóch strażników. Owczarek miał niewielką sypialnię na parterze, między drzwiami wejściowymi a pokojami obiektów.

Znałem na pamięć rozkład kompleksu i domu, a Ahmad, który jeszcze tu nie był, dokładnie przestudiował plany. Sprawdziałem go kilkakrotnie - ostatni raz przed miesiącem - i wiedziałem, że dobrze się tu orientuje. Poleciałem mu przekazać szczegóły Garcii, a sam wyjaśniłem agentowi FBI, jak działa system łączności i gdzie jest schowek z bronią. Podałem mu kod do zamka cyfrowego. Niewiele tam mieliśmy: parę H&K i bushmasterów M4 w wersji automatycznej, broń krótką i granaty błyskowe, takie, jakich użyliśmy przeciwko Lovingowi w pułapce.

Skoro już udało mi się bezpiecznie ulokować obiekty w fortecy, poszedłem do małego pokoiku, w którym zorganizowałem sobie gabinet, usiadłem przy staroświeckim dębowym biurku i włączyłem laptop. Podłączyłem go do gniazdka, tak jak komórkę; w branży ochroniarskiej obowiązuje wiele ważnych zasad, które wyliczał Abe, ale na początku listy znajdowała się reguła: „Nigdy nie trać okazji, żeby naładować baterie i skorzystać z łazienki”.

Pierwsze już zrobiłem, a teraz poszedłem do łazienki na górze, umyłem ręce i twarz najbardziej gorącą wodą, jaką mogłem wytrzymać, i obejrzałem sińce i zadrapania po karkołomnym pościgu za Lovingiem za muchołapką. Nic poważnego, choć plecy bolały mnie jak diabli po pełnej wstrząsów ucieczce yukonem z Hillside Inn.

Przeszedłem się po domu, sprawdzając czujniki i upewniając się, czy wszystkie urządzenia komputerowe i łączności działają. Czuję się jak inżynier.

Ochrona osobista to praca z najnowocześniejszą technologią: nie może być inaczej, jeśli przestępcy znają się na wszystkich zabawkach... i mają chyba nieograniczone środki na ich zakup.

Jak można się spodziewać po osobie przedkładającej gry planszowe nad komputerowe, nie mam wrodzonych zdolności technicznych, mimo to starałem się dbać, żebyśmy też mieli najnowsze gadżety: wykrywacze materiałów wybuchowych wielkości myszy komputerowej, którą zresztą przypominały; detektory włókna węglowego o wysokiej gęstości do odnajdywania broni palnej z materiałów niemetalicznych; czujniki dźwięku, które pozwalają zidentyfikować odgłos zamka broni automatycznej podczas wprowadzania pocisku do komory albo szcęk odwodzonego kurka rewolweru; mikrofony rekonstruujące rozmowy na podstawie wibracji po drugiej stronie ściany; zagłuszacze systemów łączności; urządzenia przekierowujące sygnał GPS, które zwodziły na manowce śledzący nas samochód.

W kieszeni zawsze nosiłem kamerę udającą długopis. Była podłączona do programu, którego algorytmy informowały mnie, że mowa ciała zbliżającej się osoby wskazuje na zachowanie agresywne. Używałem jej także do rejestrowania tłumów w miejscach publicznych, gdy transportowałem obiekty, aby sprawdzić, czy jakieś twarze nie pojawiają się ponownie gdzie indziej.

Inny „długopis” to bezprzewodowy wykrywacz sygnału do szukania pluskiew.

Mieliśmy nawet skrzynkę o boku długości około ćwierci metra, która na dźwięk eksplozji miny-pułapki błyskawicznie się rozkładała, wystrzelując w górę siatkę metalowo-keвлarową - przypominającą rycerską kolczugę - aby zatrzymać jak najwięcej odłamków i zmniejszyć siłę uderzeniową.

Czasem urządzenia się przydawały, czasem nie. Ale Abe Fallow powtarzał, że trzeba robić wszystko, by zyskać przewagę nad

przeciwnikiem. Przewaga może być mikroskopijna, lecz często wystarcza.

Wróciłem do komputera i ściągnąłem kilka e-maili, które wysłała mi duBois. W trakcie odpowiadania wyczułem czyjaś obecność. Uniosłem wzrok i w kuchni ujrzałem Kesslerów. Usłyszałem odgłos otwierania szafek i lodówki. W schronie mamy barek oddzielający kuchnię od jadalni, ale zaopatrzony tylko w napoje bezalkoholowe. W kuchni nasza obsługa zwykle trzyma wino i piwo. Nam oczywiście nie wolno pić na służbie, lecz staramy się zapewnić obiektom w miarę dobre samopoczucie - i co ważniejsze dać im jak najmniej powodów do narzekań.

Ryan, utykając, podszedł do baru i nalał coli do szklanki do połowy wypełnionej jakimś bursztynowym płynem. Joanne wzięła puszkę Sierra Mist.

- Dolać ci coś do tego? - usłyszałem jego głos.

Pokręciła głową.

Wzruszenie ramion oznaczało: jak sobie chcesz.

Zajrzał do mojego pokoju i zobaczył, że na nich patrzę. Odwrócił się i poczłapał z powrotem do sypialni.

Pochyliłem się nad komputerem, przeglądając zaszyfrowane pliki, jakie przesłała mi duBois.

Spełniła kilka moich dzisiejszych prośb i zapewniała mnie, że czeka na więcej szczegółów dwóch spraw prowadzonych przez Ryana. Musiałem poszukać jeszcze innych informacji. Zalogowałem się do naszej bezpiecznej wyszukiwarki, która przesyłała kwerendy przez serwer proxy w Azji.

Błyskawicznie dostałem odpowiedź. Nie szukałem tajnych materiałów, chciałem po prostu zajrzeć do ogólnodostępnych mediów. Przez pół godziny przejrzałem setki stron artykułów i komentarzy. Wreszcie stworzyłem portret interesującej mnie osoby.

Lionel Stevenson był senatorem drugą kadencję, republikaninem z Ohio. Przed wyborami do senatu był kongresmenem i prokuratorem w Cleveland. Należał do grona umiarkowanych polityków i szanowano go po lewej i prawej stronie, a także w Białym Domu. Przez cztery lata zasiadał w komisji sprawiedliwości, teraz w komisji do spraw wywiadu. To on zmontował koalicję, by zdobyć głosy dla swojego kandydata do Sądu Najwyższego. Cytowano słowa pewnego polityka, który mówił o wysiłkach Stevensona: „Budowa tego

porozumienia była naprawdę ciężką pracą - wydaje się, że dziś w Waszyngtonie wszyscy nienawidzą wszystkich”.

*W Kongresie jest za dużo wrzasku. Zresztą wszędzie jest za dużo wrzasku...*

Odwiedzał szpitale w Wirginii i szkoły w swoim stanie oraz w Waszyngtonie i okolicy. Należał do stołecznych kręgów towarzyskich i często widywano go z młodymi kobietami - choć w przeciwieństwie do jego niektórych kolegów nie było z tym żadnego problemu, ponieważ nie miał żony. Popierały go komitety wyborców, lobbyści i instytucje zbierające fundusze, które nigdy nie wchodziły w kolizję z prawem. Uważano go za jedną z ikon ruchu tak zwanych nowych republikanów, którzy dzięki swoim umiarkowanym poglądom pozyskiwali głosy zwolenników demokratów i kandydatów niezależnych. Wszystko wskazywało na to, że zdobędą zdecydowaną większość w nadchodzących wyborach stanowych i federalnych.

Chyba najistotniejszą informacją na jego temat, jaką znalazłem, były jego uwagi ze spotkania w college'u w północnej Wirginii sprzed kilku miesięcy. Stevenson był gorącym orędownikiem praworządności, niemniej jednak powiedział: „Rząd nie stoi ponad prawem. Nie stoi ponad ludźmi. Działa zgodnie z prawem i służy ludziom. W Waszyngtonie - i w każdym stanie - są tacy, którzy uważają, że zasady można naginać lub łamać w imię wyższego dobra. Ale nie ma wyższego dobra niż rządy prawa. A politycy, prokuratorzy i policjanci przyzymkający oko na wolę ludzi nie są lepsi od zwykłych bandytów napadających na banki czy morderców”.

Dziennikarz dodał, że po tych słowach sala pełna przyszłych wyborców zgotowała Stevensonowi owację na stojąco. W innych artykułach zauważano, że jego filozofia kosztowała go głosy republikańskie w rodzimym stanie i przysporzyła mu wrogów we własnej partii w Kongresie. Wywnioskowałem z tego, że jego motywem przeprowadzenia przesłuchań na temat inwigilacji nie jest chęć zdobycia głosów, lecz ideologia.

Kontynuowałem przeglądanie obszernych materiałów, notując coś od czasu do czasu.

Czułem się zupełnie zagubiony, zazdroszcząc Claire duBois jej umiejętności odnajdywania właściwych informacji. Nie zamierzałem jednak zlecać jej tego zadania.

Odrywając wzrok od monitora, zobaczyłem Joanne, która stała

w drzwiach między kuchnią a salonem, opierając się o framugę. Jej surowa i przystojna twarz sprawiała wrażenie odrobinę mniej obojętnej niż przedtem. Zapisalem przejrzone strony w zaszyfrowanym pliku i wpisałem polecenie włączające chroniony hasłem wygaszacz ekranu.

Patrząc na pojawiające się i znikające figury szachowe, zastanawiałem się nad tym, czego się właśnie dowiedziałem o Stevensonie. Po chwili wstałem, podszedłem do drzwi i skinąłem głową Joanne.

Wnętrze naszego schronu było zaskakująco przytulne. Zakochało się w nim wiele kobiet. I kilku mężczyzn. Kiedy ściga cię cyngiel czy zbieracz, instynkt wicia sobie bezpiecznego gniazdka rośnie niczym balon wypełniany helem na jarmarku. Kiedyś, schodząc z góry, zobaczyłem, że moje obiekty poprzestawiały meble. Innym razem, ku mojemu przerażeniu, pewne małżeństwo zamieniło zasłony w dwóch pokojach i robiąc to, prawdopodobnie stali w odsłoniętych oknach.

Wygody w domu sprawiały, że to był mój ulubiony schron - nie ze względu na komfort osobisty, lecz zawodowy; moje obiekty zachowywały się spokojniej, co ułatwiało mi życie.

Joanne wzięła pilota, spoglądając na mnie.

- Mogę?

- Jasne.

Włączyła telewizor. Być może chciała zobaczyć, czy jest coś o nas w wiadomościach. Owszem, było, aczkolwiek nic konkretnego. Mówiąc o strzelaninie w motelu Hillside Inn, prezenter wspomniał o „prawdopodobnych porachunkach gangsterskich”. Następnie nadano materiały o szansach Baltimore Orioles w lidze, o samobójczym zamachu bombowym w Jerozolimie, a potem oświadczenie kandydata na sędziego Sądu Najwyższego, który apelował, by demonstracje pod Kapitołem, zarówno za jego kandydaturą, jak i przeciw niej, zachowały pokojowy charakter; podobno doszło do przypadków plucia na siebie i obrzucania się butelkami. Podziękowałem mu w duchu, że pomógł mi niepostrzeżenie dojechać do pułapki.

Joanne wpatrywała się w ekran, ściskając w ręku puszkę z napojem. Na chwilę rozluźniła palce, by odgarnąć kosmyk opadających blond włosów. Wciąż miała torebkę na ramieniu.

Znajome przedmioty dodają otuchy...

Nieoczekiwanie spojrzała na mnie i powiedziała, jak gdyby kontynuowała rozmowę, którą cały czas prowadziliśmy:



- Jest sfrustrowany. Mówię o Ryaniu. Bardzo sfrustrowany. Ma wyrzuty sumienia, że sprowadził na nas coś takiego. A kiedy ma wyrzuty sumienia, nie wie, jak sobie z tym poradzić. Zaczyna się złościć. Nie bierz tego do siebie.

Może miała na myśli jego zgryźliwą uwagę, że strzela lepiej ode mnie i pozostałych członków ochrony.

Albo sugestię, że jesteście tchórzami i boimy się stanąć do walki z Lovingiem.

- Rozumiem. - Naprawdę rozumiałem.

- Właściwie nigdy nie otrząsnął się po tej strzelaninie w barze. Nie mówię o ranie i o utykaniu - to mu na ogół nie przeszkadza. Chodzi mi o psychikę. Jaki to miało na niego wpływ. Został przeniesiony za biurko. Uwielbiał pracę na ulicy. To samo robił jego ojciec w Baltimore. Kiedy Ryana przenieśli do wydziału przestępstw finansowych, wydawało się, jakby ojciec przestał go szanować.

Pamiętałem, że rodzice Ryana nie żyją, zastanawiałem się więc, jak wyglądały stosunki między ojcem a synem pod koniec życia Kesslera seniora. Mój ojciec umarł młodo; zawsze żałowałem, że nie zdążyłem dojechać na jego urodziny, które okazały się ostatnie.

Żałowałem też, że nie zdążył być na pierwszych urodzinach mojego syna.

- Pracuje, ale nie ma do tego serca - ciągnęła Joanne. - Teraz jeszcze dołożyli mu obowiązki administracyjne. - Umilkła. - Wiedzą, że pije. Myśli, że świetnie to ukrywa. Ale się myli. Nie da się tego ukryć.

Przyszło mi do głowy, że też trudno byłoby mi zrezygnować z tego, co robię i nie wiem, jak bym się zachował, gdybym nie mógł już grać w gry o sumie zerowej z ludźmi takimi jak Henry Loving, gdybym nie mógł chronić obiektów.

Oczywiście nie powiedziałem o tym Joanne. Zawsze muszę się pilnować, żeby nie ujawniać różnych spraw osobom pozostającym pod moją opieką. To nieprofesjonalne. Mogłyby coś sypnąć, gdyby dostały się w ręce zbieracza albo rozmawiały z prasą. Jest też drugi powód. Drogi owczarka i obiektów się rozchodzą. To nieuniknione. Lepiej nie wchodzić w żadne relacje; minimalizować ryzyko krzywd emocjonalnych. Dlatego właśnie Abe Fallow kazał nam mówić o nich „obiekty”.

- Niech ci ludzie pozostaną anonimowi, Corte. To dwuwymiarowy świat. Musisz być dla nich sylwetką wyciętą z tektury. Sam też tak

musisz ich traktować. Dowiedz się o nich tylko tego, co niezbędne, żeby utrzymać ich przy życiu. Nie używaj ich imion, nie oglądaj zdjęć ich dzieci, nie pytaj, czy nic im się stało, chyba że jesteście pod ostrzałem i musisz wezwać pomoc medyczną.

Paradoks polega jednak na tym, że obiekty uwielbiają rozmawiać z owczarkami. Bardzo chętnie się otwierają. Jedną z przyczyn tej rozmowności jest widmo śmierci. Często dochodzi do spowiedzi. Ktoś zrobił w życiu coś złego - a ktoś nie popełnia błędów - i chce słowami uciszyć wyrzuty sumienia. Istotne dla nich jest to, że nie stanowią zagrożenia. Pojawiam się w ich życiu na dwanaście czy czterdzieści osiem godzin, najwyżej na kilka tygodni. Potem odchodzę i nigdy nie będę miał okazji zdradzić ich sekretów ich najbliższym i przyjaciółom.

Dlatego słucham i kiwam głową, nie zachęcając ich w żaden szczególny sposób do zwierzeń, i nie oceniając nikogo. Oczywiście po części robię to z wyrachowania. Im bardziej są ode mnie zależni i im bardziej mi ufają, tym większa pewność, że zrobią dokładnie to, co im każę - natychmiast i bez zbędnych pytań.

Joanne zerknęła na mój komputer, choć odwróciłem ekran w taki sposób, by go nie widziała.

- Jak sądzisz, o którą sprawę Ryana może chodzić?
- Moja współpracowniczka właśnie je bada.
- O dziewiątej wieczorem w sobotę?

Skinąłem głową.

- Ryan rzadko rozmawia ze mną o pracy. Można by przypuszczać, że to jasne, kto mógłby być... jak go nazywałeś... dyspozytorem?

- Tak, dyspozytorem. Chcesz powiedzieć, że jeżeli wynajęto kogoś takiego jak Henry Loving, to musi chodzić o wysoką stawkę?

- Tak.

- To prawda. Ale czasem nie wiadomo. Miałem wiele spraw, w których tożsamość dyspozytora bardzo nas zaskoczyła.

Zjawiała się Maree, nalala sobie kieliszek wina i podeszła do nas.

- Pokój w porządku? - spytałem ją.

- Bardzo w stylu Marthy Stewart, panie przewodniku. Stare obrazy z końmi. Masa koni. Z chudymi nogami. Grube konie i nogi jak patyki. Ciekawe, czy naprawdę tak wyglądały w tamtych czasach. Musiały się często wywracać.

Joanne skwitowała uśmiechem tę uwagę - godną Claire duBois.

- Jak tu można wejść do Internetu? - zapytała Maree. - Muszę sprawdzić pocztę.

- Niestety nie można.

- Och, znowu te szpiegowskie motywy? Proszę. Mam błagać? - Powiedziała to z kokietyrnyim błyskiem w oczach jak u nastolatki, któremu oczywiście towarzyszył popisowy dąs.

- Przykro mi.

- Dlaczego nie można?

- Musimy zakładać, że Loving znalazł twoje konto e-mailowe. Gdybyś odczytała albo wysłała wiadomości, mógłby skorelować godzinę z ruchem w lokalnych routerach i serwerach.

- Corte, czy przechodząc przez ulicę, patrzysz w cztery strony świata?

- Mar - upomniała siostrę Joanne. - Naprawdę przesadzasz.

- Och, prooszę.

- To tylko przezorność - odrzekłem. Pokiwała głową z poważną miną. - O co chodzi?

- Jeżeli nie mogę tu sprowadzić swojego masażysty, ktoś jest mi winien masaż... Zaraz, panie przewodniku, czy to przypadkiem nie wchodzi w zakres twoich obowiązków? - Musiałem spoglądać na nią wyjątkowo tępym wzrokiem, bo spytała: - Chyba rzadko żartujesz, prawda?

- Maree - powiedziała surowo siostra. - Daj sobie spokój.

- Serio - ciągnęła Maree. - Chciałabym tylko wysłać kilka e-maili. Muszę przekazać galerii zdjęcia na wystawę.

- Jeżeli to naprawdę ważne, mogę je zaszyfrować, wysłać do naszego wydziału łączności, a potem zostaną skierowane przez serwisy proxy w Azji i Europie.

- To ma być żart?

- Nie.

- Czyli przeczytaliby je obcy ludzie?

- Tak, trzy czy cztery osoby. No i ja.

- W takim razie chyba wybiorę drugą ekscytującą możliwość... i położę się spać. - Odwróciła się i zniknęła w ciemnym korytarzu.

Joanne odprowadziła siostrę wzrokiem. Szczupłe biodra Maree kołysały się pod cieniutkim materiałem spódnicy, gdy szła wolnym, niemal zalotnym krokiem.

- Co bierze? - zapytałem.

Joanne zawahała się przez chwilę.

- Wellbutrin.

- Coś jeszcze?

- Może ativan. Dwie czy trzy tabletki.

- I?

- Nic więcej na receptę. Nigdy nie miała ubezpieczenia, więc jej wszystkie rachunki za lekarzy przechodzą przez moje ręce. Bo je płacę... Jak się domyśliłeś?

- Trochę z języka, trochę z zachowania - wyjaśniłem. - Dowiedziałem się o jej pobytach w szpitalu. Dwóch, zgadza się?

Joanne zaśmiała się niepewnie.

- O tym też wiesz?

- Moja współpracowniczka sprawdziła wszystko, co mogło być istotne. Próby samobójcze? Tak wywnioskowałem z raportu.

Joanne skinęła głową.

- Lekarz mówił, że to bardziej gest niż próba. Rzucił ją chłopak. Właściwie nie był nawet jej chłopakiem. Chodzili ze sobą jakieś pół roku, ale była gotowa z nim zamieszkać, rodzić mu dzieci. Wiesz, jak to zwykle wygląda.

Urwała, spoglądając na mnie, jak gdyby nagle przyszło jej do głowy, że nie wiem, jak to wygląda. Pewnie Ryan jej powiedział, że jestem sam i nie mam dzieci.

- Przedawkowała, zostawiła list - ciągnęła Joanne. - Drugi raz to samo. Trochę gorzej. Przez innego mężczyznę. Chciałabym, żeby tak samo zależało jej na terapii jak na chłopakach.

Spojrzałem w stronę korytarza, po czym spytałem cicho:

- To Andrew zrobił jej krzywdę? - Pokazałem na rękę.

Joanne zatrzepotała powiekami.

- Niezły jesteś... - Pokręciła głową. - Szczerze mówiąc, nie wiem. Kiedyś rzeczywiście ją krzywdził. Raz przez niego trafiła do szpitala. Twierdziła, że to był wypadek. Ofiary przemocy domowej zawsze tak mówią. Albo twierdzi, że to jej wina. Tym razem bardzo przekonująco opowiadała o tym facecie, z którym się zderzyła. Ale naprawdę nie wiem.

- A listy do niej przesyłane pod wasz adres? Zerwała z Andrew i wprowadziła się do was?

Joanne dostrzegła swoje odbicie w starym, porysowanym lustrze i

szybko odwróciła wzrok.

- Zgadza się. Andrew ma sporo zalet. Jest utalentowany, przy-  
stojny, uważa, że moja siostra też ma talent. Tak jej w każdym razie  
mówi. Ale jest też zazdrosny i zaborczy. Przekonał ją, żeby rzuciła  
pracę i przeprowadziła się do niego. Wytrzymali dwa miesiące. Cią-  
gle się na nią wściekał, ale kiedy się wyprowadziła, wściekł się jeszcze  
bardziej. Dzięki Bogu, że mieszkamy niedaleko. Miała dokąd uciec.

Maree, która urodziła się jako Marie i nigdy formalnie nie zmieni-  
ła imienia, według informacji znalezionych przez duBois była kilka-  
krotnie notowana przez policję, gdy w wieku kilkunastu lat uciekała z  
domu. Miała też na koncie parę zarzutów o kradzieże w sklepach i  
posiadanie narkotyków, ale sprawy umorzono; wyglądało na to, że  
chłopcy, z którymi była, zmusili ją, aby się do nich przyłączyła. Po-  
tem próbowali ją wrobić.

Żaden z tych szczegółów nie był jednak istotny dla mojego zadania  
i naszej rozmowy, więc nie wspomniałem o nich ani słowem.

- Odrobiłeś lekcje, co?

- Przed tym zadaniem? Owszem.

Po chwili Joanne, która zdradzała taką samą ochotę do żartowa-  
nia jak ja, uśmiechnęła się przelotnie.

- A czego dowiedziałeś się o mnie?

Nie byłem pewien, jak odpowiedzieć. Z informacji zebranych  
przez duBois wyłaniał się obraz absolutnie bezbarwnego życia. Była  
sumienną studentką i statystykiem, odpowiedzialnie prowadziła  
dom. Należała do komitetu rodzicielskiego w szkole Amandy. Jedyne  
przypadki odstępstwa od czterdziestoletniej rutyny same w sobie nie  
wyróżniały się niczym niezwykłym: na przykład przed studiami po-  
dyplomowymi wyjechała za granicę na włóczęgę z plecakiem - była to  
zapewne największa przygoda jej młodości - a przed wielu laty miała  
poważny wypadek samochodowy, po którym przechodziła kilkumie-  
sięcną rehabilitację.

- Dowiedziałem się, że o ciebie akurat nie muszę się martwić.

Uśmiech zniknął. Patrząc mi w oczy, Joanne powiedziała:

- Byłbyś dobrym politykiem, Corte. Dobranoc.

## Rozdział 20

O jedenastej wieczorem, po obchodzie w domu, wyszedłem na zewnątrz i ulokowałem się w gnieździe z opadłych liści. Zacząłem lustrować teren posesji przez monokular noktowizyjny Xenonics SuperVision 100. Są bardzo drogie, ale najlepsze na rynku. Nasz wydział było stać tylko na trzy, a dziś wypożyczyłem ostatni.

Taką pracę zwykle wykonywał cień, ale uważałem, że nawet owczarek powinien systematycznie odwalać czarną robotę. Oczywiście przejąłem tę zasadę od Abe'a, który, można rzec, zginął przez swoją filozofię.

Starąłem się zwracać uwagę na wszystko, co w jakikolwiek sposób odbiegało od normy. Ramiona miałem napięte jak postronki, ciężko oddychałem. Zacząłem powtarzać w duchu: *kamień, nożyce, papier... kamień, nożyce, papier...*

Ukołysany cieniem chmur, płynących wolno na tle księżyca, zacząłem się uspokajać. Po czterdziestu minutach, ze zdrętwiałymi palcami i drżącymi od chłodu mięśniami rąk, wróciłem do domu.

W sypialni odpiąłem kaburę Royal Guard i wyciągnąłem z torby buteleczkę żelu Draw-EZ. Nasmarowałem nim skórę w naturalnym kolorze, która pociemniała już jak ulubiona rękawica bejsbolowa. Szorstką stroną była zwrócona na zewnątrz, a gładką przylegała do mojego ciała. Właściwie nie musiałem polerować kabury - mierzyłem czas, w jakim potrafię wyciągnąć broń, i był zadowolający - ale to mnie relaksowało.

Kiedy skończyłem, zająłem się zabiegami w łazience, a potem rzucałem się na stare, powygniātane łóżko. Rolety w oknach były oczywiście opuszczone, choć prawdopodobieństwo, że pomiędzy

dostojnych dębów wyłoni się napastnik i pośle kulę do pokoju, było naprawdę niewielkie.

Okno zostawiłem jednak lekko uchylone i słyszałem przez nie szeleszczący wiatr i cichszy szmer wodospadów kilometr stąd.

Jestem szczęściarzem, bo potrafię zasnąć gdziekolwiek, niemal na komendę. Dowiedziałem się, że to wyjątkowa rzadkość w mojej branży. Nie dziwię się, że moje obiekty cierpią na bezsenność. Wiedziałem, że niebawem zasnę, ale w tym momencie rozkoszowałem się samym leżeniem w łóżku - kompletnie ubrany, tylko bez butów - i patrzyłem w sufit. Zastanawiałem się, kto był pierwszym mieszkańcem tego domu.

Zbudowano go około 1850 roku. Przypuszczam, że kiedyś stał na farmie, a na ziemi uprawiano owies, kukurydzę i jęczmień - podstawowe zboża, nie żadne modne dziś mutacje. Z rozbawieniem wyobraziłem sobie dziewiętnastowieczną rodzinę robotniczą zasiadającą do kolacji z rukolą i sałatką ze szpinaku.

Dziś na posesji rosło dziesięć tysięcy drzew, lecz wiedziałem, jak wówczas wyglądała, ze zdjęć Matthew Brady'ego i innych fotografów. W okresie wojny secesyjnej większość obecnych lasów północnej części Wirginii stanowiły pola uprawne.

Great Falls na początku zajmowały wojska Unii. Nie stoczono tu żadnej większej bitwy, choć w rejonie dzisiejszej drogi numer 7 i Georgetown Pike w grudniu 1861 roku doszło do starcia niemal czterech tysięcy żołnierzy. Zginęło pięćdziesięciu, a dwustu odniosło rany. Ogłoszono zwycięstwo Unii, choć najprawdopodobniej dlatego, że konfederaci nie widzieli strategicznego celu w zajmowaniu okolicy, gdzie mieli duże poparcie, więc się po prostu wycofali.

W Great Falls bardziej niż w innych częściach Wspólnoty Wirginii sympatie były podzielone. Zwolennicy Unii i Konfederacji często sąsiadowali ze sobą. Tu określenie „brat przeciw bratu” miało prawdziwe, bolesne znaczenie.

Znałem to z historii - którą też studiowałem - choć niemalą wiedzę o światowych wydarzeniach i konfliktach zaczerpnąłem z gier planszowych. Lubię gry powstające niemal wyłącznie w Ameryce, które odtwarzają słynne bitwy. Europejczycy wolą gry ekonomiczne i bardziej pożyteczne towarzysko, Azjaci - abstrakcję. A Amerykanie uwielbiają walkę. W swojej kolekcji mam takie gry, jak „Bitwa o Ardeny”, „Gettysburg”, „D-Day”, „Bitwa o Anglię”, „Obłężenie Stalingradu”,

„Rzym”.

Niektórzy spośród poznanych przeze mnie graczy unikają ich, twierdząc, że są przejawem braku szacunku. Ja jednak uważam, że wręcz przeciwnie - pamiętając o tych, którzy zginęli w służbie ojczyźnie, oddajemy im cześć.

Poza tym kto zaprzeczy, że pisanie na nowo przeszłości to ciekawa rzecz? Raz pokonałem armię japońską w grze o Pearl Harbor. W moim świecie nigdy nie doszło do kampanii na Pacyfiku.

Wciąż wracałem myślą do rodziny, która jako pierwsza mieszkała w tym domu. Przypuszczałem, że to był duży klan; wielodzietność była wówczas normą. Siedem pokoi mogło pomieścić najmłodszych członków rodziny oraz jedno lub dwa starsze pokolenia.

Zawsze mi się to podobało: pokolenia mieszkające razem.

Obraz z przeszłości: Peggy i jej rodzice.

Uświadomiłem sobie teraz, że wygląd i dziwactwa Maree przypominają mi Peggy. Oczywiście z wyjątkiem ponuraństwa, niezrównoważenia i irytujących zachowań Maree.

*Panie przewodniku...*

Peggy nazwała mnie kiedyś złym chłopakiem - w sytuacji, gdy się zorientowałem, że w McDonalddie dostaliśmy duże frytki zamiast zwykłych i powiedziałem do niej: „Nic im nie mówmy i uciekajmy”.

Wracały też inne, niechciane wspomnienia.

Przeciagnałem się, czując ból w łydkach i stawach po pościgu za Henrym Lovingiem w muchołapce i w plecach po ucieczce z motelu. Spróbowałem rozegrać w wyobraźni kilka rund chińskiej gry wei-chi z niewidzialnym przeciwnikiem, co czasem pomaga mi odegnać przykre myśli.

Potem uznałem, że pora spać i odwróciłem się na bok. Zasnąłem po dwóch minutach.



# NIEDZIELA

*Gracze nie zawsze wykonują ruchy swoimi wojskami na przemian. O ruchu gracza i o tym, którym oddziałem może zaatakować, decyduje talia kart. Nikt nie wie, czyja kolej wypadnie, dopóki karta na wierzchu talii nie zostanie odwrócona. W ten sposób kolejność gry pozostaje zagadką.*

Z instrukcji gry planszowej „Battle Masters”

## Rozdział 21

### Nicnierobienie.

Dla nas, owczarków, to wcale nie jest problem; jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Pod tym względem przypominamy pilotów linii lotniczych, których życie w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach to rutyna. Spodziewamy się tego - a choć przygotowujemy się do rzadkich chwil, gdy mamy działać i zapobiec katastrofie - rozumiemy, że lwią część czasu pracy spędzimy na czekaniu. Przynajmniej teoretycznie.

Dla naszych obiektów jednak czas spędzony w schronie często staje się koszmarem. Zostają wyrwani z aktywnego życia i muszą godzinami przesiadywać w domach podobnych do tego, może i przytulnych, nie mogąc pracować, nie mogąc zrobić nic we własnym domu, nie mogąc spotkać się z przyjaciółmi. Nie wolno im prawie nigdzie zadzwonić, nie mają dostępu do e-maili... Nawet telewizja nie daje żadnej przyjemności: programy przypominają im o świecie istniejącym za murami ich więzienia, jak blaknące powtórki życia, którego być może już nigdy nie zobaczą, a trywialne seriale, zarówno dramaty, jak i komedie, zdają się drwić z tragedii, jaka ich spotyka.

Nicnierobienie...

Jednym z jego skutków jest skłonność do ucieczki w sen; obiekty nie mają powodu wcześniej wstawać.

W niedzielę o wpół do dziesiątej rano byłem w pokoiku za biurkiem, gdzie zasiadłem już o piątej, kiedy usłyszałem trzask otwieranych drzwi i skrzypienie desek podłogi. Dobięły mnie głosy Ryana i Joanne witających się z Lyle'em Ahmadem, który im objaśnił, gdzie mają przygotować sobie kawę i śniadanie.

Wysłałem jeszcze parę e-maili, po czym wstałem, przeciągając się.

Noc minęła spokojnie, a nowy telewidz z Wirginii Zachodniej poinformował mnie głębokim głosem, z identycznym nosowym akcentem jak jego poprzednik, że kamery na posesji nie uchwyciły niczego niepokojącego. O północy obok domu przejechał jakiś samochód, ale trasa wskazywała, że to ktoś miejscowy wraca z kolacji w Tysons Corner albo Waszyngtonie. W każdym razie nasz GPS zmierzył prędkość auta. Kierowca nie zwolnił nawet o kilometr na godzinę, więc zgodnie z naszymi algorytmami nie trafił na listę zagrożeń.

Wszedłem do kuchni i przywitałem się z Kesslerami.

- Dobrze spaliście? - zapytałem.

- Jako tako. - Ryan miał zaczerwienione oczy i poruszał się wolno - z powodu urazu nogi i być może kaca. Miał na sobie dżinsy i fioletową koszulkę polo. Jego brzuch wylewał się nad klamrą paska. Wciąż nosił broń. Joanne też była w dżinsach oraz czarnym T-shircie i bluzce w kwiaty. W okrągłym lusterku puderniczki obejrzała uszminowane wargi - innego makijażu nie nakładała - po czym schowała ją do torebki.

Ryan powiedział, że długo rozmawiał z Amandą i wygląda na to, że u Cartera wszystko w porządku. Wczoraj dziewczyna z zapalem łowiła ryby, a wieczorem oboje byli na grillu u sąsiadów.

Ja też rano dzwoniłem do Billa Cartera. Poinformowałem o tym Kesslerów, dodając:

- Mówił, że nie zauważył niczego podejrzanego. Tylko wasza córka ciągle się martwi jutrzejszą nieobecnością w szkole, swoim meczem i jakąś pracą społeczną.

- Uczniowski telefon samopomocy - wyjaśnił Ryan. - Właściwie sama go prowadzi.

Nie byłem zaskoczony, wiedząc już co nieco o dziewczynie.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie musiała niczego opuścić - powiedziała Joanne.

Był niedzielny ranek. Gdyby jeszcze dzisiaj udało się dopaść Lovinga i jego dyspozytora, Kesslerowie przed kolacją mogliby wrócić do w miarę normalnego życia.

- Co dzisiaj będziemy robić? - spytał Ryan, spoglądając w okno.

W garażu widziałem kije golfowe i przypuszczałem, że chętnie spędziłby ciepły jesienny dzień na polu.

- Spróbujcie się odprężyć - odrzekłem i od razu pomyślałem o Claire duBois, która pewnego razu, gdy lecieliśmy na Florydę zabrać

obiekt, zauważyła:

- Piloci zawsze mówią to samo: „Proszę wygodnie usiąść i się odprężyć”. A co pasażerowie mieliby robić? Stać na rękach w przejściu? Otworzyć okno i karmić ptaki?

Kesslerowie też nie mieli innego wyjścia. Wiedziałem, że nie spodoba się im kolejna instrukcja, którą właśnie im przekazałem - że nie mogą wychodzić z domu.

- Nie wychodzić - mruknął Ryan, zerkając przez szparę w zasłonie na promienie słońca na liściach, które dopiero zaczynały zmieniać kolor. Westchnął i posmarował masłem bułeczkę.

Nicnierobienie...

Zadzwoił mój telefon i spojrzałem na wyświetlacz.

- Przepraszam.

Wróciłem do pokoiku, wciskając ODBIERZ.

- Claire?

- Mam parę informacji.

- Mów.

W jej młodzieńczym głosie brzmiała nuta entuzjazmu.

- O lokalizatorach. Ciekawe. Wyprodukowane przez Mansfield Industries. Mały lokalizator ma zasięg sześciuset metrów, większy tysiąca. Brzmi nieźle, ale to stare modele. Nowe, takie jak nasze, pracują na podstawie GPS i satelity, więc można śledzić każdego z własnego biura. Te podłożone w samochodzie były tanie, a to znaczy, że korzysta z nich policja.

Rzeczywiście ciekawe.

- A modele...

- ..są takie same jak używane przez stołeczny departament.

- Numery seryjne? - zapytałem.

- Nie mają numerów seryjnych - odrzekła. - Nie można ustalić konkretnego źródła pochodzenia.

- Są jakieś odciski, mikroślady?

- Nie.

Zastanowiłem się nad tą informacją. Obiekt był detektywem, a sprzęt mógł pochodzić z tej samej jednostki policji, w której pracował.

Następny element układanki.

- Sprawa Grahama? - spytałem. Pracownika Departamentu

Obrony, któremu skradziono książeczkę czekową. I który zaskakująco wycofał skargę.

Wyraźnie straciła zapal.

- Aha, no dobrze.

Nie brzmiało to zachęcająco.

- Co jest?

- Chyba będę potrzebowała pomocy.

- Mów.

- Jest taki tyci problem.

Zawsze miałem kłopot ze znaczeniem tego przymiotnika.

- Szło mi całkiem nieźle. Dowiedziałam się, że szef detektywów...

- Lewis.

- Zgadza się. Komendant Lewis miał telefon od „kogoś wpływowego”. To cytat, ale nie mam pojęcia, kto to może być. Coś takiego mógłby napisać scenarzysta o czarnym charakterze, o jakiejś nikczemnej postaci. W każdym razie ta wpływowa osoba kazała Lewisowi dopilnować, żeby sprawę umorzono.

- To ktoś z Pentagonu?

- Nie wiem. Potem zdobyłam parę liczb. Graham zarabia dziewięćdziesiąt dwa tysiące rocznie. Jego żona pięćdziesiąt trzy. Mają sześćset tysięcy dolarów hipoteki i oprócz syna, Stuarta, dwie córki w college'u. Jedna chodzi do Williama i Mary, druga do Vassar. Ich chesne w sumie wynosi sześćdziesiąt tysięcy rocznie. Zakwaterowanie i wyżywienie pewnie w granicach rozsądku. Z całym szacunkiem dla Williamsburga i Poughkeepsie. Był pan w którymś z tych miast?

- Nie. - Zamyśliłam się nad tym, co mi powiedziała. - Czyli czterdzieści tysięcy to dla niego dotkliwa strata.

- Ogromna. Pomyślałam o czasach, gdy chodziłam do Duke'a. Moi starzy odkładali każdy grosz na moje chesne. Tylko jakaś katastrofa mogłaby im w tym przeszkodzić, a wtedy musiałabym pewnie w pracy uczyć się na pamięć karty dań.

- Wspomniałaś o jakimś problemie.

*Tycim...*

- Prawdę mówiąc.

- Claire?

Osobowość duBois stanowiła przedziwny konglomerat cech - mimo swoich rozbieganych myśli i osobliwych spostrzeżeń, na swój

sposób lubiła rywalizację tak jak ja i trudno jej było przyznać się do porażki, zwłaszcza jeśli popełniła błąd. Wyczułem, że do tego właśnie doszło.

- Pomyślałam sobie tak: żeby uzyskać certyfikat dostępu do informacji niejawnych, Graham musiał przejść badanie na wykrywaczu kłamstw.

Wszyscy pracownicy administracji rządowej z certyfikatami muszą się regularnie poddawać takiej procedurze. Niektóre organizacje mają własnego operatora wariografu; Departament Obrony zwykle korzysta z usług FBI.

- No więc zadzwoniłam do znajomego z Biura, żeby się dowiedzieć. Graham miał wyznaczony termin badania w zeszłym tygodniu, ale zadzwonił do biura terenowego i powiedział, że zostaje w domu. Podobno bardzo się przeziębił. Kiedy ktoś bierze leki, nie przeprowadza się badania. No i przelożyli mu na przyszły miesiąc.

- Sprawdziłaś listę obecności personelu w Pentagonie.

- Tak jest. Graham wcale nie został wtedy w domu. I nikt nie miał wrażenia, że jest chory. Skłamał, żeby nie iść na badanie.

- Dobry ruch. Mów dalej.

- Najprawdopodobniej ktoś z kadr dał mu znać, że się tym zainteresowałam. Graham zdobył moje nazwisko. Zadzwonił. Nie był zadowolony.

Istotnie, nie był to pomyślny skutek. Wolalbym, żeby Grahamowi nie mówiono ani słowa o naszym śledztwie. Mimo to nie rozumiałem, co tak wytrąciło duBois z równowagi.

- Doszłam do wniosku - ciągnęła - że skoro zostałam zdekonspirowana, mogę z nim po prostu porozmawiać, posłuchać, co ma do powiedzenia na temat wycofania skargi. Ale... hm, nie wykazywał chęci do współpracy. Zachował się wręcz niegrzecznie. Nazwał mnie „młodą damą”, a tego naprawdę nie lubię.

Nie miałem wątpliwości, że to prawda.

- Powiedział mi, dość obrazowo, gdzie mogę sobie wsadzić swój nakaz.

- Nakaz? Skąd się wziął?

- W tym właśnie problem. Zagroziłam, że mu doręcę.

- Jaki? - Nie przychodziła mi do głowy żadna sytuacja, w której

można by było wystawić nakaz.

- Wymyśliłam go. Wkurzyłam się po prostu na niego za to, jak mnie potraktował. Powiedziałam, że jeżeli nie odpowie na moje pytania, pójdę do sędziego, wezmę nakaz i urzędowo zmuszę go do mówienia.

Milczałem przez chwilę. Przyszła pora na lekcję.

- Claire, jest różnica między blefem a groźbą. Jeżeli komuś grozisz, musisz mieć coś w zanadru. Jeżeli blefujesz, nie musisz. Teraz grozimy, nie blefujemy.

- Wydaje mi się, że raczej blefowałam.

- No dobrze - powiedziałem. - Gdzie on teraz jest?

- Z numeru, który mi się wyświetlił, wynika, że w domu w Fair-faksie. Przykro mi. Teraz będzie się wykręcał.

*Młoda damo...*

- Wiesz co? Spotkajmy się w Hyacie w Tysons. Za pół godziny.

- Dobrze.

Rozłączyłem się i usiadłem obok Ryana Kesslera, który ślęczał nad dokumentami w salonie. Powiedziałem mu o lokalizatorach, które wspólnik Lovinga zamontował w błotnikach mojego samochodu.

- Pochodziły z mojego departamentu? - zdziwił się.

- Nie można ustalić źródła. Ale to takie same modele, jakie kupuje policja stołeczna.

- Właściwie nigdy ich nie używamy - rzekł Ryan. - Teoretycznie są świetne, ale w praktyce słabo działają. Odbiór się chrzani, nakładają się sygnały. Wkładamy je przede wszystkim do worków z pieniędzmi przy zakupie kontrolowanym, kiedy jest dużo gotówki i boimy się ją stracić. Ale takie zabawki można też kupić w prawie każdym sklepie z gadżetami ochroniarskimi.

- Sądzisz, że w departamencie jest ktoś, kto mógłby monitorować sprawę Grahama albo Clarence'a Browna? Albo którąś z mniejszych spraw?

- Ktoś od nas miałby pracować dla Lovinga? Niemożliwe. Gliniarze nie robią sobie nawzajem takich rzeczy.

Nie odpowiedziałem, myśląc tylko: ludzie zrobią wszystko wszystkim, to tylko kwestia dobrego haka.

Wróciłem do komputera i nie chcąc, żeby słyszał moją prośbę, napisałem e-maila do duBois, dopisując jeszcze jeden punkt do coraz

dłuższej listy jej zadań.

Potwierdziła odbiór wiadomości.

Garcia i Ahmad robili obchód. Poinformowałem ich, że wychodzę na jakiś czas w związku ze śledztwem w sprawie ustalenia tożsamości dyspozytora. Wyszedłem do wolno stojącego garażu i otworzyłem bramę. W środku stała honda accord, zarejestrowana na nazwisko fikcyjnego mieszkańca Arlington. Billy dokonał kilku drobnych zmian w wozie - założył opony odporne na przebicie, dodał trochę mocy i trochę opancerzenia - ale poza tym był to zwykły, standardowy samochód. Uruchomiłem silnik i wyjechałem z kompleksu, sunąc tunelem gałęzi i jaśniejących w słońcu liści.

Po około dziesięciu minutach zabrzączał telefon. Rozpoznałem numer Westerfielda. Zapomniałem o obietnicy złożonej Aaronowi, że będę informować prokuratora na bieżąco.

Odebrałem telefon.

I pożalowałem.



## Rozdział 22

Corte, mówisz przez głośnik ze mną i z Chris Teasley.

- W porządku.

- Rozmawiałem z prokuratorem generalnym i zgodził się przewieźć Kesslerów do aresztu w Waszyngtonie.

Tylko dlatego, że do niego nie oddzwoniłem? Chyba odrobinę przesadził.

- Rozumiem. Dlaczego?

- Agencie Corte - odezwała się Chris Teasley.

- Wystarczy Corte - poprawiłem ją. - Nie jestem agentem. - Moja organizacja była po prostu urzędem, nie biurem ani agencją. Założył go Abe, gdy dostał pieniądze od Kongresu.

- Corte - ciągnęła. - Zbadałam pańską przeszłość. - W jej głosie brzmiała nuta niepewności. Byłem od niej prawie dwa razy starszy.

Skupiałem się na prowadzeniu samochodu i wypatrywaniu ogona, co owczarki robią odruchowo, prawie cały czas. Nawet gdy idą na zakupy spożywcze. Nie spodziewałem się jednak, że ktoś mnie śledzi i niczego nie zauważyłem.

- Słucham.

- To rutynowe postępowanie w takich sprawach - powiedziała szybko. Żeby nie pomyślał, że jestem prześladowany. - Naszą uwagę zwróciło jedno zdarzenie: operacja, którą prowadził pan w Newport w Rhode Island. Dwa lata temu.

Ach, więc o to chodziło.

- Mam tu pełny raport ze śledztwa.

Co chwilę robiła pauzę, jak gdyby dając mi okazję do potwierdzenia lub zaprzeczenia. Nadal milczałem.

- Razem z dwoma współpracownikami z pańskiej organizacji

otrzymał pan zadanie ochrony kilku świadków przed tym samym człowiekiem, który jest zamieszany w tę sprawę - Henrym Lovin-  
giem.

Znów zamilkła. Ciekawe, czy Westerfield testuje ją, tak jak ja testuję duBois, Ahmada i innych swoich protegowanych. Łatwo jest zebrać odpowiednie informacje. Trudniej użyć ich przeciwko komuś jako broni i nacisnąć spust.

Teasley najwyraźniej strzelała za wolno. Pałeczkę przejął jej szef.

- Corte, pozwól, że coś ci przeczytam. „Stwierdzono, że agent Corte...

Wydział spraw wewnętrznych Departamentu Sprawiedliwości popełnił ten sam błąd, tytułując mnie agentem. Niewiele osób wie coś więcej o naszej organizacji.

- ...pozostawał w konflikcie interesów, kierując ochroną w sprawie Kowalskiego i naraził na niebezpieczeństwo dwóch świadków pod swoją opieką. Mimo iż zdaniem kilku osób zajmujących się profesjonalnie ochroną osobistą z trzech agencji rządowych standardową procedurą byłoby ukrycie świadków w areszcie federalnym w Providence w Rhode Island, agent Corte postanowił najpierw zatrzymać świadków w motelu, a potem przetransportować do bezpiecznego domu niedaleko Newport w Rhode Island”.

- Znam ten raport - oświadczyłem, hamując ostro, by nie zderzyć się z leniwym jeleniem.

Jak gdyby mnie nie słysząc, czytał dalej.

- „W rezultacie Henry Jonathan Loving, którego wynajęto, aby porwał i wydobyl informacje ze świadków, zranił funkcjonariusza miejscowej policji oraz przypadkową osobę. Niewiele brakowało, by udało mu się porwać co najmniej jednego ze wspomnianych świadków.

W trakcie śledztwa, które miało wyjaśnić sposób wykonania zadania, wyszło na jaw, że Loving to ta sama osoba, która zamordowała zwierzchnika agenta Corte, Abrahama Fallowa, dyrektora...”. Tu wykreślono. „I zarazem jego bliskiego przyjaciela. Zespół śledczy doszedł do wniosku, że agent Corte, powodowany chęcią zemsty, postanowił nie umieszczać chronionych świadków w federalnym zakładzie karnym, lecz pozostawać z nimi w miejscach publicznych, z całą świadomością, że Loving będzie próbował ich porwać”.

„Można uznać, że wykorzystał świadków jako przynętę, żeby

schwytać i zabić Lovinga. Potwierdza to fakt, że świadkowie byli skazanymi przestępcami i w związku z tym agent Corte uważał, że ma większe prawo narazić ich na niebezpieczeństwo”.

„Tylko szczęśliwy przypadek sprawił, że świadkowie przeżyli i proces mógł się rozpocząć w wyznaczonym terminie” - zakończył prokurator.

- Szczęśliwy przypadek - powtórzyłem cicho. W to zupełnie nie wierzyłem.

- Co ty na to?

Ciekawe, co spodziewał się usłyszeć. Nie chciało mi się tłumaczyć, że więzienie w Providence to znacznie groźniejsze miejsce niż najgorsze części miasta, co mówiło samo za siebie. Mój ówczesny protegowany dowiedział się, że Henry Loving ubił interes z co najmniej dwiema osobami siedzącymi w więzieniu. Zgadza się, obiektami byli przestępcy, ale owczarek nigdy nie dokonuje ocen moralnych osób pod swoją opieką. Jedyna cecha obiektu, która się dla nas liczy, to bijące serce. Mamy obowiązek dopilnować, żeby biło dalej.

Jeśli jednak nie usprawiedliwiłem się przed własnym szefem, na pewno nie zamierzałem usprawiedliwiać się przed Westerfieldem i jego młodą zastępczynią.

- Tu mamy to samo, Corte. Motel w Providence i Hillside Inn. Tam bezpieczny dom, tu bezpieczny dom. Z naszej rekonstrukcji zdarzeń wynika, że kiedy w Hillside zjawił się Loving i zaczął was ścigać, mogliście od razu uciec, ale zatrzymaliście się na tyłach motelu. Nawiązaliście z nim walkę, mając w samochodzie Kesslerów.

*Corte, ludzie, którzy się tłumaczą są słabi. Owczarek nie może być słaby. Może się mylić, ale nie może być słaby.*

To oczywiście słowa Abe'a. Zdałem sobie sprawę, że Westerfield musi być zdenerwowany; ani razu w trakcie rozmowy nie wtrącał żadnych francuskich zwrotów. Wyprzedziłem jadącego wolno priusa.

- Tak więc zasadzka pułapka w Rhode Island się nie udała i wczoraj twój szczywany lis pojawił się cały i zdrowy. Znowu ruszyłeś za nim w pogoń, używając Kesslerów. A teraz, jak dowiedziałem się od Aarona, w grę wchodzi wątek terrorystyczny.

- Co takiego?

- Ali Pamuk alias Clarence Brown.

- Nie wykryliśmy żadnych związków z terroryzmem. Jego ojciec

jest Turkiem, a Pamuk przekazywał pieniądze meczetowi tu, w Wirginii. I zmieniał tożsamość. Na razie wiemy tylko tyle. Sprawdzamy.

- Ale niewykluczone, że jakaś komórka terrorystyczna chce porwać Kesslera i sprawdzić, ile wie i kto jeszcze mógł brać udział w śledztwie.

- Mówiłem już, Jason, nie wiemy.

- Słuchaj, Corte, jestem wdzięczny, że wyciągnąłeś Kesslerów z dwóch niewesołych sytuacji. Masz talent... i miałeś szczęście. Nie możemy ryzykować, że za trzecim razem to Loving będzie miał więcej szczęścia.

*Szczęścia...*

- Kessler może być jedynym kluczem do poważnego zagrożenia terrorystycznego. Nie pozwolimy sobie go narażać. Mam zgodę prokuratora generalnego. Chcę, żeby Kessler z żoną i jej siostrą natychmiast znaleźli się w pudle. W zakładzie Hansena, o którym rozmawialiśmy wcześniej. Już się z nimi skontaktowałem.

Wyobraziłem sobie, jak spogląda na Teasley z miną „widzisz, tak się to załatwia”.

- Chcę porozmawiać ze swoim szefem.

- Polecenie wydał prokurator generalny.

Szef wszystkich.

Zauważyłem, że przekraczam dozwoloną prędkość o dwadzieścia na godzinę. Zdjąłem nogę z gazu.

- Gdyby chodziło o jakąś głupią malwersację czy sprawę przestępczości zorganizowanej, nie zależałoby mi tak bardzo - ciągnął rozsądnym tonem Westerfield. - Ale jeżeli w grę wchodzi wątek terrorystyczny, nie możemy się wygłupiać. Trzeba zrobić absolutnie wszystko, żeby zidentyfikować zagrożenie. Nie wolno też dopuścić do efektu bumerangu.

Choć spędziłem dużo czasu w stolicy, nigdy nie potrafiłem się przyzwyczaić do tego języka.

- Mają jak najszybciej trafić do Hansena. Jeżeli chcesz dalej ścigać Lovinga, proszę bardzo. Chcesz tropić dyspozytora, świetnie. Ale moi świadkowie nie będą przynętą w twoich pułapkach.

Jego świadkowie... Sławny bohaterski gliniarz.

- Zaraz wysyłam opancerzoną furgonetkę - ciągnął Westerfield.

- Nie.

- Wystarczy, że zadzwonię do Aarona i dowiem się, gdzie są.

- Aaron nie wie.
- Co?
- Nie powiedziałem mu.

*Zasady poufności...*

- To po prostu... - Westerfieldowi trudno to było pojąć, choć nie byłem pewien dlaczego. Nie przypuszczałem, by ludzie w jego instytucji ujawniali sobie nawzajem wszystko.

- Mam nadzieję, że z tego nie będzie wojny, Corte. *Mon Dieu...* Nikomu nie wyszłoby to na dobre.

Ach, nareszcie francuski.

- Powiem, na co się zgodzę - odezwałem się w końcu. - Zadzwoń do Aarona. Jeżeli potwierdzi, że prokurator generalny polecił umieścić ich w pudle... - zawiesiłem głos - załatwię nasz opancerzony wóz, żeby ich przewieźć do zakładu Hansena. Ale pomyśl tylko... policjant ze stołecznej? Za kratkami? Ryan nie będzie zadowolony. Nie wiem, czy w ogóle będzie miał ochotę współpracować, kiedy ich przeniesiemy.

- O to już ja się będę martwił Corte. Trzeba to załatwić natychmiast. Mogę na ciebie liczyć?

Oznaczało to, że za dziesięć minut zadzwoni do Aarona Ellisa, żeby sprawdzić, czy zrobiłem to, co zapowiedziałem.

- Tak.

- Dzięki. Tak będzie najlepiej dla kraju.

Nie wiedziałem, czy te słowa skierował do mnie, do Teasley czy do niewidzialnej publiczności.

Kiedy się rozłączyłem, odczekałem kilka minut i nie zadając sobie trudu, by zadzwonić do Aarona Ellisa, od razu wstukałem numer Billy'ego, żeby poprosić o opancerzoną furgonetkę.

## Rozdział 23

**W** naszej branży hotele są dobrym miejscem spotkań. Nigdy ich nie zamykają, a nawet jeśli nie jesteś zameldowany, nikt nie zwróci na ciebie uwagi, kiedy siedzisz w holu ubrany w garnitur i udajesz, że patrzysz w komputer, jak gdybyś czekał na umówione spotkanie. Właśnie to robiłem.

Dziesięć po jedenastej w hotelu Hyatt w Tysons zjawiała się Claire duBois. Ubrana w czarny spodniom, ale inny niż wczoraj. Zauważyłem wzorek. Pod żakietem miała cienki bordowy sweterek. Kiedy siadała, poczułem zapach jaśminu. Miała zaczerwienione oczy. Pewnie niewiele spała. Na jej twarzy malował się niepokój i przez chwilę pomyślałem, że mamy na głowie kłopoty. Ale powiedziała tylko ochryplym szeptem:

- Podobno Billy wypisał kwit na bezpieczny transport ze schronu do więzienia w Waszyngtonie. Był bardzo tajemniczy. Wyczułam to. Nieprzenikniony. Nie jestem pewna, co to właściwie znaczy, ale chyba pasuje. Kiedy chciałam do niego podejść, zmienił kierunek.

W ten zawily sposób duBois zadawała bardzo proste pytanie.

- Najpierw chodźmy tam. - Wskazałem drugi koniec holu, wziąłem laptop i podeszliśmy do Starbucksa. To nie była moja ulubiona kawa, ale zawierała kofeinę, a tego mi było trzeba.

Wzięliśmy dwa kubki, a potem duBois poszła po coś do jedzenia.

Wegetariańską tortille. Wróciliśmy na swoje poprzednie miejsca.

Powiedziałem jej o telefonie od Westerfielda, nie wspominając jednak o dochodzeniu w sprawie Rhode Island. Przypuszczałem, że duBois wie o tej sprawie, której szczegóły były publicznie dostępne, o ile ktoś umiał odrobinę głębiej pogrzebać, tak jak zrobiła to Chris Teasley. Nie był to w każdym razie temat, który należało niepotrzebnie

poruszać w rozmowie ze swoją protegowaną czy współpracownikami.

Kiedy powiedziałem, że prokurator generalny zażądał, by przewieźć Kesslerów i Maree do więzienia, duBois spojrzała na mnie z takim zdumieniem, jak gdybym powiedział, że Waszyngton zamierza dokonać secesji.

- Przecież nie może tego zrobić. Pan odpowiada za bezpieczeństwo obiektów.

- Ale on odpowiada za świętość narodu - odparłem. - I za swoją karierę. - Postanowiłem nie komentować jego przekonania o własnej nieomyślności. - W każdym razie to nie jest w tym momencie dla nas najważniejsze. Musimy się dowiedzieć, kto wynajął Lovinga. Mów, co już masz.

- Ciągle pracuję nad poleceniem z pana e-maila. Lokalizatory i policja.

Dostała to zadanie zaledwie pół godziny temu, więc nie byłem zaskoczony ani zaniepokojony, że jeszcze nie ma wyników.

- Tu są te połączenia telefoniczne, o które pan prosił. - Podala mi teczkę. Przeczytałem jej zawartość szybko, ale od początku do końca. Odpowiedź była mniej więcej taka, jak się spodziewałem.

Następnie duBois podała mi drugą teczkę - z materiałami dotyczącymi domniemanej piramidy finansowej. Była pełna papierów i dokumentów. Kiedy uniosłem wzrok, powiedziała:

- Clarence Brown alias Ali Pamuk. - Przerzuciła kartki. - Śledztwo detektywa Kesslera niewiele się posunęło.

- Mówił mi, że był zajęty.

- A nikt w policji ani w komisji papierów wartościowych i giełd nie za bardzo się przejmował.

- Ofiary były biedne, pochodziły z mniejszości.

- W grę wchodziły niewielkie pieniądze. Poza tym w ich obronie nie stanął żaden krzykacz taki jak na przykład Al Sharpton. Pamuk ma biuro w południowo-wschodniej części miasta, ale wynajęte na krótki okres. Wszystkie meble są wypożyczone. Ma sekretarkę i dwóch asystentów. Żadne z nich nie skończyło college'u. To po prostu śmierdzi na odległość. Wydaje się, że doradca inwestycyjny powinien się szarpnąć na coś lepszego. Widziałam kiedyś film „Wszyscy ludzie prezydenta”.

- Była też książka o tym tytule.

- Naprawdę? W każdym razie chodziło...

- Znam tę historię.  
- Żeby sprawdzić, co się dzieje, dziennikarze poszli tropem pieniędzy. Przypomniałam to sobie i zrobiłam tak samo.  
- To dobrze.  
- Znam parę osób w Departamencie Skarbu i Departamencie Stanu - ciągnęła. - I prawnika, który zajmuje się międzynarodowymi umowami bankowymi. - Odnosiłem wrażenie, że zna połowę mieszkańców stolicy poniżej trzydziestki. - Odkąd Szwajcarzy się przestraszyli i zaczęli sypać, po tej aferze z UBS AG sprzed paru lat, zdobycie informacji wcale nie jest takie trudne. Ale system przepływu pieniędzy jest naprawdę mało przejrzysty. - Wyciągnęła z teczki kartkę i pokazała mi skomplikowany schemat opisany jej eleganckim charakterem pisma. - Udało mi się znaleźć kogoś w Interpolu w Europie i w MI6 w Wielkiej Brytanii. Siedzieli w pracy do późna albo przyszli bardzo wcześnie, a może w ogóle nie wychodzili, nie wiem. W skrócie wygląda to tak, że pieniądze inwestorów szły z Waszyngtonu do George Town - właśnie sobie pomyślałam, że to zabawne. Nie do Georgetown, gdzie jeżdżę do sklepu Dean & DeLuca, ale do George Town na Kajmanach. Stamtąd płynęły do Londynu, Marsylii, Genewy i Aten. A potem wie pan dokąd?

Ojciec Pamuka był Turkiem, więc obstawiałem Stambuł lub Ankarę.

Odpowiedź brzmiała jednak znacznie ciekawiej.

- Do Rijadu.

Większość porwaczy samolotów z jedenastego września pochodziła z Arabii Saudyjskiej. Wątek terrorystyczny, o którym wspominał Westerfield - mało prawdopodobny moim zdaniem - zaczynał się stawać coraz bardziej realny.

- Do jakiejś brytyjskiej firmy wydmuszki. Stamtąd pieniądze płyną do następnych spółek na Bliskim Wschodzie, ale - ciekawostka - to nie są firmy bliskowschodnie. Są zarejestrowane w Ameryce, Francji, Austrii, Szwajcarii, Anglii, Chinach, Japonii i Singapurze. Same wydmuszki. Co do jednej. Pieniądze trafiają do nich i znikają.

Pociągnąłem łyk gorzkiej kawy.

- Czyli inwestorzy nie mogą odzyskać swoich pieniędzy - podsumowałem - bo są wykorzystywane do finansowania operacji terrorystycznych Hezbollahu, talibów, Hamasu albo Al-Kaidy.



- Tak przypuszczam.

Sprytny pomysł, wykorzystać piramidę finansową jako źródło dochodu terrorystów. Jeśli to prawda, plan był podwójnie skuteczny. Pieniądze zebrane przez Pamuka finansowały operacje terrorystyczne, ale dodatkowymi ofiarami byli ludzie na Zachodzie, którzy powierzyli mu swoje oszczędności.

- W którym miejscu jesteśmy?

- Saudyjczycy nie są zbyt chętni do współpracy. Nic dziwnego. Departament Stanu, Interpol i lokalni agenci FBI starają się sprawdzić, do kogo konkretnie trafiają te pieniądze.

Sądziłem, że Pamuk może być tylko figurantem, którego wybrano dlatego, że miał układy w okolicy - i sympatyzował z fundamentalizmem. Ciekawe, czy to on wynajął Henry'ego Lovinga, czy może ktoś z Bliskiego Wschodu.

- Wiadomo, kiedy coś ustalą? - spytałem.

- Mają nadzieję, że do jutra.

*Mają nadzieję...*

- A jeżeli chodzi o Grahama...

Skrzywiła się.

- Przepraszam.

*Grozimy. Nie blefujemy.*

Wzruszyłem ramionami. Dostała już lekcję. Pytanie tylko, co zrobić z tą sytuacją.

Dokończywszy kawę, powiedziałem głosem swojego mentora:

- W naszej branży...

- Tak?

- Czasem trzeba robić rzeczy, które wystawiają nas na próbę. Zmuszają do ekstremalnych działań.

Zamilkła. Rzadko jej się to zdarzało. Patrzyła mi jednak w oczy, lekko kiwając głową.

- Właśnie trzeba zrobić coś takiego... Ale to naprawdę wykracza poza obowiązki służbowe. Nie mogę ci wydać takiego polecenia.

DuBois dotknęła zapiętego guzika żakietu - zdawało mi się, że podświadomie. Za paskiem nosiła pistolet podobny do mojego, małego glocka. Widziałem jej wyczyny na naszej strzelnicy. Była niezła i pamiętałem jej skupione spojrzenie za żółtymi szklami gogli i krótkie ciemne włosy zabawnie sterczące zza szerokich nauszników. Z pięćdziesięciu metrów zawsze miała minimalny rozrzut.

Pewnie myślała o prawdopodobnym związku z terroryzmem, prawdopodobnym związku z mafią w New Jersey, może nawet o jakimś spisku w Departamencie Obrony. Czyżby miało dojść do strzelaniny?

Odchrząknęła.

- Wszystko, czego będziesz potrzebował, Corte.

Obrzuciłem ją taksującym spojrzeniem. Nieruchome niebieskie oczy, zaciśnięte usta, spokojny oddech. Uznałem, że jest gotowa na to, co miałem w planach.

- Chodźmy.

## Rozdział 24

### Pan Graham?

Pokazałem legitymację, na którą gospodarz zerknął, jak gdyby cały dzień spodziewał się ją zobaczyć. Prawdopodobnie rzeczywiście się spodziewał.

Krótko ostrzyżony Eric Graham miał około pięćdziesięciu lat; był mocno zbudowany, choć nie otyły. Miał na sobie dżinsy i sweter i nie golił się, odkąd w piątek rano wstał do pracy.

Spojrzał na mnie obojętnie, a na duBois z ledwie skrywaną pogardą.

- Agencje Corte, nie mamy o czym rozmawiać. Skarga została wycofana. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego rząd federalny się tym zajmuje.

- Nie przyszedłem tu w tej sprawie, proszę pana... Pozwoli pan, że wejdziemy najwyżej na dwie minuty? To ważne.

- Nie wiem, po...

- To nie potrwa długo. - Miałem posepną minę.

Wzruszył ramionami i gestem zaprosił nas do środka. Zaprowadził nas do małego pokoju, którego ściany ozdabiała zdjęcia, dyplomy, listy gratulacyjne i pamiątki jego osiągnięć w nauce i sporcie sprzed trzydziestu lat.

- Jak już jej mówiłem - rzekł lodowatym tonem Graham - moja praca ma bardzo poufny charakter. Żałuję, że skradziono te pieniądze, ale ogólnie rzecz biorąc, w interesie bezpieczeństwa narodowego, postanowiłem nie ścigać sprawcy. - Uśmiechnął się kwaśno i nieszczerze. - Zresztą po co obciążać stołeczną policję dodatkową pracą?

Mają ważniejsze sprawy niż gapowaty komputerowiec, który zostawił książeczkę czekową w niewłaściwym miejscu.

Usiedliśmy przy okrągłym stoliku ze szklanym blatem i wnęką pośrodku. Wewnątrz były zdjęcia pokazujące sukcesy sportowe Grahama w college'u - w futbolu i tenisie. Na ścianie wisiały zdjęcia rodziny z wakacji, ze szkolnych występów, świąt. Zauważyłem kilka fotografii syna, przypuszczalnie tego, którego dalsza edukacja stanęła pod znakiem zapytania. Były też córki, także studiujące w college'ach - bliźniaczki. Wiele zdjęć przedstawiało Grahama w towarzystwie jakichś bogatych biznesmenów i paru polityków.

W domu nie było widać ani słycać pozostałych członków rodziny, choć na stole w jadalni dostrzegłem dwa puste kubki po kawie, obok szczątków niedzielnego numeru „Washington Post”, a nastawione na NPR radio grało z taką głośnością, że mogła go słuchać tylko kraina cieni. Z piętra dobiegło mnie skrzypienie. Gdzieś zamknęły się drzwi. Graham ukrył żonę i dzieci przed najazdem grabieżców.

- Przykro mi z powodu detektywa Kellera.

- Kesslera.

- Zadał sobie tyle trudu. Sprawiał wrażenie miłego człowieka, kiedy ze mną rozmawiał. Podobno... - znów z niezmaconym spokojem spiorunował wzrokiem duBois - ...ściga go płatny morderca czy ktoś w tym rodzaju z takiego czy innego powodu.

Ciekawe sformułowanie.

- Przykro mi. Ale moja sytuacja nie ma z tym nic wspólnego. Sądzicie, że złodziej mojej książeczki czekowej chce go zabić? Przecież to nie ma sensu.

Uniosłem ręce.

- Jak już powiedziałem, przyszliśmy do pana w innej sprawie. Chcemy... - urwałem, zerkając na Claire duBois.

Głęboko nabrała powietrza. Spuściła oczy.

- Przyszłam przeprosić, panie Graham.

- Słucham?

- Kiedy mój przełożony - zaczęła, patrząc na mnie - dowiedział się, co powiedziałam i zrobiłam w trakcie naszej rozmowy...

- Rozmowy - powtórzył ironicznie Graham.

- Poinformował mnie, że postąpiłam w sposób nieprofesjonalny.

- Najogólniej mówiąc.

Obserwowałem ich z boku. Bez słowa błądziłem wzrokiem po pokoju.

Graham był wyraźnie zadowolony, że nie bronię swojej współpracownicy. Popatrzył na duBois, która wyjaśniła:

- Mamy program profilujący. Kiedy wprowadziłam szczegóły do komputerów, jako najbardziej prawdopodobną wskazały sytuację, że detektyw Kessler znalazł się w niebezpieczeństwie, bo dowiedział się czegoś na temat fałszerstwa pańskiego czeku. Według przedstawionego scenariusza książeczkę czekową skradł ktoś, przypuszczalnie stanowiący zagrożenie dla bezpieczeństwa, kto wykorzystał pieniądze w sposób, który mógł pana skompromitować. Potem szantażem zmusił pana albo do przekazania tajemnic, albo do sabotowania jakiegoś własnego projektu dla Departamentu Obrony. Rekonstrukcja wydawała się wiarygodna.

- Tyle że nie była - odburknął.

DuBois przytaknęła, tłumacząc się:

- Zajmuję to stanowisko od niedawna. Nie wiem, czy pracował pan kiedyś dla kogoś innego niż rząd federalny.

- Przez pewien czas w sektorze publicznym.

- Ja też - odparła. - Byłam konsultantką do spraw bezpieczeństwa w dużym przedsiębiorstwie informatycznym. Nazwy nie mogę wymienić, ale powiem panu, że mieliśmy poważny problem z piractwem. Gra szła o dziesiątki, a nawet setki milionów dolarów. Zna się pan na komputerach, więc pan wie, co to są kody źródłowe.

- Oczywiście. - Niedostrzegalnie przewrócił oczami.

Słuchałem ich rozmowy, bębniąc palcami w klawisze telefonu.

- Nasz pracownik szantażem został zmuszony do przekazania konkurencji ważnych części kodów źródłowych. Udało mi się go wysledzić. Zauważyłam pewne podobieństwa między jego sytuacją a pańską sprawą. Uznałam, że chodzi o to samo.

- Mówiłem pani, że nie o to chodzi. Naciskała pani dalej.

- Tak, wiem. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to jedyna możliwość.

- Powiedziałbym raczej, że miała pani klapki na oczach.

- Miałam - zgodziła się duBois.

- Czyli poznała pani smak sukcesu w poprzedniej firmie i chciała go sobie pani przypominieć.

- Chciałam... tak, ma pan rację.

- Ambitne z pani stworzenie, prawda?

Milczała.

- Zawsze pracuje pani pełną parą, co?
- To prawda.
- Ale tym razem cała para poszła w gwizdek.
- Zgadza się.
- W gwizdek. - Uraczył ją protekcyjnym uśmiechem. - Dam pani dwie rady. Po pierwsze, a to rada człowieka, który się na tym zna: komputery nie rozwiążą problemu za panią. Wskażą tylko pewien kierunek. Żeby wybrać właściwą drogę, musi pani użyć swojego skromnego umysłu. Skąd weźmie pani odpowiedź?
- Cóż...
- Z doświadczenia życiowego. To najważniejsza rzecz na świecie. Nie da się go zawekować. Nie można go kupić.
- Oczywiście. A druga rada?
- Odnosić się do ludzi z należnym szacunkiem. Jest pani młoda, ma pani ikrę. Ale szybciej zajdzie pani dalej, jeżeli będzie pani wiedziała, na czym pani stoi.
- To prawda. Czasami nie bardzo wiem, na czym stoję. Zerknąłem na Grahama.
- Możemy zrobić coś jeszcze?
- Ta młoda dama i ja doszliśmy do porozumienia. Nie sądzę, żeby sprawa musiała mieć ciąg dalszy.
- To miło z pańskiej strony.
- Niech pani trzyma swój temperamencik na wodzy - poradził mojej protegowanej.

W trwającej ułamek sekundy ciszy duBois wolno skinęła głową. Na policzki wypełzł jej rumieniec.

- To samo powiedział mi kiedyś nauczyciel w siódmej klasie. Ale oczywiście...
- Dziękujemy, że poświęcił nam pan swój czas, panie Graham - przerwałem szybko. - I dziękujemy za wyrozumiałość. Nie będziemy dłużej nadużywać pańskiej cierpliwości.

Wyszliśmy z domu, a potem wsiedliśmy do hondy. Kiedy ruszaliśmy, patrząc, jak Eric Graham z zadowoloną miną zamyka drzwi, powiedziałem do duBois:

- To się bardzo przyda.

Był to mój największy komplement. Dziś jednak najwyraźniej nie chwycił.

Ponuro skinęła głową.

- Wiem, że nie było łatwo.

- Owszem.

Krótką odpowiedź była sygnałem, że duBois jest bardzo zdenerwowana. Nie mogłem się dziwić. Pewnie wolałaby dynamiczne wejście czteroosobowego zespołu szturmowego do kryjówki uzbrojonego przeciwnika niż upokorzenie, jakie ją przed chwilą spotkało.

Musiałem ją jednak o to poprosić. Nie istniał żaden logiczny powód, dla którego Graham mógł złożyć wniosek o wycofanie zarzutów, a fakt, że „ktoś wpływowy” zwrócił się do policji stołecznej, by umorzyła śledztwo, tym bardziej sugerował, że to bardzo prawdopodobny motyw operacji przeciwko Ryanowi Kesslerowi. Musiałem zrobić wszystko, żeby się dowiedzieć, co się dzieje z Grahamem, nawet gdyby ucierpieć miała moja protegowana.

*Musi pani użyć swojego skromnego umysłu...*

Dla Claire duBois konieczność płaszczenia się przed aroganckim szowinistą takim jak Graham była boleśnie trudna, zwłaszcza że jej gwiazda błyszczała tysiąc razy jaśniej niż jego. Ale przypomniałem sobie, co mówił mi Abe Fallow.

*Pilnowanie ludzi to praca jak każda inna. Stawiasz sobie pytanie: jaki jest mój cel i jakim najskuteczniejszym sposobem mogę go osiągnąć. Jeżeli musisz błagać, błagasz. Jeżeli trzeba się poniżyć, poniżasz się. Jeżeli masz rozbijać łby, wyjmujesz kastet. Płacz, jeśli trzeba. Owczarek nie istnieje poza kontekstem swojej misji.*

Tak więc musiałem wprowadzić do gry duBois - żeby błagała o wybaczenie - a sam udawałem, że piszę SMS-a. Kiedy duBois mówiła Grahamowi o naszej hipotezie z szantażem, obserwowałem jego reakcję. Zwróciłem uwagę na jego nawyki, wyraz oczu, mowę ciała i słowa. Rozglądałem się też po pokoju, szukając wskazówek.

I sądziłem, że chyba je znalazłem.

Wyciągnąłem z kieszeni kamerę w kształcie długopisu i podałem duBois.

- Mam tu kilkanaście zdjęć ludzi na ścianie u Grahama. Wrzuć je na nasz serwer. Każdą osobę trzeba sprawdzić systemem rozpoznawania twarzy. Potem niech ORK przeanalizuje wszystkie dane razem z faktami sprawy.

Był to komputer, o którym wspomniała duBois w swojej brawurowej samokrytyce wobec Grahama. Oficjalna nazwa znakomitego

programu działającego na jednym z pojemnych serwerów naszego czarodzieja technicznego Hermesa brzmiała System Oceny Regularności i Korelacji Elementów Niepowiązanych. Zwykle jednak skracałiśmy ją do Ocenacza Regularności i Korelacji, posługując się na co dzień skrótem oznaczającym żołnierza sił zła z trylogii Tolkiena. To ja wpadłem na tę myśl po maratonie „Władcy Pierścieni”, bardzo dobrej gry planszowej.

Algorytm ORK-a był zgrabnie napisany - sposób jego działania radował moją duszę matematyka - i jeżeli da się znaleźć jakikolwiek związek między zebranymi przeze mnie dowodami, ORK mógł tego dokonać.

DuBois wzięła długopis, podłączyła kabel USB i wysłała wideo do stratosfery. Patrzyła w okno. Zastanawiałem się, jak długo będzie nieobecna.

Zastanawiałem się też, czy to zdarzenie trwale zmieniło coś między nami.

Kiedy w milczeniu wracaliśmy do Hyatta po jej samochód, usłyszałem dzwonek swojego telefonu. DuBois wciąż trzymała go w ręku. Wyciągnęła do mnie komórkę, mówiąc:

- Przyszedł SMS.
- Przeczytaj mi.
- Od naszego transportu.
- No?

Westchnęła.

- Piętnaście minut temu ze schronu wyjechał zamówiony wóz opancerzony. Jedzie w kierunku więzienia.



## Rozdział 25

Kiedy dotarłem do schronu w Great Falls, niebo coraz bardziej zasnuwało się chmurami.

Wysiadłem i przeciągnąłem się na wietrze, który niósł tuman ze schłych liści.

Rustykalny krajobraz wyglądał naprawdę swojsko - drzewa, krzewy, rozległe zbocza wszędobylskiej trawy. Początki dorosłego życia spędziłem przykuty do sal wykładowych, a zawód i życie osobiste kazały mi siedzieć w biurze i schronach, zawsze jednak starałem się znaleźć sposób, by wyrwać się w plener, czasem na wiele godzin czy dni.

Spojrzałem tęsknie na ścieżki prowadzące do Potomaku i w głąb leśnych gęstw, po czym odwróciłem wzrok, by spojrzeć na następną SMS od Billy'ego z meldunkiem z trasy opancerzonej furgonetki zmierzającej do więzienia w Waszyngtonie. Ciekawe, czy Jason Westerfield i jego koleżanka będą na miejscu, aby ją powitać. Oczywiście, że będą, pomyślałem.

Wszedłem po schodach, wstukałem kod. Drzwi schronu się uchyliły.

Skinieniem głowy przywitałem Maree i Joanne, siedzące naprzeciw siebie przy rozchwanym stole, na którym stały herbata i ciastka. Nie miałem najmniejszego zamiaru posyłać Kesslerów do pudła, zwłaszcza do średnio strzeżonego zakładu w stolicy. Nic się nie zmieniło od poprzedniego razu, kiedy sprzeciwiłem się ich zamknięciu, a jeśli Westerfield był przekonany, że używam obiektów jako przynętę, to był jego problem, nie mój. Furgonetka jechała pusta. Poleciałem Billy'emu wysłać wóz okrężną (i bardzo długą) drogą z zupełnie innego schronu - tylko po to, żeby Westerfield na dłużej się ode mnie odczepił.

Wiedziałem, że jeśli zrobi się z tego większa afera. Aaron Ellis może mnie zwolnić. Nie mógłby mnie jednak zwolnić, dopóki nie wykonam zadania. Przede wszystkim nie wiedział, gdzie jestem, a odnalezienie mnie kosztowałoby go nieco zachodu. Ryzykowałby też, że ktoś z zewnątrz mógłby poznać miejsce pobytu Kesslerów. Tego by nie zrobił.

Z rozbawieniem zauważyłem, że siostry grają w jedną z gier planszowych z regału w salonie - w tryktraka. Gra, w której po rzucie kostką gracz porusza pionkami, starając się je wszystkie usunąć z planszy, ma niemal pięć tysięcy lat. Jej wersja cieszyła się popularnością w Mezopotamii, a „gra dwunastu linii” w starożytnym Rzymie była niemal identyczna z dzisiejszą wersją tryktraka.

Zostawiwszy siostry pochłonięte rozgrywką, przywitałem Ahmada, który stał przy tylnych drzwiach i wyglądał na zewnątrz. Zapewnił mnie, że wszędzie panował spokój. Zadzwoiłem do telewidza w Wirginii Zachodniej, który zameldował, że nie było żadnych oznak obserwacji naszego domu z zewnątrz.

Jelenie, borsuki oraz inne zwierzęta też nie zachowywały się podejrzanie.

Ahmad stał w pozie, którą mógłbym określić jako wyczekującą - z ramionami pod innym kątem niż biodra. Czujnie spoglądał przez okna, bo takie miał zadanie, ale równocześnie unikał mojego wzroku.

- Podobno zamówił pan transport do zakładu karnego Hansena - powiedział.

- Zgadza się.

Kiwał głową wyraźnie zdezorientowany i trudno było mu się dziwić; ludzie, którzy mieli podróżować furgonetką, przebywali w odległości nie większej niż dziesięć metrów od niego.

- Wóz powinien tu być lada chwila.

- Ktoś dzwonił do ciebie w tej sprawie? - spytałem.

- Przechwyciliśmy komunikat.

Poinformowałem go o swoim fortelu.

- Nie będziesz miał przez to kłopotów. Możesz się usprawiedliwić niewiedzą.

Młody funkcjonariusz z zacięciem skinął głową, ale nie powiedział nic więcej. Tak jak Abe Fallow zawsze pamiętam o obowiązku przekazywania swoim podopiecznym wszelkich wiadomości o

naszej branży - nauki jest mnóstwo. Postanowiłem jednak nie objaśniać szczegółowo tej sytuacji, mając nadzieję, że sam nigdy nie znajdzie się w podobnej.

Powiedział tylko:

- To była dobra decyzja. W tym momencie więzienie raczej by się nie sprawdziło.

- Gdzie Ryan?

- Pracuje w swoim pokoju. Chyba nad tym planem budżetowym.

Uświadomiłem sobie, że na parterze roznosi się nowy zapach, przyjemny, prawdopodobnie szamponu lub perfum.

Kolejny raz, jak w setkach schronów, w których ukrywałem swoje obiekty, zaskoczyła mnie domowa atmosfera. Zawsze porażał mnie kontrast: przytulność i prozaiczna codzienność, a z drugiej strony przyczyna, dla której ci ludzie się tu znaleźli.

Jak to się czasami zdarzało, domowe ciepło wprawiło mnie w nieco sentymentalny nastrój. Znow powróciły wspomnienia, choć tym razem nie odgoniłem ich tak pośpiesznie jak poprzednio. Przypomniałem sobie zeszły piątek, gdy po pracy siedziałem sam w domu, jedząc na kolację kanapkę przed wyjściem do klubu gier na sąsiedniej ulicy. Znalazłem listę rzeczy do zrobienia na przyjęcie, które urządziliśmy z Peggy przed wielu laty. Wpatrywałem się w kartkę, zupełnie straciwszy apetyt. Zdałem sobie sprawę z otaczającego mnie zapachu - kartonu, papieru i tuszu mnóstwa pudełek z grammi ustawionych na regałach. Dom wydał mi się przeraźliwie sterylny. Przyszło mi do głowy, że powinienem kupić jakieś kadzidelka albo jak ludzie sprzedający dom, ugotować cynamon na kuchence.

Albo upiec ciastka. Coś domowego.

Akurat.

Siostry zakończyły grę i Joanne wróciła do swojego pokoju. Maree uśmiechnęła się do mnie i włączyła swój komputer.

- Kto wygrał? - zapytałem.

- Jo. Na nią nie ma mocnych. W żadnej grze. To nie do zniesienia.

Pracując w statystyce, Joanne musiała mieć matematyczny talent, co oznaczało talent do gier - w każdym razie do gier pewnego rodzaju, w których przypadek odgrywał minimalną rolę. Zdolności arytmetyczne i analityczny umysł pomagały mi grać.

W tryktraku, w którego akurat gram całkiem nieźle, ogólna strategia polega na grze błyskawicznej, czyli szybkim, ofensywnym

przesuwaniu pionów po planszy. Jeśli nie daje rezultatów, gracze starają się zamknąć linie po stronie przeciwnika. Choć mniej skomplikowana niż szachy, to dość wyrafinowana gra. Chciałbym zobaczyć, jak Joanne sobie radzi, ale moje zaciekawienie było czysto teoretyczne. W ciągu lat pełnienia obowiązków owczarka nigdy nie grałem z żadnym obiektem, mimo że czasem mnie korciło.

Maree wskazała laptop.

- Powiedz mi, co o tym sądzisz?

- O czym? - spytałem.

- Chodź tu, panie przewodniku. Rzuć okiem.

Skinęła na mnie i wstukała parę poleceń. Na ekranie wyświetliło się logo GSI, Global Software Innovations. Słyszałem o tej firmie, ale nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Po chwili program się załadował. Wyglądał na narzędzie do edycji i archiwizacji zdjęć: otworzyły się foldery z fotografiami Maree.

Jej palce zastygły nad klawiaturą. Z początku pomyślałem, że nie za dobrze radzi sobie z programem, okazało się jednak, że waha się z innego powodu. Z wyrazem melancholii w oczach powiedziała:

- Dostałam ten program od Amandy. Fajnie było razem go instalować... Współczuję jej. Pewnie jest przerażona całą sytuacją.

Spojrzałem w oczy młodej kobiety, utkwione obojętnie w logo na ekranie.

- Jest silniejsza od wielu moich dorosłych podopiecznych. Nic jej nie będzie. - Nie mówiłem tego tylko po to, by ją pocieszyć; mówiłem prawdę.

Maree cicho odetchnęła.

- Jo uważa, że jest silniejsza ode mnie. - Przelotnie popatrzyła mi w twarz. - Z zasady nie zgadzam się ze swoją siostrą, ale tu ma rację.

Po chwili, jak gdyby odrzucając poważne myśli - co sam starałem się robić przez cały dzień - skoncentrowała się na programie do obróbki zdjęć. Po chwili na ekranie wyświetliły się obok siebie dwie fotografie.

- Nie umiem się zdecydować, która lepsza. - Uniosła wzrok, po czym zaśmiała się i poklepała krzesło obok siebie. - Śmiało. Nie gryzę.

Po chwili wahania usiadłem. Zorientowałem się, bez zdziwienia, że to ona, nie Joanne, jest źródłem przyjemnego zapachu. I tak jak wczoraj zauważyłem, że jest starannie umalowana. Miała na sobie

świeże, odprasowane rzeczy: zwiewną spódnicę i jedwabną kasztanową bluzkę. Dziwna rzecz. Obiekty zwykle nie zwracały uwagi na tak elementarne rzeczy, gdy ich życiu groziło niebezpieczeństwo, ale jeśli Maree rzeczywiście była lekkomyślną artystką, na jaką pozowała, mógłbym pomyśleć, że nie dba przesadnie o wygląd. Albo że lubi nosić swetry z džinsami.

Pochyliła się w moją stronę. Poczułem, jak jej ramię dotyka mojego i owionęła mnie słodka woń. Chyba nieznacznie się odsunąłem, bo znów parsknęła śmiechem.

Trochę mnie to rozdrażniło, ale spełniając jej prośbę, spojrzałem na ekran komputera.

- Pamiętasz tę wystawę w galerii, o której wspominałam? Chcę tam umieścić jedno z tych zdjęć. Muszę je wysłać do wtorku. Jak myślisz?

- Myślę... właściwie o co mnie pytasz? Które bardziej mi się podoba?

Moim zdaniem fotografie wyglądały identycznie, choć jedna była bardziej przycięta. Przedstawiały dwóch ponurych mężczyzn w garniturach, biznesmenów czy polityków, pochłoniętych zażartą dyskusją w cieniu rządowego budynku w centrum Waszyngtonu.

- Kto to jest?

- Nie wiem. Nieważne. W zeszłym tygodniu szłam ulicą niedaleko budynku Departamentu Skarbu i ich zobaczyłam. Wyglądają na wpływowych i bogatych. Ale czy w jakiś sposób nie przypominają małych chłopców? Na szkolnym boisku? Gdyby byli czterdzieści lat młodszy, zaczęliby się popychać.

Z początku tego nie dostrzegłem, ale tak, miała rację.

- Chodzi o motyw konfliktu - wyjaśniła.

- Nie widzę wielkiej różnicy.

- Zdjęcie po lewej jest ciaśniej skadrowane. Ci ludzie są na pierwszym planie, ale brakuje perspektywy, poczucia kompozycji. To po prawej jest lepsze stylistycznie. Widać większą część budynku. Widać słońce, to pasmo światła wcinające się w schody między nimi. Estetycznie jest lepsze... No i co powiesz?

- Które mi się bardziej podoba?

- Tak właśnie brzmi pytanie, panie przewodniku.

Nagle poczułem zakłopotanie, jak gdyby egzaminowano mnie z tematu, do którego się nie przygotowałem. Naprawdę nie wiedziałem,

które mi się bardziej podoba. Regularnie oglądałem tylko fotografie z obserwacji i miejsc zdarzenia. Ich estetyka w ogóle się nie liczyła.

Wreszcie wskazałem zdjęcie po lewej.

- To.

- Dlaczego?

Nie wiedziałem, że będę musiał się tłumaczyć.

- Nie wiem. Po prostu wolę to.

- Mm, więcej zaangażowania.

- Naprawdę nie wiem. Obydwa są ładne. - Spojrzałem w głąb korytarza. - Muszę porozmawiać z twoim szwagrem.

- Daj spokój, Corte, co ci szkodzi? Popsułeś mi weekend i nie chcesz mi nawet zafundować masażu. Jesteś moim dłużnikiem.

Znów tłumiąc w sobie złość, przyjrzałem się zdjęciom. Nagle coś mi przyszło na myśl.

- Musisz sobie odpowiedzieć, jaki masz cel. Powiedziałaś, że chcesz pokazać konflikt. Zdjęcie po lewej robi to lepiej. Bardziej się na nim koncentruje.

- Mimo że jest słabsze artystycznie.

- Nie jestem pewien, co to znaczy, ale tak.

Uniosła rękę, żeby przybić ze mną piątkę. Niechętnie wyciągnąłem dłoń.

- Właśnie tak myślałam.

Przesunęła palcem po panelu dotykowym. Program GSI błyskawicznie zmniejszył fotografie do miniatur i Maree przeniosła je z powrotem do folderu. Później uruchomiła pokaz slajdów i zdjęcia zaczęły się ukazywać po kolei, po paru chwilach rozplywając się w czerni i ustępując miejsca następnym.

Nie mam żadnego zmysłu artystycznego, ale potrafię coś docenić, jeżeli jest dobrze zrobione pod względem technicznym. Wszystkie fotografie były ostre i dobrze skomponowane. Najbardziej podobała mi się jednak treść. Gdyby to była martwa natura czy abstrakcje, nie wzbudziłyby mojego zaciekawienia, lecz Maree specjalizowała się w portretach i chyba udawało się jej doskonale oddać charakter fotografowanych postaci, choć przypuszczałem, że skoro używa cyfrowego aparatu, pewnie wybiera jedno dobre zdjęcie na sto nieudanych. W trakcie pokazu zorientowałem się, który przycisk do czego służy i zatrzymałem kilka na ekranie. Maree za każdym razem pochyliła się nad nim.

Robotnicy, matki i dzieci, biznesmeni, rodzice, policjanci, sportowcy. .. Nie było motywu przewodniego, ale Maree u każdej osoby uchwyciła jakieś uczucie. Złość, miłość, frustrację, dumę.

- Dobrze. Masz talent.

- Jeżeli powtarza się coś wiele razy, czasem uda się zgrabnie pstryknąć parę facjat. Słuchaj, chcesz zobaczyć, kogo pilnujesz?

Zmarszczyłem brwi.

Znów postukała w klawiaturę i otworzył się inny folder. Dopiero po kilku chwilach zrozumiałem, co miała na myśli - i co oglądam. Albumy rodzinne Maree, Joanne i chyba ich rodziców oraz innych krewnych. Maree przedstawiała każdego, dodając stosowne informacje.

Usłyszałem głos Abe'a.

*Dowiedz się o nich tylko tego, co niezbędne, żeby utrzymać ich przy życiu. Nie używaj ich imion, nie oglądaj zdjęć ich dzieci, nie pytaj, czy nic im się nie stało, chyba że jesteście pod ostrzałem i musisz wezwać pomoc medyczną...*

- Naprawdę muszę porozmawiać z Ryanem - powiedziałem.

- Nie bój się paru rodzinnych fotek, Corte. Zresztą nawet nie twojej rodziny. To raczej ja powinnam się bać.

Ukazała się fotografia szczupłego, krótko ostrzyżonego mężczyzny w płóciennych spodniach i koszuli z krótkim rękawem. Maree wciśnęła przycisk PAUZA.

- Pułkownik. Nasz ojciec... ludzie nazywali go „Pułkownikiem” przez duże P. Właściwie podpułkownik, raczej chuda ryba niż gruba.

Mimo to człowiek na zdjęciu niewątpliwie budził podziw. Maree zniżyła głos.

- Nie mów Freudowi, ale Jo myślała, że za niego wyjdzie. Zamiast niego trafił się jej Ryan. Tato był zawodowym żołnierzem, silnym, małomównym, oschłym, nigdy się nie śmiał... Ha, zupełnie jak ty, Corte... Słuchaj, przecież ja cię podrywam.

Ignorując jej komentarz, oglądałem kolejne zdjęcia. Wiele z nich przedstawiało samą Maree i Joanne z ojcem.

- Jo była jego oczkiem w głowie. Doskonała sportswomenka, doskonała uczennica. Trzeba przyznać, że trochę nudziara... Tato woził ją na mecze piłki nożnej i zawody lekkoatletyczne. Mnie też próbował wciągnąć, nie twierdzą, że nie. Ale nie miałam za grosz zdolności

sportowych. Kompletna łamaga... Tato nigdy mi tego nie wytykał. Nie mówił: „Patrz, jaką masz fantastyczną siostrę”, nic z tych rzeczy. Ale to się po prostu czuło. No i poszłam w drugą stronę. Zostałam tą zbuntowaną. I nieodpowiedzialną. Rzuciłam szkołę. Kiedy miałam siedemnaście czy osiemnaście lat, raz, nie, dwa razy, zatrzymali mnie za jazdę po pijanemu. Prochy, jakaś kradzież w sklepie.

Dzięki chłopakom, przypomniałem sobie, ale się nie odezwałem.

- Miałam wszystko gdzieś. Potem ledwie przebrnęłam przez college. .. Jo skończyła jako druga czy trzecia na roku. Studiowała politologię, mało brakowało, żeby wstąpiła do wojska jak ojciec, ale wybił jej to z głowy. Chyba byłaby niezła. Jako instruktor musztry. Masz rodzeństwo, Corte?

- Nie.

- I nie masz dzieci. Szczęściarz.

Na jednym zdjęciu Jo była wyraźnie wychudzona i wymizerowana.

- Chorowała?

- Wypadek samochodowy.

Przypomniałem sobie ten fakt z biogramu przygotowanego przez duBois.

Maree obejrzała się przez ramię.

- Paskudny. Straciła panowanie na oblodzonej jezdni. Przeszła skomplikowaną operację. Przez to nie może mieć dzieci, ale nigdy o tym nie rozmawiamy.

A więc miałem odpowiedź. Uświadomiłem sobie jeszcze jedną pozytywną cechę bohaterskiego policjanta - nie tylko ocalił jej życie ale w pakiecie dał jej rodzinę.

Ekran wyświetlał kolejne zdjęcia. Były wśród nich zeskanowane sepiove fotografie sprzed stu lat, były młodsze, czarno-białe, inne o przesyconych barwach z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

I dużo najnowszych, już cyfrowych.

Wreszcie uznałem, że wystarczy tego pokazu.

- Naprawdę lepiej będzie, jak pójdę zająć się paroma rzeczami - powiedziałem jej.

- Nie ma sprawy.

- Dobre zdjęcia.

- Dziękuję - powiedziała oficjalnie, jak gdyby przedrzeźniając mój ton.



*Panie przewodniku...*

Idąc korytarzem, by znaleźć Ryana i przekazać mu, czego duBois dowiedziała się o prowadzonych przez niego sprawach, usłyszałem sygnał SMS-a. Przypuszczałem, że to wiadomość od Westerfielda albo Ellisa - nie chcieli ryzykować telefonu, by nie usłyszeć tchórzowskiej poczty głosowej. Patrząc na wyświetlacz, zobaczyłem jednak, że napisała duBois. Ucieszyłem się, myśląc, że może zakończyła śledztwo w sprawie mojej szpiegowskiej operacji u Grahama. Albo że odzyskała humor i wybaczyła mi ciężką próbę, jaką musiała u niego przejść.

Krótką wiadomość dotyczyła jednak czegoś zupełnie innego.

*Jest problem... Hermes ma bota. który sprawdza strony w sieci itd. Jest trafienie. Post sprzed piętnastu minut. Adres strony...*

Wbiegłem do pokoju, odblokowałem komputer i wpisałem przesłany adres.

Był to blog autorki używającej nicka SassyCat222. Spodziewałem się czegoś na temat Clarence'a Browna - czy raczej Alego Pamuka - lub Erica Grahama albo nawet samego Ryana Kesslera: informacji, którą mógłby wykorzystać Loving. Szybko przejrzałem wpisy. Nie różniły się od treści innych blogów i zawierały dużo informacji o codziennych sprawach, które nikogo właściwie nie interesowały.

Były wpisy zabawne - o sobotnim wieczorze spędzonym w galerii handlowej, gdy nie doszła do skutku randka, oraz recenzja z bardzo słabego koncertu rockowego - były też przygnębiające, na przykład post o przepełnionych klasach w szkole, apel o kampanię informacyjną na temat AIDS i seria wpisów o samobójstwie pewnej nastolatki, którą blogerka poznała dzięki ochotniczej pracy w programie zapobiegania autoagresji w swojej szkole.

Czytając ostatni wpis, struchlałem. Ze zgrozą chwyciłem telefon i zadzwoniłem.

- DuBois.

- SassyCat... to Amanda Kessler, prawda? - spytałem. Pamiętałem, że jako wolontariuszka pracuje w szkolnym programie pomocy.

- Zgadza się. To ona.

Dziewczyna prawdopodobnie przypuszczała, że bezpiecznie będzie pisać na komputerze koleżanki i pod internetowym pseudonimem.

- Hermes twierdzi, że wpis wyszedł mniej więcej pół godziny temu z widocznego jak na dłoni adresu IP. Wystarczyły mu dwie minuty, żeby namierzyć prywatny dom w okręgu Loudoun. Niedaleko promu White'a.

- Dom Billa Cartera?

- Po sąsiedzku.

Jeżeli mieliśmy bota, Loving miał swojego. Mógł sprawdzić dane właścicieli wszystkich nieruchomości w okolicy i znaleźć nazwisko Cartera. Mógł się dowiedzieć, że Carter mieszka zaledwie pięć minut drogi od domu Kesslerów w Fairfaksie. Domyśliłby się, że ukryliśmy tam dziewczynę.

Głosowy identyfikator zawiadomił mnie o oczekującym połączeniu. Podał numer Westerfielda. Prokurator zapewne właśnie się dowiedział, że opancerzony wóz jest pusty. Po chwili znów usłyszałem sygnał - telefon pozwalał na przyjmowanie czterech połączeń równocześnie. To był numer mojego szefa.

Nie odebrałem ani jednego, ani drugiego.

- Sam pojedę do Cartera - poinformowałem duBois. - To niecałe Pół godziny drogi stąd. Dzwoń do Freddy'ego, niech sprowadzi tam jakiś oddział specjalny. Znasz adres?

- Znam.

Rozłączyłem wszystkie połączenia i schowałem telefon. Przekazałem niezbędne instrukcje Ahmadowi, po czym wrzuciłem do torby na ramię laptop i dodatkową amunicję. Wybiegłem z domu bocznymi drzwiami, wciskając przycisk szybkiego wybierania z numerem Billa Cartera. Wskoczyłem do hondy i pędem ruszyłem podjazdem, a po trzech dzwonek usłyszałem pocztę głosową.

## Rozdział 26

Odbierz... błagam, odbierz.

Może Carter już nie żył, a dziewczyna była w rękach Lovinga?

Teraz Loving powinien zadzwonić z zimnego telefonu do FBI i poprosić o połączenie z Ryanem Kesslerem, żeby go zawiadomić, że porwał jego córkę i zażądać informacji, których dotyczyło zlecenie.

Po tym telefonie spadnie na mnie konieczność podjęcia decyzji, by skontaktować Lovinga z Kesslerem i spróbować wynegocjować uwolnienie córki.

Albo i nie. Wtedy podpiszę wyrok śmierci Amandy.

Wcisnąłem ponownie wybieranie ostatniego numeru.

*Klik.* Usłyszałem elektroniczny głos:

- Proszę zostawić wiadomość.

*Nie...*

Rozłączyłem się, zwiększając obroty prychającego silnika i rozpędzając wóz do stu piętnastu na godzinę, bo szybciej nie dało sięjechać drogą numer 7 i wiejskimi drogami biegnącymi równoległe do Potomaku. Było ładne niedzielne popołudnie, minęła trzecia, i musiałem się przeciskać w potoku aut golfistów, turystów i ludzi wracających z późnego lunchu. Poprosiłem policję okręgową Loudoun i Fairfaksu o umożliwienie przejazdu, choć wołałem tego nie robić, ponieważ każdy, kto chciałby sprawdzić system albo się do niego włamać, zidentyfikowałby moją hondę, nie mogłem sobie jednak pozwolić na to, by coś mnie powstrzymało.

Spróbowałem zadzwonić jeszcze raz.

Jeden dzwonek, drugi...

Wreszcie głos Billa Cartera:

- Halo?

Odetchnąłem z ulgą.

- Tu Corte. Jedzie do was Loving.

- Rozumiem - odrzekł krótko, w stanie najwyższego pogotowia. -  
Co mam robić?

- Po pierwsze, ma pan przy sobie broń?

- Swojego starego smittie, trzydziestkęósemkę. Tak. A nad kominkiem strzelbę kaliber dwanaście.

- Proszę ją zdjąć. Dubeltówka, pompa, automat?

- Dubeltówka bock.

Będzie musiała wystarczyć.

- Niech pan ją naładuje i weźmie do kieszeni zapasową amunicję-

- Potrzebuję ręk. Na chwilę odkładam słuchawkę. - Głuchoszczękął metal. - Już.

- Gdzie Amanda?

- Przygotowuje sprzęt. Za pół godziny mieliśmy iść na ryby.

- Musicie opuścić dom.

- Będzie niepokieszona - rzekł Carter.

- To będzie, trudno.

- Jak to się stało?

- Wysłała wpis na bloga z komputera koleżanki.

- Niech to szlag. Byliśmy u nich na lunchu. Dziewczyny na jakiś czas zniknęły. Powiniennem się domyślić.

Usłyszałem kroki, a potem jego głos mówiący do Amandy, że jest pewien problem i natychmiast wychodzą z domu.

- To twoja strzelba - powiedziała. - Po co ją wzięłeś, wujku? ... -  
Głos zamarł. Carter przemawiał do niej uspokajającym tonem; nie było żadnych wzajemnych oskarżeń. Dobrze. Nie było teraz na to czasu.

- Dobrze, Corte, co dalej?

Spoglądając jednym okiem w ekran laptopa, a drugim na drogę, wyjaśniłem:

- Mam zdjęcie satelitarne pańskiej posesji z Earthwatch. Nie jest zbyt wyraźne, ale widzę drogę, z którą łączy się podjazd. Tylko wtedy można dojechać do domu, tak?

- Jeżeli nie liczyć jeziora.

- Widział pan na drodze jakieś samochody?

- Mandy, wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze...

Słucham, samochody? Właśnie sprawdzałem, czy w śmieciach nie buszują szopy i widziałem jakiś wóz.

- To coś niecodziennego?

- Okolica jest raczej pustawa, ale czasem pojawia się jakiś kierowca. Nie zwolnił, więc przestałem o tym myśleć.

- Jak wyglądał samochód?

- Prawdę mówiąc, bardziej go słyszałem niż widziałem. Dokąd mamy iść?

- Niech pan nie prowadzi. Niech pan się w ogóle nie zbliża do samochodu. Znajdźcie jakieś miejsce, z którego będzie widać nadchodzącego człowieka i gdzie będziecie dobrze zasłonięci. - Zaryzykowałem jeszcze jedno spojrzenie na zdjęcie satelitarne. - Chyba widzę niewielką polankę w... północno-wschodniej części posesji, niedaleko drogi.

- Tak, to mała łączka. Po drugiej stronie rosną drzewa. Pójdziemy tam. Łąka leży trochę wyżej.

- To dobrze. Macie jakieś stroje maskujące?

- Kurtki wędkarskie. Ciemnozielone.

- Wystarczy. I proszę przełączyć telefon na wibrację.

Rozległ się brzęk i odgłos zasuwanym zamków.

- Jak wyglądam, wujku?

- Dobrze.

Dziewczyna najwyraźniej nie panikowała. Ucieszyłem się.

- Loving jest uzbrojony - ciągnąłem - i ma współnika, też uzbrojonego. Wspólnik ma rudoblonde włosy, może mieć zieloną kurtkę. Szczupły. Ale proszę nikomu nie ufać. No dobrze, ruszajcie. Będę za kwadrans. Oddział FBI też jest w drodze.

- Co z sąsiadami?

- Loving już wie, gdzie pan mieszka. Nie będzie się nimi przejmował. Idźcie na łąkę. Teraz się rozłączę. Musi się pan skoncentrować.

Ja też musiałem. Skupiłem się na prowadzeniu samochodu, myśląc, że jeśli Loving rzeczywiście znalazł blog Amandy, będzie szczęśliwy, mogąc odkryć miejsce jej pobytu. Nie było lepszego haka niż porwanie dziecka obiektu.

## Rozdział 27

**T**rzydzieści trzy minuty po opuszczeniu schronu zatrzymałem hondę przy kępie krzewów przed posesją Cartera nad brzegiem jeziora i wysiadłem. Włączyłem cichy alarm.

Z torby z ekwipunkiem wyciągnąłem oliwkowozielony kombinezon - jeden z dwóch; drugi był czarny - i nałożyłem go. Zarzuciłem torbę na ramię i szybkim krokiem poszedłem drogą, badawczo oglądając ziemię. Widziałem dowody wskazujące na to, że niedawno zatrzymał się tu samochód, a potem ruszył dalej. Ślady stóp na miękkiej ziemi kierowały się w stronę, gdzie jak już wiedziałem, stał dom - około trzystu metrów w głąb lasu.

Musiałem zakładać, że jest tu Loving.

Badając teren, ustaliłem najbardziej logiczną trasę, jaką mógł wybrać. Przeskoczyłem niski kamienny murek, który miał odstraszać tylko najgłupsze albo najbardziej nerwowe zwierzęta i szybko podążyłem śladem Lovinga, niewidocznym dla większości ludzi, ale wyraźnym dla mnie - dzięki mojemu długoletniemu hobby.

W wieku dwudziestu kilku lat byłem w Austin w Teksasie, kończąc jeszcze jeden kierunek studiów. Zawsze uwielbiałem wędrówki i mając już dość siedzącego trybu życia na uczelni, zapisałem się do uniwersyteckiego klubu orientacji sportowej. Pochodząca ze Szwecji dyscyplina sportowa polega na pokonaniu pewnej trasy w nieznanym terenie. Zawodnik, mając do dyspozycji kompas i specjalną mapę, musi się zatrzymać na punktach kontrolnych, gdzie fizycznie lub elektronicznie podbija swoją kartę startową. Zwycięża ten uczestnik, który pierwszy dobiegnie do „podwójnego kółka” oznaczającego meta.

Zakochałem się w tym sporcie - nadal startuję - odkrywając w nim wspaniałe wytchnienie od godzin bezruchu w sali wykładowej,

ślęczenia przed ekranem komputera czy nad mało zrozumiałymi tekstami.

Podczas pewnych zawodów w Austin zaprzyjaźniłem się z jednym z uczestników, funkcjonariuszem agencji antynarkotykowej. Był tropicielem - specjalistą w czytaniu śladów pozostawionych przez ludzi, przede wszystkim nielegalnych imigrantów i przemytników narkotyków - i zainteresował mnie tym tematem. Nie ma zawodów w tropieniu takich jak w biegu na orientację, ale straż graniczna i DEA regularnie organizują szkolenia i mój znajomy załatwił mi zaproszenie na kilka z nich.

Tropicielstwo przypominało mi ogromną grę planszową rozgrywaną w plenerze, w której sam jestem pionkiem. Natychmiast pokochałem to zajęcie i kiedy nie brałem udziału w zawodach biegu na orientację, wyjeżdżałem poćwiczyć, tropiąc zwierzęta i turystów, którzy nie przeczuwali, że ktoś ich śledzi. Udało mi się nawet zarobić parę dolarów u DEA w weekendy podczas ich szkoleń - udając kuriera z narkotykami, próbowałem umknąć tropiącym mnie agentom. Byłem całkiem niezły, ponieważ przestudiowałem techniki i wiedziałem nie tylko, jak szukać śladów, lecz także jak zaciierać.

Te umiejętności nieraz przydały mi się w pracy owczarka.

Stosowałem teraz poznane techniki, uważnie oglądając ziemię i gałęzie, by odnaleźć ślady pozostawione przez Lovinga. Były ledwie dostrzegalne: zbielała od słońca gałąź leżała odwrócona, kamyki albo jelenie odchody w dziwnym miejscu, liście tam, gdzie nie powinno ich być.

Tropicielstwo nauczyło mnie, że w dziewięćdziesięciu procentach przypadków trasę ucieczki ofiary dyktuje ukształtowanie terenu. Aby pozostać na tropie zwierzyny, zwykle wystarczy iść po linii najmniejszego oporu. Henry Loving był inny. Jego trasa wydawała się nielogiczna, bardziej zawiła i trudniejsza.

Wybrana przez niego strategia nabrała jednak sensu, kiedy zdałem sobie sprawę, że wiele razy przystawał i rozglądał się na boki, szukając pościgu.

Racjonalna irracjonalność...

Wiedząc już, że wspina się na wyżej położone miejsca i przystaje, gotów do odparcia ataku, ruszyłem szybciej, bo zapewne nie spodziewał się, że ktoś podąży krok w krok jego tropem przez gęstwinę. Jego trasa wiła się wśród forsycji, kudzu i bluszczu, pnączy, jeżyn i

krzewów, których nazw nie znałem.

Też przystanąłem i zacząłem nasłuchiwać. Psy tropią przede wszystkim za pomocą węchu, potem dźwięków i na końcu wzroku. U ludzi jest odwrotnie, ale słuch też jest na drugim miejscu. Zawsze słucham, i to uważnie. Ofiara robi hałas podczas ucieczki, podobnie jak łowca robi hałas, ruszając do ataku na swoją zdobycz (człowiek zwykle zachowuje się najgłośniejszy tuż przed tą kulminacyjną chwilą, inne zwierzęta odwrotnie). Wydaje się, że trzaski i szelesty dobiegają zewsząd, ale dość szybko można się nauczyć brać poprawkę na echo, oceniać odległość i z dużą dozą pewności zlokalizować źródło dźwięku.

Po kilku chwilach usłyszałem przed sobą ciche trzaski. Może wydawały je gałązki rozkołysane wznoszącym się wiatrem, może to był jelen, może kroki mężczyzny, który postanowił porwać szesnastoletnią dziewczynę.

Wreszcie, w odległości około stu metrów, niedaleko wody, ujrzałem zarys domu Cartera. Rozejrzałem się uważnie. Nie dostrzegłem żadnego ruchu poza liśćmi targanymi porывami wiatru.

Podszedłem bliżej.

Znow się zatrzymałem i rozejrzałem.

Byłem jakieś sześćdziesiąt metrów od domu, gdy zauważyłem Lovinga.

Tak, to z całą pewnością był zbieracz. Mignęła mi jego twarz. Miał na sobie to samo ubranie, albo podobne, co wczoraj, kiedy spotkaliśmy się w muchołapce. Nie trzymał w dłoni broni; używał obu rąk, aby jak najciszej rozgarniać krzewy i gałęzie. Liczyłem na to, że uda mi się złapać go na ścieżce; tam będzie mniej ostrożny niż pod samym domem, gdzie prawdopodobnie spodziewał się zagrożenia. Musiał już wiedzieć, że Bill Carter to emerytowany policjant, na pewno uzbójony.

Loving wyciągnął broń i lekko odciągnął zamek, upewniając się, że pocisk tkwi w komorze.

Zrobiłem to samo i ruszyłem za nim.

Nie potrafiłem uwolnić się od myśli: co powiedziałyby Westerfield czy ktokolwiek inny, gdyby to obserwował? Czy moim zadaniem nie było niezwłoczne przeprowadzenie do bezpiecznego miejsca obiektu, który ukrywał się w odległości stu metrów ode mnie?

Dlaczego więc śledziłem zbieracza?



*Niektóre psy pasterskie pędzą owce po pastwisku, a inne strzegą stada i atakują zagrażające mu drapieżniki, bez względu na ich wielkość i liczebność...*

Przepraszam, Abe. Należę do obydwu typów. Nic na to nie poradzę.

Zmniejszyłem dystans, zastanawiając się nad następną strategią. Z drogi zadzwoniłem do Freddy'ego i wiedziałem, że jadą tu agenci i funkcjonariusze z poleceniem przeprowadzenia cichej akcji. Miejscowa policja blokowała już drogi. Ludzie Freddy'ego mieli się zjawić za dwadzieścia minut.

To nie był najlepszy teren na atak w pojedynkę i choć byłem pewien jego tożsamości, nie miałem czystego celu. Loving co chwilę wchodził w cień. Niecelny strzał był zbyt niebezpieczny i niewart ryzyka.

Gdzie był jego współnik?

Szedłem dalej. Gdy Loving wejdzie do domu, w ciągu dziesięciu minut przeszuka wszystkie pokoje i przekona się, że jego ofiara wyszła i nie ma jej w żadnej z typowych kryjówek.

Podchodziłem coraz bliżej, wciąż skutecznie zasłonięty i poruszając się prawie bezszelestnie.

Zbliżył się do garażu i zajrzał do środka. Pewnie zobaczył samochód Cartera. Potem wsunął się w krzewy oddzielające garaż od samego domu. Skulony ruszył wzdłuż niskiego szarego ogrodzenia łączącego obydwie budynki. Za wysoko rosnącymi, gęstymi liśćmi trudno było dostrzec jego sylwetkę, ale zdołałem go wypatrzeć. Nagle przystanąłem, czując skurcz w żołądku. Gdyby Loving pokonał jeszcze około pięciu metrów w tym samym kierunku, znalazłby się w prześwicie w zieleni. I stałby się pięknie podświetlonym celem.

Uniosłem broń i wymierzyłem w stronę punktu, w którym miał się ukazać. Stałem w odległości około dwudziestu pięciu metrów. Niezbyt daleko jak na tak skuteczny pistolet - kalibru 40. Mimo krótkiej lufy kilka pocisków powinno wystarczyć. Przypomniałem sobie szkolenie. Trzy strzały wysoko, trzy nisko. Odsunąć się od miejsca, w którym mógł być widoczny błysk z lufy, i przygotować się do następnego strzału. Liczyć wystrzelone pociski.

Szedł dalej. Trzy metry do prześwitu. Dwa i pół, dwa...

Poczułem, że serce bije mi coraz szybciej, a dłonie pokrywają się chłodnym potem.

Przed sobą, niemal na celowniku, miałem Henry'ego Lovinga.

Do głowy przyszły mi dwie myśli. Mamy precyzyjne zasady użycia broni, nakazujące nam wezwać napastnika do poddania się, chyba że nam samym lub komuś innemu grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo. Regułę stosuje się wobec każdego przeciwnika, nawet uzbrojonego i zdecydowanego wykorzystać krzyki cierpienia szesnastoletniej dziewczyny, by zmusić jej zrozpaczonego ojca do wyjawienia informacji.

Nawet tego, który torturował i zamordował dobrego człowieka takiego jak Abe Fallow.

Druga myśl brzmiała jednak: trzy wysoko, trzy nisko, krok w bok, przygotować się do kolejnego strzału.

Zacisnąłem lewą dłoń na przegubie prawej, starannie wycelowałem, wyrównałem oddech.

Za chwilę cień, którym był Henry Loving, pokona ostatni metr i ukaże się zza krzewu, dając mi okazję do strzału. Zbliżył się do prześwietu, lecz zamiast stanąć, skulił się, wciąż zasłonięty gęstwiną liści.

Wstań, pomyślałem. Cholera jasna, wstawaj! Patrząc na jego ciemną sylwetkę po drugiej stronie krzewu, poczułem falę nietypowego dla mnie gniewu.

Do diabła, strzelaj, powiedziałem sobie nagle. Opróżnij magazynek, przeladuj... Wolny wdech. Teraz! Stałem w pozycji strzeleckiej, wychyliłem się naprzód i zacząłem powoli naciskać spust.

Czułem się, jak gdybym siłą woli potrafił zmusić pociski, by dosięgły celu.

Prawdopodobnie naciskałem już spust z siłą osiemnastu niutonów przy nominalnej sile spustu dwudziestu pięciu, gdy bezgłośnie westchnąłem i opuściłem broń.

Uświadomiłem sobie, co właśnie pomyślałem: *siłą woli zmusić pociski*.

Strzelanie to fizyka i chemia, kwestia wzroku i nieruchomych mięśni, wyboru właściwej pozycji, wyraźnie widocznego celu. Nie ma tu miejsca na siłę woli. Nie ma miejsca na szczęście. To są elementy emocjonalne.

Byłem owczarkiem. Nie mogłem sobie pozwolić na irracjonalne zachowania.

Gdybym tylko go zranił albo chybił, poznałby moją pozycję. Mogłem się domyślać, że jego współnik jest pięćdziesiąt metrów za mną,

tak jak ja czekając na ekspozycję. Słyszając wystrzał, Bill Carter i Amanda mogliby wyjść z ukrycia, by zobaczyć, co się stało.

Zdenerwowany, że o mały włos nie uległem emocji, spojrzałem na teren przed sobą, upewniając się, czy mogę go cicho pokonać, po czym ruszyłem dalej.

Loving, wciąż kryjąc się pod osłoną roślin, zbliżył się do furtki i poruszył nią delikatnie, sprawdzając, czy nie skrzypi. Zobaczyłem, jak wyciąga coś z kieszeni. Wyglądało na to, że oliwił zawiasy. Potem, nadal na wpół niewidoczny, wśliznął się do środka i skierował w stronę domu, wciąż skutecznie osłonięty.

Po krótkim wahaniu wreszcie wybrałem strategię.

Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku łąki, gdzie czekali Bill Carter i Amanda.

To była jedna z najtrudniejszych decyzji w moim życiu.

Ale miałem przed sobą wyraźny cel. Próba samodzielnego zdjęcia Lovinga w domu byłaby nieskuteczna. Akcja szturmowa wymagałaby co najmniej dwóch, a najlepiej czterech partnerów. Uznałem, że najlepszą strategią będzie odszukanie obiektów i zabranie ich stąd. Kiedy Loving wejdzie do domu, zyskamy dziesięć minut. Akcję przeprowadzi Freddy i jego ekipa.

Rozejrzawszy się, wróciłem drogą, którą przyszedłem, a potem skręciłem w lewo, gdzie ukrywała się dziewczyna ze swoim „wujkiem”. Łąka znajdowała się w pewnej odległości ode mnie, może trzystu metrów, na drugim końcu posesji. Miałem już jednak orientację w lesie i zauważyłem, że są tu przede wszystkim drzewa iglaste - ziemię pokrywała warstwa sosnowego igliwia, a żywiczone gałązki nie trzaskały przy nadeptnięciu. Można się było wtedy poruszać szybko i niemal bezgłośnie.

Właśnie dlatego, kiedy zrobiłem pierwszy krok naprzód, współnik Lovinga zaskoczył mnie od tyłu: nie słyszałem, jak się zbliżał.

- Rzuć broń - powiedział głośnym szeptem. - Ręce na boki. - poczułem trącającą mnie w plecy lufę.

## Rozdział 28

Gdy wspólnik mocniej przycisnął pistolet do mojego kręgosłupa, pomyślałem: czy była to jedna z ostatnich rzeczy, jakie usłyszał Abe Fallow, zanim Loving zabrał się do dzieła?

*Ręce na boki...*

Teraz i ja miałem umrzeć.

Ale nie od razu.

Bo tak jak mój mentor, byłem cenny. Ciekawe, czy Loving zastawił na mnie własną pułapkę. Może wykorzystał dziewczynę nie jako hak na jej ojca, ale żeby wydał mu detektywa, bo się domyślał, że pod względem logistycznym trudno byłoby zawiadomić Ryana o porwaniu córki.

W naszej pułapce ja byłem przynętą. Tu przynętą była Amanda.

- Nie słyszysz? Broń. Rzuć ją - nakazał mi wspólnik szorstkim szeptem.

Spełniłem rozkaz. Nikt nie potrafi się odwrócić z szybkością większą od szybkości pocisku.

Zastanawiałem się, jak długo wytrzymam.

Papier ścierny i alkohol...

Wróciły wspomnienia o Peggy i chłopcach, Jeremym i Samie.

Nagle głos za moimi plecami szepnął:

- Zaraz.

Dziwne. Wydawało mi się, że mówi do siebie.

- Ach, to przecież pan, Corte, zgadza się? - usłyszałem miły ton.

Zaczęły mi drżeć ręce. Odwróciłem się wolno i zobaczyłem Billa Cartera, który celował prosto w moje serce z dubeltówki bock kaliber dwanaście, trzymając palec na kabłąku spustu. Za nim stała Amanda z szeroko otwartymi oczami.

Oddychałem ciężko. Tak ciężko, że czułem ból w piersiach. Opuścił strzelbę.

- Nie poszłicie na łękę - szepnąłem.

- Nie. Uznałem, że to za daleko. Pan też się raczej do nas nie spieszył.

To prawda, uświadomiłem sobie.

Amanda przyglądała mi się ostrożnie, lecz spokojnie. Oczy na pewno odziedziczyła po ojcu. Na ramieniu wciąż miała torebkę w kształcie pluszowego misia.

Rozejrzałem się wokół nas. W tym punkcie nie moglibyśmy się bronić - teren był nisko położony. Chciałem wrócić do samochodu i jak najszybciej stąd odjechać.

Przykucnęliśmy.

- Jest w domu. Lada chwila zorientuje się, że was nie ma.

Pokazałem na drogę i w prawo.

- Mój samochód stoi od frontu za kamiennym murkiem. Jakies dwieście metrów stąd. Chodźmy. No, Amanda, wszystko będzie dobrze.

Nie wyglądała, jakby potrzebne jej były słowa pociechy. Miałem wrażenie, że sama ma ochotę zaatakować Lovinga.

*Twarda sztuka...*

Ruszyłem przodem w górę zbocza wąwozu, w kierunku drogi. Poruszaliśmy się powoli i zaczynało mi się kręcić w głowie od częstego rozglądania się we wszystkie strony. Różne konfiguracje cieni i roślinności przybierały wielkość i kształt przeciwnika.

Mimo to żaden z konturów nie wyodrębnił się z zielonego tła, zmieniając się w uzbrojonego człowieka.

Dwadzieścia metrów, trzydzieści, pięćdziesiąt.

Nagle Amanda stłumiła okrzyk. Carter i ja, unosząc broń, padliśmy na kolana. Pociągnąłem w dół dziewczynę, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem.

Z krzaków, w których się pasł, wyłonił się jeleni i popatrzył na nas z mieszaniną obojętności i czujności. Dołączyły do niego jeszcze dwa. Carter podniósł kamień, zamierzając rzucić go i je odstraszyć, prawdopodobnie po to, by Loving pomyślał, że wszystkie hałasy, jakie dochodziły do jego uszu, zostały spowodowane przez te zwierzęta. Przecząco pokręciłem głową, nakazując ciszę.

Czasem można przechytryć samego siebie.

Patrząc na ziemię, nie dostrzegłem żadnego śladu, który mógłby świadczyć, że tą drogą szedł współnik Lovinga. W milczeniu ruszyliśmy dalej. Jelenie wróciły w krzaki dokończyć lunch.

Obok nas znów rozległy się jakieś odgłosy.

Zwierzęta? Loving? Wspólnik?

Dotarliśmy do pozbawionej roślinności części posesji, szerokości około piętnastu metrów. Obejście jej, aby pozostać pod osłoną, trwałoby za długo. Dałem znak, żebyśmy wyszli na otwartą przestrzeń.

Dopiero gdy znaleźliśmy się po drugiej stronie, odwróciłem się, by spojrzeć za siebie. Dom stał w oddali, jak gdyby na przeciwnym końcu boiska futbolowego.

I zobaczyłem wychodzącego na podwórko Henry'ego Lovinga. Popatrzył w naszą stronę i zamarł.

Po chwili sięgnął do kieszeni po radio albo telefon.

- Zauważył nas. Szybko!

Wskazałem ręką drogę i zaczęliśmy biec.

- Bill, uważaj na tyły. Jeżeli go zobaczysz, celuj nisko. Będzie pochylony.

Abe mawiał, że lepsza lekka rana w stopie czy kostce niż niecelny strzał nad głową.

- Jasne.

- Chodź, Amando - szepnąłem. - Wszystko idzie świetnie.

Trzymając się nisko i dysząc z wysiłku, pędziliśmy przez coraz rzadsze zarośla, nie przejmując się już hałasem. Spodziewałem się, że lada moment usłyszę niemal równocześnie świst kuli i huk wystrzału za nami. Ale ani Loving, ani jego współnik nie strzelali. Śmierć Amandy nie byłaby im na rękę. Hak powinien pozostać cały i zdrowy.

Wreszcie dotarliśmy do drogi, ciężko łapiąc oddech. Od mojego samochodu, stojącego za kamiennym murkiem, dzieliło nas pięćdziesiąt metrów. Sprintem pokonaliśmy niskie zarośla.

Carter obejrzał się za siebie.

- Chyba go widzę. Wsiadajcie, będę was osłaniał.

- Nie. - Podbiegliśmy jeszcze kawałek, po czym pociągnąłem ich oboje pod powalone drzewo, na tyle wiekowe, że w młodości mogło udzielić podobnej ochrony żołnierzom Unii albo Konfederacji, idącym na południe po najbardziej krwawej rzezi wojny secesyjnej, bitwie nad Antietam.

Byłem pewien, że widziałem za nami Lovinga, niedaleko, może sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów. On także schował się za drzewem niedaleko muru.

- Podejdziemy blisko do samochodu - powiedziałem do Cartera. - Zostanę trochę z tyłu. Uruchomię wóz zdalnie. Wtedy strzelaj z obu luf w stronę lasu po drugiej stronie drogi. Celuj wysoko. Przeładujesz i strzelisz jeszcze dwa razy, jeden po drugim. Potem przeskoczycie murek. Amanda, wsiądziesz z tyłu i schowasz się. Bill, podjedziesz jakieś pięć metrów i zatrzymasz się. Oslaniaj las za drogą. Zaraz do was dołączę.

- Tam jest jego współnik?

- Zgadza się.

Nie pytał, skąd wiem, a ja nie miałem ochoty tłumaczyć, że to po prostu racjonalne.

Spojrzałem w twarze obojga, spocone i upstrzone fragmentami zeschniętych liści.

- Gotowi?

Skinęli głowami.

Wcisnąłem przycisk na pilocie i silnik ożył. Nasze wozy mają specjalne tłumiki wyciszające wydech, ale nic się nie da zrobić z odgłosem rozrusznika.

Carter nie wahał się ani chwili. Gdy tylko usłyszał silnik, zrobił to, o co go prosiłem: wysunął się nad ogrodzenie i oddał dwa dojmująco głośne strzały. Przeładował, strzelił jeszcze dwa razy i znów przeładował, ja tymczasem posłałem sześć pocisków w kierunku kryjówki Lovinga. Carter złapał Amandę za rękę i pobiegł do samochodu.

Ruszyli z piskiem opon. Przetoczyłem się bokiem przez kamienny murek i rozciągnąłem na brzuchu w wysokiej trawie na poboczu drogi, celując w stronę Lovinga.

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Loving przypuszczał, że siedzę w samochodzie, ale jego współnik mógł zauważyć podstęp i ustrzelić mnie w zielsku.

*No już... wyłaż...*

Wreszcie Loving się ukazał.

Przeskoczył przez murek i zaczął strzelać do samochodu.

Ogrodzenie i zarośla częściowo zasłaniały mi widok, nie miałem więc szansy na pewny strzał, ale to już było coś. Kiedy jednak zacząłem strzelać, Carter ostro zahamował - tak jak prosiłem - i Loving

poznał moją strategię. Błyskawicznie się odwrócił, żeby się schronić za murkiem. Opróżniłem cały magazynek. W powietrze wzbijały się odłamki kamieni z ogrodzenia i grudki ziemi. Loving zniknął za murkiem. Nie wiedziałem, czy zdołałem go trafić.

Przeładowując, dostrzegłem ruch wśród liści po drugiej stronie drogi - zapewne współnik. Biegnąc sprintem do samochodu, strzelałem w kierunku jego kryjówki. Potem wskoczyłem za kierownicę, a Carter pospiesznie przesunął się na fotel pasażera.

Wcisnąłem gaz do deski.

Carter patrzył do tyłu.

- Tak, z lasu wychodzi współnik. Loving podchodzi do niego, stoją na drodze. Loving chyba jest ranny. Trochę się chwieje.

Kilka minut później pokonałem ostry zakręt i zwolniłem ze stu czterdziestu na godzinę.

Carter zaśmiał się, wskazując w górę.

- Są wasi chłopcy.

Nad nami pojawił się helikopter i szybko zniżając lot, mknął prosto w stronę domu Cartera. Chwilę później przeciwny pas ruchu wypełnił się czarnymi samochodami terenowymi, które zatrzymały się, blokując nam przejazd. Wysiedli z nich ludzie i z wyciągniętą bronią podeszli ostrożnie do naszego wozu. Wystawiłem przez okno legitymację.

Młody agent, ubezpieczany przez dwóch kolegów, zajrzał do samochodu, po czym dał znak pozostałym, by podjechali do domu.

- Wszystko w porządku? Nikomu nic się nie stało? - Agent obrzucił nas badawczym spojrzeniem.

- Nic. Jest z wami agent Fredericks?

- Jechał jakieś pięć minut za nami.

- Dobrze, proszę poinformować agentów, że jest ich dwóch. Loving i jego nieznaną współnik, obaj uzbrojeni. Loving może być ranny. Nie wiem, gdzie ukryli pojazd.

- Sprawdzimy to.

- Na mapie widziałem kilkanaście domów na drugim brzegu jeziora i parę prostych dojazdów do autostrady międzystanowej. Wydaje się że mogą próbować przepłynąć jezioro łodzią i porwać jakiś samochód.

- Wyślemy tam część zespołu - rzekł agent.

- Może mnie pan połączyć z pilotem śmigłowca? Podam mu



topografię posesji.

- Śmigłowca?

- Waszej jednostki powietrznej. - Wskazałem na niebo.

Miał zdezorientowaną minę.

- W tej akcji nie uczestniczy helikopter.

## Rozdział 29

**B**ill Carter siedział obok mnie w milczeniu. Zerkając w lusterko wsteczne, zobaczyłem Amandę, która patrzyła w zachmurzone popołudniowe niebo. Byliśmy ponad piętnaście kilometrów od domu Cartera.

Nie myślałem o tym, co się tam niedawno stało, ale zmagalem się z trudnym wspomnieniem. Peggy, chłopcy i ja jechaliśmy wiejską drogą i zobaczyliśmy przed sobą okropny wypadek. Zatrzymałem się, aby spytać, czy mogę w czymś pomóc stoicko spokojnym, lecz młodym i wyraźnie wstrząśniętym policjantom ze stanowej. Podobno matki lepiej niż ojcowie potrafią zachować zimną krew w obliczu wypadków, ran i cierpienia. Ale nie Peggy. Usiadła z tyłu z chłopcami i przytuliła ich do siebie, rzekomo po to, żeby nie patrzyli na przewrócone samochody i zmasakrowane, jeszcze nie przykryte ciała, ale w rzeczywistości sama nie chciała tego widzieć. (Znów pomyślałem o podobieństwie między Maree i moją żoną: huśtawka między beztroskim optymizmem a skrajną rozpaczą).

Wtedy, na miejscu wypadku, mimo starań matki, Sammy i Jeremy zdołali podejrzeć skutki kraksy. Starszy Jer był przerażony tym widokiem i wybuchnął spazmatycznym płaczem. Sam powiedział natomiast: „Tato, ten pan, co tam leży, nie ma ręki. Jak on je lody?”. To nie była tragedia, tylko zagadka.

Po prostu nie wiadomo, jak młodzi ludzie zareagują na traumatyczne doświadczenie.

W twarzy Amandy dostrzegłem to samo spokojne zaciekawienie co wtedy u Sammy'ego.

- Wszystko w porządku, kochanie? - spytałem, zaskoczony czułym słowem, jakie padło z moich ust.

Spojrzała na mnie, skinęła głową, a potem zaczęła oglądać berette Cartera, która leżała na siedzeniu obok niej.

Wcisnąłem przycisk szybkiego wybierania, by zadzwonić do Freddy'ego.

- Hej - powiedział.

- Jesteś tam?

- Ładne miejsce. Może osiądę tu na emeryturze.

Nie potrafiłem w pełni docenić uroków letniego domu Cartera.

- Masz coś?

- Uciekli.

- Helikopter?

- Nie inaczej.

- Nie - odparłem. - Wiem, że w ten sposób zostali ewakuowani.

Pytam, czy masz jakieś szczegóły na jego temat.

- Żadnych. Na razie. Ciągłe szukamy świadków. Kilka osób zeznało, że niedaleko słyszało przelatujący nisko śmigłowiec. Rozumiesz, myśleli, że się rozbije. Ktoś zadzwonił pod dziewięćset jedenaście. Ale nikt...

- Niczego nie widział?

- Ciekawe pytanie, synu. Patrzyli, ale słyszeli tylko hurgot wirnika i widzieli liście i pył. Helikopter siadł na dziesięciu metrach między dwiema kępami drzew. Do tego trzeba umiejętności.

- Nie tylko, trzeba też sprzętu. Drogiego sprzętu... Znaleźliście wóz?

- Ukradziony parę miesięcy temu. Blachy są z innego auta. Mieliśmy nadzieję, że zdejmiemy odciski palców współnika, ale nie znaleźliśmy nic, ani jednej pętlicy.

- Sąsiedzi?

- Cali i zdrowi.

Powiedziałem Carterowi i Amandzie, że ich znajomym nic się nie stało, po czym wróciłem do rozmowy z Freddy'ym.

- Powiem Claire, żeby zidentyfikowała ten śmigłowiec. - Nasza organizacja samolotami transportuje obiekty po całym kraju, a czasem za granicę, mamy więc dobre kontakty z agencją lotnictwa i prywatnymi przedsiębiorstwami czarterowymi. Fakt, że chodziło o mały statek powietrzny, czyli o niewielkim zasięgu, pochodzący z jakiejś pobliskiej bazy, będzie dla duBois pewną wskazówką w poszukiwaniu osoby, która go wynajęła.

- Ktoś jest ranny - ciągnął Freddy. - Znaleźliśmy ślady krwi.
  - Gdzie?
  - Na poboczu. Przy murku i jakichś krzakach. I na ścieżce.
  - To Loving. Trafiłem go, ale potem stanął na nogi. Ile krwi?
  - Niewiele. Znaleźliśmy ślady stóp, jego i współnika.
  - Każę Claire sprawdzić, gdzie z tym pojedzie.
  - Kto to jest ta twoja dziewczyna, Corte? Klara-kabalarka?
- Znowu zebrało mu się na żarty.
- Słuchaj, Corte...
  - Westerfield - przerwałem mu.
  - Czyżby mój głos to zdradził, synu? - zdziwił się Freddy.
  - Co z Westerfieldem?
  - No więc dzwoni. Wydzwania do mnie. Wydzwania do wszystkich. Coś ty takiego zrobił?
  - Chce wpakować moje obiekty do pudła - odparłem. - To błąd, ale nie umiałem go o tym przekonać. Dlatego postanowiłem... - Próbowałem znaleźć odpowiedni eufemizm.
  - Rzucić na szalę swoją posadę i wyciąć numer prokuratorowi federalnemu. Wkurzając przy okazji połowę członków administracji federalnej.
  - Loving ma za dużo kontaktów w Waszyngtonie - powiedziałem.
  - Nie mogłem ryzykować.
  - Mnie tam wszystko jedno. Sam się w to wpakowałeś, Corte. To nie moja broszka.
  - Zadzwon, kiedy będziesz miał coś z kryminalistyki. Loving przeszukiwał też dom Cartera.
  - Zrobi się.
- Kiedy się tylko rozłączyłem, na wyświetlaczu ukazał się numer mojego szefa. I numer Westerfielda. Odrzuciłem obydwie połączenia i zadzwoniłem do duBois. Opowiedziałem, co się stało, informując ją o helikopterze.
- Jeżeli będzie jakiś sposób, znajdź go.
  - W porządku. - Zanotowała szczegóły.
  - Loving jest ranny - dodałem.
  - Mamy kawałek drania - powiedziała powściągliwa zwykle młoda kobieta. - To dobrze.
  - Spróbuj się dowiedzieć, dokąd pojedzie opatrzeć ranę.

Zgodnie z przepisami prawa personel medyczny musi powiadamiać organa ścigania o ranach postrzałowych. Gangi i przestępczość zorganizowana mają do dyspozycji swoich lekarzy, pielęgniarki, a nawet weterynarzy, którzy zajmują się rannymi i „zapominają” zadzwonić pod dziewięćset jedenastcie. Znaliliśmy część tych medyków i rutynowo ich monitorowaliśmy (nie zatrzymywaliśmy ich, ponieważ stanowili bezcenne źródło informacji o rannych cynglach i zbieraczach).

Oczywiście Loving na pewno by do nich nie trafił. Powiedziałem o tym duBois, dodając:

- Pójdzie prywatnie do kogoś, kogo nie znamy. Przejrzyj wszystko, co o nim mamy, sprawdź adresy, pod którymi go widziano, numery telefonów, wszystko. I rejestry publiczne.

Claire będzie musiała skorzystać z ORK-a lub innego programu do eksploracji danych.

- Zobaczę, co się da znaleźć - odrzekła. - Corte? Znów zwróciła się do mnie po nazwisku.

- Tak?

- Ciągłe analizuję zdjęcia, które zrobiłeś u Grahama.

- To dobrze.

Milczała przez chwilę.

- Myślałam o tym i doszłam do wniosku, że nie było innego sposobu, żeby wyciągnąć z niego informacje. Mówię o tym, co mi kazałeś zrobić. Wtedy mi się to nie podobało. Potem też nie. Ale to był sprytny ruch. Zapamiętam sobie.

- Nie było innego sposobu - powtórzyłem.

Zakończyłem rozmowę i przez pół godziny jechaliśmy w ciszy. Carter spytał, czy może włączyć radio.

- Wolałbym, żeby nie włączać - powiedziałem. - To ułatwia koncentrację.

- Aha. Jasne.

Zauważyłem, że Amanda patrzy na mnie w lusterku wstecznym.

- Czy to wszystko było przeze mnie? - zapytała. - Przez mój blog?

- Tak. Połączył twój pseudonim z prawdziwym nazwiskiem przez serwis społecznościowy. Potem ustalił, że post wysłano z komputera sąsiadów Billa i znalazł jego dom.

Dziewczyna zamknęła oczy.

- Przepraszam. Myślałam... myślałam, że mam po prostu nie korzystać ze swojego komputera. Nie wiedziałam, że może nas znaleźć. Używałam swojego nicka.

Była jednak inteligentna. Musiała zdawać sobie sprawę z ryzyka ale w młodzieńczym entuzjazmie i roztargnieniu nie przemyślała tego albo się tym nie przejmowała. Najprawdopodobniej jedno i drugie.

- To dlatego, że się gryzłam historią Susan - tej dziewczyny z drugiej klasy.

- Tej, która popełniła samobójstwo? - spytałem.

- Tak. Właściwie to był wypadek samochodowy, ale jechała strasznie szybko i bezmyślnie, jakby jej nie obchodziło, czy przeżyje. Psycholodzy w naszej szkole mówią, że to forma samobójstwa. Chciałam napisać o tym na blogu, żeby ludzie wiedzieli, że jeżeli ktoś jest lekkomyślny za kierownicą, to prawie jakby łyknął garść tabletek albo się powiesił.

Przyszła mi do głowy dziwna myśl. Miałem przed sobą młodą dziewczynę, która poświęcała się trosce o innych. Na swój sposób pełniła funkcję owczarka. Ciekawe, czy gdybym miał córkę, wyrosłaby na kogoś takiego jak Amanda. Wiedziałem, że byłbym z niej dumny.

Ale ta myśl, tak jak wiele innych tego dnia, szybko powędrowała do kosza.

- Chciał mnie zabić? - spytała bezbarwnym tonem człowieka, który nie wierzy, że kiedykolwiek umrze.

Carter drgnął niespokojnie i chciał ją pocieszyć. Wiedziałem już jednak, że dziewczyna niekoniecznie potrzebuje podtrzymywania na duchu.

- Nie, chciał cię porwać i zmusić twojego ojca, żeby coś mu powiedział.

- Co?

- Nie wiemy.

Umilkła, patrząc przez okno.

Niektórzy zbieracze mają swoje zasady. Nie skrzywdzą kobiet ani dzieci. Niektórzy polegają na psychicznej czy zawodowej presji albo na ryzyku kompromitacji lub straty finansowej. Są sprawy, których nigdy nie przyjmą i są granice, których nie przekroczą, chcąc wydobyć

kogoś informację. Oceniają obiekty i są gotowi użyć haków w minimalnym stopniu, niezbędnym do zdobycia informacji, których dotyczy zlecenie. Na drugim końcu są tacy jak Henry Loving. Nie cofną się przed żadnym krokiem, który w ich opinii jest właściwy.

Ciekawe, ale szanuję tych cyngli i zbieraczy bardziej niż innych. Są równie wierni swoim zasadom jak ja swoim. Określają cel i starają się go osiągnąć w najbardziej skutecznym sposobie. Dzięki temu są bardziej przewidywalni.

- Jo totalnie spanikowała? - spytała Amanda.

- Niezupełnie.

- Na pewno? - W pytaniu brzmiało niedowierzanie.

- No dobrze, spanikowała. Ale jest bezpieczna, razem z twoim ojcem i ciocią.

- To dobrze... Przepraszam, wujku. Zdaje się, że narozrabiałam.

Nie wzbraniała się przed przyjęciem odpowiedzialności za to, co się stało. Wielu dorosłych nie byłoby na to stać.

- Wszystko będzie dobrze.

Zwolniłem, po czym włączyłem kierunkowskaz i skręciłem. Amanda zmarszczyła brwi, spoglądając na niski budynek z kamienia, do którego się zbliżaliśmy.

- Chce mnie pan tam zawieźć za to, co zrobiłam? - wykrztusiła. - Przecież...

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

- Nie, nie, to po prostu miejsce, w którym ty i Bill bezpiecznie spędzicie noc.

Zatrzymałem się przed wejściem do Federalnego Zakładu Karnego o Zaostrzonych Środkach Bezpieczeństwa Północnej Wirginii.

## Rozdział 30

Co się dzieje? Gdzieś ty był?

Głos mojego szefa natarczywie trzeszczał w słuchawce. Chiński plastik i metal zwykle nieco tłumili rozdrażnienie i gniew - jak każde uczucie - ale nie miałem wątpliwości, w jakim nastroju jest Ellis.

- Loving wpadł na trop córki Kesslerów. Jest już bezpieczna. Loving jest ranny.

- Ciężko? - zapytał mój szef.

- Nie wiemy. Stracił niewiele krwi... Posłuchaj, Aaron, ewakuował go helikopter.

- Co?!

- Claire spróbuje zidentyfikować maszynę. Słyszałeś kiedyś o zbieraczu, który ma do dyspozycji śmigłowiec?

Chwila namysłu.

- Nie, nigdy.

- Czyli dyspozytor jest bogaty albo ma zawód z dostępem do helikopterów, na które nie trzeba papierów.

- Co teraz zamierzasz?

- Właśnie zostawiłem córkę w więzieniu. Jest bezpieczna. Siedzi anonimowo, jako kluczowy świadek zabójstwa w sprawie narkotykowej. Jeżeli Loving ma tam swojego człowieka, wątpię, żeby zwrócił na nią uwagę, poza tym poleciłem naczelnikowi na cały dzień odciąć łączność zewnętrzną. Ciągłe badamy dwie główne sprawy prowadzone przez Kesslera, żeby znaleźć dyspozytora. Claire stara się namierzyć działających nieoficjalnie lekarzy, którzy mogliby pozszywać Lovinga.

- Słuchaj, Corte - rzekł Ellis. - Robię, co się da...

- Chodzi o Westerfielda.

To oczywiście była przyczyna nastroju mojego szefa.



- Chodzi o Westerfielda. Dlaczego po prostu go nie zignorowałaś? Dlaczego nakłamałaś o więzieniu w Waszyngtonie?

- Gdybym go zignorował, próbowałby mnie znaleźć, Aaron. Byłem w terenie. Nie mogę sobie pozwolić, żeby mnie zatrzymywano kiedy mam obiekty pod opieką. W każdym razie nie w sprawie, w której główną rolę gra Henry Loving.

- Mimo to mógł cię wywalić - zauważył Ellis.

- Przypuszczałem, że już będziemy wiedzieli, kto jest dyspozytorem.

Albo będziemy mieli Lovinga w worku na zwłoki. Gdyby wtedy stanął przed domkiem nad jeziorem w okręgu Loudoun, sprawa byłaby już zakończona.

- Ale nie wiemy.

- Nie wiemy. Proszę cię, Aaron, postaraj się, żeby Westerfield zostawił mnie w spokoju przynajmniej dzisiaj. Powiedz mu, że operacja jest delikatna.

- Mówisz o poszukiwaniu Lovinga?

- Nie. Dołałyś oliwy do ognia. Powiedz mu, że mamy trop dyspozytora. Powiedz mu, że pojawił się wątek terrorystyczny.

- Naprawdę?

Pytanie było zasadne, zważywszy na to, jak ich dotąd zwodziłem w trakcie wykonywania zadania.

- Tak. Jest ślad pieniędzy, które płyną na Bliski Wschód. Część trafia do Arabii Saudyjskiej przez kilkadziesiąt firm wydmuszek.

- Robi się ciekawie.

- Westerfield będzie zachwycony. Mocna sprawa federalna, następny laur.

- Laur?

- Do wieńca chwały. Claire sprawdza wyniki mojego małego rekoniesansu w domu Grahama - faceta z Departamentu Obrony, któremu sfalszowano czek. Posuwamy się do przodu. Ale zatrzymam Kesslerów przy sobie. Możecie mnie uznać za bandytę. Nic mnie to nie obchodzi. I tak ich nie oddam.

Westchnienie.

- Zrobię, co się da.

Rozłączyliśmy się i skręciłem, zmierzając z powrotem do schronu w Great Falls. Zadzwoiłem do Ahmada, poinformowałem go, co się zdarzyło i dowiedziałem się, że w domu wszystko w porządku, choć

podobno Joanne posprzeczała się z mężem. O jakieś głupstwo. Dawno już zauważyłem, że między obiektami wiecznie wybuchają kłótnie. Rozmawiałem z Ryanem, który wydawał się trzeźwy. Powiedziałem, że pod domem Cartera doszło do incydentu, ale nikomu nic się nie stało, a Amanda i Carter są pod ochroną władz federalnych. Zakończyłem rozmowę, zanim słuchawkę zdążyła przejąć zaniepokojona Joanne.

Dochodziła szósta po południu i dawało o sobie znać zmęczenie.

Identyfikator połączeń zaanonsował duBois.

- To ja. Mów.

- Mam dwie rzeczy. Najpierw helikopter... Zauważyłam coś ciekawego. Kobiety nie mówią „śmigłowiec”. Rozmawiałam z sześcioma osobami, trzema mężczyznami i trzema kobietami. Wszyscy mężczyźni mówili „śmigłowiec”, a kobiety „helikopter”.

DuBois wróciła do swoich spostrzeżeń. Czyli doszła do siebie po hańbie w domu Grahama.

- Nie złożono planu lotu. Zastanawiałam się, co to może znaczyć. Zakładam, że to nie był rządowy helikopter, na przykład straży pożarnej czy policji...

- Mało prawdopodobne.

- A więc i nie czarter. Firmy czarterowe bardzo skrupulatnie pilnują procedur. Gdyby choć jeden plan lotu nie został złożony, mogłyby stracić licencję. Dlatego ważka musiała być prywatna.

- Ważka?

- Nikt tak nie mówi. Sama to wymyśliłam.

- Ktoś taki jak Pamuk, właściciel banku inwestycyjnego, mógłby mieć własny helikopter. A może ma bogatego klienta.

- Teraz sprawa Grahama. Jest parę wyników analizy ORK-a.

- Szybko się uwinęłaś.

- Przecież miało być szybko. Mam adresy.

- Są jakieś w naszej okolicy?

- Rzeczywiście są. W DuPont Circle.

To była jedna z możliwości. Obstawiałem też Greenwich Village i Fells Point w Baltimore, ale miałbym większy problem, bo wolałem pojechać tam osobiście.

- Prześlij mi je. Dobra robota.

- Ciągłe sprawdzam lekarzy. Porównuję specjalizacje. W co mógł dostać Loving?

- Nie jestem pewien.

- Jeżeli została naruszona kość, to zmienia sytuację.

- Jak to?

- Będzie prawdopodobnie szukał ortopedy. To by skróciło listę poszukiwań. Nie pamięta pan?

- Nie.

- Aha. - Wydawała się zawiedziona. - Wolałabym, żeby to był specjalista. Myślałam o innych. Na przykład otolaryngolog.

- Nie wiem, w co go trafiłem.

- W porządku. Znajdę.

Rozłączyliśmy się.

Po chwili informacje w sprawie Grahama pojawiły się w mojej komórce. Przeczytałem je szybko, a następnie zjechałem z drogi. Wkleiłem jeden z adresów do GPS-u, wcisnąłem ROZPOCZNIJ NAWIGACJĘ i posłusznie spełniałem polecenia wydawane syntetycznym kobiecym głosem.

## Rozdział 31

**D**otarłem do DuPont Circle, niegdyś centrum przemysłu bawełnianego, przez które przebiegała cuchnąca droga wodna i gdzie znajdowała się słynna rzeźnia. Dziś dzielnica należała do modniejszych części stolicy kraju.

GPS - którego głos drażnił mnie podobnie jak głos Chris Teasley, zastępczyni Westerfielda - zaprowadził mnie przed witrynę przy Connecticut Avenue. Był to sklep z używanymi kompaktami, w którym snuło się kilku sennych sprzedawców. Klientela składała się głównie z dwudziestokilkulatków, choć było paru brodatych miłośników muzyki mniej więcej w moim wieku. Podszedłem do młodego człowieka przy kasie, pokazałem legitymację razem ze zrobionym przez kamerę przemysłową zdjęciem Azjaty, który wyjął monety ze skrytki w New Jersey - sprawcy w sprawie fałszerstwa czeku Grahama.

Chłopak przy kasie twierdził, że nic nie wie. Zapytałem jeszcze pięć osób. Nikt nie miał bladego pojęcia o lewych czekach ani Azjacie.

W końcu, obrzucając sklep ostatnim spojrzeniem, pchnąłem drzwi zaopatrzone w staroświecki dzwonek i wyszedłem. Rozejrzałem się po ulicy, po czym skierowałem się do pobliskiej kawiarni. DuPont Circle żyje z szyku, a Café Cafe ma go pod dostatkiem. Wskazówką tego był akcent nad „e” i tabliczka na jednej z puszek wypełnionych ciemnymi ziarnami: „25 dolarów za funt”. Zamówiłem czarną filtrowaną kolumbijską, najtańszą z karty, pełnej egzotycznych mieszanek, może i smacznych, z których żadna moim zdaniem nie była kawą.

Przypomniałem sobie obrazek sprzed lat, kolejny, który niekoniecznie chciałem pamiętać. Peggy zamawiała swoją ulubioną mochaccino. Nie wiedziałem, co to właściwie jest, pamiętałem jednak,

z jak radosnym wyczekiwaniem pochylała nad filiżanką swoją nieco trójkątną twarz. Kiedyś zauważyła, że uwielbia zakupy spożywcze, bo cieszy ją widok ludzi kupujących swoje ukochane smakołyki.

- Życie jest ciężkie - powiedziała, zwracając się do mnie po imieniu, co było u niej rzadkością. - To takie drobiazgi pozwalają nam łatwiej znieść każdy dzień.

Święta prawda, pomyślałem wtedy. To samo pomyślałem dziś.

Pociągnąłem łyk kawy, odstawiłem parującą filiżankę i zacząłem układać SMS-a o swoich odkryciach w sprawie Grahama, gdy usłyszałem skrzyknięcie drzwi wejściowych. Wpatrując się w wyświetlacz komórki, poczułem czyjś cień za sobą. Kiedy się odwróciłem i uniosłem wzrok, zobaczyłem twarz dwudziestokilkuletniego mężczyzny. Był biały, dość przystojny i szczupły, ubrany w dzinsy i mocno wymiętą koszulę w paski.

- Tak?

- Pracuję w sklepie z płytami, z którego pan właśnie wyszedł.

Gdy nie odpowiedziałem, powtórzył:

- Pracuję tam.

- Jak się nazywasz?

- Stu. - Przyglądał mi się uważnie. - Pytał pan o różne rzeczy? W sklepie?

Każde zdanie miało intonację pytania.

Patrzyłem na niego nieruchomym wzrokiem. Szybko spuścił oczy.

- Czego chcesz? - spytałem wreszcie.

- Pytał pan o Jimmy'ego Suna? Znam go.

- Wiesz, gdzie teraz jest? Muszę go znaleźć.

- Jest pan agentem FBI?

- Gdzie jest Jimmy? Wiesz?

Chwila wahania.

- Nie, nie wiem.

- Siadaj. - Wskazałem krzesło.

Usiadł i splótł dłonie na stole. Ludzie, z którymi rozmawiam, czasem siadają właśnie w takiej pozycji, tyle że inaczej nie mogą, bo mają na rękach kajdanki.

- Skąd znasz Jimmy'ego? - spytałem surowym tonem.

- Czasem zagląda do sklepu. Lubi muzykę. Dlaczego go pan tam szukał? W sklepie?

- Namierzyłem płatności kartą kredytową. Kupuje u was.
- A, no jasne.
- Ma poważne kłopoty. Gdybyśmy go znaleźli, bardzo by nam to pomogło.
- Myślałem... słyszałem o jakiejś sprawie. Chodziło o czek.
- Falszerstwo.
- Ale przecież sprawę umorzono. Słyszałem, że umorzono. A więc Jimmy już nie ma kłopotów. - Uniósł ręce, uśmiechając się lekko. Zachowałem kamienną twarz.
- Umorzyła ją policja w Waszyngtonie.
- Hm...
- Ale widzisz - ciągnąłem - jedno przestępstwo może podlegać różnym organom. Na przykład ze względu na zasięg geograficzny. Popełniasz oszustwo pocztowe i jesteś winien przestępstwa we wszystkich stanach, w których okantowałeś ludzi, może nawet we wszystkich pięćdziesięciu. W każdym z nich to osobne przestępstwo. Albo sprawa podlega jakiejś instytucji rządowej. Morderstwo agenta federalnego na przykład jest równocześnie przestępstwem federalnym i stanowym.
- Aha.
- Jimmy Sun skradł książeczkę czekową ofiary w Waszyngtonie. Policja stołeczna może podjąć decyzję o umorzeniu sprawy. Ale Jimmy wykorzystał Internet do prania pieniędzy.
- Prania pieniędzy?
- Kupił złote monety i prawdopodobnie sprzedał je za gotówkę. To jest pranie pieniędzy.
- Naprawdę?
- Tak. A to podlega moim kompetencjom. Chodzi o poważne przestępstwo federalne. Posłuchaj, Stu, jeżeli masz jakieś informacje o Jimmym Sunie, radzę ci wszystko powiedzieć. Okłamywanie agenta federalnego to też przestępstwo. A ukrywanie podejrzanego może się skończyć zarzutem o utrudnianie śledztwa. To bardzo poważne.
- Ale jeżeli nikt nie ucierpiał, a ofiara nie chce składać skargi... no to o co chodzi?
- Odczucia ofiary są nieistotne.
- Przecież to nie ma sensu.
- Stu, powiedzmy, że cię zamorduję. - Wlepił we mnie zaskoczone

spojrzenie. - Nie żyjesz. Nie masz żadnych odczuć, zgadza się?

- No, tak.

- Mimo to przestępstwo jest faktem. Albo powiedzmy, że jestem bandytą. Kradnę ci samochód, ale się mnie boisz i nie chcesz tego zgłosić. Jest jednak wielu świadków, którzy mnie widzieli. Policja tak czy inaczej może mnie aresztować. Nie składasz zeznań, ale inni mogą zeznawać. I trafiam za kratki.

- Nie wiedziałem.

- Mam nakaz aresztowania Suna. - Dotknąłem kieszeni.

- Naprawdę?

- Są nagrania wideo z punktu Post Boxes Plus, gdzie odebrał monety. Kupione za pieniądze ze sfalszowanego czeku.

- Ale...

- Skąd właściwie znasz Jimmy'ego, Stu? Mów szczerze.

Młody człowiek znów spuścił głowę.

- To mój partner. Mój chłopak.

- Rozumiem. Mieszka z tobą?

- Nie. Jego rodzice są bardzo konserwatywni. Podejrzewają, ale nie wiedzą.

- Wyświadczysz mu przysługę, jeżeli go namówisz, żeby się zgłosił. Departament Bezpieczeństwa założył mu teczkę.

- Departament Bezpieczeństwa?

- Podejrzenie o terroryzm.

- Terroryzm?! - Stu miał przerażoną minę.

- Wszystko wskazuje na to, że Sun skradł książeczkę czekową w ramach operacji rządu Korei Północnej, który chciał zaszantażować ofiarę - Erica Grahama pracującego w Pentagonie.

- Jezu. Nie, nie...

- Zauważyłeś u Jimmy'ego coś, co by to potwierdzało?

- Oczywiście, że nie. To wspaniały facet. Uroczy. Jego rodzina pochodzi z Korei Południowej!

Uśmiechnąłem się.

- Terroryci potrafią być czarujący. W samym Seulu i okolicach roi się od agentów z północy.

- To nie jest terrorystą - szepnął Stu.

- O tym zdecyduje prokurator i sąd. Ja powinienem tylko go zatrzymać. Mam nadzieję, że nie będę go musiał skrzywdzić. Ale...

- Jezu.

Nachyliłem się nad stolikiem.

- Zgodnie z profilem takich osób prawdopodobnie jest bardzo niebezpieczny. Mamy w okolicy oddział szturmowy. Byli gotowi wkroczyć do sklepu, gdyby Sun tam był. W tej chwili sprawdzają inne tropy. - Zerknąłem na zegarek, marszcząc brwi. - Dwadzieścia minut temu miałem sygnał od jednego zespołu. Chyba już wiedzą, gdzie może być. FBI wyraziło zgodę, żeby go zlikwidować, gdyby nie podał się natychmiast.

Stu omal nie krzyknął.

Patrzyłem na ziemistą twarz młodego człowieka siedzącego przede mną.

- Jeżeli ci na nim zależy, powinieneś nam pomóc. Gdyby doszło do strzelaniny, może zginąć. Nasze zespoły taktyczne są szkolone w postępowaniu z zamachowcami samobójcami i innymi przestępcami stwarzającymi zagrożenie życia.

Stu zaczął płakać, lejąc z oczu wielkie łzy.

- To był mój pomysł - powiedział łamiącym się głosem. - Jimmy tylko mi pomagał... Jezu, niech pan do nich zadzwoni - do tych ludzi z FBI. Niech pan im powie, że wcale nie jest niebezpieczny.

Zmarszczyłem brwi.

- Musisz mi to wyjaśnić.

- To ja ukradłem książeczkę czekową. Ja otworzyłem rachunek w Internecie. To ja, nie Jimmy. On tylko wyciągnął monety ze skrytki pocztowej.

- Niestety, nie bardzo rozumiem.

Stu otarł twarz.

- A ten człowiek, któremu skradziono książeczkę czekową?

- Eric Graham.

- Zgadza się.

- To... to mój ojciec.

- Czyli nazywasz się Stu Graham. Skinął głową.

- Och, nie mogę uwierzyć, jaki byłem głupi... Jak mogłem to tak spieprzyć. Niech pan do nich dzwoni!

- Najpierw wszystko wytłumacz.

- Co za głupota!

- Mów, Stu. Im prędzej poznamy prawdę, tym lepiej dla Jimmy'ego.



Serwetką osuszył oczy.

- Ojciec... jest dość twardy. Zawsze chciał, żebym poszedł na jego uczelnię, Princeton. Był tam Ważniakiem w Kampusie. Chciał, żebym też został kimś takim. Ale strasznie nie podobały mi się jego plany. Tu się dobrze czuję. - Wyciągnął rękę, mając prawdopodobnie na myśli DuPont Circle. - Tu jest moje miejsce. Kocham Jimmy'ego, lubię naszych przyjaciół. Nie jestem zapalonym prymusem. Ojciec w ogóle nie chciał mnie słuchać.

- Co to ma wspólnego z fałszerstwem?

- Bo jestem cholernym tchórzem. - Wziął drugą serwetkę i wytarł nos. - Nie mogłem mu powiedzieć. Nie chciałem jesienią wracać do college'u. Boję się ojca. Mama też się boi. Wszyscy się go boją. Zawsze mówi coś w rodzaju: „Chyba nie chcesz być moją trzecią córką? „. Musiałem przejść testy do drużyny futbolowej. Ważę sześćdziesiąt dziewięć kilo. Ja w drużynie futbolowej? Ciągłe mnie cisnął. „Bądź mężczyzną. Daj mi powód do dumy. Pójdź w moje ślady”. Nie mogłem powiedzieć „nie”.

- A więc podrobiłeś czek, żeby nie mógł zapłacić czesnego?

- Żalotne, co?

- Kazałeś Jimmy'emu odebrać złote monety, które kupiłeś.

Stu skinął głową.

- Nie zrobił nic złego. Przysięgam na Boga. Po prostu mi pomógł. Ma rodzinę w New Jersey. Dlatego pomyśleliśmy, że monety można przesłać tam zamiast do Waszyngtonu.

- Twój ojciec się dowiedział i wycofał skargę.

Znów pokiwał głową.

- Och, tak, dowiedział się.

Wyobrażałem sobie, jaką temperaturę musiała mieć ta konfrontacja.

- Co zrobiłeś z pieniędzmi?

- Nie chodziło o pieniądze.

- Rozumiem, ale chcę wiedzieć, co z nimi zrobiłeś.

- Trochę zatrzymaliśmy, a resztę wpłaciliśmy na fundację prowadzącą badania nad AIDS i na Amnesty International. Brzydzę się tym, że mój ojciec zarabia na życie produkowaniem broni. Bo tym się zajmuje w Pentagonie. Jest z tego taki dumny. Taki ważny. Chciałem żeby jego pieniądze przysłużyły się czemuś dobremu.

- Daj mi nazwisko kogoś z Amnesty International, kto to potwierdzi - powiedziałem.

Stu przejrzał listę kontaktów w swojej komórce i podał mi nazwisko oraz numer.

- Masz? - spytałem.

Znów spojrzał na mnie zdumiony, nie rozumiejąc.

- Nie mówię do ciebie - dodałem.

Głos Claire duBois w mojej słuchawce powiedział:

- Już dzwonię.

- Chwilę zaczekamy - oznajmiłem Stu.

Chłopak ciężko opadł na krzesło, znów wydmuchał nos. Rozejrzał się po kawiarni i cicho się zaśmiał.

- Ciągłe tu przychodzimy. Z Jimmym.

Milczałem.

- Wie pan, co kiedyś powiedział?

- Co?

- Prawie każdy kojarzy Koreę z herbatą. Jak Chiny czy Japonię. Ale ostatni cesarz Korei, Sunjong, który zmarł w latach dwudziestych, uwielbiał Zachód i zawsze miał w pałacu kawę. Razem z ojcem siadali przy kawie i rozmawiali o światowych sprawach. Rozniosła się wieść i obywatele też zaczęli pić kawę. Lubią robić to samo co cesarz. W Korei jest więcej amatorów kawy niż w jakimkolwiek azjatyckim kraju. Mają nawet prostytutki przesiadujące w kawiarniach. Nazywają je dziewczyny Dabang.

Umilkł. Rzadko zdarzało mi się widzieć kogoś w tak oplakanyim stanie.

Po jego policzkach wciąż płynęły łzy.

- Proszę - powiedział błagalnym tonem. - Niech pan zadzwoni do FBI. Niech pan im powie, że Jimmy nie jest groźny!

Po chwili usłyszałem głos duBois.

- Corte, wszystko się zgadza. Wpłacili na konto Amnesty International trzydzieści jeden tysięcy.

- W porządku. Przekaż oddziałowi, żeby wstrzymał akcję - dodałem.

- Co? - zdumiała się.
- Za chwilę do ciebie zadzwonię. - Rozłączyłem się.

W innych okolicznościach jeszcze trochę pottrzymałbym Stu w niepewności, ale nie potrafiłem zapomnieć arogancji Grahama i jego obraźliwych słów pod adresem duBois.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli prowadzić dalej tę sprawę. Na razie wstrzymam śledztwo, pod warunkiem że to się więcej nie powtórzy.

- Nie. Nigdy, obiecuję!

Wstałem i ruszyłem do wyjścia. Odwróciłem się jeszcze.

- W przyszłym roku twój ojciec może zarobić więcej. Albo weźmie kredyt na twoje czesne. Ciekaw jestem, co wtedy zrobisz?

Młody człowiek obrócił na mnie zaczerwienione oczy. Miał zaciśnięte usta.

- Powiem mu, żeby szedł do diabła.

Wierzyłem mu. Wbrew woli odrzekłem:

- To dobrze. Wyszedłem z kawiarni.

Miałem więc rozwiązanie zagadki przynajmniej jednej ze spraw Ryana Kesslera. zadzwoniłem do duBois.

- Miałaś rację - powiedziała.

Hipoteza nasunęła się sama w pokoju Erica Grahama, gdzie obejrzałem wystrój i zdjęcia, pilnie obserwując reakcję Grahama, kiedy duBois przedstawiła mu naszą teorię, dlaczego wynajęto Lovinga. Uznałem, że nie mówi nam całej prawdy - nikt go nie szantażował. Na ścianie wisiały fotografie młodego człowieka, który jak się domyślałem, był jego synem, w towarzystwie mężczyzny w podobnym wieku, azjatyckiego pochodzenia, do złudzenia przypominającego podejrzanego z nagrania wideo w sprawie sfalszowanego czeku. DuBois jak zwykle przeprowadziła dokładną analizę zdjęć, które zrobiłem, udając, że piszę SMS-a. Wspomagając się programem ORK, sprawdziła informacje o kartach kredytowych, dane wydziału komunikacji, użyła systemu rozpoznawania twarzy, przeszukała wpisy na blogach i w serwisach społecznościowych, ewidencje studentów, wniosków ubezpieczeniowych, bilingi telefoniczne i kilkadziesiąt innych baz danych.

Mężczyzna nazywał się James Sun. Nienotowany, aktywny działacz na rzecz praw gejów, student Uniwersytetu Waszyngtona, mieszkał w DuPont Circle. Dowiedziałem się, że Stu pracuje w sklepie Music Gallery, który też znajdował się w DuPont Circle.

Kiedy zobaczyłem, że arogancki Eric Graham zmienił swój pokój w kapliczkę Uniwersytetu Princeton, doszedłem do wniosku, że ojca i syna musi dzielić ogromna przepaść. Musiałem jednak potwierdzić swoją teorię, co udało mi się dzięki tej wizycie w dzielnicy.

- Mogę o coś spytać? - W głosie duBois dosłyszałem nieco wścibski ton. - Groziłeś mu swoim nakazem, a ja swoim blefowałam, tak?

Dobrze, pomyślałem. Moja protegowana wyraźnie chwyciła wiatr w żagle.

- Mój nakaz był rzekomo wystawiony na nazwisko Jimmy'ego, którego w kawiarni nie było - wyjaśniłem - więc nie mógł zażądać wglądu do dokumentu. Twój miał być na nazwisko Grahama. Co byś zrobiła, gdyby chciał go zobaczyć?

- Och, papier owija kamień.

Mimo że nawet jej staram się nie ujawniać szczegółów swojego prywatnego życia, duBois słyszała o moim zamilowaniu do gier.

- To ci się udało - odrzekłem. Mówiłem szczerze.

- Czyli wracamy do sprawy Pamuka jako prawdopodobnej przyczyny wynajęcia Lovinga.

- Zgadza się.

- Właśnie... chwileczkę - powiedziała nagle czymś zaafierowana. - Dostałam e-maila... trop człowieka, który być może opatrzył Lovinga.

- Mów.

- Czytam... to jego kuzyn.

Gdy Loving zabił Abe'a Fallowa, przeświatliliśmy jego zyciorys, próbując wytropić członków rodziny. Wiedzieliśmy, że urodził się w Wirginii, ale nie miał krewnych w promieniu kilkuset kilometrów od stolicy. Jego rodzice nie żyli. Miał siostrę, z którą utrzymywał kontakt, ale przed kilku laty zginęła w wypadku.

Wiedziałem o kuzynie.

- To ten, który studiował medycynę w Nowym Jorku?

- Zgadza się. Ale kiedy odebrał dyplom, przeprowadził się do Falls Church. Jest lekarzem w szpitalu w Arlington. Mam przed sobą jego bilingi - ciągnęła duBois. - Mniej więcej pół godziny po strzelaninie przed domem Cartera, kiedy Loving został ranny, ktoś dzwonił z anonimowego telefonu pod numer stacjonarny kuzyna. Rozmowa trwała trzy minuty.

- Co o nim wiemy?

- Samotny, trzydzieści dwa lata. Nienotowany, jeżeli nie liczyć paru wykroczeń drogowych. Nazywa się Frank Loving. Wcześniej specjalizował się w medycynie ratunkowej, teraz pracuje jako internista. Miał dobre wyniki na medycynie - studiował na nowojorskim uniwersytecie stanowym.

Podążyła mi jego adres.

Podziękowałem jej, po czym odpaliłem hondę, wpisałem adres do GPS-u i włączyłem się do ruchu. Zadzwoiłem do Freddy'ego, żeby go poinformować, że wykluczyłem możliwość, by sprawa czeku Grahama mogła nas naprowadzić na trop dyspozytora. Ale przede wszystkim powiedziałem mu o tropie lekarza, który być może zajął się ranami Lovinga.

- Myślisz, że jeszcze u niego siedzi?

- Pewnie wpadł i wypadł, ale przyjmijmy, że jeszcze jest. Wyślij tam parę zespołów taktycznych, niech podejną ostrożnie i cicho.

- Zaraz to zorganizuję.

- Jeszcze jedno, Freddy...

- Mam nie mówić Westerfieldowi - dokończył agent.

- Otóż to.

- Nie ma sprawy. Muszę przyznać, że facet potrafi być fiutem. Ale z kolei ta jego asystentka palce lizać.

- Jeżeli gustujesz w perłach.

- Dobrze, synu. - Usłyszałem chichot Freddy'ego. - Ta sprawa zaczyna cię pokazywać z zupełnie innej strony.

## Rozdział 32

**F**rank Loving nie wyglądał na swój wiek, który podała mi duBois. Był ostrzyżony na jeża, wysoki i wysportowany jak chyba większość lekarzy w tym wieku.

Wyglądał też na bardzo zdenerwowanego. Nic dziwnego, zważywszy na fakt, że właśnie złożył mu wizytę kuzyn morderca - a po nim sześciu uzbrojonych agentów FBI, którzy dokładnie przeszukali każdy zakątek jego rezydencji.

Mieszkał w Arlington, w jednym z luksusowych domów o powierzchni ponad trzystu pięćdziesięciu metrów, ozdobionym kolumnami, łukami i rokokowymi detalami - prefabrykatami, które zamontowano w ciągu pracowitych kilku tygodni. Na ścianach, gdzie gość spodziewałby się ujrzeć reprodukcje na płótnie przedstawiające barwne bażanty, Wenecję albo średniowieczną martwą naturę, wisiały plakaty sportowe. Głównie Washington Redskins, bo kogóż by innego?

Zaglądamy do kuchni, zobaczyłem zakrwawione ręczniki i rozrzucone biało-pomarańczowe sterylne opakowania po opatrunkach czy jednorazowych narzędziach i strzykawkach. Na blacie stała buteleczka betadyny, a na białym marmurze, którego Frankowi nie udało się doszorować, widniała pomarańczowa plama po środku dezynfekującym.

- Naprawdę nie wiem, gdzie jest - powiedział Frank. - Serio.

Zespół taktyczny Freddy'ego sprawdził cały dom i wyszedł, by porozmawiać z sąsiadami, którzy mogli widzieć Lovinga lub jego samochód.

Poprosiłem lekarza do bocznego pokoiku i spoglądając mu prosto w oczy, powiedziałem:

- Niech pan posłucha, doktorze, mniej więcej godzinę temu pańskiemu kuzynowi zabrakło dziesięciu minut, żeby porwać szesnastoletnią dziewczynę, którą zamierzał torturować, by zmusić jej ojca do ujawnienia pewnych informacji.

Otworzył szeroko oczy, a na jego twarzy odmalowało się autentyczne przerażenie.

- Wiedziałem, że przed kimś ucieka - wyszeptał. - Najbardziej zszokowany byłem tym, że zobaczyłem go żywego. Powinienem zadzwonić do kogoś zaraz po jego wyjściu, ale... nie zadzwoniłem.

- Dlaczego?

- Boję się go.

- Panie doktorze... - powiedziałem. Chroniąc kilku lekarzy, przekonałem się, że używając tytułu podczas rozmowy z nimi, można wiele zdziałać. - Panie doktorze, naprawdę potrzebujemy pomocy.

Mężczyzna skrzywił się i zaczął się bawić zegarkiem.

- Zapewniam pana, że nie wiem, gdzie on jest. Musi mi pan uwierzyć.

- Szesnastoletnia dziewczyna - powiedziałem powoli. I utkwilem wzrok w jego oczach, które wciąż uciekały w bok.

Zgarbił się.

- Co chce pan wiedzieć?

- Po pierwsze, czy był poważnie ranny.

- Kula trafiła w brzuch, piętnaście centymetrów od lewej kości biodrowej. Przeszła na wylot. Zrobiłem kauteryzację małych naczyń krwionośnych, oczyściłem i założyłem szwy. Aha, w udzie utkwiał mały odłamek kamienia. Usunąłem go, skauteryzowałem naczynia i też zszylem ranę. To pan do niego strzelał?

- Tak.

- Żeby uratować dziewczynę?

Skinąłem głową.

- Nic się jej nie stało?

- Fizycznie nie. - Wymownie zawiesiłem głos. - Muszę go znaleźć. Może pan nam jakoś pomóc? Jakim samochodem przyjechał?

- Wiem, że nie zaparkował przed domem. Przyszedł pieszo z innego miejsca. Proszę pana, oglądałem wiadomości, gdzie mówili o tej strzelaninie. Nie wiedziałem, że brał w niej udział. Powiedział, że

został okradziony i strzelał do niego facet z Południowego Wschodu. Gdybym wiedział...

Widziałem, że mówi nieprawdę, ale nie brzmiało to jak kłamstwo współsprawcy, tylko typowe wykręty, jakie zmyśla się na poczekaniu w rozmowie z policją. Chciałem go jedynie skłonić, aby skoncentrował się na przebiegu wizyty Lovinga.

- Co jeszcze mówił? Proszę sobie przypomnieć. Cokolwiek.

Lekarz zmarszczył brwi.

- Jedna rzecz wydaje mi się ważna. Chciał, żebym przed zabiegiem podał mu podtlenek azotu - wolał zachować świadomość. Nie miałem jednak żadnego gazu. Miałem propofol. Działa bardzo krótko - stosuje się go przy kolonoskopii. Nie stracił przytomności, ale był na granicy. Robiłem to, co z każdym pacjentem. Mówiłem do niego, próbowałem odwrócić jego uwagę. Powiedział coś, co nie wydało mi się wtedy istotne, a mianowicie, że nie podoba mu się rozbudowa nowych osiedli w Loudoun. Teraz myślę, że chyba był w domu swoich rodziców. Niedaleko Ashburn. Może tam się zatrzymał.

Wiedziałem o tym domu. Kiedy Loving zabił Abe'a, dowiedzieliśmy się, gdzie spędził dzieciństwo. Ale dom sprzedano wiele lat temu. Przestaliśmy się nim interesować. Powiedziałem o tym doktorowi, który odparł:

- Właściwie niezupełnie go sprzedano.

Zmarszczyłem brwi, prosząc o wyjaśnienie.

- Formalnie rzecz biorąc, tak. Zgodnie z umową Henry i jego siostra - spadkobiercy - sprzedali tanio dom człowiekowi, który jest teraz jego właścicielem. Ale nabywca zgodził się odnająć im go na... chyba jakieś dwadzieścia lat. Siostra Henry'ego była chora - nieuleczalnie - i przypuszczałem, że on chce się pozbyć tytułu własności, ale równocześnie zapewnić Marjorie dach nad głową do końca życia.

Jedynym bliskim członkiem rodziny dla Henry'ego Lovinga była siostra, starsza od niego o kilka lat. Miała raka, ale przyczyną jej śmierci kilka lat temu był wypadek na wodzie. Jej chłopak, który po pijanemu prowadził motorówkę na rzece Occoquan, zmarł niedługo potem. Przypuszczałem, że sprawcą jego śmierci był Loving; młody człowiek też utonął, lecz we własnej wannie. Stwierdzono u niego takie same objawy jak u kogoś, kogo podtapiano przez dwie czy trzy godziny.

Nie pamiętałem, gdzie dokładnie znajdował się dom.



Frank Loving znalazł adres i zapisał.

- Jest teraz na środkach przeciwbólowych? - spytałem go.
- Nie chciał wziąć ze sobą demerolu ani vicodinu.

Nie, Loving był gotów znieść największe cierpienia, byle tylko zachować jasność umysłu.

- Dałem mu kilka dawek lidokainy w gotowych strzykawkach. Do miejscowego znieczulenia. - Frank spuścił wzrok, patrząc na swoje szerokie dłonie. - Pamiętam go z czasów, gdy byliśmy dziećmi. Nigdy nie był agresywny, nie wszczynał bójk. Wprost przeciwnie. Był spokojny i grzeczny. Pamiętam, że zawsze obserwował.

- Co obserwował?

- Wszystko. Nic nie mówił, tylko patrzył. Był inteligentny. Naprawdę inteligentny. W szkole najlepiej mu szła historia.

Był to jeden z kierunków moich studiów. Tego o Lovingu nie wiedziałem.

- Freddy?

Agent stanął w drzwiach.

- Mam trop. Bierzymy ludzi do Ashburn. - Wydarłem z notesu kartkę z adresem, który dostałem od Franka. Podałem ją agentowi FBI. Sam nauczyłem się już adresu na pamięć.

## Rozdział 33

**L**udzie wolą unikać przeszłości. Przypuszczam, że to naturalne. Kiedy podsumujemy wszystko, co zrobiliśmy i powiedzieliśmy w ciągu lat, to pomimo cudownych wspomnień, zawsze na pierwszy plan wysuwają się rzeczy, których żałujemy, nawet gdyby było ich mniej, jak rozżarzone węgle, których nigdy nie zdołamy zgasić, choćbyśmy usilnie próbowali.

Bez przeszłości nie miałbym jednak pracy. Czy w grę wchodziły dobre rzeczy, jakich bezinteresownie dokonali tacy ludzie jak Ryan Kessler i znaleźli się na celowniku zbieracza, czy krwawe historie zawodowych morderców, jedni i drudzy trafiali pod moją opiekę w wyniku tego, co zrobili kilka miesięcy lub lat wcześniej.

W tym momencie, pędząc o zmierzchu śliską drogą, która miała mnie zaprowadzić z powrotem do okręgu Loudoun, myślałem o przeszłości z zupełnie innego powodu. Wiedziałem, że za dwadzieścia minut stanę oko w oko z historią człowieka, który był zagrożeniem dla moich obiektów, z historią, która mogła mi pomóc odnaleźć wskazówki co do jego obecnego miejsca pobytu.

Historią człowieka, który torturował i zamordował mojego mentora.

Pragnąłem cofnąć się o te lata i dowiedzieć się o nim wszystkiego, co się da.

Z tego, co powiedział mi jego kuzyn - o sprzedaży rodzinnego domu, która w istocie okazała się kantem - wynikało, że wewnątrz kryje się zgromadzony przez dziesięciolecia dobytek. Czy znajdę zdjęcia Lovinga z dzieciństwa? Zabawki, którymi kiedyś się bawił?

Jeszcze raz wróciłem myślą do jednego z pierwszych zadań duBois, jakie jej zleciłem, przed starciem z Lovingiem w Rhode Island. Moja protegowana miała zebrać wszelkie dostępne informacje na

temat Marjorie, siostry Lovinga. DuBois przystąpiła do zadania z typową dla siebie niespożytą energią i napisała życiorys kobiety, która dużo czasu spędzała z bratem, kiedy mieli po kilkanaście lat, zanim Loving wkroczył na drogę przestępstwa i porzucił rodzinę. Byłem przekonany - jak się okazało, niesłusznie - że szczegóły na temat jego siostry pomogą nam trafić na jego trop. DuBois dowiedziała się o jej zmaganiach z rakiem, o okresach remisji choroby i wznowach... i wreszcie tragicznej śmierci na Occoquan, rzece wpadającej do Potomaku, a dalej do Zatoki Chesapeake.

Żadna z tych informacji nie była do niczego przydatna, ale zafascynowały mnie notatki duBois o jedynej osobie, z którą Loving był autentycznie i trwale związany.

Chciałem wiedzieć więcej i miałem nadzieję, że stary dom uchyli rąbka tajemnicy.

Oczywiście, kiedy rodzice dowiedzieli się o zbrodniach syna, mogli wymazać po nim wszelkie ślady. Gdybym miał dziecko z takimi problemami jak Loving, czy też bym tak postąpił?

Zadzwoiła Claire duBois. Sprawdziła księgi wieczyste i zebrała wszystkie dostępne informacje o nieruchomości. Osiemdziesięcioletni dom jednorodzinny stał na działce o powierzchni około hektara pod Ashburn, na rozległym obszarze zajmowanym przez zabudowania szeregowe i wolno stojące domy w połowie drogi między lotniskiem Dulles a Leesburgiem, który szybko się rozrastał, w miarę jak ludzie pracujący w Waszyngtonie osiedlali się coraz dalej od miasta.

Dom Lovingów stał pusty przez prawie półtora roku, choć nowy właściciel od czasu do czasu wysyłał swojego majstra, by coś zreperował czy przystrzygł to i owo w ogrodzie. Właściciel oświadczył, że Loving nie kontaktował się z nim od lat, lecz zapłacił z góry czynsz za ponad dziesięć lat.

- Nie znalazłaś tego wszystkiego w Google'u - pochwaliłem duBois.

- Ciekawe, właściciel wyraźnie miał wyrzuty sumienia, choć nie zrobił niczego nielegalnego. Kiedy ktoś czuje coś w rodzaju wyrzutów sumienia, jest skłonny mówić.

Dziesięć minut później zwoźniłem na krętej, nieoświetlonej drodze asfaltowej i sprawdziłem numery budynków. Zahamowałem i zatrzymałem się przy gęstych krzewach, około pięćdziesięciu metrów od domu. W okolicy stało jeszcze sześć czy siedem domów, wszystkie

nieczo oddalone od drogi. Wokół mnie wały się śmieci, a fragment czerwonego plastiku z rozbitego światła stopu jakiegoś samochodu potwierdzał, że zakręty drogi rzeczywiście są zdradliwe, a widoczność kiepska.

Wyciągnąłem komórkę i zadzwoniłem do Freddy'ego.

- Masz nakaz? - spytałem. Pewne racje przemawiały za tym, że nie będziemy potrzebować nakazu, lecz w postępowaniu prawnym najlepiej unikać jakichkolwiek wątpliwości, a gdybyśmy znaleźli przydatne dowody, chciałem mieć pewność, że żaden dobry adwokat nie doprowadzi do wyłączenia ich ze sprawy.

- Aha. - Gdzie jesteś?

- Mam jeszcze jakieś piętnaście minut drogi, może ciut mniej. A ty?

- Właśnie przyjechałem.

- Jezu, Corte, przecież twoja firma nie ma wozów z kogutami na dachu. Zabijesz się, jak będziesz tak szalał za kółkiem.

- Chciałem być szybko. Była szansa, że go tu zastanę.

- Ale nie zastałeś.

- Nie. Patrząc na dom - powiedziałem. - Nie ma żadnych świateł, żadnego ruchu. Ale w lesie wokół domu jest z pięćdziesiąt dobrych stanowisk strzeleckich. Macie ze sobą kamery termowizyjne?

- Jasne, ale w lesie sprzęt wykrywa przede wszystkim jelenie. Bambi rzadko bywa snajperem.

Patrząc na dom, powiedziałem:

- Dobra, wyłączam się.

Wysiadłem z samochodu, z bagażnika wyciągnąłem kamizelkę kuloodporną i nałożyłem, a potem ubrałem się w czarny kombinezon. Ruszyłem w jesienny chłód, przystając między dwoma potężnymi dębami. Dom, stojący pięćdziesiąt kilka metrów od drogi, otulała mgła. Słyszałem szmer i cykanie owadów, które przetrwały koniec lata. I rechot żab. Wyczułem lekki powiew niewidzialnego ruchu w górze - wysoko nade mną latały nietoperze.

Uważam wszelkie przesady za nedorzeczne i nie wierzę, że potrafią czuć duchy zmarłych. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że czasem dochodzi do nawarstwienia wrażeń, śladów i wspomnień, które uruchamiają w nas zdolność pojmowania bliską szóstemu zmysłowi. Nie miałem żadnych lęków ani złych przeczuc, wiedziałem jednak, że natychmiast muszę wyciągnąć broń i przestawić umysł w stan

najwyższego pogotowia. Omal nie dostałem skurczu mięśni szyi, kiedy się odwróciłem i ujrzałem sylwetkę człowieka. Położyłem palec na spuście glocka i wycelowałem. Oddychając ciężko, oparłem się o twarde i szorstki pień drzewa. Dopiero po chwili wiatr rozdzielił i wyprostował młode drzewka, które na moment przybrały postać zbieracza.

Sylwetka człowieka, ale to nie był człowiek.

Co nie oznaczało, że mój niepokój był nieuzasadniony. Loving z pewnością mógł być w pobliżu.

Odwróciłem się w stronę domu. Piętrowy budynek o dwuspadowym dachu był pomalowany na ciemnobrązowy kolor. Majstrowi wynajętemu przez właściciela nie brakowało zdolności ogrodniczych, ale nie miał talentu do stolarki i malowania. Balustrada była niebezpiecznie przechylona, schody się zapadały, a trzy z beżowych okiennic wisiały na ostatnim zawiasie. Z sidingu odpadały płyty burej farby. Na werandzie od frontu, która rozciągała się wzdłuż całego domu, do górnych belek była przymocowana huśtawka wisząca tylko na jednym łańcuchu.

Znów rozejrzałem się wokół siebie. Ani śladu człowieka. Przenosząc wzrok na werandę, zastanawiałem się, czy mały Loving siadywał na tej huśtawce w letnie albo jesienne wieczory. I z kim? Za wałącym się płotem z tyłu widziałem pola. Może chodził tam polować na drobną zwierzynę? Słyszałem plotki, że gdy był chłopcem, torturował zwierzęta. Ale w to nie wierzyłem. Nie było żadnych dowodów na to, że Loving jest sadystą i zadawanie bólu sprawia mu przyjemność; kiedy kładł papier ścierny i alkohol przed osobą, z której chciał wydobyć informacje, wiedziałem, że towarzyszy mu taka sama myśl jak mnie: jaki jest cel i jakim najskuteczniejszym sposobem można go osiągnąć?

Patrzyłem w ciemne okna, z których dwa roztrzaskały pociski BB, a może z dwudziestki dwójki. Niezamieszkałe budynki takie jak ten były dla miejscowych dzieciaków, jak mówi prawo, atrakcyjnym obiektem do naruszania porządku publicznego. Wiedziałem to z domu w Woodbridge, należącego do Peggy i mnie. Dwa numery dalej stała opuszczona wiktoriańska ruina i każde dziecko z dzielnicy próbowało wejść do tajemniczego i niebezpiecznego wnętrza. Poszedłem do ratusza, żeby miasto postawiło lepsze ogrodzenie, i ostatecznie mnie posłuchano.

Znów zacząłem się zastanawiać, czy te wspomnienia wywołują Kesslerowie, czy Henry Loving. Odsunąłem je od siebie. Pełna koncentracja, postanowiłem.

Usłyszałem nadjeżdżające samochody, choć nie zauważyłem żadnych świateł. Zadzwoiłem do Freddy'ego, żeby mu powiedzieć, gdzie jestem. Po kilku minutach dołączył do mnie razem z ludźmi z oddziału taktycznego.

- Macie coś o jego samochodzie sprzed domu kuzyna? - zapytałem.

Agent oglądał rzeźbę terenu. Oddział specjalny także, a każdy z jego członków obserwował inny kwadrant.

- Znaleźliśmy kilka kropel krwi na miejscu parkingowym jakieś piętnaście metrów od domu. Nic więcej. Żadnych śladów opon ani mikrośladów. Ale czego się można spodziewać?

Rzeczywiście, w wypadku Lovinga nie było szans na solidny dowód, który mógłby nas zaprowadzić do jego kryjówki.

- Chcę wejść - powiedziałem, wskazując dom. Zerknąłem na agentów i dodałem szeptem: - Odkąd tu jestem, nie widziałem ani śladu niczyjej obecności. Być może Loving nie pamięta, co powiedział kuzynowi - był zamroczony - i mógł wrócić, żeby się ukryć albo przynajmniej zabrać rzeczy. - Zmierzyłem ich poważnym spojrzeniem. - Możliwe też, że powiedział to, wiedząc, że kuzyn wszystko nam przekaze. Czyli to może być pułapka. I pamiętajcie, że ma współnika.

Uważnie lustrowali teren, drzewa i czarne okna domu. Rozdzieliliśmy się na trzy grupy, po czym z Freddy'm i mną na czele ruszyliśmy naprzód.

## Rozdział 34

Pamiętając o snajperskich zdolnościach współnika Lovinga, sprawdzaliśmy każde potencjalne stanowisko ogniowe nie dłużej niż dwie sekundy, a potem padaliśmy na ziemię albo kryliśmy się za drzewami.

Pięć minut później dotarliśmy do domu i przygotowaliśmy się do wejścia. Nie jestem ekspertem w akcjach taktycznych, nie byłem też tak dobrze uzbrojony jak pozostali członkowie grupy. Miałem zostać na zewnątrz przed werandą i obserwować, dopóki dom nie zostanie oczyszczony, czy nikt nie atakuje od flanki. Jeden z agentów miał zrobić to samo, zajmując stanowisko przy tylnych drzwiach.

Freddy dał znak któremuś ze swoich ludzi. Wysoki mężczyzna obejrzał drzwi i otworzył je jednym kopniakiem, wykrzykując równocześnie obowiązkowe „FBI z nakazem!”. Agenci wpadli do środka przez frontowe i tylne drzwi. Błysnęły latarki, ale nie zwracałem uwagi na przeszukanie, cały czas przyglądając się uważnie podwórku przed frontem i z boku domu, skulony, by się nie narażać na ogień snajperski spomiędzy otaczających nas drzew. Patrząc przez monokular noktowizyjny, nie zauważyłem żadnych oznak obecności napaśników.

Wreszcie Freddy wysunął głowę przez drzwi.

- Czysto.
- Są świeże ślady mieszkańców?
- Aha. Jedzenie i napoje z odległymi terminami przydatności. Budzik ustawiony na piątą rano. Nasz ptaszek to ranny ptaszek. Świeża pościel. Trochę ubrań, które nie wyglądają na stare. W rozmiarze Lovinga.

Czyli jednak tu mieszkał.

Wszedłem do środka, opuściłem wszystkie rolety i zasunąłem zasłony, a potem włączyłem światła. Czułem zapach stęchlizny i lekką woń cedru. W drzwiach pojawił się jeden z agentów; szukał śladów pozostawionych przez samochody, ale zameldował, że podjazd i parking przed wejściem są wysypane żwirem i nie ma żadnych odcisków opon.

- Czego szukamy? - zapytał inny agent. Freddy skinął mi głową.

- Dowodów transakcji kartą kredytową, korespondencji, komputerów albo twardych dysków, rachunków... wszystkiego, gdzie pojawia się albo i nie nazwisko Henry'ego Lovinga. Często używa fałszywej tożsamości.

Wątpiłem, czy znajdziemy jakąś wskazówkę co do jego najbliższych planów; był zbyt inteligentny, aby zostawiać wyraźne ślady, ale nawet tak skrupulatnemu graczowi zdarzało się czasem popełnić błąd.

Teoria gier uwzględnia taką możliwość. Zgodnie z „równowagą drżącej ręki” jeden z graczy może przypadkowo wybrać niezamierzoną strategię - na przykład wyciągając rękę do piona przed gońcem, przypadkowo wykona błędny ruch sąsiednim pionem. Jeżeli wprowadzisz bierkę do gry, wykonałeś ruch, nawet jeśli konsekwencje będą odwrotne od zamierzonych i fatalne.

Mimo to nie znaleźliśmy prawie nic przydatnego.

Znalazłem jednak to, o czym myślałem - przeszłość Henry'ego Lovinga.

Prawie całą. Niewymazaną z historii ani przez niego, ani przez jego rodzinę.

W całym domu były zdjęcia, oprawione widokówki, nagrody zdobyte na festynach i targach stanowych, fotografie z rodzinnych wakacji Lovingów. Nad kominkiem i na półkach zamiast książek stały pamiątki w rodzaju ceramicznych zwierzątek, popielniczek, czapek i świeczników.

W bocznym pokoju trzymano albumy. Chyba ze trzydzieści czy czterdzieści. Przerzuciłem je szybko, ale najmłodsze pochodziły sprzed pięciu lat. W najnowszym była tylko jedna rzecz związana z samym Lovingiem. Wycinek z „Washington Post”, zresztą taki sam jak w moim biurze. Był to artykuł o zamordowaniu przez Lovinga Abe'a Fallowa i chronionej przez niego kobiety. Ciekawe, czy sam go wyciął. A jeżeli tak, to po co? Przypuszczałem, że chodziło o kwestie zawodowe: chciał się przekonać, jak wygląda śledztwo.



Obejrzałem pamiątki i wiele zdjęć młodszego Henry'ego, jego siostry i ich rodziców. Spostrzegłem, że na większości z nich był posepny i zamyślony, rzadko się uśmiechał i sprawiał wrażenie nieobecnego. Zobaczyłem też jednak parę fotografii roześmianego Henry'ego. Na kilku towarzyszyła mu dziewczyna, z którą zapewne był na randce, choć nie zauważyłem prawie żadnego kontaktu fizycznego między nimi.

Młody Henry uprawiał biegi i łucznictwo. Nie było żadnych zdjęć z kolegami z drużyny. Najwidoczniej wolał walczyć samotnie.

Cofnąłem się w jeszcze odleglejszą przeszłość. Odwracając stronę w jednym z albumów, ujrzałem przyklejony kawałkiem poźółkłej taśmy kosmyk brązowych włosów. Staranny podpis informował, że włosy obcięto rocznemu Henry'emu. Wyciągnąłem rękę, chcąc ich dotknąć. Nagle cofnąłem dłoń, gdy do pokoju wszedł Freddy.

- I co myślisz, Corte? - spytał. - Przyda się coś z tego? Wyglądasz, jakbyś odkrył schowek Berniego Madoffa.

Pokręciłem głową.

- Nic nie wskazuje na to, jaki będzie jego następny ruch, ale wszystko wskazuje na niego.

- To ci się przyda?

- Nie od razu, ale ostatecznie tak. Mam nadzieję. Tyle że jest dużo do przejrzenia. Zabierzemy to wszystko. Macie torebki na dowody?

- W samochodach.

Zauważyłem coś pod przeciwległą ścianą: jeszcze jedną półkę, na której stało kilkanaście pudełek po butach. Wziąłem jedno. Wewnątrz były zdjęcia. Przypuszczałem, że rodzina przechowywała je tu tymczasowo, dopóki ktoś nie zajmie się wklejeniem ich do albumu. Z zaskoczeniem zorientowałem się, że na końcu półki jest pozbawiony kurzu prostokąt. Ostatnie pudełko zostało zabrane - dzisiaj, a może nawet w ciągu ostatniej godziny.

Czyżby przyjechał tu od kuzyna tylko po to jedno pudełko?

Co takiego mogło się w nim kryć?

Może coś z jego przeszłości, co wolałby utrzymać w tajemnicy?

A może coś, co miało dla niego wartość sentymentalną?

Wspomniałem o tym Freddy'emu, który nie wykazał większego zainteresowania. Przejrzałem pozostałe pudełka po butach. Podobnie jak w albumach nie znalazłem żadnych zdjęć, które miałyby bezpośredni związek z naszą sprawą, ale ekipy kryminalistyczne będą

musiały ustalić lokalizacje letnich domów i tożsamość członków rodziny, których wcześniej nie zdołaliśmy znaleźć.

- Corte? - usłyszałem głos Freddy'ego. Chyba się niecierpliwił.

- W porządku - powiedziałem.

- Mam coś - zawołał jeden z agentów z korytarza prowadzącego do kuchni w głębi domu. Freddy i ja podeszliśmy do niego.

- Wygląda na rachunki.

Na podłodze obok kuchennego stołu leżał plik kopert związanych gumką.

- Pewnie upuścił i nie zauważył.

*Drżąca ręka...*

Agent podniósł plik, lecz nagle znieruchomiał. Koperty coś szarpnęło i zatrzymały się w pół drogi.

- Kurwa - mruknął i wszyscy spojrzeliśmy na cieniutką żyłkę rybacką, która znikwała w otworze w podłodze.

Freddy chwycił radio.

- Opuścić dom! Bomba pułapka!

Dobiegł mnie odgłos wybuchu w piwnicy - cichszy, niż się spodziewałem - i na drzewach i liściach na zewnątrz zobaczyłem błysk eksplozji, który na ułamek sekundy rozjaśnił okna piwnicy.

W pokoju panowała grobowa cisza. Przez moment wydawało mi się, że to niewypał i że będę miał mnóstwo czasu na zebranie albumów i pudełek po butach.

Zdążyłem zrobić krok w stronę izby pamięci Henry'ego Lovinga, gdy drzwi do piwnicy wyleciały z zawiasów, a korytarz wypełnił się huczącym wirem żółto-pomarańczowych płomieni. Równocześnie ogień szalejący w piwnicy wystrzelił przez wszystkie otwory wentylacyjne i szczeliny w podłodze.

## Rozdział 35

**B**omba została prawdopodobnie skonstruowana z granatu lub małego ładunku plastiku podłączonego do dużego pojemnika z benzyną. Czulem charakterystyczny, ostry zapach płonącego paliwa. W ciągu kilku sekund ogień zaczął pełzać po ścianach i trawić dywany. Kopnąłem drzwi do piwnicy, próbując je zamknąć, ale huczące płomienie i fala gorąca otworzyły je z powrotem.

- Freddy, ktoś został na dole? - krzyknąłem.

- Nie - zawołał. - Po sprawdzeniu wszyscy weszli na górę.

Znów ruszyłem przez dym w kierunku pokoju. Ilekroć jednak posunąłem się o metr, spod podłogi wybuchał kolejny wulkan ognia i musiałem uskakiwać, żeby nie stracić brwi ani skóry. Rozglądałem się w poszukiwaniu wody, gaśnicy albo przynajmniej koca, którym mógłbym się zasłonić, żeby wyciągnąć z pożaru jak najwięcej albumów i pudełek po butach.

Przypuszczałem, że Freddy nie był tak przekonany jak ja o znaczeniu tych pamiątek, ale wiedział, że to moja specjalność - strategiczne, a nie taktyczne działania przeciwko zbieraczom i cynglom - więc pomógł mi przysunąć meble do krtek wentylacyjnych i rzucić dywany na płomienie strzelające z podłogi. Nie sądziłem, że uda się nam opanować pożar; byliśmy na przegranej pozycji, ale mogliśmy przynajmniej powstrzymać ogień na tyle, by dostać się do albumów.

Próbowaliśmy przez trzy albo cztery minuty, lecz w końcu pokonał nas żar i gryzący dym. Od duszącego zapachu i popiołu zatykającego usta byłem bliski wymiotów. Coraz bardziej kręciło mi się w głowie i wiedziałem, że jeśli tu zemdleję, zgineę. Krztusząc się, z załzawionymi oczami, musieliśmy się wycofać. W salonie szalał już ogień, tak jak w kuchni. Rozbiliśmy kopniakami boczne okno i wyskoczyliśmy na zewnątrz. Reszta agentów była w pobliżu i myśląc,

że pożar może być sposobem na odwrócenie naszej uwagi, zabezpieczali nas od strony drzew, skąd snajper mógł likwidować uciekających z domu.

Nie padł jednak żaden strzał. Nie byłem zaskoczony. Wiedziałem, że Lovinga już tu nie ma.

- Meldujcie się! - krzyknął Freddy. Jego ludzie po kolei informowali go o swoim stanie. Nie brakowało nikogo. Jeden doznał lekkich poparzeń, a drugi skaleczył się, przebijając się przez okno, aby zalać piwnicę wodą z węża ogrodowego - był to rzecz jasna daremny trud.

Nikt nie odniósł jednak poważniejszych obrażeń.

Jedyną ofiarą pożaru była przeszłość Henry'ego Lovinga.

Przetarłem piekące oczy, zastanawiając się, czy rzeczywiście, jak się wcześniej domyślałem, to od początku była pułapka.

Żyłem, ale tę rundę gry zdecydowanie przegrałem.

*Nożyce tną papier...*

Ogień huczał tak głośno, że usłyszeliśmy syreny wozów strażackich dopiero wtedy, gdy dojeżdżały do posesji.

- Pudełko po butach ze zdjęciami w środku - powiedział Freddy.

- Resztę zniszczył. Po co chciał to ocalić? Co jest w środku?

Dobre pytanie. Wiedziałem, że będzie mnie dręczyło do bladego świtu. Zdjęcia jego siostry? Albo jego z nią? Zdjęcia miejsca, do którego lubił jeździć? Chatki w lesie albo jeziora w okolicy, w której chciał się osiedlić na emeryturze? Nie odpowiedziałem, patrząc na ogniste tornado, które kiedyś było domem rodziny Lovinga. Ruszyłem w powrotną drogę do samochodu, żeby zadzwonić do schronu w Great Falls i sprawdzić, co z moimi obiektami.

Nie zdołałem jednak ujść zbyt daleko.

Niedaleko nas z piskiem opon zatrzymały się dwie czarne furgonetki z migającymi czerwono-niebieskimi kogutami na dachu i wysiadła z nich niewielka grupa, która ruszyła wprost na mnie.

Na moment zamknąłem oczy, gdy zobaczyłem, kto kroczy na jej czele. Jason Westerfield i Chris Teasley, jego asystentka, przypuszczalnie bez sznura pereł. Miała na sobie zapinaną na suwak zieloną kurtkę. Żadnego naszyjnika nie zauważyłem.

Widok tych dwojga nie powinien mnie dziwić. Właśnie się zorientowałem, że Westerfield miał okazję poznać adres domu i dowiedzieć się, że prawdopodobnie tu będę, ponieważ zostawiliśmy urzędowy trop; zwróciliśmy się do sędziego federalnego z prośbą o nakaz

przeprowadzenia rewizji w domu rodzinnym Lovinga. Prokurator federalny natychmiast tu przyjechał, by spotkać człowieka, który go okłamał i przysłał mu pusty wóz opancerzony.

Miałem nadzieję, że zadowolę się udzieleniem mi ostrej nagany w obecności agentów i swojej świty, okazało się jednak, że ma inny plan. Zerknął na stojącego nieopodal Freddy'ego i podnosząc głos znacznie bardziej, niż wymagały tego okoliczności, rozkazał:

- Aresztować go. Natychmiast.

## Rozdział 36

Agent FBI nie wykonał żadnego ruchu, żeby nałożyć mi kajdanki, a mnie przemknęło przez myśl, że prokuratorowi może bardziej chodzi o efekt niż o to, by zobaczyć mnie skutego. Ale niczego nie byłem pewien.

Spojrzałem na ludzi, którzy wysiedli z drugiego samochodu. Mieli na sobie kurtki FBI i sami mogli mnie aresztować, lecz ustępowali pola Freddy'emu, który jako starszy stopniem formalnie był ich przełożonym.

Freddy rozdzielił nas jak sędzia bokszerski.

- Jason. - Skinął głową pozostałym agentom towarzyszącym Westerfieldowi.

- Chcę, żeby został aresztowany, a ochronę przejął ktoś inny.

Nie wiedziałem, jaki właściwie zarzut zamierzał mi postawić. Wykorzystanie opancerzonej furgonetki do nieprzewiezienia czegoś, co się miało przewieźć, nie jest przestępstwem federalnym.

- Okłamał urzędnika sądu federalnego. Tak brzmi zarzut.

Zastanowiwszy się, nie byłem nawet pewien, czy to zrobiłem. Nie pamiętałem dokładnie swoich słów. Co nie oznaczało, że nie mogę zostać aresztowany, nawet jeśli zarzuty miałyby być ostatecznie oddalone. Już mi się tak kiedyś zdarzyło.

Westerfield zerknął w moją stronę.

- Kesslerowie mają trafić do miasta, żebyśmy miał ich blisko. Chcę osobiście przesłuchać Ryana. Należy ich przewieźć natychmiast.

- Nie mogę tego zrobić - odparłem.

- Przekaż ich mnie albo komuś poleconemu przez Aarona Ellisa. Zrobisz to i umożliwisz mi kontakt z Kesslerem, żeby go przesłuchał. Wycofam zarzuty.

- Nie mogę - powtórzyłem.

Freddy kręcił głową jak na meczu tenisowym.

- Agencje Corte, chyba dość długo pracujemy w tej branży, żeby się bawić w kotka i myszkę - rzekł Westerfield.

- Więzienie to nie jest właściwa strategia, Jason. Naciskałeś mnie. Nie miałem wyboru. Przede wszystkim muszę zapewnić bezpieczeństwo obiektom.

- Bardzo ciekawe. Mam raczej wrażenie, że przede wszystkim zależy ci na złowieniu swojego białego wieloryba. Agencje Fredericks? Mogę zobaczyć jakieś kajdanki, *s'il vous plaît*?

Freddy, mimo że częściej współpracował z Westerfieldem niż ze mną, wydawał się nieznacznie brać moją stronę.

- Jason, na razie wszystko, co robi, się sprawdza - powiedział. - Rodzina jest bezpieczna.

- Nie mogę jednak nie zauważyć, że teraz jest tutaj, nie obok Kesslerów... A w dodatku Loving i tak uciekł. - Pokazał płonący dom.

Rzeczywiście, choć nie spodziewałem się go tu zastać. Bardziej interesowały mnie szczegóły z jego życia - w tym momencie obracające się w popiół i zgliszcza.

Westerfield spojrzał na agenta FBI.

- Zamierzasz go aresztować?

- Raczej nie.

Prokurator westchnął zdegustowany i popatrzył na mnie.

- Straciłeś nawet okazję, żeby namierzyć dyspozytora, Corte.

Oderwałem wzrok od domu, żeby na niego spojrzeć.

- Jak to? Przecież wyeliminowaliśmy Grahama. Teraz koncentrujemy się na Alim Pamuku.

- Pamuk też nie wchodzi w grę. Mówiłeś, że to terrorysta.

- Mówiłem, że jest taka możliwość, skoro większa część pieniędzy funduszu płynęła na Bliski Wschód. Moja współpracowniczka ciągle bada jego rolę w tym układzie.

- Pani duBois.

- Zgadza się. - Ciekawe, skąd o niej wiedział. Jeszcze ciekawsze, skąd wiedział, że jej nazwiska nie wymawia się z francuska.

- Pomyliłeś się, Corte. Marnowałeś czas, sprawdzając Pamuka. Przeprowadziliśmy własne śledztwo. To ja znalazłem dyspozytora.

- Kto to jest? - spytał Freddy.

Bez słowa zmarszczyłem brwi.

Westerfield odwrócił się do Teasley.

- Chris, mogłabyś powiedzieć agentom Corte i Fredericksowi, czego się dowiedzieliśmy?

- Detektyw Kessler wykonywał pewną pracę związaną z administracją wewnętrzną policji stołecznej - zaczęła Teasley.

- Chodziło o jakieś sprawy budżetowe czy księgowo - powiedziałem.

- Czyli wiesz? - odezwał się nie bez satysfakcji Westerfield.

- Tak, wspominał.

- Nie sądziłeś, że to może mieć związek?

- Z Lovingiem i jego dyspozytorem? Nie.

Westerfield ponownie zerknął na Teasley.

- Rok temu - ciągnęła - doszło do jakiegoś zamieszania w wydatkach policji. Chodziło o wypłaty za nadgodziny. Problem wydawał się błahy. Ale szef wydziału budżetowego poinformował o tym komendanta, który uznał, że należałoby polecić komuś - to znaczy funkcjonariuszowi z wydziału przestępstw finansowych - żeby przejrzał księgi i zorientował się, co się dzieje.

- Wydawało się, że to groszowe sprawy - włączył się Westerfield. - Ale okazało się... Chris, powiedz mu, co się okazało.

- Zwroty wydatków sięgały dziesiątków tysięcy dolarów - podjęła Teasley - ale pieniądze trafiały na różne rachunki policji. Taka sytuacja panowała przez kilka lat.

- Sądzicie, że to było celowe działanie? - spytałem, marszcząc brwi. - Że ktoś zamierzał zagarnąć część policyjnego budżetu?

- Otóż to - przytaknął Westerfield.

Freddy zaczął rozumieć.

- I ten, kto pociągał za sznurki - wtrącił - ktoś ważny z policji albo samorządu miasta, przestraszył się, bo Kessler miał doświadczenie w przestępstwach finansowych. Był bliski rozwiązania zagadki.

W roztargnieniu patrzyłem na płonący dom i rozmyślałem.

- Ktoś wysoko postawiony w samorządzie - na tyle wysoko, żeby mieć dostęp do policyjnego helikoptera. Claire nie umiała znaleźć planu lotu ani umowy czarterowej. - Skrzywiłem się i pokręciłem głową. - Zastanawiała się nawet, czy Loving i jego wspólnik mogli uciec rządowym śmigłowcem, ale powiedziałem jej, że nie i że prawdopodobnie był prywatny. Nie mówiłem jej, żeby sprawdziła w policji. To moja wina.



Westerfield nie triumfował, ale wyraźnie spodobało mu się moje ostatnie zdanie.

- Ktoś w departamencie policji ma też dostęp do policyjnego sprzętu - powiedziałem do Freddy'ego.

- Jakiego sprzętu? - spytał Westerfield.

- Wspólnik Lovinga próbował wcześniej założyć lokalizatory w samochodzie Corte'ego - wyjaśnił agent. - Policja stołeczna używa tych samych modeli.

Dodatkowa informacja też spodobała się Westerfieldowi, który posłał Teasley pytające spojrzenie - jak to się stało, że tak istotny element układanki umknął jej uwagi.

Przechyliłem głowę, z namysłem marszcząc brwi.

- O co chodzi? - zapytał Westerfield.

- Kessler kilka razy wspominał szefa detektywów Lewisa. Komendant interesował się tym, co robił Ryan. Bardzo się interesował. Wtedy nie zwróciłem na to większej uwagi, ale dlaczego przełożony detektywów miałby się interesować jakimś problemem księgowym dotyczącym wszystkich wydziałów? Transportu, łączności, służby patrolowej, kryminalistycznego? Wszystkich?

Wyglądało na to, że wniosłem znaczący wkład do jego nowego aktu oskarżenia.

- Dobre pytanie.

- Lewis... - powiedział Freddy. - Zawsze mnie zastanawiał. Chyba krążyły jakieś plotki o jego przeszłości.

- Jakie? - zaciekawiał się Westerfield.

- Nie wiem. To były plotki.

- Słuchaj, Corte - rzekł prokurator federalny - tak bardzo chciałeś zapędzić Lovinga w potrzask, że zupełnie straciłeś z celownika dyspozytora.

Zapędzić ofiarę w potrzask i stracić z celownika. Przypuszczałem, że w sądzie przed ławą przysięgłych nie szafował przenośnikami tak lekkomyślnie.

- A dzięki tobie Lewis - czy ktokolwiek za tym stoi - zdążył już zniszczyć dowody i dobrać się do reszty świadków. Naprawdę lepiej będzie oddać tę sprawę komuś innemu.

Zamilkliśmy na chwilę, a naszym myśłom towarzyszyły trzask i łoskot umierającego domu oraz krzyki strażaków. Migające światła

kogutów odbijały się w liściach najbliższych drzew.

- Jason? - odezwałem się w końcu. - Możemy porozmawiać?

Odeszliśmy na bok i idąc ze spuszczoneymi głowami, oddaliśmy się od pozostałych o jakieś cztery metry.

Westerfield spojrzął przelotnie na zgłiszcza i iskry.

- Znalazłeś tam jakieś tropy?

- Nic konkretnego. Nie zdążyliśmy.

- Jest ktoś ranny?

- Nie. - Zauważyłem, że to jego pierwsze pytanie o ofiary. Patrząc na snop iskier znikający w chmurze dymu, powiedziałem: - Wspomniałeś, że Lewis mógł zniszczyć dowody.

Skinął głową.

- A gdybym ci powiedział, że Kessler ma wszystko przy sobie? Wszystkie arkusze kalkulacyjne, notatki, całą dokumentację księgową.

- W schronie?

- Zgadza się.

W jego oczach pojawił się entuzjastyczny błysk. Jeszcze bardziej niżylem głos.

- Dobra, Jason, co powiesz na to: przyznam się, że trochę za bardzo skupiłem się na ściganiu Lovinga, a mniej niż powinienem na szukaniu dyspozytora... Skandal finansowy w skali całego miasta? Z takiego powodu dyspozytor rzeczywiście mógł wezwać na pomoc Lovinga. Było ryzyko, że sprawa sięgnie samej góry.

- Mów dalej. - Oznaczało to: chętnie posłucham twojej propozycji.

- Co powiesz na to: dostaniesz kopie wszystkich dokumentów, jakie ma Kessler. Jeszcze dzisiaj, zaraz po moim powrocie do schronu. Ale nie odbierzesz mi ochrony. Kesslerowie zostają ze mną i tylko ja znam ich miejsce pobytu.

- Będę chciał go przesłuchać.

Zastanawiałem się.

- Porozmawiasz z nim przez bezpieczny telefon. Osobiście nie.

Prokurator federalny przygryzł wargę.

- Musisz się liczyć z nieprzyjemnymi konsekwencjami - powiedział. - Skłamałeś mi w żywe oczy.

- Później się tym będziemy martwić, kiedy złapiemy Lovinga i przymkniemy Lewisa czy kogoś innego z centrali policji, kto za tym stoi.

Skinął głową, co było równoznaczne z uściskiem ręki.

Razem z Teasley i pozostałymi agentami wrócili do czarnych samochodów i odjechali, a Freddy znów poczęstował mnie jednym ze swoich szczególnych spojrzeń.

Zadzwoiłem do schronu i spytałem Rudy'ego Garcia o sytuację.

- Wszystko w porządku - zameldował agent. - Właśnie rozmawiałem z Wirginią Zachodnią i teren jest bezpieczny. Ten facet powiedział, że kiedy pan zadzwoni, mam przekazać, że jelenie są tam, gdzie powinny być. Mówił, że pan wie, co to znaczy.

- To dobrze. A co u obiektów?

Zniżył głos.

- Coś w rodzaju telenoweli. Typowe dla naszej pracy. - Małżeństwo znowu się pokłóciło. O jakąś bzdurę. Zupełnie nieważną. Maree chciała mi robić zdjęcia, portrety. Musiałem jej odmówić, a ona zaczęła... no, stroić fochy. Ta kobieta jest niemożliwa. - Ostatnie zdanie wypowiedział szeptem. - Na szczęście zaczął się mecz. W Baltimore. Ryan miał coś do roboty. W domu wszyscy jesteśmy za Orioles, a pan?

- Przykro mi, kibicuję Atlancie. - Sport komercyjny nie za bardzo do mnie przemawia, ale spędzając tyle czasu w pokojach hotelowych i schronach z obiektami-mężczyznami, obejrzałem niejeden mecz i w ciągu lat trochę zacząłem się interesować bejsbolem. Podoba mi się pod względem strategicznym. Futbol niekoniecznie.

- Mój syn ma dopiero sześć lat - ciągnął Garcia - ale słyszałem od żony, że powiedział, że Brigham zepsuł cały mecz, kiedy próbował lekkich, technicznych odbić. Facet nie potrafi się posługiwać kijem. Zabawne, ale Ryan i ja mówiliśmy to samo.

- Synek ma sześć lat? I zamierza grać w bejsbol? - spytałem.

- Chyba w piłkę nożną.

Powiedziałem mu, że wracam do schronu, po czym rozłączyłem się i zadzwoniłem do Claire duBois.

## Rozdział 37

Dom był nieduży, ale dobrze utrzymany. Ładny ogród. Nie znałem nazw roślin, ale w słabym świetle lamp ogrodowych wyglądały na dobrze przystrzyżone i bogato obsypane kwiatami o subtelnych barwach, z przewagą ciemnej czerwieni i błękitów. Prawdopodobnie były to odmiany bylin, które umiałyby docenić Joanne Kessler.

Kiedy mieszkaliśmy w Woodbridge, Peggy próbowała przez jeden sezon uprawiać ogród. Szybko jej przeszło.

Zaparkowałem na ulicy i wysiadłem, czując, jak jakaś kostka chrupnęła mi w plecach. Ciągnąłem za sobą zapach dymu. W samochodzie przebrałem się w czyste dżinsy i bluzę, ale oczywiście nie wziąłem prysznica i z mojej skóry unosiła się przykra woń pożaru w domu Lovinga.

Podszedłem do drzwi i zapukałem. Uchyliła je ładna blondynka w wieku około trzydziestu lat i przyjrzała mi się nieufnie zza grubego łańcucha. Rozpoznałem kobietę z rysopisu podanego przez Claire.

Obejrzała moją legitymację, a potem, wciąż nieufnie, spytała, jak mogłaby mi pomóc.

- Mogę wejść?
- Co się stało? Coś się stało?
- Proszę.

Wpuściła mnie. W tym domu mieszkały dzieci - zobaczyłem zabawki, kubki, ubranka i dzieła dziecięcej sztuki - a kobieta była w piątym czy szóstym miesiącu ciąży.

- Cheryl, zgadza się?

Pokiwała głową.

- Nie przypuszczamy, żeby był jakiś powód do obaw. - Moje słowa naturalnie od razu obudziły w niej obawy. Szeroko otworzyła oczy.

- Niestety, mamy pewne kłopoty ze skontaktowaniem się z pani mężem.

- Boże, nie! Stało mu się coś złego?

- Ależ nie mamy powodu tak sądzić - odrzekłem uspokajającym tonem. - Po prostu nie możemy połączyć się z nim przez radio.

Z twarzą lśniącą od łez Cheryl w odruchu warunkowym pochyliła się i zaczęła zbierać dziecięce piżamki i inne ubrania piętrzące się na podłodze. Przeszkodziłem jej w praniu.

- Wiemy, że prowadzi obserwację w związku ze sprawą narkotykową, ale dyżurny w centrali nie wiedział gdzie. Wie pani może, gdzie on jest? Mówił coś?

- Tak, tak.

- Gdzie?

Podawała mi nazwę miejsca, dodając:

- Ale dlaczego nie możecie się połączyć? Co się stało?

- Nie wiem - odparłem poważnie. - Ale niedaleko stąd jest ruchome stanowisko dowodzenia. Proszę zaczekać, wyślę im wiadomość.

Pochyliłem się nad telefonem, wpisałem tekst SMS-a i wcisnąłem WYŚLIJ. Czulem jej ogromne napięcie, gdy kołysała się do przodu i do tyłu, nie odrywając wzroku od telefonu.

- Błagam...

Wreszcie uniosłem głowę i uśmiechnąłem się do niej.

- Jest na miejscu. Cały i zdrowy. Po prostu radio się zepsuło. Nasz wydział zaopatrzenia zaraz dostarczy mu nowe.

- Och, dzięki Bogu. - Łzy jeszcze przez chwilę płynęły po jej policzkach.

- Przepraszam, że panią niepokoiłem.

- Nie, nic nie szkodzi. Z nim wszystko w porządku?

- Tak, jest cały i zdrowy - powtórzyłem. - Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć. Aha, czy mogę prosić, żeby coś pani dla mnie zrobiła?

- Pewnie, jeżeli tylko będę mogła.

- Pani mąż jest w tym momencie zajęty obserwacją. Będzie lepiej, jeżeli nie będzie pani dzwoniła do niego do jutra rana.

- Oczywiście. Nie potrafię panu powiedzieć, co to za ulga. Co za ulga - powtórzyła nieprzytomnie, ocierając łzy.

Wyszedłem i wróciłem do samochodu. Pod moimi stopami chrzęścił żwir i spowijał mnie zapach dymu.

Cechą gier planszowych, którą akurat lubię, jest fakt, że można w nich grać rolę kogoś innego. Na przykład w klasycznej niemieckiej grze „Osadnicy z Catanu”, zaprojektowanej przez słynnego Klause Teubera, każdy z graczy jest tytułowym osadnikiem na fikcyjnej wyspie. Aby wygrać, należy produkować surowce szybciej i bardziej efektywnie niż przeciwnicy. W innej pochodzącej z Niemiec grze, „Agricola”, masz czternaście tur, by zostać najlepszym farmerem wśród wszystkich graczy. Gry amerykańskie, które charakteryzuje większy pierwiastek walki, dają graczom okazję wystąpienia w roli generała lub admirała.

W swojej pracy owczarka też od czasu do czasu muszę sięgać po element fikcji. Zwykle lubię grać inną postać, zwłaszcza jeśli to ma pozytywne skutki i pomaga mi w ochronie obiektów, tak jak w wypadku mojego dzisiejszego występu przed Stu Grahamem.

Bywa jednak i tak, gdy odgrywanie jakiejś roli sprawia, że robi mi się wstyd i czuję się podle.

Do tej właśnie kategorii zaliczałem występ sprzed chwili.

Ten ruch był konieczny, niemniej wiedziałem, że widok zapłakanej kobiety i przerażenia w jej oczach na wiadomość, którą zakomunikowałem jej na początku, zapadnie mi w pamięć na bardzo długo.

## Rozdział 38

Wróciłem do schronu w Great Falls krótko po dziesiątej wieczorem i odprawiłem rytuał z wbijaniem kodu, by opuścić most zwodzony.

Gdy znalazłem się za ogrodzeniem, zauważyłem nowy samochód, który stał z pracującym silnikiem. Za kierownicą siedział młody pracownik naszej organizacji.

Szczupły Afroamerykanin około trzydziestki zobaczył mnie, wyłączył silnik i wysiadł. Przywitał mnie skinieniem głowy i dogonił przy schodach prowadzących na werandę. Widziałem, jak zbliżywszy się do mnie, zmarszczył nos i uświadomiłem sobie, że przyzwyczailem się już do zapachu spalenizny. Przestałem go po prostu czuć.

- Serwus, Geoff.

- Cześć, Corte. Wszystko gra?

- W porządku. - Zajrzałem do samochodu, w którym przedni fotel zajmował jeszcze jeden młody mężczyzna o okrągłej, ostrzyżonej na jeża głowie. Jego oczy zatrzymały się na mnie przez moment, po czym podjęły przerwana obserwację posesji.

- Czekaliśmy tu, tak jak mówileś.

Geoff odebrał agenta specjalnego FBI Tony'ego Barra w miejscu, które uzgodniłem z Freddym, w pół drogi między schronem w Great Falls a domem agenta. Ponieważ rozejm z Westerfieldem był dość kruchy, postanowiłem bezpośrednio nie ujawniać lokalizacji schronu nikomu spoza swojej organizacji. Obawiałem się, że prokurator federalny mógłby się dowiedzieć i osobiście najechać dom, by przesłuchać głównego świadka w prestiżowej sprawie przekrętu finansowego w stołecznej policji.

Nie bez znaczenia była też moja zasadnicza niechęć do ujawniania jakichkolwiek informacji.

- Tożsamość? - spytałem. Mieliśmy do czynienia z Lovingiem, więc ostrożności nigdy nie było za wiele. Geoff odrzekł jednak, że biuro Freddy'ego przesłało do naszego biura zdjęcie Barra i program rozpoznawania twarzy potwierdził, że to naprawdę agent.

- Wrażenia? - Wskazałem głową przednie siedzenie w samochodzie.

- Doświadczenie wojskowe, skupiony, ma na koncie parę akcji taktycznych. Niewiele mówił.

Freddy wyrażał się o Barrze w samych superlatywach.

- Na razie czekajcie cierpliwie. Obaj.

- Jasne, Corte.

Podszedłem do drzwi wejściowych, wcisnąłem co trzeba na klawiaturze i otworzyłem je.

Z zadowoleniem zobaczyłem, że Kesslerów ani Maree nie ma w pobliżu. Byli natomiast Ahmad i Garcia; wiedzieli, że to wóz z centrali, ale nie wiedzieli, po co przyjechał.

- Możemy chwilę pogadać? - spytałem Garcię.

- Jasne.

Poleciłem Ahmadowi zrobić obchód i wyszedł natychmiast.

- W drodze rozmawiałem z agentem Fredericksem - powiedziałem.

- Tak, Corte?

- Zwalnia cię z tego zadania.

Agent milczał, a jego kamienna twarz była równie wymowna jak okrzyk szoku.

- Przykro mi, ale nie rozumiem.

- Pół godziny temu rozmawiałem z twoją żoną Cheryl. W twoim domu.

Lekko otworzył usta. - W moim...

- Kiedy wcześniej zadzwoniłem, powiedziałeś mi, że z nią rozmawiałeś. O swoim synku i o meczu - stąd wiedziałem. No więc pojechałem się z nią spotkać.

Zorientował się, do czego zmierzam. Zakazałem im prywatnych rozmów ze schronu. Absolutnie żadnych.

- Ale... chodzi o to, że jest w ciąży. Muszę sprawdzać, jak się czuje. To były tylko trzy minuty. Dzwoniłem z zimnego telefonu.

- Powiedziałem jej, że muszę cię znaleźć, że coś się stało. Powiedziała mi, że jesteś w Great Falls w bok od Harper Road. - Nie



wspomniałem o jej szoku i przerażeniu, gdy mignąłem jej legitymacją i poinformowałem o zaginięciu jej męża.

Jego okrągła twarz chyba jeszcze bardziej nabrzmiała i poczerwieniała. Zaczął błędzić oczami po podłodze.

- Nie... w ogóle o tym nie pomyślałem... Cholera jasna. Po prostu zapytała mnie, czy jestem na południowym wschodzie czy w innym niebezpiecznym miejscu, więc powiedziałem tylko, że jestem w czymś w rodzaju pensjonatu w Great Falls... Jezu, myśli pan, że Loving to usłyszał?

- Nie. - W drodze powrotnej poleciłem Hermesowi sprawdzić sygnał wokół domu Garcii. Gdyby Loving podsłuchiwał rozmowy, odbiornik wciąż znajdowałby się w domu, by wychwycić nowe informacje. Nie było żadnego dowodu na to, że podrzucił w okolicy jakąś pluskwę. Realistycznie rzecz biorąc, Loving prawdopodobnie nie miał pojęcia, kim jest Garcia ani jakie dostał zadanie, nie mógł też wytropić jego żony. Nie o to jednak chodziło.

- Czy Cheryl...

- Agent Fredericks kazał ją przewieźć razem z dziećmi do bezpiecznego miejsca. Ciebie też zamierzam tam wysłać, żebyś z nią został. Będzie w izolacji do czasu zakończenia tej sprawy.

Z nieszczęśliwą miną pokiwał głową.

- Przepraszam... Nie wiem, co powiedzieć. To dla mnie coś zupełnie nowego. Praca w ochronie.

Oczywiście. Ale jego przewinienie nie miało nic wspólnego z zaniedbaniem obowiązków owczarka czy cienia. Garcia po prostu nie wykonał otrzymanych ode mnie rozkazów. Najprostszych pod słońcem.

- Nie chcę zostać zwolniony. Nie mogę. Uwielbiam swoją pracę.

- Rozumiem, Rudy. Zwalniamy cię tylko z tego zadania. Nie zamierzam podawać cię do raportu. Twoja dalsza kariera to sprawa między tobą a agentem Fredericksem. Zbieraj swoje rzeczy. Mój współpracownik, który czeka na zewnątrz, odwiezie cię do żony i dzieci.

- Tak jest. Dzięki, że nie jest pan piłą.

Nie wiedział, że okazuję mu wielkoduszność, kierując się po prostu własnym interesem. Nie mógłbym sobie pozwolić na to, by mój były niezadowolony pracownik znał miejsce pobytu moich obiektów, nawet gdyby został odizolowany. Przynajmniej do czasu zakończenia

zadania. Później byłoby mi wszystko jedno, czy zostanie wylany, czy nie. Radziłbym Freddy'emu, żeby go wyrzucił.

Skuteczność. Racjonalne strategie.

Chwilę później do holu wpadła Joanne i szybko do mnie podeszła. Zmarszczyła nos, zdziwiona wonią spalenizny i widokiem sady na mojej skórze.

- Co z moją pasierbicą? - wyrzuciła z siebie.

Dołączył do niej Ryan, pytająco unosząc brwi.

Oczywiście zadzwoniłem do nich z samochodu, żeby ich poinformować o udanej ucieczce z domu Cartera i zapewnić, że oboje są już bezpieczni. Ale rodzice chcieli znać więcej szczegółów i potrzebowali więcej otuchy. Powiedziałem im, że umieściłem Amandę w areszcie.

- Chciałam z nią porozmawiać - mówiła rozgorączkowana Joanne. - Próbowałam się dodzwonić, ale nie odbierała telefonu.

- Wolałbym, żeby na razie nikt się z nią nie kontaktował. Chcę utrzymać jej miejsce pobytu w absolutnej tajemnicy.

- Co to za problem, żeby z nią chwilę porozmawiała?

- Mogłaby wspomnieć, gdzie jest.

- Dlaczego nie możemy wiedzieć? - spytał Ryan.

- Jest cenna dla Lovinga jako hak na ciebie. Nie chcę, żeby w eter poszła choćby najmniejsza wskazówka. Wiemy, że jest całkowicie bezpieczna. Jest z nią Carter i zostali zupełnie odizolowani.

- Myślałam, że nie chcesz nikogo zamykać w pudle - zauważyła Joanne.

Zwróciłem uwagę na to, jak szybko przyjęła nasz zawodowy żargon.

- Zazwyczaj nie chcę. Ale zmieniły się okoliczności. Amanda chyba znosi to lepiej niż Carter - dodałem. - Mówił, że jest z niej twarda sztuka i to prawda.

Ryan pił kawę. Nie poczułem alkoholu.

- Możemy wyeliminować sprawę Grahama - powiedziałem do nich obojga.

- Czego się dowiedziałeś?

Opowiedziałem im, jak syn Grahama sfalszował czek.

- Wszystko dlatego, że nie chciał wracać do college'u.

Joanne pokręciła głową, być może zbulwersowana taką dysfunkcją rodziny, w której dzieci muszą się uciekać do podobnych taktów.

Masując niesprawną nogę, Ryan rzekł:

- Dzieciaki na ogół po prostu rzucają uczelnię. Nie popełniają przestępstw w innym stanie. Tak czy inaczej, złamał prawo, nawet jeżeli ojciec nie chce składać skargi. Mógłbym ścigać szczeniaka.

Zawahałem się przez chwilę, po czym spytałem go:

- Poznałeś Grahama?

- Tak.

- Jakie wrażenie na tobie zrobił?

- Skurczybyka. - Kessler prawdopodobnie zrozumiał, co mam na myśli. - Nie dziwię się chłopakowi, że zrobił swoje. Chyba mu odpuszczę.

- Kto dzwonił do wydziału Ryana i naciskał, żeby umorzyć śledztwo? - zastanawiała się głośno Joanne.

*Ktoś wpływowi...*

- Zapewne któryś z szefów Grahama z Departamentu Obrony. To nieistotne. W tej chwili to kwestia drugorzędna.

Rudy Garcia wyszedł, w ogóle nie patrząc w moją stronę. Podsze-  
dłem do drzwi i przyglądałem się, jak wsiada do samochodu, po czym  
gestem wezwał do środka Tony'ego Barra. Przedstawiłem mało-  
mównego i poważnego agenta FBI swoim obiektom oraz Lyle'owi  
Ahmadowi, który - na mój znak - odciągnął go na bok, aby go wta-  
jemniczyć w obowiązujące w schronie zasady. Szybko się w nich zo-  
rientował. Ucieszyłem się, że Freddy polecił nam kogoś takiego.

- Ryan - powiedziałem - muszę cię o coś prosić.

- Jasne, o co?

- Chodzi o wszystkie dokumenty tych spraw administracyjnych,  
nad którymi pracujesz.

- O... mówisz o tych księgowych bzdurach? - Machnął ręką w kie-  
runku stołu w jadalni, gdzie leżały wewnętrzne dokumenty policji.

- Właśnie. Muszę przesłać kopie prokuratorowi federalnemu.

- Myślisz, że to ma być powód, dla którego ktoś chce porwać Ry-  
ana? - spytała Joanne. - Że odkrył coś nielegalnego w departamencie  
policji?

- Nie - odparłem.

- No więc...

Zastanowiłem się, jak najlepiej opisać swoją strategię w rozgrywce  
z Westerfieldem. Wreszcie wybrałem.

- Muszę rzucić psu kość.

## Rozdział 39

Choć żadne z nich nie zdawało sobie z tego sprawy, Joanne i jej mąż w identyczny sposób marszczyli brwi.

Zazwyczaj nie zdradzam szczegółów swojej strategii obiektom, ale teraz uznałem, że rozsądnie będzie powiedzieć im, co się dzieje. Wyjaśniłem, że kiedy rozmawiałem z Claire duBois o lokalizatorach tuż przed naszym spotkaniem w hotelu Hyatt, rzeczywiście przyszło mi na myśl, że powodem operacji przeciwko Ryanowi może być jego zadanie związane z policyjnym budżetem.

- Polecilem swojej współpracownicy zbadać tę sprawę i przeświecić szefa detektywów Lewisa, samego komendanta policji, ludzi w komisji. Nawet parę osób z ratusza.

DuBois nie znalazła jednak dowodów żadnej malwersacji. Rozmawiała z kilkudziesięcioma funkcjonariuszami i urzędnikami administracyjnymi stołecznej policji, uzbrojona w długopis i kalkulator. Ustalenia Westerfielda i Teasley na temat przepływu pieniędzy z konta na konto jej zdaniem wyglądały zupełnie niewinnie.

- To prawda - potwierdził Ryan, marszcząc czoło. - Czasem pieniądze trafiały na niewłaściwe konto, ale czekały tam, dopóki ktoś ich nie znalazł i nie przelał tam, gdzie powinny być. Na tym właśnie polegało moje zadanie - nie miałem prowadzić śledztwa, tylko opracować lepsze procedury transferu środków między różnymi wydziałami.

- W każdym razie prokurator federalny uważa, że to okazja do wielkiej politycznej sprawy o korupcję. Nie zdradziłem mu, że to ślepa uliczka. Nawet go zachęcałem, żeby poszedł tym tropem. - Nie wspominałem, że Freddy zorientował się, o co chodzi, i mi pomógł.

*Krzężyły jakieś plotki...*

- Współpracujecie ze sobą? - spytała Joanne.

Dobre pytanie, na które odpowiedź brzmiała: nie zawsze.

Ryan wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy, wyślę mu, co będziesz chciał.

- Wszystko. Ale zacznij od najbardziej skomplikowanych rzeczy.

Uśmiechnął się.

- Westerfield będzie też chciał z tobą porozmawiać. Powiedz mu prawdę, niech sam się pogłowi.

- Będę trochę tajemniczy - zaproponował Ryan.

- Świetnie. Przypomnij sobie jakąś książkę o teoriach spiskowych, którą czytałeś.

Joanne została jeszcze przez chwilę, stojąc z zakłopotaniem z wysuniętymi do przodu ramionami. Wiedziałem, że chce zadzwonić do Amandy, ale nie mogłem jej na to pozwolić. Nie chciałem, by ktokolwiek poza moimi kontaktami w pudle w Loudoun wiedział, że są tam dziewczyna i Carter. Nie prosząc jednak o to więcej, powiedziała mi dobranoc i zniknęła w głębi korytarza.

Zauważyłem stojący na kanapie komputer Maree. Zapewne też już położyła się spać. Nagle uświadomiłem sobie, że pod nieobecność tej młodej kobiety w domu panuje dziwny spokój. Cokolwiek by o niej powiedzieć, Maree na pewno ożywiła moje zadanie jak jeszcze żaden z dotychczasowych obiektów.

*Panie przewodniku...*

Ryan przyniósł wszystkie dokumenty do pokoiku, w którym siedziałem, sprawdzając skrzynkę e-mailową. Zaczął je porządkować i układać na biurku w równiutkich plikach.

- Tu jest pierwsza porcja - rzekł i zabrał się do reszty.

Wrogość i uprzedzenie z naszego pierwszego spotkania zniknęły bez śladu.

- Corte, mogę ci zadać osobiste pytanie?

Podobna prośba zwykle włączała u mnie sygnał ostrzegawczy, ale z niewiadomego powodu odparłem:

- Jasne.

- Jak to się stało, że dostałeś pracę w tym baby-sittingu? Zaraz, chyba cię nie obrażam?

- Mnie nie.

- No tak - zaśmiał się. - Jak się tym zająłeś? Nie wiem, byłeś wcześniej czymś ochroniarzem?

- Odpowiadając skrótowo, zostałem aresztowany.

Ryan zerknął na mnie rozbawiony.

- Teraz to już musisz się wytłumaczyć. - Kuśtykając, poszedł do kuchni i zawołał stamtąd: - Kawy?

- Chętnie - odrzekłem.

Przyniósł mi duży kubek, pamiętając, że piję czarną.

- No więc? - podjął Ryan, kartkując swoje materiały.

Opowiedziałem, jak zacząłem biegać na orientację na uniwersytecie w Austin i zainteresowałem się tropicielstwem.

Zmarszczył brwi, więc wyjaśniłem.

- Rozpoznawałeś ślady, jak Indianie? - spytał.

- Właśnie. Pewnego weekendu pojechałem do San Antonio na zawody w biegu na orientację. Był długi, impreza trwała cały dzień. Dotarłem do punktu kontrolnego na półmetku i do następnego postanowiłem pobiec inną trasą, nie w linii prostej. Czasami najprostszą drogą jest znacznie dłuższa.

Przedzierałem się przez jakieś zarośla i usłyszałem coś, co brzmiało jak płacz. Poszedłem sprawdzić i zobaczyłem rodzinę. Nie miałem wątpliwości, że to nielegalni imigranci, którzy poprzedniego dnia musieli się przeprawić przez Rio Grande. Pomyślałem, że któreś z nich jest ranne, więc podszedłem do nich.

- Mówisz po hiszpańsku?

- To się przydaje w Teksasie. - I w mojej obecnej pracy.

- Pewnie tak.

- Miałem na sobie strój startowy - rodzaj dresu - więc nie przypuszczali, że jestem z policji. Zapytałem, co się stało. Powiedzieli, że ścigają ich jacyś ludzie. Skradli portfel ojcu ze - wszystkimi oszczędnościami - i próbowali zgwałcić kilkunastoletnią córkę. Ojciec wyrwał jednemu z nich broń i uciekli, ale ci mężczyźni ruszyli w pościg. Miałem przy sobie komórkę, więc powiedziałem, że zadzwonię po pomoc. Wpadli w panikę i zaczęli mnie błagać, żebym tego nie robił.

- Bo byli nielegalnymi imigrantami.

- I dlatego, że napastnikami byli nasi. Ze straży granicznej.

- Ach.

- Rodzinie udało się ich zgubić, ale byli coraz bliżej. Widziałem czterech czy pięciu idących ich tropem. Tropicielstwo to nie tylko rozpoznawanie śladów, lecz i poszukiwanie osoby, która je zostawiła.

To właśnie robili funkcjonariusze ze straży granicznej - próbowali złapać tę rodzinę. Wiedziałem, co się stanie, jeżeli ich złapią. Widzieliśmy ich jakiś kilometr od naszej kryjówki.

- „Naszej”. Chyba już kapuję, do czego zmierzasz.

- Nie mogłem ich zostawić. Na pewno by zginęli. No więc poprowadziłem ich okrężną drogą, starając się zatrzeć wszystkie ślady. To była zabawa w kotka i myszkę, ale w końcu się udało. Mniej więcej trzy godziny później odstawiłem ich do San Antonio, gdzie schronili się w kościele.

Miałem wtedy dwadzieścia trzy lata i większą część życia spędziłem w szkołach. Tamto popołudnie było bezsprzecznie moim najbardziej emocjonującym doświadczeniem.

- Powiedziałeś, że zostałeś aresztowany. Jestem pewien, że nie zrobiłeś niczego złego. Przecież formalnie rzecz biorąc, mogłeś powiedzieć, że nie wiedziałeś, że to nielegalni imigranci. Po prostu pomagałeś ludziom uciec przed napastnikami.

- Nie wspominałem, że jeden ze strażników wyprzedził nas i podjechał samochodem przez wyschnięty potok. Mogliśmy się wydostać tylko wozem. Bałem się, że ojciec zastrzeli funkcjonariusza, więc wziąłem od niego broń, podkradłem się do strażnika od tyłu i zabrałem mu dżipa i broń.

- Za to już grozi areszt - przyznał Ryan.

- Kiedy odwoziłem rodzinę do kościoła, wyrzuciłem broń do jeziora, a dżipa zostawiłem na parkingu przed sklepem spożywczym. Na trasę biegu wróciłem taksówką.

- Jak cię złapali?

- Kontrola odcinków - wyjaśniłem. - To procedura bezpieczeństwa podczas biegu na orientację. Sędziowie porównują odcinek karty z kartą startową oddawaną na mecie. Jeżeli ktoś nie skończy biegu, wysyłają grupę poszukiwawczą. Funkcjonariusze straży granicznej widzieli flagi na punktach kontrolnych - są biało-pomarańczowe, więc trudno ich nie zauważyć - i dowiedzieli się o zawodach. Następnego dnia odnaleźli mnie w szkole. Aresztowali mnie, a sprawa trafiła do agenta FBI z Waszyngtonu, który był wtedy w mieście. Agentą Fredericksa. Tego samego, z którym teraz pracuję.

- Ale jeżeli jesteś funkcjonariuszem federalnym, nie mogłeś zostać skazany za przestępstwo.

- Okazało się, że Freddy przyjechał do Teksasu, żeby zbadać sprawy strażników granicznych podejrzanych o okradanie i napaści na nielegalnych imigrantów. Tak więc zamiast oskarżonym, zostałem świadkiem. Pomogłem doprowadzić do skazania czterech osób.

- A tamci imigranci?

Uśmiechnąłem się do niego.

- Tak się jakoś złożyło, że zapomniałem, dokąd ich odwiozłem.

- Świetnie.

- Skończyłem studia i zacząłem uczyć. Ale nie mogłem przestać myśleć o tamtym weekendzie. Kilka lat później zadzwoniłem do agenta Fredericksa, który skontaktował mnie z kimś z Biura Bezpieczeństwa Dyplomatycznego - w Departamencie Stanu - i spędziłem u nich parę lat, chroniąc naszych ludzi w ambasadach i cudzoziemców w Stanach. W końcu przestało mi się podobać ciągle życie w rozjazdach, więc dowiedziałem się o instytucji, w której teraz pracuję. Wstąpiłem do niej i pracuję tam do dzisiaj.

Ryan skończył składanie materiałów, które miał wysłać Westerfieldowi. Zebrało się tego około dwustu stron wypełnionych liczbami i wykresami, zupełnie dla mnie niezrozumiałymi.

- Doskonale - pochwaliłem go.

- Mogę cię o coś zapytać, Corte?

- Pewnie.

- Ilu swoim obiektom opowiadałeś tę historię?

- Żadnemu - odpowiedziałem szczerze.

Uśmiechnął się szeroko.

- A ile z tego jest prawdą?

- Wszystko, od początku do końca - odparłem.



# PONIEDZIAŁEK

*Należy pamiętać, że gra polega zarówno na obronie, jak i ataku, trzeba więc być gotowym do ochrony zajętych przez siebie terytoriów.*

Z instrukcji gry planszowej „Ryzyko”

## Rozdział 40

Claire duBois zadzwoniła tuż przed dziewiątą rano. To, co miała mi do zakomunikowania, wiele wyjaśniało. I działało zniechęcająco.

Zanotowałem informacje i poszedłem do kuchni, gdzie przykryty żółtym obrusem w kratę stół był już zastawiony śniadaniem, na które składały się obwarzanki, serek śmietankowy i dżem. Dwoje moich podopiecznych piło kawę z kubków. Joanne siedziała przed laptopem, z uwagą wpatrując się w ekran. Przywitała mnie przelotnym spojrzeniem, ale natychmiast wróciła do komputera.

- Gdzie Maree? - spytałem.

- Jeszcze śpi - odrzekł Ryan.

- Właśnie rozmawiałem z Claire - oznajmiłem im z ponurą miną. - Nie chodzi o tę drugą sprawę, Ryan.

- Nie o przekręt Clarence'a Browna... to znaczy Pamuka? - zdziwił się detektyw.

- To nie on jest dyspozytorem.

- Ależ na pewno on - upierał się skonsternowany Ryan.

- Też tak myślałem - odparłem. - Ale to nie jest piramida finansowa. Interes Pamuka jest legalny.

- Fałszywe firmy, fałszywe nazwisko... jak to może być legalne?

- Oficjalnie i zgodnie z prawem zmienił nazwisko. A wszystkie zaświadczenia firm „działających pod nazwą” są bez zarzutu. Owszem, to były firmy wydmuszki, ale to zdaje się niekoniecznie oznacza coś złego; to samo dotyczy połowy korporacji notowanych na nowojorskiej giełdzie. Pamuk ma dobrą sytuację finansową, księgi są w porządku. Rachunki zgadzają się co do joty.

- A ludzie, którzy domagali się zwrotu pieniędzy? - zapytał Ryan. - Przecież Pamuk ich zwodził.

- Niektórym już wypłacił. Pozostałym wypłaci w ciągu kilku następnych dni. Dostaliśmy informacje z wydziału przestępstw gospodarczych Interpolu. Skontaktowali się ze specjalistami od księgowości śledczej i bezpieczeństwa w Londynie, Nowym Jorku, Paryżu i na Wielkim Kajmanie. Dokładnie prześwietlili jego przedsiębiorstwo.

Ryan zaśmiał się z goryczą.

- Przez parę tygodni próbowałem nakłonić glińiarzy zza granicy, żeby zechcieli ze mną pogadać. Francuzi nawet nie odpowiadali na telefony. Tak samo w George Town. Widocznie bardziej się liczyicie niż my, tajniacy z Waszyngtonu.

Przypomniałem sobie, jak gorzko skomentował swój status w stołecznym departamencie policji.

*Głina od drobnicy...*

Joanne uniosła głowę, wykazując pewne zainteresowanie, lecz zaraz ponownie utkwiała wzrok w ekranie. Zastanawiałem się, co ją tak zaciekawilo. Nie wolno jej było korzystać z Internetu, więc musiała studiować pliki zapisane na twardym dysku.

- Mechanizm działania był taki - ciągnąłem. - Pamuk przelewał pieniądze inwestorów na Bliski Wschód przez kilkadziesiąt firm wydmuszek zarejestrowanych w Ameryce, Europie i Azji.

- Zgadza się. Żeby finansować działalność terrorystyczną.

- Nie. Kupował tylko udziały w spółkach i inwestował w długi. Naprawdę uważa, że firmy arabskie gwarantują zysk, ale wie, że Amerykanie mogą mieć opory przed taką inwestycją. Chodzi o patriotyzm. A część akcjonariuszy z tych krajów nie szalałaby z wściekłości, wiedząc, że inni udziałowcy jedzą na kolację wieprzowinę w sosie i popijają piwem, a w niedzielę chodzą do kościoła. Dlatego zbudował kilkupiętrową strukturę firm wydmuszek. Jeżeli sięgnąć głębiej, znajdzie się szczygóły.

Ryan westchnął.

- Kiedy ktoś chce wcześniej wycofać środki - ciągnąłem - trwa to dłużej niż w wypadku funduszu w Stanach, z powodu wielopiętrowej struktury korporacji i prawa obowiązującego za granicą. To czasochłonne, ale absolutnie legalne. Nikt nie został okradziony. Co więcej, w tym roku stopa zysku z inwestycji przewyższyła wskaźnik indeksu S&P 500 o cztery procenty.

- Nie ma przestępstwa, nie ma powodu wynajmować zbieracza.

- Zgadza się.
- Niech to szlag - mruknął. - Znowu ślepa uliczka.

Tak więc jeden z najlepszych zbieraczy w branży zamierzał porwać Ryana Kesslera. Powodem nie była żadna z dwóch największych prowadzonych przez niego spraw. Ani zadanie administracyjne, jakie mu powierzono.

Teoria gier uwzględnia wiadome i niewiadome równania. Nie wiadomo, ile oczek na kości się wyrzuci, jaką wyciągnie się kartę; nie wiadomo, jaką strategię w następnym ruchu wybierze przeciwnik.

Czasem drżąca dłoń wykona błędny ruch.

Zawsze jednak wiadomo jedno: kim jest przeciwnik i jaki cel chce osiągnąć.

W tej grze było inaczej. Nie znałem przeciwnika - tylko jego piona, skoczka albo wieżę: Henry'ego Lovinga.

Nie znałem nawet celu gry.

W co graliśmy? W brydża, arimaa, tryktraka, go? W „Grę w życie”? W pokera?

Niewiadome, same niewiadome.

Ryan Kessler masował niesprawną nogę, patrząc na obraz nad kominkiem, przedstawiający inne grube konie na chudych nogach.

- Może to jednak naprawdę któraś z mniejszych spraw. Wydawało mi się, że nie, ale to możliwe. Kradzież tożsamości albo karty kredytowe.

Nagle głos Joanne zza naszych pleców powiedział stanowczo:

- Nie, to żadna z nich.

Ryan i ja odwróciliśmy się do niej.

- Mam odpowiedź - szepnęła, odrywając wzrok od ekranu laptopa i lekceważąco machając ręką. - Lovingowi nie chodzi o Ryana... ale o moją siostrę. Zależy mu na mojej cholernej siostrze.

## Rozdział 41

Ryan zmarszczył brwi. - Maree? Niemożliwe. Przecież ona nawet nie nazywa się Kessler.

Joanne spojrzała na mnie.

- Czy ktoś rzeczywiście widział rozkaz „Złapać Ryana Kesslera” w tym e-mailu, o którym mówiłeś?

- W poleceniu rozpoczęcia zadania? Nie, ale było w nim nazwisko „Kessler” i wasz adres.

- Jest taki sam jak adres Maree - odparła Joanne.

Zastanowiłem się nad tym.

- To prawda. Ale dlaczego sądzisz, że to ona?

Ruchem głowy wskazała komputer - należący do jej siostry.

- Mar zostawiła go tu wczoraj wieczorem.

Przypomniałem sobie, że widziałem laptop po powrocie z domu Garcii.

- Zastanawiałam się, czy nie stoi za tym Andrew - powiedziała Joanne. - Chciałam sprawdzić, czy w jej starych e-mailach jest coś, co mogłoby na to wskazywać.

Jej mąż zerknął na mnie pytająco.

- Andrew. To możliwe?

- Nie, sprawdziliśmy go - odpowiedziałem. - Poleciałem swojej współpracownicy przyjrzeć mu się, gdy tylko padło jego imię. Pamiętacie, jak w sobotę w samochodzie powiedziałem Maree, że powinna do niego zadzwonić? Zrobiłem to, żeby zdobyć jego numer. Claire go sprawdziła. Jest czysty - w każdym razie z naszego punktu widzenia. Parę razy podejrzany o napaść, kilka lat temu miał dwa zarzuty o pobicie i przemoc domową. Wydano zakaz sądowy. Ale nie ma żadnych związków z Henrym Lovingiem.

- Nie mówię o Andrew - wyjaśniła Joanne. - Znalazłam coś

innego. Patrzcie.

Odwróciła monitor w naszą stronę. Zobaczyłem na ekranie logo Global Software Innovations, gdy Joanne uruchomiła program do edycji i archiwizacji zdjęć. Otworzyła kilka ostatnich fotografii zrobionych przez siostrę - serię z centrum Waszyngtonu - a wśród nich zdjęcia, które pomagałem jej wybierać. Zatrzymała się na obrazie, który widziałem poprzedniego dnia, ale na który nie zwróciłem uwagi. Też przedstawiał dwóch mężczyzn zajętych rozmową. Siedzieli w ogródku kawiarnianym niedaleko National Mail. Jeden był pod sześćdziesiątkę, drugi może dwadzieścia lat młodszy. Tło było niewyraźne - zapewne celowo nieostre - a uwagę widza przykuwały przejęte twarze mężczyzn.

- Widzisz coś niezwykłego? - spytała Joanne.

Przyjrzałem się uważnie fotografii. Po chwili zauważyłem, że starszy z mężczyzn wsuwa coś do dłoni młodszego. Nie sposób było zobaczyć, co to mogło być, ale wyglądało jak komputerowa pamięć USB. Zapytałem, czy o to jej chodzi.

- Tak.

- No i co? - spytał Ryan.

- Nie poznajecie tego starszego? - ciągnęła ze złością w głosie Joanne.

- Nie - odparłem. - A powinienem?

Ryan przecząco pokręcił głową.

- To Martin Allende. W zeszłym tygodniu mówili o nim w wiadomościach. - Joanne wyjaśniła, że to kolumbijski dyplomata podejrzany o pranie pieniędzy Al-Kaidy w bankach w swoim kraju.

Musiałem uwierzyć jej na słowo. Jak przez mgłę pamiętałem mi-gawkę na ten temat.

Joanne dodała, że według materiału w telewizji Kolumbijczykowi nie można było postawić zarzutów, bo władzom nie udało się trafić na trop terrorystów ani zagranicznych banków.

- Maree zrobiła mu zdjęcie z jego kontaktem - to ten młodszy. - Zauważyłem, że ze złości drżą jej ręce. - To dlatego ją ścigają. Żeby zabrać jej aparat, komputer, żeby sprawdzić, czy nie ma więcej kopii, czy nie zrobiła więcej zdjęć. Boją się, że ktoś z agencji bezpieczeństwa - z FBI, CIA czy Analiz Wywiadowczych - mógłby zidentyfikować człowieka, z którym Allende jest na fotografii. Pamiętacie tego

mężczyznę, który wpadł na Maree i ją przewrócił? Założę się, że chciał coś zabrać z jej torebki, żeby zdobyć jej adres.

Przyjrzałem się bacznie fotografii. Pochyliłem się, podłączyłem do laptopa kabel i ściągnąłem zdjęcie na swoją komórkę, po czym napisałem instrukcje dla duBois i wysłałem e-maila z telefonu.

Joanne siedziała jak na szpilkach. Maską obojętności, którą nosiła przez cały weekend, spadła z niej na dobre. Na twarz wystąpił jej rumieniec, oczy płonęły z wściekłości.

- Mojej niewinnej siostrzyczce zachciało się wtykać nos w cudze sprawy... Czy ona kiedykolwiek używa swojego ptasiego mózdzku? Co sobie wyobrażała, gdy zaczęła robić zdjęcia ludziom w publicznych miejscach? Nie przyszło jej do głowy, że to może być idiotyczny pomysł?

Zastanawiałem się, czy zbliża się do przewidywanego załamania. Dusiła w sobie uczucia od sobotniego ranka. Eksplozja wisiała w powietrzu. Widziałem to już dziesiątki razy.

- Dowiemy się - powiedziałem, wskazując na telefon.

- Ona nigdy nie bierze pod uwagę konsekwencji... A kto za to dostaje w dupę? My. Nasza córka o mały włos przez nią nie zginęła! Dlatego, że przyjechałam siostrunię pod swój dach. Żaden dobry uczynek nie uchodzi bezkarnie, tak? Nawet nie chciałam jej w domu. To najgorszy miesiąc w moim życiu. Maree prawi nam kazania o świętości sztuki, ale nie stać jej nawet na jedzenie. Odkąd się wprowadziła, co chwilę z Ryanem skaczemy sobie do gardeł. To jakiś cholerny koszmar.

- Jo... - odezwał się jej mąż.

- Powinam pozwolić jej wrócić do Andrew - burknęła. - Jedno warte drugiego. Przynajmniej mógłby wbić jej do łba odrobinę rozumu.

Wszyscy drgnęliśmy na przeraźliwy dźwięk alarmu. Ryan sięgnął po broń, ja też. Rozpoznałem jednak ten sygnał; nie oznaczał włamania, ale awaryjne otwarcie drzwi. Ktoś uruchomił mechanizm od wewnątrz, żeby się wydostać.

Błyskawicznie pojawił się Ahmad uzbrojony w bushmastera M4, z jedną dłonią na łożu karabinu i palcem na kabłąku spustowym. Za jego plecami stał Tony Barr z pistoletem w rękę.

Uniosłem dłoń.

- Och, nie - szepnęła Joanne, szeroko otwierając oczy. Patrzyła przez okno na werandę, gdzie stała Maree, spoglądając na nas przez szybę. Młodsza siostra słyszała wszystko, co Joanne powiedziała na jej temat. Jeszcze przez chwilę widzieliśmy jej twarz ściągniętą bólem. Nagle odwróciła się i ruszyła biegiem przez trawnik w kierunku lasu.

- Nie, błagam, Maree, nie! - Joanne skoczyła do drzwi.

- Zostań - rozkazałem stanowczym głosem. Poleciałem Ahmadowi i Barrowi ubezpieczać obiekty, a sam wypadłem na zewnątrz, chowając broń.



## Rozdział 42

Agent DEA, z którym zaprzyjaźniłem się w Teksasie, powiedział mi, że w rozpoznawaniu śladów i tropieniu dobrze jest znać cel osoby, której się poszukuje.

Niektórzy uciekinierzy mają w głowie tylko to, żeby znaleźć się w innym miejscu niż pościg. Są gotowi uciec dokądkolwiek, wszystko jedno jak.

Tych najtrudniej wytropić.

Najłatwiej natomiast znaleźć tych, którzy zmierzają do konkretnego miejsca, a tropiciel je zna albo potrafi się go domyślić.

Przypuszczałem, że Maree ma takie miejsce. Musiałem jednak odnaleźć jej trop, bo mogła się skierować do kilku miejsc. Koniecznie musiałem tam dotrzeć przed nią. Przystanąłem na skraju lasu i rozejrzałem się, patrząc na łamigłówkę pni drzew, gałęzi i liści. Większość zieleni wokół domu została wycięta ze względów bezpieczeństwa, żebyśmy mieli lepszą widoczność na odkrytym terenie. Ale dalej rozciągał się nieprzenikniony gąszcz.

Zauważyłem odwrócone gałęzie, poruszone liście i kamyki wyraźnie przesunięte w inne miejsce, a potem kilka śladów modnych butów. Ruszyłem sprintem.

Pokonawszy sto metrów, przestałem szukać śladów w lesie. Już nie musiałem, ponieważ usłyszałem Maree przedzierającą się z uporem przez gęstwinę. Usłyszałem coś jeszcze. Dobiegał mnie coraz głośniejszy huk - potwierdzający moje przypuszczenia, dokąd zmierziała.

Kilka chwil później wydostałem się z lasu na polanę i zobaczyłem Maree przed sobą - wiedząc, jak szybko pokonywać zalesiony teren, udało mi się zmniejszyć dystans, ale wciąż była jakieś trzydzieści metrów przede mną.

Obejrzała się. Zobaczyła mnie i stanęła.

Jako owczarek ścigałem wiele ludzi, którzy w pewnym momencie przestawali uciekać. Zwykle dlatego, że nie mieli już dokąd, skończyła im się benzyna albo nie wytrzymali tempa i opadli z sił.

Czasem zatrzymywali się po prostu dlatego, że dotarli do punktu docelowego.

Maree stała na krawędzi urwistego, skalnego brzegu nad źródłem huku: rzeką Potomak. Kobieta, która dwa razy próbowała popełnić samobójstwo, spoglądała w wodę płynącą kaskadą po kamieniach. Powierzchnia wody znajdowała się tylko około dziesięciu metrów niżej, ale rzeka była tu wyjątkowo rwąca i naszpikowana skałami.

Wyglądało to na doskonale miejsce dla kogoś, kto chciał odebrać sobie życie. Ostrożnie podszedłem bliżej, powoli, żeby jej nie spłoszyć.

Maree usiadła, obróciła ku mnie zaczerwienioną twarz, spoglądając na mnie pustym wzrokiem. I ześliznęła się z krawędzi.

Dławiąc krzyk, pobiegłem w kierunku rzeki.

Ale po chwili ujrzałem jej głowę i zorientowałem się, że zsunęła się na występ skalny poniżej krawędzi urwistego brzegu. Maree siedziała na skalnej półce zawieszanej nad ogromnymi kamieniami i wartkim nurtem.

Dalej idąc wolno naprzód, dostrzegłem na drugim brzegu jakichś ludzi, zapewne turystów, spacerujących ścieżką graniczącą z kanałem Chesapeake i Ohio, który biegnie z Gorgetown aż do Cumberland w Marylandzie.

Dotarłem do rzeki i spojrzałem w dół na wzburzoną szarobrazową wodę, na pianę i lśniące kamienie. Po prawej ujrzałem Maree skuloną na skalnym występie, siedzącą ze skrzyżowanymi nogami jak joga.

- Maree - powiedziałem.

Bawiła się swoim aparatem fotograficznym. Powolutku przysunąłem się bliżej, aby się przekonała, że nie musi się mnie bać. Zatrzymałem się około pięciu metrów od niej, i także usiadłem - trochę dlatego, żeby nie widziała we mnie zagrożenia, a trochę dlatego, że nie jestem entuzjastą wysokości. Zerknęła na mnie, lecz po chwili skupiła całą uwagę na swoim canonie. Uniosła aparat i zrobiła kilka zdjęć panoramicznego widoku, a potem skierowała obiektyw na skały w dole. Później zrobiła coś dziwnego, bo wycelowała aparat we

własną twarz, spuchniętą i wilgotną od łez.

Mimo huku wody usłyszałem trzask migawki.

- Maree?

Nie odpowiadając, pstrykała dalej. Wreszcie odwróciła się do mnie i zrobiła mi zdjęcie. Gdy nie zareagowałem, oparła się plecami o skałę.

Spojrzałem w jej udręczone oczy. Czyżby zamierzała skoczyć?

- Maree, chciałbym, żebyś wróciła do środka.

- Tak tu pięknie... Nareszcie widzę, że opłaciło się pojechać na tę twoją wycieczkę.

- Proszę cię.

- Co powiesz na taką serię fotografii? - Dziwne, ale siostry zamieniły się rolami. Teraz to Joanne ulegała emocjom i wpadała w szal, a Maree była jej przeciwieństwem, obojętna i spokojna.

Zbyt spokojna.

- Jak myślisz? - ciągnęła. - Seria ze spadania do wody. Ciekawe, jak długo aparat będzie pstrykać. Mogłabym ustawić samowyzwalacz. Ale pewnie za chwilę padnie bateria. Jak długo twoim zdaniem to potrwa?

- Maree. Wracaj.

- Niedługo. Ale fotografie będą zapisane na karcie pamięci... Ciężko jest o wystawę w galerii. Ciężko sprzedać fotografie. Ale założę się, że ta seria zdobyłaby pierwszą nagrodę. Zrób mi dobrą reklamę.

Moim zadaniem jest ochrona obiektów przed wszystkim, nawet ich autodestrukcyjnym zachowaniem. To często najtrudniejsze. W ekstremalnych okolicznościach, w jakich działałam, ludzie niejednokrotnie rozważają samobójstwo. Żaden z moich obiektów nigdy nie posunął się do tego czynu, ale znam owczarków, których podopieczni zginęli z własnej ręki. Zwykle dochodzi do tego przy dłuższych zadaniach, kiedy dni odosobnienia zmieniają się w miesiące i obiekty coraz częściej zaczynają słyszeć niewinne dźwięki, które biorą za odgłosy wydawane przez zbliżającego się do nich zbieracza lub cyngla.

Bardziej podstępne jest ich własne rozumowanie. Ulegają przekonaniu, że ich dotychczasowe życie się skończyło, że rodzina i przyjaciele na zawsze znikną im z oczu, że nic ich już więcej nie czeka. I przez resztę swoich dni będą się musieli ukrywać. Alternatywne wyjście, które gwarantuje spokój, to śmierć.

W wypadku Maree na jej niekorzyść działała autodestrukcyjna natura. Zakochiwała się w agresywnych chłopakach, zaniedbywała podstawowe sprawy w swoim życiu, przeskakiwała spod skrzydeł jednego opiekuna pod skrzydła innego, choć w rzeczywistości każdy ją wykorzystywał i nudził się nią, kiedy przestawała na niego działać jej kokieteria, wdzięk nastolatki i artystyczne uduchowanie.

Spojrzała w wodę.

Ostrożnie się podniosłem i podszedłem odrobinę bliżej, po czym znów usiadłem.

- Nie musisz się obawiać. Nie ćwiczyłem rzucania się na ludzi i ratowania ich ze skrajnej przepaści. Prawda jest taka, że cholernie się boję stać tak wysoko.

Jej spojrzenie mówiło: daruj sobie dowcipy, panie przewodniku.

Oceńła dzielącą nas odległość i uznając zapewne, że nawet gdybym rzeczywiście się na nią rzucił, zdążyłaby skoczyć do wody, dalej naciskała migawkę. Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Zerwałem embargo.

- Bez względu na to, co mówiła twoja siostra, nie mamy pewności, czy chodzi o twoje zdjęcia.

- Fotografie. To fotografika.

- Niedługo będę miał więcej informacji.

- Ale to ma sens, nie? Fotografuję ludzi, którzy chcą pozostać anonimowi. Wsadzam nos w cudze sprawy? - dorzuciła z goryczą.

- Jest taka możliwość. - Nie zamierzałem obchodzić się z nią jak z jajkiem.

- Dziwię się, że nie przyszło ci to do głowy, Corte. Myślisz o wszystkim innym.

- Ja też się dziwię, że mi to nie przyszło do głowy. - Mówiłem szczerze. Zakończyłem badanie Maree, kiedy wykluczeliśmy Andrew jako potencjalnego dyspozytora.

Zrobiła kilka następnych zdjęć.

- Chcę coś powiedzieć - oznajmiłem. - Coś ważnego.

- W tych okolicznościach - odrzekła z ponurym uśmiechem - nie należy się chyba spodziewać żadnych nieważnych słów, prawda?

- Najtrudniej mi nauczyć swoich podopiecznych, że to zupełnie nieważne, czy ponoszą winę za to, że stali się celem czyjś ataku. Wiele razy są winni - chronię ich właśnie dlatego, że zrobili coś złego. Wszystko jedno, co zrobili. Mój obiekt ma prawo uniknąć zagrożenia

i przeżyć. Jeżeli ktoś popełnił przestępstwo, zapłaci za nie przed sądem. Jeżeli ktoś zrobił coś niemoralnego, odpowie w taki czy inny sposób. To nie moja sprawa. Mnie zależy tylko na tym, żeby obiekt przeżył - bez względu na to, czy czeka go więzienie czy szczęśliwa emerytura.

- A interesuje cię, czego ja chcę, Corte?

Uniosłem brew.

- Może ja nie chcę unikać zagrożenia? Co mi po bezpieczeństwie? Co tam takiego jest, czego potrzebuję? - Ruchem głowy wskazała schron.

- Twoja rodzina.

- Dwoje ludzi, których nie obchodzi, czy będę żyć, czy umrzeć.

- Oczywiście, że ich obchodzi. Maree, jeżeli mnie angażuje się w jakąś sprawę, to znaczy, że ludzie, których chronię, przeżywają najgorsze chwile w życiu. Mówią wtedy okropne rzeczy. Ale nie można sobie tego brać do serca. Przemawia przez nich strach. I frustracja.

Minęło kilka minut. Patrzyłem w wodę. Byłem w tym domu z obiektami kilkanaście razy i obszedłem cały teren, oglądając go i szukając najlepszych stanowisk ofensywnych i obronnych, w wielu miejscach kazałem wycinać drzewa albo sadzić nowe rośliny. Muszę jednak przyznać, że mimo swojego zamiłowania do biegów na orientację, tropienia śladów i wędrówek, właściwie nigdy nie miałem sposobności, by się nacieszyć tą okolicą.

Zauważyłem, że masuje ramię.

- Dlaczego Andrew zrobił ci krzywdę?

Schylła głowę.

- Nie kupiłeś historyjki o gburowatym biznesmenie?

- Nie.

- Jak się domyśliłeś?

- Mam doświadczenie.

Podejrzewałem, że się wykręci, ale mnie zaskoczyła. Odpowiedziała niemal bez wahania.

- Pytanie powinno raczej brzmieć, czego nie zrobiłam. - Zaśmiała się dziwnie. Ponuro i z kamiennym spokojem. - Wiesz, Corte, najstraszniejsze jest to, że nie pamiętam. Pewnie ugotowałam nie taki obiad albo ugotowałam taki, jak trzeba, ale nie tak, jak trzeba. A może wypiłam za dużo wina, kiedy przyszli jego znajomi, nie wiem. Wiem tylko, że mnie złapał... złapał i wykręcił. Trzasnęło mi ścięgno.

- Trzymała się za staw. - Przeplakałam wtedy prawie całą noc. Nie dlatego, że bolało. Ale dlatego, że myślałam o tym, że inni ludzie uszkadzają sobie łokcie, na przykład jeżdżąc na nartach albo pływając na desce windsurfingowej z ludźmi, których kochają. Ale nie ja. Nie, nie. Mnie łokieć uszkodził ktoś, kogo kochałam, bo chciał mnie skrzywdzić.

Patrzyła na swój aparat.

- Ale całe życie polega na kompromisach, prawda? No bo kto dostaje sto procent? Ja dostaję emocje, energię, pasję. Niektórym kobietom trafia się nuda i życie u boku pijaka. - Nie obejrzała się w stronę domu. - Wolałabym dreszczyk podniecenia i od czasu do czasu siniaki. - Z jej wąskich, różowych ust wyrwał się głuchy śmiech. - To się nazywa niepoprawny politycznie pogląd, co? Nic nie poradzę. Przynajmniej jestem szczerą.

Wahałem się przez chwilę. To była długa chwila i poważne wahanie. Ostrożnie zszedłem na skalną półkę i usiadłem obok Maree. Nie próbowała się odsunąć. Występ był bardzo mały i musieliśmy siedzieć tuż obok siebie, stykając się nogami. Czułem się okropnie na tej wysokości, lecz musiałem przyznać, że ta bliskość była przyjemna.

Nie byłem pewien, ile mogę jej powiedzieć. Wreszcie podjąłem decyzję i oznajmiłem:

- Zaraz po skończeniu studiów się ożeniłem.

- Jo mówiła, że teraz jesteś sam. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek byłeś żonaty. Patrzyłeś na Amandę tak jak ojciec czy wujek patrzy na czyjeś dziecko. Miałeś dzieci?

Znów się zawahałem i po chwili skinąłem głową, ale moja mina wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie zamierzam o tym mówić. Maree wyczuła, że przekroczyła niewidzialną granicę. Zaczęła coś mówić, ale urwała.

- Po kilku latach małżeństwa znaleźliśmy się w trudnej sytuacji - ciągnąłem szybko. - Pojawił się problem w postaci mężczyzny z przeszłości mojej żony.

Maree być może zwróciła uwagę, że powiedziałem „żony” zamiast „byłej żony”, z czego mogła odczytać pewne informacje. Była inteligentniejsza, niż sugerowałaby jej aparycja. Spojrzała na mnie ze współczuciem, na które nie zareagowałem.

- Pracowali razem. - Umilkłem na moment. - Oboje byli samotni. Parę razy się umówili... spędzili ze sobą jedną czy dwie noce. - Mój

delikatny eufemizm prawie rozbawił Maree. - Wszystko działo się kilka lat wcześniej, zanim poznałem Peggy.

- Też chodziło o problem z panowaniem nad sobą? Jak u Andrew?

- Nie. To był najsympatyczniejszy facet pod słońcem. Poznałem go.

- Poznałeś?

- Pracowali w tym samym zawodzie. Czasem się widywali.

Peggy i on odbywali staż w tym samym szpitalu. Nie zdradziłem jednak Maree tego szczegółu.

- Zerwali ze sobą i Peggy poznała mnie. Po paru latach ten człowiek znowu pojawił się na horyzoncie. Zadzwonił kiedyś, żeby zapytać, co słyhać i czy mogliby się umówić na kawę czy drinka ze względu na starą przyjaźń. Ale krok po kroku zaczął się zachowywać coraz dziwniej. Dzwonił coraz częściej. Zostawiał wiadomości. Z początku niewinne. Potem trochę bardziej agresywne, kiedy nie odzwaniała. Wreszcie zaczął dzwonić do mnie. I przychodzić do nas. Zadzwonił nawet... - Urwałem, a po chwili dodałem: - A później zaczęło się prawdziwe prześladowanie.

Zamilkłem, wracając pamięcią do tamtych czasów. Przypomniałem sobie wyraz twarzy Peggy, twarzy chłopców, którzy dzięki dziecięcej intuicji coś przeczuwali. I zaczęli się bać.

- W końcu zorientowałem się, na czym polega problem - powiedziałem do Maree. - Nie chodziło o niego. Chodziło o moją żonę. Traktowała go jak normalnego człowieka. Odnosiła się do niego uprzejmie, wierzyła mu na słowo, spełniała jego zachcianki. Była dobra i uważała go za tego samego człowieka, z którym kiedyś chodziła - uroczego i zabawnego. Ale to była przeszłość. Kiedy to się stało, nie był już normalnym człowiekiem. Był kimś innym. Nie można się przyjaźnić z rekinem albo wściekłym psem, Maree. Wtedy zaczynają się kłopoty. Andrew to niebezpieczeństwo innego typu, ale to nie ma znaczenia. Każdy, kto nie jest dla ciebie dobry, staje się równie niebezpieczny jak Henry Loving.

Poczułem, jak Maree bierze mnie za rękę. Jej delikatne palce były zaskakująco ciepłe jak na tak chłodny poranek.

- Mogę spytać, co się stało?

Wzruszyłem ramionami, spoglądając na wodę.

- Wreszcie się skończyło. Sprawą zajęła się policja - dodałem.

Żadne z nas nie poruszyło się przez długą chwilę. Potem Maree odwróciła się i oplótła mnie ramionami. Przywarliśmy mocno do siebie. Pocałowała mnie, z początku delikatnie, a potem bardziej namiętnie i rozpaczliwie. Po chwili odsunęła się z uśmiechem i wsunęła moje dłonie pod swoją marynarkę, na piersi. Poczulem dotyk skomplikowanego biustonosza. Przycisnęła się mocniej i znów mnie pocałowała, tym razem bardziej figlarnie. Jej język miał smak goździków, a może cynamonu.

Potem wyprostowała się i ujęła obiema dłońmi moją rękę.

- Jo twierdzi, że lubię złych chłopaków. To jeden z moich problemów. Andrew jest złym chłopakiem. - Spojrzała na mnie i odniosłem wrażenie, że błysk w jej oczach wywołało coś innego niż zamglone słońcem, które właśnie wyloniło się zza chmury. - Ty też, Corte. Jesteś złym chłopakiem. Ale wydaje mi się, że dobrym złym chłopakiem.

Niedawno wspominałem, że Peggy powiedziała kiedyś o mnie mniej więcej to samo.

- Wracajmy do domu.

- Nie chcesz zostać i nacieszyć się widokiem?

Uśmiechnąłem się.

- Najpierw obowiązek. - Podniosłem się i pomogłem jej wstać, po czym ruszyliśmy w drogę powrotną.

- Dajesz sobie czasem wolne, Corte?

- Czasami.

- Co wtedy robisz?

- Lubię gry.

Wydawało mi się, że uznała to za bardzo zabawne.



## Rozdział 43

**K**iedy wróciliśmy do domu, wstukałem kod i drzwi się otworzyły. Powitało nas kilka poważnych twarzy. Joanne, biała jak ściana, z rozchyłonymi ustami, spojrzała na siostrę, podeszła do niej i nagle otoczyła ją ramionami.

- Strasznie cię przepraszam - szepnęła. Niepewnie dotknęła rąk Maree, a potem cofnęła się o krok. Na twarzy Maree malowała się obojętność. Kobieta ani nie przyjmowała, ani nie odrzucała przeprosin.

- Posłuchaj, Mar, coś mnie opętało... Tak się zdenerwowałam... Amanda...

Młoda kobieta wzruszyła ramionami, podeszła do swojego laptopa i podniosła go. Potem opadła na kanapę i zaczęła przeglądać jego zawartość. Ostatnio coraz częściej zauważałem, że moje obiekty robią to w schronach i zajazdach: szukają ucieczki w swoich cyber-azyłach.

- Proszę... - ciągnęła Joanne. - Powiedz coś.

- Gdy wyjdziemy z tego więzienia, wyprowadzę się od was. - Mówiła dziwnie cichym głosem. Cały czas oglądała cyfrowy zapis swoich zdjęć.

*Fotografie. To fotografia...*

Joanne pochyliła głowę, zamierzając powiedzieć coś więcej, ale nie potrafiła wydobyć z siebie słów.

W tym momencie usłyszałem sygnał swojego komputera. Wszedłem do bocznego pokoiku. Przyszedł e-mail od Claire duBois - miałem nadzieję, że z odpowiedzią na zagadkę, którą poleciłem jej zbadać, kiedy Joanne powiedziała nam o kolumbijskim dyplomie.

Byłem przygotowany na część informacji. Na resztę niekoniecznie. Wydrukowałem dokumenty i wróciłem do salonu. Stałem w

drzwiach z miną, która musiała coś zdradzać, ponieważ na mój widok nastrój obecnych uległ zmianie i w miejsce wzajemnych oskarżeń i skruchy - mniej lub bardziej szczerzej - pojawiło się nerwowe wyczekiwanie.

Jeszcze raz uważnie przeczytałem kilka stron wydruków. Potem zerknąłem na swoich podopiecznych.

- To nie Maree. Ona nie ma nic wspólnego z Lovingiem.

Joanne westchnęła.

- Myślałam, że z powodu Allendego...

- Moja współpracowniczka rozmawiała z osobami prowadzącymi śledztwo - ciągnąłem. - Znają człowieka ze zdjęcia. To syn kochanki Allendego. Nie ma nic wspólnego z żadną nielegalną operacją. Przekazywał mi pendrive z muzyką ściągniętą z sieci. Jeżeli nawet zobaczyli, że Maree robi zdjęcia, nie mieli żadnego powodu, żeby wynająć Lovinga do wyciągnięcia z niej jakichkolwiek informacji. Bilingi i dane o podróżach tego człowieka są czyste.

Joanne pokręciła głową. Być może jeszcze coś mówiła, nie wiem. Trzeci raz czytałem resztę dokumentów otrzymanych od duBois, aby się upewnić.

Opuściłem rękę, w której trzymałem papiery.

- Moja współpracowniczka znalazła coś innego.

- Co? - zainteresował się Ryan, bezwiednie masując uszkodzoną nogę.

- Odpowiedź - dlaczego wynajęto Henry'ego Lovinga.

Uniosłem głowę i spojrzałem na Joanne.

Znieruchomiała. Skierowała wzrok na arkusze w mojej ręce, jak gdyby miała zidentyfikować zwłoki ukochanej osoby.

Niskim i ponurym głosem, zupełnie innym od tonu, jakim mówiła przez parę ostatnich dni, Joanne powiedziała do mnie:

- Nie, Corte, to nie ta sprawa. Zbadano ją.

Maree wpatrywała się w siostrę. Ryan przyjrzał się zarumienionej twarzy i zaciśniętym ustom Joanne.

- O czym ty mówisz? - spytał ją.

Wyreczyłem ją w udzieleniu odpowiedzi.

- Henry'emu Lovingowi nie chodzi o ciebie, Ryan. Chodzi mu o twoją żonę.

## Rozdział 44

C

o? - roześmiał się.

Nastąpiła nieskończenie długa chwila, podczas której nikt się nie odezwał i nikt się nie poruszył. Słyszeliśmy tylko szum wiatru i klekot automatycznej kostkarki do lodu w lodówce.

Joanne pokręciła głową i podeszła do okna. Przyglądałem się jej opanowanej twarzy i wiele zagadek zaczynało się wyjaśniać.

- Co masz na myśli, Corte? - zapytała Maree. - Co Jo może z tym mieć wspólnego?

Nie odpowiedziałem.

- Jo - warknęła Maree. - Jo! Odezwij się wreszcie. O czym on mówi?

- No więc? - spytałem ją stanowczo.

Musiałem to wiedzieć. Natychmiast.

Spokojnym, beznamiętnym tonem powiedziała:

- Mówiłam już, Corte. Sprawę zbadano. To nie to. Nie ma o czym mówić.

- Sprawę zbadano? - mruknął Ryan.

Zignorowała go, zwracając się do mnie:

- Nie sądzisz, że to była pierwsza rzecz, jaka mi przysłała do głowy? Kiedy się dowiedziałam, że prawdopodobnie wysłano zbieracza, od razu, jeszcze w tej samej minucie zadzwoniłam. Zajęło się tym kilkanaście osób. Nic nie znaleźli. Absolutnie nic.

- Henry Loving pracuje tylko dla ludzi, o których jest wyjątkowo trudno znaleźć jakiegokolwiek informacje.

- Ludzie, o których mówię, też są wyjątkowo dobrzy - odparła spokojnie.

- Jo, o co tu chodzi? - zdumiał się jej mąż.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytałem.
- Na jej twarzy odmalował się głęboki niesmak.
- Nie wolno mi o tym mówić - odrzekła ostro.
- Cholera, niech ktoś mi wreszcie odpowie - fuknął Ryan. Jego dobry nastrój ulotnił się bez śladu.
- Kochanie... Ry, bardzo mi przykro. Po prostu nie mogę. To bardzo skomplikowane.
- No więc uprość. Bez kitu. Gadaj.
- Mogę zobaczyć, co dostałeś? - spytała Joanne.

Podąłem jej kartki. Jej pierwsza reakcja była bardzo profesjonalna. Mrużąc oczy, Joanne przebiegła wzrokiem wydruki opatrzone nagłówkiem „Ścisłe tajne” - banalnym, lecz naprawdę oznaczającym klauzulę najwyższej poufności używaną przez rząd Stanów Zjednoczonych.

Kiwnęła głową.

- Jak się dostałeś do tych serwerów? - Machnęła ręką. - Zresztą nieważne... - Westchnęła. - Chyba od początku wiedziałam, że do tego dojdzie.

- Wygląda na to - zwróciłem się do jej siostry i męża - że za wynajęcie Henry'ego Lovinga odpowiada ktoś z przeszłości Joanne.

- Masz na myśli jakiegoś dawnego chłopaka? - odezwała się Maree. Zapewne myślała o naszej rozmowie nad rzeką.

Spojrzałem na Joanne, dając jej szansę na wyjaśnienia. Wyczułem jednak, że jest gotowa do kapitulacji. Nie widziałem łez - była to, prawdę mówiąc, kolejna wskazówka, którą przeoczyłem. Moje obiekty zawsze przynajmniej kilka razy wybuchają płaczem, zwłaszcza po ataku. Ale nie Joanne. Uświadomiłem sobie, że jej zachowanie i wyraz twarzy w ciągu ostatnich dni - obojętność, szklane spojrzenie - nie wynikały z tego, że trzymana pod kloszem niepracująca kobieta, która nie znosiła przemocy, nieoczekiwanie znalazła się w przerażającej i niezrozumiałej sytuacji.

Jej chłód wynikał po prostu z wyszkolenia albo natury. Zapewne jednego i drugiego.

- Corte mówi o mojej pracy - powiedziała Joanne do męża i siostry.

- Twojej pracy? - zdziwiła się Maree. - Przecież analizowałaś dane w Departamencie Transportu.

- Nie. Pracowałam dla rządu, ale dla zupełnie innego resortu. - Spojrzała na mnie i się skrzywiła. - Wiem, jak się dowiedziałeś. Wspomniałam o Analizach Wywiadowczych, prawda? Nie wierzyłam, że powiedziałam to głośno. Byłam wściekła. Dałam się ponieść emocjom. Nie sądziłam, że zauważysz.

- Właśnie.

*Boją się, że ktoś z agencji bezpieczeństwa - z FBI, CIA czy Analiz Wywiadowczych - mógłby zidentyfikować człowieka, z którym Allende jest na fotografii...*

Rządowy Wydział Analiz Wywiadowczych jest bardzo małą agencją federalną pracującą na bardzo dużych komputerach, która ma siedzibę w Sterling w Wirginii. Celem tej komórki jest gromadzenie informacji w postaci nazwisk, twarzy, cech fizycznych i preferencji osobistych ludzi stanowiących zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego oraz analiza tych danych. Gdyby ktoś się kiedykolwiek zastanawiał, skąd CIA lub wojsko wiedzą, że jeden brodaty trzydziestolatek na ulicach Kabulu to niewinny biznesmen, a bliźniaczko podobny do niego - zdaniem nas, ludzi Zachodu - inny brodaczyk mieszkający na tej samej ulicy jest agentem Al-Kaidy, to może być pewien, że dzięki WAW.

Ale o jego istnieniu nie wiedział nikt spoza najwyższych kręgów rządowych organów bezpieczeństwa. Nazwa tej komórki nie mogłaby paść w żadnych wiadomościach telewizyjnych. Joanne nie miałyby możliwości usłyszeć o WAW, a co dopiero wiedzieć, że jego funkcjonariusze potrafiliby zidentyfikować mężczyznę towarzyszącego Allendemu na zdjęciach... chyba że była sekretnie związana z wysokim szczeblem agencji bezpieczeństwa narodowego.

Zacząłem nabierać podejrzeń. Gdy Joanne znalazła zdjęcie w komputerze siostry, wysłałem do duBois zaszyfrowanego e-maila z prośbą o analizę fotografii w ORK-u, ale również o sprawdzenie, czy w ciągu ostatnich dwunastu godzin ktokolwiek zwracał się do WAW w sprawie Allendego i jego towarzysza. A jeśli tak, to czy tę prośbę da się w jakikolwiek sposób powiązać z Joanne Kessler?

Oczywiście duBois już wcześniej nakreśliła w zarysie jej sylwetkę - poznając przebieg jej nauki i kariery zawodowej oraz szczegóły takie jak jej wypadek samochodowy. Jeżeli jednak Joanne wiedziała 3 istnieniu WAW, sugerowało to, że publicznie dostępne informacje na jej temat mogły być przykrywką, a jej prawdziwy profil i przebieg pracy zawodowej znajdował się w tajnych archiwach i aktach.

*Odrobiłeś lekcje, co? ... A czego dowiedziałeś się o mnie?*

Nic dziwnego, że o to spytała.

DuBois zameldowała, że istotnie, dziś rano ktoś z certyfikatem dostępu do informacji ściśle tajnych złożył w WAW prośbę o identyfikację dwóch osób na fotografii, która została przesłana z nieznanego źródła. Analiza jeszcze trwała.

Jeżeli chodzi o prawdziwy życiorys Joanne Kessler, dotarcie do niego wymagało prawdziwej finezji. DuBois wyjaśniła w e-mailu, że pomógł jej Aaron Ellis, uruchamiając swoje kontakty w Langley i Fort Meade.

- Przecież twoja praca... byłem u ciebie. Jedliśmy lunch. Parę razy. Poszliśmy do Muzeum Lotnictwa i Astronautyki, poszliśmy do Galerii Narodowej. Odprowadzałem cię potem do biura. Biura Analitycznego Dróg i Autostrad. Na Dwudziestej Drugiej. Byłem tam!

- Kochanie... - Pieszczotliwe słowo zabrzmiało trochę jak fałszywy ton. - To była... przykrywka.

- Pracowałeś w CIA? - spytał. - W jakiejś instytucji tego typu?

- Tego typu.

Maree zaczynała już kipieć ze złości. W ogóle nie przypominała lekkomyślnej panienci.

- Ciągłe nie słyszymy od ciebie żadnych konkretów, Jo.

Ze stoickim spokojem, jak gdyby stała przed komisją w Kongresie, Joanne powiedziała:

- Moja organizacja prowadziła działania związane z wewnętrznym bezpieczeństwem narodowym.

- Co to znaczy? - Ryan rozpaczliwie usiłował pogodzić tę informację z historią jej życia, którą sama mu opowiadała. Co było prawdą, a co nie? Jak głęboko sięgało kłamstwo? Myślał zapewne o miejscach, w których podobno była i ludziach, których podobno znała. Czy część jej opowieści była na tyle zgodna z rzeczywistością, by ich małżeństwo i rodzina, które właśnie stały w obliczu zagrożenia, mogły przetrwać?

Joanne natomiast zastanawiała się, co i ile może mu powiedzieć - bo teoretycznie nie mogła nic zdradzić. Brytyjczycy mają specjalną ustawę o ochronie tajemnicy służbowej, która zakazuje pracownikom państwowym ujawniania informacji o swojej pracy, dopóki są zatrudnieni w pewnych instytucjach rządowych. My, Amerykanie, nie mamy prawa o tak podniosłej nazwie, lecz obowiązują nas podobne regulacje. Tu, w tym przytulnym, rustykalnym salonie, Joanne

złamała już przepisy federalne, odkrywając się przed nami. Gdyby posunęła się dalej, dopuściłaby się znacznie poważniejszych przestępstw.

Ale Ryan Kessler nie był taki głupi. Zarabiał na życie wyjaśnianiem przestępstw i wsadzaniem ludzi za kratki. Kawalki układanki zaczynały powoli tworzyć obraz, wprawdzie jeszcze niepełny, ale Ryan już się domyślał, co się za tym kryje.

- Coś się działo, kiedy się poznaliśmy - powiedział szeptem. - Mówiłaś, że zrywasz właśnie z chłopakiem. Czasem do niego dzwoniłaś. Bardzo późno. Ale to nie był twój chłopak, prawda? Pracowałaś z nim, tak?

- Tak, nazwałam go swoim byłym chłopakiem, ale to był element przykrywki. - Joanne siedziała zgarbiona, z opuszczonymi ramionami. Była to postawa oznaczająca gotowość do wyznania prawdy. - Zgodnie z zasadami operacyjnymi, mieliśmy występować jako była para.

- Nic z tego nie rozumiem, Jo - wtrąciła się jej siostra. - Mówisz tak, jak gdybyś była w wojsku. Tato tak mówił.

Joanne zaśmiała się, zaskakując mnie.

- Tato... zabawne, że o nim wspominasz. To on pomógł mi wstąpić do mojej organizacji. Zaraz po college'u.

- Przecież pojechałaś na wakacje do Europy.

- Nie, Mar. Pocztówki były fałszywe. Pojechałam do ośrodka szkoleniowego w Stanach. Nie mogę o tym nic więcej powiedzieć.

Zdałem sobie sprawę, że jeden z moich obiektów zwraca się do kogoś obecnego w pokoju za pośrednictwem osoby trzeciej, jak często zdarzało się w mojej branży. Wtedy jest łatwiej. Joanne czuła się bezpieczniej, wyznając prawdę siostrze, a nie mężowi - osobie, do której w rzeczywistości mówiła. Dowiedziałem się kiedyś, że jeśli chodzi o fałsz, wierzymy, że ciężar grzechu nie zależy od natury kłamstwa, lecz od osoby, którą okłamujemy.

Ryan zapytał ją jednak wprost:

- Działania, Jo? Związane z wewnętrznym bezpieczeństwem narodowym?

Wreszcie odwróciła się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Zajmowaliśmy się oceną zagrożenia. - Potem głęboko nabrała powietrza i wiedziałem już, że za moment usłyszymy całą prawdę.

Ledwie słyszalnym głosem dodała: - I likwidacją zagrożenia.

- Ty i twój partner?

- Partnerzy - poprawiła. - Działalam przez osiem lat. Miałam wielu partnerów.

- Na litość boską, Jo - zniecierpliwiała się Maree. - Powiedz mi po angielsku, co to właściwie znaczy. Ocena zagrożenia, likwidacja zagrożenia?

- Maree, twoja siostra zabijała ludzi - wyjaśnił spokojnie Ryan Kessler.



## Rozdział 45

**N**ie wygłupiaj się, Ryan. Bzdura. Oczywiście, że nie. Jo, powiedz nam, co właściwie robiłaś?

Zrozumiałem jednak, że to prawda.

Przebieg służby Joanne w instytucji rządu federalnego był oczywiście bardzo dobrze ukryty. DuBois nie znalazła żadnych konkretnych informacji na temat działań żony Ryana i jej współpracowników. Charakter ich pracy można jednak było wydedukować z tego, co mojej protegowanej udało się odkryć: ze sposobu finansowania organizacji (nie żalowano na nią środków, które płynęły tajemniczymi kanałami za pośrednictwem nieistniejących agend rządowych) oraz z granic jurysdykcji (wynajmowano biura i zezwalano na podróże tylko w granicach kraju). Historia instytucji także sporo wyjaśniała. Utworzono ją dwa tygodnie po pierwszym zamachu na World Trade Center w latach dziewięćdziesiątych, a jej budżet i personel podwojono po zamachach bombowych na ambasady w Afryce i potrojono po ataku na niszczyciel „Cole”.

Po jedenastym września budżet wzrósł dziesięciokrotnie.

Prawdziwy klucz znajdował się jednak w archiwach, gdzie duBois znalazła niepodpisane opinie prawne pochodzące od rządowych prawników. Bardzo szczegółowo omawiano w nich normy dotyczące zabójstwa usprawiedliwionego we wszystkich stanach i w stolicy. Opinie zawierały także ogólne wytyczne do podejmowania decyzji, kiedy należy kierować sprawę czyjejś śmierci do prokuratury, a kiedy nie. W archiwach znajdowały się również notatki na temat procedur w setkach biur koronera i lekarzy sądowych w całym kraju.

Działanie Joanne polegało więc przypuszczalnie na inscenizowaniu samobójstw, wypadków i przypadkowych przestępstw, w których

dochodziło do nieumyślnego spowodowania śmierci albo zabójstwa w obronie własnej.

Przypomniałem sobie, co powiedział mi Ryan, gdy zjawilem się w ich domu w sobotę rano.

*Widzi pan, Corte, ten świat... mówią o tym, co robimy pan i ja. Joanne nie za dobrze sobie z tym radzi. Boi się rzeczy, na które my w ogóle nie zwracamy uwagi...*

- Czy ty... - szepnął Ryan. - Czy robiłaś to sama?

- Nie. - Joanne pokręciła głową, głęboko wciągając powietrze. Zaczęła mówić, ale głos uwiązł jej w gardle. Zaczęła jeszcze raz. - Byliśmy prowadzącymi - pracowaliśmy w dwuosobowych zespołach. Zlecaliśmy zadanie ludziom z zewnątrz. To oni byli... aktywnymi wykonawcami. Ale byłam na miejscu. I wydawałam rozkaz.

- Jo... - wykrztusiła jej siostra. - Niemożliwe. Nie robiłaś niczego takiego.

- Tak, robiłam, Mar. Robiłam. Byłam przy tym. Kilkanaście razy, może więcej. Byłam przy tym.

Zapadła absolutna cisza. Ryan wyglądał jak sparaliżowany. Maree podeszła do siostry i ujęła ją za rękę.

- W porządku, nic się nie stało. Nie chciałaś tego robić. Dałaś się wciągnąć. Zawsze tak robią. Biznes i władze - cały czas to powtarzam. Wpadasz po uszy. Zmuszają cię do rzeczy, których nie chcesz robić.

Joanne patrzyła na dłoń młodszej siostry ściskającą jej przedramię.

- Ależ ja chciałam to robić, Mar - powiedziała. - Tato chciał, że-bym to robiła, ja też chciałam. Być patriotką, robić coś dobrego.

- Kilkanaście razy? - odezwał się Ryan. - Więcej?

- W ciągu pięciu lat miałam dwadzieścia dwa zadania.

- Zabiłaś dwadzieścia dwie osoby?

- Czasem zadanie dotyczyło wielu celów, ale były też przypadki wywozu osób na przesłuchania.

- Jezu Chryste - mruknął Ryan. - Jezu. - Na chwilę umilkł, po czym spytał: - Kiedy się poznaliśmy... robiłaś to jeszcze?

- Nie. To znaczy byłam w służbie jeszcze przez rok, ale nie prowadziłam żadnej operacji. Nie zgodziłam się. Chcieli, ale się nie zgodziłam.

Domyślałem się, że jej chcieli, bo była dobra. Joanne odwróciła się do mnie.

- Naprawdę, Corte, ludzie z mojej organizacji sprawdzili wszystko. Nie ma związków między żadnym z moich zadań a Henrym Lovingiem. Zakończyłam służbę sześć lat temu. To wbrew logice, żeby ktoś teraz chciał wyciągać ze mnie jakieś informacje.

Ryan Kessler patrzył przez okno, a z jego zrezygnowanego uśmiechu odgadłem, że doszedł do tego samego wniosku co ja jakieś dziesięć minut wcześniej.

- Robiłaś to, kiedy cię poznałem? - zwrócił się do żony.

Joanne przełknęła ślinę, rumieniąc się.

- Mówiłam ci, że byłam aktywna przez rok, ale nigdy...

- Nie, pytam o dzień, w którym się poznaliśmy. Jo?

Gdy nie odpowiedziała, dodał:

- O, Boże. Wtedy w barze wykonywałaś zadanie.

Podejrzywałem, że właściciel lokalu i jego żona byli kluczowymi postaciami jakiejś komórki terrorystycznej. Joanne i jej partnerowi polecono ich zlikwidować. Poszli do baru i kiedy zrobiło się pusto, wezwali wykonawcę, który w zapisie wideo wystąpił w roli złodzieja. Zabił małżeństwo. Według planu miał uciec, a Joanne i jej partner zamierzali zeznać policji, że to był napad rabunkowy, który tragicznie się zakończył.

Tyle że strzały usłyszał detektyw Ryan Kessler i wbiegł do lokalu.

Bohater...

- Nie strzelał do mnie żaden szajbus, ale twój cholerny cyngiel.

W głosie Joanne nie zadźwięczała nuta żadnej emocji.

- Kilkanaście razy sprawdzałam grafik patroli policji. Nikogo nie miało być w pobliżu.

- Ty wtedy dowodziłaś?

Westchnęła. Tak jak ja, wiedziała, co się święci.

- Tak, byłam główną prowadzącą w tej sprawie.

- I główna prowadząca wydaje... jak to nazywacie? Rozkaz strzelania?

- Tak tego nie nazywamy, ale zgadza się, ja wydałam rozkaz.

- I rozkazałaś mu też strzelać do mnie?

Joanne zaczęła mówić, lecz głos na moment odmówił jej posłuszeństwa.

- Nasz wykonawca musiał zniknąć z miejsca zdarzenia. Użyłam kodu, który oznaczał użycie siły wobec niewinnej osoby, ale bez skutku śmiertelnego. Nie zrobilibyśmy tego, gdybyś nie był uzbrojony.

Ale byłeś.

Drgnąłem na dźwięk trzasku tłuczonego szkła. Maree skoczyła na równe nogi, strącając na podłogę kieliszek do wina i filizankę. Podeszła do siostry i spojrzała jej prosto w twarz. Joanne spuściła wzrok, a Maree zaczęła wściekle krzyczeć:

- Ochrzaniasz mnie, bo nie podoba ci się mój chłopak. Wygadujesz o mnie okropne rzeczy, mówisz, że jestem nieodpowiedzialna. A sama... - Głos uwiązał jej w gardle. - Zarabiasz na życie mordowaniem ludzi!

Joanne w milczeniu odwróciła oczy. Zobaczyłem, jak zaciska dłoń w pięści, aż bieleją jej palce. Maree obróciła się na pięcie i głośno tupiąc, pomaszerowała korytarzem do sypialni.

Ryan pokręcił głową i rzekł do Joanne:

- Nie uratowałem cię. Nikogo wtedy nie uratowałem.

- Och... kochanie, mnóstwo razy próbowałam ci powiedzieć. Chciałam...

- Zaczęłaś ze mną chodzić z litości. Miałaś wyrzuty sumienia.

- Nie! Zaczęłam z tobą chodzić, bo chciałam się zmienić. Chciałam mieć prawdziwe, normalne życie. Chciałam być z tobą. Byłeś dobry. Zrobiłeś to, co należało! Nie mogłam już dłużej znosić tego, co robiła moja organizacja. - Wyciągnęła rękę w jego stronę. Odsunął się. Wszedł do kuchni, wziął butelkę burbona, która przez cały dzień stała nietknięta, po czym zniknął w głębi korytarza.

Drzwi sypialni się zamknęły. Spodziewałem się głośnego trzaśnięcia, ale zorientowałem się, że zostały zamknięte, tylko po tym, że zniknął pasek światła obok futryny. Nie usłyszałem nawet szczęku zatrzasku.

## Rozdział 46

**B**ylem w bocznym pokoju sam z Joanne.

Przeglądałem ściśle tajne dokumenty, które przysłała mi duBois. Sporo informacji zostało wykreślonych, w tym i nazwa organizacji, która była znacznie mniej znana publicznie niż moja. Nie usunięto z nich jednak zdjęcia Joanne sprzed ośmiu czy dziesięciu lat. Oraz jej służbowego nazwiska - Lily Hawthorne. Kobieta na zdjęciu była bardzo podobna do kobiety, która siedziała przede mną. Przystojna, ale nie piękna, poważna i szczupła.

A także powściągliwa i skryta.

Wiele innych zagadek z kilku ostatnich dni zaczęło się wyjaśniać. Determinacja Joanne, by rozłączyć się z pasierbicą, była podyktowana obawą, że sama jest powodem, dla którego dziewczyna mogłaby zostać porwana albo skrzywdzona. Także lęk o sąsiadów w Fairfaksie, Knoksów - który wówczas wydawał się niewspółmierny do sytuacji. Była przerażona, że to ona jest powodem śmierci żony Teddy'ego z rąk Henry'ego Lovinga. Przypomniałem sobie też, jak domagała się ode mnie informacji, która ze spraw Ryana mogła być powodem wynajęcia Lovinga. I jak przeszukiwała komputer Maree w nadziei znalezienia jakichkolwiek dowodów na to, że to nie ona była przyczyną.

Joanne wspierała mnie w decyzjach, jakie podejmowałem w krytycznych sytuacjach, prosząc, a nawet rozkazując mężowi, aby się im podporządkował - bo jako zawodowiec wiedziała, że są słuszne.

- Dowiedziałeś się o mnie czegoś więcej poza tym? - spytała rzeczowym tonem, spoglądając na dokumenty, w których nie było ani słowa o tym, na czym właściwie polegała jej praca.

- Że uczestniczyłaś w projekcie Sierp. Moja współpracowniczka

zna się na swojej pracy, ale nie udało się jej zdobyć niczego więcej. Wasze archiwa są dość szczelne. Jeżeli chodzi o bieżące akta - jeżeli grupa wciąż działa... - Joanne milczała. - Jeżeli wciąż działa, do niczego nie dotarła.

Choć kryptonim grupy przetłumaczono jako nazwę narzędzia rolniczego, w rzeczywistości słowo pochodziło z określenia zabójstwa używanego przez Siły Obrony Izraela - hebrajskiego *sikul memukad*, oznaczającego skoncentrowaną prewencję.

- Moja współpracowniczka dowiedziała się, że byłaś już kiedyś celem.

- Corte, wszyscy w Sierpie byli stale celem różnych działań. Z powodu tego, co robiliśmy. Nigdy nie było jednak żadnej operacji. Tylko inwigilacja. Ten raport pochodzi sprzed pięciu lat - ciągnęła. - Owszem, jestem pewna, że mam wrogów, ale nie ma nawet śladu dowodu, że mogłabym znać informacje, które ktoś chciał zdobyć - na pewno nie wiem nic, co mogłoby uzasadnić wynajęcie takiego zbieracza jak Henry Loving.

*Przeszłość...*

- Kontaktowałaś się ze swoimi ludźmi? - spytałem. - Jak? - Monitorowałem ich telefony.

- Mam inny telefon - wyjaśniła. - Niewykrywalny. Uwierz mi, niewykrywalny.

- Wysłałaś z niego zdjęcia - te z laptopa Maree?

Zatrzymała wzrok na swojej torebce, gdzie jak przypuszczałem, spoczywał bardzo skomplikowany, ekranowany aparat. Zrozumiałem, dlaczego cały czas trzymała torebkę tak blisko siebie.

- Tak, przesłałam je. Wszystko zostało zaszyfrowane i poszło przez kilka serwisów proxy. Nie będzie nawet śladu w ruchu internetowym w okolicy. System tego dopilnuje.

Odniosłem wrażenie, że mimo stresu związanego z jej zdemaskowaniem Joanne była spokojniejsza niż przedtem. Przez długi czas żyła w kłamstwie. Teraz przynajmniej pozbyła się brzemia tajemnicy. Rozumiałem też, że nie wstępuje się do organizacji prowadzącej operacje takie jak Sierp, jeśli przynajmniej w małym stopniu nie ma się tej roboty we krwi. Joanne bez wątplenia była dobrą żoną i dobrze zastępowała Amandzie matkę, miałem jednak wątpliwości, czy wierzyć w jej zapewnienia, że pragnie zerwać z tajną stroną swojego życia. Wiedziałem, jak sam bym się czuł gdyby zmuszono mnie do

porzucenia pracy owczarka. Coś we mnie na pewno by umarło.

- No dobrze, twierdzisz, że nie ma żadnych tropów. Ale ja mam obowiązek chronić ciebie i twoją rodzinę, dopilnować, żebyście przeżyli. Chcę wiedzieć, czym dokładnie zajmują się twoi ludzie.

- Wszystkie sprawy, nad którymi pracowałam, są zamknięte. Wszystkie obiekty zostały albo uprowadzone i przesiedlone, albo skasowane - powiedziała, używając słowa, jakie od czasu do czasu pojawiało się w ustach mojego podopiecznego związanego z branżą. Wyrażenie stało się popularne w Mossadzie, którego agenci uważali, że brzmi amerykańsko.

*Skasowane...*

- Jedyńm zadaniem, po którym pozostał figurant, było moje ostatnie zadanie. W barze. To był znajomy właścicielei baru, których mieliśmy zlikwidować. Drugorzędny gracz. W zasadzie kontakt i posłaniec... Parę lat temu został zrehabilitowany.

- Mimo to powiedz mi coś o nim.

- Właściciele baru zbierali i sprzedawali informacje o broni jądrowej. Ten człowiek skontaktował ich z paroma zleceniobiorcami rządu i ludźmi na odpowiednich stanowiskach, ze środowiska naukowego. Dostarczył im parę dokumentów i programów komputerowych. To wszystko. Kiedy tamci dwoje zostali skasowani, wpadł w panikę i poszedł na współpracę, podał nam nazwiska. Monitorowaliśmy go przez kilka lat. Potem został skreślony z listy.

- Nazwisko?

- Nie mogę ci powiedzieć, Corte.

- Był pod obserwacją wczoraj i dzisiaj?

- Tak. Nic nie łączy go z Lovingiem.

Zastanawiałem się nad tym, co mi powiedziała. Zastanawiałem się nad malejącą liczbą tropów w sprawie, które mogły wskazać dyspozytora Henry'ego Lovinga. Wyszedłem sam na zabudowaną werandę z tyłu domu, dając znak Tony'emu Barrowi i Lyle'owi Ahmadowi, by do mnie dołączyli.

- Mamy problem.

Przekazałem im nowinę o Joanne. Wyjaśniłem, że była kimś, kogo w naszej organizacji nazywano dowódcą terenowym, funkcjonariuszem dowodzącym małym zespołem taktycznym. Ona jednak zamiast chronić ludzi, pozbawiała ich życia.

Lyle Ahmad przyjął wiadomość z obojętnością, jakiej się po nim

spodziewałem. Jak gdybym mu powiedział, że indeks giełdowy spadł o kilka punktów albo w meczu bejsbolowym jest remis przy trzeciej zmianie. Reakcja agenta FBI poleconego przez Freddy'ego była zupełnie inna. Twarz Tony'ego Barra poczerwieniała ze złości.

- Nic nam nie powiedziała? - szepnął. Z pewnością był przyzwyczajony do regularnych kłamstw podejrzanych. Ale teraz okłamała go osoba, dla której ochrony ryzykował własne życie.

To spotkanie nie było jednak poświęcone analizie grzechów obiektu; mieliśmy się zastanowić, jak nowa informacja zmieni naszą strategię ochrony.

- Jest przekonana, że nie chodzi o nią - powiedziałem. - Ale na razie powinniśmy założyć, że to ona, a dyspozytor Lovinga może mieć dostęp do dużych pieniędzy i wsparcie wpływowych grup z zagranicy. - Przypomniałem im o helikopterze podczas akcji w domu Cartera nad Potomakiem.

- A więc możliwe, że mogą wykorzystać śmigłowiec do ataku, nie tylko do ewakuacji - zauważył Ahmad.

- Nie zdziwiłbym się - przytaknąłem.

- Powinniśmy nawiązać współpracę z miejscową kontrolą ruchu lotniczego - powiedział Barr.

- Dobry pomysł. Trzeba też przejść na sześćdziesiąt procent patrolu na zewnątrz. I często patrzeć w górę. Lyle, idź na obchód.

Ahmad wstukał kod przy drzwiach i wyszedł z domu. Barr i ja wróciliśmy do środka. Joanne siedziała w salonie, spoglądając przez korytarz na zamknięte drzwi sypialni.

- W twojej organizacji jest ten sam szef co za twoich czasów? - zapytałem.

- Tak.

- Chcę z nim porozmawiać.

Z rezygnacją pokiwała głową. Zrozumiała, że nie ma sensu dyskutować. Bo nie było.

Poszliśmy do pokoju. Wyciągnęła z torebki swój telefon. Położyła go na biurku, włączyła głośnik i wcisnęła przycisk szybkiego wybierania. Choć dzisiejsze szyfrowane telefony nie wydają już takich dźwięków jak faks, wydawało mi się, że gdy w czarnym pudełku przed nami odezwał się głos, w tle słychać jakiś stukot.

- Williams.



- To ja - powiedziała Joanne. Nastąpiła krótka chwila ciszy, w ciągu której jakieś urządzenie elektroniczne zapewne potwierdziło, że to istotnie jej głos. - Mówisz przez głośnik.

- Przez głośnik - mruknął ponuro Williams. - To dużo wyjaśnia. Domyślił się, że została rozszyfrowana.

- Owszem.

Przedstawiłem się i wyjaśniłem, że odpowiadam za ochronę rodziny Kesslerów.

Williams o trudnym do zapamiętania imieniu odrzekł:

- Wiedziałem, że to tylko kwestia czasu. Ktoś majstrował w naszych serwerach.

Oczywiście byłem zły z powodu zatajenia informacji o dawnym zajęciu Joanne, lecz przypomniałem sobie swoją mantrę o definiowaniu celów i szukaniu najskuteczniejszych rozwiązań. Być może była to okazja do wzajemnych oskarżeń, ale zadanie polegało na zapewnieniu bezpieczeństwa Kesslerom i znalezieniu dyspozytora Lovinga.

- Potrzebuję wszystkich szczegółów na temat tego człowieka, który był zamieszany w ostatnią sprawę Joanne.

Na drugim końcu zapadła cisza, która mogła być reakcją na moją prośbę, a może wyrazem zaskoczenia, ponieważ znał wymienioną kobietę niejako Joanne tylko Lily Hawthorne.

- Nie ma ani cienia dowodu na to, że jest w to wmieszany. Ani on, ani nikt inny, z kim kontaktowała się Joanne. Monitorujemy sytuację od samego początku.

- Mimo to chciałbym znać jego nazwisko.

- Nie mogę go zdradzić.

- Chyba pan rozumie, że mam zadanie do wykonania. Do moich obowiązków należy między innymi dokonanie własnej oceny zagrożenia. Nie mogę polegać tylko na pańskim słowie.

- Do moich obowiązków należy między innymi utrzymywanie takich informacji w jak najgłębszej tajemnicy.

- Wiem o tym - odparłem wolno.

I umilkłem, czekając, aż moja groźba do niego dotrze. Williams westchnął.

- Nazywa się Asłan Zagajew. Jest czeceńskim muzułmaninem. Naturalizowanym w ramach warunków ugody.

- Monitorujecie go. Gdzie on teraz jest?

- W tym momencie? W swoim domu w Alexandrii.

- Bliższe szczegóły?

- Jest właścicielem kilku sklepów z dywanami. I restauracji. Moi ludzie sprawdzili wszystko, Corte. Dosłownie wszystko. Profile kontaktów, konta bankowe, dane o podróżach, portfel akcji, inwestycji, rodzinę, rodzeństwo, wspólników. Nic. Jest absolutnie czysty.

- Czeczeński muzułmanin. Jeździ na Bliski Wschód?

- Tak. Służbowo, kupować dywany. Ale nie założyliśmy mu GPS-u na szyję. A ludzie, z którymi prowadził tu interesy, ci dwoje z baru, nie byli Arabami, tylko Pakistańczykami. W ciągu ostatnich dwóch tygodni nie było żadnych telefonów. O ile wiemy, żadnych odstępstw od codziennej rutyny w biurze. Jezu, Corte, naprawdę traktujemy to poważnie. Wiemy, co robimy.

- Bierzecie pod uwagę możliwość, że jest uśpiony, pod pełnym przykryciem? - spytałem.

- Po sześciu latach? - odparł Williams. - Nie pracują w ten sposób.

- Oświadczył to autorytatywnym tonem. - Poza tym uśpieni nie zostają wolontariuszami w Centrum Młodzieży Islamskiej w Georgetown. I w ogóle nie zbliżają się do miejsc, które mają w nazwie to słowo na „i”. Prędzej można by go było znaleźć na kiermaszu dobroczynnym prezbiterian.

- To jedyny potencjalny kandydat?

- Zgadza się.

Przypuszczalnie dlatego, że reszta dawnych figurantów już nie żyła.

- Chcę znać nazwiska prowadzącego i analityka sprawy Zagajewa.

- Corte, co takiego Lily... co takiego może wiedzieć Joanne, co może go interesować po tylu latach?

Odpowiedź wydawała mi się oczywista.

- Wie, gdzie was znaleźć.

## Rozdział 47

Kiedy się rozłączyliśmy, Joanne przez długą chwilę stała, wpatrując się w korytarz prowadzący do zamkniętych drzwi sypialni, za którymi siedział jej mąż, z pewnością wściekły.

Zrobiła kilka kroków w głąb korytarza, ale zatrzymała się i wróciła na kanapę.

Zadzwońłem do analityka Williamsa. Dyrektor zgodził się, żeby ze mną porozmawiał - oczywiście tylko o kwestii bezpieczeństwa Joanne Kessler, nie o szczegółach zabójstwa - i dostałem adresy, numery telefonów oraz informacje handlowe o Asłanie Zagajewie i jego firmach. Funkcjonariusz powiedział mi, że ani on, ani oficer prowadzący, którego Williams wysłał w teren w sobotę rano, nie znaleźli niczego, co łączyłoby Zagajewa z Lovingiem, potwierdzając to, co usłyszałem od Joanne i Williamsa.

Pomyślałem: pewnie, że nie będzie dzwonił z tych telefonów pod podejrzanym numerem i sam się obciążał. Nie przyszło im do głowy, że istnieje coś takiego jak komórki na kartę? Jasne, w swoich poszukiwaniach nie mogli pokonać pewnych granic, ale to były podstawy sztuki wywiadowczej.

Następnie zadzwoniłem do Claire duBois i wyjaśniłem jej sytuację.

- Rzuć wszystko i zacznij zbierać dane na temat Zagajewa - poleciłem jej. - Chcę wiedzieć jak najwięcej.

- Od numeru buta po to, co nagrywa z telewizji - powiedziała.

- Chodzi mi o rodzinę, pracowników, rodziny pracowników, informacje o podróżach. Skoncentruj się na ostatnich dwóch dniach, a potem szukaj wstecz. Szukaj jakichkolwiek związków z Lovingiem, czegoś, co mogłoby świadczyć o związkach z Lovingiem.

Poprosiłem, żeby przełączyła mnie do Aarona Ellisa. Kiedy przekazałem mu wiadomość, z zaskoczenia parsknął krótkim śmiechem.

- Joanne?

- Na to wygląda. Przynajmniej sprawy Ryana donikąd nas nie doprowadziły. Z jej czasów został jeden figurant. Chcemy to zbadać.

- Przecież Westerfield dzwonił i przejęty opowiadał o jakimś skandalu w stołecznej policji. Podobno przypuszczałeś, że to jest powód akcji przeciwko Ryanowi, a Lovinga wynajął ktoś wysoko postawiony w policji albo w ratuszu.

- Wolałbym, żeby dalej tak myślał, Aaron.

W słuchawce na moment zapadła cisza.

- Corte... to znaczy, że skandal w policji też jest sfingowany?

- Nie. To była całkiem sensowna hipoteza.

- Była.

- Zgadza się.

- Ale kiedy zasugerowałeś Westerfieldowi taką możliwość, wiedziałeś już, że to nieprawda?

- Aaron, postaraj się tylko, żeby na jakiś czas się ode mnie odczepił.

- Zrobię, co się da.

Wreszcie zadzwoniłem do Freddy'ego i poinformowałem go o kłamstwie Joanne.

Tym razem nie zdradzał najmniejszych chęci do dowcipkowania.

- Dlaczego ta cholera nic nam nie powiedziała? Nie przeczuwała, że ta ogromna fala gówna może mieć coś wspólnego z faktem, że pracowała u zabójców?

- Chyba nie lubią używać tego słowa.

- A co mnie to obchodzi?

- Ten Williams...

- Między nami mówiąc, nie jest taki cwany, jak mu się wydaje - burknął Freddy. - Ani jaki chciałby być. Sporo ludzi od nas wiedziało o nim i jego Sierpowym bractwie... i zdaje się siostrzeństwie. Przypuszczaliśmy, że wycinają bardziej wredne numery. Swoją drogą nic nie może być bardziej wredne niż strzelanie komuś w tył głowy. Jak sobie z tym poradzisz?

- Claire już działa. - Zastanowiłem się przez chwilę. - Będę potrzebował paru nakazów. Claire przekaże ci szczegóły. Na kogo i gdzie.

- Dobra, zrobi się. Jak myślisz, w co gra Zagajew? - zapytał.
  - Nie wiem. Williams twierdzi, że uśpieni nie działają w taki sposób. Ale jeżeli to działa, to tak to działa.
  - Warte zacytowania, Corte.
  - Pomyśl. Williams dał mu spokój jakieś pięć, sześć lat temu. Kończą obserwację. Zagajew ma swobodę i wynajmuje Lovinga, żeby porwać Joanne i wycisnąć z niej wszystkie informacje. Wygląda mi to na świetnie uśpioną komórkę. Nie dam głowy, że to on, ale tylko tyle wiemy.
  - Zgadza się z moją teorią drugiego miejsca w wyścigu.
  - Z... z jaką teorią? - spytałem.
  - Wiesz, jak szybko trzeba biec, żeby uciec przed niedźwiedziem, Corte?
- Przyglądałem się, jak Joanne patrzy przez okno.
- Jak szybko?
  - Wystarczy trochę szybciej niż facet, który biegnie z tobą. - Freddy najwyraźniej czekał na reakcję. Gdy nie odpowiedziałem, dodał: - To znaczy, że Zagajew nie musi być doskonałym podejrzanym. Wystarczy, że się nadaje.
  - Powiem Claire, żeby do ciebie zadzwoniła, kiedy się czegoś dowie.

## Rozdział 48

**D**wadzieścia minut później zadzwoniła Claire duBois z informacjami na temat Asiana Zagajewa. To był chyba jej nowy rekord.

- Wszystko wysłałam Freddy'emu - oznajmiła na wstępie. - Już załatwia nakazy.

- Dobrze. Streść mi to.

- Zagajew urodził się pod Groźnym, w wieku dwudziestu dwóch lat przyjechał tu studiować na Uniwersytecie Amerykańskim. Magisterium zrobił na MIT i wrócił do Waszyngtonu. Zaczął zaglądać do radykalnego meczetu w naszej rodzinnej Alexandrii. Zerwał z nimi - widocznie był za mało religijny - ale miał żyłkę do interesów. Dzięki wykształceniu i kontaktom nawiązanym w dzielnicy ambasad i w firmach pracujących dla rządu znalazł dla siebie miejsce na rynku - sprzedaż tajemnic handlowych.

- Jak to się stało, że sprawa skończyła się na ugodzie?

- Formalnie rzecz biorąc, to było szpiegostwo przemysłowe. Rzeczywiście, to, co robił, było nielegalne, ale bardzo sprytne. Właściwie żadna jego kradzież nie zagrażała bezpośrednio bezpieczeństwu państwa. Ci dwoje Pakistańczycy zlikwidowani przez Joanne i jej partnera byli konsolidatorami. Zbierali informacje od Zagajewa i innych i łączyli je w coś bardziej użytecznego. Użytecznego w sensie groźnego. Sporo się dowiedziałam o prętach uranowych. I wirówkach. Proces wzbogacania jest naprawdę pasjonujący.

Wszystko w ciągu dwudziestu minut.

Zanim jednak zdążyła rozpocząć wykład z fizyki jądrowej, spytałam:

- Czyli Zagajew zgodził się współpracować i wcielać w życie amerykańskie marzenie?

- Ożenił się, urodziło mu się dwoje dzieci i nie ma już nic wspólnego ze swoim dawnym życiem.

To się ostatnio często zdarza, pomyślałem, patrząc na Joanne.

- Ale w ostatnich kilku latach zrobił się chyba bardziej religijny, chociaż teraz chodzi z rodziną do umiarkowanego meczetu. Prowadzi raczej świecki tryb życia. Ma kilka sklepów z dywanami i restaurację. Jego dzieci chodzą do dobrych prywatnych szkół. Jeździ za granicę, często do Turcji. Pewnie po dywany. Do Arabii Saudyjskiej i do Jordanii.

- Jest na jakiejś liście obserwowanych osób?

- Nie, na żadnej z naszych. Nie ma go też w żadnej bazie danych w Wielkiej Brytanii, Pakistanie, Indiach, Jordanii, Arabii Saudyjskiej ani Izraelu.

Na pozór owszem, niewinny. Przywiązałem się jednak do swojej hipotezy o głęboko uśpionej komórce.

DuBois przeszła do pozostałych informacji, których potrzebowałem. Jednym tchem wyliczała dane o zarejestrowanej broni (nie miał żadnej, ponieważ kilka lat wcześniej przyznał się do przestępstwa i nie mógł posiadać broni palnej), o wyrokach skazujących wydanych przez sądy stanowe (nie było żadnego), zatrzymaniach przez policję drogową (jedno, za zbyt szybkie przekroczenie linii ciągłej przed skretem w prawo), obciążających wpisach w internetowych serwisach społecznościowych (brak), o zarejestrowanych pojazdach, kredytach, dokumentacji medycznej, nietypowych zakupach, podróżach oraz o jego sklepach z dywanami i restauracji.

Wiedziałem, że ludzie Williamsa dali mu spokój, wciąż nie byłem jednak przekonany, że ma czyste konto.

Rozłączyłem się. Joanne popatrzyła na mnie. Słyszała całą rozmowę.

- Myślisz, że to Zagajew?

- Nie wiem. Sprawdzamy.

- Prawie nic nie znaczył. Nie wyobrażam sobie, że to on.

Joanne usiadła na kanapie obok mnie. Oparłem się; poczułem zapach starej tapicerki.

Po chwili Joanne powiedziała:

- Dziękuję.

Pytając uniosłem brew.

- Za Maree. Nie musiałeś za nią iść. To nie twoje zadanie.  
- Owszem, moje. Nie należy rozdzielać obiektów. To za duże ryzyko.

Posłała mi znaczące spojrzenie.

- Na pewno dla niej, prawda?

Zniżyłem głos, choć wiedziałem, że Maree mnie nie słyszy.

- Pobiegła na skały nad rzeką. Ale nie sądzę, żeby naprawdę chciała skoczyć.

- Nie byłeś pewien.

- Nie, nie byłem. Jest wrażliwa, ale nie beznadziejnie zagubiona.

- W przeciwieństwie do mnie.

Nie odpowiedziałem; co tu było do powiedzenia? Musiałem chronić doczesne powłoki swoich obiektów. O swoje dusze i serca musieli zatroszczyć się sami.

- Wiesz, Corte, jaki był mój największy błąd? Myślałam, że mogę mieć wszystko. Robić dla Williamsa to, co robiłam, a potem rzucić to z dnia na dzień, jak gdyby nic takiego nigdy się nie zdarzyło, i założyć rodzinę. - Głową wskazała drzwi sypialni. - Kiedy zaczęłam prowadzić zespół, myślałam, że normalne życie nie wchodzi w rachubę. - Westchnęła. - Jakiś czas temu nie poszło mi jedno zadanie. Dostałam postrzał. Dość poważny.

- W oficjalnych dokumentach jest mowa o wypadku samochodowym.

Joanne już się nie dziwiła temu, co wiem lub czego się domyślam.

- Przeszłam operację plastyczną, żebym wyglądała, jakby mnie przeciął kawał blachy. - Uśmiechnęła się blado. - Pomyślą o wszystkim. - Spoważniała. - Ale okazało się, że nie mogę mieć dzieci.

- Rozumiem. Przykro mi.

Pokręciła głową, z pewnością wspominając swój lęk, jak Ryan zareaguje na tę wiadomość.

- Później, kiedy już byłam w trakcie terapii, przestało mnie to obchodzić. Jak gdyby postrzał był znakiem, że mam dalej działać w Sierpie. Ale potem poznałam Ryana i jego córkę. Uświadomiłam sobie, co tracę. No więc postanowiłam spróbować. Ale to było głupie. W ogóle nie powinnam była wstąpić do organizacji albo powinnam zostać i nigdy nie wychodzić za mąż, nie starać się być żoną i matką. - Uśmiechnęła się. - Dziwię się tylko, że przeżyłam sześć lat, zanim



oberwałam. Nie da się pogodzić jednego i drugiego życia, Corte. Też dobrze o tym wiesz. Różnica polega na tym, że podchodzisz do tego uczciwie. Nawet nie próbowałeś.

Zorientowałem się, że bezwiednie spuściłem wzrok.

- A może próbowałeś i też ci nie wyszło... - dodała Joanne. - Przepraszam. Nie powinnam pytać.

Nie zareagowałem. Kiedy zadzwonił mój telefon, poczułem ulgę.

- Muszę odebrać.

- Jasne.

Wcisnąłem przycisk.

- Freddy? Co jest?

- Coś dobrego, Corte. Sprawdziła się teoria o niedźwiedziu. Miałaś rację. Posłuchaj. Jakies piętnaście minut temu przechwyciliśmy rozmowę z komórki brata kogoś, kto pracuje w Annandale Carpet - firmie Zagajewa. Nasze komputery zrobiły analizę głosu obu rozmówców. Na taśmie mieliśmy głos Zagajewa z dawnych czasów i wynik był pozytywny, czego się zresztą spodziewaliśmy. Nie spodziewaliśmy się jednak, że uciał sobie pogawędkę z gościem, o którym być może słyszałeś. Z Henrym Lovingiem.

Zamarłem, pochylony nad biurkiem.

- Wrzuciliśmy go do trzech komputerów i porównaliśmy próbkę z czterema urywkami z nagraniem Lovinga. Nie ma wątpliwości, że to on.

- O czym mówili?

- To był typowy szyfr. Zagajew zapytał, jak będzie z dostawą. Loving powiedział: „Jest opóźnienie. Ta budowa w Loudoun, przy promie White'a, została zamknięta. Transakcja się nie udała”.

Amanda, pomyślałem.

- Zagajew na to, że już mówił, że w ogóle nie chce umowy z tamtą budową. Loving, że to i tak nieważne, bo dał sobie z tym spokój. Powiedział jeszcze, że szuka innych opcji w Wirginii. Za kilka godzin mają znowu rozmawiać. Zasugerował mu, że być może będzie lepiej, jeżeli odbierze to, o czym wcześniej mówili. Na wszelki wypadek.

- Udało się ich namierzyć?

- Nie, połączenie było za krótkie. Kiedy skończyli rozmowę, wyciągnęli baterie z komórek. Ale mamy GPS Zagajewa i pięć minut potem wyjechał gdzieś samochodem. Wysłaliśmy za nim ludzi.

- Zamierza coś odebrać - zastanawiałem się głośno. - Co?

- Dowiemy się.

Zamyśliłem się nad tą informacją.

- Dobra, czyli zrezygnował z porwania Amandy i nie chce jej wykorzystać jako haka.

Słyszac to, Joanne odwróciła się w moją stronę.

- Ale co to są „inne opcje w Wirginii”? - mówiłem dalej do Freddy'ego.

- Może Loving ze współnikami chcą znaleźć przyjaciół albo krewnych Joanne. Może szuka teraz jej siostry. Pewnie nie wie, że jest z tobą. Dam ci znać, kiedy będziemy mieli zamiar.

Rozłączyliśmy się.

- To Zagajew - powiedziałem do Joanne. - Rozmawiał z Lovin-giem. Zidentyfikowali go na podstawie analizy głosu.

W jej oczach mignął cień strachu, błysk bolesnej świadomości, że to rzeczywiście ona jest odpowiedzialna za to, co się stało. Zaraz jednak pojawiła się w nich nadzieja: skoro winien był Zagajew, to oczywiście oznaczało, że mamy mocny trop.

- Gdzie są?

- Freddy organizuje obserwację. Z nasłuchu i z ziemi. Na razie czekamy.

W jej śmiechu dała się słyszeć nutka sarkazmu i być może smutku.

- Czekanie. W tej branży miałam niejedną okazję, żeby się naczekać. Ty pewnie też... Wspomniałeś o Amandzie?

- Loving nie zamierza jej już szukać. Chce znaleźć innego haka. Nie wiemy, kto albo co to ma być.

Joanne patrzyła na starą fotografię na ścianie przedstawiającą rodzinę w dziewiętnastowiecznych strojach.

Dziesięć długich minut później znów zadzwonił telefon.

- Mów, Freddy - rzuciłem krótko, wstając i przechodząc z powrotem do bocznego pokoju.

- Posłuchaj, Corte. - Miał dla odmiany zaskakująco ożywiony głos.

- Jest coraz lepiej. Namierzyliśmy Zagajewa w magazynie w Springfield. Wszedł do środka i wyniósł jakąś broń.

Serce zabiło mi szybciej.

- Z wyrokiem na karku nie może tknąć broni.

- Otóż to, synu. Zaczekaj. - Po krótkiej pauzie Freddy powiedział:

- Dobra, właśnie wyszedł, a nasi ludzie depczą mu po piętach.
- Dokąd jedzie?
- Na północ. Obwodnicą.
- Ktoś z nim był? Choćby cień? - spytałem.
- Masz na myśli Lovinga?
- Mam na myśli kogoś, choćby cień.
- Zdziorny jak zawsze, Corte.
- Freddy.
- Nie, był samiuteńki jak palec. No i co ty na to? Ty decydujesz.  
Cały czas zastanawiałem się nad strategią.
- Obserwujcie dalej - powiedziałem szybko. - I daj znać, gdy tylko  
zmieni kierunek. Wyjeżdżam za trzy minuty.

## Rozdział 49

**C**o mój przeciwnik chce tu zrobić?

Nie myślałem w tym momencie o Henrym Lovingu, lecz o Aslanie Zagajewie. Zabrał broń z magazynu. Niespodziewanie i zdecydowanie wyjechał zaraz po telefonie Lovinga. Co to oznaczało, co takiego planował?

Jechałem drogą numer 7 na południe, zmierzając do tego samego centrum mieszkalno-handlowego - Tysons Corner - dokąd prawdopodobnie z przeciwnej strony jechał Zagajew.

*Mój przeciwnik... co zamierza zrobić?*

Według teorii gier zwolennicy osiemnastowiecznego statystyka Thomasa Bayesa uważają, że świat to stale zmieniająca się wiedza i określając prawdopodobieństwo jakiegoś zdarzenia - w tym wypadku zamiarów Zagajewa - należy nieustannie modyfikować swoje przewidywania na podstawie zdobywanych informacji. Na przykład szanse, że przeciwnik pokaże kamień zamiast nożyc czy papieru nie są równe 33 i 1/3 procent, jeżeli się dowiemy, że ma problem z mięśniami i zaciśnięcie dłoni w pięść sprawia mu ból.

Miałem jednak za mało informacji na temat Zagajewa, by zawęzić swoje przewidywania co do jego następnego ruchu i opracować racjonalną strategię. Znał odpowiedź na pytanie, co wie Joanne Kessler, znał tożsamość innych dyspozytorów, jeśli nie działał sam. I oczywiście wiedział, gdzie jest Henry Loving lub jak go odnaleźć.

Powinniśmy go dalej śledzić czy raczej aresztować, może powinniśmy rozpocząć obserwację jego pracowników?

Przejechałem na czerwonym świetle, ciesząc się w duchu, że miejscowa policja jest zajęta czymś innym. Wsunąłem słuchawkę do ucha i zadzwoniłem do Freddy'ego.

- Tak? Corte?
- Gdzie on jest?
- Na drodze numer 7, jedzie na północ. Jakies pięć minut od Tysons.

Też jechałem tą drogą, tyle że na południe. I do Tysons miałem jakieś pięć minut.

- Jesteśmy niecały kilometr za nim - dodał Freddy. - Porządny z niego obywatel. Zatrzymuje się na żółtym świetle, przepuszcza pieszych.

A więc Czeczenowi bardziej zależało na tym, żeby nie zwracać na siebie uwagi niż na tym, by jak najszybciej dotrzeć z bronią tam, dokąd zmierzał. To już była jakaś informacja, lecz niezbyt przydatna.

- Ile zespołów? - spytałem.
- Dwa. Trzymamy się z tyłu. Polegamy na GPS-ie.
- Zagajew do kogoś dzwonił?
- Nie odebraliśmy niczego, odkąd czterdzieści minut temu skończył rozmawiać z Lovingiem.
- Monitorujecie telefony jego wszystkich pracowników i członków rodziny?

- Wiesz co, Corte? Dla nas to nie pierwszozna.

Nie przypomniałem mu, że nikt w organizacji Williamsa ani w FBI nie pomyślał o członkach rodziny, dopóki im tego nie zasugerowałem.

- W porządku - powiedział Freddy. - Cały czas jedzie w równym tempie. Prowadzi nas prosto w ramiona Lovinga.

Czy rzeczywiście? Niepełne informacje...

- Coś mi tu nie pasuje - mruknąłem.
- Nie chciałbym iść z tobą na mecz bejsbola, Corte. Masz takie negatywne nastawienie. A w ogóle byłeś kiedyś na meczu bejsbolowym?

- Nie wydaje mi się, żeby jechał do Lovinga.
- Dlaczego?
- Większość dyspozytorów woli trzymać się z daleka od swoich zbieraczy. Czują się bezpieczniej.

- Ma mu dostarczyć broń.
- Loving nie potrzebuje broni od dyspozytora - zauważyłem. - Ma dość własnej. W każdym razie jego wspólnik na pewno.
- No to co proponujesz?

Podjąłem decyzję.

- Chcę zdjąć Zagajewa zamiast go śledzić.
- Dlaczego?

Analiza teorii gier według Bayesa nie podsunęła mi odpowiedzi. Powiedziałem prawdę.

- Przeczucie.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Ale jeżeli nie zatrzymamy go błyskawicznie, zdąży zadzwonić albo wysłać SMS-a do Lovinga i innych dyspozytorów. Wszyscy znikną.

Nasze wozy na kilometr zalatują biurem federalnym. Zauważą nas.

Miał rację.

- Czym Zagajew jedzie? - zapytałem.  
- Srebrnym bmw siedemset czterdzieści. - Podał mi numer rejestracyjny.

- Gdzie jest w tym momencie?

- Właśnie wjeżdża do Tysons. Mija część handlową, skręca w Holly Lane. Chyba jedzie w kierunku autostrady.

- Jeżeli na nią wjedzie, będzie miał czas zawiadomić Lovinga, zanim zdążyście go zdjąć. Zobaczysz was.

Też znalazłem się już w Tysons. Przyspieszyłem i skręciłem w drogę przecinającą Holly Lane. Zatrzymałem wóz, wysiadłem i udając, że oglądam przydrożny stragan, obserwowałem drogę, którą miał nadjechać Zagajew.

- Odezwę się, Freddy.

Po chwili zobaczyłem zbliżające się srebrne bmw. W ciągu dwóch minut samochód przejechał pod estakadą i skręcił w kierunku wjazdu na autostradę Dulles. Przymrużywszy oczy, sprawdziłem numer rejestracyjny - w Wirginii na szczęście obowiązują tablice z przodu i z tyłu. Mignęła mi brodata, ponura twarz Zagajewa. Upewniłem się, że to on; Freddy przysłał mi na komórkę jego zdjęcie. W samochodzie najprawdopodobniej nie było nikogo innego.

Nie słynę z podejmowania spontanicznych, a zwłaszcza pochopnych decyzji. Czasem jednak gracz dochodzi do wniosku, że odważny nich jest konieczny. Odwróciłem się i ruszyłem sprintem.

## Rozdział 50

**B**omba dyniowa, Corte. Ty jednak masz poczucie humoru, mimo tego, co o tobie mówią. - Freddy kopnął kawałek lepkiego warzywa. - Tylko wyrażasz je inaczej niż większość ludzi.

Na drodze stały dwa wozy FBI, blokujące z przodu i z tyłu upaśćkany żółto-pomarańczową mazią samochód Zagajewa. Przednia szyba była nią zalepiona, ale cała; w Monachium robią solidne maszyny.

Tradycyjne aresztowanie nie wchodziło w grę, ponieważ Zagajew mógł ostrzec Lovinga, więc postanowiłem zatrzymać go sam, gdy przejeżdżał pod estakadą, przy której zaparkowałem. Na straganie kupiłem dojrzałą dynię, a gdy bmw znalazło się pode mną, upuściłem ją, celując w środek przedniej szyby. Potem z pistoletem w ręku zbiegłem po nasypie i kazałem mu wysiąść z samochodu. Był osłupiały, ale nic mu się nie stało. Sprawdziłem szybko jego telefon i przekonałem się, że w ciągu ostatnich pięciu minut do nikogo nie dzwonił i nie SMS-ował.

Przypuszczałem, że w pobliżu nie ma Lovinga ani jego współnika, ale nie byłem w stu procentach pewien, więc zapytałem Freddy'ego:

- Twoi ludzie zauważyli jakiś szybko odjeżdżający wóz, kiedy Zagajew nie skręcił na autostradę?

- Pytasz, czy ktoś się przestraszył dyniowego nalotu?

Zniecierpliwiony uniosłem brew.

- Nie. Był sam.

- Kim pan jest? - mruknął Zagajew z ledwie słyszalnym obcym akcentem. - Czemu pan mi to zrobił? Niech pan patrzy na samochód! Zupełnie zniszczony.

Nie interesowały mnie jego lamente. Wszystko mnie bolało po

biegu poboczem z dziesięciokilogramowym pociskiem.

Jeden z agentów, który przeszukał bagażnik bmw, ocenił ładunek broni.

- Nic wielkiego. Rosyjskie podróbki M4 ze znikającymi w czarodziejski sposób numerami seryjnymi. I dwie beretty, dziewięć milimetrów, o dziwo, z numerami. Ciekawostka, kradzione. Sporo amunicji. Nic, co wybuchła w środku nocy. - Przeniósł łup do bagażnika samochodu Freddy'ego.

- Chcę adwokata.

Nadal nie zwracając na niego uwagi, spytałem Freddy'ego:

- Można tu gdzieś pogadać?

Waszyngton i okolice to siedziba kilkudziesięciu służb policyjnych i organizacji bezpieczeństwa narodowego. Niektóre z nich są ogólnie znane, tak jak CIA, niektóre częściowo anonimowe, jak nasza, a inne tak anonimowe, że oficjalnie nie istnieją. Tak jak organizacja Williama. Łączy je jednak jedno: potrzebują infrastruktury - budynków, w których mogą pracować, jak firmy ubezpieczeniowe czy raczkujący na rynku producenci programów komputerowych. Wiele nawet najbardziej tajnych instytucji zajmuje pomieszczenia w niskich i wysokich biurowcach w Tysons, gdzie właśnie byliśmy. Miasteczko jest zdecydowanie zbyt gęsto zabudowane - aby dyrektorzy administracyjni mogli wydać mniej. Oszczędzając pieniądze podatnika.

Poza tym w okolicy jest restauracja Clyde, Arigato i Starbucks; nawet szpiedzy, tak jak my wszyscy, muszą jadać w sieciowych lokalach.

Po krótkim namyśle Freddy odwrócił się i ruchem głowy wskazał nudny na pierwszy rzut oka biały biurowiec po drugiej stronie autostrady, zaledwie dwieście metrów od nas.

- Może być - powiedziałem. - Masz kaptur?

Agent wyciągnął zasłonę.

- Nie, nie! - ryknął Zagajew. - Nie możecie. Jestem obywatelem.

Nalozylem mu na glowe kaptur i uwazajac na glowe, posadzilem go na tylnym siedzeniu samochodu Freddy'ego. Jeden z agentow usiadl obok niego.

- Mozesz oddychac?

- Bydlaku! - wrzeszczal. - Skurwysynu, nie mozesz mi tego robic. Chcę sie widziec ze swoim adwokatem, natychmiast!



Odwróciłem się do Freddy'ego.

- Może oddychać.

Pół godziny później przeszedłem procedurę bezpieczeństwa w budynku wskazanym przez Freddy'ego. Jak się okazało, była to siedziba jednej z bardziej jawnych organizacji federalnych. Agenci wyjaśnili, że właśnie z tego powodu wprowadzono Zagajewa tylnym wejściem.

Zszedłem na dół i zobaczyłem szczupłą kobietę około czterdziestki, o krótkich, ciemnych włosach i bystrym spojrzeniu. Miała na sobie czarny kostium, a na ramieniu ciężką torbę. Pracowała w naszej organizacji i pomagała nam w nietypowych sytuacjach jak ta. Nazywała się Roberta Santoro, choć w biurze była znana po prostu jako Bert.

Przywitałem ją. Jak zwykle milczała.

- Gotowa? - spytałem.

Odpowiedziało mi skinienie głowy.

Weszliśmy do sali konferencyjnej i zobaczyliśmy Asłana Zagajewa siedzącego na krześle z rękami skutymi na plecach. Naprzeciw niego stała kamera na statywie. Świeciła czerwona lampka. Zagajew spojrział na nas z oburzeniem.

- Mógł mnie pan zabić!

- To była dynia - zauważyłem. - Nie zabiłaby cię.

- Mogła. Mogła wpaść przez szybę i mnie zabić. Dlaczego nie mam adwokata? - warknął.

Bert zasiadła przy końcu stołu. Położyła dłonie na kolanach, a jej twarz wyrażała absolutną obojętność. Nie powiedziałem o niej ani słowa Zagajewowi, sama też nie pokazała mu żadnej legitymacji. Spojrzął na nią przelotnie, po czym znów skierował wzrok na mnie. Ukradkiem zerknął jeszcze raz i oznajmił:

- Nie macie prawa tego robić. Wiem, skąd się tam wzięła broń. Podrzuciliście ją.

W teorii gier osobowość przeciwnika jest nieistotna, istnieje nawet rodzaj gier, w których przyjmuje się, że drugiego gracza można zastąpić każdym człowiekiem. Dla mnie jednak, kiedy gram w grę planszową, widok siedzącej naprzeciwko osoby jest bezcenny. Czasem w porze lunchu albo po pracy idę do swojego klubu w Old Town i jeśli nie jestem w najlepszej formie, po prostu siadam i obserwuję innych graczy. Przyglądam się ich nawykowi, oczom, patrzę, jak trzymają karty czy rzucają kostką albo przesuwają pionki lub bierki.

Nie szukam znaków świadczących o następnym ruchu - te albo są oczywiste u niewyrobionych graczy, albo nie istnieją u zdolnych - ale chcę zobaczyć, jak gracze się zachowują i reagują, co lubią, a co im się nie podoba.

Patrzę, jak przyjmują zwycięstwo i porażkę.

Patrzę, jak czasem któremuś zadrzy ręka.

Przyjrzałem się uważnie swojemu przeciwnikowi, jak gdybyśmy siedzieli po dwóch stronach szachownicy. Zagajew miał okrągłą głowę, podwójny podbródek, nieźle zamaskowany brodą, i szczeciniaste włosy, które nie mogły się zdecydować, czy już posiwały. Miał dopiero czterdzieści trzy lata, jak mnie poinformowała duBois. Jego głowa wydawała się bardzo duża, a bladość nadawała mu anemiczny wygląd. Co parę sekund nerwowo zaciskał i rozluźniał dłonie. Zorientowałem się po brzęku kajdanek za jego plecami. Miał na szyi złoty łańcuszek z medalikiem, na którym dostrzegłem niezwykle wizerunek. Byłem prawie pewien, że to car Aleksander II, który, jak wiedziałem ze studiów, był autorem umiarkowanych - według standardów władzy absolutnej - reform w Rosji połowy dziewiętnastego wieku. Niemniej jednak wydawało się dziwne, że Czeczeniec wybrał sobie taką postać.

Zagajew był ubrany w drogie rzeczy, na które nie byłoby mnie stać i których nie miałbym ochoty kupować. Miał garnitur skrojony z jaskrawoniebieskiego jedwabiu, koloru nieba z powieści fantasy dla dzieci. Buty z wężowej skóry połyskiwały w ostrym świetle górnych lamp. Czulem od niego obrzydliwą woń potu zmieszaną z zapachem cebuli.

Pochyliłem się do przodu. To prawda, że nie jestem osiłkiem. Ale pracując jako owczarek, nauczyłem się czegoś ciekawego. Ludzie zwykle bardziej się boją kogoś mniej okazałej postury. Być może myślą, że mogą wyrządzić większe szkody w ich życiu niż ktoś z ołowianą rurą. Zagajew, cięższy ode mnie o dobre dwadzieścia kilo, lekko się cofnął.

- Muszę wiedzieć, z kim pracujesz.

- Nie jestem złym człowiekiem. - Zagajew spojrział na mnie błagalnym wzrokiem. Deklaracje nieposzlakowanej moralności to powszechna strategia w grze tego rodzaju. Ale to papier, który zawsze przegrywa z nożycami.

- To nie ma znaczenia dla naszej rozmowy. Z kim pracujesz?

Nagle wpadł w gniew i łagodność sprzed chwili zniknęła.

- Z nikim! Nie ma spisku, nikt nie ma porwać samolotu ani wejść do metra z plecakiem...

Zerknąłem na Bert. Nie zareagowała nawet drgnieniem powieki. Zagajew zauważył to i stropił się na ten widok.

- Znamy jedną osobę, z którą pracujesz - ciągnąłem. - Niedawno rozmawiałaś z nią z telefonu krewnego jednego ze swoich pracowników.

Na jego twarzy odmalował się niesmak. Mruknął coś do siebie.

- To nie ja! Ktoś mnie udawał. Ciągle to robicie.

Nie zważając na męczące protesty, powiedziałem:

- Asłan, musimy założyć, że współpracujesz z jakąś komórką, która jest zagrożeniem naszego bezpieczeństwa narodowego. Biorąc pod uwagę twój błąd sprzed sześciu lat - mówię o kontaktach z tym pakistańskim małżeństwem...

- To wyście ich zamordowali! Nic nie zrobiłem. Przyznałem się tylko po to, żebyście mnie nie prześladowali. Albo też nie zamordowali.

- Musimy wiedzieć, kto jeszcze jest w to zamieszany - ciągnąłem spokojnie.

- W co?

- Zrozum mnie, Asłan, nie jestem specjalistą od przesłuchań. Zadaję ci tylko pytania, jakie padną w przesłuchaniu. Nie próbuję cię oszukać. To nie jest strategia. Staram ci się to tylko wytłumaczyć.

- W takim razie to może być strategia - odparł z przymilnym uśmiechem.

- Pożegnaj się ze swoim dotychczasowym życiem. Możemy cię oskarżyć. Broń, związki z Henrym Lovingiem plus fakt, że chcesz wyciągnąć informacje od Joanne Kessler.

Słyszając, ile wiem, przestał się uśmiechać.

Bert nadal przyglądała mu się z kamienną twarzą.

Wzrok Zagajewa prześliznął się po niej i wrócił do mnie.

- Kim jest ta kobieta? - zapytał mnie. - Dlaczego nic nie mówi

- Z kim pracujesz?

- Pracuję w swoich sklepach z dywanami i swojej restauracji. Dlaczego mnie tak dręczycie? Podrzucacie mi broń do bagażnika, próbujecie mnie zabić na drodze. Będziecie mieli poważne kłopoty. Mam prawo do adwokata.

- Mamy cię na taśmie.  
- Mówię, że ktoś mnie naśladował. Już mnie to nudzi. Pan jest bardzo męczący.

Westchnąłem.

Spojrzałem na Bert. Prawie niedostrzegalnie uniosła palec wskazujący.

Skrzywiłem się. Po chwili skinąłem głową.

Odsunąłem krzesło i wstałem.

Bert zerknęła na kamerę.

Podszedłem do statywu, wyłączyłem ją, wyciągnąłem kabel i zwinąłem, a następnie ruszyłem do drzwi, trzymając kamerę pod pachą.

Zagajew milczał, szeroko otworzywszy oczy z zaskoczenia. Zastanawiał się, dlaczego zabieram kamerę. Czego takiego nie chcę utrwalić dla potomności?

Gdy otworzyłem drzwi, Bert wstała i obeszła dookoła Zagajewa. Spuściła rolety w weneckim lustrze. Spojrzała na skute ręce Zagajewa, potem na jego kolana. Jej twarz wyrażała coś w rodzaju satysfakcji. Nagle usiadła obok niego i z kieszeni żakietu wyciągnęła winylowe etui wielkości małej książki. Było jasnoczerwone, jak gdyby jego kolor miał ostrzegać przed bardzo niebezpieczną zawartością.

Gdy głośno otworzyła zamek błyskawiczny, Zagajew wstrzymał oddech.

Wyszedłem z sali, puszczając drzwi, by zatrzęsnęły się za mną.

## Rozdział 51

Zaraz! - krzyknął więzień.

Jego twarz poczerwieniała.

- Niech pan będzie cierpliwy. Proszę, trochę cierpliwości! Przez to wszystko mam mętlik w głowie. Jadę sobie spokojnie, aż tu nagle trach, siedzę tu w kajdankach i boję się, że zginę. Chyba pan rozumie. Musi pan rozumieć!

Odwróciłem się i wsunąłem stopę między framugę a drzwi, zatrzymując je w ostatniej chwili przed zamknięciem. Zagajew wpatrywał się w czerwone etui.

Bert spojrzała na mnie z zupełnie obojętną miną.

- Grasz na zwłokę - powiedziałem do Zagajewa.

- Nie, nie! Nie straci pan czasu. - Jego twarz ściągnęła się w rozpacz. - Proszę...

Wróciłem do sali konferencyjnej, zostawiłem kamerę przy drzwiach i pochyliłem się nad stołem.

- Jeżeli nam pomożesz, mogę ci zagwarantować, że kiedy członkowie twojej rodziny zostaną przesłuchani, nikt nie będzie już ich więcej niepokoił, pod warunkiem że nie popełnili żadnego przestępstwa.

- Nie, nie, moja rodzina jest niewinna.

- Nie będziesz się musiał obawiać żadnych represji przeciwko nim. Załatwię im przeprowadzkę. Będę cię chronił w czasie całego procesu, a jeżeli zgodzisz się na pełną współpracę z nami, przekonam FBI i prokuratora, żeby wzięli to pod uwagę przy akcie oskarżenia i wyroku.

- Może pan ochronić moją rodzinę przed Henrym Lovingiem? - szepnął.

- Tak - odparłem zdecydowanie. - Przed nim też was ochronię.

Nastąpiła długa chwila namysłu. Spojrzałem na wisiołek Zagajewę, na twarz Aleksandra II z imponującym wąsem. Choć był chyba najbardziej liberalnym carem, który uwłaszczył chłopów, został zamordowany przez rewolucjonistów.

- Dobrze, zgadzam się. Zgadzam. - Ciężko pochylił głowę.

Usiadłem na tym samym krześle co poprzednio, a Bert wróciła na swoje miejsce.

Nasza organizacja nie stosuje tortur w celu wymuszania zeznań. Nawet podtapiania. Podjęliśmy taką decyzję z dwóch powodów. Po pierwsze, to nielegalne - żyjemy przecież w państwie prawa. Po drugie, gruntownie zbadaliśmy temat i uznaliśmy, że podobne metody są w dużej mierze nieskuteczne, ponieważ sprawdzenie wszystkich informacji uzyskanych od torturowanego więźnia i złożenie z nich prawdy na ogół trwa znacznie dłużej niż w wypadku użycia łagodniejszych środków podczas przesłuchania. Nawet wtedy udaje się jednak tylko z niewielką liczbą delikwentów.

Bert Santoro nie była naszą nadworną inkwizytką. Kierowała biurem w naszej siedzibie w Old Town i na co dzień kontrolowała wydatki i budżet oraz zamawiała meble i komputery. Nie miała nic wspólnego z pracą operacyjną. Bert, matka czworga cudownych dzieci i żona świetnego faceta, nie różniła się od tysięcy pracowników rządowych w stolicy. Dzięki swojej chłodnej urodzie wspaniale odgrywała jednak rolę twardej agentki, która uwielbia wrywać paznokcie i przykładać elektrody do ciała przesłuchiwanego, by wyciągnąć od niego informacje.

- Kim ona jest? - spytał mnie szeptem Zagajew. Odwrócił się do Bert. - Dlaczego pani nic nie mówi?

Bert, myśląc prawdopodobnie o jakimś moim zaległym rozliczeniu, uciszyła go jednym spojrzeniem.

- Aslan? - powiedziałem.

Ostatni raz rzucając okiem na czerwone etui, które kryło tylko przybory do makijażu, Zagajew westchnął i usłyszałem brzęk kajdanek, gdy opuścił ramiona i dłonie.

- Pewnie myśleliście, że należą do jakiegoś spisku i opracowuję straszny plan wymordowania niewiernych. Co za bzdura! Nie, nie, w moim planie chodziło tylko o interesy. Widzi pan, jaki się ze mnie zrobił Amerykanin? Tylko to mnie obchodzi, wszechmocny dolar.

Wyglądał na zaniepokojonego faktem, że nie otwieram notesu.

- Proszę, niech pan pisze. To moje zeznanie.

Każdą wypowiedzianą przez niego sylabę rejestrował ukryty sprzęt audio i wideo - kamera Sony przy drzwiach odgrywała raczej rolę efektownego rekwizytu. Mimo to uznałem, że lepiej mu nie przypominać, że jest potajemnie nagrywany, więc otworzyłem notes.

- Wiele lat temu, tak, znałem to małżeństwo z baru, zamordowane... małżeństwo, które zginęło. Nie szanowałem ich. Nie interesowała mnie ich sprawa. Ale interesowały pieniądze, które mi płacili. Zresztą całkiem przyzwoite. Widział pan akta, nie? No to pan wie. Po ich śmierci opłakiwałem stratę - ale tylko źródła dochodu.

Wiodło mi się raczej nieźle. Ale sukces to ruchomy cel, prawda? Zacząłem mieć pewne kłopoty, natury finansowej. Przez gospodarke. Komu potrzebne dywany, jeżeli nie stać go na spłatę kredytu? Kto chodzi jeść do mojej wspaniałej restauracji, jeżeli musi kupować hurtowe ilości mrożonek w Sam's Club, żeby nakarmić dzieci? Jak zarobić więcej? Może mógłbym świadczyć jakieś usługi? Może mam coś cennego, co mógłbym sprzedać? Nagle wpadłem na pomysł. Może dowiem się czegoś więcej o operacji przeciwko tym Pakistańczykom, którzy zginęli w barze sześć lat temu? Jaką to może mieć wartość? Pamiętałem kobietę, która była dowódcą terenowym i kierowała ich likwidacją: Joanne Kessler. Jeżeli nawet zakończyła służbę, na pewno miała cenne informacje albo mogła mnie zaprowadzić do ludzi, którzy je mieli.

Parę razy zatelefonowałem dyskretnie do swojego kontaktu w Damaszku. Dowiedziałem się, że rzeczywiście jest zainteresowanie informacjami tego typu. Zainteresowanie liczone w milionach dolarów. Ktoś stamtąd podał mi nazwisko Henry'ego Lovinga.

A więc to była odpowiedź. Częściowo ją przewidziałem - chcieli wyciągnąć od Joanne informacje na temat tajnych instytucji rządowych. Stawiałem na motyw terrorystyczny i uśpioną komórkę; w rzeczywistości chodziło wyłącznie o interesy. Znając przedsiębiorczość Zagajewa, powinienem się domyślić.

- Ile płacisz Lovingowi?

- Milion dolarów. Połowę z góry. Drugą po uzyskaniu dobrych informacji od Joanne.

- A jeżeli odwołasz zlecenie?

- Tak czy inaczej muszę zapłacić wszystko.

- Gdzie jest teraz Loving? - spytałem.
- Nie wiem. Przysięgam na Boga Wszechmogącego. Spotkałem Lovinga tylko raz - w zeszłym tygodniu w Wirginii Zachodniej.
- Dlaczego tam?
- Zagajew wzruszył ramionami.
- Miejsce na uboczu. Bał się, że gdyby poleciał na Dulles, ktoś mógłby go rozpoznać.
- Mów dalej.
- Dałem mu zaliczkę. Nie lubi przelewów. - Zaśmiał się ponuro. - Tym bardziej imiennych czeków.
- Od tego czasu już go nie widziałeś?
- Nie. Piszemy do siebie SMS-y albo rozmawiamy przez telefon. Podał mi kod, którego mamy używać. O różnych budowach i tak dalej.
- Pod jaki numer dzwonisz?
- Zagajew podał mi numer i od razu poznałem, że to serwis przekierowywania połączeń. Namierzenie telefonu byłoby niemożliwe. Numer kierunkowy wskazywał na Karaiby.
- A helikopter? Jest twój?
- Jednego z moich wspólników w restauracji. On jest właścicielem.
- Co robiłeś z bronią?
- Dał mi ją do obrony własnej. Ale kiedy zadzwonił, przekazał mi zakodowaną wiadomość, żebym się jej pozbył. Pewnie się obawiał, że mogą ją znaleźć ludzie, którzy chronią Joanne. - Zagajew przygryzł wargę, patrząc na czerwoną kosmetyczkę. - Przysięgam, że nie wiedziałem, jaki niebezpieczny jest ten Loving. Gdybym mógł wyciągnąć informacje od tej kobiety, od dowódcy terenowego, w inny sposób, zrobiłbym to. Przysięgam na Boga Wszechmogącego, nie wiedziałem, że będzie chciał wykorzystać córkę.
- Przypomniałem sobie, że mówił coś w tym rodzaju według podsłuchu założonego przez Freddy'ego.
- Kto jeszcze z nim pracuje? - zapytałem. - Ma wspólników?
- Jednego, to były wojskowy. Raz go widziałem. Wysoki, ciemny blondyn. Chodzi w zielonej kurtce. Nie wiem, jak się nazywa.
- Ktoś jeszcze?
- Wiem tylko o jednym.



- Zaraz wracam - powiedziałem. Wyszedłem na korytarz, zostawiając Zagajewa z Bert, na którą z niepokojem popatrywał.

Znalazłem Freddy'ego, który rzekł:

- Wyśpiewuje jak Britney.

- No i dobrze. Pracuje sam i pomysł wyszedł od niego. Syryjczycy być może chcieliby kupić gotowy produkt, ale to on się do nich zwrócił, nie odwrotnie. Pewnie nawet nie znają tożsamości Joanne.

Ponieważ Czeczeniec znalazł się w areszcie, jedynym zagrożeniem dla Kesslerów stali się Loving i jego wspólnik, którzy przestaną być jakimkolwiek zagrożeniem, gdy tylko się dowiedzą, że Zagajew siedzi. Prawdopodobnie uciekną.

- Co planujesz? - spytał agent.

W grę wchodziły dwie strategie.

Wahałem się przez chwilę, lecz uznałem, że naprawdę nie mam wyboru.

## Rozdział 52

Znowu czekanie.

O czwartej po południu byliśmy na pustym polu w pobliżu parku w miejscu pierwszej bitwy pod Manassas albo - dla ludzi z Północy - pierwszej bitwy nad Bull Run.

Niedaleko stąd Thomas Jonathan Jackson torował sobie drogę przez zarośla - i wytrzymał grad kul - zyskując przydomek „Kamienny mur”.

Był bezwietrzny, pochmurny dzień. Czekaliśmy.

- Najbardziej niebezpieczny moment - mówił mi Abe, a ja później powtarzałem to swoim protegowanym. - Czekanie. Bo jeżeli pracujesz w tej branży, jeżeli jesteś owczarkiem, to znaczy, że jesteś inteligentny. Bystre umysły potrzebują stymulacji - cracku, amfy, łami-główki, kostki Rubika. Czekanie otepia, a nie możesz sobie pozwolić na otepienie, bo cyngiel albo zbieracz nigdy nie czeka. Dlaczego? Bo wykorzystuje całą energię na to, żeby podejść jak najbliżej ciebie.

Dobrze zapamiętałem tę lekcję. Zwłaszcza że Loving miał zwyczaj pojawiać się znienacka. Co nie oznaczało, że było mi łatwiej czekać. Zlustrkowałem teren. Freddy'emu udało się błyskawicznie zmontować cztery zespoły ekspertów od operacji specjalnych, z doświadczeniem wojskowym, których przetransportował śmigłowcem do punktu zgrupowania położonego niedaleko, ale nie tak blisko, by Loving mógł ich zauważyć. My przyjechaliśmy pół godziny wcześniej i zostawiliśmy samochody na parkingu przy pasażu handlowym w odległości stu metrów, a potem dotarliśmy na miejsce przez krzaki i łąki porośnięte wysoką trawą. Spłoszone ptaki podrywały się do lotu, a spod nóg wyskakiwały nam koniki polne.

Zebrałiśmy się niedaleko pola bitwy - zaskakująco małego jak na scenę masakry, jaka rozegrała się tu sto pięćdziesiąt lat temu - i cicho

ruszyliśmy zająć stanowiska na polu i w kępie drzew otaczających pusty parking, na którym Zagajew umówił się z Lovingiem. Parking znajdował się w sąsiedztwie jakiegoś wyburzonego magazynu czy małej fabryki. Freddy, ludzie z oddziałów taktycznych i ja komunikowaliśmy się za pomocą specjalnych aparatów wyposażonych w słuchawki douszne i niewidzialne mikrofony, które potrafiły wychwycić najcichszy szept. Urządzenia marki Micro-Mike kosztowały dwa tysiące za sztukę.

Kiedy jednak szliśmy na pozycje, nikt nie gadał. Zespoły taktyczne składały się z wytrawnych zawodowców.

Na przeciwległym końcu parkingu stał samochód Zagajewa. Za kierownicą widoczny był zarys głowy mężczyzny. Czeczeniec wpadł w panikę, kiedy mu powiedziałem, że musi zadzwonić do Lovinga, odwołać zlecenie i spotkać się z nim, żeby zapłacić mu resztę honorarium.

Nie zamierzałem jednak narażać go na niebezpieczeństwo. Nie odważyłbym się ryzykować życia Zagajewa - oczywiście z powodów humanitarnych, ale przede wszystkim dlatego, aby mógł zeznawać w procesie Lovinga, gdy wreszcie do niego dojdzie. Chciałem też rzucić go na pożarcie Westerfieldowi, by uchronić własną głowę. Wprawdzie Zagajew nie był autorem spisku terrorystycznego z pierwszych stron gazet, ale nadawał się na zdobycz mściwego prokuratora, który miał wkrótce stracić smakowitą sprawę korupcji w policji stołecznej.

W związku z tym w samochodzie nie siedział Aslan Zagajew ani nawet żaden z agentów. Miejsce za kierownicą zajmował Omar, robot składający się z głowy i torsu, wyposażony w kilka serwomechanizmów, dzięki którym mógł całkiem nieźle imitować ruchy i gesty człowieka. System można było zaprogramować, by Omar zachowywał się jak ktoś znudzony lub pijany albo - taki tryb wykorzystywano najczęściej - ktoś nerwowy i niespokojny. Rysy twarzy robota były gorsze niż u animowanych kukieł Disneya, ale w samochodzie albo w ciemnościach mógł zmylić strzelca. Ornara - a także Omarinę (brunetkę lub blondynkę z bujnym biustem) - produkowano w wersji białej, czarnej i latynoskiej.

- Brak w asortymencie modelu czeczeńskiego, synu - oznajmił mi Freddy.

Omar nie był zwykłym pozorantem. Robota otaczała siatka promieni ultrafioletowych i mikrofalowych. Gdyby Loving lub jego

wspólnik oddał z dystansu trzy strzały w głowę Ornara, pustą i nie-drogą w razie wymiany, komputer skorelowałby błyskawicznie trajektorię i prędkość pocisków ze współrzędnymi GPS i wskazałby na naszych ręcznych odbiornikach pozycję strzelca z dokładnością do jednego metra.

Czy Loving chwyci przynętę?

Tak sądziłem. W Tysons Zagajew skontaktował się ze zbieraczem. Zgodnie z moim scenariuszem powiedział Lovingowi, że chce odwołać zadanie. Po zapłacie reszty pieniędzy każdy z nich miał pójść swoją drogą. Słuchając ich rozmowy, zauważyłem pewien ton rozczarowania w głosie Lovinga. Ciekawe, czy przyczyną była wiadomość, że miał zakończyć grę przeciwko mnie.

Ale może po prostu przypisywałem mu własne odczucia.

Poleciłem też Zagajewowi spytać od niechcienia, czy ktoś jeszcze wie, że to on go wynajął. Loving zapewnił go, że nikomu nic nie powiedział; nigdy nie mówi. Byłoby to nieprofesjonalne.

Oczywiście każąc Zagajewowi zadać to na pozór niewinne pytanie, miałem konkretny cel: Loving miał nabrać podejrzeń, że Zagajew może próbować go zabić i zaoszczędzić resztę honorarium.

Liczyłem więc na to, że Loving postanowi się z nim spotkać, żeby zlikwidować człowieka, który zna jego tożsamość i być może kilka innych obciążających go faktów.

Czy miałem rację?

Z Lovingiem nigdy nie wiadomo.

Jak w dylemacie więźnia, pierwszy więzień nigdy nie może być pewien, że drugi nie przyzna się do winy. Właściciel konta w banku nigdy nie może być pewien, że inni deponenci wytrzymają i nie wycofają oszczędności.

Ekonomiści i matematycy nie przyznają się do tego, ale teoria gier mówi o ryzyku. Nie wierzę w szczęście, wierzę natomiast w okoliczności. W Rhode Island były dla mnie niekorzystne. Może teraz będzie inaczej.

Słyszeliśmy dobiegający z daleka szum samochodów i bliskie cykanie owadów. Gdzieś szczekał pies, wesole okrzyki dzieci dochodziły z pola bitwy, gdzie latem 1861 roku starło się trzydzieści pięć tysięcy ludzi, z których pięć tysięcy zginęło lub zostało rannych. Kryłem się za grubymi pniami, które nie były jeszcze nasionami, kiedy poległ ci żołnierz.

Spotkanie miało się odbyć o 16.45. Umówiona godzina minęła kilka minut temu.

W oddali jakiś jasny samochód szybko skręcił na drogę prowadzącą na pusty parking, który otoczyliśmy. Był to standardowy manewr stosowany nie po to, żeby umknąć pogoni, ale żeby sprawdzić, czy rzeczywiście ktoś nas śledzi. Jeżeli zasygnalizujemy zamiar wykonania skrętu, ogon zrobi to samo. Jeśli gwałtownie zmienimy kierunek jazdy, to obserwując reakcję kierowcy jadącego za nami, możemy się przekonać, czy nas śledzi, nawet jeżeli postanowi pozostać na drodze. Ostry skręt samochodu sugerował, że to mógł być Loving.

Niektórzy członkowie zespołów taktycznych ze swoich stanowisk nie widzieli drogi i dowódca - porucznik Freddy'ego - zawiadomił wszystkich o pojeździe, który pojawił się na horyzoncie. Poczułem napięcie, a w pamięci mignął mi widok Lovinga z naszej muchołapki. Sięgnąłem za siebie, kładąc dłoń na rękojeści glocka. To był tylko instynktowny ruch; wokół siebie miałem ludzi o znacznie wyższych umiejętnościach w działaniach tego rodzaju. Przyglądałem się nadjeżdżającemu jasnemu samochodowi.

Czy to rzeczywiście był zbieracz? Droga nie prowadziła na pole bitwy; właściwie wiodła donikąd. W samochodzie mogły siedzieć dzieciaki, które przyjechały się tu napić, zapalić trawę albo się obściskować. Mógł to być miłośnik wojny secesyjnej pragnący obejrzeć stąd historyczne miejsce. W Manassas było też sporo producentów metamfetaminy, więc może ktoś umówił się tu na transakcję.

Zanim wóz dotarł na parking, gdzie z włączonym silnikiem stał samochód Zagajewa, zjechał w krzaki.

W mojej słuchawce rozległ się szept:

- Trójka. Z pojazdu wysiada dwóch mężczyzn w cywilu. Jeden uzbrojony w broń krótką. Idą przez zarośla w kierunku parkingu.

Loving i jego wspólnik. Miałem nadzieję, że zjawią się obaj.

- Zrozumiałem. Do wszystkich zespołów, zostać na pozycjach. Zero ruchu, zero dźwięku. Snajper jedyńka, możesz wziąć na cel pojazd?

- Nie.

- Zrozumiałem.

Przez moment zastanawiałem się, czy wspólnik jest protegowanym Lovinga, tak jak ja byłem podopiecznym Abe'a, a Claire duBois moją. Czy Loving uczył go zasad gry, tak jak uczono mnie, a teraz ja

uczylem innych? Z początku myśl wydała mi się idiotyczna, ale właściwie dlaczego? Przecież trzeba opanować tajniki każdego rzemiosła.

- Dwójka. Podejrzani są na zachodniej granicy parkingu, obserwują pojazd Zagajewa.

- Obróćcie głowę Ornara - szepnął Freddy - ale nie na tyle, żeby patrzył w ich stronę.

- Zrozumiałem.

Robot spojrział w bok. Głowa lekko się przechyliła. Ktokolwiek sterował manekinem, był prawdziwym artystą.

- Podejrzani rozglądają się po parkingu. Teraz się rozdzielają, zbliżają się z obu stron wozu. Uwaga, teraz obaj mają broń. Krótką automatyczną.

- Zrozumiałem.

A więc nie zamierzali strzelać z ukrycia, lecz zająć go od tyłu i strzelić z bliska. Załatwić sprawę definitywnie.

Chociaż może to wcale nie miało być zabójstwo. Może zadaniem współnika było ubezpieczenie Lovinga, który miał odebrać pieniądze. Potem podaliby sobie ręce i odjechali.

Oddychałem ciężko, starając się nie wyciągać szyi, aby zobaczyć, co się dzieje, tylko pozostać w ukryciu. Nagle poczułem dreszcz przebiegający po plecach i szybko się odwróciłem, choć wiedziałem, że przy takim rozlokowaniu agentów Loving nie mógł się za mną pojawić.

Zobaczyłem tylko zarośla i młode drzewka.

- Dowództwo. Mamy ich na widoku. Obaj podejrzani są zamknięci w okrążeniu.

- Macie zielone światło - powiedział Freddy.

- Zielone światło, zrozumiałem. Na moją komendę, zespoły trzy i jeden, granaty... potem idziemy od skrzydeł i od tyłu. Czekać... czekać...

Ciekawe, jak wyglądała łączność w lipcu 1861 roku, kiedy w tym miejscu wojska zajmowały pozycje, przygotowując się do batalii.

- Teraz. Idziemy, idziemy!

Usłyszałem i zobaczyłem serię eksplozji granatów błyskowych. Zespoły taktyczne ruszyły naprzód.

Miałem skurcze w lewej dłoni - nie tej, którą strzelam - i na wpół

podniosłem się z ukrycia. Wciągnąłem powietrze do płuc. Uświadomiłem sobie, że nie oddychałem przez dobre trzydzieści sekund.

Zespoły natarły koncentrycznie, zgodnie z instrukcjami krzycząc:

- FBI, FBI! Na ziemię, ręce na widoku! Ręce na widoku!
- Mamy... - zaczął jeden głos.
- Trójka do dowództwa. Jesteście tu potrzebni. Natychmiast.

Co się działo?

- Nie rozumiem...
- Cholera.

Zdrętwiałem, słysząc te komunikaty. Trudno było mieć nadzieję, że świadczą o powodzeniu operacji.

Zacząłem się domyślać, o co chodzi. Gdy wstałem, moje przypuszczenia okazały się słuszne. Dwaj mężczyźni zbliżający się do Ornara pokazywali coś agentom - najprawdopodobniej odznaki policyjne. Oczywiście byli to detektywi z policji okręgowej w Prince William, którzy przyjechali sprawdzić zgłoszenie. Loving w chwilę po zakończeniu rozmowy z Zagajewem z pewnością zawiadomił policję, że na parkingu spotykają się handlarze narkotyków albo ktoś wołał pomocy.

Zadzwoił, aby odwrócić naszą uwagę i spokojnie zorganizować swój odwrót.

## Rozdział 53

Rozmawiałem z Claire duBois.

- Loving ucieka. Może jedzie samochodem, ale wydaje mi się, że chce opuścić okolicę. Sprawdź wszystkie dane o rezerwacjach lotniczych. Chcę wiedzieć o każdym, kto kupił bilet na dzisiaj krótko po jego rozmowie z Zagajewem około trzeciej. Może z Dulles, National albo Baltimore/Waszyngton, chociaż przypuszczam, że nadal woli ich unikać, zwłaszcza teraz, kiedy podejrzewa, że zwerbowałem Zagajewę.

- Kolej? - spytała duBois.

- Freddy zawiadomił policję na Union Station, żeby na niego uważała. Ale jestem prawie pewien, że chce się oddalić od nas szybciej niż pociągiem.

- Zaraz się tym zajmę.

Zagajew nie miał pojęcia, dokąd Loving mógł pojechać, dodał tylko, że do Charlestonu w Wirginii Zachodniej leciał około pięciu godzin, co mogłoby oznaczać, że miał bazę na Zachodnim Wybrzeżu, choć możliwe, że w Meksyku, Kanadzie albo na Karaibach.

Zespoły taktyczne zbierały sprzęt. Rozmawialiśmy z detektywami z okręgowej. Nie zdziwiła nas wiadomość, że sprowadziło ich tu zgłoszenie od anonimowego informatora, którego numeru telefonu nie dało się ustalić.

- Powiedział, że widział, jak ktoś sprzedawał „wojskową broń” prosto z samochodu. Co mieliśmy zrobić? Jezu, napędziliście nam cholernego stracha. Mało oczu nie straciłem przez te granaty błyskowe. Porozmawiam o tym ze swoim komendantem.

Zdałem sobie sprawę, jak sprytnie Loving wybrał rodzaj przestępstwa. Gdyby zawiadomił policję o handlu narkotykami albo



rozpaczliwych krzykach jakiejś dziewczyny, jak pierwotnie sądziłem, na miejscu pojawiłby się zwykły radiowóz z umundurowanymi funkcjonariuszami. Zgłoszenie o sprzedaży broni sprowadziło detektywów po cywilnemu, a my daliśmy się zwieść, że to Loving ze współpracownikiem. Dzięki temu zwiększył swoje szanse ucieczki.

- Jak się dowiedział, że zwerbowaliśmy Zagajewę? - spytał Freddy.

- Spędził długie lata na babraniu się w tym gównie.

Agent uniósł brew.

- Poczucie humoru plus wulgaryzmy, synu.

Dziesięć minut później zadzwoniła duBois.

- Pięć minut po zakończeniu rozmowy Lovinga z Zagajewem niejaki Richard Hill kupił bilet elektroniczny z Filadelfii do Seattle. Na najbliższy lot.

- Dlaczego sądzisz, że to był Loving? Nie używa takiego nazwiska.

- Po pierwsze dlatego, że Richard Hill nie żyje. Dwa lata po jego śmierci ktoś dostał prawo jazdy na jego metrykę.

- Na ducha. - Była to powszechna metoda przyjmowania fałszywej tożsamości.

- Właśnie. Ale wiemy przede wszystkim dzięki temu, że linie lotnicze nagrywają telefony. Dostałam wycinek. Zgadza się z próbką jego głosu.

- Godzina odlotu?

- Zostały niecałe trzy godziny.

- Kupił jeden bilet? - Myślałem o rudawym współpracowniku.

- Nie, dwa. Drugi na inne fałszywe nazwisko. Też nieboszczyka.

Obiecałem jej, że się odezwę. Rozłączyłem się, skinąłem na Freddy'ego i mu powiedziałem.

- Twoja dziewczyna od danych jest lepsza od mojej - burknął. - Wiesz, Corte, może ci ją podkupię. - Zadzwonił do biura terenowego FBI w Filadelfii i przekazał im szczegóły. Po chwili rozłączył się i odwrócił do mnie. - Będą na miejscu za dwadzieścia minut.

- Dyskretnie, Freddy. Zadzwonź do nich jeszcze raz i powiedz, żeby działali dyskretnie. Muszą być niewidzialni do ostatniej chwili.

- Będą dyskretni.

Uniosłem brew.

- Zadzwonię. - Urażył mnie rzadkim u niego uśmiechem. - Przyłączysz się do polowania?

Pomyślałem o Rhode Island. Pomyślałem o Abe'ie. Perspektywa uczestniczenia w aresztowaniu Lovinga była ogromnie kusząca. Bardzo chciałem pojechać...

- Zostawię to wam, chłopcy - powiedziałem jednak. - Wracam do schronu, żeby mieć na oku obiekty.

- Po co? Przecież sprawa jest zakończona, Corte.

- To prawda, Freddy. Ale faktem jest, że ciągle trzeba ich pilnować.

- Główny dyspozytor jest pod kluczem, a zbieracz dał nogę. Przed kim trzeba ich chronić?

- Przed nimi samymi.

## Rozdział 54

Atmosfera panująca w schronie w Great Falls sugerowała, że powiedziałem Freddy'emu prawdę.

Wszedłem do domu w samym środku kłótni między siostrami. Wymiana zdań była tak zażarta, że nie zakłóciło jej nawet moje wejście, choć przypuszczalnie przynosiłem ważne informacje o sprawie. Ryana nigdzie nie było.

- Byłam zdenerwowana. - Joanne uderzyła się po udach. - Chyba się nie dziwisz? Ludzie w zdenerwowaniu mówią rzeczy, których wcale nie chcą powiedzieć. Daj spokój. Jak możesz się wyprowadzić?

- Już to zaplanowałam.

- Ale nie do Andrew - odparła Joanne.

- Zmienił się.

- Błagam cię, Mar. Tacy mężczyźni się nie zmieniają. Mówią, że tak, klepią bzdury z programów dwunastu kroków. Ale tak naprawdę się nie zmieniają.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

- Przez niego trafiłaś do szpitala.

- Dosyć! - krzyknęła Maree, machając ręką.

Obie kobiety popatrzyły na mnie.

- Chciałbym porozmawiać z wami kilka minut - powiedziałem. - Opowiem, co się stało.

Joanne jeszcze raz spojrzała na siostrę z mieszaniną smutku i zawodu, po czym odwróciła się do mnie, i opadła na kanapę.

- Gdzie Ryan? - spytałem.

- Tutaj - powiedział, wchodząc do salonu. Pił kawę, chociaż podejrzewałem, że mógł do niej dolać whiskey. Nie czułem jednak alkoholu. Przeszedł obok żony i szwagierki i usiadł na krześle w kącie

pokoju. Nie zwracając uwagi na kobiety, patrzył tylko na mnie.

Zawołałem też Lyle'a Ahmada i Tony'ego Barra i oznajmiłem wszystkim:

- Mamy dyspozytora, a Loving wyjeżdża. Potwierdziliśmy, że to Zagajew. Nie chodziło o akcję terrorystyczną. W każdym razie nie bezpośrednio. - Spojrzałem na Joanne. - Chciał wyciągnąć od ciebie informacje, a potem je sprzedać.

Ryan Kessler milczał, nawet nie patrząc na żonę.

- A więc już po wszystkim - powiedziała Maree. - Chciałabym wrócić do domu - dodała. - To znaczy do ich domu po rzeczy.

- Przykro mi, ale jeszcze nie teraz - odrzekłem. - Nie zatrzymaliśmy jeszcze Lovinga ani jego współnika. Wydaje mi się, że na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jest bezpiecznie, ale chcę was tu zatrzymać, dopóki nie trafią za kratki.

Spodziewałem się, że dostanę odpryskiem złości, jaką Maree wylewała na siostrę, a przynajmniej usłyszę jeszcze jeden zgryźliwy komentarz pod adresem pana przewodnika, ale siostra Joanne spojrzała na mnie łagodnie.

- Sam wiesz, jak będzie najlepiej.

Nie wiedziałem, jak rozumieć ten pojednawczy ton. I kokieteryjny uśmiech.

- Co z Amandą? - spytała Joanne.

- Może do nas dołączyć. Bill Carter też. Już do niego dzwoniłem i jeden z moich znajomych strażników przywiezie ich do umówionego miejsca. Sam ich stamtąd odbiorę i odwiozę tu.

Oczy Joanne rozbłysły na wiadomość, że wkrótce zobaczy pasierbicę, ale po chwili znów się zasępiła. Zapewne pomyślała, że ona albo jej mąż będą musieli przeprowadzić poważną rozmowę z dziewczyną na temat dawnej pracy macochy.

Poszedłem do bocznego pokoju i usiadłem na krześle, które wydało miłe dla ucha skrzypnięcie. Od Freddy'ego dowiedziałem się, że na lotnisku w Filadelfii wylądował śmigłowiec z oddziałem specjalnym FBI, który zajął pozycje w garażu oraz w terminalu i wokół niego, żeby prowadzić obserwację. Przy założeniu, że Loving w drodze do Filadelfii nie przekraczał dozwolonej prędkości, a raczej trzymał się przepisów, powinien być na miejscu za półtorej godziny.

Następnie zadzwoniłem do Aarona Ellisa, któremu zrelacjonowałem przebieg zakończenia sprawy.

- A więc chyba należą ci się gratulacje - powiedział.  
Ostatnie słowo zabrzmiało nieco fałszywie. Potem w głosie szefa usłyszałem poważny ton, gdy powiedział:

- Corte?

- Mów.

- Senator Stevenson.

- Tak?

- Dzwonił do mnie.

- Bezpośrednio? - spytałem. - Nie przez Sandy'ego Alberta?

- Nie. Dzwonił w twojej sprawie.

- Zaczekaj. - Wstałem, zamknąłem drzwi do pokoju i znów usiadłem. Wzięłem głęboki oddech. Potem jeszcze jeden. Wreszcie: - Mów, Aaron.

- Zadawał mi pytania, na które nie znałem odpowiedzi. - Ellis umilkł na chwilę. - Muszę znać prawdę, Corte. Stevenson wziął cię na muszkę?

Nie mogłem już tego dłużej odwlekać.

- Wziął mnie na muszkę.

- Mów - rzucił ponuro Ellis.

Układałem w myślach odpowiedź. W końcu odrzekłem:

- Po zamordowaniu Abe'a bardzo chciałem dopaść Lovinga. Ale nie spotkałem nikogo, kto lepiej niż on działa z ukrycia. No więc udało mi się umieścić nazwisko Lovinga na kilku listach.

- I co?

- To nie były zwykłe listy osób obserwowanych. Dopisałem go do baz danych nakazów założenia podsłuchu.

- Ty go dopisałeś. - Ellis zniżył głos niemal do szeptu. - Chcesz powiedzieć, że bez udziału sędziego?

- Bez. Sam wszedłem do zintegrowanego systemu. Gdybym czekał z pójściem do sędziego, dopóki go nie znajdziemy, byłoby za późno. Słuchaj, Aaron, nie chodziło mi o zebranie dowodów do procesu. Chciałem go po prostu znaleźć.

- Jezu... Na zebraniu w sobotę Westerfield mówił, że odebrali polecenie wykonania zadania na podstawie nakazu. To był twój nakaz?

Mój nielegalnie wydany nakaz założenia podsłuchu.

- Zgadza się.

Czyli gdy Alberts przyszedł do mnie, żeby z tobą porozmawiać, to co? Przyszedł węszyć?

- Chyba tak. - Dość dobrze pozacierałem za sobą ślady, ale w ferworze pościgu za Lovingiem mogłem zostawić trop tego, co zrobiłem. - On albo Stevenson prawdopodobnie szukają podejrzanych nakazów i niektóre pewnie wskazują na mnie. Alberts dzwonił też do Freddy'ego. Pytał konkretnie o mnie.

Usłyszałem skrzygnięcie. Wyobraziłem sobie szefa kołyszącego się na krześle. Jego barki miały dokładnie tę samą szerokość co skórzane oparcie.

- Dla Stevensona nie będzie miało znaczenia, że Kesslerowie już by nie żyli, gdybym wtedy nie załatwił tych nakazów - ciągnąłem. - Czytałem o nim. To ideowiec. Nie prowadzi tych przesłuchań z myślą o reelekcji ani o poprawieniu notowań swojej partii, nie robi tego też dla prasy. Szczerze wierzy w prawo i porządek. A inwigilacja bez nakazu to przestępstwo.

Tak jak fałszowanie nakazów, rzecz jasna.

Przypomniałem sobie, z jaką konsternacją czytałem informacje o Stevensonie, uświadamiając sobie, że to najgorszy z możliwych wrogów: wpływowy człowiek głęboko przekonany, że słusność jest po jego stronie. Zwłaszcza gdy osoba, którą wziął na celownik, dopuściła się rażących nieprawości.

Z konsternacją zdałem sobie też sprawę, że szukam w życiu Stevensona jakiegoś skandalu czy wstydliwego zdarzenia, czegokolwiek, co mógłbym wykorzystać, aby zniechęcić go do wezwania mnie przed oblicze komisji - nie, sam nie cofam się przed wykorzystaniem takich haków. Ale niczego nie znalazłem. Lubił spotykać się z młodszymi kobietami, ale był samotny, więc to nie był żaden problem. Jego kampanie w dużej części finansował jeden z największych konserwatywnych komitetów wyborców w Waszyngtonie. Ale kampanie wszystkich polityków wspierały komitety; poplecznicy Stevensona mieli po prostu grubsze portfele niż wielu innych. Nawet szef jego doradców, Sandy Alberts, przed podjęciem pracy u Stevensona, starannie zerwał wszystkie swoje powiązania z firmami lobbingsowymi.

Nie było haka, żeby mu zagrozić.

I nie miałem mu nic do zaoferowania w zamian za to, żeby o mnie zapomniał. Właśnie kogoś takiego jak ja chciał pokazać opinii publicznej: funkcjonariusza agencji rządowej pracującego dla tajemniczej organizacji, który bawi się prawem w państwie.

- Na czym stanęło ze Stevensonem?,- spytałem.

- Chce wiedzieć o twoich sprawach z zeszłego roku, w których sprawcy stanęli przed sądem.

Żeby się przekonać, czy jakiś zbieracz bądź cyngiel, którego pomogłem aresztować, został skazany na podstawie nielegalnego podsłuchu.

- Był tylko Loving - powiedziałem do swojego szefa. - Nikt inny.

- To zapewne nie będzie miało dla niego żadnego znaczenia.

Nie będzie. Odosobnione przestępstwo pozostaje przestępstwem.

- Jeżeli nie udostępnię mu akt sprawy - rzekł Aaron - oficjalnie wezwie mnie do ich przedstawienia. I zmusi cię, żebyś stanął przed komisją.

Co będzie oznaczało kres mojej pracy jako owczarka. I być może początek zenującego procesu, który prawdopodobnie zakończy się wymierzeniem kary więzienia.

- Jesteśmy już tak blisko złapania Lovinga - powiedziałem, siedząc na brzeźku krzesła. - Proszę, zrób wszystko, żeby Stevenson...

Mój szef, zazwyczaj tak spokojny jak ja, warknął:

- Cholera jasna, już i tak za bardzo cię osłaniam przy tej sprawie, Corte.

- Wiem. Będę ściśle współpracował ze Stevensonem - kiedy Loving trafi do pudła. Poniosę wszelkie konsekwencje.

- Zdajesz sobie sprawę, że to stawia całą organizację w bardzo kłopotliwym położeniu. Nie możemy sobie pozwolić na upublicznienie, Corte.

- Tak, wiem.

- Jeżeli się da, spróbuję przeciągnąć to na dzień czy dwa. Ale jak dostanę wezwanie, nic już nie będę mógł zrobić.

- Rozumiem. Dzięki, Aaron.

Rozłączyłem się i oparłem na krześle, przecierając oczy. Czuję się kompletnie wyczerpany. Co można ocalić w tej beznadziejnej sytuacji? Gdybym nawet uniknął więzienia, moja kariera owczarka zawisłaby na włosku. Mimo woli pomyślałem o swoich dawnych zadaniach, o niektórych chronionych przez siebie obiektach.

O Claire duBois.

I o Abe'ie Fallowie.

Nagle uświadomiłem sobie, że bez względu na to, co się stanie w przyszłości, sprawa Kesslerów nie została zakończona. Trzeba było

jeszcze złapać Lovinga i jego współnika. I zebrać dowody przeciwko dyspozytorowi - chciałem dopilnować, żeby wszystko zostało zabezpieczone na ostatni guzik i żeby nic nie pochodziło z fałszywego nakazu.

Znalazłem zapis zeznania Asiana Zagajewa, otworzyłem go i zacząłem czytać.

*Wiodło mi się raczej nieźle. Ale sukces to ruchomy cel, prawda? Zaczęłem mieć pewne kłopoty, natury finansowej. Przez gospodarkę. Komu potrzebne dywany, jeżeli nie stać go na spłatę kredytu? Kto chodzi jeść do mojej wspaniałej restauracji, jeżeli musi kupować hurtowe ilości mrożonek w Sam's Club, żeby nakarmić dzieci? Jak zarobić więcej? Może mógłbym świadczyć jakieś usługi? Może mam coś cennego, co mógłbym sprzedać? Nagle wpadłem na pomysł. Może dowiem się czegoś więcej o operacji przeciwko tym Pakistańczykom, którzy zginęli w barze sześć lat temu? Jaką to może mieć wartość? Pamiętałem kobietę, która była dowódcą terenowym i kierowała ich likwidacją: Joanne Kessler. Jeżeli nawet zakończyła służbę, na pewno miała cenne informacje albo mogła mnie zaprowadzić do ludzi, którzy je mieli.*

*Parę razy zatelefonowałem dyskretnie do swojego kontaktu w Damaszku. Dowiedziałem się, że rzeczywiście jest zainteresowanie informacjami tego typu. Zainteresowanie liczone w milionach dolarów. Ktoś stamtąd podał mi nazwisko Henry 'ego Lovinga.*

Kiedy skończyłem, wyprostowałem się. Był żałosny. Co więcej, wydawał się głupi. Żeby zarobić trochę pieniędzy, ryzykował, że spędzi resztę życia w więzieniu? Dziwny motyw jak na człowieka, który miał środki do życia i rodzinę, a odtąd miałby ją oglądać tylko zza krat albo przez kulooodporne szyby. Mógłbym to zrozumieć, gdyby był prawdziwym terrorystą albo gdyby ktoś go szantażował...

Nagle coś mi przyszło do głowy i równocześnie poczułem skurcz w żołądku. Pochyliłem się i jeszcze raz przeczytałem fragment zeznania.

*Pamiętałem kobietę, która była dowódcą terenowym i kierowała ich likwidacją: Joanne Kessler.*

Och, nie...

Chwyciłem radio i wezwałem do siebie Lyle'a Ahmada.

- Natychmiast - powiedziałem. - Jesteś mi potrzebny natychmiast.



Młody cień zjawił się chwilę później. Miał obojętny wyraz twarzy i czujne spojrzenie.

- Słucham.

- Zamknij drzwi. Gdzie obiekty?

Przymknął grube dębowe skrzydło i podszedł do biurka.

- Ryan jest w pokoju w głębi i czyta. Raczej udaje. Pije. Joanne w sypialni. Maree siedzi u siebie przy komputerze.

- A Barr?

- Wyszedł na obchód z tyłu domu.

Zniżyłem głos.

- Wydaje mi się, że albo został zwerbowany, albo jest podstawiony.

Funkcjonariuszowi nie drgnęła powieka. Na pewno był zaniepokojony, lecz tak samo jak ja podchodził do sytuacji spokojnie. Tak jak go uczyłem.

- Rozumiem.

Wyjaśniłem, skąd to podejrzenie.

- Kiedy mówiłem tobie i Barrowi o pracy Joanne w Sierpie, nazywałem ją dowódcą terenowym.

- Pamiętam.

- Ale to termin używany w naszej organizacji. Joanne mówiła o sobie jako o „prowadzącej” w zespole. Zagajew powiedział jednak „dowódca terenowy”.

Ahmad kiwał głową.

- Gdzie to usłyszał?

- Właśnie. Tylko od kogoś stąd.

- Od Barra.

- Poza tym Zagajew wymienił nazwisko Joanne - dodałem. - Jasne, być może znał małżeństwo zamordowane w barze, ale skąd mógł znać jej nazwisko? Williams i Sierp na pewno trzymali je w tajemnicy.

- Czyli Loving znalazł dostęp do kogoś w Departamencie Sprawiedliwości i dowiedział się, że Freddy wysłał Tony'ego Barra do schronu.

- Potem znalazł Barra i go zwerbował.

Przyszła mi na myśl jeszcze jedna ponura możliwość.

- Albo to wcale nie Barr, tylko oszust.

- A prawdziwy Barr nie żyje.

Smutna, ale logiczna konstatacja.

- Barr - czy ktokolwiek to jest - ciągnąłem - zadzwonił do Lovinga i powiedział mu o naszych podejrzeniach, że to Joanne jest obiektem, a dyspozytorem może być Zagajew. Zadzwonił do Lovinga i mu powiedział.

Zbieracz uświadomił sobie, że trafiła mu się wspaniała okazja do zmylenia tropu. Odszukał Zagajewa i zmusił go do odegrania roli dyspozytora - prawdopodobnie wykorzystując jako hak jego rodzinę. Loving streścił mu przebieg całej akcji - wspominając między innymi o helikopterze - i kazał mu przekonać nas, że Joanne naprawdę jest celem. Czeczeniec zatelefonował do paru osób, które wskazywałyby na niego jako na sprawcę, a kiedy go złapaliśmy, przyznał się do winy.

Odwracając naszą uwagę od Lovinga i prawdziwego dyspozytora.

- Ale jeżeli to prawda - zauważył młody funkcjonariusz - dlaczego Barr przekazał tylko Lovingowi informacje i nie zrobił nic więcej? Przecież mógł mu powiedzieć, gdzie jest schron. Mógł nam strzelić w plecy.

Rzeczywiście.

- Nie wiem. Muszę się dowiedzieć czegoś więcej. Na razie jednak trzeba zakładać, że mamy nieprzyjaciela na swoim terenie. Zbierz wszystkie obiekty w pokoju i zostań z nimi. Zadzwoni do więzienia i przekaz wiadomość Billowi Carterowi. Powiedz, że jeszcze nie przyjadę po niego i Amandę. Niech wracają, dopóki nie ustalę, co się dzieje.

- Tak jest. - Wyszedł.

Patrzyłem na zapis przesłuchania.

*Dowódca terenowy...*

Jak mogłem zweryfikować swoją hipotezę? Przed wejściem do schronu Barra sprawdził system rozpoznawania twarzy i skaner linii papilarnych. Czyli albo to naprawdę był Tony Barr, albo ktoś włamał się do serwerów Departamentu Sprawiedliwości - być może pracownik FBI albo innej federalnej instytucji bezpieczeństwa. Zalogowałem się do serwera z danymi personelu Biura, wstukałem odpowiednie hasła i obejrzałem profil Barra. Zgadzało się zdjęcie twarzy, znaki szczególne i wiek. Dane zawierały także odciski palców - te próbki wykorzystał Geoff, żeby zweryfikować jego tożsamość. Wszystko wskazywało na to, że człowiekiem przysłanym do schronu jest Tony Barr.

Otworzyłem nowe okno i zacząłem przeszukiwać serwisy społecznościowe, wpisując „Tony Barr” wraz ze stosownymi informacjami demograficznymi.

Świat Google'a...

Po zaledwie trzech minutach przekonałem się, że istotnie mamy oszusta. Prawdziwy Barr był tylko odrobinę podobny do mężczyzny, który właśnie krążył na tyłach naszej posesji.

A więc Barr nie żył, a oszust był jednym ze współników Lovinga. Potwierdziwszy swoje podejrzenia, opanowałem szok i zacząłem się zastanawiać, jaki był cel jego misji i o co naprawdę chodzi Lovingowi. Nie znalazłem żadnej odpowiedzi.

Uznałem, że potrzebuję pomocy.

Po krótkim wahaniu wziąłem telefon i zadzwoniłem.

- Tu Williams - odezwał się ochrypły głos.

- Mówi Corte.

- Wiem. Widzę numer. Śledzę komunikaty. Podobno załatwiliście sprawę.

Co miało oznaczać: po co mi zawracasz głowę?

- Istnieje możliwość, że załatwiliśmy ją nie tak, jak powinniśmy.

Chrząknął.

Wyjaśniłem, co mi przyszło do głowy. Williams przyjął wiadomość w milczeniu.

- Ciągłe życie. Co więc zamierza wasz fałszywy agent?

- Oto jest pytanie. Muszę się dowiedzieć. Ale nie mogę zaufać nikomu w FBI. Mają kreta, który prawdopodobnie monitoruje wszystko, co się dzieje w mojej firmie... Ma pan kogoś, kto nam może pomóc?

Dziwne, ale w ogóle się nie wahał z odpowiedzią.

- Tak się składa, że mam. - Podał mi numer telefonu. - Proszę do niego zadzwonić.

- Sytuacja jest krytyczna - powiedziałem. - Jak blisko jest ten człowiek?

Williams zachichotał, czego mogłem się spodziewać.

- Bliżej niż pan myśli.

## Rozdział SS

**D**wadzieścia minut później wyszedłem z domu, czując w chłodnym, wilgotnym powietrzu woń palonego w oddali drewna. Czasem dzieciaki rozpały ogniska w parku wychodzącym na wodospady na Potomaku.

Przypomniałem sobie, jak dziś rano Maree i ja siedzieliśmy niepokojnie - w każdym razie ja na pewno - na skalnej półce ponad dziesięć metrów nad wzburzoną wodą. Przypomniałem sobie, jak mnie pocałowała.

Zmusiłem się do koncentracji.

Ponieważ zbliżał się do mnie właśnie człowiek podający się za Tony'ego Barra, jak zawsze czujny i uzbrojony w imponującą broń automatyczną. Musiał mi uwierzyć, iż nie mam pojęcia, że jest współnikiem Henry'ego Lovinga.

- Tony. - Skinąłem mu głową. Poważny, milczący mężczyzna stał obok mnie. Jego oczy cały czas lustrowały teren. - Lyle jest w środku? - zapytałem. Jak dotąd mówiłem spokojnym głosem, spoglądając na niego i odwracając wzrok w sposób, jaki wydawał mi się naturalny w tych okolicznościach.

- Tak jest... Są jakieś wiadomości z Filadelfii?- spytał.

Do diabła, o co chodzi Lovingowi? - zachodziłem w głowę.

- Na razie żadnych - odrzekłem. - Loving będzie na miejscu najwcześniej za pół godziny. - W mojej dłoni zadzwoniły kluczyki do samochodu. - Jadę odebrać córkę Kesslerów i ich przyjaciela.

Rogalik księżycy pojawiał się i znikał, wyglądając co pewien czas zza gęstych chmur płynących po niebie. Wiatr unosił srebrzyste liście zrzucone przez dęby i klony i kołysał wysokimi choinami rosnącymi z boku domu.

Rozejrzałem się po posesji.

- Zupełnie tu inaczej, gdy dyspozytor siedzi, a zbieracz zaraz zostanie zatrzymany. Może się nawet podobać. - Zerknąłem na czarny, kanciasty pistolet maszynowy w ręku oszusta. Lufa nie była wymierzona w moją stronę, ale gdyby się zorientował, że wiem, kim jest, zanim zdążyłbym się ruszyć choćby o centymetr, już bym nie żył.

- To prawda - odparł. - Gdyby nie pewien jeleni o samobójczych skłonnościach, który jakiś czas temu wyskoczył z krzaków. Mało brakowało, żebyśmy mieli dziczyznę na śniadanie. Właśnie znowu go słyszałem, w tym samym miejscu. Nie są chyba zbyt rozzębione, co?

- Ale chyba nie po to Bóg je stworzył. - Czyżby coś podejrzewał? Trudno było odgadnąć. - Posłuchaj, Tony - ciągnąłem. - Kiedy wrócę, chcę jutro rano koordynować transport Kesslerów z powrotem do Fairfaksu. Loving będzie już siedział, ale chcę im zostawić ochronę jeszcze przez kilka dni, dopóki wszystko nie wyjaśni się do końca. Agent Fredericks powiedział, że być może zechcesz się tego podjąć. - Improvizowałem. Nie byłem pewien, czy nie przesadzam. Kiepska gra mogła mnie kosztować życie.

- Tak jest... jeżeli będzie sobie życzył.

Uśmiechnąłem się.

- Czyli nie brzydzisz się aż tak baby-sittingiem.

Też wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cieszę się, że mogę pomóc.

- Dzięki.

Z podwórka od frontu dobiegł cichy trzask. Wymieniliśmy niepokojne spojrzenia i obaj odwróciliśmy się w stronę odgłosu. Przy-mrużyliśmy oczy, napięci jak struny.

- Jak myślisz, co to było? - spytałem.

- Nasz jeleni? - szepnął.

Dźwięk powtórzył się, tym razem głośniejszy. Skierowaliśmy lufy w kierunku odgłosu.

- Co to, do cholery? - spytał.

Poznaliśmy odpowiedź chwilę później, gdy zobaczyliśmy następny kamyk przelatujący nad domem i lądujący na podjeździe.

- Zmyłka - wychrypiałem z niepokojem w głosie. Obaj obróciliśmy się błyskawicznie - i ujrzeliśmy mężczyznę celującego do nas z półau-tomatu z tłumikiem. Intruz bezgłośnie zaszedł nas od tyłu kiedy

patrzyliśmy w stronę, gdzie rzucał kamienie nad dachem, żeby odwrócić naszą uwagę.

Szczupły, rudawy mężczyzna miał na sobie tę samą zieloną kurtkę, w którą był ubrany w sobotę podczas ataku na dom Kesslerów i w przygotowanej przez nas pułapce.

- Wspólnik Lovinga! - szepnąłem.

- Jego współ... - zaczął fałszywy Barr. Zanim jednak zdążył skończyć pytanie, mężczyzna w zielonej kurtce zmrużył oko, uniósł broń, wymierzył w moją nogę i trzy razy strzelił.

Krzyknąłem i padłem na ziemię.

## Rozdział 56

**W** rzeczywistości pociski wcale mnie nie dosięgły.

A mężczyzna w zielonej kurtce nie był współnikiem Lovinga.

Był ekspertem poleconym przez Williamsa i nazywał się Jonny Pogue. Rzeczywiście, tak jak powiedział z tłumionym śmiechem Williams, był bliżej, niż sądziłem. Pogue zajmował posterunek po drugiej stronie drogi, naprzeciwko domu, i śledził nas przez kilka dni, chcąc mieć pewność, że Joanne i jej mroczne tajemnice nie wpadną w niepowołane ręce. Robił to już przed domem Kesslerów i w naszej pułapce, ale ponieważ działał pod przykryciem, zakładaliśmy, że był współnikiem zbieracza.

Krótko przedtem opracowaliśmy z Pogue'em przez telefon podstęp, który właśnie realizowaliśmy. Strategia mogła ujawnić prawdę o oszuście i prawdziwy plan Lovinga.

Nasza strategia mogła też doprowadzić do śmierci Pogue'a i mojej.

Pogue ukląkł, udając, że dokładnie mnie przeszukuje; odwrócił się przy tym plecami do oszusta i był całkowicie bezbronny. Ale mężczyzna, który mógł go zastrzelić w każdej chwili, nie bardzo rozumiał, dlaczego Pogue nie zwraca na niego uwagi. Miał jeszcze bardziej zdezorientowaną minę, kiedy Pogue wziął mojego glocka i podał fałszywemu agentowi FBI.

- Przepraszam - powiedział oszust, niepewnie biorąc broń - ale kim jesteś, do cholery?

- Pogue.

- Henry nigdy nie wspominał...

- Loving nic o mnie nie wie. Pracuję dla człowieka, który go wynajął.

To było ryzykowne posunięcie, które omówiliśmy z Pogue'em

wcześniej. Gdyby sam oszust pracował dla dyspozytora, cała rozgrywka zakończyłaby się w tym momencie - być może krwawo.

Nagle jednak usłyszałem, jak fałszywy agent parska śmiechem i mówi:

- Och, no jasne. To wszystko wyjaśnia. Zastanawialiśmy się, co jest grane. Henry mówił, że ktoś inny depcze nam po piętach, i to nie Corte. Ktoś w zielonej kurtce. - Wskazał na strój Pogue'a.

- Mam na oku ciebie i Henry'ego, żeby wiedzieć, że wszystko idzie zgodnie z planem. - Pogue wstał i wyciągnął rękę. - Jak nazwisko?

- McCall.

Ucisnęli sobie dłonie. Pogue mruknął:

- Słuchaj, McCall, mamy problem. Wiesz o wtyce, która przekazała ci info o Barrze i wrzuciła twoje zdjęcie na stronę Biura.

McCall w roztargnieniu kiwał głową, rozglądając się.

- Nie wiem, kto to jest, ktoś w wydziale tego gnojka Fredericksa.

A więc kret faktycznie był w wydziale Freddy'ego. Niedobrze. Ale nie zareagowałem i wciąż ścisnąłem własną nogę, jęcząc. Moje cierpienie wyraźnie sprawiało McCallowi przyjemność.

- W każdym razie ten skurwiel nagle zmienił zdanie - oświadczył Pogue. - I zaczął mówić.

- Psiakrew, nie.

- Psiakrew, tak. - W jego odpowiedzi zabrzmiała nuta drwiny, która mogłaby się pojawić w rozmowie żołnierzy sprzymierzonych armii. Pogue grał perfekcyjnie.

Sierp...

- Wiedzą o mnie? - zaniepokoił się McCall.

- Nie wiem. Może jeszcze nie, ale się dowiedzą. Domyślą się, że stuknąłeś Barra, to tylko kwestia czasu.

- Ciało jest w kanale burzowym - powiedział obronnym tonem McCall. - Będą go szukać parę dni.

- Łudziś się. Chodzi o to, że musimy przyskać. Trzeba się skontaktować z Henrym i go ostrzec - nie możemy skorzystać z telefonu ani radia. Znają wszystkie numery i częstotliwości.

- A co z nim? - McCall wycelował we mnie swojego glocka.

- Idzie z nami. Mój szef chce wiedzieć parę rzeczy. Ale najważniejsze to znaleźć Henry'ego. I to już. Gdzie on jest?

- Ostatni raz rozmawiałem z nim całkiem niedaleko. - McCall uśmiechnął się kpiąco. - Dali się nabrać na ten wyjazd do Filadelfii.



- No to chodźmy do niego. Zanim go namierzą. Gdzie dokładnie jest?

Ostrożnie, pomyślałem. Bałem się, żeby Pogue nie przesadził.

- Miał jechać do obiektu, kiedy razem ze swoją ekipą zdejmą cel.

- Cel? - spytał Pogue. - Joanne Kessler?

McCall zmarszczył brwi.

- Nie, nie. Ona nie ma z tym nic wspólnego... Mówię o prawdziwym celu. O Amandzie, ich córce. Myślałeś, że o kim?

## Rozdział 57

Amanda...

To o nią chodziło Lovingowi? Nie o Ryana ani jego żonę? Rozpaczliwie próbowałem ułożyć wszystko w głowie i zrozumieć, jak to możliwe.

Pogue ochłonął z zaskoczenia.

- Wiem - powiedział. - Pomyślałem tylko, że Henry będzie chciał zdjąć też Joanne i jej męża.

McCall wzruszył ramionami.

- Może. Ale nic mi o tym nie mówił.

- Chcę stąd jak najszybciej spieprzać - mruknął Pogue. - Zobaczymy się z nim w obiekcie. Gdzie to jest?

Starał się. Prawdopodobnie zaczekałbym jeszcze trochę, żeby wyciągnąć z niego więcej szczegółów, ale coś się stało.

Z głuchej ciszy, jaka zapadła po tym pytaniu, odgadłem, że nasz podstęp właśnie się zakończył. McCall zaczął coś podejrzewać.

Nie mogłem ryzykować, że rzuci mojego glocka - nie był naładowany - i chwyci swój automat. Zerwałem się na nogi.

- Bierzemy go.

McCall szybko zareagował, unosząc jedyną broń, jaką miał w ręku - mojego glocka.

- Jest pusty - mruknął spokojnie Pogue. Wycelował w McCalla berettę z tłumikiem. Podszedłem do McCalla, wyrwałem mu swoją broń, przeładowałem i odciągnąłem zamek.

Ubezpieczałem Pogue'a, gdy nakładał zszokowanemu McCallowi jednorazowe kajdanki i ciasno je zaciskał. Wyciągnąłem telefon i pospiesznie zadzwoniłem do więzienia.

Z krzaków wyłonił się Lyle Ahmad. Tkwił tam uzbrojony w swojego M4 z noktowizorem. Wysłałem Ahmada do lasu, żeby trzymał na muszce oszusta, podczas gdy Pogue i ja odgrywaliśmy nasze małe przedstawienie, aby sprawdzić, czego możemy się od niego dowiedzieć.

Zdając sobie sprawę, że został wystrychnięty na dudka, McCall mruknął:

- Mam przejebane. - Patrzył na moją nogę, gdzie powinny być rany od kul. - Mam kompletnie przejebane.

Rozmawiałem z jednym z naczelników zakładu karnego i usłyszałem, że wciąż nie udało mu się skontaktować ze strażnikami, którzy mieli eskortować Amandę i Cartera z wyznaczonego miejsca z powrotem do więzienia.

Wolno wciągnąłem powietrze przez zaciśnięte zęby. Skoro celem była Amanda, wiedziałem, że McCall poinformował Lovinga, że dziewczyna i Bill Carter opuszczają zakład karny. Nie znał dokładnej lokalizacji punktu przerzutowego, ale Loving albo inni współnicy mogli czekać na samochód z nimi przed więzieniem.

- Proszę zadzwonić, gdy tylko się pan czegoś dowie.

- Oczywiście.

Rozłączyłem się. Wiedziałem, że w FBI jest kret, więc nie mogłem dzwonić do Freddy'ego i prosić o przysłanie zespołu szturmowego. Nie mogłem się też skontaktować z nikim w naszej organizacji, nawet z Claire, ponieważ należało założyć, że zdrajca może znać kogoś stamtąd.

Po namyśle postanowiłem zadzwonić do miejscowej policji, prosząc o przeszukanie drogi między więzieniem a punktem przerzutowym - centrum handlowym w Sterling w Wirginii. Uprzedziłem ich, że nie wykluczamy porwania, a podejrzany lub podejrzani są uzbrojeni.

Schowałem telefon, po czym kucnąłem w chłodnej trawie obok McCalla, który siedział zgarbiony, ze spuszczoną głową. Jego oczy spoglądały na mnie co parę sekund.

- To ty strzelałeś do nas pod magazynem na Północnym Wschodzie? - zapytałem. - I to ty założyłeś mi lokalizator w samochodzie?

Nie odpowiedział, ale błysk w jego oczach mówił mi, że trafiłem w dziesiątkę.

- Au Billa Cartera byłeś w lesie po drugiej stronie drogi?

McCall zacisnął usta, ale wciąż milczał.

- Dlaczego chcą Amandy?

Cisza.

- Gdzie jest ten obiekt? I co to jest?

- Nic nie powiem.

- Właśnie przyznałeś się do zabójstwa Tony'ego Barra - powiedział schrypniętym głosem Pogue. - Agenta federalnego. Już i tak po tobie.

- Cokolwiek mi zrobicie - szepnął z nieszczęśliwą miną McCall - to i tak będzie nic w porównaniu z tym, co robi Loving, kiedy się dowie, że sypanąłem. Mam rodzinę, przyjaciół - Loving może ich zlikwidować w jednej chwili. Albo zrobić coś gorszego.

- Ochronimy ich - powiedziałem.

- Przed Lovingiem? - McCall zaśmiał się ponuro. - Jasne.

- Mówiłeś, że nie znasz nazwiska dyspozytora. Co o nim wiesz?

Cisza.

Zadzwęczał mój telefon. Odszedłem na bok i pospiesznie wcisnąłem ODBIERZ.

- Corte.

Dzwonił kapitan z policji stanowej.

- Moi ludzie znaleźli Williama Cartera. Żyje. Jest ranny, ale żyje. Strażnik z więzienia Wirginii Północnej nie żyje.

- A dziewczyna?

- Niestety zniknęła. Byli około dziesięciu kilometrów od więzienia. Carter twierdzi, że czarny SUV zmusił ich do zjechania na pobocze, przestrelono im opony. W samochodzie było trzech mężczyzn. Rysopis żadnego z nich nie odpowiadał rysopisowi podejrzanego, Lovinga.

Trzech innych?

- Carter nie widział numeru rejestracyjnego.

- Co się tam stało?

- Amanda kopnęła jednego z podejrzanych wie pan w co... Potem odwróciła się i zepchnęła Cartera do strumienia - żeby go uratować. Carter powiedział, że mała zachowała się jak prawdziwa bohaterka. Chciała potem skoczyć za nim, ale już ją dopadli.

Bohaterka jak jej ojciec.

- Strzelali do niego, ale nie chcieli tracić czasu. I odjechali. Lekko zranili go w kostkę, ale to nic groźnego.

- W jakim kierunku uciekli?  
- Nie wiemy. Rozesłaliśmy komunikaty, ale jak dotąd brak odzewu. Kontynuować poszukiwania?

- Nie. Na razie zachowajcie to dla siebie.  
- Oczywiście.

Kiedy zakończyliśmy rozmowę, spojrzałem w stronę domu, gdzie czekali ojciec i macocha dziewczyny. Popatrzyłem na cienie kładące się wokół domu, gdy chmury od czasu do czasu przyciemniały blask księżyca. Zastanawiałem się: czy trzej mężczyźni w wozie terenowym to dyspozytorzy? Może wynajęci bandyci? Albo też wspólnicy Lovinga?

Jakie informacje mógłby wyciągnąć dyspozytor od szesnastoletniej dziewczyny?

Zerknąłem na Pogue'a, a potem kucnąłem naprzeciwko McCalla.

*Spokój, Corte. Cokolwiek się stanie, musisz zachować spokój. Kiedy patrzysz w twarz przeciwnika, kiedy z nim rozmawiasz, powinieneś się zachowywać, jak gdybyś mówił o płatkach śniadaniowych. Trzymaj emocje na takim poziomie... Emocje są zabójcze.*

Jaki jest cel? - spytałem sam siebie.

Jaki jest najskuteczniejszy sposób, żeby go osiągnąć?

Znałem te pytania. Znałem je na pamięć. Ale z niewiadomego powodu złapałem McCalla za kołnierz i zacisnąłem, aż zaczął się krztusić.

- Dokąd ją zabrali? - krzyknąłem.

Z trudem pokręcił głową.

- Co to za obiekt, gdzie on jest? - Ścisnąłem mocniej. Poczulem na sobie wzrok Ahmada. Nigdy nie widział mnie w takim stanie. Wiedziałem, bo nigdy nie zachowywałem się w ten sposób przy żadnym ze swoich zadań.

W kącikach ust McCalla pojawiła się ślina.

- Gdzie? - wrzasnąłem.

Obrócił na mnie przerażone oczy. Wciąż jednak milczał.

Puściłem go i wstałem. Nie chciałem zabierać go do domu do swoich podopiecznych. Zerknąłem na azyl, mały budynek wielkości garażu na trzy samochody. Nie sprawiał wrażenia zbyt solidnego, ale był świetnym schronieniem. Po zamknięciu drzwi ludziom w środku nie groziła żadna broń o sile mniejszej od granatnika przeciwpancernego.

- Wsadźcie go tam.

Ahmad i Pogue zawlekli McCalla do budynku.

Stojąc na wilgotnej trawie, patrzyłem w stronę azylu. Ciężkie stalowe drzwi były otwarte, a światła w środku włączone. Widziałem McCalla przykutego do kuchennego krzesła. Jego twarz nie wyrażała buntu; wyraźnie się bał.

Wnętrze budynku było jasno oświetlone i pomalowane na łagodne dla oka kolory - żółty i pastelowoniebieski - zgodnie z teorią, że gdyby doszło do długiego oblężenia, zamknięci w przytulnym pomieszczeniu ludzie byłiby mniej skłonni do kapitulacji. Takie drobiazgi mają znaczenie.

Odwróciłem się i podszedłem do drzwi domu. Wstukałem kod. Nie spieszyłem się z przekazaniem wiadomości.

Wszyscy moi podopieczni stali w oknie, wyglądając na zewnątrz. Nie mówiłem o podejrzeniach, jakie budził we mnie człowiek podający się za Barra, opowiedziałem tylko, jak dostał się do środka i jak Zagajew stał się pozorantem.

- Chryste - powiedziała Maree. - Mógł nas pozabijać. Kiedy spaliśmy, mógł nam na przykład poderznąć gardła.

Mógł, pomyślałem. Ale tego nie zrobił. Dlaczego?

- Kim jest ten drugi, ten wysoki? - zapytał Ryan.

Odpowiedziała mu Joanne.

- Nazywa się Jon Pogue. Pracuje w mojej organizacji. - Urwała, spojrzawszy na mnie. - Ale do czego był im potrzebny pozorant, Cor-te? Kret w domu powinien wystarczyć. O co tu jeszcze chodzi?

Wziąłem głębszy oddech niż zwykle.

- Chcieli złapać Amandę. I już ją mają.

Joanne zacisnęła wargi, a Ryan ryknął:

- Gdzie, gdzie ona jest?

- Nie wiemy. Ale nie ma wątpliwości. Spośród trojga Kesslerów zależało im na Amandzie.

- Nie, nie... - szepnęła Maree.

Równie spokojnym głosem jak ja Joanne spytała:

- Dlaczego? Co ona wie?

Pokręciłem głową.

Twarcz Ryana poczerwieniała.

- Gnoje! Moja córeczka... co jej... - Nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa więcej.

- A co z Billem? - spytała Joanne.

- Lekko ranny. Nic mu nie będzie. Zabili strażnika, który z nimi jechał. Przypuszczamy, że zabrali Amandę do jakiegoś umówionego miejsca niedaleko. Loving ma tam dojechać. Ale nie wiemy, gdzie to jest. Próbowaliśmy wyciągnąć to z McCalla, ale się zorientował i nic nie mówi.

- Jezu, co my zrobimy? - wykrztusił Ryan.

- Będę potrzebował pomocy - powiedziałem, patrząc na Joanne.

Uniosła brew.

- W gruncie rzeczy McCall byłby gotów współpracować - wyjaśniłem. - Nie mam wątpliwości. Jest o krok od decyzji. Wydaje mi się, że gdybyś z nim porozmawiała, może by nam pomógł.

- Mam się odwołać do jego poczucia przyzwoitości? - spytała.

- Tak, jako przybrana matka Amandy.

Skierowała wzrok na trójkąt światła padającego na trawę przez otwarte drzwi azylu.

- Spróbuję.

## Rozdział 58

Pogue i ja staliśmy pod zamkniętymi drzwiami azylu.

Po raz pierwszy miałem okazję uważnie mu się przyjrzeć.

Zwieńczona rudawymi włosami głowa była owalna jak czaszka drapieżnika. Pogue miał ściągniętą twarz - jak gdyby zapadła się do środka - a podbródek przecinała łukowata, krótka i wąska blizna od noża, nie odłamka. Nie uśmiechał się i wątpię, by jego twarz kiedykolwiek wyrażała jakieś emocje. Nie nosił obrączki ani żadnej biżuterii. W miejscu, gdzie z zielonej kurtki usunięto dystynkcje, dostrzegłem szwy. Przypuszczałem, że to jego ulubiona część garderoby, którą nosi od lat.

Wąskie biodra miał przewiązane przetartym brezentowym pasem, w którym była specjalna kabura - właściwie klamra na pistolet z tłumikiem - oraz kilka ładownic na magazynki, a także nóż i kilka mniejszych pojemników, których przeznaczenia nawet się nie domyślałem.

W przeciwieństwie do Ryana Kesslera Pogue nie dotykał bez przerwy broni ani się nią nie bawił. W razie potrzeby wiedział, gdzie jest. Na ziemi obok niego leżał sfatygowany plecak z czarnego nylonu, z czymś ciężkim w środku. Kiedy go stawiał, usłyszałem metaliczny brzęk.

Stał ze skrzyżowanymi ramionami, przyglądając się posesji wzrokiem owczarka, jak gdyby nieświadomy mojej obecności. Wreszcie powiedział:

- Ten mi umknął.

Przypuszczałem, że ma na myśli Barra.

- Miałem informacje - ciągnął. - Fragmenty. Ale nic do siebie nie pasowało.



To jednak nie była do końca prawda. Fragmenty pasowały do siebie jak kawałki wycinanej maszynowo układanki. Ale skupiałem się na poszczególnych kawałkach zamiast na całości obrazu. Nie przepadam za układankami - to w gruncie rzeczy nie jest gra - ale wiem, że strategia polega na tym, żeby zacząć od krawędzi, a potem posuwać się do środka.

Czyli właśnie tak, jak nie zrobiłem w tym wypadku.

Pogue spojrział na moje biodro.

- Podoba ci się ten glock?

- Owszem.

- Porządna broń. Sam wolę trochę dłuższe lufy - dodał z cieniem krytyki w głosie.

- Ciekawa kabura. - Wskazałem na jego pas.

- Mhm - odparł. Znow zapadła cisza.

- Ewolucja - odezwał się wreszcie Pogue, jak gdyby życzliwie.

Studiując na przeróżnych kierunkach, zwykle znajdowałem czas, by wybrać jakieś zajęcia tylko dlatego, że zainteresował mnie ich temat. Kiedyś uczestniczyłem w bardzo dobrym cyklu zajęć na medycynie pod tytułem „Darwin a historia biologii” (także dlatego, że do sali obok Peggy chodziła na anatomię). Byłem ciekaw, co Pogue miał na myśli i spojrziałem na niego.

- Broń bardziej niż cokolwiek innego w społeczeństwie odzwierciedla efektywną ewolucję, nie sądzisz?

Przetrwanie najsilniejszych, choć może nie w tym sensie, w jakim definiował je Darwin.

Myśl okazała się jednak ciekawa.

- Weźmy medycynę, pojazdy, farby, zegary, komputery, przetworzone jedzenie, cokolwiek zechcesz. Pomyśl. Podawanie rtęci jako leku albo upuszczanie krwi. Albo budowa samolotów, które się rozbijają, albo mostów, które się wałają. Inżynierowie i naukowcy miotają się, żeby im w końcu wyszło, zabijając przy tym ludzi, w tym i siebie. Porażka za porażką.

- Chyba masz rację.

- A broń? Od samiułkiego początku jest skuteczna. - Usłyszałem wyraźnie południowy akcent.

*Skuteczna...*

- Nie mógłbyś mieć miecza, który by pękł przy pierwszym użyciu

Nie mógłbyś mieć muszkietu, który by ci wybuchł prosto w twarz - ludzie, którzy je produkowali, od razu zrobili je tak jak trzeba. Nie mogli sobie pozwolić na błędy. Dlatego ciągle możesz strzelać z dwustuletniej broni i niektóre modele są diabło celne.

- Dobór naturalny.

- Darwinowskie rusznikarstwo - odrzekł Pogue.

Błyskotliwe przemyślenie jak na kogoś, kto nawet jeśli formalnie nie jest rządowym zabójcą, to zajmował się ich ochroną.

Umilkliśmy, nie z powodu tematu rozmowy, ale dlatego, że z domu przykuśtykał Ryan Kessler, krocząc jak niedźwiedź obudzony z zimowego snu.

Pogue i ja przywitaliśmy go skinieniem głowy.

- Jest coś? - Detektyw obrzucił krótkim spojrzeniem budynek.

- Jeszcze nie.

Staliśmy w milczeniu. Ryan trzymał ręce w kieszeniach. Spuścił wzrok. Miał zaczerwienione oczy.

- Jak Maree?

- Jakoś się trzyma.

Znów cisza.

Nagle rozległ się trzask zamka i drzwi się otworzyły. Ryan podskoczył. Pogue i ja nie.

Joanne wyszła i oznajmiła:

- Mam. Wiem, gdzie jest Amanda.

Nie mówiąc nic więcej, ruszyła w kierunku domu, wyprzedzając nas i dezynfekującymi chusteczkami ścierając z rąk krew.

## Rozdział 59

**W** teorii gier istnieje ciekawa koncepcja tak zwanej strategii cynglowej.

Pojawia się w grach powtarzanych, w których ci sami przeciwnicy rozgrywają ze sobą bez końca tę samą grę. Gracze ostatecznie przyjmują strategie prowadzące do największej obopólnej korzyści, nawet jeśli nie odpowiada w pełni ich własnemu interesowi. Na przykład w dylemacie więźnia uczą się, że nieprzyznanie się do winy da najlepszy rezultat.

Czasem jednak gracz A „zdradza” i odstępuje od schematu, przyznając się do winy, co oznacza, że unika kary, a więzień B dostaje znacznie dłuższy wyrok.

Gracz B może wtedy zastosować strategię cynglową, porzucając wszelkie pozory współpracy i zdradzając już zawsze.

Innymi słowy, jeżeli jeden z graczy postanowi choć raz zagrać wbrew zasadom, przeciwnik od tej chwili gra wyłącznie - i bezwzględnie - dla własnej korzyści.

Oczywiście w naszej śmiertelnej grze nie było mowy o żadnej współpracy między mną a Henrym Lovingiem, ale odnosiła się do niej ta sama teoria. Porywając nastolatkę, aby za pomocą tortur wydobyć od niej informacje, Loving w mojej ocenie zdradził.

Zacząłem grać strategią cynglową.

Co oznaczało spuszczenie ze smyczy Joanne Kessler - we wcieleniu Lily Hawthorne - aby wyciągnęła informacje od współnika Lovinga, McCalla. Bez względu na sposób. Potrafię prowadzić przesłuchania, ale skłonienie do zwierzeń kogoś, kto tak jak McCall panicznie bał się Lovinga, wymagało czasu.

Potrzebowałem kogoś, kogo przestraszy się bardziej.

Stąd wzięła się moja subtelna prośba, którą złożyłem Joanne w salonie dwadzieścia minut wcześniej, używając upiornych eufemizmów. Pojęła natychmiast. Widziałem to w jej oczach.

*Mam się odwołać do jego poczucia przyzwoitości?*

*Tak, jako przybrana matka Amandy.*

Potem poszliśmy razem do azyłu. McCall patrzył na nas z ciężkiego krzesła, owszem, przestraszony, ale z niezłomnym postanowieniem, by nie zdradzić Lovinga. Kiedy gestem wyprosiłem Ahmada, McCall zaśmiał się niepewnie.

- Masz minę jak jakiś szaman, Corte. O co chodzi?

Joanne Kessler na pewno nie miała żadnej miny. Po prostu mu się przyglądała.

- Dlaczego nikt nic nie mówi? - Głos zamarł mu w gardle.

Poczucie zagrożenia w pokoju przypomniało mi przesłuchanie Zagajewa, które niedawno prowadziłem z Bert Santoro.

Tyle tylko, że to było prawdziwe.

Joanne skinęła mi głową. Podeszedłem do wbudowanego w ścianę panelu sterowania, włożyłem kluczyk i wcisnąłem parę przycisków.

- Nie ma już łączności z zewnątrz i na zewnątrz. Kamera wyłączona. Jesteście niewidzialni.

- Słuchaj, Joanne - wykrztusił rozpaczliwie McCall. - Po prostu nie mogę wam pomóc, przykro mi. Chciałbym, ale nie mogę. Współczuję ci. Naprawdę. Jeżeli jakoś mógłbym...

Nie zwracała na niego uwagi. Odwróciła się do mnie i zapytała:

- Są tu jakieś narzędzia?

- Pod zlewem. Nic nadzwyczajnego.

- Wystarczy. - Joanne zamknęła drzwi.

Azyl miał jeszcze jedną właściwość. Budynek był absolutnie dźwiękoszczelny. Zaprojektowano go w ten sposób, aby przebywający w nim ludzie nie słyszeli żadnych żądań ani gróźb z zewnątrz.

Dlatego też nie można było usłyszeć krzyków dobiegających ze środka.

Gdy zebraliśmy się na werandzie, wokół domu zapadł już zmierzch. Joanne nie była bardziej przejęta niż klientka centrum handlowego, która wyszła cało z wyprzedaży, wytrzymując napór tłumu na popularne rozmiary i zdobywając najlepsze rzeczy.

- Zabrali ją do dawnej bazy wojskowej przy drodze numer 15 niedaleko Leesburga, dwa kilometry na południe od Oatlands.

Znałem Oatlands. Organizowano tam festyny renesansowe i wystawy psów. Raz Peggy i ja zabraliśmy tam chłopców.

- Baza leży około stu metrów na zachód od piętnastki, przy nieoznakowanej drodze gruntowej, na zboczu wzgórza, jak bunkier. McCall nie wie, do czego jest im potrzebna. To głęboka tajemnica. Powiedziałby mi, gdyby mógł.

Joanne mówiła bardzo głośno. Zorientowała się i wyciągnęła z uszu wate.

- Loving niedługo tam przyjedzie, a za godzinę ma się zjawić dyspozytor albo ludzie, którzy dla niego pracują.

- Nic nie wiadomo, po co im Amanda?

- Nie. Powiedział, że nietrudno było ją znaleźć i porwać. Każdy mógł to zrobić. - Jej głos był opanowany i twardy jak gład. - Wynajęli Lovinga dlatego, że nikt inny nie chciał torturować nastolatki, gdyby było trzeba.

Ryan stłumił krzyk. Zauważyłem, że ani razu nie spojrzeli na siebie z żoną, odkąd Joanne wyszła z budynku. Wcześniej zajrzał do środka, by zobaczyć jej dzieło. Na podłodze było dużo krwi. Zareagował miną, jaką rzadko widuje się u funkcjonariusza policji.

- Trzej ludzie, którzy ją porwali, to obstawa - ciągnęła Joanne. - Pracują dla dyspozytora albo wynajęli ich Loving. McCall nie wie. Tylko dyspozytor wie, o jakie informacje chodzi. Nawet Loving nie wie.

- Loving spodziewa się McCalla? - spytałem.

- Nie. Ma tutaj zostać i dalej udawać agenta.

Dobra wiadomość. Gdyby miał się meldować Lovingowi na przykład co piętnaście minut, mielibyśmy problem taktyczny. Ale przyszedł czas na nasz ruch. Jaka strategia będzie najlepsza? Kamień, papier czy nożyce?

Joanne odwróciła się do Pogue'a.

- Zespół A?

Nie słyszałem wcześniej tego terminu, ale nietrudno się było domyślić, co mógł oznaczać.

- Za dwie, trzy godziny - odparł funkcjonariusz. - Nie jesteśmy tu tak mobilni jak kiedyś. Lepiej działamy w Nowym Jorku i Los Angeles.

Zerknąłem na Pogue'a.

- Ty i ja?

- Chyba. - Spojrzał przelotnie na Joanne i przez chwilę zdawało mi się, że jeśli nawet nie był jej partnerem w akcji przeciwko Pakistańczykom w barze, łączyła ich wspólna przeszłość.

- Ja też pójde - odezwał się czyjś zdecydowany głos.

Ryana Kesslera.

- Nie masz w tym doświadczenia, Ryan - powiedziałem nie bez życzliwości.

- Bo od sześciu lat siedzę za biurkiem i patrzę, jak mi rośnie tyłek? Nieraz brałem udział w operacjach taktycznych. Wiem, co robię.

- Nie. Bo sprawa dotyczy cię osobiście. To twoja córka. Nie możesz walczyć z nieprzyjacielem, jeżeli to cię dotyczy osobiście. To nieskuteczne.

- Słuchaj - odparł tonem perswazji. - Nie ma żadnego ryzyka, Corte. Nie chodzi mi o mnie.

- Mógłby cię wykorzystać jako hak, żeby zmusić Amandę do mówienia - zauważyłem.

- Ona ma szesnaście lat - mruknął Ryan. - Nie potrzebuje na nią żadnego haka. Wystarczy, że na nią wrzaśnie, a dziewczyna powie mu wszystko, co chce wiedzieć.

Nie taką Amandę Kessler widziałem.

- Jesteś zbyt zaangażowany emocjonalnie. Nie ma w tym nic złego, ale lepiej zrezygnuj.

- „Emocje” to dla ciebie brzydkie słowo, co, Corte? Ciężko być robotem, nie?

- Ryan, przestań, kochanie - wtrąciła Joanne, zmieniając się na powrót w dobrą żonę. Ścisłej mówiąc, wracając do roli dobrej żony, jaką przedtem grała.

Nie odpowiedziałem Ryanowi. Co mógłbym powiedzieć? Miał sto procent racji. Podszedł bliżej.

- Może pora pogadać bez ceregieli, Corte. I wywalić całą prawdę. Wciskałeś mi kit, zgadza się?

Wiedziałem już, co się święci.

- Cały czas głaskałeś mnie po główce. Traktowałeś mnie jak dziecko. To jakaś sztuczka z podręcznika dla ochroniarzy? Daj obiekto-  
towi coś do roboty. Okłamuj go. Powiedz mu, że ma ci pomóc ratować sytuację. „Razem zdejmujemy Lovinga, tylko trzeba poczekać, aż będziemy w innym miejscu”. Potem wyślij go, żeby pilnował cholernej łaki pełnej zielska i stokrotek. W Fairfaksie wiedziałeś, że Loving nie

wyjdzie na nas z tamtej strony, nie? Kazaleś mi nas osłaniać, żeby mnie czymś zająć.

Zawahałem się przez chwilę.

- Tak.

- I byłeś na tyle bezczelny, żeby mnie jeszcze pochwalić, jak to się świetnie sprawiłem. - Pokręcił głową. - Kurwa mać, Corte. A gdy naprawdę trzeba było kogoś zdjąć - tego McCalla - w ogóle nie pomyślałeś o mnie. Wezwałeś swojego kumpla. - Pogardliwie spojrział na Pogue'a. - Macie na to jakiś fachowy termin? Żeby dawać obiektowi coś do roboty? Żebyśmy grzecznie siedzieli w kącie ze swoimi zabawkami i nie zawracali głowy dorosłym? No, gadaj, Corte.

- Ry, kochanie, proszę...

- Zamknij się! - ryknął na Joanne. Odwrócił się. - No, jak to nazywacie?

- Odwrócenie na przynętę.

- Sukinsynu - mruknął. - „Pilnuj bocznego podwórka, Ryan. Celuj nisko. Uważaj na tętnicę udową. Pewnie świetnie strzelasz...”.

- Musiałem cię mieć po swojej stronie.

- I te twoje kombatanckie historyjki. Jak zaczęłeś pracować w branży... biegi na orientację, tropicielstwo. To wszystko kłamstwa?

- Nie.

- Pieprzysz.

Szczerze mu współczułem. Jak mogłem nie współczuć? Jego własna żona odebrała mu pracę, którą kochał. Odebrała mu status bohatera. A ja go okłamałem.

- Daj mi tę szansę - szepnął. - Dobrze strzelam, a ta noga naprawdę mi nie przeszkadza. Jeżeli trzeba, umiem się szybko poruszać.

- Nie, Ry - powiedziała Joanne. - Niech oni się tym zajmą.

- Przykro mi - dodałem.

- I tak pojedę. - Zwracał się do mnie. - Nie możesz mnie powstrzymać. Wiem, gdzie jest Amanda. Kiedy wyjedziecie, wsiądę do jakiegoś samochodu i pojedę. - Położył dłoń na broni.

Nastąpiła chwila głuchej ciszy. Wystarczyło jedno spojrzenie na Lyle'a Ahmada, a były żołnierz piechoty morskiej podkradł się do Ryana, chwycił go za przegub i rzucił na podłogę. Ryan, potężniejszy od Ahmada, mógł się uwolnić z chwytu, ale jeżeli w ogóle znał ten sposób, widocznie o nim zapomniał.

Wbijając we mnie wzrok, warknął:

- Pieprzony tchórz. Nie potrafisz nawet sam mnie obezwładnić, co? Musiałeś komuś kazać zejść mi od tyłu.

Podszedłem i zacisnąłem mu na rękach nylonowe kajdanki.

- Nie! - krzyknął.

- Przykro mi.

- To moja córka!

Patrzyłem jednak na Joanne. Po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, zobaczyłem łzy płynące jej po policzkach.

Ahmad podciągnął Ryana do pozycji siedzącej. Pochyliłem się nad jego szeroką, spoconą twarzą, pociemniałą z gniewu.

- Przywiozę ją - powiedziałem zdecydowanie. - Słyszysz? Przywiozę ci ją z powrotem.



## Rozdział 60

Falista droga numer 15 przecina środek Wirginii jakby z czasów wojny secesyjnej, sześćdziesiąt pięć kilometrów od Waszyngtonu. Wielkie posiadłości przy szlakach konnych, wąskich jak kapilary, sąsiadują z rozrastającymi się agresywnie, bliźniaczo podobnymi do siebie osiedlami o ulicach, których nazwy łączy jakiś motyw przewodni, na przykład legenda arturiańska, flora, Nowa Anglia z czasów kolonialnych.

Przy drodze można się natknąć na przeróżne osobliwości. Zrujnowane, porzucone farmy, których właściciele nie mają ochoty sprzedać ziemi zachłannym deweloperom albo po prostu zniknęli - często dlatego, że z tego czy innego powodu woleli wycofać się z życia. Są posępne budowle z betonu i rdzewiejącej stali, obwieszane groźnymi ostrzeżeniami i otoczone równie zardzewiałymi drutami, zarośnięte zielonymi połaciami kudzu. Kiedyś, w czasach zimnej wojny, miały być elementami systemu obronnego. Nie potrafimy strącać międzykontynentalnych rakiet balistycznych, tym bardziej nie potrafiliśmy pół wieku temu, co nie powstrzymało jednak armii i lotnictwa przed podejmowaniem kolejnych prób. Niektóre z tych obiektów wystawiono nawet na sprzedaż, ale ponieważ większość służyła jako magazyny broni, koszty usuwania substancji toksycznych sprawiały, że ceny były zaporowe.

Claire duBois jak zwykle złożyła mi szczegółowy raport o naszym punkcie docelowym. Była to baza rakietowa Sił Powietrznych USA 193, duży betonowy budynek zaledwie trzydzieści do czterdziestu minut drogi ze schronu w Great Falls.

Minąłem samochodem bazę, widząc betonową fasadę oraz porośniętą trawą wzniesienie wysokości około piętnastu metrów, w którym niknęła reszta budynku. Zgodnie z tym, co McCall powiedział

Joanne obiekt leżał sto metrów od drogi. Brama była zamknięta, ale ogrodzenie nie wyglądało zbyt groźnie i prawdopodobnie nie było podłączone do prądu ani naszpikowane czujnikami.

Zatrzymałem wóz. Oglądając bazę przez mój monokular noktowizyjny Xenonics, Pogue powiedział:

- Dwa SUV-y, numerów nie widzę. W budynku palą się jakieś światła. Jedna osoba na zewnątrz, nie widzę, czy uzbrojona. Zakładam, że tak.

Ruszyłem dalej, zjeżdżając z pobocza w zarośla, po czym wyłączyłem silnik. Była za piętnaście dziewiąta. Zwykle w tej okolicy pojawiały się gwiazdy, ale dziś było zupełnie ciemno, bo niebo zalegały chmury. Pogue i ja wysiedliśmy z samochodu, zczekaliśmy, aż drogą przemknie ciężarówka z naczepą, wzbijając w górę kurz i zeszcłe liście. Przeszliśmy na drugą stronę drogi i ruszyliśmy w kierunku bazy, kryjąc się za osłoną gęstych zarośli i drzew. Pogue jeszcze raz przyjrzał się budynkowi przez noktowizor, po czym uniósł palec wskazujący. Wciąż tylko jeden strażnik.

Też spojrziałem. Młody krótko ostrzyżony człowiek ubrany w ciemne dżinsy i bluzę. Trzymał rękę na boku, a kiedy się odwrócił i zrobił kilka szybkich okrążeń, zobaczyłem, że nosi na biodrze półautomatyczny pistolet.

W odległości trzydziestu metrów od bazy Pogue wsunął do ucha słuchawkę i powiedział coś do kołnierza. Nie słyszałem wyraźnie jego słów, ale wywnioskowałem, że melduje się Williamsowi, byłemu szefowi Joanne.

Jeżeli McCall nie mylił się co do godzin, dyspozytor jeszcze nie przyjechał. Wyglądało na to, że tak, ponieważ przed budynkiem stały tylko dwa samochody - Lovinga i wóz, którym ochroniarze pojechali porwać dziewczynę. Amandę na razie trzymano tu, czekając na przyjazd dyspozytora, który chciał wydobyć od niej informacje.

*Wynajęli Lovinga dlatego, że nikt inny nie chciał torturować nastolatki, gdyby było trzeba...*

Co ona takiego właściwie wiedziała? Coś związanego z którąś z dawniejszych spraw ojca? Może coś innego? Jak wszystkie nastolatki z Waszyngtonu miała koleżanki, których rodzice pracowali w instytucjach rządowych i firmach pracujących na zlecenie rządu. Może razem z koleżanką przeczytały jakieś tajne dokumenty w komputerze rodziców?

To pytanie musiało jednak poczekać.

Mieliśmy przed sobą proste zadanie. Uratować dziewczynę.

Pogue słuchał przez chwilę, a potem szepnął jeszcze kilka słów i się rozłączył. Przysunął się bliżej mnie i szepnął:

- Williams mówi, że ty dowodzisz. Jak to zrobimy?

- Nie chcę czekać na dyspozytora. Chcę ją wyciągnąć teraz. W miarę możliwości bez ofiar śmiertelnych... przynajmniej bez jednej.

Chciałem, żeby ktoś przeżył i powiedział mi, kto za tym stał.

- W porządku. - Spojrzał na mój pistolet. - Nacięty?

Pytał, czy mój glock ma gwint na tłumik. Nieczęsto musiałem wyciągać broń, a jeszcze rzadziej strzelać bezgłośnie.

- Nie.

Podał mi swój pistolet.

- Mam zapas. Uważaj, zabezpieczony.

Uprzedził mnie o tym, bo glocki nie są wyposażone w skrzydełko bezpiecznika; mają system podwójnego wyciskania spustu, który zapobiega oddaniu przypadkowego strzału. Znałem jednak berettę i ustawiłem bezpiecznik w położeniu odbezpieczonym. Włosi produkowali równie skuteczną broń co Austriacy.

Zdziwiłem się, po co mi daje swoją broń.

- Osłaniaj mnie - powiedział.

Otworzył plecak i wyciągnął jakieś metalowe i plastikowe części. Szybko złożył z nich stalową kuszę.

*Ewolucja broni...*

Naciągnął ją dwoma ruchami. Bełt zamiast ostrego zakończenia miał długą rurkę.

- Powinienem podejść trochę bliżej - szepnął.

Ruszyliśmy naprzód. Szedłem pierwszy, starając się, żebyśmy pokonywali teren cicho, wykorzystując do tego umiejętności nabyte w biegach na orientację i przy amatorskim tropieniu. Przez głowę przemknęło mi wspomnienie tamtego długiego, gorącego dnia pod San Antonio, gdy prowadziłem nielegalnych imigrantów do bezpiecznego miejsca tak bezszelestnie i niezauważalnie, jak tylko umiałem.

Pogue i ja dotarliśmy do kępy gęstych chwastów około dziesięciu metrów od strażnika. Wskazując kuszę, Pogue wyjaśnił:

- Paralizator. Unieruchomi go na jakieś dwadzieścia sekund, więc trzeba go będzie szybko dopaść. Pójdę pierwszy, a ty będziesz mnie

osłaniał berettą. Może być?

Pytał, czy nie będę miał oporów, gdyby było trzeba kogoś zabić.

- Tak - odrzekłem.

Wymierzyłem w drzwi, przez które mogły nadejść posiłki.

- Strzelaj - szepnąłem.

## Rozdział 61

Pogue uniósł kuszę. Wyglądał na zupełnie spokojnego, jak gdyby miał rzucić haczyk z przynętą do strumienia.

Wziął poprawkę na siłę grawitacji i lekki wiatr. Gdy strażnik odwrócił się od nas, Pogue nacisnął spust. Bełt z cichym trzaskiem poszybował w powietrze i zakreśliwszy idealny łuk, trafił mężczyznę w środek pleców. Nie wiedziałem, ile woltów miał latający taser, ale wystarczyło. Strażnik padł na ziemię i zaczął się wic w drgawkach.

Poderwaliśmy się na nogi i ruszyliśmy biegiem, jeden za drugim. Pogue rzucił kuszę i wyciągnął zapasowy pistolet. Trzymając w ręku automat z tłumikiem, sprawdzałem drzwi i okna budynku oraz teren wokół nas, szukając nieprzyjaciela. Ani śladu. Pogue plastikowymi kajdankami skrępował strażnikowi ręce i nogi i zakleił mu usta samoprzylepnym kneblem. Potem pochylił się i schował do kieszeni jego komórkę i radio, które przedtem wyłączył. Zabrał mu też pistolet, podczas gdy ja sprawdzałem, czy nie ma ukrytej innej broni. Choć operacje taktyczne nie są moją specjalnością, wiedziałem, że nigdy nie należy zostawiać przeciwnikowi żadnej broni, którą druga strona mogłaby później odzyskać.

Zabierz lub zniszcz, mówiło się.

Wyciągnąłem strażnikowi portfel z kieszeni. Rozczarowało, ale nie zdziwiło mnie odkrycie, że to zawodowiec. Nie znalazłem niczego, co by wskazywało na jego pracodawcę czy przynależność. Miał cztery prawa jazdy - na różne nazwiska, ale z tym samym zdjęciem - oraz karty kredytowe i płatnicze wystawione na te nazwiska.

Po chwili strażnik się ocknął. Spojrzał na nas ze strachem i dostał torsji. Zaciągnęliśmy go z Pogue'em za ścianę budynku, zerwałem mu knebel i pozwoliłem zwymiotować. Gdy skończył, Pogue nałożył

mu nowy knebel. Kucnąłem i wyciągnąłem składany nóż myśliwski, który zawsze mam przy sobie.

Otworzyłem go z cichym szczękiem. Mężczyzna drgnął. Wskazałem na knebel i wyciągnąłem dwa palce. Pogue nałożył drugi knebel, budząc jeszcze większe przerażenie strażnika.

Pochyliłem się niżej i zapytałem:

- Jest tu Loving?

Chwila wahania. Pogue chwycił jego rękę, a ja skrobnąłem ostrzem noża jego paznokiec. Bezboleśnie, lecz sugestywnie. Mimo knebla dał się słyszeć okrzyk przerażenia.

Skinieniem głowy przytaknął.

- Ile w sumie ludzi jest w środku? - Zacząłem liczyć. Przy czterech energicznie kiwnął głową.

- A człowiek, który wynajął Lovinga? Wiemy, że jest w drodze. Kiedy tu będzie? Zamrugaj. Każde mrugnięcie to pięć minut.

Podliczyłem. W sumie wyszło prawie pół godziny.

- Kto to jest?

Nastąpiła seria rozpaczliwych zaprzeczeń. Wierzyłem, że nie zna tożsamości dyspozytora.

- Ci czterej w środku... wszyscy są przy dziewczynie?

Wzruszył ramionami, ale z lękiem w oczach. Podejrzewałem, że naprawdę nie wie.

- Gdzie? - Zacząłem wymieniać różne kierunki, przy których albo kiwał, albo kręcił głową. Raz czy dwa wzruszył ramionami.

Najwyraźniej byli w głębi budynku, na końcu głównego korytarza, ale nie widział lub nie potrafił sobie przypomnieć, czy na górze, czy na dole. Przy wejściu był tylko jeden poziom, ale jak ustaliła duBois, w części ukrytej w zбочu znajdowało się kilka pięt.

Skinąłem głową Pogue'owi i na moment zamknąłem oczy i przechyliłem na bok głowę. Funkcjonariusz wyciągnął dużą strzykawkę. Strażnik zadygotał, prawdopodobnie myśląc, że chcemy go zabić, ale Pogue zręcznie wprowadził igłę do żyły i po chwili mężczyzna już spał.

- Ile czasu? - spytałem szeptem.

- Mniej więcej dwie godziny.

Zdarłem mu knebel w obawie, by się nie udusił, gdyby znów zaczął wymiotować. Pogue spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, jak gdyby nic go nie obchodziło, co się stanie ze strażnikiem, nic jednak nie powiedział.

Kiedy stanęliśmy przed wejściem, naplułem na zawiasy, żeby nie skrzypiały, po czym bezgłośnie otworzyliśmy drzwi. Spodziewałem się ujrzeć lampy zasilane akumulatorowo, ale górne światła były włączone. Pogue znacząco uniósł brew: z faktu, że budynek miał zasilanie, mógł płynąć wniosek, że być może bazę przejął Henry Loving i stworzył sobie warsztat - by uprawiać tu rzemiosło zbieracza. Straszne; porwani zapewne truchleli z przerażenia na widok tego miejsca. Ściany były na tyle grube, by wytrzymać atak Rosji - co oznaczało, że żaden z miejscowych, którzy mijali bazę, nie słyszał z wewnątrz wrzasków.

Korytarz pokryty linoleum, poznaczonym zaciekami wody, ciągnął się do samego końca budynku. Szukałem kamer czy innych systemów zabezpieczenia, ale niczego nie znalazłem.

Zwróciłem bereite z tłumikiem Pogue'owi i wyciągnąłem swojego glocka. Ruszyliśmy w głąb trzydziestometrowego korytarza, starając się pozostawać w cieniu. Pogue szedł pierwszy i systematycznie oglądał się do tyłu. Od czasu do czasu próbował klamek, ale drzwi były zamknięte. Najwyraźniej baza miała tylko to jedno wejście, choć na pewno były jeszcze jakieś wyjścia awaryjne.

O ucieczce na razie nie myślałem. Przede wszystkim musiałem odnaleźć zagubiony obiekt.

Na końcu korytarza zobaczyliśmy schody prowadzące w górę i w dół.

Którędy?

Zagrałem w jeszcze jedną grę o sumie zerowej. W myślach rzuciłem monetę.

Wypadło, że do góry.

## Rozdział 62

Zatrzymaliśmy się na podeście piętra, nasłuchując.

Z niewiadomego kierunku dobiegały słabe dźwięki, których źródła nie mogłem się domyślić. Stuki, brzęki, kapanie wody? Bardzo chłodne powietrze przesycala woń pleśni. Wiedziałem, że przesłuchania prowadzi się zwykle w niedogrzanych pomieszczeniach.

Drzwi prowadzące na pierwsze piętro były zamknięte, więc weszliśmy wyżej, na drugie i ostatnie. Na drugim końcu korytarza, w odległości około piętnastu metrów, ujrzelśmy światło. Szybko ruszyliśmy po wytartym linoleum do otwartych drzwi, zza których padał blask. Zatrzymaliśmy się na progu i zajrzeliśmy do środka. Drzwi prowadziły na szeroki balkon, nad ogromnym pomieszczeniem mniej więcej dwadzieścia na trzydzieści metrów na pierwszym piętrze. Mieściła się tam jakaś sterownia, w której stały szare biurka rozdzielone przepierzeniami oraz metalowe konsole, z których wyciągnięto elektroniczne trzewia. Do pleśni dołączył zapach gnijącego papieru. Górne lampy były wyłączone, ale na drugim końcu, za wysokimi przepierzeniami, widzieliśmy kręgi światła.

Wskazałem je i ruszyliśmy w ich kierunku, skuleni, niemal na kolanach. Tym razem to Pogue mnie osłaniał. Dotarliśmy do schodów prowadzących w dół na główny poziom, lecz zostaliśmy na balkonie. Wkrótce usłyszeliśmy bardziej donośne i cichsze głosy dochodzące z drugiego końca pomieszczenia, dokąd właśnie zmierzaliśmy. To były męskie głosy. Nie potrafiłem rozróżnić słów, ale wyraźnie rozpoznałem ton zniecierpliwienia, a potem jakieś spokojniejsze zdanie, być może pocieszenia.

Jeśli Amanda tam była, to nie mówiła nic.

Szliśmy dalej w głąb balkonu, bardzo powoli. Wałało się tu mnóstwo śmieci, między innymi rozbite szkło i kawałki blach, na które



musieliśmy uważać. Mężczyźni rozmawiali cicho; na pewno usłyszeli by hałas wywołany jednym nieostrożnym krokiem.

Wreszcie dotarliśmy na koniec balkonu. Pod sobą mieliśmy kręgi światła, które widzieliśmy wcześniej. Uniosłem się wolno i wyjrzałem nad krawędzią. Światło rzucały dwie tanie, zupełnie różne od siebie lampy stojące na biurkach. Jedna z nich miała absurdalny disnejowski abażur, podarty i zaplamiony. Zauważyłem, że jest na nim Nemo.

Trzy metry od lampy siedziała Amanda Kessler.

Dziewczyna ubrana w grube džinsy i ciemnoniebieską bluzę, z zaciętą i ponurą miną siedziała skulona na szarym, metalowym krześle biurowym z podciągniętymi kolanami. Ręce miała skrępowane taśmą, ale zostawili jej tę torebkę w kształcie misia z głupkowatym uśmiechem.

Jej porywacze znajdowali się pod nami, zasłonięci przez balkon; Loving i trzej pozostali. Gdybyśmy mogli wyciągnąć wszystkich czterech z ukrycia, mielibyśmy fantastyczną pozycję do strzału. Uniosłem dwa palce i przejechałem dłonią po gardle. Potem znów uniosłem dwa, pokazałem literę L oznaczającą Lovinga i wskazałem własne ramię.

Chciałem, żebyśmy zastrzelili dwóch, a Lovinga i jeszcze jednego zranili, aby można ich było przesłuchać. Strzaskany obojczyk albo łopatka, w przeciwieństwie do strzału w nogę, kompletnie unieszkodliwia nieprzyjaciela.

Pogue potwierdził, że zrozumiał sygnał, a ja rozglądałem się po podłodze w poszukiwaniu czegoś, czym mógłbym rzucić w ciemność i zwrócić ich uwagę - tak jak Pogue parę godzin temu zrobił w schronie.

Naszym oczom ukazał się jeden z porywaczy i ruszył w stronę dziewczyny. Przystanął, zanim doszedł do Amandy, która przyglądała mu się spod lekko zmrużonych powiek. Wziął kubek z kawą. Zwałisty mężczyzna miał na sobie garnitur. Pociągnął łyk i rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Wystrzelili stąd rakiety? - spytał.

- Nie wiem - odrzekł inny głos.

Nie należał do Lovinga.

- To były niki.

- Co, jak te buty?

- Jak grecka bogini.

W głosach nie usłyszałem południowego akcentu.

- Gdzieś tu są jeszcze silosy. Wiem, że w Clifton są. Na wypadek ataku Rosjan.

- Rosjan? Dlaczego mieliby nas zaatakować?

- Jezu.

Wziąłem parę odłamków szkła. Widząc to, Pogue bezgłośnie wyciągnął z ładownicy drugi magazynek do beretty i położył przed sobą na podłodze. Swój magazynek zostawiłem w kieszeni. Miałem tylko jeden zapas, w przeciwieństwie do Pogue'a, który miał przy sobie chyba ze sto pocisków. Nasza akcja mogła się zmienić w pościg albo ucieczkę pod ostrzałem, więc wołałem nie zostawiać za sobą żadnej amunicji.

- Gdzie on jest? - zawołał inny głos.

- Cierpliwości.

Poczułem dreszcz, słysząc spokojny głos Henry'ego Lovinga.

- Myślisz, że wiedzą?

- Że ją mamy? Jeszcze nie.

- Co to za punkt przerzutowy?

- Corte sam decyduje, kto będzie wiedział, gdzie jest schron. Nikt nie może tam pojechać bezpośrednio z wyjątkiem kilku zaufanych osób. Zamierzał spotkać się z dziewczyną i Carterem w jakimś centrum handlowym albo na stacji benzynowej.

- Skąd tyle wiesz o Corte'em?

Loving nie odpowiedział.

- Zostaniecie aresztowani - odezwała się nagle dziewczyna. - Wszyscy. Albo was zastrzelą. - Amanda Kessler nie szeptała jak reszta. Mówiła ostrym, dobitnym głosem.

Mężczyzna z kubkiem kawy zerknął na nią, ale nic nie powiedział.

Inni też milczeli.

- Mój ojciec jest policjantem.

- Wiemy - odezwał się czyjś głos.

Ale Loving go uciszył.

- Gadanie nic nie daje. Siedź cicho.

Spojrzałem na Pogue'a. Z kieszeni wyciągnął zatyczki do uszu. Wiedziałem, co to takiego. Tłumią dźwięki o dużym natężeniu i odgłos strzałów, ale przepuszczają ludzkie głosy. Podał mi parę. Wsunąłem je do uszu. Wziąłem głęboki oddech i cisnąłem kawałek szkła, który z brzękiem wylądował w przeciwnym kącie pomieszczenia.

Nieprzyjaciel, którego widzieliśmy, odstawił kawę i wyciągnął pistolet.

- Kurwa, co to było?

Spod balkonu wyłonili się dwaj inni i wolno podeszli do przodu. Jeden miał w ręku czarny automat.

To już trzech. Do wykonania naszego planu potrzebowaliśmy jeszcze czwartego. Gdzie Loving?

*No, wylaź...*

Tuż pod nami zbieracz spokojnie rozkazał:

- Połączcie się z wejściem.

Trzej mężczyźni przed nami rozejrzeli się, jeden wziął radio.

- Jamie, co się dzieje? Już tu jest? Słyszeliśmy coś w środku.

Nie uzyskawszy odpowiedzi, obejrzał się niepewnie.

Rzuciłem drugi odłamek szkła, który potoczył się po podłodze. Obaj uzbrojeni mężczyźni pod nami unieśli broń.

- Wyłączyć radio - polecił Loving. I wyszedł z cienia.

Mieliśmy przed sobą wszystkie cztery cele, które otaczały Amandę. Loving i mężczyzna z radiem stali na prawo od niej, a dwaj uzbrojeni na lewo.

Pogue wskazał dwóch z bronią i przejechał palcem po gardle, a potem wskazał na siebie.

Był w końcu zawodowym zabójcą, ja wręcz przeciwnie. Przygotowałem się do strzału w bark człowieka po prawej i Henry'ego Lovinga.

Wycelowałem. Pogue wyciągnął trzy palce lewej ręki i zaczął odliczać.

Wziąłem na celownik Lovinga. W myślach zobaczyłem Abe'a Fallowa

Dwa...

Nagle Amanda krzyknęła i szarpnęła się do tyłu.

- Niech to szlag! - wrzasnęła. - Nie! - Patrzyła na podłogę. Mężczyźni skulili się i rozdzielili, więc na moment straciliśmy cel. Jeden się cofnął, znikając nam z oczu.

Pogue i ja zastygliśmy w bezruchu.

- Szczur - powiedziała dziewczyna. - Pod krzesłem jest szczur! Zabierzcie go!

- Szczur...

Porywacz stojący najbliżej niej mruknął:

- Kurwa, ale mnie przestraszyła. - Podeszedł do Amandy i zajrzał pod krzesło.

Pogue i ja zaczęliśmy celować jeszcze raz.

W tym momencie dziewczyna skrępowanymi rękami uniosła torebkę-misia do ust, rozpięła ją zębami i zdołała wyciągnąć mały czarny pojemnik. Niezdarnie wycelowała, ale udało się jej wystrzelić pomarańczowy strumień gazu pieprzowego prosto w zaskoczoną twarz porywacza. Dostał w oczy z odległości pół metra. Wrzasnął i upuścił broń, po którą rzuciła się Amanda. Mężczyzna obok niego wymierzył do niej z pistoletu.

- Nie! - krzyknął Loving.

Pogue i ja równocześnie otworzyliśmy ogień do mężczyzny, który zamierzał strzelić do Amandy.

Henry Loving natychmiast zorientował się, co się stało i gdy skierowaliśmy broń w jego stronę i dwóch pozostałych, stracił ręką lampy, które roztrzaskały się na podłodze, pogrążając pomieszczenie w ciemnościach. Jedyнным światłem był czerwonawy blask trzech tabliczek wskazujących wyjście.

Pogue i ja patrzyliśmy w mrok. Dostrzegłem niewyraźną sylwetkę Amandy, która po omacku oddalała się od porywaczy w kierunku toru przeszkód, w jaki zmienilo się pomieszczenie.

Potem usłyszałem na dole szept trzech pozostałych, którzy naradzali się nad strategią.

## Rozdział 63

Nie miało już znaczenia, czy w wydziale Freddy'ego działał kret, ponieważ Loving wiedział o naszej obecności. Wysłałem więc do Freddy'ego SMS-a, którego tekst przygotowałem wcześniej. Zawierał krótkie wyjaśnienie i pilną prośbę o wsparcie. Informowałem go też, że dyspozytor jest w drodze, więc wokół bazy należy ustawić blokady.

Brawura Amandy dawała nam pewność, że teraz przyda się nam każda pomoc.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, ruszyliśmy schodami na poziom sterowni. Zobaczyłem jakiś kształt, ale nie wiedziałem, czy to cień, czy czyjaś sylwetka. Wycelowałem, lecz zdając sobie sprawę, że to może być Amanda, czekałem, aż z mroku wyłoni się wyraźniejszy zarys postaci.

Nie doczekałem się. Zniknął albo zniknęła.

Usłyszałem ciężki oddech i pojękiwanie mężczyzny, którego Amanda poczęstowała gazem.

- Kurwa, ale piecze... dobra, widzę. Mam broń. Kurwa, kto tu jest?

Gdzieś niedaleko syknął Loving, uciszając swoich ludzi.

Gdzie Amanda?

Po chwili znów usłyszałem szept.

Loving grał teraz w bayesowską grę, opartą na niepełnych informacjach. Nie wiedział, z kim ma do czynienia. Nie wiedział, ilu nas jest, kim jesteśmy i jaki mamy plan. Był jednak gotów błyskawicznie modyfikować swoją ocenę prawdopodobieństwa następnego ruchu wroga.

Przypuszczał, że być może jest tylko jeden przeciwnik - zapewne nie słyszał drugiego strzału z broni Pogue'a wyposażonej w tłumik.

Wiedział, że napastnik wyeliminował strażnika przy wejściu. Wiedział, że przeciwnik jest gotów strzelać bez wezwań do poddania. Kolejną informacją był fakt, że odwróciliśmy ich uwagę, rzucając szkło do rogu sterowni, co oznaczało, że operacja ma bardzo skromny wymiar, bez udziału antyterrorystów. Gdybyśmy mieli do dyspozycji jednostkę odbijania zakładników FBI, baza byłaby rozświetlona jak Times Square.

Loving wychodził z założenia, że ze swoimi ludźmi ma przewagę liczebną nad przeciwnikami i że wciąż mają trochę czasu. Wystarczająco dużo, by znaleźć dziewczynę i uciec.

Czarną przestrzeń przeszył przenikliwy wrzask. Amanda. Była niedaleko mnie. Usłyszałem odgłosy szarpaniny. Potem głośny brzęk i męski głos krzyczący z bólu.

- Potrzebuję pomocy. Trafiła mnie tym cholernym gazem. Jestem w północno-zachodnim rogu...

- Cisza! - zawołał Loving, a Pogue i ja rozdzieliliśmy się instynktownie i szybko ruszyliśmy w tym kierunku. Kilka razy strzeliłem w górę.

Niewyraźna postać przy drzwiach uniosła broń i strzeliła w moim kierunku. Pogue odpowiedział ogniem, posyłając trzy pociski. Mężczyzna padł na ziemię, ale nie dostał - przynajmniej nie był poważnie ranny - bo strzelał dalej.

Jeden nie żył, jeden albo dwóch dostało gazem pieprzowym.

- Kurwa mać, uciekła - zawołał inny głos.

- Jesteśmy agentami federalnymi - krzyknąłem. - Mamy ludzi na zewnątrz!

- Wiemy, że jest was trzech - dołączył Pogue. - Stańcie z podniesionymi rękami w świetle przy wyjściu. Zróbcie to, bo otworzymy ogień.

Nagle znów odezwał się Henry Loving.

- Corte, prowadzisz samowolną i nieuczciwą operację. Nie zabijemy dziewczyny. Potrzebujemy tylko informacji. Wycofaj się.

- Pierdol się! - krzyknęła Amanda.

- Amanda! - zawołałem. - Kładź się na ziemię. Połóż się, gdziekolwiek jesteś. Leż i bądź cicho.

Odpowiedziało mi kilka strzałów w moim kierunku.

- Przerwać ogień - rozkazał ostro Loving.

- Gdzie pan jest? - wrzasnęła Amanda.

- Kładź się. Będzie...

Przerwał mi huk eksplozji i oślepiiony poleciałem do tyłu.

Granat błyskowy.

Nie doceniłem ich, pomyślałem. Tym razem nawet zatyczki nie uchroniły moich uszu. Pogue też nie spodziewał się granatu i wybuch cisnął go z impetem na biurko. Mimo to zaraz poderwał się na kolana i szukał celu, choć błysk poraził nam wzrok.

Obaj po omacku odsunęliśmy się od miejsca, gdzie jeden z porywaczy rzucił granat ogłuszający. Rozpaczliwie pragnąłem znaleźć Amandę, ale bałem się zawołać, żeby nie zdradzać swojej pozycji; z ruchu cieni odgadłem, że zaczynają zachodzić nas z obu stron.

W tym momencie usłyszałem za sobą hałas. Obróciłem się błyskawicznie, a napastnik, który stał metr za mną, rzucił się naprzód, powalając mnie na podłogę.

## Rozdział 64

Napastnik kopał, za wszelką cenę próbując mi wyrwać broń.

Powoli odzyskując wzrok, poczułem woń potu i perfum.

- Amanda - szepnąłem. - To ja, Corte. - Zepchnąłem ją z siebie.

Dziewczyna cofnęła się, mrużąc oczy i celując mi w twarz pojemnikiem gazu pieprzowego. W czerwonym blasku tabliczki nad wyjściem dostrzegłem jej zawzięty wzrok.

*Twoja córka to twarda sztuka. Trudno ją wytrącić z równowagi...*

Strach zniknął z jej oczu.

- Och... pan Corte. - Miała wilgotne policzki, ale nie od łez; resztki gazu podrażniły ją tak jak wszystkich. Zdjąłem taśmę z jej nadgarstków.

Pogue spojrział w naszą stronę i dał znak, żebyśmy się nie podnosili, po czym rozejrzał się po najbliższych częściach sterowni.

Dziewczyna osunęła się na mnie, ale nie w panice. Była wyczerpana.

Obok usłyszałem odgłos metalu spadającego na betonową posadzkę.

- Oczy i uszy - rzucił Pogue.

Zamknąłem oczy i przyciągnąłem do siebie Amandę, przytulając jej twarz do piersi i zakrywając uszy. Gdy granat wybuchł, tym razem byliśmy przygotowani.

Tyle że granat był inny.

Zamiast wybuchu rozległ się syk i trzask. Otworzywszy oczy, zobaczyłem oślepiające białe światło wypełniające całe pomieszczenie, rzucające ostre cienie na ściany. Równocześnie buchnęła niewielka czasza fosforu, od której zajęła się część podłogi, przepierzenia i tapicerka krzesel. Oślepiające światło zgasło, lecz ogień palił się dalej - przybierając na sile - i dojrzelśmy niewyraźne sylwetki, które przemknęły na drugim końcu pomieszczenia i zniknęły.



Chwilę później wylądował następny granat, jeszcze bliżej nas. Zdążyliśmy się odsunąć, zanim eksplodował i wypuścił kolejną chmurę lepkiej substancji zapalającej. Fosfor jest jak napalm. Przyklepia się jak klej i potrafi przepalić ubranie i skórę.

- Nie możemy tu zostać - szepnęła Pogue, rozglądając się w prawo i w lewo. Jego oczy cały czas szukały celu. - Dobra, zrobimy tak. Nie możemy wszyscy uciekać głównym korytarzem, więc trochę ich przytrzymam. Wyjdiesz z dziewczyną od frontu. Kiedy nadejdzie pomoc, powiedz im, gdzie jestem.

Plan Pogue'a wydawał się jedynym logicznym rozwiązaniem.

- Zaczekaj chwilę - szepnąłem.

Ukryłem Amandę pod biurkiem i dałem Pogue'owi znak, żeby ją ubezpieczał. Potwierdził to gestem. Podeszedłem bliżej miejsca, skąd najprawdopodobniej rzucono ostatni granat. Wiedziałem, że granaty błyskowe ogłuszyły też innych i liczyłem na to, że Loving nie rozpozna mojego głosu.

Głęboko nabrałem powietrza i krzyknąłem:

- Henry, jest za tobą! Trzy metry!

Loving nie dał się na to nabrać, co więcej, natychmiast przejrzał tę strategię i zawołał:

- Nie! Nie podnosić się. - Ale jeden z jego towarzyszy wychynął z ukrycia i odwrócił się, unosząc broń.

Idealny cel. Posłałem mu trzy kule. Dwie w pierś, jedną w głowę. Zwalił się na posadzkę.

Pogue skwitował to skinieniem głowy. To już dwóch.

Dałem nura za osłonę, bo ostatni ze współników Lovinga strzelił na oślep w moją stronę. Pochyliłem się.

- Amanda, jesteś gotowa?

- Totalnie gotowa.

Pogue odsunął się od nas o dziesięć metrów i ściągnął na siebie ogień. Odkręcił tłumik i strzelił pięć czy sześć razy przez całe pomieszczenie. Rozległ się huk beretty.

Amanda i ja, omijając trzaskające, białe płomienie, ruszyliśmy pochyleni do wyjścia i wypadliśmy na korytarz na piętrze. Bałem się, że drzwi z tej strony będą zamknięte, ale nie były i otworzyłem je jedynym kopniakiem.

Usłyszałem grzechot pistoletu maszynowego równocześnie z hukiem granatu błyskowego. Po chwili wybuchł następny. Loving

zrozumiał, że uciekłem z Amandą, więc z ostatnim ze swoich ludzi starał się za wszelką cenę zlikwidować Pogue'a i ruszyć za nami.

Po chwili dopadłem z dziewczyną schodów i pomknęliśmy w dół. Dotarliśmy na parter i ruszyliśmy nieskończenie długim korytarzem w kierunku wyjścia. Kręciło mi się w głowie od zagładania w drzwi, oglądania się za siebie i spoglądania przed siebie. Przede wszystkim patrzyłem do tyłu, gdzie mógł się ukazać Loving z ocalałym współnikiem.

Znów dobiegły nas eksplozje i terkot broni automatu, ale coraz bardziej przytłumione, w miarę jak zbliżaliśmy się do wyjścia.

Nagle usłyszałem głuchy krzyk bólu.

To był głos Pogue'a. Na pewno. Krzyk trwał jeszcze chwilę, bo jak się domyślałem, fosfor przepalił mu kurtkę i spodnie, sięgając skóry. Wreszcie padł jeden strzał, po czym wrzask i strzelanina umilkły.

Ciekawe, czy sam odebrał sobie życie.

Okropna myśl, ale nie mogłem się nad tym dłużej zastanawiać. Wiedziałem, że Loving ze swoim towarzyszem lada chwila zaczną nas ścigać. Dalej parliśmy naprzód. Niepokoiły mnie drzwi. Wszystkie były we wnękach i gdy zbliżaliśmy się do następnych, nie miałem pojęcia, czy są uchylone. Uwierzyłem strażnikowi, że dziewczyny pilnuje tylko czterech ludzi, możliwe jednak, że przyjechał już dyspozytor ze swoją ochroną i słysząc strzelaninę, ukrył się tu, za którymiś drzwiami.

Uznałem jednak, że to naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Trzeba było szybko iść naprzód.

Amanda zaczynała jednak tracić nad sobą kontrolę. Poziom adrenaliny opadał i szybko zbliżała się potężna fala hysterii. Dziewczyna płakała, ciężko dysząc i potykając się.

- No, Amanda, dajesz radę? - Ścisnąłem jej rękę.

Wzięła głęboki oddech. Łzy przestały płynąć.

- Tak, daję radę.

Znów obejrzałem się za siebie... Nic.

Wyczuwałem okropną woń palonego ciała i starałem się nie myśleć o Pogue'u.

Do drzwi wejściowych zostały cztery metry. Dwa.

Zerknąłem za siebie. Korytarz wciąż był pusty. Może Pogue jednak zlikwidował Lovinga i ostatniego współnika.

Szybko pchnąłem drzwi, wciągając cudownie wilgotne powietrze. Zamierzałem przetrzeć opony wszystkich samochodów, a potem wsiąść do swojego. I błyskawicznie odjechać. Po drodze zadzwoniłbym do Freddy'ego, żeby koordynować szturm na bazę. Amanda jedną dłonią uczepliła się mojego ramienia, a drugą ścisnęła pojemnik z gazem pieprzowym. Dostrzegłem na nim logo policji stołecznej.

Zabrzączał mój telefon, informując o nadejściu SMS-a. Freddy zawiadamił mnie, że jego ludzie będą na miejscu za około dwadzieścia minut.

Przystanąłem przed budynkiem i jeszcze raz spojrzałem w głąb korytarza. Nadal był pusty. Odwróciłem się do samochodów. Skierowałem Glocka na opony, szepcząc:

- Zasłoń uszy.

Zanim jednak zdążyłem strzelić, usłyszałem za sobą hałas. Błyskawicznie się obróciłem, ale nie zobaczyłem nic. Korytarz wciąż był pusty.

Zorientowałem się, że odgłos dobiegł znanymi naszymi głowami.

Uniosłem wzrok i zobaczyłem zeskakującego z dachu Henry'ego Lovinga. Runął na Amandę i na mnie, rozplaszczając nas na betonowym podjeździe. Przy upadku poczułem dotkliwy ból kręgosłupa. Powietrze uciekło mi z płuc, a Glock potoczył się daleko w chwasty.

## Rozdział 65

Loving miał przypalone ubranie - i trochę skóry. Stoczył się ze mnie na chodnik prowadzący na parking przy bazie. Stracił broń gdzieś w budynku i po twarzy płynęła mu krew, choć rana nie wyglądała na poważną. Z grymasem bólu chwycił się za bok, który kuzyn pozszywał mu po moim strzale pod domem Cartera nad jeziorem.

Kiedy usiłował dosięgnąć broni, chwyciłem go za nogę i marynarkę.

Zdałem sobie sprawę, że wyszedł przez drzwi pożarowe z drugiej strony wzniesienia i sprintem przebiegł przez dach porośnięty trawą i zielskiem.

Amanda podczołgała się do niego, potrząsając pojemnikiem z gazem. Chciałem jej powiedzieć, żeby tego nie robiła, ale było za późno. Z wściekłym wrzaskiem przytknęła mu pojemnik do twarzy.

Tak jak się spodziewał.

Wyciągnął rękę, złapał pojemnik i obrócił dyszę w kierunku nas dwojga. Bojowy okrzyk Amandy przerodził się we wrzask bólu, gdy strumień pomarańczowego płynu wystrzelił prosto między nas, pryskając nam na twarze delikatną mgielką.

Ból był potworny. Zacisnąłem oczy, z których natychmiast popłynęły łzy, a po chwili otworzyłem je i lekko zmrużyłem. Amanda osunęła się na ziemię i zapamiętała tarła twarz. Przez wilgotne szpary między powiekami zobaczyłem czarny kształt swojej broni leżącej nie więcej niż półtora metra od dłoni Lovinga, który rzucił gaz i zaczął jedną ręką tłuc mnie w ramię, drugą próbując wyciągnąć jak najdalej, by dosięgnąć glocka.

Zdołał mnie przyciągnąć kilkadziesiąt centymetrów bliżej broni. Skąd taka siła u tak niepozornego człowieka? Z początku pomyślałem, że kieruje nim bezsilna rozpacz, ale uświadomiłem sobie, że

to spokojna determinacja. Zaczął mnie kopać. Jeden but trafił mnie w policzek i poczułem smak krwi. Loving zachowywał się, jakby zdobycie tego pistoletu było jedynym celem jego życia.

I chwilę później dopiął celu.

Kiedy się do mnie odwrócił, wparłem się mocno nogami w ziemię i skoczyłem naprzód. Złapałem go jedną ręką za przegub, a drugą wyciągnąłem z kieszeni kluczyki do samochodu.

- Umiesz prowadzić? - zawołałem do Amandy.

Dziewczyna nie odpowiedziała, z trudem gramoląc się na nogi i mierząc Lovinga wyzywającym spojrzeniem. Powtórzyłem pytanie, jeszcze głośniejszym głosem.

- Tak - wykrztusiła, ocierając oczy.

Rzuciłem jej kluczyki.

- Przy drodze stoi mój wóz. Honda. Na przednim siedzeniu jest adres. Jedź tam i czekaj!

- Ale...

- Leć!

Po chwili wahania rzuciła się do ucieczki.

Loving coraz zajadlej usiłował mnie z siebie zrzucić. Zwarliśmy się w wyczerpujących, morderczych zapasach, zaciekle walcząc o broń. Po chwili usłyszałem warkot silnika i pisk opon swojego samochodu. Dziewczyna ruszyła w mrok.

Zbieracz obojętnie zerknął na znikające tylne światła, po czym wznowił próby wyzwolenia się z mojego chwytu.

Po chwili poczułem, że słabnę... w końcu Loving wyswobodził rękę z bronią i z zamachem uderzył mnie kanciastym glockiem. Lufa ugodziła mnie w skroń i nagle zorientowałem się, że leżę na plecach, z twarzą zalaną krwią, od której jeszcze bardziej piekły mnie oczy. W ciągu paru sekund Loving skrępował mi ręce i podciągnął mnie do pozycji siedzącej.

Zbieracz dźwignął się na nogi, też prawie zupełnie wycieńczony. Z trudem łapiąc oddech, odchrząknął i splunął. Popatrzył w stronę, gdzie zniknęła dziewczyna, z taką miną, jak gdyby nie zauważył wolnego miejsca parkingowego blisko miejsca, do którego zmierzał. Wyciągnął telefon i zadzwonił, odchodząc na bok, lecz cały czas obserwując, czy nie słyszę, co mówi. Wiedziałem jednak, że informuje dyspozytora, co się stało i radzi, żeby nie przyjeżdżał. Po chwili się rozłączył.

Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund. Jeszcze raz się rozejrzał i powiedział:

- Wiem, że wezwaleś ludzi, ale przypuszczam, że zostało mi jakieś dwadzieścia minut.

Przypomniałem sobie, że wystarczyło mu siedem, żeby wyciągnąć wszystkie potrzebne nazwiska od Abe'a Fallowa, leżącego przy strumieniu w Karolinie Północnej.

- Co to za adres w samochodzie, pod który miała pojechać dziewczyna? - ciągnął cicho Loving. - To nie jest schron. Tego byś nie zapisał. Dokąd pojechała?

Pomyślałem o Amandzie uciekającej wśród wzgórz ciemną drogą numer 15.

Gdzieś w oddali odżyło wspomnienie o Peggy i chłopcach. Tym razem nie mogłem się go pozbyć. Nawet nie chciałem.

Nie odpowiedziałem Lovingowi.

Wsunął mój pistolet za pasek i podszedł bliżej. Pchnął mnie na plecy, po czym skrępował mi nogi, uważając, żebym nie kopnął go w twarz, czego i tak bym nie zrobił. Po prostu nie miałem już sił.

Znów się rozejrzał i wyciągnął z kieszeni niewielką, wytartą szarą kopertę, której zawartość wysypał na ziemię.

A więc tak to wyglądało. Jego narzędzia pracy, którymi zmuszał ofiary do mówienia. Alkohol był w małej buteleczce, niewiele większej od tych, na które zezwalały przepisy bezpieczeństwa w samolotach. Papier ścierny był drobnoziarnisty, jakiego używa się pod koniec odnawiania drewnianych mebli. Wyglądało to bardzo niewinnie.

Przez chwilę spodziewałem się, że rozpoczniemy rozmowę. Jakąś błyskotliwą wymianę zdań. W końcu byliśmy przeciwnikami od lat, a w ciągu ostatnich dwóch dni wielokrotnie graliśmy w „papier, kamień, nożyce”.

Ale był równie poważnym graczem jak ja, więc zręcznie zabrał się do pracy.

Jaki ma cel?

Znaleźć Amandę.

Jakim najskuteczniejszym sposobem może go osiągnąć?

Zdjął mi prawy but, potem skarpetkę. Wiedziałem, że palce u stóp mają mnóstwo zakończeń nerwowych. Należą do najbardziej wrażliwych części ludzkiego ciała. Przyklęknął na mojej łydce, żeby unieruchomić nogę - co już strasznie zabolalo - a potem wybrał kawałek

papieru ściernego. Zaczął od czubka dużego palca.

Przez chwilę nie czułem nic, później pewien dyskomfort, wreszcie intensywny, palący ból, który jak błyskawica przeniknął całe ciało, sięgając twarzy. Bezwiednie syknąłem, aż w końcu wydałem głośny krzyk.

Bolał mnie nos, zęby, gardło.

Wszystko przez delikatne szlifowanie.

Loving sięgnął po buteleczkę z alkoholem i odkręcił nakrętkę, którą starannie schował do kieszeni. Nie patrzył na mnie i się nie odzywał. Zasady gry były proste. Albo powiem mu, dokąd pojechała Amanda, albo nie.

Przechylił buteleczkę i poczułem lodowaty dotyk - z początku też tylko drażniący. Po chwili jednak znów ognista błyskawica przeszła mnie aż po szczękę. Ból, jakiego nigdy nie czułem. Przypominał żywe stworzenie, poruszające się, gdzie chciało, w moim ciele. Żywe i pulsujące. Sprytne i zdecydowane. Widziałem je w kolorach. Słyszałem je.

- Kamień, papier, nożyce - wybełkotałem przez zaciśnięte zęby. - Kamień, papier, nożyce. - Przez łzy zobaczyłem, że Loving odstawia buteleczkę i znów bierze papier ścierny.

- Kamień, papier, nożyce.

*Peggy, Peggy, Peggy...*

- Kamień, papier, nożyce...

Zaczął szlifować drugi palec.

Wrzasnąłem.

Kamień papier nożyce kamień papier...

Znowu wrzask.

Jeszcze raz wziął alkohol.

Próbując zaczerpnąć oddechu, usłyszałem dwa dźwięki. Pierwszym był trzask gałęzi gdzieś niedaleko, od strony drogi.

Drugim metaliczny szczęk. Bardzo charakterystyczny, którego nikt w mojej branży nie mógłby pomylić z niczym innym.

Loving też oczywiście go poznał. W ułamku sekundy porzucił narzędzia tortur i wyszarpnął zza paska mojego glocka. Gdy w ciemności huknął pierwszy wystrzał, Loving upadł na brzuch. Strzał był chybiony - ale minimalnie. Za nami wleciały w górę wyrwane grudki ziemi.

Zbieracz odtoczył się dwa metry ode mnie - nie mógł pozwolić,

żebym zginął od zbłąkanej kuli, nie zdradziwszy mu przedtem, dokąd uciekła Amanda - i znów rozciągnął się na brzuchu. Byliśmy w niskiej trawie, która nie dawała prawie żadnej osłony.

Znów rozległ się huk. Spojrzałem w stronę, z której padł strzał i zobaczyłem mężczyznę przedzierającego się przez zarośla, który trzymał rewolwer i odciągając kurek, strzelał do Lovinga. Z początku byłem zaskoczony na widok jego twarzy, ale potem zdałem sobie sprawę, że nie powinienem się dziwić.

Ryan Kessler był jedną z niewielu osób, które wiedziały, dokąd pojechałem z Pogue'em.

Policjant nie robił uników ani się nie pochylał. Nie zwolnił nawet kroku ani się nie skulił, kiedy Loving oddał do niego trzy strzały. Nie widziałem, czy Ryan dostał; po prostu szedł naprzód, wpatrując się w ciemność i szukając celu.

Nagle nastąpiła cisza. Nawet w półmroku Ryan był w zasięgu glocka, mimo to Loving przestał strzelać. Uniosłem wzrok i zobaczyłem dlaczego. Strzelając z mojej broni, nie wiedział, ile zostało pocisków. Opróżnił magazynek; zamek był odciągnięty, czekając na przeładowanie.

Loving zorientował się, że mogę mieć zapasowy magazynek, i ja go rzeczywiście miałem. Zerknął na Ryana, który, kuśtykając, cały czas szedł naprzód, starając się znaleźć cel.

Kiedy Loving się poruszył, Ryan strzelił. Nagle i jemu zabrakło amunicji. Usłyszałem stuknięcie kurka w pustą łuskę. Zdjął z pasa szybkoładowacz, i otworzył bębenek, żeby wyrzucić łuski i przeładować.

Loving podkradł się do mnie i sięgnął do kieszeni mojej kurtki. Nie zważając na przeszywający ból w palcu stopy, natychmiast odwróciłem się na brzuch, żeby mu uniemożliwić dostęp do amunicji. Loving spojrzał na Ryana ładującego pociski z okrągłego uchwytu, a potem wyszarpnął spode mnie kurtkę i sięgnął do kieszeni. Ryan zaczął podchodzić bliżej.

Teraz Lovinga naprawdę ogarnęła bezsilna rozpacz.



Zebrałem resztki sił i gwałtownym ruchem uniosłem kolana, uderzając Lovinga w bok, w który go wcześniej postrzeliłem. Syknął z bólu, i straciwszy równowagę, odchylił się.

Potem zmrużył oczy i z wściekłym grymasem jeszcze raz pochylił się i wyciągnął rękę do mojej kurtki. Poszperał w niej i znalazł pełny magazynek. Wyszarpnął go i przeładował glocka.

Gdy Ryan Kessler strzelił mu dwa razy w pierś, twarz Lovinga znajdowała się kilkadziesiąt centymetrów od mojej. Zbieracz zamrugał oczami i osunął się, po czym bezwładnie padł na bok. Umierając, nie patrzył w oczy policjanta, ale moje.

Ryan Kessler usiadł, oglądając zakrwawioną ranę w swoim brzuchu. W jego oczach malował się lęk. Ale nie z powodu postrzału, który moim zdaniem wyglądał paskudnie; najbardziej niepokoiła go rana po drugim strzale Lovinga. Przycisnęła dłoń do krwawiącego uda i ciężko westchnęła.

- Moja druga noga. - Spojrzał na mnie. - Zdrowa. Skurwysyn. - I zemdleł.

## Rozdział 66

Pół godziny później - gdy stara baza wojskowa była już rozświetlona jak wesołe miasteczko i krążyły po niej setki agentów i pracowników służb ratowniczych - stałem w pobliżu wejścia do budynku.

Antyterroryści Freddy'ego, w maskach i respiratorach, przeczesywali budynek i teren wokół niego, czyszcząc pole strażakom. Znaleźli współników Lovinga - wszyscy trzej nie żyli. Ogień wciąż jednak szalał w miejscu, gdzie Pogue stoczył swój ostatni bój, więc nie mogli się na razie dostać do jego ciała.

Niedaleko mnie ratownicy przygotowywali się do przewiezienia Ryana Kesslera do szpitala w Leesburgu na operację. Odzyskał przytomność i nie był tak ciężko ranny, jak początkowo sądziłem.

- Przesła na wylot - powiedział mi, powtarzając to samo, co usłyszałem od doktora Franka Lovinga, gdy mówił o mojej kuli, która dosięgła boku jego kuzyna.

Zadzwoiłem do Joanne, żeby powiedzieć, że jej pasierbica jest cała i zdrowa, a mąż został ranny.

- Stan jest stabilny - zapewniłem ją. Podałem jej nazwisko lekarza, z którym mogła się kontaktować. Potem przekazałem jej wiadomość o Pogue'u. Umilkła na moment, a potem mi podziękowała. Za to, że ją zawiadomiłem. Znow pomyślałem, że mogło ich coś łączyć.

- To ty wypuściłaś Ryana, prawda? - spytałem.

Znow chwila ciszy.

- Tak. Odwróciłam uwagę Lyle'a.

Musiała obserwować kóregoś z nas podczas wstukiwania kodu wyłączającego alarm u drzwi i zapamiętała cyfry. A może w swojej nieodłącznej torebce miała jakiś szpiegowski gadżet do łamania szyfrów zamków.

- Uratował mi życie - powiedziałem.

Ujrzałem idącego do mnie Freddy'ego, Obiecałem Joanne, że zadzwonię do niej później.

- Zaczekaj, Corte.

- Tak?

- Chwileczkę.

Usłyszałem głos Maree.

- Corte?

- Tak.

- Jesteś ranny?

- To nic poważnego.

Cisza.

- Cieszę się. - Nagle dodała ni stąd, ni zowąd: - Chciałam tylko powiedzieć... zrobiłam ci fotografię. Kiedy byliśmy nad rzeką. Pamiętasz?

Milczałem przez chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszałem.

- Tak.

- Jest naprawdę dobra.

- W porządku.

Zawahała się.

- Naprawdę nic ci nie jest?

- Nic. Muszę kończyć.

- W porządku. Zadzwoń, jak będziesz mógł. Teraz z kolei ja się zawahałem.

- Jasne. - Rozłączyliśmy się.

Freddy podszedł do mnie.

- Co znaleźliście? - zapytałem.

- Wszystko wygląda na owiane tajemnicą łamane przez poufne, czy jak to się mówi.

Zniecierpliwiony uniosłem brew.

- No dobra, słuchaj. Lovinga znamy. A reszta? - Szerokim gestem wskazał na bazę. - Wszyscy byli z firmy ochroniarskiej przez duże O. Typu dawnego Blackwater. Nie pracowali tam, ale wiesz, o co chodzi. Najemnicy, siły bezpieczeństwa.

Nie zdziwiłem się, po tym, co zobaczyłem w portfelu strażnika, którego uśpiliśmy przed wejściem. To była jednak zła wiadomość. Grupy tego rodzaju doskonale zacierają ślady łączące ich z dyspozytorami.

- Czyli nic nie wiemy - podsumowałem.
- Coś w tym guście.
- A ten? - Spojrzałem na oprzytomniałego strażnika.
- Domaga się adwokata jak niemowlę butelki - odrzekł Freddy.
- Loving do kogoś dzwonił. Na pewno ostrzegł dyspozytora.

Sprawdziliście jego telefon?

- Nie ma żadnego zapisu. Chyba się nie spodziewałeś, że będzie?
- Nie.
- Mamy Lovinga - zauważył Freddy.

Myślał zapewne, że uznam to za znaczące zwycięstwo.

- Ale chcę dyspozytora - mruknąłem. Patrzyłem na płachtę zakrywającą ciało Lovinga. - Znalazłeś u siebie tego kreta?

Freddy zacisnął wargi.

- Asystentka z łączności. Sprawdziłem jej telefon. Cały dzień dzwoniła przez jakąś nieistniejącą linię na Karaibach. Loving znał imiona jej dzieci i wiedział, do której szkoły chodzą, więc przekazała mu wszystko, co chciał.

*Hak...*

- Jej dzieciom nic się nie stało?
- Nic. Czasem wystarczy po prostu wymienić jakieś imię. Nie trzeba wcale narządzi tortur.
- Czasami wystarcza. - Palec u nogi wciąż potwornie mnie bolał.
- Nie wiem, czy postawimy jej zarzuty. Niespecjalnie mi się to podoba, ale może będę musiał.
- A Zagajew? Co z jego rodziną?
- Miałeś rację. Loving też złożył im wizytę - żeby go zmusić do zagrania dyspozytora. Ale wszyscy są cali i zdrowi. - Wzruszył ramionami. - Facet też nie zrobił nic złego. Trochę nam nakłamał i woził broń, której nie powinien mieć przy sobie. No więc... nie wiem, też trzeba się będzie zastanowić nad oskarżeniem. - Freddy parsknął śmiechem. - Przepraszał, że tak cię opieprzył za tę dynię. Nie chciał. Powiedział, że wyglądałeś na całkiem sympatycznego gościa.

Freddy oszedł skonsultować się ze swoimi ludźmi i funkcjonariuszami stanowej.

Złapałem się na tym, że patrzę na ciało Henry'ego Lovinga. Zebrano wszystkie jego rzeczy osobiste, które leżały obok. Podszedłem i spojrzałem na nie. Portfel, niewielki zwitek banknotów, trochę drobnych. Nóż. Papier ścierny i alkohol. Pusty magazynek pistoletu.

Mapy i długopisy, skrawki papieru. Sześć telefonów komórkowych. Wszystkie szyfrowane i z pustą listą połączeń. Znałem te modele i programowanie; Hermes potrzebowałby kilku tygodni, żeby wyciągnąć z nich informacje - jeżeli w ogóle by mu się udało.

Zauważyłem też pudełko po butach, które zabrał ze swojego rodzinnego domu, zanim doszczętnie go spalił.

Serce waliło mi jak młotem, gdy podszedłem do jednego z agentów brygady antyterrorystycznej FBI, żeby poprosić o parę lateksowych rękawiczek. Nałożyłem je i wróciłem do kupki przedmiotów. Przez chwilę stałem, po czym kucnąłem nad pudełkiem po butach. Naprawdę kryły się w nim zdjęcia? A może coś innego, co dostał od siostry? Od ojca lub matki?

Oderwałem kilka kawałków taśmy i zacząłem unosić pokrywę.

Ale przerwałem.

Z trudem się podniosłem i zostawiłem pudełko obok reszty jego rzeczy. Zdjąłem rękawiczki, a wracając do samochodu, pomyślałem, że cokolwiek tam było, naprawdę nie muszę wiedzieć, co to jest.

## Rozdział 67

Zobaczyłem nadjeżdżającą hondę - tę, którą uciekła Amanda. Pomachałem do kierowcy, znajomego agenta FBI. Nie widziałem jej przez przyciemniane szyby, lecz wiedziałem, że dziewczyna siedzi z tyłu.

W rzeczywistości nie dałem jej żadnych wskazówek, dokąd ma jechać. W samochodzie nie było żadnego adresu. Doszedłem do wniosku, że jeśli nawet niczego nie znajdzie, pojedzie do najbliższego 7-Eleven albo na stację benzynową i zadzwoni pod 911. Dałem jej takie instrukcje tylko po to, żebym mógł przeżyć, dopóki nie zjawi się Freddy z ludźmi i aresztuje Lovinga. Dałem mu do zrozumienia, że tylko ja wiem, dokąd pojechała. Sam postawiłem się na miejscu swoich obiektów.

Jak się okazało, Amanda nie ujechała daleko. Parę kilometrów dalej na drodze numer 15 zatrzymała się na stacji benzynowej, ale wjechała zbyt gwałtownie i zahaczyła o stojak z oponami. Miejscowa policja była powiadomiona o sytuacji i skontaktowała się z Freddyem, który wysłał samochód, żeby ją chronić.

Nie chciałem, żeby Amanda widziała zwłoki. Wciąż nie było wiadomo, kim jest dyspozytor, więc wołałem, żeby się nie pokazywała. Wsiadłem do samochodu z tyłu i zamknąłem drzwi.

- Nic się panu nie stało! - wykrzyknęła z entuzjazmem. - Słyszałam, ale nie wiedziałam. Co się panu stało w stopę?

- Uderzyłem się w palec. Twojemu tacie nic nie będzie.

- Wiem, słyszałam. - Dziewczyna umilkła, patrząc na bazę. - To jest ten człowiek, z którym walczyliśmy? Loving? - Zerknęła na płachtę przykrywającą zwłoki.

- Tak.

- Cieszę się, że nie żyje - oznajmiła stanowczym tonem.

Mówiła szczerze.

*Twarda sztuka...*

- Mogę zobaczyć tatę?

- Jeszcze nie. Ktoś z mojego biura odwiezie cię do macochy i ciotki.

Schron w Great Falls był spalony, więc poleciłem Ahmadowi zabrać Joanne i Maree do innego. Dom znajdował się w okręgu Loudoun, niedaleko stąd, też w starej posiadłości. Tylko nie był taki ładny jak w Great Falls.

- Wujkowi Billowi też nic się nie stało.

- Też miał mały problem ze stopą. Ale to nic groźnego.

Jej twarz stężała.

- Naprawdę się bałam, kiedy strzelali do niego tam przy drodze.

- Uratowałaś mu życie.

Nie odpowiedziała, wciąż patrząc na dawną bazę wojskową.

- Te pistolety... robią okropnie dużo huk. Brzmią zupełnie inaczej niż na filmach albo niż te, z których strzelamy na obozach. A ten człowiek, który był z panem?

Pokręciłem głową.

- Przykro mi - szepnęła. - Miał rodzinę?

- Nie wiem.

Amanda otarła łzy.

Wolałbym, żeby nie zaatakowała tamtego ochroniarza, ale nie wiedziała, że byliśmy tam z Pogue'em. Mogłem tylko podziwiać jej odwagę.

- Świetnie się wtedy zachowałeś. Z tym gazem.

Na twarzy dziewczyny z nieznacznymi śladami trądziku pojawił się nikły uśmiech.

- Tato nauczył mnie, jak mam na siebie uważać. Zanim wyjechałam z wujkiem Billem, wzięłam gaz z szafki taty. Schowałam go do misiowej torebki.

- Sprytnie. Na pewno masz szesnaście lat?

- Dlatego go miałam - odparła rzeczowym tonem. - Nawet mnie nie przeszukali. Byli głupi.

- Owszem, byli.

- Panie Corte, trochę zniszczyłam panu wóz. Wjechałam w jakieś opony na stacji. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Mamy ubezpieczenie.

Znów blado się uśmiechnęła.

Palec u nogi bolał nieznośnie. Zaciśnięciem zębów. Wyprostowałem się i z kieszeni wyciągnąłem notes i długopis.

- Muszę ci zadać parę pytań.

- Jasne.

- Z początku myśleliśmy, że chcą cię porwać, żeby zmusić twój ojca do zdradzenia szczegółów którejś z jego spraw.

- Ale chcieli mnie.

- Zgadza się. Tych ludzi ktoś wynajął - i musimy się dowiedzieć kto.

- Żeby mógł go pan wpakować do pudła.

- Właśnie. Powiedz mi, czy ci ludzie mówili o czymś, kiedy cię porwali? Wspomnieli coś, co mogłoby nam pomóc ustalić, kto ich wynajął albo do czego im byłaś potrzebna?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Kiedy wsadzili mnie do samochodu i jechaliśmy tutaj, trochę rozmawiali. Ale tak, jakby nic o mnie nie wiedzieli.

Poprosiłem ją, żeby opowiedziała mi w zasadzie o wszystkim, co robiła w ciągu ubiegłego miesiąca. Amanda rozumiała, że jej ojciec został ranny, a sama omal nie zginęła z powodu jakiegoś zdarzenia albo kogoś, z kim się ostatnio kontaktowała, więc potraktowała zadanie poważnie, przystępując do recytowania długiej listy swoich wszystkich zajęć. Dziewczyna prowadziła zdumiewająco aktywne życie. I miała bardzo dobrą pamięć. Zrobiłem obszernie notatki, gdy wyliczała spotkania z koleżankami i ich rodzicami, lekcje w szkole, imprezy sportowe, koncerty, wyjazdy do centrów handlowych, swój udział w redagowaniu szkolnego rocznika, wycieczkę członków kółka francuskiego do ambasady w Waszyngtonie, zajęcia na kursie gotowania, wyprawę fotograficzną z ciotką do parku Rock Creek, wpisy na swoim blogu na temat świadomości społecznej o AIDS oraz o koleżance ze szkoły, która popełniła samobójstwo, mimo że szukała pomocy w szkolnej poradni, swoje działania na Facebooku i znajomych (tu miałem mnóstwo notatek), kurs komputerowy na poziomie college'u, na którym jej chiński profesor, „dziwak i totalny geniusz” dawał uczniom do przetestowania i oceny wersje beta różnych programów. Na liście było jeszcze kilkanaście innych pozycji.

Wreszcie odłożyłem długopis, rozważając prawdopodobny powód, dla którego postanowiono porwać dziewczynę.



Zauważyłem opancerzony wóz terenowy, którym przyjechał Geoff, cień z naszej organizacji. Odkręciłem okno i pomachałem do niego. Zatrzymał się.

- Chyba mam wszystko, czego potrzebuję - powiedziałem do Amandy. - Mój współpracownik zawiezie cię do macochy i ciotki.

- Tak, chciałabym je zobaczyć.

- Wierzę.

Zaskoczyła mnie, obejmując mnie na pożegnanie. Wsiadła do SUV-a, a Geoff na mój znak ruszył potężnym wozem spod bazy.

Usiadłem na jakiejś kłodzie i przeczytałem notatki z rozmowy z Amandą. Zamknąłem oczy. Dlatego, że mnie piekły, ale też dlatego, że to mi ułatwiało koncentrację. Następnie wysłałem e-maila do Claire duBois, prosząc ją, żeby zrobiła to, co robi najlepiej. Odpowiedź kilka sekund później upewniła mnie, że duBois od razu zajęła się moją prośbą.

Wstałem i na sztywnych nogach podszedłem do wozu strażackiego, gdzie z przenośnej lodówki wyciągnąłem butelkę wody i opróżniłem prawą całą.

Kiedy kończyłem pić, usłyszałem za sobą szorstki głos:

- Masz jeszcze jedną?

Odwróciłem się i ujrzałem Jonny'ego Pogue'a, który oglądał tkaninę i skórę na swoim lewym przedramieniu, chyba bardziej zmartwiony nadpaleniem zielonej kurtki niż poparzoną skórą.

## Rozdział 68

Pogue... Co się stało? - Widok żywego funkcjonariusza w równym stopniu uradował mnie i zaskoczył.

Nie odpowiedział, a gdy wciąż mu się przyglądałem, powtórzył prośbę.

- Dostanę wody?

- Jasne. Przepraszam. - Podąłem mu butelkę. Wypił połowę, a resztę wylał sobie na głowę. Otarł oczy i spojrzał ponad moim ramieniem na jednego z medyków. - Jest nadzieja, że będziecie mogli rzuścić na to okiem? - Pokazał oparzoną rękę. Gwałtownie kaszlnął i splunął. Skrzywił się, czując w ustach smak spalenizny.

Dwaj ratownicy posadzili go, ponieważ mimo ich prośb nie chciał się położyć ani wziąć środka przeciwbólowego. Jeden z medyków zaczął mu rozcinać rękaw.

- Nie rób tego! - warknął Pogue, po czym rozpiął i zdjął kurtkę. - Po co zaraz ciąć?

Oparzenie wyglądało źle, ale Pogue przestał się nim interesować, gdy tylko mężczyźni zabrali się do pracy.

- Co się stało? - powtórzyłem. - Jak ci się udało...

- Ogień uwięził mnie w rogu. Dowłokłem się jakoś do schodów i wlałem na balkon, ale wrzucili tam jeszcze jeden granat z fosforem. Rozwaliłem ostatniego współnika, ale ogień buzował już na całym. Zszedłem szybem windy do piwnicy, walnąłem się w łeb. Ocknąłem się pół godziny temu. Nie wiedziałem, co zastanę przed wejściem, więc znalazłem wyjście awaryjne z tyłu.

Powiedziałem mu, że Loving zrobił mniej więcej to samo.

- Dlaczego kulejesz?

Wyjaśniłem dlaczego.

- Au. Ale podobno go rozwaliłeś.

- Nie ja. Ryan Kessler.

Zachichotał.

- No, no. Jak to się stało?

- Joanne.

Pogue chrząknął.

- Hm... żona go wypuściła. Wyjdzie z tego?

- Chyba tak.

Pogue zmarszczył twarz, może z bólu, bo właśnie nakładano mu opatrunek na oparzoną rękę, a może dlatego, że uśmiechałem się, widząc go żywego.

- Charakterna dziewczyna. Gaz pieprzowy. Popsuła nam plan, ale szczerze mówiąc, fajnie było zobaczyć, jak gnojek dostał po oczach.

*Twarda sztuka...*

- Co z dyspozytorem? - spytał, spoglądając na rozległe pola, za którymi rozciągała się sieć kilkunastu dróg.

- Loving zdążył go ostrzec. Ale mam parę dobrych tropów. Moja współpracowniczka właśnie je sprawdza. - Jeszcze raz podziękowałem mu za wszystko i uzgodniliśmy, że będziemy w kontakcie. Gdyby kiedykolwiek chciał opuścić swoją organizację, przyjąłbym go bez wahania, choć nie zauważyłem, by w pierwszym odruchu uciekał od zagrożenia, czego uczy się wszystkich owczarków.

Oderwałem się od wozu strażackiego, o który się opierałem, i ostrożnie przeniósłem ciężar ciała na stopę ze zdartym palcem.

Bolało jak diabli. Ostrożnie odetchnąłem. Ciekawe, gdybym naprawdę znał miejsce pobytu Amandy, jak długo bym wytrzymał, zanim zacząłbym mówić. Bo na pewno bym zaczął. Są różne opinie na temat wiarygodności zeznań wymuszanych torturami, ale na pewno każda torturowana osoba zaczyna mówić. Nawet ludzie, którzy podjęli nieugięte postanowienie, by milczeć, w obliczu bólu odzyskują mowę.

Wróciłem do samochodu, usiadłem za kierownicą i zamknąłem oczy, pozwalając płynąć łzom wywołanym przez gaz pieprzowy. Z jakiegoś powodu łagodziły ból. Butelka wody na niewiele się zdała, ale lzy pomogły.

Piętnaście minut później dostałem e-maila. Otarłem oczy i przy-mrużywszy powieki, przeczytałem, co Claire duBois wysłała w odpowiedzi na moją prośbę.

Czytając, pomyślałem o końcówce.

Mimo że to określenie dotyczy wielu gier, najczęściej odnosi się do szachów, gdzie gruntownie zbadałem ten temat.

Kiedy partia zbliża się do końca, w zachowaniu graczy następuje zasadnicza zmiana, a szachownicę - mógłbym przysiąc - ogarnia atmosfera makabry i grozy. Ocalałe bierki zyskują nowe znaczenie. Na przykład piony zaczynają nagle odgrywać główną rolę; nie tylko mogą dotrzeć do pierwszej linii przeciwnika i zostać hetmanami, lecz tworzą także bariery obronne, ograniczając ruchy drugiego gracza. Podobnie jak król, który większą część partii spędza w ukryciu, chroniony przez swoją świtę, a w końcówce często sam musi przejść do ofensywy.

Każdy ruch zyskuje nową wagę. Dramatycznie wzrasta prawdopodobieństwo popełnienia błędu prowadzącego do porażki.

Końcówka jest pełna improwizacji, desperacji, przebłyków geniuszu i przykładów fatalnej w skutkach paniki.

Zdarza się też wiele niespodzianek.

Przez kilka minut patrzyłem w notatki z rozmowy z Amandą i na e-mail od Claire. Następnie napisałem nową wiadomość, która zaczynała się od surowego ostrzeżenia, by zachować jej treść w najściślej tajemnicy. Temat e-maila dotyczył sobotniego kursu Amandy Kessler w college'u, prowadzonego przez profesora Petera Yu, który przychodził tam w weekendy, a w ciągu tygodnia pracował w firmie produkującej oprogramowanie komputerowe Global Software Innovations. To on udostępnił Amandzie i innym uczestnikom kursu wersje beta programów do przetestowania - takich jak program do edycji zdjęć, który Amanda dała Maree.

Najciekawszy fakt związany z profesorem Yu był taki, że GSI nie tylko tworzył komercyjne programy dla zwykłych użytkowników. Firma produkowała także - jak się okazało, specjalizował się w tym Yu - programy wojskowe do najbardziej zaawansowanego obrazowania i analizy pola bitwy. Oprogramowanie do tych celów miało najwyższy stopień poufności.

Skończyłem e-mail i jeszcze raz go przeczytałem.

Mój palec zawisł na chwilę nad klawiszem. Potem wcisnąłem WYŚLIJ i posłałem swoje słowa w eter.

# WTOREK

*Celem gry jest znalezienie odpowiedzi na trzy następujące pytania:*

*Kto? Który z kilku podejrzanych jest sprawcą?*

*Gdzie?*

*Jak?*

Z instrukcji gry planszowej „Cluedo”

## Rozdział 69

O dziesiątej rano moja protegowana i ja siedzieliśmy w jednym z wozów terenowych należących do naszej organizacji, zaparkowanym przy spokojnej ulicy w Fair Oaks, części Fairfaksu.

- No i co? - zapytałem Claire duBois, która położyła kciuk na przycisku ROZŁĄCZ swojego telefonu BlackBerry. Dzwoniła w sprawie Ryana Kesslera.

- W porządku. Lekarz powiedział, że jego stan jest stabilny. Nigdy nie rozumiałam tej medycznej terminologii. Stan stabilny. Ciężki. Krytyczny. Brzmi jak ostrzeżenia Departamentu Bezpieczeństwa o zagrożeniu. Kod pomarańczowy, żółty, zielony, szarobrazowy. Licho wie jaki. To naprawdę takie potrzebne? Nie sądzę. Ktoś siedzi w pojoju i to wszystko wymyśla. Za pieniądze podatnika. - Założyła kosmyki krótkich ciemnych i lśniących włosów za ucho. Zrobiła to bezgłośnie; nie miała tego ranka swojej bransoletki z wisiorcami. Ze względu na bezpieczeństwo.

Ryan był w szpitalu aresztu federalnego. Amanda, Joanne i Maree zostały umieszczone w nowym schronie, pod opieką Ahmada i cienia, który poprzedniego wieczoru zabrał dziewczynę.

DuBois i ja tropiliśmy dyspozytora.

Wróciłem do obserwacji. Budynek wokół nas przypominał dom, w którym mieszkał Kessler. Mniej więcej co piąty wyglądał jeśli nie identycznie, to na zaprojektowany według tego samego szablonu. Patrzyliśmy przez krzaki na dwupoziomowy dom w stylu kolonialnym po drugiej stronie parku dla spacerowiczów z psami połączonego z placem zabaw dla dzieci. Mieszkał tam Peter Yu, wykładowca informatyki w College'u Wirginii Północnej i programista z Global Software Innovations. Firma miała siedzibę przy „korytarzu technologicznym” Dulles, na który składało się kilkanaście biurów

przy autostradzie, gdzie mieściły się przedsiębiorstwa, których jedynym tytułem do sławy potentata w świecie zaawansowanej techniki był fakt, że znajdowały się na liście spółek notowanych na NASDAQ.

Patrząc przez lornetkę, zauważyłem jakiś zagadkowy ruch w ogrodzie za domem.

Wziąłem motorolę i zapytałem Freddy'ego, którego wóz stał niedaleko:

- Jesteśmy gotowi do wejścia?
- Nie jestem pewien, na co patrzę.

Przymrużyłem oczy.

- To on. Na pewno.
- Jesteś ode mnie młodszy, Corte. Oczy starzeją się pierwsze. No, może nie pierwsze niestety, ale prawie. Chwileczkę, mam sygnał od chłopaków z obserwacji... Dobra, w domu jest dwóch.

- Widzę drugiego - poinformowałem agenta.
- Wygląda na mięśniaka. Macie kamizelki?

Zerknąłem na granatowy zakiet Claire duBois, a dokładniej na biust. Przyznaję, że nie pierwszy raz, ale w dzisiejszych okolicznościach moje spojrzenie było jak najdalsze od jakichkolwiek podtekstów erotycznych. Sprawdzałem, czy grube nylonowe płyty są dobrze przytroczone rzepami. Moja kamizelka American Body Armor trzymała się dobrze.

- Jesteśmy gotowi - powiedziałem do Freddy'ego.
- Dobra. To ruszamy. Moi ludzie mówią, że widzą dowody. A mięśniak jest uzbrojony. Półautomat w kaburze na biodrze.

- Jedziemy. - Rozłączyłem się.

- Nie będzie ci potrzebny, ale nie zapinaj zakietu - zwróciłem się do duBois.

- W porządku.

Mówiłem o jej glocku.

Prawdę mówiąc, byłem prawie pewien, że nie będzie jej potrzebny. Pamiętałem jednak mężczyzn w dawnej bazie wojskowej w Lesbargu. Pamiętałem Henry'ego Lovinga. Wiedziałem ze studiów - w tym wypadku z historii - że w krytycznych sytuacjach ludzie mogą się zachowywać w nieprzewidywalny sposób. Poza tym, choć byliśmy przekonani, że w budynku są tylko dwie osoby, w całej sprawie roilo się od niespodzianek.

Nasz SUV i cztery inne samochody błyskawicznie wtargnęły na teren posesji Petera Yu, demolując trawnik i niszcząc krzewy. Podobno takie spektakularne wejścia, które wyglądają na sceny wymyślone przez reżyserów filmów telewizyjnych, naprawdę są najskuteczniejszym sposobem zatrzymania podejrzanych. Chodzi przede wszystkim o zastraszenie.

Szarpnęliśmy klamki drzwiczek i wyskoczyliśmy. Nasze marynarki załopotwały na wilgotnym wietrze. Utykałem - palec u nogi ciągle okropnie mnie piekł. DuBois i ja szliśmy wolno za ośmioma uzbrojonymi agentami z oddziału taktycznego, którzy wpadli do otwartego garażu, wymachując bronią.

- Na ziemię! FBI! FBI!

Wrzask też należy do standardowej procedury. Celem także jest zastraszenie.

Po chwili obaj mężczyźni leżeli na brzuchach z rękami skrępowanymi na plecach jednorazowymi kajdankami Monadnock. Pozostali agenci weszli do domu, przeszukali go i wrócili, wołając:

- Czysto!

Claire i ja podeszliśmy do dwóch podejrzanych, których postawiono już na nogi.

Jeden z mężczyzn patrzył na mnie z niedowierzaniem, które błyskawicznie przerodziło się w czystą nienawiść. - Corte? - wyrzucił z siebie Sandy Alberts, szef doradców senatora Lionela Stevensona. - Jak... Corte?

Jego współnik, ten umięśniony, był zawodowcem, prawdopodobnie związanym z tą samą firmą co ludzie, z którymi Pogue i ja staraliśmy się w bazie przy drodze numer 15. Skrzywił się tylko i nie powiedział ani słowa.

Freddy, najstarszy stopniem spośród nas, rzekł:

- Panie Alberts, jest pan aresztowany po zarzucie porwania mieszkanki okręgu Fairfax, Amandy Kessler oraz współudziału w doprowadzeniu do zabójstwa agenta federalnego.

Alberts sapnął. Ten dźwięk przywodził na myśl odgłos wydawany przez osaczone zwierzę.

- Ależ...

Agenci przeszukali spodnie i marynarkę jego towarzysza, ale nie znaleźli żadnego dowodu tożsamości.



- Powiesz mi, kim jesteś? - zwrócił się do niego Freddy.

Mężczyzna milczał jak zakłęty.

Agent wzruszył ramionami.

- Zdejmiemy mu odciski, zidentyfikujemy go - powiedział do jednego z agentów. Też będzie miał zarzut o współudział. Później dorzucimy parę bonusów. - Ponownie odwrócił się do Alberta. - Dojdą jeszcze zarzuty stanowe, ale to już sprawa Wirginii. Usłyszysz je pan od prokuratora stanowego.

Technik kryminalistyki inwentaryzował zawartość torby na ramię Alberta, którą wysypano na podłogę garażu Yu. Też spojrział na kupkę przedmiotów. Dokumenty, zdjęcia i parę plastikowych torebek z rzekomymi dowodami fizycznymi - były w nich zapewne kosmyki włosów Amandy Kessler lub coś innego zawierającego jej DNA. Albert i jego kompan przyjechali tu, żeby je podrzucić i wskazać na profesora Yu jako głównego dyspozytora.

- Sandy - powiedziałem. Pogadajmy przez chwilę o senatorze Stevensonie.

- Nie wiem, o co ci chodzi - odrzekł z nieszczęśliwą miną szef doradców.

Freddy parsknął krótkim śmiechem.

- Wiemy wszystko - powiedziałem.

- O czym mówisz?

- Zacznijmy od tego: wiemy, że senator lubi spotkania w szkołach. Wiemy, że lubi towarzystwo młodych dam.

Albert szeroko otworzył oczy. Po chwili zreflektował się i spuścił wzrok.

- W zeszłym roku po jednym z takich wystąpień - w college'u w pół nocnej Wirginii - Stevenson poznał dziewczynę - ciągnąłem. - Nazywała się Susan Markus. Wziął ją za studentkę college'u, ale w rzeczywistości była uczennicą szkoły średniej. Koleżanką z klasy Amandy Kessler.

Kiedy duBois złożyła w całość wszystkie informacje, wskazywały na to, że chodzi o zdarzenie, o którym czytałem, zbierając wiadomości o Stevensonie: spotkanie w college'u, gdzie wygłaszał swoją znaną mowę o „rządach prawa”.

- Nie wiemy tylko, czy zaprosił ją do swojego biura, do motelu czy na tylne siedzenie swojej limuzyny - powiedziałem do Alberta.

- Na razie nie wiemy - wtrącił Freddy.

- Jesteśmy jednak prawie pewni, że doszło do jakiegoś... niestosownego zachowania ze strony senatora.

- To kłamstwo! - Protest Alberta zabrzmiał jednak nieprzekonująco.

- Senator nie może być głupi - dodałem. - Nie przypuszczałem, że jest niepełnoletnia. Poznał ją w college'u i prawdopodobnie założył, że to studentka, a nie siedemnastoletnia uczennica szkoły średniej. W każdym razie doszło co najmniej do uwiedzenia osoby nieletniej. Amanda Kessler pracowała ochotniczo w szkolnym programie zapobiegania autoagresji. Susan była przygnębiona tym, co zaszło, więc przyszła szukać pomocy. Rozmawiała z nią Amanda. Susan powiedziała jej, że miała kontakt ze starszym mężczyzną, który ją naciskał, żeby nikomu nic nie mówiła o zdarzeniu. Amanda umówiła Susan z dorosłym terapeutą, ale zanim doszło do wizyty, dziewczyna popełniła samobójstwo. Amanda mocno przeżyła tę śmierć i zamierzała poświęcić samobójstwu dziewczyny dużo miejsca na swoim blogu, próbując ustalić, dlaczego to zrobiła, co do tego doprowadziło. Zamierzała rozmawiać z koleżankami Susan, z jej rodziną. Amanda odkryłaby prawdę, to było tylko kwestią czasu.

Claire duBois przez cały wieczór rozmawiała o tym z Amandą i zebrała mnóstwo faktów, z których wynikał wniosek, że mężczyzną, który uwiódł biedną dziewczynę, był właśnie Stevenson.

- Nie jesteśmy też do końca przekonani, że Susan rzeczywiście sama odebrała sobie życie - włączył się Freddy. - Być może ktoś jej pomógł.

Alberts zaczął coś mówić, ale natychmiast umilkł.

Freddy, lepszy ode mnie w budowaniu dramaturgii, powiedział:

- Och, chciał pan powiedzieć coś o protokole z sekcji zwłok z orzeczeniem o samobójstwie? Chce pan powiedzieć, że pan to sprawdził? Po co miałby pan to robić?

Nadal cisza.

- Dostałeś zadanie, żeby ustalić nazwisko każdej osoby, z którą Amanda rozmawiała o śmierci Susan - ciągnąłem. - Zdobyć notatki Amandy, wszystko. A potem też ją zabić.

Alberts zgarbił się i rozejrzył po garażu profesora Yu.

Wyraziłem głośno myśli Alberta, które za bardzo go obciążały, by mógł sam je wypowiedzieć.

- Wiem, myślałeś, że mamy na oku Global Software Innovations i Petera Yu... Nie, to była tylko przynęta, żeby wyciągnąć cię z ukrycia. Podejrzewałem cię, ale nie miałem żadnego namacalnego dowodu. Dopilnowałem, żebyś się znalazł na liście osób, które miały dostać międzyagencyjny komunikat o Global. Gdybyś był winny, zapewne zjawiliby się tu, żeby podrzucić dowody obciążające Yu.

- Nie popełniłem żadnego przestępstwa. Nie powiem nic więcej. Chcę się widzieć z adwokatem.

- Pomóż nam, Sandy - powiedziałem tonem perswazji. - Mamy cię na widelcu. Daj spokój. - Spojrzałem na potężnie zbudowanego ponuraka, który mu towarzyszył. - Wiem, że znalazłeś go i resztę najemników dzięki swoim koneksjom w komisji sił zbrojnych, zgadza się? Skontaktowali cię z Henrym Lovingiem. Załatwili helikopter. Za wszelką cenę chciałeś się dowiedzieć, ile wiemy, więc poszedłeś do senatora i powiedziałeś mu, że dla własnego dobra powinien sprawdzić, ile wiem. Dlatego wymyśliłeś śledztwo w sprawie podsłuchów zakładanych bez nakazu.

Jego oczy rozpaczliwie błędziły po pomieszczeniu.

- Nie nadstawiaj karku, Sandy - poradziłem. - Współpracuj z nami... Wiemy, że zanim zacząłeś pracować u Stevensona, odciąłeś wszystkie powiązania z lobbystami, ale oni też byli w to zamieszani, prawda?

Żałośnie pokręcił głową.

- A komitet wyborców popierający Stevensona? Zależy im, żeby był ulubieńcem partii. Nie mogą sobie pozwolić na skandal. Kto z komitetu był zamieszany?

Alberts, bliski łez, wyrzucił z siebie:

- Senator Stevenson to wspaniały człowiek. - Protest zabrzmiał komicznie, a jednocześnie niezwykle smutno. - Nic nie wiedział...

- O czym? - przerwałem ostro. - O czym nie wiedział?

Alberts znów się zgarbił.

Patrzyłem na furgonetkę FBI stojącą nieco dalej. Znajdowali się w niej właściciel tego domu, profesor Yu, oraz jego żona. Zgodzili się użyć nam swojej posesji, żebyśmy dokonali w niej zatrzymania, gdy sami udali wcześniej, że wychodzą do pracy. Alberts podążył

wzrokiem za moim spojrzeniem i chyba wreszcie zrozumiał, że został wystrychnięty na dudka.

Zerknąwszy na Freddy'ego, który skinieniem głowy dał mi wolną rękę, podszedłem nieco bliżej do Alberta.

- Jeżeli nam pomożesz, może wypracujemy jakąś ugodę.

- Obciążając senatora - mruknął Albert.

Freddy się zaśmiał.

- A na czym innym mogłoby nam zależeć?

- Nie sądzę, żebyśmy mogli to zrobić.

Słowa „nie sądzę” były kluczowe, ponieważ przyznawał w ten sposób, że mamy na niego haka. Wyraziłem swoje stanowisko dość ogólnikowo.

- Wiem tylko, że możesz spędzić w więzieniu resztę życia albo znacznie mniej. - Zaczekałem, żeby to przemyślał. Po chwili dałem znak jednemu z agentów, żeby podszedł. - Zabieramy cię do aresztu - oznajmiłem Albertowi. - Zastanów się nad tym, co powiedziałem.

Zacisnął wargi i na chwilę zamknął oczy.

Kiedy wyprowadzano Alberta i jego współnika, Claire duBois odwróciła się do mnie i udało się jej wywołać uśmiech na mojej twarzy, gdy wskazując na plecy szefa doradców senatora, powiedziała:

- Pamiętasz, co mówiłeś mi o teorii gier? To dopiero dylemat więźnia.

## Rozdział 70

Siedziałem w gabinecie Aarona Ellisa, znów oglądając jeden z obrazków namalowanych przez jego dziecko. Może przedstawiał stóg siana z wieżyczkami, może żółty zamek ze złota czy mosiądzu. Trudno powiedzieć.

Było wpół do jedenastej. Claire duBois przysuwała sobie krzesło obok mnie.

- Już do nas jedzie - powiedział mój szef.

- Jeśli chodzi o ścisłość - rozległ się nowy głos w gabinecie - *voilà!* Już jest. - Prokurator federalny Jason Westerfield przystanął w drzwiach. - Czyżbym słyszał ponury ton w twoim głosie, Aaron? Ha, żartuję. Może być *pour entrer?* - Dziś był ubrany jak prokurator, zupełnie inaczej niż w sobotę, gdy miał na sobie kostium wojownika z przedmieścia.

Ellis wskazał krzesła po drugiej stronie stolika.

W ślad za szczupłym mężczyzną weszła jego zastępczyni, Chris Teasley. Zwróciłem uwagę na ciekawą rzecz: siedzieliśmy tu, Westerfield i ja, w towarzystwie naszych asystentek, atrakcyjnych kobiet młodszych od nas o ponad dziesięć lat. Zauważyłem, że wzrok Chris Teasley prześliznął się po kostiumie duBois z Macy's i srebrnej bransoletce. Niestety zauważyłem też, że moja protegowana dostrzegła to wymowne spojrzenie.

- Przejdźmy do bieżącej sprawy - rzekł Westerfield. - Byłem zaskoczony, że to bagno sięgnęło aż tak wysokich szczebli. - Zorientował się, że pomylił nieco przenośnie i się zawahał. - Senator Stanów Zjednoczonych - dodał po chwili. - Hm. - Jego głos i zachowanie wciąż irytowały mnie tak samo jak podczas naszego ostatniego spotkania. Właściwie podczas każdego spotkania.

Ostrożnie zmieniłem pozycję stopy. Syknąłem z bólu.

- A więc, Corte, referuj ...*s'il vous plaît*.

Streściłem mu to, co niedawno powiedziałem Sandy'emu Albertsowi: że Lovinga wynajęto dlatego, że Amanda zamierzała informować na swoim blogu o okolicznościach śmierci uczennicy molestowanej przez Stevensona.

- Jak na to wpadłeś?

Odparłem, że taka możliwość przysłała mi do głowy, gdy poprzedniego wieczoru rozmawiałem z Amandą w samochodzie przed opuszczoną bazą wojskową. Spośród wszystkich rzeczy z zeszłego miesiąca, o których mi opowiedziała, jedyną prawdopodobną przyczyną misji Henry'ego Lovinga była jej ochotnicza praca w szkolnym programie zapobiegania autoagresji oraz wpis na blogu o samobójczej śmierci Susan.

- Ale jak pan skojarzył to ze Stevensonem? - spytała Teasley.

- Pomógł mi w tym sam senator. Wydało mi się trochę dziwne, że szef doradców senatora skontaktował się z nami w sprawie nielegalnych podsłuchów tuż po rozpoczęciu tego zadania. Wczoraj wieczorem poleciłem Claire ustalić, czy Stevenson w ogóle zaplanował przesłuchania w komisji na temat podsłuchów. Nie zaplanował.

Uświadomiłem sobie, że to ja zacząłem przypuszczać, iż Stevenson opowiedział się przeciwko nielegalnej inwigilacji z powodów ideologicznych; sam senator nigdy czegoś takiego nie mówił. Jego przemówienie w college'u - po którym prawdopodobnie poznał Susan - było tylko klasyczną retoryką o rządach prawa.

- Razem z Albertsem wymyślili ten problem, żeby patrzeć mi na rękę w sprawie Kesslerów.

Mój szef wymienił ze mną znaczące spojrzenie. Westerfield najwyraźniej nie wiedział o moim zaniedbaniu przy zakładaniu nielegalnego podsłuchu Lovingowi przed kilku laty. Stevenson być może też nie. Ta kwestia mogła się pojawić, ale równie dobrze mogła już nie istnieć.

- Tak więc skupiłem się na Stevensonie: wiadomo było, że umia się z młodszymi kobietami i że regularnie pojawia się w szkołach. Jest z Ohio, niedaleko Charlestonu w Wirginii Zachodniej. Mógłby to być dobry punkt, gdzie z Albertsem poznali Lovinga. Claire zbadała to. Sprawdziła dane o połączeniach telefonicznych i podróżach, czy zdarzały się skargi na Stevensona za lubieżne zachowania wobec kobiet, którym potem płacił za milczenie. - Wzruszyłem ramionami. -

To była tylko hipoteza, nie miałem stuprocentowej pewności, więc urządziłem zasadzkę, wykorzystując Global Software, żeby się przekonać, czy Alberts połknie haczyk i będzie próbował naprowadzić nas na ślad Petera Yu.

- Tak, widzieliśmy komunikat o Global - rzekł z kwaśną miną Westerfield, myśląc zapewne, że jeszcze raz go nabrałem, choć w tym wypadku nie rzucałem mu kości, żeby dał mi spokój.

- Jestem prawie pewien, że Alberts będzie negocjował.

*Dylemat więźnia...*

- Ale porwanie dziewczyny, zamiar poddania jej torturom... wynajęcie ochroniarzy z prywatnej firmy - włączył się Ellis. - To była wielka operacja. Na wyjątkową skalę. Po co? I skąd ten termin? Potrzebowali informacji do wczorajszego wieczoru.

Dla mnie sprawa była oczywista.

- Przede wszystkim - wyjaśniłem - Stevenson nie chciał iść do więzienia, więc próbował uciszyć wszystkich świadków, którzy mogliby go skojarzyć ze śmiercią Susan. Ale zamieszanych jest więcej osób.

Westerfield nastawił uszu. Teorie spiskowe często wzbudzają zainteresowanie.

- Jak to?

- Po pierwsze, chodzi o kandydata do Sądu Najwyższego. Senat ma go zatwierdzić jutro. Amanda chciała pisać na blogu o Susan przez cały tydzień, badając okoliczności jej samobójstwa.

- Wciąż nie widzę związku - oświadczył prokurator federalny.

Wyjaśniłem, że to Stevenson zmontował koalicję do zatwierdzenia kandydatury prawnicowego sędziego.

- Udało mu się zebrać większość z jednym głosem przewagi. Gdyby został aresztowany czy nawet tylko zamieszany w skandal z wykorzystywaniem seksualnym, koalicja rozpadłaby się i wymarzony przez republikanów sędzia nie zostałby zatwierdzony. Jestem prawie pewien, że brał w tym udział ktoś z komitetu wyborców popierającego Stevensona i ktoś z firmy lobbingsowej Alberta.

W oczach Westerfielda pojawił się wilczy błysk.

- Dobrze.

- Wystarczy pomyśleć o emocjach na ulicy, o tłumach fanatycznych zwolenników. Ludzie są gotowi zrobić niemal wszystko, żeby ich strona wygrała.

*W Kongresie jest za dużo wrzasku. Zresztą wszędzie jest za dużo wrzasku...*

Westerfield spojrzął na Teasley, która notowała zapamiętałe, a potem powtórzył:

- Dobrze, Corte. Dobrze...

Ale w jego głosie nie słyszałem uznania. W powietrzu wisiało coś jeszcze.

- Tyle że... - Przesunął chudy tyłek na krzesło i przez moment patrzył w sufit. Na jego twarzy odmalował się - prawdziwy lub udawany - żal. - Co powiesz na odejście na emeryturę w blasku chwały?

- Odejście? - zdumiał się Aaron Ellis.

- Widzisz, trochę nam zagrałeś na nosie.

Przypuszczałem, że ma na myśli prokuraturę federalną.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Jason? - spytał Ellis.

- Mówię o incydencie z wysłaniem Kesslerów do pudła. Doszło do dosyć niezręcznej sytuacji.

*Musisz się liczyć z nieprzyjemnymi konsekwencjami. Skłamałeś mi w żywe oczy...*

Podjeżdżałem, że na miejscu był wtedy sam prokurator generalny albo inna ważna figura z Departamentu Sprawiedliwości. Być może mieli nadzieję na przesłuchanie Ryana Kesslera, bohaterskiego policjanta. Musiała na tym ucierpieć kariera Westerfielda.

- Wydaje mi się, że złożenie rezygnacji byłoby na miejscu. List z przeprosinami. I informacją dla góry, że celowo i świadomie zamydliłeś nam oczy.

Znowu banał. Czy sędziowie kiedykolwiek udzielili mu nagany za takie figury retoryczne?

- Oczywiście zadbam, żebyś dostał wszystkie należne świadczenia. Ale wśliznąć się do jakiejś prywatnej firmy ochrony to byłby niegłupi pomysł. Zarabiałbyś dwa razy więcej. Mogę ci nawet podsunąć paru potencjalnych klientów.

- Jason... - zaczął Ellis.

- Przepraszam. Naprawdę - rzekł Westerfield. Znów się zasepił. -

Ale jeżeli tego nie zrobisz... przykro mi to mówić, ale słyszałem o pewnej sprawie. Coś o nakazach założenia podsłuchu.

Poczułem, jak zwraca się na mnie kilka par oczu.

A więc Westerfield miał na mnie haka. I to diabelnie mocnego.

- Może więc po prostu podamy sobie ręce? - ciągnął prokurator.



- Każdy pójdzie w swoją stronę. Corte, nie masz już dość, że ciągle do ciebie strzelają?

Gra przetargowa Nasha, nazwana od nazwiska słynnego matematyka Johna Nasha, jest ulubioną wśród teoretyków gier i jedną z moich ulubionych. Podobnie jak dylemat więźnia, to gra o sumie niezerowej. Jej zasada wygląda tak: mamy dwóch graczy, z których każdy chce uzyskać część czegoś podzielonego. Powiedzmy, że dwóch szefów potrzebuje obsługi asystentki administracyjnej, która może pracować nie więcej niż czterdzieści godzin w tygodniu. Każdy gracz zapisuje na kartce papieru, ile godzin asystentka miałaby pracować dla niego, nie wiedząc, ile zażąda drugi gracz. Jeśli suma wynosi czterdzieści lub jest mniejsza, każdy dostaje asystentkę na zadeklarowaną liczbę godzin. Jeżeli suma przekracza czterdzieści, asystentka nie będzie pracować dla żadnego z nich.

Wszystko wskazywało na to, że stałem się obiektem gry przetargowej, którą toczyli Ellis z Westerfieldem.

Teoria gier sprawdza się jednak tylko wówczas, gdy zasady są określone z góry. W tym wypadku gry przetargowej Nasha żaden z graczy nie znał jeszcze jednej obowiązującej tu zasady: że przedmiot przetargu - czyli ja - też może być uczestnikiem gry.

Gdy Westerfield i Ellis proponowali jakiś kompromis pozwalający zachować twarz - nie słuchałem, o czym właściwie mówią - przerwałem im:

- Jason?

Zamilkł i spojrzał na mnie.

- Nie odejdę - powiedziałem. - Nie będę pisał żadnego listu. Zostawisz tę sprawę.

Mój szef i Westerfield obrócili na mnie zdumione oczy. Prokurator zerknął na równie zaskoczoną asystentkę, która gładziła swoje perły.

Westerfield rozchylił wąskie usta w lodowatym uśmiechu.

- Chyba mi...

Nie chciał powiedzieć „chyba mi nie grozisz”, ale zasygnalizował, że właśnie w tym miejscu mogły się znaleźć te złowrogie słowa.

- Spokojnie, Corte - powiedział Ellis. - Na pewno się dogadamy. Jest pole do kompromisu.

Wstałem, podszedłem do drzwi i je zamknąłem.

Westerfield patrzył na mnie zdziwiony. Ellis wyraźnie wolałby być

gdzie indziej. DuBois przywołała na twarz coś w rodzaju uśmiechu. Mojego uśmiechu.

- Mów - powiedziałem do niej i usiadłem.

Uczę swoich protegowanych, jak postępować z cynglami, zbieraczami i dyspozytorami. Uczę ich też, jak postępować z naszymi towarzyszami broni.

Odwróciła się do Westerfielda i powiedziała z szacunkiem:

- Panie prokuratorze, uznaliśmy, że aby podeprzeć oskarżenie pana Alberta i senatora Stevensona, należy ustalić, gdzie i w jaki sposób dokładnie dowiedzieli się, że nasza organizacja prowadzi operację ochrony państwa Kesslerów. Zastanawialiśmy się z panem Corte nad tym ważnym pytaniem, które pozostawało bez odpowiedzi. Oczywiście nie ma żadnych oficjalnych komunikatów o rozpoczęciu przez nas konkretnego zadania. Nasza organizacja bezwzględnie musi pozostać anonimowa. Jak pan się domyśla, nie możemy skutecznie działać, jeżeli ktoś przychodzi i wtyka nos w nasze sprawy. Co więcej, wytyczne dla wszystkich agencji organów ścigania wyraźnie zabraniają wspominać o naszym istnieniu, nie mówiąc już o informowaniu o prowadzeniu konkretnego zadania.

- Wtyka nos? - Westerfield zirytowany uniósł ręce, jak gdyby chciał zapytać „Ale o co chodzi?”.

- Z rejestru połączeń telefonicznych pańskiego urzędu - oczywiście uzyskanego na podstawie legalnie wystawionego nakazu - wynika, że Sandy Alberts, zanim zjawił się tu w sobotę, żeby porozmawiać w sprawie nielegalnej inwigilacji z dyrektorem Ellisem i funkcjonariuszem Corte, godzinę wcześniej dzwonił do pańskiego biura. Przed tym telefonem ani pan Alberts, ani senator Stevenson nie mieli żadnych informacji, że zajmujemy się sprawą Kesslerów.

- Do mojego biura? Absurd.

DuBois spojrzała na niego zaskoczona.

- Ależ nie. Proszę spojrzeć na rejestr połączeń. - Otworzyła dokument i jej bransoletka z wisiorcami zadźwięczała jak srebrne dzwoneczki. Operacja taktyczna się skończyła, więc Claire znów włożyła biżuterię. - Zaznaczyłam odpowiednie fragmenty na żółto. Jest trochę jaśniejszy, niż chciałam. Widzi je pan? Próbowałam niebieskim, ale wyszło za ciemne.

Chris Teasley kurczowo ścisnęła notes. Jej ładna blada twarz poczerwieniała i barwa jej policzków odbijała się w perłach, choć może

to wyobraźnia płatała mi figle.

- Alberts wiedział o Kesslerach - szepnęła. - Znał ich nazwisko. Przypuszczałam... chciał tylko wiedzieć, kto odpowiada za ochronę. Nie pytał o nic więcej. Pomyślałam... pomyślałam, że przecież można powiedzieć.

Pocziwa Claire duBois nie spuszczała wzroku z Westerfielda i nie zaszczyliła swojej nieszczęsnej odpowiedniczki spojrzeniem trwającym choćby milisekundę.

- Ach, tak - powiedział wolno prokurator federalny.

Po krótkiej chwili, gdy jedynym dźwiękiem w gabinecie był brzęk bransoletki duBois, która wkładała dokumenty z powrotem do aktówki, Westerfield wysunął dolną wargę.

- Wygląda na to, że lepiej będzie zabrać się do pracy i wsadzić senatora *et son ami* za kratki. - Wstał. Jego zastępczyni także. - Żegnaj panów... i panią.

Oboje wyszli.

Mój hak najwyraźniej przebił jego haka.

## Rozdział 71

**W** swoim biurze otworzyłem sejf i wyciągnąłem grę planszową, którą dostałem w sobotę.

Rozwijając folię ochronną i zdejmując przykrywkę pudełka, poczułem zapach starego papieru i kartonu. A także bardzo przyjemną woń cedru. Gry planszowe podobają mi się także ze względu na swoją historię. Ta gra została kupiona jako nowa w 1949 roku. Może przechodziła z pokolenia na pokolenie w jednej rodzinie albo przez jakąś wyprzedaż trafiła do innej rodziny, a może znalazła się w jakimś pensjonacie w Nowej Anglii, gdzie leżała w salonie, zapewniając gościom rozrywkę w sobotnie popołudnia, gdy deszcz uniemożliwiał wycieczkę do jesiennego lasu.

Zapach naftaliny świadczył o tym, że ostatnie dni gra spędziła w szafie. Plansza była odrapana i poplamiona - między innymi dlatego cena była okazyjna - więc ciekawiło mnie, ile osób przesuwało po niej pionki od startu do mety, kim byli, co teraz robią, jeśli jeszcze są wśród żywych.

Mimo swojej pomysłowości i grafiki o wysokiej rozdzielczości gry komputerowe nie mogą się równać z urokiem swych eleganckich, trójwymiarowych przodków.

Wsunąłem grę do plastikowej torby na zakupy. Była już czwarta i zbierałem się do wyjścia do domu.

Na drugim końcu mojego pokoju stał na komodzie mały telewizor z wyłączoną fonią. Zerkając na ekran, zobaczyłem w CNN migającą wiadomość z ostatniej chwili.

Przeczytałem tekst na pasku. Lionel Stevenson zakomunikował, że opuszcza fotel senatora ze skutkiem natychmiastowym. Toczyło się przeciwko niemu śledztwo, ale szczegółów nie podawano. Sandy

Alberts, szef jego doradców, został aresztowany, tak jak przewodniczący komitetu wyborców, do którego należał Alberts, oraz wspólnik dawnej firmy lobbingowej Albertsa.

Cokolwiek powiedzieć o Jasonie Westerfieldzie, na pewno nie zasypiał gruszek w popiele.

Zaskoczył mnie głos od drzwi i wyłączyłem telewizor.

- Mam - powiedziała Barbara, moja sekretarka. - Jesteś gotowy?

Wziąłem od niej dokument i przeczytałem. Był to nakaz zwolnienia, uwalniający Kesslerów spod naszej opieki. Dokument jest jedynie formalnością; gdyby zbieracz, który na przykład nie słyszał o aresztowaniu dyspozytora, jeszcze raz próbował zaatakować nasze obiekty, natychmiast zjawilibyśmy się na miejscu, nawet po podpisaniu nakazu. Ale jesteśmy taką samą agencją federalną jak inne, co oznacza tony papierów. Połowa z nich na pewno dotyczy budżetu. Oddałem podpisany dokument Barbarze i powiedziałem, że wracam do pracy za trzy, może cztery dni, ale będę dostępny pod telefonem. Wiedziała o tym, lecz zawsze wolałem to podkreślić.

- Odpocznij - poradziła po matczynemu, co mnie ujęło za serce. - Nie najlepiej wyglądasz.

Nie czułem już żadnych skutków gazu pieprzowego. Zmarszczyłem brwi.

- Ciągłe kulejesz - wyjaśniła.

- Przecież to tylko zadrapanie. Nic mi nie będzie.

- To akurat palcem na wodzie pisane - odparła. - Palcem w bucie.

Zaśmiałem się, myśląc, że sam nie wpadłbym na coś takiego. Maree i Freddy mieli rację. Rzadko żartuję. Chciałem zapamiętać to o palcu, ale wiedziałem, że raczej mi się nie uda.

Wziąłem grę, swój komputer i torbę z ubraniami i poszedłem do pokoju duBois. Kiedy stanąłem w drzwiach, rozmawiała przez telefon. Z wesołego tonu odgadłem, że prawdopodobnie rozmawia z chłopakiem od kotów. A może nowym chłopakiem od kotów. W każdym razie zapowiadał się wieczór z romantyczną kolacją. Claire opisywała mu - jak zwykle drobiazgowo i z mnóstwem dygresji - jakies danie z kurczaka.

Pomachałem jej na do widzenia. Dała mi znak, żebym chwileczkę zaczekał.

Nie chciałem jednak, żeby przerywała.

- Muszę iść - szepnąłem. - Dzięki. Dobra robota.

Uśmiechnęła się lekko, ale jej oczy promieniały. Przypomniałem sobie, że gdy chwalił mnie Abe Fallow, zachowywałem się zupełnie odwrotnie. Spuszczałem wzrok i odpierałem komplementy. Uznałem, że Claire duBois ma rację. Od czasu do czasu żartowała, miała dziwaczne spostrzeżenia, mówiła do siebie. Odmierzała emocje, którym ulegała i które wyrażała. I tak powinno być. Gdybym mógł się cofnąć w czasie i coś zmienić, poprawiłbym w sobie właśnie to.

Przeszłość to przeszłość. Nie tylko wraca w najmniej spodziewanym i dogodnym momencie, ale i jest niezmienna.

Zostawiłem ją, by kontynuowała monolog o gotowaniu, i zszedłem do garażu po samochód, ciemnoczerwone volvo. Wprawdzie nie miałem najbezpieczniejszego zawodu na świecie, ale jeżdżę wozem tej samej marki, której mój ojciec, prawnik w firmie ubezpieczeniowej, powierzał życie swojej rodziny. Auto nie było zbyt stylowe - ale komu potrzebny styl? Miało też całkiem znośne zużycie paliwa.

Kiedy wyjeżdżałem na King Street, dostałem SMS-a. Zatrzymałem się na podjeździe i spojrzałem na telefon. Patrząc przez okno na muzeum Waszyngtona, zerkąłem na ekran, zastanawiając się, co począć.

## Rozdział 72

Znalazłem Joanne Kessler w Galerii w Tysons Corner, eleganckim z dwóch połączonych centrów handlowych niedaleko autostrady, niedaleko budynku federalnego, gdzie przeprowadziliśmy przesłuchanie Asłana Zagajewa.

W Galerii jest Ritz-Carlton, DeBeers i Versace, ale nie potrafię zrozumieć, jakim cudem ciągle działają, bo z wyjątkiem okresu bożonarodzeniowego zawsze świecą pustkami.

Joanne ścisnęła w rękę kubek herbaty, siedząc przy rozchwianym stoliku w olbrzymiej sali pośrodku centrum handlowego. Znów Starbucks.

Po zakończeniu zadania obiekty zachowują zimne telefony jeszcze przez miesiąc - na wszelki wypadek. Potem, gdy programy same skasują wszystkie kody i numery, można je odesłać do skrytki pocztowej albo po prostu wyrzucić. Pół godziny temu dostałem wiadomość od Joanne z pytaniem, czy możemy się spotkać.

Oczywiście wcześniej zadzwoniłem do niej, a także do Ryana i Amandy, żeby wszystko opowiedzieć. Pożegnaliśmy się. A po podpisaniu nakazu zwolnienia sprawa została zakończona.

Choć najwyraźniej jeszcze nie całkiem.

Wziąłem kawę i usiadłem obok poważnej Joanne.

- Jak się czujesz? - spytała.

Nie mając ochoty mówić o bólu i otartym do żywego mięsa palcu, odrzekłem krótko:

- Dobrze, a Ryan?

- Dochodzi do siebie. Jutro wraca do domu.

- Amanda? - W porządku. Jest wściekła i chce się rozprawić z korupcją w Waszyngtonie.

- Zaglądam na jej blogi - powiedziałem. - Muszę zachować anonimowość.

Uśmiechnęła się.

- Mam już za sobą tę rozmowę.

- Widziałaś wiadomości? O Stevensonie?

- Widziałam. Słuchaj, Corte - ciągnęła. - Wydaje mi się, że żadne z nas nie podziękowało ci, jak należy. Myślałam o tym. O wszystkim, co zrobiłeś. O mały włos nie zginąłeś. Nie znałeś nas. Byliśmy dla ciebie nikim.

Przez moment milczałem. Wreszcie zakłopotany odrzekłem:

- Byliście moim zadaniem.

- W każdym razie dziękuję.

Wiedziałem jednak, że to spotkanie dotyczy czegoś więcej niż wdzięczność. Chwila ciszy.

- Jeszcze jedna rzecz. Chciałam cię o coś prosić. Nie powinnam, ale... nie wiedziałam, do kogo się z tym zwrócić.

- Jasne. Mów.

- Chodzi o Maree. - Joanne spuściła głowę. - Schrzaniłam coś jeszcze.

Czekałem, patrząc na ludzi oglądających wystawy.

- Nie odzywa się do mnie. Ale podsłuchiłam ją. Wprowadza się z powrotem do Andrew. Próbowałam jej to wyperswadować, ale zachowuje się, jakby mnie w ogóle nie słyszała. Chwycała swoje rzeczy i wybiegła z domu... Znowu zrobi jej krzywdę, a ona będzie na to pozwalać. - Joanne dotknęła mojej ręki. Dziwne uczucie. Kiedy traktujesz osoby pod swoją opieką jak pionki w grze, które trzeba chronić, nie jesteś przyzwyczajony do fizycznego kontaktu. Abe mówił, że należy go unikać.

Co oczywiście przywiodło mi na myśl nasz pocałunek z Maree na skalnej półce nad Potomakiem.

- Mógłbyś z nią pogadać? - szepnęła Joanne. - Proszę. Wiem, że to nie twoja praca. Ale mnie nie posłucha. Może już nigdy nie będzie chciała ze mną rozmawiać...

Zobaczyłem w jej oczach łzy. Dopiero drugi raz, odkąd ją poznałem. Czulem się nieswojo.

- Gdzie ona jest?

- Za godzinę ma się z nim spotkać w parku Waszyngtona, w centrum.



Jak tłumaczyłem Claire duBois i wszystkim swoim protegowanym, obowiązki owczarka wobec obiektów kończą się w chwili, gdy dyspozytor i zbieracz albo cyngiel zostają aresztowani lub zneutralizowani. Terapia, rozwód, tragiczne wypadki, długie i szczęśliwe życie - nie obchodzi nas żaden z tych epilogów. Kiedy życie Kesslerów znacznie wracać do normy - takiej czy innej - po okropnościach kilku minionych dni, będą już w innym schronie albo w drodze, opiekując się nowymi obiektami.

- Proszę cię.

Pomyślałem, że stoję na krawędzi. Przypomniałem sobie wzburzoną wodę Potomaku w dole. Na krawędzi...

- Zgoda.

Mocniej ścisnęła mi rękę.

- Och, dziękuję... - Otarła łzy.

Wstałem.

- Corte?

Obejrzałem się.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Jak to jest prowadzić podwójne życie. O twojej pracy, czyli pilnowaniu obiektów albo mojej pracy i mojej rodzinie? Mówiłeś, że nie da się mieć jednego i drugiego. Nie jestem taka pewna... Może się da. Jeżeli dobrze się do tego zabierzesz. - Uśmiechnęła się zupełnie nie w swoim stylu. - I jeżeli wystarczająco mocno chcesz.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Skinąłem jej głową i lekko utykając, wróciłem do samochodu.

Czterdzieści minut później byłem w parku Waszyngtona, niedaleko DuPont Circle. Był mały, a jego historia sięgała początków miasta. Niektóre ławki w mieście są nowe i podobno produkuje się je z przetworzonych opon czy kartonów po mleku. To bardzo ekologiczne i dobre dla ludzkości, ale osobiście wolę stare, takie jak tu. Wyglądały, jakby postawiono je w czasach, gdy pięć kilometrów stąd, przy Pennsylvania Avenue, pracował Teddy Roosevelt. Czarne kute żelazo ze śladami rdzy i drewniane siedziska, nierówne po wielu latach niestannego odmalowywania.

Przez park szło dwoje ludzi, którzy przystanęli na chwilę przed kwitnącym krzakiem - chyba kamelii - a potem ruszyli dalej. Potem zrobiło się pusto. Było wietrznie i pochmurno. Zaparkowałem w miejscu, skąd miałem widok na wszystkie ławki i mogłem zauważyć

Maree nadchodzącą z każdej strony. Wyłączyłem silnik i opuściłem osłonę przeciwsłoneczną. Byłem wystarczająco niewidzialny. Próbowalem do niej zadzwonić, ale odezwała się poczta głosowa, więc podejrzewałem, że wyłączyła telefon, żeby uniknąć rozmów z siostrą.

Nagle zjawił się ktoś inny. Z rozczarowaniem zobaczyłem, że to Andrew - Claire duBois przysłała mi jego zdjęcie, gdy poleciłem jej prześwietlić go jako kandydata na dyspozytora w sprawie Kesslerów. Wchodząc wolnym krokiem do parku, rozmawiał przez komórkę. Rozejrzał się, stojąc przez chwilę, a potem usiadł na ławce. Założył nogę na nogę. Nie widziałem jego miny - byłem w odległości ponad dziesięciu metrów - ale nie uśmiechał się, a mowa jego ciała zdradzała zdenerwowanie. Byłby łatwym przeciwnikiem w grze; nie dość, że miał trudności w panowaniu nad sobą, to często błędził gdzieś myślami.

Ponieważ przyjechałem pierwszy, miałem niewielkie szanse na rozmowę z Maree, chyba że udałoby mi się ją zatrzymać.

Ale do tego też nie miało dojść. W tym momencie pojawiła się, idąc z drugiego końca parku. W przeciwieństwie do Andrew uśmiechała się, wyraźnie ciesząc się ze spotkania. Szła lekko i swobodnie, niosąc reklamówkę z Neiman Marcus i torbę z aparatem fotograficznym. Znana mi już walizka na kółkach toczyła się za nią jak piesek. Czyżby w plastikowej torbie był prezent? Przypuszczałem, że wróciła do swojej dawnej roli niepewnej dziewczynki, która będzie zabiegać o akceptację mężczyzny. Pamiętałem wiadomość, którą przy nas zostawiła Andrew na poczcie głosowej. Zachowywała się przy nim zupełnie inaczej niż na przykład przy mnie.

*Panie przewodniku...*

Andrew zauważył ją i skinął głową, ale nie uśmiechnął się ani nie zakończył rozmowy przez telefon. Ciekawe, czy zadzwonił tylko po to, żeby pokazać, kto ma tu władzę. Zwierzęta często w podobny sposób demonstrują swoją dominację, ale robią to, żeby przetrwać, nie z powodu własnej próżności. Wiedziałem, że w przeszłości Andrew skrzywdził Maree i widząc teraz jego lekceważenie, przeczuwałem, że znów będzie dla niej zagrożeniem, tak jak obawiała się Joanne. Było coś takiego w spojrzeniu, jakim ją obrzucił. W jego oczach błysnął gniew. Dziwne, ale rzadko mam do czynienia z czymś takim u cyngli czy zbieraczy albo moich obiektów. Gniew świadczył o braku profesjonalizmu, a zbieracz, który się złości, niewiele zdziała: łatwo popełnia błędy.

Skończyłem swój tydzień pracy, więc zostawiłem glocka w zamkniętej szufladzie biurka. Zawsze mogłem zadzwonić pod 911. Przyglądałem się uważnie, zapamiętując szczegóły, które mogły się okazać ważne: Andrew miał rękawiczki, dało się zauważyć pewną sztywność biodra, miał duży plecak, w którym mógł ukrywać broń albo nawet sam plecak był bronią. Nie nosił okularów, które sugerowałyby bezbronność, a tę mógłby wykorzystać przeciwnik w walce albo ucieczce. Nie miałem wątpliwości, że to silny i wysportowany mężczyzna.

Niepełne informacje... ale dały mi pewne wyobrażenie o przeciwniku i jego strategii.

Mimo to Maree zdawała się nie dostrzegać żadnego z tych zagrożeń i wyraźnie cieszyła się na jego widok. Wciąż uśmiechnięta siadła i pocałowała go w policzek. Chwyił ją za rękę i jeszcze przez chwilę nie zwracał na nią uwagi, a potem się rozłączył. Schował telefon i odwrócił się do niej z uśmiechem. Nie słyszałem słów, ale rozmowa wydawała się dość niewinna. Może pytał ją, gdzie była przez kilka ostatnich dni i sądząc po jego zdziwionej minie, wyjawiała mu przynajmniej część prawdy. Parsknął krótkim śmiechem.

*Cokolwiek ci się wydaje. Corte, cokolwiek przypuszczasz, niczego nie zakładaj. Cały czas bądź uważny.*

Jasne, Abe.

Śmiech Andrew przerodził się w uwodzicielski uśmieszek. Otoczył ją ramieniem. Szepnął jej coś do ucha, prawdopodobnie zapraszając ją do siebie. Z informacji zebranych przez duBois wiedziałem, że mieszka niedaleko stąd.

W tym momencie Maree strąciła z siebie jego rękę. Odsunęła się. Przez chwilę milczała, a potem wzięła głęboki oddech i wygłosiła jakąś dłuższą przemowę, unikając jego wzroku. Z początku wydawała się skrepowana, lecz wkrótce odnalazła właściwy rytm i spojrzała na obojętną minę, z jaką przyjmował jej słowa.

Dał jej znak dłonią w rękawiczce i pochylił się bliżej. Powiedział parę słów, a Maree pokręciła głową.

Wzięła torbę i wyciągnęła z niej oprawioną w ramki fotografię. Była to martwa natura, którą widziałem w domu Kesslerów. Zorientowałem się, że to zapewne prezent, jaki dostała od niego wcześniej. Zdjęcie z jego kolekcji. Wręczyła mu je.

Ciekawe. Zrywała z nim.

Spojrzał na fotografię, po czym uśmiechnął się ze smutkiem. Znow coś zaczął mówić, jak gdyby próbował ją przekonać. Pochylił się, żeby ją pocałować, ale cofnęła się jeszcze dalej i powiedziała coś jeszcze.

Skinął głową. Nagle zerwał się z ławki i z wściekłością cisnął zdjęcie na chodnik, roztrzaskując ramki. Maree skuliła się, uchylając się przed odłamkami szkła. Potem Andrew chwycił ją za ramię. Skrzywiła się i krzyknęła z bólu. Zamierzył się drugą ręką, zwijając ją w pięść.

Otworzyłem drzwi i wyskoczyłem...

W tym momencie Maree też wstała i z całej siły uderzyła go w twarz. Andrew nie spodziewał się żadnej agresji, był więc zupełnie nieprzygotowany na cios. Ręka Maree trafiła go w nos. Ból musiał być okropny - wiem, bo jeden z przerażonych obiektów dzielił mnie kiedyś przypadkowo łokciem.

Andrew opadł na ławkę, zgarbił się i z wściekłością złapał się za zakrwawioną twarz.

- Ty cholerna suko!

- Powiedziała ci, to koniec - oznajmiła stanowczo.

Kiedy wysiadłem z samochodu, słyszałem ich wyraźnie.

Andrew znow się podniósł i na oślep wyciągnął do niej rękę, ale Maree spokojnie pchnęła go z powrotem. Ze łzami bólu w oczach, potknął się i runął na chodnik, padając na bok. Wygramolił się na nogi, szukając w kieszeni chusteczki.

- Zaatakowałaś mnie, suko! Dzwonię na policję.

- Świetnie - odrzekła ze stoickim spokojem. - Pamiętaj tylko, że mój szwagier jest gliną. Wiem, że chętnie by o tym z tobą porozmawiał. On i paru jego kolegów.

Ucieszyłem się, że pod moją opieką Maree nauczyła się zdobywania i używania haków.

Patrzyła na niego z czymś w rodzaju litości w oczach.

- Nie dzwoń do mnie więcej.

Zarzuciła na ramię aparat, odwróciła się i ciągnąc za sobą walizkę, wolno wyszła z parku. Zaczekałem, żeby się przekonać, czy Andrew za nią pójdzie. Wyraźnie się wahał. Chwycił to, co zostało po strzaskanej ramce, i jeszcze raz rzucił na ziemię. Potem odszedł w przeciwnym kierunku, przyciskając dłoń w rękawicze do krwawiącego nosa.

Wsiadłem z powrotem za kierownicę i uruchomiłem silnik, po czym ruszyłem w stronę, w którą poszła Maree. Zobaczyłem ją na następnym skrzyżowaniu, gdzie przystanęła na czerwonym świetle. Przejechała palcami włosy i zadarła głowę, spoglądając w ciemniejące niebo. Czula ten sam zapach co ja przez otwarte okno volvo: przyjemny aromat jesiennych liści i jeszcze przyjemniejszy zapach drewna palonego w kominku jakiegoś domu niedaleko.

Zapaliło się zielone światło. Maree przeszła przez ulicę i wkroczyła do wysokiego, lśniącego od szkła budynku hotelu Hyatt.

Zatrzymałem wóz przed wejściem, pokazując federalną legitymację policjantowi z drogówki, który skinął głową i poszedł dalej.

Wyłączyłem silnik.

Patrzyłem, jak Maree wchodzi przez obrotowe drzwi. Kręciły się coraz wolniej, aż stanęły. Rozejrzała się i podeszła do recepcji, oddając walizkę boyowi. Przywitała się z recepcjonistką i otworzyła torebkę, wyciągając dokumenty.

Widząc, że ostatni z moich obiektów jest już bezpieczny, uruchomiłem silnik i wrzuciłem bieg. Wyjechałem na ulicę, oddalając się od hotelu, żeby wrócić do domu.

## Końcówka

Jedząc na służbie, nie pozwalałem sobie na luksus słuchania muzyki: za bardzo mnie rozpraszała, jak mówiłem Billowi Carterowi.

Ale po pracy zawsze włączałem radio, płytę albo rzeczy ściągnięte z Internetu. Lubiłem muzykę z dawnych czasów, przez co rozumiem okres od lat trzydziestych ubiegłego wieku do końca sześćdziesiątych, nic przed i może trochę po.

Fats Waller, Sinatra, Billie Holiday, Louis Armstrong, Rosemary Clooney, Ella, Sammy Davis Jr., Dean Martin... jeżeli tylko tekst nie jest głupi. Słowa są ważne. To koncepcja, której na przykład Beatlesi, mimo swojej ogromnej muzykalności, po prostu nie rozumieli. Fantastyczna muzyka, ale zawsze uważałem, że tworzyliby dzieła wybitne, gdyby przez chwilę zastanowili się nad tym, co piszą.

Oddalając się od stolicy, słuchałem kanału Sinatra satelitarnego radia Sirius, które nadaje kawałki wielu dobrych artystów z tamtej epoki, nie tylko Franka. W głośnikach brzmiał właśnie głos Harry'ego Connicka Jr.

Przyjemnie było słuchać tej muzyki.

Przyjemnie było prowadzić.

Zostawiłem za sobą miasto. Zostawiłem Maree i Joanne. Ryana i Amandę.

Zostawiłem też Henry'ego Lovinga.

Wszystkich na swój sposób pożegnałem na zawsze.

Inni ludzie też przestali dla mnie istnieć - oczywiście na pewien czas. Freddy, Aaron Ellis i Claire duBois, która zapewne już szalała w kuchni z chłopakiem od kotów.

Już wcześniej z listy obecności, którą miałem w głowie, zniknął Jason Westerfield i z rozbawieniem uświadomiłem sobie, że nie pamiętam nawet nazwiska kobiety z perłami, Chris jakiejś tam.

Minąłem drogowskaz. Dwadzieścia pięć kilometrów do Annapolis w Marylandzie.

Dwadzieścia minut później zatrzymałem się przed skromnym białym domem w stylu kolonialnym niedaleko Zatoki Chesapeake. Wiał anemiczny wiatr, mimo to usłyszałem odgłos fal - jedną z moich ulubionych rzeczy w tej okolicy.

Zwolniłem, włączyłem kierunkowskaz, choć nikt za mną niejechał, i skręciłem w wąski podjazd gęsto zasłany liśćmi, które spadają tu wcześniej niż w mieście. Lubię je grabić - nie usuwać dmuchawą, ale właśnie grabić - i pewnie od tego zacznę jutro swój weekend. Zaparkowałem, po czym wysiadłem, przeciągnąłem się i wziąłem z auta swój laptop, torbę na ramię i torbę z cenną grą planszową.

Taszcząc te trzy rzeczy, pokonałem krętą betonową ścieżkę - szleszcząc po suchych liściach - i dotarłem do drzwi wejściowych. Zacząłem zdejmować z ramienia torbę, żeby znaleźć w kieszeni klucze, gdy nagle drzwi gwałtownie się otworzyły.

Zaskoczony zamrugałem oczami.

Peggy się roześmiała. Drobną, choć silną brunetką, mimo że zbliżała się do czterdziestki, wciąż miała twarz usianą piegami. Zarzuciła mi ręce na szyję, a ponieważ byłem objuczony bagażami, omal nie straciłem równowagi. Przytrzymała nas oboje - jak wspomniałem, była silna - i obejmując mnie w pasie, wprowadziła do domu.

- Wróciłeś wcześniej. - Zmarszczyła brwi. - Mam powiedzieć kochankowi, żeby uciekł przez okno sypialni?

- A umie gotować? - spytałem. - Poproś, żeby został.

Peggy dała mi kuksańca w żebra, znów wybuchając śmiechem. Postawiłem torby i objąłem ją. Nasze usta połączyły się w przeciągłym pocałunku.

- Co, praca skończyła się wcześniej? - Zauważyłem, że zerknęła do lustra, poprawiając gęste, ciemne włosy. Spodziewała się mnie dopiero jutro. Zwykle stroiła się na mój przyjazd. To była jedna z cech, które u niej uwielbiałem. Nie dzwoniłem, bo nie chciałem jej sprawiać kłopotu i dlatego, że lubię ją zaskakiwać - tak jak dziś, a także w urodziny i nasze rocznice; za dwa tygodnie mieliśmy obchodzić piętnastą.

- Co ci się stało w głowę?

- Fujara ze mnie. Zresztą sama wiesz. Czółgałem się po budowie.

- Kask - upomniała mnie.

- Zwykle zakładam. Słuchaj, twoi rodzice przyjeżdżają w ten weekend? - zapytałem.

- Tak. Z Oscarem.

- Z kim?

- Ze swoim psem.

- Wiem, że mają psa? - Naprawdę nie pamiętałem.

- Wspominali o tym.

- Jakiej rasy?

- Pukapi, pikapu, jakoś tak. Nie wiem. Może corgi.

Rozejrzałem się.

- Gdzie chłopcy?

- Jeremy jest w swoim pokoju, rozmawia przez telefon z twoim bratem. Sam już leży w łóżku. Zrobię ci kolację.

- Wystarczy kanapka. I trochę wina. Wielki kieliszek wina.

- Chodź. - Peggy schowała bagaż w korytarzu, w którym zamierzałem położyć nowe płytki, odkąd miesiąc temu rura w łazience popełniła samobójstwo. Zaprowadziła mnie do kuchni i zaczęła szperać w lodówce. Zanim zaczęła przygotowywać jedzenie, przyciemniła światła i zapaliła kilka świec.

Nalała dla nas dwojga francuskiego chardonnay z Côte d'Or. Trąciliśmy się kieliszkami.

- Na długo przyjechałeś?

- Na cztery dni.

- Naprawdę? - Podeszła do mnie, przycisnęła się całym ciałem i pocałowała mnie mocno, przesuwając dłoń po moich plecach i za-trzymując ją w miejscu, gdzie jeszcze kilka godzin temu miałem kaburę.

Kiedy po chwili się odsunęła, powiedziałem:

- Nie mówiłem, że przyjechałem na pięć dni?

- Co mam zrobić, żeby zrobił się z tego cały tydzień? - szepnęła z ustami tuż przy moim uchu.

Uśmiechnąłem się, choć nawet z Peggy nie byłem mistrzem świata w uśmiechu.

Po kilku następnych pocałunkach, gdy wreszcie wyswobodziła się z moich ramion, powiedziałem:

- Zobacz, co znalazłem. - Wyszedłem na korytarz, wziąłem plastikową torbę i wyciągnąłem grę, którą dostarczono mi w sobotę. Rozpakowałem ją i postawiłem pudełko między nami.



- Och... - Peggy nie jest taką wielbicieleką gier planszowych jak ja, ale w domu jest więcej gier niż książek, więc przez osmozę stała się kimś w rodzaju eksperta.

- Oryginalna.

Patrzyliśmy na pierwsze wydanie „Candy Land”, najprostszej i prawdopodobnie najpopularniejszej gry planszowej dla dzieci. W dzieciństwie grałem w nią z braćmi i naszymi kolegami. Ciągnie się w niej karty i przesuwają pionki po planszy z Czekoladowym Trzęsawiskiem i Galaretkowymi Górami.

- Jer jest chyba za duży. Ale Sammy'emu się spodoba.

- Nie, z tobą Jeremy na pewno zagra.

Pomyślałem, że ma rację.

- Siądź i odpocznij - powiedziała Peggy. Nagle uśmiech zniknął z jej twarzy. Obejrzała mnie badawczo. - Zacząłeś coś ćwiczyć i nie mi nie mówisz? Schudłeś.

- Tam, gdzie mnie wysyłają, nie ma dobrych fast foodów.

- Hm.

Gdy otwierała lodówkę, wszedłem do małego pokoiku i zagłębiłem się w swoim trzeszczącym fotelu, otoczony regałami, na których stało sto dwadzieścia jeden gier. Przyszła mi do głowy myśl, myśl adresowana do jednego z moich ostatnich obiektów.

Masz więcej racji, niż ci się wydaje, Joanne. Wcale nie jest niemożliwe prowadzić podwójne życie. Publiczne i prywatne. Mroczne i jasne. Łączyć szaleństwo z błogim rozsądkiem.

Ale próby pogodzenia ich ze sobą wymagają ogromnej pracy. Czasami wydaje się, że nadludzkiej.

Musisz odłożyć na bok każde wspomnienie i myśl z drugiego życia, życia z najbliższymi. Jeśli tego nie zrobisz, chwila dekoncentracji może mieć fatalne skutki.

Musisz się zgodzić na samotność w tajnym życiu. Takim jak moje, które prowadzę przez cztery, pięć albo więcej dni z rzędu, w drodze, w schronach i w domu w Alexandrii, za który płaci rząd, żebym mógł być pod telefonem niedaleko biura. Mimo że obok znajduje się mój ulubiony klub gier, mimo że dom jest pełen ulubionych gier z mojej kolekcji, mimo że zdobią go dyplomy i listy pochwalne od Biura Bezpieczeństwa Dyplomatycznego i mojej obecnej organizacji, to w gruncie rzeczy jest pusty, pachnie kartonem i farbą. Po prostu nie jest domem.

Najtrudniejsza ze wszystkiego - jeśli chcesz prowadzić podwójne życie - jest konieczność oszukiwania.

Peggy wie, że pracuję dla rządu, ale ponieważ skończyłem matematykę, myśli, że zajmuję się naukową analizą obiektów federalnych związanych z bezpieczeństwem, w kraju i za granicą. Powiedziałem jej, że nie mogę zdradzić nic więcej, zapewniając ją, że praca nie jest niebezpieczna, tylko bardzo poufna. I nudna, bo trzeba śłęczeć nad kolumnami liczb.

Peggy chyba rozumie i godzi się na to, że nie mogę puścić pary z ust.

I na odwrót, swoim współpracownikom ujawniam niewiele szczegółów swojego życia prywatnego - z wyjątkiem najbliższych przyjaciół, takich jak Freddy. Gdzieś w głęboko ukrytych wydziałach personalnych rządu federalnego są akta z informacjami o mnie i Peggy, o chłopcach i mojej matce, która mieszka w San Diego, i moich trzech starszych braciach - jeden jest dyrektorem w firmie ubezpieczeniowej, a dwaj wykładowcami w college'ach. Te dane będą miały znaczenie, gdy przyjdzie pora na sprawy związane z emeryturą, odprawami i spadkiem, ale jak w wypadku wielu innych rzeczy w moim życiu, robię, co w ludzkiej mocy, aby wszystkie fakty na mój temat były objęte zasadami NP.

Najwyższej poufności.

Dla większości ludzi, których spotykam w pracy, jestem samotnym, bezdzietnym mieszkańcem Old Town w Alexandrii, prawdopodobnie wdowcem, który przeżył jakąś tragedię (historia o prześladowcy, którą opowiedziałem Maree, była prawdziwa, choć nie zakończyła się tak dramatycznie, jak zasugerowałem, starając się nakłonić młodą kobietę do powrotu do domu). Jestem sztywnym w zachowaniu pracownikiem federalnym, który nie umie żartować i rzadko się uśmiecha. Wolę, by zwracano się do mnie pretensjonalnie i jednosylabowo „Corte”.

Na szczęście z tych myśli wyrwał mnie przenikliwy dziecięcy krzyk radości, który rozległ się za moimi plecami. Wstałem i odwróciłem się z uśmiechem. Mój młodszy syn, Sammy, obudził się i stał w drzwiach.

- Tatusiu, wróciłeś! - Był ubrany w piżamę ze SpongeBobem Kaniastoportym, miał zmierzwiłone włosy i wyglądał uroczo.

Natychmiast odstawilem kieliszek z winem. Wiedzialem, ze chlopiec chce wykonać skok z rozbiegu. Od niedawna takie powitanie stalo się naszą tradycją. I rzeczywiście, z tupotem bosych stóp, jak strzala pomknął do mnie, nie zważając na błagania roześmianej matki, żeby uważał.

Ale ja go zachęcałem.

- No, Sammy, śmiało, śmiało! - zawołałem ze szczerym entuzjazmem w głosie. A gdy odbił się i wzleciał w górę, przygotowałem się, żeby cało i bezpiecznie wylądował w moich wyciągniętych ramionach.

## Podziękowania

**S**trategie Corte'ego związane z teorią gier oraz przemyślenia na temat racjonalnej irracjonalności zaczerpnąłem głównie ze wspaniałej książki autorstwa dziennikarza „New Yorkera” Johna Cassidy'ego „How Markets Fail”, działającej na czytelnika niezwykle otrzeźwiająco.

Składam wielkie dzięki wielu osobom, za sprawą których powieść ma taką, a nie inną postać. Są to: Sarah Hochman, Carolyn Mays, Deborah Schneider, Vivienne Schuster... i jak zawsze Madelyn, Jane i Julie.